

## **Paweł Jasienica, *Trzej kronikarze***

### **wstęp Henryk Samsonowicz**

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński 3 maja 2007 r. w uznaniu zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej odznaczył pośmiertnie Pawła Jasienicę Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski

W 2007 roku Paweł Jasienica został laureatem - przyznanej po raz pierwszy pośmiertnie - Nagrody Kustosza Pamięci Narodowej ustanowionej przez Prezesa IPN

### **O JASIENICY I TRZECH KRONIKARZACH**

Tytuł książki może nieco wprowadzać w błąd, sugeruje mianowicie, że dotyczy ona trzech dziejopisów, najbliższych czasowo początkom naszego państwa. W rzeczywistości wypowiada się w niej czterech historyków. Trzech spośród nich ukazało fragmenty wczesnych dziejów Polski. Paweł Jasienica, omawiając kroniki Thietmara, Anonima Galla i Wincentego Kadłubka, dał do nich obszerny komentarz, który — podobnie jak dzieła pisarzy z XI, XII i początku XIII stulecia - stanowi źródło poznania potrzeb społecznych, tym razem w drugiej połowie XX wieku.

Autor umieszcza swe uwagi w szerokim kontekście dziejowym wczesnego średniowiecza polskiego. Przytaczając fragmenty kronik, ukazuje realia dawnej epoki, wydarzenia polityczne i przede wszystkim zwraca uwagę na ich znaczenie dla kształtowania się świadomości zbiorowej Polaków, na wartości ważne dla ich wspólnoty — wolność, niepodległość, przywiązanie do własnej ziemi i własnej tradycji. Obszerny komentarz, jakim autor okraślił teksty (tłumaczone z łaciny przez znakomitych specjalistów), stanowi przyczynek do poznania i lepszego zrozumienia potrzeb naszego społeczeństwa w tysiąc lat później, w okresie Polski Ludowej.

Być może analogie mogłyby się wydawać mało przekonujące. W czasach biskupa merseburskiego Thietmara, świadka niemal współczesnego powstania naszego państwa, Polska była państwem bardzo młodym, do niedawna leżącym poza granicami chrześcijańskiej cywilizacji Europy. Dzieło uczonego biskupa nie jest przychylne Polsce, która nie bardzo chciała się uznać za członka wspólnoty uosabianej przez cesarza zachodniego Rzymu, króla niemieckiego. Może za daleko idące byłoby szukanie w zamyśle Pawła Jasienicy analogii do sytuacji naszego kraju w okresie „wspólnoty państw socjalistycznych”, ale czytelnikom drugiej połowy XX wieku takie myśli mogły przychodzić do głowy. Cóż z tego, że wejście Polski do świata chrześcijańskiego, które ustaliło nasze w nim miejsce, dokonało się z woli rodzimych elit, podczas gdy lata po drugiej wojnie światowej stanowiły czas zniewolenia? Przekazane przez Thietmara informacje pozwalały i na snucie takich analogii, i na

odczuwanie satysfakcji, że pierwszy król Polski dał radę „złym Niemcom”. Jasienica podkreślał przy tym w komentarzu, że nawet niechętny Polakom biskup z uznaniem przyjmował ich wejście do chrześcijańskiej wspólnoty.

Późniejszy o stulecie, nieznanym z imienia przybysz na dwór Bolesława Krzywoustego - Gall Anonim (a może, jak chcą niektórzy badacze, Anonim Italicus) — pisał już w imię ówczesnej „racji stanu”. Kraj Polaków, dowodził ten kronikarz, „leżący z dala od uczęszczanych szlaków”, godzien jest tego, by jego dzieje zostały uwiecznione piórem. Głównym, sławionym bohaterem kroniki był oczywiście Bolesław, ale Gall dawał wyraz przekonaniu, że przodkowie księcia zostali osadzeni na tronie polskim z woli samego Boga. Innymi słowy, dla ówczesnych czytelników (może raczej dla słuchaczy) była to konwencja nawiązująca do dzieł, które widziały historię jako „dzieje Boże”, tym razem dokonywane przez Polaków. Nobilitował ten pogląd i dynastię „panów przyrodzonych”, i mieszkańców kraju o własnej tożsamości, o chwalebnej przeszłości, z której mieli prawo być dumni. Pamięć - pisał już o tym Św. Augustyn - „jest wielką siłą”. Zbiorowa pamięć o dokonaniach przodków — nie tylko tych z czasów Krzywoustego — była w przekonaniu Jasienicy siłą niezbędną dla utrzymania w trudnych czasach dobrej kondycji narodu.

Wreszcie ostatni z kronikarzy komentowanych przez Pawła Jasienicę był pierwszym Polakiem, który podjął dzieło spisania „rzeczy przeszłych”. Mistrz (a więc absolwent wyższych studiów) Wincenty Kadłubek, późniejszy biskup krakowski, zaliczony w poczet błogosławionych, stworzył najbardziej trwałą legendarną wersję początków państwa. Wersję, która zrobiła bodaj największą karierę w naszych dziejach. Któż z Polaków nie słyszał o „wawelskim smoku” lub o „Wandzie, co nie chciała Niemca”! Jasienica te akurat wątki pomija, bliżej zajmując się i złym księciem Popielem, co swych stryjów podczas uczyty otruł, i — przede wszystkim - wprowadzaniem Polski przez Kadłubka do historii powszechnej, czyli do dziejów starożytnych. Aleksander Wielki bezskutecznie próbował kraj nasz podbić, Juliusz Cezar wchodził z książętami polskimi w układy. Głównym jednak wątkiem rozważań autora są partie kroniki odnoszące się do działań książąt polskich na przełomie XII i XIII wieku. Działania te Jasienica oceniał pod kątem różnych koncepcji politycznych, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, po stronie których się opowiada. Komentarz do dziejów Polski w czasach rozbicia dzielnicowego jest jednocześnie wyznaniem wiary autora dotyczącym potrzeby posiadania suwerennego, zjednoczonego państwa, przeciwstawiania się partykularyzmem i zaściankowości.

Czy po blisko półwiecznej przerwie komentarze Pawła Jasienicy nie straciły na wartości? Oczywiście, postęp nauki przyniósł zmiany w naszym oglądzie zaszłych wydarzeń. Już z innej perspektywy postrzegamy nieco inaczej znaczenie rozbicia dzielnicowego w procesach rozwoju samorządności obywatelskiej, w przemianach gospodarczych i społecznych. Uwagi i komentarze Jasienicy wpisują się jednak w znakomitą tradycję popularyzowania historii ojczystej. Jego dorobek pisarski poświęcony był wszakże krzepieniu serc rodaków poprzez ukazywanie ich chwalebnej przeszłości tak, jak czynili to omawiani kronikarze. Autor nie szczędził im przy tym także słów krytyki za błędnie jego zdaniem formułowane opinie i niesłuszne koncepcje, jak te zawarte w „antykronice” Mistrza Wincentego.

Cenimy pośród naszych wielkich rodaków Stanisława Konarskiego za to, że „ośmielił się być mądrym”. Paweł Jasienica „ośmielił się być odważnym”, pomagał przyswajać rodakom treści niemieszczące się w ówczesnym kanonie oficjalnej historii Polski. Pokazywał wydarzenia, które krzepiły serca ludzi w czasach niewoli, opowiadał się za tymi wartościami, które uważał za istotne dla państwa, dla narodu. Nie był bowiem bezkrytycznym sprawozdawcą idei zawartych w owych trzech kronikach. Wyjaśniał je, omawiał, nierzadko krytykował, często polemizował z ich autorami. Stawiał też pytania, które i dziś skłaniają do refleksji. Dodać warto, że pisał językiem przystępnym dla wszystkich, że nie bał się odchodzić od obowiązujących w jego czasach ocen i opinii, poruszając zagadnienia pomijane przez podręczniki szkolne. Dla edukacji powszechnej uczynił bardzo wiele, niezależnie bowiem od aktualności ukazywanego obrazu dziejów ojczystych zachęcił do ich poznawania licznych rodaków, pragnących czerpać satysfakcję z racji przynależności do swego narodu.

Czy utrzymalibyśmy naszą tożsamość bez różnych dzieł w rodzaju XIX-wiecznych „Wieczorów pod lipą” przyswajających Polakom treści, z których mogli być dumni? Taką też rolę odegrała niniejsza książka w stuleciu następnym, w czasach kolejnego zniewolenia.

Henryk Samsonowicz

## TRZEJ KRONIKARZE

### WSTĘP

Książka ta zawiera wybrane fragmenty kronik średniowiecznych.

Niełatwo dokonać takiego wyboru. Aż kusi, by dać pierwszeństwo rozdziałom opowiadającym wydarzenia miary największej. Dzieło Jana Długosza przynosi nam na przykład szczegółowy opis bitwy pod Grunwaldem. Opis zapewne najczęściej przedrukowywany i badany najstaranniej. Z niego czerpał Henryk Sienkiewicz. Obrazy skreślone przez znakomitego kronikarza stały się własnością ogółu, który przeważnie ani nawet przeczuwa, komu je zawdzięcza.

Wszyscy w Polsce znają symbolikę dwóch nagich mieczy. Ale więcej jest pewnie ludzi, którzy widzieli ich wizerunki, niż takich, co czytali u Długosza: a król brał już na głowę hełm, mając wyruszyć do boju, gdy mu z nagłą doniesiono, że od wojsk krzyżackich przybyli dwaj heroldowie, z których jeden miał na swej tarczy herb króla rzymskiego, to jest orła czarnego w złotym polu, drugi zaś herb księcia szczecińskiego, gryfa w polu białym; i że nieśli w rękę dwa gołe miecze bez pochew, żądając stawić się przed królem, do którego ich rycerze polscy jako straż bezpieczeństwa przyprowadzili.

W muzeum olsztyńskim oglądamy obraz Wojciecha Kossaka i dziwimy się postaciom ludzkim, widniejącym wśród gałęzi drzew, nad zamętą bitwą. Grunwald Jana Matejki od

ramy do ramy wypełnia zwarty kłęb ludzi i koni. W obrazach nie ma odsyłaczy. Artysta nie jest uczonym i nie musi zdradzać źródeł swej wiedzy czy inspiracji.

Było w miejscu spotkania - powiada Jan Długosz - sześć wysokich dębów, na które powyłaziło wiele ludzi, czy królewskich, czy krzyżackich — nie wiadomo, a to dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół natarciu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny zaś za ich spotkaniem, z wzajemnego uderzenia kopij, chrzęstu ścierających się zbroi, szczękę mieczów, powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od słabszych, odważnych od niewieściuchów, wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca ani jeden drugiemu ustępował z pola, aż gdy nieprzyjaciół zwalony z konia albo zabity rum otwierał zwycięzcy. Gdy na koniec połamano kopie, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy ściśnieni w natłoku mieczem tylko nacierali na siebie, i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała. Bitwa pod Grunwaldem została stoczona 15 lipca 1410 roku. Jan Długosz przyszedł na świat w pięć lat później.

Heroldowie na pewno przynieśli przed Jagiełłę dwa nagie miecze, ciekawych ryzykantów nie brakowało, tłok na polu starcia panował okropny, opis zdobytych chorągwi jest wierny. Wiele innych jeszcze rzeczy odpowiada prawdzie, relacja kronikarska ma dużą wartość. A jednak jest ona już tylko dziełem historyka, a nie sprawozdaniem świadka współczesnego wypadkom.

Długosz, jako autor opisu tej bitwy, znajdował się w położeniu wyjątkowo uprzywilejowanym. Ojciec jego walczył pod Grunwaldem, historyk rozmawiał z bezpośrednimi uczestnikami działania. Upłynęło przecież nie tak wiele czasu. Inaczej było z tymi kronikarzami polskimi, którzy szeroko i barwnie opiewali czyny Bolesława Chrobrego - w setki lat po śmierci króla.

Nie wolno lekceważyć ich utworów ani też beztrąsko skreślać tego wszystkiego, o czym opowiada tradycja czy nawet legenda. Od takich praktyk powinna nas była odczytać archeologia, operująca materialnymi dowodami prawdy. Nieraz jeden zdarzyło się jej namacać w ziemi rzeczywiście fundament legendy.

Lekceważyć nie wolno, trzeba natomiast rozróżniać rozmaite rodzaje pisarstwa historycznego. Długosz własnymi oczyma patrzył na hołd złożony królowi przez wielkiego mistrza Krzyżaków w roku 1479. Okrutnych czynów wielkiego księcia Litwy, Zygmunta Kiejstutowicza, nie widział, ale dowiadywał się o nich współcześnie, będąc już wtedy mężem dojrzałym. Toteż opowiadające o tym wszystkim rozdziały kroniki są dla nas źródłami wiedzy (nie tak znowu bardzo ścisłej). Ale opis koronacji Jagiełły to tylko opracowanie historyczne, oparte na innych źródłach wiedzy, wyszukanych i poznanych przez autora.

Pragnąc dokonać wyboru, trzeba wprawdzie określić kryterium. W danym wypadku jest ono dość niemiłosierne. Książka ta udzieli kronikarzom głosu jako współczesnym świadkom.

Wskutek tego nie będzie w niej ani relacji o tak zwanym buncie pogańskim, ani o powrocie Odnowiciela. Los gospodarzy wiedzą o przeszłości. Wspomnianym przed chwilą poważnym wydarzeniom zabrakło świadka parającego się piórem. Nie zawsze tak bywa jak z przedśmiertną podróżą Kazimierza Wielkiego, w której uczestniczył pisarz.

Istnieje jednak okoliczność wybitnie pocieszająca. Dawni historycy nie byli podobni do współczesnych nam, to znaczy nie stronili od aktualności. Przeciwnie! — radzi rozpoczynali pracę od sprawozdań o wydarzeniach daty najświeższej, a dopiero potem cofali się w tak zwaną pomrokę wieków. Nikogo nie dziwi kronika średniowieczna doprowadzająca opowiadanie do roku, niemal do dnia, zgonu autora. W dziełach tych ostatnie rozdziały nabierają po prostu cech pamiętników.

Oryginalnym, godnym pilnej uwagi zjawiskiem jest to średniowieczne zamiłowanie do wypowiedzania się na tematy aktualne. I to do jakiego wypowiedzania się!

W domu Długosza, u samych stóp Wawelu, w cieniu prawie baszt służących za turmy, przez wiele lat leżały sobie papiery stanowiące materiał straszliwie obciążający. Były tam nie tylko ujemne uwagi o rządzie, nie tylko własną ręką kronikarza wypisane twierdzenie, że Władysław Jagiełło był głupcem. Figurowały również obszerne wywody, z których wynikać by mogło, że sprawujący akurat władzę Kazimierz IV pochodzi z nieprawego łoża, a więc cała dynastia jest właściwie rodem bękartów. Długosz miał sekretarza oraz licznych skrybów. Niczego nie okrywała tajemnica. Było powszechnie wiadomo, że ksiądz kanonik pisze dzieje ojczyste (a pisał je przez lat dwadzieścia pięć). Król Kazimierz wybaczył mu jego opozycyjność i mianował go wychowawcą własnych synów, a także arcybiskupem lwowskim. Istniały zatem okoliczności skłaniające ludzi pióra do zajmowania się tematami aktualnymi.

Prawdomówność zaszkodziła Janowi Długoszowi, ale dopiero później — w stuleciu XVII - gdy przerwano druk jego dzieła, dawniej przepisywanego tylko. Stało się to w czasach schyłku, kiedy „miało się już pod koniec” wielkodusznej tolerancji, będącej wspianiałym znamięm wcześniejszych, prawdziwie świetnych epok dziejów Polski.

„Nawet najnaiwniejszy agent policji wie dobrze, że nie należy zanadto wierzyć słowom świadków” — powiedział historyk francuski, Marc Bloch. Przysłowie wyraziło tę samą prawdę o wiele wcześniej, lecz w sposób znacznie mniej uprzejmy: „Nikt tak nie łże, jak naoczny świadek”.

Wywody kronikarzy dostarczają więc nam wiedzy... niekiedy bardzo nawet względnej. Dzieła naukowe, pisane przez fachowców uzbrojonych w cały aparat krytyki nowoczesnej, pouczają, ile trzeba często prostować w relacjach ludzi, którzy widzieli, „byli przy tym”... Ale i w tych ostatnio wspomnianych dziełach naukowych nie obywa się bez znaków zapytania. Kupiec wileński Hanulon, zwany inaczej Hansem z Rygi, walnie dopomógł Jagielle w zdobyciu władzy na Litwie i współpracował z twórcami unii dwóch państw. To pewne. Ale co się z nim stało później? Czy rzeczywiście przeniósł się do Polski i został szlachcicem? Jeden ze współczesnych nam profesorów uniwersytetu uważa to za fakt, drugi za bajkę.

Żadna z metod historiograficznych nie może rościć sobie pretensji do miana nauki ścisłej. Odnosi się to zarówno do historii wydarzeniowej, jak i do integralnej, czyli tej, która usiłuje odtworzyć pełnię procesu dziejowego.

W 1948 roku pewien uczony drukuje dzieło, w którym stwierdza, że u schyłku rządów Kazimierza Wielkiego gęstość zaludnienia Polski wynosiła 4,8 ludzi na kilometr kwadratowy. W dziesięć lat później ten sam autor oznacza już tę gęstość na „powyżej 7 ludzi”. Jego dwaj koledzy powiadają, że już wcześniej było „ponad 8 osób na 1 km kw”. Całkiem niezależnie od tego jeszcze inny badacz doszedł do wniosku, iż wskutek intensywnej działalności osadniczej „od czasów Kazimierza Wielkiego [więc chyba włącznie — P. J.] zaludnienie wzrosło” i musiało wynosić „przynajmniej” 8—10 ludzi na jednym kilometrze kwadratowym. Gdzież tu ścisłość? Różnice podanych cyfr przekraczają sto procent! Materiał dowodowy, którym operuje historyk, wprost wyklucza ścisłość — trzeba to wyznać otwarcie i szukać laurów innych niż matematyczne.

Czasy Kazimierza Wielkiego były okresem ogromnego budownictwa. To wcale nie wszystko jedno, na jaką ilość barków rozkładały się ciężary. Z punktu widzenia historii jako nauki jest to nawet zagadnienie kapitalne. Milion trzysta tysięcy czy milion dziewięćset tysięcy mieszkańców? Różnica wynosi prawie jedną trzecią, jest więc olbrzymia! Tego rodzaju niespodzianki zdarzają się w dziełach historyków żyjących w wieku XX. Tym bardziej więc nie szukajmy ścisłości u dawnych kronikarzy, bo niepodobna jej znaleźć. Pamiętajmy za to, że przemawiają do nas nie obojętni widzowie, lecz aktorzy wydarzeń. To, co napisali, opowiada o przeszłości, lecz jest zarazem dokumentem ludzkich dążeń i pasji, pragnień i nienawiści. Ci autorzy chcieli przekonywać, zdobywać serca, narzucać umysłom własne wizje, tępić poglądy przeciwne. Walczyli, a orężem ich były pióra.

Zebrane w tym tomie urywki dawnych kronik nie mają nic wspólnego z obiektywną prozą naukową. Odezwie się do nas literatura oraz publicystyka średniowieczna. Wskutek takiego stanu rzeczy dowiemy się czegoś nie tylko o opisywanych wypadkach. Ujrzymy również żywych ludzi, wypadkom tym współczesnych. Przemówią trzej autorzy i ta właśnie okoliczność może wprowadzić w błąd tych czytelników, którzy z racji swych odmiennych zainteresowań lub specjalności mniej się stykają z piśmiennictwem na tematy historyczne. Nie tylko ci trzej pisali o dawnej Polsce albo jej ziemiach! Niezbyt dawno temu publiczność wprost rozchwytywała wydany przez Gerarda Labudę tom pod tytułem Źródła skandynawskie i anglosaskie do dziejów Słowiańszczyzny. Zawartego w nim opisu Europy Alfreda Wielkiego nie ma w tej książce. O czeskim kronikarzu Kosmasie wspominam tylko w jednym z rozdziałów. Pomiąłem również żywoty św. Wojciecha, roczniki oraz inne pisma. Pomiąłem w ogóle wiele rzeczy bardzo cenionych przez historyków istanowiących niezastąpione źródła wiedzy.

Tom niniejszy tyleż ma wspólnego z obiektywną prozą naukową, co i zawarte w nim urywki dzieł dawnych kronikarzy-publicystów. Może nawet mniej... Nie naśladowałem Thietmara, Galla ani Kadłubka, nie zależało mi na popisaniu się erudycją. Wymieniłem w tekście wiele nazwisk uczonych nam współczesnych lub nieco starszych, lecz wcale nie uważałem za konieczne wymienić wszystkich, którzy na te tematy pisali i których dzieła

czytałem. W eseju tego typu autor nie ma obowiązku ani możliwości omawiania całej „literatury przedmiotu” ani przeprowadzania dyskusji ze wszystkimi poglądami, których nie podziela.

Wziąłem po prostu książki trzech średniowiecznych kronikarzy i z urywków ich oraz z własnych komentarzy skomponowałem literacki tryptyk. Wychodziłem z założenia, że wolno mi swobodnie wypowiedzieć swe nieobowiązujące zdanie o twórczości trzech starszych kolegów.

### Biskup z Merseburga

Pierwszym człowiekiem, który obszernie pisał o państwie polskim, był Niemiec. Nazywał się Thietmar. Pochodził z rodu grafów von Walbeck, a po matce z grafów von Stade. Był duchownym i przede wszystkim dlatego władał piórem. Osiągnął godność biskupa Merseburga. Urodzony w roku 975, zmarł w 1018, 1 grudnia, a jego tworzona w Niemczech kronika zawiera wiadomości o tym, co się działo w Kijowie w sierpniu tego samego roku. Thietmar pisał zawsze po łacinie. Dzieło jego przełożono na język niemiecki dopiero w roku 1606, na polski w 1862. Dziesięć lat temu, w roku 1953, Marian Zygmunt Jedlicki obdarzył nas nowym tłumaczeniem. Wszystkie cytaty wzięte są stamtąd, z komentarzy i objaśnień uczonego korzystałem obficie, co oczywiście nie obarcza profesora najmniejszą choćby odpowiedzialnością za poniższe wywody.

### I

Chryste! królów ozdobo, co państw losami kierujesz! Wesprzyj Twoje królestwo razem z poddanymi Twymi, Aby Twoja, nie nasza, wynikła stad korzyść i chwała, Aby trzody Twej nigdy obca nie dosięgła przemoc...

Takie słowa zawiera między innymi wierszowany Prolog czcigodnego pana Thietmara, biskupa merseburskiego, do „Dziejów saskich” - in „Gesta Saxonum”. Treść wszystkich ośmiu ksiąg kroniki nie pozostawia żadnych wątpliwości: słowa „Twoje królestwo” i „Twoja trzoda” odnoszą się tylko do Niemców.

Odwróćmy pierwszą stronę dzieła, poszukajmy początku właściwego opowiadania. Rzecz zaczyna się od czynów króla niemieckiego Henryka I Ptasznika, z dynastii saskiej Ludolfingów Wzrastał on pod okiem rodziców: aż wyrósł z czasem jak kwiat wiosenny na pełnego talentów żołnierza. Kiedy ojciec wysłał go z wielkim wojskiem do siedzib plemienia, które my po niemiecku nazywamy Daleminci, a Słowianie Głomaczami, powrócił zwycięzcą po straszliwym spustoszeniu i spaleniu kraju.

U schyłku XIX wieku jeden z uczonych niemieckich doszedł do wniosku, że „Daleminci” to nazwa także słowiańska. „Dalemiency” oznaczało ludzi sławnych, „mających imię daleko”. Nazwą „Głomaczów” zainteresował się sam Thietmar.

Głomacz - wywodził - jest to źródło w odległości najwyżej dwóch mil od Łaby. Jego wody rozlewają się w wielkie trzęsawisko, na którym, wedle słów okolicznych mieszkańców i naocznych świadków, dziwne dzieją się sprawy. Jak długo tubylcy korzystają z

dobrodziejstw pokoju i ziemia nie odmawia im swoich plonów, trzęsawisko to pokrywa się pszenicą, owsem i żołądziami i utrzymuje w radości gromadzących się gęsto wokoło sąsiadów. Ilekroć zaś rozszaleje się burza wojny, krew i popiół znaczą w nieuchronny sposób szlak przyszłości.

Istotnie, ten szlak wyznaczony został w sposób nieuchronny. Sławiony przez Thietmara Henryk I zniewolił nie tylko Głomaczów, mających swe siedziby pomiędzy Łabą a Muldą i czczących źródło, od którego wzięli miano, „więcej niż kościoły”. Pobił również i przymusił do płacenia daniny Czechów, Obodrzyców, Wioletów, Hobolan i Redarów. Nie był to jeszcze podbój ostateczny, stuprocentowa niewola. Ale ręka niemieckiego króla zaciążyła nad całym krajem słowiańskim od Łaby po Odrę.

Redarowie natychmiast porwali się do przeciwdziałania. 5 września 929 roku w walce z nimi polegli dwaj grafowie germańscy: Lotar von Walbeck i Lotar von Stade, pradziadowie Thietmara.

Zbieg okoliczności rzeczywiście efektowny, bo to i jedna bitwa, a imię też jedno i to samo. Oto więc znowu przykład inscenizacji wydarzeń, dozwolonej tylko losowi, lecz surowo zabronionej powieściopisarzom. Thietmarowi, który o tym wspomina jako o fakcie, wierzymy bez oporów. Zaprotestowalibyśmy gwałtownie, gdyby ktoś powążył się wymyślić sobie taki przypadek.

Ale to nie tradycje rodzinne rozstrzygnęły o duchu kroniki. Pojawiają się na jej kartach Rzym i Akwizgran, Apulia i Kalabria. Słysząc echa spraw dziejących się w Konstantynopolu, a nawet w Palestynie. Nie brakuje wiadomości o północy europejskiej. Skądże by znowu, skoro sam Thietmar razu pewnego omal nie został zakładnikiem u korsarzy duńskich. Już się był nawet wybrał w drogę, wzięwszy ze sobą odzienie świeckie, by nie pospolitować pomiędzy pogaństwem szat kłeryka. Na jego szczęście, wuj, którego miał zastąpić w niewoli, zdołał spoić winem strażników, skoczyć z dziobu okrętu do przygotowanej z awansu łodzi i ujść cało. Mszcząc się za to, piraci poobcinali uszy, nosy i ręce pozostałym swym jeńcom, wśród nich pewnemu księdzu, spowinowacnemu z Thietmarem.

Pojawia się w jego kronice niemal cały świat ówczesny, ciasny, ograniczony do Europy z małymi przyległościami, lecz kolorowy. I jednolicie okrutny. Ale magnezem, który naprawdę przyciąga uwagę i niedobrą pasję autora, jest wschód. To znaczy porzecze Łaby i Odry.

Prawi nam Thietmar o tym, jak jego poprzednik w Merseburgu, biskup Bozo, aby łatwiej nauczać powierzone swej pieczy owieczki, spisał słowo Boże w języku słowiańskim i polecił im śpiewać „Kyrie eleison”, wskazując na wielki płynący stąd pożytek. Ci nierozumni Słowianie jednak przekreślili te słowa gwoli szyderstwana pozbawione sensu „ukrivolsa”, co w naszym języku znaczy: „w krzu stoi olsza”.

Pełno w księdze słowiańskich nazw miejscowości. W wielu wypadkach autor jakby dopomaga mniej domyślnemu lub nie znającemu miejscowych stosunków czytelnikowi i sam



wyjaśnia słowiańskie źródłosłowy. Nigdzie jednak ani cienia niepokoju moralnego, ani przeblysku myśli, że coś tutaj nie jest w porządku.

„Albowiem największym nieszczęściem jest, gdy rządzą cudzoziemcy: stąd rodzi się ucisk i wielkie niebezpieczeństwo dla wolności” - własnoręcznie napisał Thietmar w pierwszej księdze kroniki. Ale te słowa odnosiły się tylko do Niemców. Głosiciel religii, której sama nazwa oznacza powszechność, nie wyobrażał sobie świata bez podziału na lepszych i gorszych. Jego zdaniem pełnią praw przysługiwała tylko Germanom, a ściślej: Sasom. Był o tym tak głęboko przekonany, że nawet nie troszczył się o uzasadnienie.

W czwartej księdze dziejopisarz przerywa raptem wykład o sprawach sobie współczesnych i nawraca do niezbyt zresztą odległej przeszłości.

Różne wprowadzam zmiany jako ten wędrowiec, który zbacza z właściwego szlaku czy to wskutek trudności drogi, czy to z braku orientacji w zawilej sieci ścieżek. Dlatego przedstawię resztę czynów znakomitego księcia Polan, Mieszka, o którym pisałem szeroko w poprzednich księgach. W czeskiej krainie pojął on za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego\*, która okazała się w rzeczywistości taką, jak brzmiało jej imię. Nazywała się bowiem po słowiańsku Do-brawa, co w języku niemieckim wyklada się: dobra. Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swojej wiary. Starła się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądź tego zepsutego

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Tzn. Bolesława II, księcia czeskiego (w latach 967-999).

świata\*, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym.

Umyślnie postępowała ona przez jakiś czas zdroźnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy mianowicie po zawarciu wspomnianego małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starła się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach, jedni twierdzą, iż jadła ona mięso w okresie jednego wielkiego postu, inni zaś, że w trzech takich okresach. Dowiedziałeś się przed chwilą, czytelniku, o jej przewinie, zważ teraz, jaki owoc wydała jej zbożna intencja. Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i wysłuchał jej miłościwy Stwórca. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył, na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki, jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierwородnego. I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spośród ludu i w szatę godową przyodziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone. Ich pierwszy biskup Jordan

ciężką miał z nimi pracę, zanim, niezmordowany w wysiłkach, nakłonił ich słowem i czynem do uprawiania winnicy Pańskiej. I cieszył się wspomniany mąż i szlachetna jego żona z ich legalnego już związku, a wraz z nimi radowali się wszyscy ich poddani, iż z Chrystusem zawarli małżeństwo.

Oryginalny ton! Jedyne w całym obszernym dziele wypadek życzliwej i pełnej uznania wypowiedzi autora o Słowianach. Nie znaczy to wcale, że Thietmar uznał chrześcijańskich już Polaków za nację równą Germanom. I przedtem, i potem, gdzie tylko mógł, podkreślał przyrodzone — jego zdaniem — prawo Niemców do zwierzchnictwa. A jednak musiał oddać księżęciu polskiemu co księżęce i polskie. Pojął pełną wymowę faktu dokonanego.

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Por. I list św. Jana (II, 16): wszystko, co jest na świecie: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota, nie pochodzi od Ojca, ale ze świata".

Przytoczony wywód, będący raczej oceną niż relacją, wystarczy za najgrubsze tomy rozpraw na temat politycznych skutków przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa, i to z Zachodu. Ważny jest właśnie ów subiektywny, pełen szacunku ton. Oznacza on zrzeczenie się ciężkiego argumentu. Niemiecki biskup nie może już odtąd wysuwać wobec Polski zarzutu, w dalszym ciągu ważnego w stosunku do plemion zaodrzańskich. Książę z Gniezna z własnej nieprzymuszonej woli przyłączył się do chrześcijańskiego świata. Wprawdzie jego poddani nadal pielęgnują, a ich potomkowie jeszcze przez całe stulecia pielęgnować będą obyczaje pogańskie, ale Thietmar z miejsca sam zaczyna przeczyć tej oczywistej prawdzie. Inaczej postąpić nie może i na pewno nie chce. Jest biskupem, wierzy żarliwie. Nie przychodzi mu do głowy próba zlekceważenia aż tak wielkiego tryumfu chrześcijaństwa. Nie wolno go nawet podejrzewać o podobne pomysły. Całe rozległe państwo przyjęło krzyż!

Nazwa Merseburga wywodzi się od wyrazów słowiańskich, odpowiedników polskiego „międzybórz” lub „międzyborze”. W diecezji Thietmara, zaludnionej przeważnie przez Słowian, od dawna stoją kamienne kościoły, wzniesione przez Niemców. Kraj powleczony jest chrześcijańskim pokostem, należy do świętego cesarstwa. W tych okolicznościach nic nie przeszkadza piętnowaniu pogłowia, które bez wątplenia z rozmysłem i złośliwie przerabia *Kyrie eleison* na „ukrivolsa”. Za Odrą, w państwie Mieszka, też na pewno nie brakuje akurat takich samych entuzjastów nowej wiary. Ale Thietmar nie dostrzega tego wcale, dla niego ten problem nie istnieje: / natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spośród ludu i w szatę godową przyodziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone.

Wkrótce się przekonamy, ile ma Thietmar do powiedzenia na temat zaciekłych walk polsko-niemieckich, których był świadkiem. Nie szczędzi wrogowi wyzwisk, nie tai nienawiści, lecz ani razu nie uderza w ton, jaki brzmi przy opisach wielkiego powstania Słowian zaodrzańskich w roku 983:

Zamiast Chrystusowi i jego zacnemu rybakowi Piotrowi zaczęto oddawać cześć różnym bożkom z diabelskiej herezji poczętym i tę żalosną zmianę pochwalali nie tylko poganie, lecz

także chrześcijanie. [...] Książę Obodryców Mściwoj spalił i spustoszył Hamburg, gdzie niegdyś była siedziba biskupia. Jakie jednak cuda działał tam Chrystus z nieba, niech słucha cała społeczność chrześcijańska! Spłynęła mianowicie z wysokości złota ręka i zanurzywszy się z rozwartymi palcami w sam środek płomieni, uniosła się na oczach wszystkich do nieba. (...) to relikwie świętych zostały zabrane przez Boga i uniesione tą drogą.

Rok 966 mocno związał stosunki polsko-niemieckie z ziemią. Pozbawił je cechy wojen misyjnych. Nikt z uczestniczących w nich osób nie wątpił, że chodzi tylko o władzę, panowanie i posiadanie. Słowem - o politykę.

Germanowie parli na wschód. Lewe skrzydło ich ogromnego frontu opierało się na Morzu Północnym i Bałtyku, prawe sunęło na i przez Czechy. Lecz zanim czoło natarcia na dobre osiągnęło lewy brzeg Odry, po prawej stronie tej rzeki zaszła odmiana, brzemenna w historyczne skutki. Książę gnieźnieński, zanim został wrogiem niemieckiego cesarza, wystąpił jako jego chrześcijański sojusznik. Podniósł u siebie ten sam sztandar ideowy, który aż dotychczas z takim powodzeniem prowadził Ottonów i Henryków. Obszar zaodrzański przestał zaliczać się do ziem, które należało zniewalać w imię racji wyższego rzędu. Pozostawało oczywiście wyobrażenie o cesarskim prawie do zwierzchnictwa, nie mówiąc już o poczuciu wyższości. Ale to, co przestawało w grę wchodzić, było ogromnie ważne.

Fakt dokonany uznał Thietmar, pierwszy autor prozą wyśpiewanego hymnu ku czci chrztu Polski. A przecież z polskiego i słowiańskiego punktu widzenia człowiek ten był gorszy, bardziej niebezpieczny niż sami grafowie pograniczni. Teza powyższa może się wydać przesadną, ale Marian Zygmunt Jedlicki uzasadnił ją w sposób niepozostawiający nic do życzenia.

Grafowie nie zawsze palili się do wojaczki na wschodzie, bo zdobycze wznagalały potęgę nie ich, lecz cesarza. W ówczesnej Europie nikt z wielmożnych nie kwapił się do powiększania siły i znaczenia centralnej władzy państwowej. Ta władza musiała sama torować sobie drogę, zdobywać jedną pozycję po drugiej - mozolnie i przez całe stulecia. Znajdowała sojuszników, lecz bywali nimi członkowie ostatnich stanów, a nie książęta.

Zajęte obszary należało kolonizować, chociaż trochę nasycać je żywołem germańskim. Niemcy ówczesne były słabo zaludnione. Przenoszenie chłopów na wschód utrudniało gospodarkę w ziemiach rdzennie niemieckich lub dawniej zdobytych. Zmniejszało dochody, a więc i znaczenie wielkich feudałów świeckich.

Inaczej to wyglądało w oczach feudałów duchownych. Ziemie podbite stawały się ich niedziedzicznymi księstwami. Dopiero godność biskupia dawała pozycję na szczycie. Należało zatem biskupstwa zakładać. Thietmar dziwnie mało mówi o działalności misjonarskiej we właściwym tego słowa znaczeniu, to znaczy o pracy nauczycielskiej kleru wśród pogańskiego ludu. O podbojach ziem słowiańskich rozprawia ciągle.

W Merseburgu znajdowały się aż dwa zamki. Jeden był biskupi, drugi należał do cesarza. To właśnie w Merseburgu Henryk II rozkazał uwięzić księcia czeskiego Jaromira, a

władcą Pragi uczynił jego brata, Udalryka. Nie gdzie indziej tylko do Merseburga jeździł Bolesław Chrobry, raz sam, to znów z żoną Emnildą. Oczywiście nie były to odwiedziny towarzyskie. Biskup patrzył na to wszystko. Chcąc być świadkiem postanowień oraz uczynków politycznych, którym całym sercem sprzyjał, nie musiał się zbytnio fatygować: jego własna stolica diecezjalna stanowiła ważne centrum państwowe. Słowiańszczyzna była stamtąd doskonale widoczna. W diecezji - położonej na zachód od Lipska - znajdowały się miejscowości o takich nazwach jak Malęcin, Zwiękowo, Jeziorzyska, Chorzyn, Wierzbiany.

Z punktu widzenia historii politycznej oba zamki merseburskie - monarszy i biskupi - oznaczają jedno i to samo. Na wschodzie ówczesnego państwa niemieckiego władza świecka i duchowna żyły w harmonii, szły w jednym i tym samym kierunku do identycznych celów. Niezrównanym wyrazicielem takiego stanu rzeczy jest pisarz, który w prologu powiedział, o czym zamierza rozprawiać, zachowując przy tym charakterystyczną kolejność tematów:

Księgom tym nie przydaje żadna mowa ozdobna blasku,  
Lecz głoszą one w prostym, przez czas znaczonej porządku  
Żywot i czyny przezacnych saskiego rodu królów,  
Za których rządów państwo nasze, niby cedr wyniosły,  
Wyrosło ponad inne, strach wszędzie budząc i grozę.  
Głoszą również te księgi Kościoła naszego dzieje,  
Jego wzrost i klęski, i szczęsne odbudowy lata  
Oraz losy tych wszystkich, co mu przewodzili.

Ramię świeckie współdziałało z duchownym. W dodatku jeszcze doszło wtedy do niejkiej zgody pomiędzy tiarą a koroną. Z punktu widzenia interesów polskich było to położenie chyba najgorsze. Dopiero za kilkadziesiąt lat Rzym miał się stać dla Piastów nadzwyczaj cennym sojusznikiem w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. Zanim się to jednak stało - nie tylko wiele wody zdążyło w Wiśle upłynąć, ale i stolica piastowska przenieść się z Gniezna do Krakowa...

Kronika Thietmara jest dla nas zjawiskiem bezcennym. Nic jej nie zastąpi przy poznawaniu pierwszego rozdziału dziejów Polski chrześcijańskiej. Biskup, wielbiciel przewag dynastii saskiej, oddał bodaj jeszcze większą przysługę tym, których nienawidził. W tej mierze ważne są nie tylko fragmenty dotyczące Polski, lecz całe dzieło. Ono pokazuje świat, jaki u schyłku X wieku dotarł do granic księstwa Mieszka. Opowiada, w czym sąsiedztwie musiała odtąd bytować Polska, skoro weszła pod wspólny dach chrześcijaństwa.

Thietmar zaczął pisać w roku 1012. Los pokazał mu więc jeden z najświetniejszych rozdziałów historii Polski. Jeśli rozwój jej dziejów przedstawić wykresem, okaże się, że za dni Thietmara linia gwałtownie sunie w górę. Sam szczyt to lata 1018-1025, których uczonego biskup już nie oglądał. Wkrótce potem przyszła katastrofa.

Przez siedemdziesiąt lat po chrzcie trwał w Polsce okres nieprzerwanej pomyślności. Z pozoru świadczyły o tym tylko daty wygranych bitew oraz wiadomości o udanych posunięciach politycznych. Ale ziemia przechowywała dowody innego jeszcze rodzaju. Dowody namacalne, i to takie, jakich istnienia nikt się dawniej ani nawet domyślał.

Mury zamku i kościoła na Ostrowie Lednickim były ongi tynkowane. Użyto na pewno tego samego gatunku wapna, który dziś jeszcze podziwiać można w grubych warstwach zaprawy, mocno spajającej kamienie ruin. Okruch wrzucony do wody nabiera barwy różowej. A więc dawniej - za Mieszka i Chrobrego - wielki, piętrowy, ołowianą dachówką pokryty gmach podczas deszczu czy po opadnięciu mgieł jeziornych zmieniał kolor. Majstrowie całkiem świadomie dodali do owej zaprawy limonitu. A może chodziło im nie tylko o spoistość, lecz także o efekt dla oka? Wewnątrz zdobiły pałac mozaiki. Z innych szczegółów wystroju nie pozostało nic. W pobliżu murów znaleziono tylko kabłączek skroniowy ze złota. I jeszcze szydło szewskie kościane i rzeźbione.

Na ziemiach świeżo ochrzczonej Polski wyrastały kamienne kościoły. Bywały w nich witraże, płaskorzeźby, a także wzorzyste posadzki, układane z kolorowych płytek. Nie brakowało kamiennych zamków. Wznoszono je zarówno w stołecznej dzielnicy kraju, jak i w kresowym Przemyśle.

W katedrze gnieźnieńskiej odkryto niedawno mocno zniszczoną płytę gipsową, pokrytą pięknym pismem łacińskim. Stanowi ona zapewne jedyny ocalały fragment koronacyjnego kościoła Bolesława Chrobrego. Jest więc pamiątką z chwili osiągnięcia szczytu.

Pozory zdają się przemawiać na korzyść tezy, że sam początek doby pomyślności upamiętniają odkopane w Poznaniu szczątki wielkiej chrzcielnicy z roku 966 oraz otaczającego ją monumentalnego zespołu budowli. Są to zabytki naprawdę znakomite, ale nie pozwólmy im zbyt panować nad naszą wyobraźnią. Bo równie wspaniałe gmachy mógł wystawić tylko taki kraj, który już od dłuższego czasu znajdował się w fazie wzrostu. Na glebie jałowej lub ubogiej nic by rozkwitnąć nie potrafiło.

Polska Mieszka i Chrobrego - ta, którą znał Thietmar i której rosnąca potęga nie dawała mu spać - szła naprzód rozpędem nabytym jeszcze za czasów Ziemomysła, Leszka i Ziemowita. To państwo utworzyło się i okrzepło w warunkach szczególnie sprzyjających, w środku słowiańskiego świata. Okoliczność, którą tracimy z oczu łatwo i jak najbardziej niesłusznie.

Otoczenie słowiańskie gwarantowało nie tylko względne bezpieczeństwo, polegające na braku wroga naprawdę groźnego. Piastowie tworzyli swoje księstwo z materiału rodzimego i w warunkach dość zapewne ustabilizowanych. Na pewno nie odbywało się to łatwo ani bezkrwawo, ale pomiędzy Odrą a Wisłą brakowało chyba zjawisk gatunkowo odmiennych od tego, co Polanie znali z osobistego doświadczenia. Podbijane przez Gniezno plemiona nie różniły się zbyt ani pomiędzy sobą, ani od swych zwycięzców. Wszędzie mniej więcej panował ten sam obyczaj, ten sam poziom cywilizacji i taka sama wiara. Odmienności istniały, lecz zaliczały się raczej do typu regionalnych. Oczywiście, że

poszczególne plemiona były bardzo przywiązane do własnego stylu życia i potrafiły zażarcie obstawać przy odrębnościach, które nam dziś wydają się nikłe. Sprawą istotną jest brak problemów naprawdę trudnych. Takich, których pomyślnie nawet rozwiązanie od razu stwarza nowe komplikacje i zawiłości. W tych warunkach pierwotne państwo piastowskie mogło nagromadzić duże zasoby, usprawnić administrację tak, że zdolne było do działania na zewnątrz jako jednolity organizm i nabrać brać wskutek tego nie lada rozpędu. Słowiańskie otoczenie ułatwiło Polsce życie i wzrost.

W roku 963 do granic jej dotarł margrabia Gero. W słowiańskim otoczeniu zrobiony został wyłom. Uplłynęło niewiele czasu i Polska znalazła się pod jednym dachem ze sprawcami owego wyłomu. Arcyważną chwilę przekroczenia progu przetrwała nad podziw dobrze, co znakomicie świadczy o dotychczasowym poziomie jej kultury. W żaden kryzys wewnętrzny nie popadła, władcy jej nie zachorowali na kompleks niższości, zachowywali się w sposób nacechowany poczuciem godności własnej i siły. Ale... rozwiązany pomyślnie wielki problem stworzyć musiał nowe komplikacje i zawiłości. Stanąc obok chrześcijańskich Niemiec, wejść z nimi w styczność codzienną i wszechstronną, to była sprawa gatunkowo odmienna od zniesienia przegrody granicznej między Gniezmem a Płockiem czy Łęczycą.

Prawo naczyń połączonych działa nie tylko w przyrodzie. Zna je również historia.

Thietmar pokazuje nam przede wszystkim wschodnią połąć Niemiec, czyli tę, z którą Polska weszła w kontakt polityczny i powszedni. Cesarstwo sięgało wtedy daleko za Ren, ale o tamtej stronie świata kronikarz wyraża się w sposób rozczulający i godzien przytoczenia. Cesarzowa regentka Teofano (matka Ottona III) przebywała raz „w zachodnich stronach państwa, słusznie tak nazwanych, albowiem zachodzi tam wraz ze słońcem i prawość wszelka, i posłuszeństwo, i miłość bliźniego. Noc nie jest niczym innym, jak cieniem ziemi, wszystko, co ludzie tamtejsi czynią, jest grzechem. Daremne są tam wysiłki pobożnych głosicieli słowa Bożego; niewiele także znaczą tam królowie i inni władcy; złoczyńcy rządzą tam i prześladowcy sprawiedliwych. Wiele ciał świętych spoczywa snem wiecznym w tamtych stronach, mieszkańcy ich atoli gardzą nimi, jak widzę, w swojej przewrotności. [...] zamilczę o nich, nie wątpię bowiem, iż bliscy są oni zagłady z powodu niedozwolonych związków małżeńskich i innych trudnych do opisania przestępstw. Lekceważyli sobie niezliczone klątwy swych biskupów i dlatego nie mogą ostać się długo. Wyznawcy Chrystusa! Proszę was, módlcie się razem ze mną o to jedno, aby zmienili się oni na lepsze i aby podobny sposób bycia nigdy u nas nie zagościł”.

Polska bardzo wcześnie, właściwie od początku, zaczęła sięgać w stokroć przekłete strony zachodnie po rozmaite dobra kultury, ale na co dzień pozostawała w pobliżu cnotliwego niemieckiego wschodu.

Dla Thietmara istnieje właściwie tylko duchowieństwo oraz rycerstwo rozmaitych, zwłaszcza najwyższych stopni. O chłopach wspomina on rzadko, przeważnie wtedy, kiedy się zbuntują, ulegając smutnym skłonnościom swych umysłów. Mieszczanin magdeburski Uffo doczekał się wprawdzie uwiecznienia swego imienia, lecz tylko z powodu pewnego występu. W dzień świąteczny siłą skłonił on do uległości własną żonę, Gelzuzę, z którego to związku urodziło się dziecko potwornego kształtu. Takiego samego wykroczenia dopuścił się

w Wielki Czwartek cesarz Otto I, o czym kronikarz pisze tuż obok. Jest to jedyny fragment obszernej książki, z którego wynikać by mogło, że ludzie pod jakimkolwiek względem są równi. A i to nie bardzo, bo mieszczanin ukarany został o wiele srożej.

Za czasów Thietmara kler nie we wszystkim różnił się od rycerstwa. Biskup ratyboński Michał uczestniczył raz w przegranej bitwie z Węgrami. Leżał potem na polu bitwy okryty ranami, z odrąbanym uchem, lecz żywy. Zauważył to jeden z nieprzyjaciół i chciał go dobić dzidą. „Wtedy biskup, z Boga czerpiąc siłę, po długiej i zaciętej walce wręcz powalił go zwycięsko na ziemię”. Wśród wielu trudów dotarł później do swoich: „Jako znakomitego żołnierza przyjęło go całe duchowieństwo, jako najlepszego pasterza czcił go lud cały”.

Brat cesarski, książę Bawarii, Henryk I, nie robił zbyt wielu ceremonii z duchowieństwem stopnia znacznie wyższego niż plebański: kazał pozbawić męskości patriarchę z Akwilei, a arcybiskupa salzburskiego oślepić. Nie chcę podawać tu przyczyn, ponieważ wiem zaiste, iż nie uzasadniały one takiej odpłaty. Kiedy pod koniec jego życia upominał go z powodu tego postępu biskup ratyboński Michał, uznał on swój grzech tylko w stosunku do patriarchy, a nie w stosunku do arcybiskupa; nie zdawał sobie przy tym sprawy z tego, jak mało jest rzeczy bez skazy. Po śmierci spoczął w kościele ratybońskim, pochowany nader uroczyście.

Nie wiemy, jak zachowywali się w Polsce kapłani pogańscy ani też jakie stosunki łączyły ich z władcami z Gniezna. I przed chrztem istniały u nas duże różnice społeczne (aczkolwiek - jak zdaje się wynikać z późniejszych kronik polskich - nie były one podobne do przepaści). W każdym razie przytoczone dopiero co przykłady nie mogły wpłynąć na złagodzenie obyczajów w Polsce już ochrzczonej. Wolno śmiało przyjąć, że nie odbiegały one zbyt od norm pogańskich. Thietmar chwalił Chrobrego za wytrwałe tępienie wśród poddanych niewierności małżeńskiej. Sposoby, jakimi posługiwał się Bolesław, były okrutne i wstrętne.

Sprawiedliwość każe dodać, że i Zachód europejski nie mógłby dostarczać Polsce wzorów łagodności i umiaru. Kiedy umarł świątobliwy biskup Utrechtu, Ansfryd, mieszkańcy dwóch miejscowości gorąco spierali się o zaszczyt pochowania go. „Przyszło do tego, że obie strony uzbrojone, w najwyższym napięciu, miały uderzyć na siebie i wielu miało życie przy tym postradać” -czemu zapobiegła miejscowa ksieni, córka zmarłego.

Zastanawia, że przyjęcie chrześcijaństwa odbyło się w Polsce dość łatwo i bez zbyt mocnych oporów. Tak zwany bunt pogański XI wieku to skrót pojęciowy. Duchowni kronikarze zanotowali to, co najbardziej obchodziło ich samych. Dziś wiemy, że ów bunt miał oblicze przede wszystkim społeczne i polityczne. Niezadowoleni z istniejących stosunków na pewno nie myśleli o samych tylko kwestiach wyznaniowych. Nowa wiara powróciła rychło i przez całe stulecia żyła w zadziwiająco spokojnym sąsiedztwie z przeżytkami starej.

Dawna religia Słowian była zbliżona do monoteizmu, a dla dogmatu o życiu pozagrobowym nikogo z nich nie trzeba było pozyskiwać, zauważył Józef Kostrzewski, niewątpliwie słusznie.

Pogaństwo nie miało może w Polsce aż tak silnych ośrodków jak za Odrą i na Pomorzu Zachodnim. Misjonarzy sprowadza! własny książe. Ich dobroczyńcą i mocodawcą był on, a nie grafowie obcej krwi i języka. Rozwijając się całkiem samodzielnie, kraj osiągnął mniej więcej ten sam poziom cywilizacji, co jego zachodni sąsiedzi, a więc porządki i pojęcia przychodzące razem z chrześcijaństwem nie wyglądały na szkodliwą egzotykę, dawały się łatwo dopasować do stanu rzeczy poprzednio istniejącego.

Uznając przypuszczalną słusność powyższych hipotez, trzeba teraz zapytać, czy w samym ówczesnym chrześcijaństwie nie odnajdowali polscy pogaństwo wątków doskonale sobie znanych, zrozumiałych i bliskich. Kościół nie zmienia się od dwóch tysięcy lat - teza oficjalnie głoszona. W szkicu tym nie rozprawia się o dogmatach. Kwestie religii rozpatrywane są tutaj jako zjawiska społeczne i polityczne, zachodzące w określonych fazach historii.

Jeśli przeczytać Ewangelię, a zaraz potem dzieło Thietmara, trudno przyjdzie uświadomić sobie, że w grę wchodzi jedna i ta sama religia. O tej jedności świadczą właściwie tylko imiona, cytaty, obrzędy i rozmaite realia natury raczej kronikarskiej. Życiowa treść - i to nie tylko społeczna — sprawia wrażenie dwóch różnych światów.

Znamy imiona najwcześniejszych polskich hierarchów kościelnych: Jordan, Unger, Radzim-Gaudenty, Reinbern, Poppo i Jan (biskup wrocławski, Polak zapewne). Pomińmy w tej chwili trzeciego z kolei, Czecha Radzima. Był rodzonym bratem św. Wojciecha, musiał wiele przejąć od człowieka, który na tle X stulecia błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości. W niczym nie ubliżając pozostałym, wolno ich uważać za podobnych do Thietmara. Być może zestawienie to jest nawet zbyt dla nich zaszczytne.

Biskup z Merseburga posiadał nie lada jakie wykształcenie. Pewnie daleko mu było do papieża Sylwestra II, przewyższającego „współczesnych sobie ludzi znajomością wielu nauk”. Tamtego stać było na sporządzenie „mapy nieba na podstawie gwiazdy przewodniej żeglarzy, którą obserwował przedtem przez lunetę”. Sylwester pochodził z grzesznego Zachodu, był Francuzem, poprzednio biskupem w Reims. Ale i u Thietmara znać wysiłek umysłowy, wyraźną chęć wnikania w dziedziny całkiem wtedy nieznanne. Kronikarz przestrzega wszak czytelników, by nie uważali zaćmienia Słońca za wypadek nadprzyrodzony, gdyż zjawisko to musi mieć coś wspólnego z ruchami Księżyca.

Przyjmijmy dla ostrożności, że wspomniani polscy hierarchowie tak daleko myślą nie sięgali. Nie mogli za to różnić się od Thietmara w zapatrywaniach na inne kwestie. 18 grudnia 1012 roku, bawiąc we własnym dworze w Rotmersleben, ujrzał Thietmar w nocy wielką jasność, bijącą z kościoła. Na cmentarzu stało się widno, a jednocześnie „dała się słyszeć potężna wrzawa, jakby w szereg jęków przechodząca”. Wszystko to widzieli i słyszeli również towarzysze biskupa, a nazajutrz starzy ludzie opowiadali o innym podobnym wypadku w tym samym Rotmersleben. Thietmarowi nieraz zdarzało się w nocy słyszeć „umarłych wiodących ze sobą rozmowę”, a za każdym razem zapowiadało to zgon osoby bliskiej, mający nastąpić już najbliższego dnia.



Zdaniem kronikarza jest faktem stwierdzonym, że umarli odprawiają nabożeństwa nocne, spełniając te same służby, które przy świetle dziennym obowiązują żywych. W Magdeburgu oglądali to na własne oczy nie tylko stróże nocni, ale zawezwani przez nich przedniejsi obywatele miasta. Widzieli oni „płonące pochodnie na świecznikach i słyszeli, jak dwóch nieboszczyków śpiewało psalm inauguracyjny, a wszyscy inni odprawiali kolejno chwalby poranne”. Nie wolno było jednak się zbliżyć. Wszystko wtedy zniknęło, a niekiedy zdarzały się rzeczy straszne. W diecezji utrechckiej pewien ksiądz zobaczył raz w swym kościele umarłych, zajętych nabożeństwem. Zawiadomiony o tym biskup kazał proboszczowi spać w świątyni. Pierwszej nocy „zmarli wyrzucili go wraz z łóżem”, a następnej „podnieśli go i położywszy przed ołtarzem, spalili jego ciało na drobny popiół”. Biskup zarządził trzydniowy post i pokutę. Przekonał się poniewczasie o zasadniczej prawdzie: „Jak bowiem dzień do żywych, tak noc należy do zmarłych”.

Poganom polskim nie było pewnie zbyt trudno znaleźć wspólny język z ówczesnymi szerzycielami chrześcijaństwa. Bo jeśli taka była umysłowość biskupów, to co należy myśleć o szeregowym klerze? Rozkopywane przez archeologów groby świadczą, że poganie dbali o dalszy los zmarłych i drżeli przed nimi. W wierzeniach tych ludzi bytowanie pośmiertne musiało splatać się z ziemskim. Mary na pewno snuły się po żalnikach, świątyniach, wokół osiedli ludzkich i w nich samych. Noc bez wątplenia należała do duchów. Mnóstwo wyobrażeń pogańskich od dawna wsiąkło w chrześcijaństwo europejskie. Idący do Słowian misjonarze nieśli i to, co sami zaczerpnęli z dawnych wierzeń Celtów i Germanów.

W bardzo zamierzchłej przeszłości krępowano trupy sznurami lub kaleczono je, aby utrudnić im powrót na świat i nagabywanie żywych. Potem poszło to w zapomnienie, do grobów wkładano za to dary pogrzebowe, nieraz bogate. Tego zwyczaju chrześcijaństwo nie uznało. Ale zdarzały się wypadki grzebania osób szczególnie dostojnych w osobliwy sposób: nie w trumnie, lecz w krypcie podziemnej, na tronie, w pozycji siedzącej. Tak uczczono zwłoki Karola Wielkiego. Tak samo kazali się chować niektórzy biskupi w wieku X. Pochówki plemiennych wodzów pogańskich musiały nosić charakter bardzo uroczysty, różnić się od zwyczaju powszedniego.

W roku 1150 pomorski szczep Ranów zawarł pokój z Danią. Rękojmią jego dotrzymania miało być wrzucenie kamienia w morze oraz zakłęcie, by zamieszkałe wszak przez bóstwa fale Bałtyku pochłonięły wiarołomcę. Dwieście lat wcześniej złe języki w Niemczech szarpały cześć księżnej bawarskiej, Judyty, pomawianej o niedozwolone stosunki z biskupem Abrahamem. Kiedy zmarła, domniemany winowajca osobiście odprawił mszę żałobną i przed komunią kapłańską zwrócił się do wiernych w te słowa: Jeżeli popełniła ona kiedykolwiek ten grzech, o który była pomawiana, to niechaj Bóg Wszechmocny sprawi, by zbawcze narzędzie łaski w postaci ciała i krwi Jego Syna na mnie sąd sprowadziło i zasłużoną karę potępienia, jej duszy zaś przyniosło wiekuiste zbawienie. Zaraz potem komunikował się i w ten sposób obalił wszelkie podejrzenia.

Sceneria każdego z tych wypadków była całkiem odmienna, ale istota rzeczy ta sama. Siły nadprzyrodzone wezwane zostały do natychmiastowego wystąpienia przeciwko kłamcy. Różnica dat bardzo duża, ale to tym lepiej dla niniejszych wywodów. Świeżo ochrzczone

Polanom wieku X postępowanie takie, jak biskupa Abrahama, musiało jak najbardziej przemawiać do przekonania.

Zrozumiałe musiały być dla nich i słynne „sądy boże”. Oto staje przeciwko sobie dwóch rycerzy niemieckich. Walczą do upadłego. I chociaż zmordowany widać ponad siły zwycięzca pada trupem, wypiwszy nieco wody, cesarz każe ściąć pokonanego, grafa możnego rodu.

Thietmar zapoznaje nas z jedną tylko świątynią pogańską, z Redgoszczą w kraju Redarów. Dość obszernie opowiada o odprawianych tam wróżbach oraz znakach wieszczych, udzielanych przez bożyszcza. Wiemy skądinąd, że podobne zabiegi magiczne uprawiano również w Szczecinie i na Rugii. Z pewnością nie brakowało ich i w innych chramach plemiennych. Spowiedniczy podręcznik śląski z XIII stulecia poucza, że kobiety tamtejsze, „chcąc znać przyszłość jak Bóg, uprawiają przez Boga znieprawione praktyki”. Nie sposób wątpić - dawna religia Słowian była w znacznej mierze wróżbiarstwem.

Thietmar ciągle mówi jeśli nie o wróżbach w magicznym tego słowa znaczeniu, to o przepowiedniach. W jego relacjach brak wprawdzie wzmianek o koniach wieszczych, są za to twierdzenia, które współczesny nam katolik musiałby uznać za profanowanie wiary. Przyszłość odsłaniają ludziom zjawy nadprzyrodzone.

Raz pokazują się im święci, innym razem diabeł. Ten ostatni żąda zachowania tajemnicy, a nieposłusznych bije tak, że wkrótce schodzą ze świata. Cesarzowej Teofano objawił się św. Wawrzyniec z obciętą prawicą i oświadczył, że o kalectwo przypawiło go skasowanie przez jej męża diecezji merseburskiej. W czerwcu 984 roku w biały dzień zabłysła na niebie jasna gwiazda. Sam Bóg zawiadamiał w ten sposób Niemców, że władzę objąć winien młodociany Otto III.

Zdarzenia natury nadprzyrodzonej były dla ludzi ówczesnych chlebem powszednim i tak właśnie je traktowano. Nikogo nie raziło doraźne, bardzo utylitarne splatanie dwu porządków, niezemskiego z doczesnym. Po męczeńskiej śmierci Św. Kiliana Bóg działał za jego pośrednictwem aż siedemdziesiąt cudów. Skorzystał z tego kuchmistrz dworski, który upominał swych podwładnych: „Nie bądźcie opieszali, lecz wykonujcie pilnie i bez zwłoki to, co wam zostało powierzone. Albowiem nasz pan, św. Kilian, zaraz ukaże nam nadzwyczajne znaki”.

Zdarzyło się to na wiek niemal przed Thietmarem, można więc pomawiać kronikarza o powtarzanie legend. Ale przecież za jego dni, a nawet w jego obecności zachodziły rzeczy równie dziwne. O widzeniach w Rotmersleben już się wspomniało. W 983 roku ojciec Thietmara dowiedział się, kiedy umrze. Zbudził go ze snu głos, zapowiadający mu zgon dokładnie w osiem lat później. Rycerz uwierzył bez wahania, całkiem podporządkował się psychicznie: „Tego z góry oznaczonego dnia oczekiwał zawsze z wielką czujnością i by się doń przygotować, nie ustawał w dobrych uczynkach, na jakie tylko stać go było”. Termin zbliżał się. Upadek z konia podczas wyprawy przeciwko Słowianom oraz wynikłe stąd dolegliwości jeszcze lepiej utwierdziły grafa w wierze. Zabezpieczył przyszłość syna, umieszczając go przy zgromadzeniu zakonnym w Magdeburgu, wyprawił mnichom

dwudniową ucztę, „która bardzo wszystkim do smaku przypadła”, po czym we właściwym czasie zachorował i zeszedł ze świata.

Ojciec Thietmara nie był unikatem. Widzenia prorocze zdarzały się ciągle. Za Ottona III zmarła bogobojna grafini Krystyna, bardzo „niepodobna do innych kobiet dzisiejszych czasów, których większość, obciskając w sposób nieprzyzwoity swoje kształty, pokazuje jawnie wszystkim miłośnikom, co ma do sprzedania”. Arcybiskup magdeburski Gizyler dowiedział się o jej zgonie natychmiast, aczkolwiek przebywał w odległym Kwedlinburgu. Zawiadomił go tajemniczy mąż, który ukazał się mu we śnie. W drodze wyjątku zjawa nie wyjawiała swego imienia. Zazwyczaj nawiedzeni dowiadywali się dokładnie, z jakim świętym mają do czynienia. Papież Benedykt V, zmarły na wygnaniu w Hamburgu, przepowiedział, że klęski trapić będą kraj tamtejszy, dopóki zwłoki jego nie spoczną w Rzymie. Otto III nakazał przenieść je nad Tyber.

Co myśleć o tym? Na pewno nie warto wzruszać ramionami. A przypisywanie wszystkiego naiwnej dydaktyce, mającej na celu dobro warstw panujących, byłoby smutnym doprawdy uproszczeniem spraw zawiłych. Zjawiska z dziedziny parapsychologii - takie właśnie jak jasnowidzenia lub telepatia - badają dziś profesorowie politechnik, stosując kryteria matematyczne i najbardziej wysublimowane zabiegi naukowe. Ludzie średniowiecza nawet nie przeczuwali takiego punktu widzenia. Byli natomiast niesłychanie uczuleni na wszystko, co ich zdaniem pochodziło z drugiego brzegu. Świat ówczesny - okrutny, na każdym kroku grożący śmiercią lub gorszą od niej torturą, tajemniczy i niepojęty - roić się musiał od niezrównanych „mediów”. Musiała istnieć ogromna podatność na bodźce, których działania nieustannie wszak oczekiwano. Tamci ludzie mieli wrażliwość bardzo szczególnego typu. Rycerz, uczestnik mnóstwa bitew polegających na walce wręcz, bez najmniejszej próby oporu kapituluje przed widziadłem sennym. Nie bał się grozy dotykanej, widocznej - truchłał przed przywidzeniem. Sugestia i autosugestia nie znały wtedy hamulców. Obraz mąk iekielnych, wymownie przedstawiony przez spowiednika, przyprawiał o zgon zbója, który przez lata terroryzował całe księstwa. Bezkarność trwała tak długo, aż znalazł się człowiek umiejący zagrać na właściwej nucie, trafić w absolutnie bezbronną stronę psychiki potwora. Ludzie przekonani, że sen odsłania przyszłość, i żądni owych wskazówek, musieli miewać widzenia chyba co noc.

Przepaść dzieląca świeżo ochrzczonych Polaków od ludów z dawna wyznających Jezusa była o wiele płytsza, niż świadczyć się zdają pozory. A może w ogóle nie należy mówić o przepaści? W Kołobrzegu biskup Reinbern oczyścił morze „zamieszkałe przez złe duchy”, wrzucając w wodę kamienie pomazane krzyżmem. Zwalczał demony pogańskie, ale czy naprawdę wątpił o ich istnieniu?

Magia, zabobon i przesąd przenikające chrześcijaństwo średniowieczne to był wkład młodych plemion europejskich w religię, która miała swój początek w starożytności. Barbarzyńskie przymieszki ułatwiały prozelityzm. Zabarwiały wiarę na sposób rozumiały poganom. Wprowadzały swojski ton.

Prawo naczyń połączonych działało, nie doznając zbyt wielkich przeszkód. Istniały podobieństwa, a nawet pokrewieństwa. Nie należy jednak zapominać o bardzo jaskrawych

różnicach. Jedna z nich, ogromnie wyrazista, występowała w polityce lub szerzej: w samym charakterze organizacji życia zbiorowego, w typie państwowości.

Thietmar nie oglądał pierwszej w dziejach wojny polsko-niemieckiej. Za to przedstawił nam wcale obszernie kilkunastoletnie walki Chrobrego. Z opisu wynika niedwuznacznie, że polski władca posiadał możliwość dysponowania całą siłą swego obszernego państwa. W sprawach polityki zagranicznej funkcjonowało ono jako całość zdumiewająco zwarta. Dzięki Thietmarowi wiemy dokładnie, z kim książęta polscy kumali się i knuli w Niemczech. Tak więc Mieszko I wytrwale popierał pana Bawarii, Henryka Kłótnika. W roku 984 jeździł nawet osobiście do Kwedlinburga, dokąd przybyli również Mściwoj obodrzycki i Bolesław czeski. Wszyscy oni, wraz z „mnóstwem książąt” iemieckich, niechętnych dynastii saskiej, chcieli zapewnić Henrykowi tron. Już go nawet obwołano królem i zaintonowano na jego cześć hymny pochwalne. Wiemy również, którzy z książąt czeskich szukali w Niemczech protekcji, jak doznawali tam dobrodziejstw lub popadali w niełaskę. Nie są nam obce imiona Słowian zaodrzańskich współdziałających z Niemcami. Nie ma natomiast ani jednej wzmianki o Polakach szukających u cesarza pomocy przeciwko własnemu księciu. Państwo Mieszka i Bolesława było więc rzeczywiście spójne.

Na pewno nie znało ono centralizacji w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Stanowiło mozaikę plemion, zazdrośnie strzegących swego obyczaju i prawa. Na szeroką skalę musiało w nim występować to, co my dzisiaj zwiemy autonomią, że się już nie wspomni o samorządzie. Ale od zewnątrz przedstawiało się jako zrosły organizm i w takim charakterze działało. I to nader skutecznie.

Niemcy ówczesne to obraz najzupełniej różny. Według wiarogodnej informacji Thietmara, na wiecach Słowian uzyskiwało się jednomyślność, okładając oponentów kijami tak długo, aż zmienili zdanie. Król niemiecki i cesarz nie wcześniej był pewien władzy, aż pobił i przygniótł do ziemi wasali, grafów, biskupów i książąt. Lecz i wtedy pewność była jak najbardziej względna, bo opozycja podnosiła głowę, mnożyły się spiski. Chętnie uczestniczyli w nich synowie władcy, znajdując wśród hierarchii Kościoła ludzi gotowych do dokonania obrzędu koronacji. Pomoc zagranicy - Awarów, Węgrów, Longobardów bądź Słowian - mile widziano.

Tradycje polityczne i kulturalne były w Niemczech stare i czcigodne. Kraj wystąpił na scenę już w czasach rzymskich, wcześniej przyjął chrześcijaństwo, wchodził w skład uniwersalnej monarchii Karolingów. Spadek po tych przeżyciach stanowił wielką wartość. Ale państwowość niemiecka nie była starsza od polskiej. Wydzielanie się wschodniej części państwa frankijskiego, zaznaczone wyraźnie przez wybór Arnulfa (obwołanego przez możnych królem w roku 887, we Frankfurcie), dokonało się ostatecznie, kiedy po zgonie Ludwika Dziecka objął władzę Konrad. Był to rok 911. W Gnieźnie panował wtedy pewnie drugi, jeśli nie trzeci nawet książę z rodu Piastów: Leszek lub Ziemomysł. Po Konradzie Frankońskim obrano w Niemczech Henryka I Ptasznika, na którego cześć Thietmar wyśpiewywał znane nam panegiryki.

Chrobry mniej miał kłopotów z poddanymi niż jego niemiecki współzawodnik - Henryk II. Ale z tego wcale nie wynika, że Polacy z natury są (czy byli) bardziej politycznie uzdolnieni od Niemców.

Państwowość polska była już dość stara, a wyrosła i okrzepła w warunkach sprzyjających, niemal idealnych. Słowiańskie otoczenie, które ją ze wszystkich stron osłaniało, zrobiło swoje. Księstwo zwarło się wewnętrznie, zanim przyszło mu wystąpić na szerszej scenie europejskiej. Pierwszy rozdział swych chrześcijańskich dziejów przemierzało, korzystając ze starego dorobku. Więż, umocniona za pogańskich Piastów, trzymała dobrze, wystarczała za Mieszka i Bolesława. Ale to nie mogło trwać wiecznie.

Niemcy ówczesne stanowiły całość bardzo, ale to bardzo względną, teoretyczną raczej. Były one właściwie zlepkiem księstw szczepowych. Saksonia, Szwabia, Frankonia, Lotaryngia... to w gruncie rzeczy nie tyle części składowe, co podmioty polityczne. Każdy z nich strzegł odrębności i uprawiał własną politykę zagraniczną. Otto I próbował temu zaradzić, osadzając na tronach szczepowych członków własnej rodziny, ale nie pomogło. Nowo mianowani książęta wkrótce popadali w tradycyjny separatyzm. Państwo niemieckie owej doby opierało się właściwie na siłach saskich. Pozostałe moce germańskie działały najczęściej odśrodkowo. Sporo wymowy w potocznej informacji Thietmara: „król powracał z radością do rodzinnej Saksonii”. Ale niedługo cieszył się spokojem Otto I Wielki. Zaraz bowiem „wypadła straszna wojna ze Słowianami, których podburzyli grafowie Wichman i Ekbert”. Otto poradził sobie. Wtargnął z wojskiem „w północne kraje, gdzie, jak Pismo Święte poucza, aż nazbyt często zło się pleni”, pokonał Słowian i kazał ściąć ich wodza, Stojgniewa. Jednakże w roku następnym „syn króla, Ludolf, podburzony przez złych doradców, znowu zbuntował się przeciw ojcu i opuściwszy ojczyznę, podążył do Italii”.

Były to przykłady wybrane na chybił trafił. Można długo cytować, malując kłopoty, jakich poddani i najbliżsi krewni przysparzali następcom Wielkiego, Ottonowi II i III, oraz Henrykowi II, wrogowi Chrobrego. Niemcy powstały z secesji, usamodzielnienia się wschodnich połaci monarchii karolińskiej. To był trudny początek. Władcę obierali możni. Na wschodzie państwo sięgało tylko do Łaby, wszystkie granice płonęły.

W roku 978 król Paryża, Lotariusz, zajął sam Akwizgran, będący stolicą Niemiec, i postąpił w sposób pomysłowy, lecz wyrafinowanie złośliwy. Obrócił orła Karolingów, umieszczonego na pałacu cesarskim. Thietmar twierdzi, że skierował go głową na zachód, w stronę własnego państwa. Inne wersje głoszą coś wręcz przeciwnego i znacznie podobniejszego do prawdy. Lotariusz zwrócił dziób orła na wschód, wskazując Niemcom ten kierunek ekspansji, którego sobie życzył. Odwet był niemiłosierny. Niemcy - „pustosząc i paląc wszystko po drodze”, sami trapieni przez zarazę - dotarli aż do Paryża. Nie zdobyli go jednak. Nasycili oczy panoramą grodu, chórem odśpiewali Alleluja i zawrócili do domu. Rozstrzygnięcia nie było. Współzawodnictwo z Francją, zwłaszcza o Lotaryngię i pierwszeństwo na Zachodzie, miało trwać przez stulecia.

Państwo niemieckie, będące zlepkiem odrębności szczepowych, nigdy nie potrafiło skupić całej swej olbrzymiej siły. Okoliczność wręcz błogosławiona dla jego sąsiadów.

W podobnym, lecz jeszcze gorszym stanie rozproszkowania, czy - jeśli kto woli - anarchii, znajdowała się Francja. To była reguła na kontynencie europejskim.

Sięgam po Historię Francji Maurois, by spróbować przekładu jednej stronicy pierwszego tomu (świetna książka, z przyczyn zupełnie niepojętych dotychczas nie została przetłumaczona): Elekcja Hugona Capeta [w roku 987 - przyp. mój, E J.] nie była uzurpacją, lecz legalnym uznaniem istniejącego stanu rzeczy. Ale pierwsi Kapetyngowie mieli trudną partię do rozegrania. Wokół wielcy rywale feudalni, hrabiowie Flandrii i Blois, książęta Normandii, Anjou i Akwitanii, uważali się za potężniejszych od króla. Jeśliby się zjednoczyli, korona nie działałaby przeciwko nim nic. Południe nie uznawało jej wcale. Kto urzeczywistni jedność królestwa? Ile-de-France Kapetyngów czy Akwitania hrabiów Tuluzy? Nikt nie mógł tego podówczas przepowiedzieć. Król wybrany zależał od wyborców. Był tak słaby, że niepokoił go nawet mali panowie, jak hrabiowie de Corbeil czy de Melun. Sterczący na wzgórzu zamek Montlhéry wystarczał, by go straszyć na drodze z Paryża do Orleanu. „Spadkobierca Karola Wielkiego nie śmiał nosa za próg wysunąć”. Nie miał innych dochodów oprócz tych z własnych ziem i, aby przeżyć, musiał się przenosić z folwarku na folwark, jak dawni królowie barbarzyńców. Naokoło niego ze swych potężnych donżonów kamiennych urągali mu ci, którzy go wybrali. Francja stała się tkanką feudalnych komórek, z których każda miała za jądro twierdzę. Mózg i narządy główne jeszcze się nie wytworzyły.

Francja również powstała z rozpadu monarchii frankijskiej Karolingów. Osłabiona w najwyższym stopniu władza królewska przetrwała w niej właściwie tylko dlatego, że monarchowie powstrzymywali się od sięgania po rzeczy na razie nieosiągalne. Pamiętali, że są spadkobiercami Karola Wielkiego, ale się tym zanadto wobec poddanych nie chwaliли. Władza królewska i jedność samego królestwa miały się we Francji urzeczywistnić stopniowo, przez długie wieki.

Utrzymanie się państwa takiego, jak Polska Mieszka i Chrobrego, byłoby w średniowieczu zjawiskiem nienormalnym. Jego pierwotna zwartość przetrwać nie mogła. Przyłączywszy się do chrześcijańskiego Zachodu, musiało się ono wtoczyć w charakterystyczną dla niego koleinę. W XI wieku widzimy już w Polsce te zjawiska, których nie zaobserwował Thietmar. Niezadowoleni szukają pomocy i protekcji w Niemczech. Kazimierz Odnowiciel, Śmiały i Krzywousty nie bez powodzenia próbują powrotu do starej tradycji, będącej bezcennym drogowskazem. Pomimo to po roku 1138 zaczyna się u nas rozbicie dzielnicowe, swoisty renesans odrębności plemion, scalonych przez pierwszych Piastów. Więż ogólnopaństwowa nie pęka zupełnie, ale kraj dostraja się do europejskiej normy. Prawo naczyń połączonych nie zawiodło.

Jak zwykle bywa, najlepiej pouczają fakty. Bracia Mieszka I współpracowali z nim zgodnie. Kryzys po śmierci pierwszego chrześcijańskiego księcia miał przebieg burzliwy, lecz trwał krótko. Chrobry wygnał z Polski Ode, macochę-Niemkę, wraz z jej synami, kazał wydrzeć oczy dwu wielmożom (o innych ofiarach nie miał nam kto opowiedzieć) i utrzymał całe państwo w ręku. Wkrótce się przekonamy, jak z konieczności zwięźle opowiada o tym Thietmar. Oda na pewno działała potem w Niemczech przeciwko Chrobremu, jej stronnicy udaremniłi może wczesne zabiegi Gniezna o koronę. Ale wydarzenia główne rozegrały się w

samej Polsce, w obrębie jej granic. Zupełnie inaczej wygląda wszystko za Mieszka II. W roku 1031 - więc zaledwie w sześć lat po zgonie Bolesława - spada na Polskę uderzenie z dwóch stron. Sąsiedzi z zachodu i wschodu ujeli się za wygnanymi z kraju braćmi Mieszka II, współzawodnikami o władzę. Cesarz popierał Ottona, księżę kijowski Bezpryma.

Ogromna, pół miliona kilometrów kwadratowych licząca monarchia Chrobrego niepokoiła sąsiadów i zagrażała im. Solidarne ich działanie było więc zjawiskiem zrozumiałym. Ale należy jeszcze zapytać o bliższe okoliczności.

Zaraz na początku panowania Mieszko II otrzymał cenny dar od księżnej lotaryńskiej, Matyldy. Była to księga ozdobiona wizerunkiem króla. Zdarzenie bardzo ciekawe dla dziejów kultury posiada jednak i polityczną wymowę. Małżonek Matyldy, Fryderyk, stał na czele opozycji niemieckiej. Manifestacyjna przychylność pary książęcej dla polskiego króla dowodzi, jak bardzo Gniezno zdążyło się już uwikłać w sprawy europejskie. Cesarz odpłacał mu pięknym za nadobne, szukał możliwości działania wewnątrz granic Polski. To samo czynił książę ruski i musiał czynić. Kilkanaście lat wcześniej Chrobry zajął Kijów i rozstrzygnął, kto ma w nim panować. Bezpowrotnie przeminęły czasy izolacji. Dawniej obcy nie mieli dostępu do wewnętrznego kryzysu w państwie, które świeżo poznali. Około roku 1030 było już inaczej.

Siedemdziesiąt lat współżycia z chrześcijańskim Zachodem musiało zmienić społeczeństwo w sensie upodobnienia go do tych stosunków, które barwnie odmalował Thietmar. Spotężniałemu możnowładztwu na pewno uśmiechał się przykład samowoli grafów niemieckich. Hierarchia kościelna była czynnikiem społecznym całkiem nowym, nieznanym w Polsce pogańskiej. Stan wyposażony we własne prawa, posiadający stolice biskupie, wskazywał drogę. Był od króla zależny, ale wcale nie we wszystkim. Mieszko I oddał przed śmiercią kraj pod protekcję papieża. Akt mądry, lecz równający się uznaniu autorytetu Zachodu. Chrobry także uznał powagę Ottona III, zgodził się być z jego ramienia podporą zachodniego porządku na Wschodzie. To przecież absurd wyobrażać sobie, że oddziaływanie Europy ograniczało się do spraw wyznania i polityki monarszej. Wraz z chrześcijaństwem popłynął do Polski obyczaj chrześcijańskiego świata. Ogarniał przede wszystkim możliwych, a najszybciej uczyć musiał tego, co najłatwiejsze i najmielsze. Bliższe zapoznanie się ze stosunkami niemieckimi sprzyjało pamięci o tym, że państwo Piastów to także zlepek odrębności plemiennych. To przecie Thietmar pierwszy z kronikarzy użył terminu: Polska. Nie mamy żadnej gwarancji i nie wiemy, czy poddani Mieszka i Bolesława określali siebie jako Polaków. Wokół Gniezna i Poznania siedzieli Polanie, inni pozostawali Mazowszanami, Wiślanami, Ślęzanami... O Pomorzanach wszyscy wiedzą, że bronili swej odrębności, jak mogli i umieli.

Nowe czasy przyniosły ciężką próbę więzi państwowej, wytworzonej w okolicznościach niebywale pomyślnych, za Piastów pogańskich. Skończyła się łatwa młodość, należało dojrzewać wraz z pozostałą Europą, chodzić po jej wyboistych szlakach.

Ale nie naśladujmy Thietmara, który błagał Boga, by obyczaje zachodnie, nadreńskie, nie przeszczepiły się czasem nad Elsterę. To przecież nie tak było, że anielska Polska zetknęła się ze zdemoralizowanymi Germanami i utraciła cnotę. W Polsce pogańskiej nie mogło być

chyba gorszych srogości niż w chrześcijańskich Niemczech, lecz wcale z tego nie wynika, że panowały mniejsze. Jeśli ciotka Chrobrego potrafiła własnoręcznie zabić rycerza, a siostra palić żywcem niemiłych adoratorów, to cóż sądzić należy o mężach z rodu Piastów?

Świat, z którym się Polska zetknęła po chrzcie, wyglądał mroczno. Bo też było to dno dziejów chrześcijańskiej Europy. Ale ocena ta wyszła od ludzi spoglądających z dużej perspektywy historycznej, znających zarówno blaski starożytności klasycznej, jak i późniejszy rozkwit kultury. Współcześni patrzyli inny-mi oczyma. Thietmar wcale nie pojmuje, w jakiej ćmie błądzi. Nie o to chodzi, czy świat ten był zły. Miał przed sobą olbrzymią przyszłość. Europa stała u samego progu zawrotnej kariery, największej, jaką zna historia powszechna. Ów świat był bardzo skomplikowany, i to właśnie oddziaływało na chrześcijańską, czyli już europejską Polskę. Losy jej musiały się podobnie powikłać.

Jak bardzo był skomplikowany, o tym sądzić niekiedy możemy na podstawie faktów zanotowanych przez Thietmara, ale wbrew niemu. Kronikarz miał ciasne horyzonty. Przeszkadzał mu nie patriotyzm niemiecki, lecz saski szowinizm. Według niego Sasi, a za ich pośrednictwem Niemcy, mają rozkazywać - inni słuchać. Koncepcje uniwersalistyczne, tęsknoty do państwa powszechnego są Thietmarowi obce. Jemu, ale nie wszystkim współczesnym.

13 lipca 982 roku cesarz Otto II doznał strasznej klęski od Saracenów we Włoszech. Legło mnóstwo rycerstwa i grafów, „których Bóg jeden zna imiona”. Było to nad morzem. Otto, widząc na horyzoncie okręt grecki, zwany salandrią, wziął konia od Żyda, imieniem Kalonim, i popłynął w kierunku statku. Samotny Żyd został na wybrzeżu. Nie uciekał przed nadciągającym wrogiem, lecz „stał tam ciągle i wyczekiwał z niepokojem, jak się powiedzie jego ukochanemu władcy”. Pierwsza salandrią obojętnie minęła cesarza. Ale na pokładzie drugiej zauważył Otto „przyjaznego sobie człowieka, na którego pomoc mógł liczyć”. Był to rycerz Henryk, „który po słowiańsku nazywał się Żelenta”. Poznał on i uratował cesarza. Nie zdradził go przed Grekami, dochował tajemnicy.

Dlaczegoż na ratunek pośpieszyli właśnie ci dwaj ludzie: Żyd i Słowianin? Widocznie w ich oczach Otto reprezentował wartości niezrozumiałe dla Thietmara i przemilczane przez niego. Bez ważnego powodu nikt nie ryzykuje, a zwłaszcza nie poświęca życia. W kilka lat po śmierci Ottona II biskup francuski nazwał go mężem „świętobliwym”, który przewyższał „wszystkich władców naszych czasów siłą oręża, rozumem i wiedzą”. Przyjaciółmi kolejnego cesarza, Ottona III, byli papież Sylwester II, Francuz, Czech Wojciech oraz Bolesław polski.

Tuż przed przyjazną wyprawą do Gniezna w roku 1000 tenże Otto III urządził krwawą wyprawę na pogańskich Połabian. Reprezentował stary program niemiecki, ale i coś ponadto. Thietmar, wyraziciel samej tylko zaborczości germańskiej, jak mógł, tak przemilczał i tuszował owo „ponadto”, z którym ludzie innych języków oraz niektórzy Niemcy wiązali nadzieje lepszej przyszłości. „Niech Bóg przebaczy cesarzowi” - mrucał gniewnie.

Żadna prosta formuła nie wystarczy dla charakterystyki X stulecia. To był świat naprawdę skomplikowany.



Ale nie krzywdźmy i Thietmara. Kronikarz niemiecki, który z konieczności zainteresował się Polską, używał łaciny. Dzięki niemu nasze sprawy po raz pierwszy opowiedziane zostały literacko w tym języku, którym napisane są polskie kroniki, historia Długosza, dzieła Kopernika i Modrzewskiego. Za czasów Thietmara łacina zaczynała zaledwie przenikać do Polski. Wraz z greką znał ją Mieszko II, którego Thietmar pewnie widywał, jeszcze jako polskiego następcę tronu.

Nie chodzi tu o naiwną wdzięczność dla pisarza, przynoszącego nam nieco wieści o kraju. On wolałby wcale o Chrobrym nie wspominać, to pewne. W X wieku do granic Polski doszli nie tylko grafowie, przybrani w kolczugi. W ślad za nimi dotarły do Odry wartości wyższego rzędu. Na granicy tej rzeki germańskie rycerstwo zostało powstrzymane. Powszechna kultura europejska przekroczyła ją - na szczęście. Poglądy Thietmara mogą się nam nie podobać, ale on był przedstawicielem tej kultury. Biskup merseburski, rodowity Niemiec, wprowadził wątek polski do literatury spisanej w języku powszechnym. Na własne kronikarstwo zdobyła się Polska nie wcześniej, aż poszczególni Polacy zdobyli te umiejętności, które Thietmar posiadał.

Thietmar-polityk Polsce szkodził. Dobro Polski kazało iść w stronę Thietmara intelektualisty. Bo pomimo wszystko biskup merseburski nim był. Nie bez błędów, lecz biele władął językiem uniwersalnym. Na wzorach klasycznych kształcił przede wszystkim formę, mniej myśl. Ale dzieło, które zostawił, wymagało przecież nie lada wysiłku umysłowego. W mrocznym X stuleciu Thietmar stał na pewno znacznie bliżej kulturalnych szczytów niż dna.

Kamienne kościoły chrześcijańskie zaczęły powstawać w Polsce zaraz po jej chrzcie. Z XI wieku pochodzą tak świetne zabytki plastyki, jak złote okucia pastorału i naczynia mszalne, znalezione w Tyńcu. Wiek XII zostawił po sobie Drzwi Gnieźnieńskie, kolumny ze Strzelna i płytę wiślicką. W tworzeniu ich mogli już uczestniczyć polscy artyści. Pierwsza napisana przez Polaka kronika to dopiero wiek XIII. Kunszt reprezentowany przez Thietmara, proza literacka, przychodzi najpóźniej, bo najtrudniej do niej dojrzeć.

Jaki był, taki był biskup merseburski. Trzeba jednak pracy pokoleń, aby osiągnąć to, co on potrafił. Ten wysiłek dyktowała zbawienna konieczność. Zetknięcie się z chrześcijańskim Zachodem narzucało zobowiązania.

W zakończeniu czwartej księgi zupełnie nieoczekiwanie uderza Thietmar w ton bardzo osobisty i szczególnie. Opisywał rozmaite wybitne pod względem moralnym osobistości i nagle: Biada mi nieszczęsnemu, że z tyloma i tak wielkimi ludźmi niezasłużonym braterstwem związany, nie jestem wcale do nich podobny w prowadzeniu godziwego życia! [...] Oceniaj mnie, czytelniku, jako znakomitego człowieka, a zobaczysz małego człowieczka o zniekształconej szczęce oraz takimże lewym policzku, ponieważ niegdyś wyrzucił mi się tu wrzód, wciąż jeszcze ropiejący. Złamany w dzieciństwie nos śmiesznym uczynił mój wygląd. I nie skarżyłbym się na to wszystko, gdybym jaśniał jakimiś wewnętrznymi zaletami. Otom jest nędznik, popędliwy bardzo i nieskory do dobrego, zazdrośnik, szydzący z drugich i sam na szyderstwo zasługujący, nie przebaczący nikomu, jakby to wynikało z moich obowiązków, żarłok i kłamca, chciwiec i oszczerca, wreszcie - by te zasłużone zakończyć zarzuty - gorszy jestem, niż można to wyrazić i zgoła sobie

wyobrazić. Każdemu wolno nie tylko szeptem, lecz wręcz otwarcie głosić, że jestem grzesznym człowiekiem, a mnie na kolanach wypada prosić mych braci o karę. [...] ponieważ prawdą jest, iż ludziom aż nazbyt wiele brakuje do pełnej doskonałości, cóż pomoże głosić chwałę tych, którzy są jeszcze od nich gorsi.

Dużo w tych wyznaniach goryczy wątłego człowieka, kaleki prawie, którego infuła nie mogła całkiem zasłonić przed ironicznymi spojrzeniami rycerstwa, ceniącego przede wszystkim krzepę. Można uznać za pewne, że postawa życiowa tych, co spoglądali szyderczo, była całkowicie zrozumiała polskim chrześcijanom od wczoraj. Ale introspekcja, krytyka obrócona ku sobie samemu, rozpacz z powodu własnej niedoskonałości moralnej? To było na pewno nowe i dziwne. Musiało niepokoić. Powie ktoś może: Thietmar pozował. Biskup musiał przecież złożyć formalny hołd cnotom ewangelicznym. Ostrożnie! Są w tej kronice karty pełne prawdy moralnej. Jest również wizerunek biskupa Miśni, Idziego:

Był ów mąż urodzenia szlacheckiego i bogaty we włości, lecz w swojej prostocie ducha za nic miał te rzeczy. Przed swoją konsekracją żył chwalebnie w Magdeburgu z innymi braćmi podług reguły klasztornej, a gdy wyżej postąpił jako pasterz pobożnych trzód, naśladował, jak tylko mógł, życie apostołów. Nie nosił nigdy koszuli i spodni, chyba że śpiewał mszę świętą; często ją zresztą opuszczał, ponieważ uważał się niegodnym jej odprawiania. Wielu nie mogło wyjść z podziwu, jak wystawiał się on na wszystkie przykrości zimy. Zdarzało się często, że jego ludzie z trudem tylko mogli się go docucić, gdy już zwątpili prawie o jego życiu. Ciało swoje umartwiał surowymi postami i więcej chodził boso, niż wymagała tego potrzeba. Kiedy podczas dalekich podróży widział, że jemu i towarzyszom zbywa na jedzeniu lub inne trafiają im się przykrości, dziękował Bogu i drugim to czynić przykazywał. W działalności misyjnej i kaznodziejskiej oraz przy bierzmowaniu oddawał usługi nie tylko swojemu, lecz także wielu innym kościołom. Ograniczając środki, z których sam wraz ze swoimi powinien był się utrzymać, nabył dla swojego kościoła prawie dwieście łanów ziemi. Rzadko święcił olej święty i kapłanów, świątynie Pańskie jednak bardzo chętnie i często bez mszy świętej. Jego oczy z powodu ciągłych i nadmiernych wylewów łez zachodziły już mgłą. Nam, współczesnym, nie podobał się jego sposób życia z powodu naszej niegodziwości, on zaś nie gustował w naszym.

Biskup Idzi widnieje w literaturze polskiej. Stefan Żeromski pokazał go w *Powieści o Udatym Walgierzu*. Doprowadził go przed Bolesława Chrobrego i dał mu odnieść zwycięstwo moralne. Tak było naprawdę. Idzi po klęsce niemieckiej przybył do obozu polskiego, wyjednał wydanie zwłok poległych, a nawet pomoc w pochówku. Skromnego, zalanego łzami biskupa widział Chrobry i cała jego drużyna, która pozdrowiła przybysza. Odpowiedni fragment kroniki Thietmara będzie przytoczony we właściwym miejscu.

U Żeromskiego jest tak:

„Schyla się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla. Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem”.

Wśród tego, co wraz z chrześcijaństwem i Niemcami pojawiło się nad Odrą, nie brakowało rzeczy budzących umysłowy i moralny niepokój. Dotychczasowy zasób pojęć i wyobrażeń wystarczać przestał.

## II

Nie tylko wspomnienia o pradziadkach, poległych jednego dnia i w tej samej bitwie ze Słowianami, kształtowały tradycje rodzinne Thietmara. Również jego ojciec działał na wschodzie i wynieść musiał stamtąd bardzo różnorakie wspomnienia.

Graf Zygfryd von Walbeck uczestniczył w pierwszym starciu polsko-niemieckim, jakie w ogóle zanotowała historia. Ocalał z pogromu pod Cedynią. Wraz z nim wyniósł stamtąd głowę dowódcy germański, margrabia Hodo. Stało się to 24 czerwca 972 roku, a więc na trzy lata przed datą narodzin przyszłego kronikarza. Thietmar na pewno słyszał od rodzica opowieści o fatalnej grobli cedyńskiej, o wyniosłym grodzie tamtejszym i o manewrze rezerw, które rozbiły Niemców już właściwie pewnych zwycięstwa. Opisał te rzeczy krótko, nie wdając się w szczegóły. Znacznie obszerniej potraktował kolejne ojcowskie doświadczenie na ziemiach słowiańskich. Miał wtedy lat piętnaście i wolno przypuszczać, że czuł już zamiłowania, które w przyszłości miały mu zapewnić poczesne miejsce w dziejopisarstwie średniowiecznym. Jeszcze nie pisał, na pewno pilnie już słuchał.

Był rok 990. W imieniu małoletniego Ottona III sprawowała w Niemczech regencję jego matka, cesarzowa-wdowa Teofano, księżniczka bizantyńska. Jej przybycie do Niemiec i zaślubiny z Ottonem II znaczyły wiele w dziejach zarówno polityki, jak kultury i pojęć ustrojowych. Wpływ Bizancjum wzmógł się.

Hans Wilhelm Haussig, autor dzieła *Kulturgeschichte von Byzanz*, utrzymuje, że dopiero Teofano przyniosła do Niemiec - a w ślad za tym do zachodniej i środkowej Europy - symbol bardzo ważny, koronę królewską. Otto II był pierwszym władcą germańskim, który ją poczuł na skroniach. Aż dotychczas królowie Franków, Gotów i Niemców używali przy „koronacjach” kaptura szytego klejnotami (przodkowie ich, przebywający na południu Europy, zapożyczyli ten zwyczaj od Irańczyków). Sam Karol Wielki posługiwał się taką czapą, korony nie znał.

Przejęcie przez cesarzy zachodnich oznaki imperatorów bizantyńskich wolno uznać za wydarzenie znamienne. Germańskie tradycje plemienne choć trochę ustępowały przed wpływem ośrodka, który nie wyrzekł się tradycji uniwersalistycznych. Wkrótce w plastyce pojawią się wizerunki cesarzy otrzymujących koronę bezpośrednio od Chrystusa. Ośrodek władzy sięgał po nimb. Oczywiście, od działających ludzi zależało, jaką treścią wypełniona zostanie nowa symbolika. Syn cesarzowej Teofano, Otto III, chciał być naprawdę cesarzem rzymskim, a nie niemieckim tylko. Pragnął wznović państwo powszechne.

W 990 roku Teofano dała pomoc Mieszkowi I, wojującemu z Czechami. Zdecydowana większość uczonych polskich twierdzi, że był to końcowy akt walki Piastów o kraj Wiślan - czyli późniejszą Małopolskę wraz z Krakowem - oraz o Śląsk. Tylko Jan

Natanson-Leski i Jan Dąbrowski utrzymują co innego. Ich zdaniem tamte dzielnice opanowali Piastowie już dawniej, a teraz wiedli boje z Czechami o Łużyce.

Bardzo znamienne, że wydarzenia, które za chwilę poznamy, odbywały się w kraju Słupian, a więc właśnie na Łużycach. Były to te same okolice, które przed dwudziestu siedmiu laty zniewolił margrabia Gero. Fakt ów dał kronikarzom okazję do pierwszej w dziejach wzmianki o państwie Mieszka.

Jest w tekście Thietmara przygodna informacja, która stanowi niezbity dowód rdzennej słowiańskości teatru wydarzeń. Są to słowa o długim moście drewnianym, przerzuconym przez jezioro. Po żmudnych poszukiwaniach archeologia uznała Słowian za mistrzów w tego rodzaju robotach. Księstwem czeskim władał podówczas książę Bolesław „Lucicy”, o których mówi Thietmar, to zachodniosłowiańscy Wieleci, pozostający w tradycyjnym sojuszu z Czechami, a w nieprzyjaźni z Polską.

Choć Teofano wątlą była z uwagi na płeć swoją, to jednak odznaczała się pewną odwagą i - co jest rzadkie u Greków - miała ujmujący sposób bycia. Męską zgoła opieką otaczała państwo swego syna, popierając we wszystkim sprawiedliwych, łamiąc zaś i do strachu doprowadzając tych, co głowę podnosili. Z owoców żywota swojego ofiarowała Bogu, niby dziesięcinę, dwie córki: jedną, imieniem Adelajda, do klasztoru w Kwedlinburgu, drugą, Zofię, do Gandersheim.

W tym czasie Mieszko i Bolesław [U Czeski] popadli w spór i wielce na się wzajem nastawali. Bolesław przyzwał na pomoc Lucków, którzy zawsze byli wierni zarówno jemu, jak jego przodkom, Mieszko zaś zwrócił się o pomoc do rzeczonoj cesarzowej. Cesarzowa, która podówczas znajdowała się w Magdeburgu, wysłała tam arcybiskupa Gizylera i następujących grafów: Ekkeharda [margrabiego Miśni], Ezykona, Binizona [grafów merseburskich], mojego ojca i jego imiennika Zygfryda [grafa z Northeim], Brunona [grafa z Brunszwiku], Udoną [z rodu Stade, wuja Thietmara] oraz wielu innych. Ci, wyruszywszy w sile zaledwie czterech oddziałów, przybyli do kraju Słupian [w północnej części Dolnych Łużyc] i tam rozbili obóz nad jeziorem, przez które przerzucony był długi most. I oto wśród ciszy nocnej zjawił się jeden z rycerzy Wilona, który poprzedniego dnia wyjechał naprzód, aby obejrzeć swoje posiadłości, i został schwytyany przez Czechów, a teraz zdołał się im wymknąć. Pierwszą rzeczą, którą uczynił, było donieść grafowi Binizonowi o grożącym tuż niebezpieczeństwie. Zaalarmowani przezeń nasi zerwali się szybko i zaczęli się gotować do boju, po czym, kiedy jeszcze szarzało, wysłuchali mszy świętej, jedni stojąc, drudzy siedząc na koniu. O wschodzie słońca opuścili obóz pełni niepokoju co do wyniku zbliżającej się bitwy. 13 lipca [990] nadciągnął Bolesław ze swoimi w szyku bojowym. Z obu stron wysłano posłów. Od Bolesława przybył na zwiady do naszego wojska pewien rycerz imieniem Słopan. Kiedy stąd wrócił, pytał go jego władca, jak się przedstawia nasze wojsko i czy może się z nim zmierzyć, czy raczej nie. Albowiem ludzie z otoczenia Bolesława zaklinali go, aby nikomu z naszych nie pozwolił ujść żywym. Słopan odpowiedział Bolesławowi tymi słowy: „Wojsko to jest słabe co do ilości, lecz doskonale co do jakości i całe okryte żelazem. Możesz się z nim zmierzyć, lecz jeśli nawet przypadnie ci zwycięstwo w dniu dzisiejszym, to będziesz tak wyczerpany, że z trudem tylko lub wcale nie ujdiesz przed następującym ci na pięty

twoim wrogiem Mieszkiem. Narazisz się również na wieczną nieprzyjaźń Sasów. Jeżeli zaś ulegniesz w walce, koniec będzie z tobą i z całym należącym do ciebie państwem. Nie ma bowiem nadziei, byś mógł stawić opór otaczającym cię zewsząd wrogom". Ta przemowa pohamowała gniew Bolesława. Zawarłszy pokój, zwrócił się do naszych książąt z prośbą, aby ci, którzy przeciwko niemu tu ściągnęli, udali się wraz z nim do Mieszka i pomogli mu przez swe wstawiennictwo u tegoż w odzyskaniu zabranych posiadłości. Nasi przystali na to. Jakoż ruszyli razem z nim w drogę arcybiskup Gizyler oraz grafowie Ekkehard, Ezyko i Binizo, podczas gdy wszyscy inni powrócili w spokoju do domu. Kiedy nadszedł wieczór, odebrano naszym broń, którą jednak zwrócono im zaraz, gdy tylko potwierdzili przysięgą umowę. Bolesław przybył razem z nimi nad Odrę i wyprawił posła do Mieszka z wiadomością, że ma w swoim ręku jego sprzymierzeńców. Jeżeli Mieszko zwróci mu zabraną część państwa, pozwoli im odejść cało, w przeciwnym wypadku zgładzi ich wszystkich. Lecz Mieszko tak mu na to odpowiedział: Jeżeli król chce ratować swoich ludzi lub śmierć ich pomścić, niechaj to czyni! Jeżeli jednak to nie nastąpi, to on, Mieszko, nie myśli z ich powodu ponosić jakiegokolwiek straty. Gdy te słowa doszły do Bolesława, wypuścił wszystkich naszych, lecz złupił i spalił, co tylko mógł, w okolicy.

W drodze powrotnej oblegał gród zwany... [luka w rękopisie] i nie napotkawszy na opór ze strony załogi, dostał go w swoje ręce wraz z jego dowódcą, którego wydał na śmierć Lucicom. Ci złożyli bezzwłocznie ofiarę z niego swoim bogom opiekuńczym pod miastem, po czym uchwalili powrócić do domu. Tymczasem Bolesław, wiedząc dobrze, że bez jego pomocy nasi nie będą mogli ujść cało do domu przed Lucicami, wypuścił ich następnego dnia o świcie, przynaglając do pośpiechu. Lucicy, dowiedziawszy się o tym, chcieli zaraz urządzić pościg z dużym doborowym wojskiem. Z trudem wielkim uspokoił ich Bolesław następującą przemową: „Skoro przybyliście tutaj mnie na pomoc, baccie, byście spełnili do końca podjęty przez was dobry uczynek. Bądźcie pewni, że póki życia mego nie dopuszczę do tego, by stała się dzisiaj jakakolwiek krzywda tym, których przyjąłem pod swoją opiekę i odpuściłem w pokoju. Honor i roztropność nie pozwalają nam czynić jawnych wrogów z dotychczasowych przyjaciół. Wiem, że wielka jest nieprzyjaźń między wami, lecz przyjdzie stosowniejsza pora dla waszej zemsty". Tymi słowami Bolesław ułagodził Luciców i zatrzymał ich na miejscu przez dwa dni. Dopiero wtedy, po wymianie słów pożegnalnych i odnowieniu starego przymierza, odeszli do domu. Atoli wiarołomni, korzystając z tego, że naszych była tylko garstka, wybrali dwustu wojowników i puścili się za nimi w pogoń. Nasi dowiedzieli się zaraz o tym od jednego z wasali grafa Hodona. Natychmiast więc zdwoili pośpiech i, dzięki Bogu, przybyli cało do Magdeburga. W ten sposób wysiłki wrogów okazały się daremne.

W tym samym 990 roku, kiedy tak ważne wypadki zachodziły na południowych kresach państwa, doczekał się książę Mieszko wnuka. Nie znamy ani dziennej daty urodzin przyszłego Mieszka II, ani ich miejsca. Tym razem milczy nawet legenda, która okazała się łaskawsza dla ojca niż dla syna. Według podania Chrobry urodził się na Ostrowie Lednickim.

Znani nam już uczestnicy wydarzeń, przedstawionych przed chwilą przez Thietmara, zaczęli wkrótce jeden po drugim schodzić ze świata. Tak się to jakoś samo ułożyło, w sposób prawie powieściowy. Najpierw ojciec kronikarza, graf Zygfryd, zmarł 15 marca 991 roku, czyli dokładnie w tym dniu, którego od lat ośmiu wyczekiwał. Jego władczyni, cesarzowa

Teofano, przeżyła go o trzy miesiące. Syn jej, Otto III, miał wówczas jedenaście wiosen. Regencja przeszła w ręce babki, cesarzowej Adelajdy, wdowy po Ottonie I Wielkim.

W 992 roku zauważono w Niemczech zjawiska napawające przestraszonym: pewnego ranka, gdy tylko pierwszy kur zapiał, ukazała się w północnej stronie światłość jasna jak w dzień, która utrzymała się całą godzinę na tle czerwieniejącego równocześnie nieba, po czym znikła. Byli tacy, którzy rozpowiadali, iż widzieli w tym roku trzy słońca, trzy księżycy i gwiazdy wzajemnie ze sobą walczące. Wkrótce potem zmarło aż trzech biskupów, spadła też na kraj klęska głodu. Thietmar opowiada o tym jednym tchem, zdanie po zdaniu. Nie wątpi widać o związku przyczynowym pomiędzy tymi wydarzeniami.

Nie wiadomo, czy w Polsce także widać było zorzę polarną. Ale mocnych przeżyć nie zabrakło wtedy krajowi.

25 maja roku Pańskiego 992, w dziesiątym roku panowania Ottona III, wspomniany wyżej książę Mieszko, sędziwy już wiekiem i gorączką zmożony, przeniósł się z tego miejsca wygnania do wiekuiestej ojczyzny, pozostawiając swoje państwo do podziału między kilku książąt. Z lisią chytrąścią złączył je potem w jedną całość syn jego Bolesław, wypędziwszy macochę i braci oraz oślepiwszy swoich zaufanych Odylena i Przybywoja. Onże Bolesław, aby tylko samemu panować, podeptał wszelkie prawo i sprawiedliwość. Poślubił córę margrabięgo Rykdaga, którą następnie odprawił. Z kolei pojął za żonę Węgierkę, z którą miał syna Bezpryma, lecz i tę również przepędził\* Trzecią (żoną) była Emnilda, córka czcięgodnego księcia Dobromira, która - Chrystusowi wierna - niestateczny umysł swęgo męża ku dobremu zawsze kierowała i nie ustawała w zabiegach, by

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Odprawianie żon, nawet bez formalnego unieważniania małżeństwa, praktykowane było wówczas wśród panujących i uważane za równoznaczne z rozwodem.

przez wielką szczodropliwość w jałmużnach i umartwienia odpokutować za grzechy ich obojga. Urodziła ona dwóch synów: jednego Mieszka i drugiego, którego ojciec nazwał imieniem swojego ukochanego władcy, ponadto trzy córki, z których jedna jest ksienią, druga żoną grafa Hermana, trzecia zaś małżonką syna księcia Włodzimierza, jak o tym niżej opowiem.

Z zachęty rzeczónego cesarza [Ottona III] i przy jego życzliwym poparciu dziewierz księcia bawarskiego Henryka, Waik\*, założył w swoim państwie katedry biskupie i otrzymawszy koronę, na króla został pomazany.

Pojawili się zatem na scenie aktorzy z młodszego pokolenia. Trzeba powiedzieć o nich chociażby po kilka słów, bo Thietmar zachowuje się tak, jakby nie przewidywał kariery i długowieczności własnej kroniki. Zamiast napisać krótko, że Chrobry nazwał najmłodszego syna Ottonem, używa omówienia, zrozumiałęgo dla ludzi owych czasów, mętnęgo dla tych,

co żyją po upływie stuleci. Uczeni spierali się przecież, czy ów młodszy Chrobrowicz nie nazywał się aby Dobromirem, na cześć ojca Emnildy.

Kronikarz nie raczył zanotować imienia żadnej z trzech córek Chrobrego. Skądinąd wiemy, że średnia z nich to Regelinda, małżonka Hermana, od roku 1009 grafa Miśni (wskutek zawiłych kombinacji politycznych i matrymonialnych szwagierka Regelindy, Oda, została później jej własną macochą, czwartą żoną Bolesława Chrobrego). W katedrze w Naumburgu do dzisiejszego dnia stoi posąg Regelindy, wykonany w XIII wieku. Mieszkańcy miasta nazywają go: die lachelnde Polin.

Wdowa po Mieszku I, Oda, na zawsze znikła z Polski, wygnana wraz z synami: Mieszkiem, Świętopełkiem i Lambertem. Ten ostatni powrócił później zapewne do kraju i został biskupem krakowskim.

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Żoną Waika (Stefana) była Gizela, siostra księcia bawarskiego (późniejszego Henryka II).

W Polsce obowiązywało już podówczas prawo o dziedziczości tronu, lecz wraz z nim... zasada podziału kraju pomiędzy spadkobierców. Chrobry pozbył się ich od jednego zamachu. Żadna z potęg ościennych nie miała możliwości interwencji.

Czeka jeszcze na prezentację cudzoziemiec: Waik. Było to pogańskie imię człowieka, który został świętym. Stefan węgierski objął u siebie rządy później niż Chrobry w Polsce, bo dopiero w roku 997. Za to o ćwierć stulecia wcześniej został królem. Słynna korona św. Stefana, z którą tylekroć później stykała się nasza historia, była pierwotnie przeznaczona dla Polski. W 1001 roku — wskutek doraźnego układu okoliczności politycznych, a pewnie i intryg stronnictwa wygnanki Ody - zawędrowała jednak nie do Gniezna, lecz nad Dunaj.

Wraz z nowymi aktorami naszych dziejów pojawia się w kronice Thietmara nowy ton — nienawiść. Pierwsze akcenty słyhać już o kilka stron wcześniej, tam gdzie mowa o Mieszku I oraz Dobrawie: urodziła zaca matka syna bardzo do niej niepodobnego - prawi Thietmar - sprawcę zguby wielu matek, którego nazwała imieniem swego brata Bolesława i który, trzeba to powiedzieć, jej przede wszystkim okazał swą złość do czasu ukrywaną.

Dobrawa zmarła w roku 977, gdy Bolesław miał lat dziesięć czy jedenaście. W jaki sposób zdążył zatem okazać jej swą podłość, i to w dodatku jeszcze „do czasu ukrywaną”? - pyta celnie Jedlicki. Thietmar nie powiedział prawdy, ale ją pokazał. Prawdę o sobie, oczywiście. Ręka, która kreśliła pierwszą w historii charakterystykę Bolesława Wielkiego, dygotała z pasji. Biskup nienawidził księcia. Los uśmiechnął się do Thietmara, zabrał go spomiędzy żywych, zanim Chrobry został królem.

Ale czy mamy prawo sądzić, że kronikarz tak samo nienawidził Polski? Przecież poprzednio odzywał się o niej wprawdzie z wyższością, ale niekiedy dość życzliwie. Kreśląc

wypadki roku 972 i niemiłe przeżycie własnego ojca, zachował pewną bezstronność. Przyznał, że to margrabia Hodo „napadł” na Mieszka, a nie odwrotnie.

Thietmar zaczął pisać w roku 1012, kiedy od lat dziesięciu trwała wojna, a potęga Chrobrego niepokojąco rosła. Ta okoliczność bez wątpienia oddziaływała na ton kroniki. Ale nie ona jedna. W roku 990 Mieszko I odniósł nie lada jaki sukces, którego wspomnienie nie jątrzyło jednak Thietmara. Chrobry ściągnął na siebie nienawiść biskupa nie tylko jako zwycięzca w wojnie i nazbyt potężny sąsiad. Dla saskiego szowinisty nie do zniesienia była rola, jaką Bolesław odegrał w sprawie zupełnie zasadniczej. Władca Polski dobrowolnie, w pełni świadomie i z ogromną energią pomagał w utwierdzaniu takiego porządku w Europie, który nie uznawał niczyich uroszczeń do pierwszeństwa.

Nowy porządek rodził się z trudem, powoli, wśród zwykłych podówczas okrucieństw. Młodociany Otto III, syn Greczynki Teofano, dotychczas tylko król Niemiec, utwierdzał swe władztwo. Był rok 995: Król tymczasem obchodził Boże Narodzenie w Kolonii. Ugruntowawszy pokój w tych stronach, podążył do Italii, gdzie go od dawna oczekiwano. Tam w mieście Pawii spędził święta wielkanocne. Stąd udał się ze wspaniałym orszakiem do Rzymu i wprowadził tam za zgodą wszystkich obecnych na miejsce świeżo zmarłego papieża Jana [XV] swojego kuzyna Brunona [Grzegorza V], syna księcia Ottona. W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, który wypadł w tym roku 21 maja, w piętnastym roku życia, a trzynastym panowania i ósmym indykcji Otto otrzymał z rąk tegoż papieża pomazanie na cesarza i w ten sposób stał się opiekunem Kościoła Piotrowego. Rządził potem cesarstwem, jak jego przodkowie, i niedostatek lat pokrywał silnym charakterem i gorliwością.

Na początku lata przybył [do Rzymu] biskup czeski Adalbert, który na chrzcie otrzymał imię brzmiące, jak Wojciech, przy bierzmowaniu jednak nazwany został przez arcybiskupa magdeburgskiego Adalbertem. W Magdeburgu pobierał on nauki u wspomnianego wyżej Otryka [uczonego mnicha kierującego szkołą]. Gdy nakłaniając swe owieczki [tj. Czechów] do posłuszeństwa wobec przykazań Bożych, nie mógł ich odwieść od błędów zadawnionej bezbożności, wyklął je wszystkie i podążył do Rzymu, aby się wytłumaczyć z tego kroku przed papieżem. Za jego zezwoleniem poddał się następnie z całą pokorą surowej regule opata Bonifacego [w klasztorze benedyktynów na Awentynie] i żył wedle niej czas dłuższy, dobrym świecąc przykładem. Gdy potem z upoważnienia tegoż papieża usiłował poskromić pogańskie dusze Prusów wędzidłem słowa Bożego, przeszyto go włócznią i odcięto mu głowę w dniu 23 kwietnia. W ten sposób sam jeden spośród towarzyszy, bez żadnego jęku, poniósł upragnioną śmierć męczeńską, jak mu to danym było przewidzieć we śnie poprzedniej nocy i jak sam to przepowiedział wszystkim braciom. Powiedział im mianowicie: „Wydało mi się, iż odprawiałem mszę świętą i sam jeden przyjmowałem komunię”. Lecz niegodziwi sprawcy posunęli się do jeszcze większej zbrodni i na jeszcze większą zasłużyli sobie karę ze strony Boga. Widząc go bowiem martwym, wrzucili święte ciało do morza, głowę zaś zatknęli gwoli szyderstwa na palu i wśród okrzyków radości odeszli do swoich sadyb. Gdy się dowiedział o tym syn Mieszka, Bolesław, natychmiast wykupił za pieniądze głowę i święte ciało męczennika. A gdy wieść o tym dotarła do cesarza w Rzymie, wzniósł on z pokorą hymny dziękczynne do Boga, iż w tych czasach poprzez palmę męczeńską takiego zyskał sobie sługę.



W tym czasie biskup würzburski Bernward wyjechał w poselstwie\* do Grecji i umarł w Achai z wielką rzeszą towarzyszy. Dużo ludzi twierdzi, iż Bóg przez niego rozliczne zdziałał cuda.

Opuściwszy Rzym, cesarz odwiedził znów nasze strony. Na wieść o buncie Słowian wyruszył do kraju Stodoran, który także nazywa się krajem Hobolan [między Hobolą i Sprewą], i spalił go oraz złu-pił doszczętnie, po czym jako zwycięzca powrócił do Magdeburga. Z powodu tej wyprawy nieprzyjaciele urządzili wielki najazd na Berdangun [kraj Bardów w północnej Saksonii], lecz zostali przez naszych

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Poselstwo to łączy się ze staraniami o rękę księżniczki bizantyńskiej dla Ottona III. Wobec braku męskiego potomstwa u cesarza Konstantyna VIII, na dworze niemieckim liczone, iż przez małżeństwo to dojdzie do połączenia cesarstwa zachodniego z bizantyńskim.

odparci. W bitwie tej brał udział biskup z Minden Ramward, który uchwyciwszy krzyż w swe ręce, wysunął się na czoło wojowników przed chorążymi i dodał im ducha do walki. Dnia tego zginął graf [saski] Gardulfz kilku innymi, nieprzyjaciół zaś legio całe mnóstwo. Pozostali uciekli, porzuciwszy zdobycz.

Tymczasem w Rzymie Krescencjusz\*, korzystając z nieobecności wspomnianego wyżej papieża, który po koronacji nosił imię Grzegorza, wprowadził na jego miejsce Jana z Kalabrii, zaufanego doradcę cesarzowej Teofano i podówczas biskupa w Placencji. Tym bezprawnym aktem uzurpował on sobie władzę, niepomny ani przysięgi, ani wielkiej przychylności, jaką okazał mu cesarz Otto. Co więcej, posłów tegoż kazał ten uzurpator uwięzić i wtrącić do więzienia. Na wieść o tych wypadkach cesarz pospieszył do Rzymu i wezwał przez posłów papieża, aby wyjechał na jego spotkanie. Lecz gdy posłowie tam nadjechali, oszust Jan rzucił się do ucieczki. Później jednak schwytali go ci, co pozostali wierni Chrystusowi i cesarzowi, i pozbawili go języka, oczu i nosa. Krescencjusz zaś schronił się do twierdzy Leona [na prawym brzegu Tybru] i próbował stąd, acz daremnie, stawiać opór cesarzowi. Tymczasem cesarz, spędziwszy Wielkanoc w Rzymie, zaczął zaraz po świętach przygotowywać sprzęt wojenny, a gdy upłynęły białe dni [tj. powielkanocny tydzień], polecił margrabiemu Ekkehardowi uderzyć na zamek Teodoryka, w którym siedział ów zdrajca Krescencjusz. Ekkehard szturmował go ustawicznie dniem i nocą i wreszcie dostał się doń przy pomocy wysokich machin. Krescencjuszowi na rozkaz cesarza ściał głowę i powiesił go za nogi, wielki budząc tym postrach wśród wszystkich przytomnych. Papież Grzegorz został intronizowany z wielkimi honorami, a cesarz panował odtąd bez żadnych zakłóceń.

Tak, aż nazbyt zwięźle, opowiada człowiek współczesny o wypadkach, które posłużyły Teodorowi Parnickiemu za kanwę powieści *Srebrne orły*. Twierdza Teodoryka, schronienie zbuntowanego

## PRZYPISY AUTORA:

\* Jan Krescencjusz piastował w Rzymie w latach 985-998 godność patrycjusza, namiestnika i zastępcy cesarza. Za kulisami zamachu Krescencjusza stało niewątpliwe Bizancjum.

Krescencjusza, to Zamek św. Anioła, dawne mauzoleum cesarza Hadriana. Zdobywca warowni, margrabia Ekkehard, również występuje we wspomnianej powieści. Zapamiętajmy go sobie. W ślad za Thietmarem zbliżamy się bowiem do chwili, która zdawała się zapowiadać temu Niemcowi nie lada jakie miejsce w historii.

W archiwum watykańskim znajduje się pewien omszały dokument, zwany „Dagome iudex”. Oryginał jego zaginął w czasach niepamiętnych, wzmiankowany skrót pochodzi z roku 1087. Skryba, który go sporządził, w ogóle nie wiedział, do jakiego kraju odnosi się treść. Nie umiejąc widocznie odczytać pierwotnego, poprzekręcał imiona oraz nazwy miejscowości. Badania historyków przekonały, że ów zaginiony oryginał pochodził z Polski i do niej się odnosił. Niedługo przed śmiercią - gdzieś w latach 990-992 - Mieszko I oddał swój kraj pod opiekę papieża.

W jaki sposób doszło ówczesne Gniezno do tak trafnego rozeznania skomplikowanych spraw Zachodu? Przecież dokonana przez Mieszka „darowizna” kraju na rzecz papieża oznacza asekurację. Władca dopiero co ochrzczonej Polski wiedział, że przyjmując nową wiarę, tym samym przystąpił do systemu politycznego. Pragnął potwierdzenia, że kraj jego stanowi część składową tego porządku, że zajmuje w nim określone miejsce. Oddawał się pod protekcję nadrzędnego autorytetu w chrześcijaństwie.

O tym wszystkim nie ma u Thietmara ani słowa. Czyżby biskup z Merseburga naprawdę nie wiedział o uczynku Mieszka? Milczenie kroniki za dobrze jakoś pasuje do poglądów jej autora. Idea powszechnego państwa chrześcijańskiego była mu obca, jeśli nie wstrętna. Wczorajszy poganin Mieszko stał bliżej tej idei. Żarliwie wierzący biskup gardził nieprawościami Zachodu, Wschód zaś uważał za domenę wpływów Niemców, prowadzonych przez szczerp Sasów.

W żaden sposób nie mógł za to Thietmar przemilczeć następnego aktu tej samej akcji. Opisywał poprzednio, jak Mieszko I wyprawiał się do Niemiec, by wspólnie z wielu książętami działać na niekorzyść dynastii saskiej. A teraz doczekał się tego, że kolejny cesarz z saskiego rodu osobą własną, jako sojusznik, protektor i przyjaciel, ruszył do Gniezna. Głośno było w Niemczech i w Europie o wspaniałości przyjęcia, jakiego tam doznał. Jedno więc tylko pozostawało politycznie myślącemu kronikarzowi: zwięzły opis faktów.

Thietmar napomknął o wszystkim, co w roku 1000 mogły zobaczyć oczy lub usłyszeć uszy tłumu. Stronił od komentarza. Jak najstaranniej pominął kwestię planów politycznych, układów i porozumień.

Od 999 roku papieżem był Francuz, Gerbert d'Aurillac, Sylwester II. W Rzymie, przyzwyczajonym do rozmaitych kreatur, doszła zatem do głosu indywidualność naprawdę wielka. X stulecie dobiegało końca, mrok jakby się zaczynał rozpraszać. Sylwester II, którego wiedza wydawała się ludziom ówczesnym zjawiskiem niezwykłym, był zdecydowanym

zwolennikiem państwa powszechnego. Chciał wskrzesić dawny ład rzymski w chrześcijańskim wydaniu. Był głównym chorążym tej idei.

Słuchajmy teraz, co o wydarzeniach roku 1000 mówi owej idei przeciwnik: Następnie cesarz, dowiedziawszy się o cudach, które Bóg zdziałał przez upodobanego sobie męczennika Wojciecha, wyruszył tam pospiesznie gwoli modlitwy. A gdy przybył do Ratyzbony, przyjął go z wielkimi honorami biskup tamtejszej katedry Gebhard. Towarzyszył cesarzowi patrycjusz Ziazio [graf saski, namiestnik cesarza od 999], oblacionariusz\* Robert oraz kardynałowie. Nigdy jeszcze żaden cesarz nie wyjeżdżał ani nie wracał do Rzymu z większym przepychem! Gizyler\*\*, który podążył naprzeciw cesarza, odzyskał jego łaskę, choć niezupelnie, i dołączył się do jego orszaku.

Kiedy cesarz przybył do Żytyc, przyjął go w godny sposób trzeci z kolei biskup tej diecezji Hugo II. Następnie cesarz udał się wprost

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Funkcje oblacionariusza pełnił z reguły kardynał stojący blisko papieża.

\*\* Arcybiskup Gizyler nieprawnie (bez pozwolenia synodu) zniósł biskupstwo merseburskie, włączając je do archidiecezji magdeburskiej.

do Miśni, gdzie podejmowali go uroczyście biskup tamtejszy Idzi oraz margrabia Ekkehard, zaliczający się do jego najznakomitszych wasali. Kiedy poprzez kraj Milczan [Górne Łużyce z Budziszynem i Zgorzelcem] dotarł do siedzib Dziadoszan [między Bobrem a Odrą z grodami Głogowem i Szprotawą], wyjechał z radością na jego spotkanie Bolesław, który nazywał się „większą sławą” nie dla swoich zasług, lecz dlatego, że takie było z dawna przyjęte znaczenie tego słowa. W miejscowości zwanej Ilua [Iłowa] przygotował on przedtem kwaterę dla cesarza. Trudno uwierzyć i opowiedzieć, z jaką wspaniałością przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak prowadził go przez swój kraj aż do Gniezna. Gdy Otto ujrzał z daleka upragniony gród, zbliżył się doń boso ze słowami modlitwy na ustach. Tamtejszy biskup Unger przyjął go z wielkim szacunkiem i wprowadził do kościoła, gdzie cesarz, zalany łzami, prosił świętego męczennika o wstawiennictwo, by mógł dostąpić łaski Chrystusowej. Następnie utworzył zaraz arcybiskupstwo, zgodnie z prawem, jak przypuszczam, lecz bez zgody wymienionego tylko co biskupa, którego diecezja obejmowała cały ten kraj. Arcybiskupstwo to powierzył bratu wspomnianego męczennika Radzimowi i podporządkował mu z wyjątkiem biskupa poznańskiego Ungera następujących biskupów: kołobrzeskiego Reinberna, krakowskiego Poppona i wrocławskiego Jana. Również ufundował tam ołtarz i złożył na nim uroczyście święte relikwie.

Po załatwieniu tych wszystkich spraw cesarz otrzymał od księcia Bolesława wspaniałe dary i wśród nich, co największą sprawiło mu przyjemność, trzystu opancerzonych żołnierzy. Kiedy odjeżdżał, Bolesław odprowadził go z doborowym pocztem aż do Magdeburga, gdzie obchodzili uroczyście Niedzielę Palmową.

W treściwym opisie znalazło się jednak miejsce na celowo mylną informację. Cesarz nie był wyłącznym twórcą arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Radzim-Gaudenty już w roku

poprzednim oficjalnie nosił tytuł arcybiskupa. Metropolia w Gnieźnie była wspólnym dziełem Sylwestra II, Ottona III oraz Bolesława, który występował jako petent, grał więc rolę czynną. Decyzja o utworzeniu polskiej prowincji kościelnej zapadła w roku 999, a wynikała ze współpracy w skali ponadnarodowej. Francuz, Niemiec i Polak działali zgodnie, a patronowała ich pracy postać św. Wojciecha, który był Czechem.

Malowidło średniowieczne ukazuje Ottona III jako zasiadającego na tronie imperatora, któremu składają hołd cztery kobiety w koronach: Italia, Galia, Germania oraz Słowiańszczyzna. Autor obrazu ustawił te postacie we wspomnianej kolejności, lecz poza tym potraktował jako równe pomiędzy sobą.

Barwne wydarzenia roku 1000 znakomicie pasują do idei, uwiecznionej przez plastyka. Najpierw otoczony przez Niemców cesarz pojechał do Gniezna, gdzie został przywitany jako przyjaciel, lecz zarazem i przedstawiciel porządku wyższego, powszechnego. Potem Chrobry wraz ze swym „dobrowym poczem” od-prowadził go aż w głąb Niemiec. Razem, ale pod rozkazami cesarza, ciągnął oddział trzystu polskich pancernych, przydanych w Gnieźnie cesarzowi, by służyli jego celom, siłą wspierali jego zamiary.

Według Thietmara Chrobry dotarł wraz z Ottonem do Magdeburga. Nie jest pewne, czy nie zapuścił się jeszcze dalej — aż do stolicy, Akwizgranu. W każdym razie na pewno znaleźli się tam owi pancerni. Ich obecność znacznie pomagała Ottonowi, który po powrocie z Gniezna poczynił sobie w sposób niezbyt miły gustom tradycjonalistów, takich jak Thietmar.

Cesarz, chcąc wskrzesić w naszych czasach dawny rzymski obyczaj, który prawie zupełnie wyszedł z użycia, czynił wiele takich rzeczy, które różni różnie oceniali. I tak zasiadał sam jeden przy półokrągłym stole na miejscu wyższym od innych. Ponieważ nie miał pewności, gdzie spoczywają zwłoki cesarza Karola, przeto w miejscu, w którym przypuszczał, iż się znajdować powinny, kazał zerwać w tajemnicy posadzkę i kopać, aż je znaleziono w pozycji siedzącej na tronie królewskim. Następnie zabrał złoty krzyż, który wisiał na szyi zmarłego wraz z częścią szat jeszcze niezbutwiałych, resztę zaś włożył z wielkim szacunkiem z powrotem do grobu. Poza tym, czyż mam wymieniać poszczególne jego podróże tam i z powrotem po wszystkich podległych mu biskupstwach i hrabstwach? Załatwiwszy pomyślnie wszystkie sprawy po tamtej stronie Alp, objeżdżał swoje cesarstwo rzymskie i przybył do twierdzy Romulusa, gdzie przyjęty został z wielką chwałą przez papieża i jego biskupów.

Po tych wypadkach ulubieniec cesarza, Grzegorz\*, usiłował pojmać go podstępem i w tym celu przygotował potajemnie plan zasadzki. Lecz gdy zebrani przezeń ludzie napadli z nienacką na cesarza, ten umknął przez bramę razem z małą garstką, podczas gdy większa część jego towarzyszy pozostała zamknięta w mieście. Tak oto tłum, nigdy niezadowolony ze swoich władców, złym mu odplacił za jego niewypowiedzianą dobroć. Otto wezwał następnie przez specjalnego gońca wszystkich swoich przyjaciół, aby doń przybyli, i polecił gorąco każdemu z osobna, aby, jeśli zależy im cokolwiek na honorze i życiu cesarza, pospieszyli z siłą zbrojną, by go pomścić i bronić. Rzymianie atoli uświadomili sobie ze wstydem cały ogrom tej jawnej już zbrodni, której się dopuścili, i oskarżając się nawzajem ponad miarę,

wypuścili na wolność wszystkich tych, których uwięzili. Z wielką pokorą i na wszystkie sposoby błagali następnie cesarza o łaskę i pokój. Cesarz jednak, nie dając wiary ich słowom kłamliwym, nie omieszkał trafić ich osób i mienia wszędzie, gdzie tylko mógł im wyrządzić szkodę. Wszystkie rzymskie i longobardzkie prowincje trzymał w wierności i posłuszeństwie z wyjątkiem jednego Rzymu, który tak wyniósł i umiłował ponad wszystko. Ucieszył się bardzo cesarz, gdy na jego wezwanie przybył tłum wiernych wasali z arcybiskupem kolońskim Herbertem na czele. Jakkolwiek na zewnątrz zawsze udawał wesołość, to jednak w sumieniu niejedną wyrzucał sobie uczynek i w ciszy nocnej ciągnął odprawiał pokutę przez czuwanie i długie, strumieniami łez przeplatane modlitwy. Często pościł cały tydzień z wyjątkiem czwartku i wielką hojność okazywał w jałmużnach.

Jego zbliżającą się śmierć poprzedziły zamieszki rozliczne. Albowiem nasi książęta i grafowie, nie bez wiedzy biskupów, uknuli wielki

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Komes z Tusculum, jeden z przywódców buntu przeciw Ottonowi III.

spisek przeciw niemu i zabiegali w tym celu o pomoc u księcia [Bawarii] Henryka, jego późniejszego następcy. Lecz ten, w głębokiej chowając pamięci ostatnie przestrogi swego imiennika ojca, który znalazł wieczny spoczynek w Gandersheim, a także dlatego, iż wiernym był dotąd cesarzowi we wszystkich okolicznościach, nie dał im zgoła posłuchu. Cesarz, który się o tym rychło dowiedział, przyjął wszystko ze spokojem, gdy nagłe zachorował na zamku w Paterno [40 km na pin. od Rzymu] na skutek wrzodów, które wciąż się wysypując, trawiły jego wnętrzości. Z pogodnym obliczem i niezachwianą wiarą rozstał się z tym światem 24 stycznia [1002]. - On, który był koroną rzymskiego cesarstwa. W nieutulonym żalu pozostawił swoich bliskich, albowiem nie było w tych czasach życzliwszego odeń i łagodniejszego pod każdym względem człowieka. Niechaj Ten, co alfą jest i omegą, ulituje się nad nim i nagrodi go wielkim za małe, wiecznym za doczesne!

Ci, co byli obecni przy śmierci cesarza, trzymali ją w tajemnicy tak długo, aż zebrano przez gońców wojsko, które w tym czasie było tu i tam rozproszone. Kiedy następnie żałobny orszak odprowadzał zwłoki drogiego władcy, musiał wytrzymać przez siedem dni bez przerwy całą grozę wojny. Przez cały czas bowiem, dopóki nie doszli do miasta Werony, nieprzyjacieli nie dawał im chwili spokoju. Kiedy ciągnąc stąd dalej, przybyli do posiadłości biskupa augsburskiego Zygfrйда zwanej Rolling, przyjął ich książę Henryk i wzruszył bardzo swymi łzami. Henryk namawiał ich, każdego z osobna, wśród wielorakich obietnic, aby zechcieli wybrać go swoim władcą i królem. Następnie zabrał zwłoki cesarza wraz z insygniami władzy z wyjątkiem włóczni\*, którą wziął uprzednio i wysłał potajemnie naprzód arcybiskup Herbert. Tenże arcybiskup został rychło potem uwięziony i odzyskał wolność dopiero wówczas, gdy pozostawił swego brata jako zakładnika i odesłał świętą włócznię. Zarówno on, jak ci wszyscy, którzy przybyli tu za zwłokami cesarza, nie byli przychylni

## PRZYPISY AUTORA:

\* Włócznia św. Maurycego była bardzo istotnym akcesorium przy koronacji, bez którego ta ceremonia nie mogła się odbyć.

księciu, z wyjątkiem biskupa Zygryda. I wcale nie zaprzeczał temu arcybiskup, oświadczając, iż chętnie zgodzi się na tego władcę, którego poprze większa i lepsza część narodu.

Tymczasem książę, przybywszy wraz z nimi do Augsburga, kazał pogrzebać uroczystość wnętrzości umiłowanego władcy, umieszczone uprzednio z wielką starannością w dwóch naczyniach, w kaplicy świętego biskupa Udalryka, którą na jego cześć wybudował biskup tegoż kościoła Ludolf w południowej części klasztoru świętej męczenniczki Afry. Następnie ofiarował dla zbawienia jego duszy sto łanów ze swoich własnych posiadłości. Z kolei, odprawivszy w pokoju większą część orszaku, udał się ze zwłokami do swojego miasta Neuburga [nad Dunajem]. Później, na usilną prośbę swego imiennika Henryka [późniejszego księcia Bawarii], którego siostrę [Kunegundę] poślubił był jeszcze za życia cesarza, odprawił zwłoki na miejsce ich przeznaczenia [tj. do Akwizgranu], żegnając każdego z przytomnych.

Tymczasem książęta sascy na wieść o przedwczesnej śmierci swego władcy zjechali w żałobie na dwór królewski we Frohse, który dzierżył wówczas jako lenno cesarskie graf Guncelin. Przybyli tu mianowicie: arcybiskup magdeburski Gizylar wraz ze swymi sufraganami, książę Bernard, margrabiowie Lotar, Ekkehard i Gero wraz z innymi możliwymi Rzeszy, aby radzić nad sytuacją państwa. Kiedy margrabia Lotar wyczuł, że Ekkehard chce się wywyżżyć ponad niego, wyciągnął arcybiskupa i znaczniejszą część możnych na tajną rozmowę i namawiał ich, by zobowiązali się przysięgą, iż nie wybiorą ani zbiorowo, ani pojedynczo nowego króla i władcy przed odbyciem zgromadzenia w Werli. Wszyscy się na to zgodzili i przyjęli takie zobowiązanie, z wyjątkiem Ekkeharda. Ten mianowicie, niezadowolony z tego, iż odroczone na jakiś czas jego wyniesienie na najwyższą godność w państwie, tymi wybuchnął słowy: „Margrabio Lotarze! Dlaczego mi się przeciwstawiasz?”. Na co ten odpowiedział: „Czyż nie widzisz, iż u twego wozu brak czwartego koła?”. W ten sposób przerwana została elekcja, a zarazem sprawdziło się stare powiedzenie, że przerwa jednej nocy może pociągnąć za sobą zwłokę całoroczną, a ta znów może się przedłużyć do końca życia.

Należało jednym ciągiem, bez przerw, przytoczyć cały fragment kroniki, pokazujący tragiczny koniec wielkich zamierzeń. Cóż za okoliczności! Bunt w samym Rzymie, na pomoc wygnanemu cesarzowi nadciąga z północy odsiecz. Przychodzi tłum „wiernych wasali” niemieckich, którzy natychmiast tworzą spisek przeciwko władcy, niewiernemu wobec plemiennych tradycji germańskich.

Zdaniem Thietmara, sumienie Ottona nie zaznało spokoju, wyrzucało mu „niejeden uczynek”. Kronikarz myślał zapewne o marzeniach i zamiarach cesarza. Nie były one może tak już chimeryczne. Przeciw cesarzowi zbuntował się tylko Rzym. Kiedy natomiast orszak niemiecki prowadził na północ jego zwłoki, walczyć musiał z całą ludnością Italii.

Nie wiadomo, gdzie się podzieli woje polscy, oddani Ottonowi przez Chrobrego, ilu ich wyniosło z zamętu całe głowy. Można przypuszczać, że ci, co powrócili do kraju, przynieśli swemu księciu wieści o wypadkach.

Śmierć Ottona III była klęską, ale nie on jeden zaliczał się do zwolenników nowego ładu, posługującego się starym tytułem powszechnego państwa rzymskiego. W zmienionej przez bezkrólewie sytuacji musiały nabrać szczególnej mocy decyzje powzięte niespełna dwa lata wcześniej, w Gnieźnie. Otto wręczył tam Bolesławowi włócznię św. Maurycego oraz włożył mu na głowę własny diadem. Nie była to koronacja we właściwym tego słowa znaczeniu. Gest cesarski, a także ogłoszenie arcybiskupstwa równały się za to uznaniu Polski za państwo równorzędne z Niemcami, włączone w system cesarstwa rzymskiego. Tak zupełnie, jak na owym wizerunku z czterema kobietami w koronach, korzającymi się przed imperatorem.

Nigdy pewnie nie wygaśnie spór uczonych o rolę, jaką układy gnieźnieńskie wyznaczały Chrobremu. Mają zwolenników tezy, że Bolesław został wtedy patrycjuszem cesarstwa, namiestnikiem Ottona na wschodzie, jego tam zastępcą, a nawet następcą, przewidzianym na tron cesarski. Polskie tradycje milczą o tym zupełnie, ale jedna z kronik zachodnich podaje dziwną wiadomość. Po odkopaniu grobu Karola Wielkiego miał Otto ofiarować Bolesławowi tron, na którym spoczywały zwłoki. Znamienny gest - jeśli naprawdę tak było.

Jedno, minimalne, uznać można za zupełnie pewne: Bolesław zobowiązał się do roli podpory i stróża nowego ładu na wschodzie. Reszty, to znaczy czegoś więcej, szukać można i w kronice Thietmara, ale tylko pod warunkiem zwracania uwagi na szczegóły, bo biskup zwierza się w tej sprawie bardzo niechętnie.

Wspomniał nam przed chwilą o sporze, który rozgorzał w Niemczech, gdy tylko zwłoki Ottona III przebyły Alpy. Chodziło naturalnie o następstwo, o władzę. Zgłosił się zaraz po nią książę Bawarii, Henryk, syn Henryka Kłótnika, którego popierał był ongi Mieszko I. Jako współzawodnik wystąpił margrabia Miśni, Ekkehard, przyjaciel Ottona III, niedawny zdobywca Zamku św. Anioła w Rzymie.

Ekkehard pochodził z Turyngii, za czasów Ottona zajął pierwsze miejsce wśród możnowładztwa Rzeszy. Ale nawet z tej pozycji trudno było sięgać po koronę. „U twego wozu brak czwartego koła” - ironicznie powiedział inny wielmoża, mając pewnie na myśli tę okoliczność, że Ekkehard nie należał do dynastii saskiej. Wywodził się z niej za to Henryk. Tron w ówczesnych Niemczech był elekcyjny, lecz istniała tradycja ciągłości. Obierano władców z jednego i tego samego rodu. Henryk miał przewagę nad Ekkehardem, a to tym bardziej że reprezentował program miły sercom większości książąt, grafów i biskupów. Pomysły i porywy Ottona III były mu obce. „Z królewską krwią w swych żyłach ku cnoty piał się szczytom” - napisał o nim Thietmar wierszem, a prozą dodał jeszcze: „Wszystkie boskie i ludzkie względy wynosiły go na stolec królewski przed innymi mu współczesnymi, czy zgodnie, czy wbrew ich woli”.

Tego samego zdania był zjazd książąt odbyty w grodzie Werli na przedwiośniu 1002 roku. Wzniesione w górę prawice potwierdziły wybór Henryka II. Zaskoczony i oburzony Ekkehard opuścił wraz z towarzyszymi miasto. Ciągnął na zachód, do księcia Szwabii, Hermana. W Hildesheim przyjęto go „z wielkimi honorami, jak króla”. Potem jednak szło coraz gorzej, fakt dokonany robił swoje: zamknięte bramy Paderborn, ostrzeżenia o spiskach, zasadzki. Oddział margrabiego posuwał się w pogotowiu bojowym. Niedaleko zajechał.

Margrabia przybył tymczasem do miejsca swego przeznaczenia - Pöhlde. Kiedy nadszedł wieczór, spożył wieczerzę i udał się na spoczynek z kilku innymi do drewnianego domostwa. Reszta jego licznego orszaku spała w sąsiedniej świetlicy. Kiedy sen zmorzył mocno zmęczonych, wtargnął zniecackany oddział nieprzyjaciół i obudziwszy wrzawą wielką margrabiego, zmusił go do zerwania się z łoża. Margrabia podsycał ogień, rzucając weń szaty i co tylko miał pod ręką, po czym rozbiwszy okno stworzył dogodną pozycję nie dla swej obrony, lecz raczej dla zaatakowania go przez nieprzyjaciół, czego jednak w danej chwili nie mógł przewidzieć. Padł zaraz trupem przed drzwiami rycerz Herman i spieszący z dworu na pomoc swemu panu Atolf, obaj waleczni i wierni aż do śmierci. Raniony został prócz tego komornik cesarski Erminold. Walczył jeszcze sam Ekkehard, mąż chwałą okryty w pokoju i na wojnie, gdy nagle Zygfryd silnym uderzeniem włóczni złamał mu kręgi u szyi i zwałił go na ziemię. Na widok padającego margrabiego zbiegli się wszyscy szybko, odcięli mu głowę i - co haniebne - obrabowali trupa. Stało się to 30 kwietnia [1002]. Po dokonaniu tej nieludzkiej zbrodni mordercy odeszli uszczęśliwieni i przez nikogo nieatakowani. Ci bowiem, którzy znajdowali się w świetlicy, tchórzem podszyci, ani nie pomogli swemu panu w potrzebie, ani nie starali się pomścić go po śmierci. Tylko tamtejszy opat Alfker udał się do zwłok Ekkeharda i z wielką pobożnością powierzył jego duszę Bogu.

Otto III zmarł 24 stycznia. Pierwszy pomocnik przeżył go o trzy miesiące. Likwidowanie planu odnowienia imperium rzymskiego postępowało szybko.

Thietmar powiada, że nie dociekł, jakimi motywami kierowali się bezpośredni zabójcy. Wspomina o niechęciach osobistych i zemście za szkody i zniewagi. Jego własnego komentarza warto jednak wysłuchać:

To tylko wiem, że gdyby margrabia chciał wytrwać w pokorze, byłby pozostał ozdobą królestwa, ratunkiem ojczyzny, nadzieją dla tych, co mu los swój zawierzyli, postrachem wrogów i w ogóle najdoskonalszym człowiekiem. Jakże chwalebnie spędził swoje życie, on, który od swojego władcy otrzymał większą część lenna na własność. On przywiódł Milczan z ich odwiecznej wolności do jarzma niewoli [po 990]. Pochlebstwem i groźbą uczynił księcia czeskiego Bolesława, o przydomku Rudy\*, swoim wasalem, a innego Bolesława [tj. Chrobrego] swoim przyjacielem. Przez zgodny wybór ludu zasłużył sobie na stanowisko książęce w całej Turynгии. Miał za sobą -z nielicznymi wyjątkami - wschodnich grafów oraz nadzieję na królestwo. I do tak żałosnego końca przywiódło go to wszystko!

Więc jednak Ekkehard, człowiek nienależący do dynastii, miał widoki na koronę! O zgubę przyprawiło go to, że nie chciał „wytrwać w pokorze” i za wysoko mierzył. Przed wybitną osobowością margrabiego nawet Thietmar, stronnik Henryka II, musi schylić głowę. Otto III wybrał sobie dobrego następcę.



Taka prawda zdaje się bowiem wynikać z nielicznych faktów, które znamy: margrabia Ekkehard był upatrzony na spadkobiercę Ottona III. Na spadkobiercę zarówno władzy, jak idei. Decyzje w tej sprawie musiały zapaść przed dwoma laty, w Gnieźnie. Zatajony przez Thietmara sens polityczny owego zjazdu kryje się między wierszami kroniki biskupa.

Za chwilę Thietmar popisie się przed nami nie lada perfidią. Dopiero co sam stwierdził, że Ekkehard uczynił Bolesława polskiego swoim przyjacielem. A teraz...

Tymczasem Bolesław, syn Mieszka, który zgoła nie dorastał ojcu, radował się wielce z powodu śmierci margrabiego Ekkeharda. Zebrawszy wojsko, zajął natychmiast całą marchię Gerona z tej strony

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Nieściste, Bolesław III Rudy (zm. 1037), książę czeski (999-1003), był wasalem cesarza. Ekkehard, zawiadując sąsiednią marchią z ramienia cesarza, sprawował tylko nadzór nad Czechami. Łaby oraz gród Budziszyn wraz z przyległościami, dokąd wysłał naprzód oblężników. Następnie wtargnął do Strzały i próbował potajemnie przekupić pieniędzmi Miśnian. Ci, żądni zawsze zmiany, dowiedziawszy się pewnego dnia, że większa część załogi wyszła po paszę dla koni, wdarli się pod wodzą Guncelina z Kuckenburg [rodzonego brata Ekkeharda] przez wschodnią bramę, tam gdzie mieszkali ludzie służebni, zwani po słowiańsku wietnikami\*. Tu zabiwszy najpierw Becekona, wasala grafa Hermana, ruszyli wszyscy z bronią w rękę do jego domu, obrzucili okna ciężkimi kamieniami i domagali się wśród krzyków, by im wydano na śmierć dowódcę załogi, Oзера. Wtedy rycerz Thietmar, nie mając żadnej innej ochrony prócz ścian komnaty, tak do nich przemówił: „Co wyprawiacie? Jakiż szal was ogarnął, że zapominając o dobrodziejstwach, jakich doznaliście od margrabiego Ekkeharda, oraz o tym, żeście go sami do siebie z własnej woli powołali, powstajecie w taki sposób, by zgubić jego syna? Jeżeli zgodzicie się wyjawić publicznie lub w tajemnicy komuś z nas przyczynę tak wielkiego gwałtu, przyrzekam wam tak solennie, jak tylko zechcecie, w imieniu mojego pana i wszystkich nas, że wszelkie uchybienia zostaną naprawione wedle waszych życzeń i że na przyszłość możecie być zupełnie spokojni. Męża onego, którego wydania wam na śmierć żądacie w sposób tak niehumanitarny, nie dostaniecie, póki życia naszego! Jest nas garstka tylko, lecz bądźcie pewni, że albo umrzemy razem, albo wyjdziemy z tego grodu żywi i cali”. Wysłuchawszy tej przemowy, napastnicy ułożyli się z nimi i pozwolili im wyjść z grodu. Następnie przyzwali przez posłów Bolesława i przyjęli go, otwarłszy na oścież bramy. I spełniło się to, co napisano w Piśmie Świętym: „Wesela się, źle uczyniwszy, i radują w rzeczach najgorszych” oraz „Z początku są jako miód słodcy, lecz ostatecznie ich rzeczy gorzkie jako piołun”.

Bolesław, uniesiony tym powodzeniem, zajął i obsadził swoimi załogami cały ów kraj aż po rzekę Elsterę. Kiedy wszyscy nasi połączyli

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Byli to półwolni ludzie służebni, słowiańskiego pochodzenia, zadaniem ich była obrona grodu. Mieszkali w dolnej części grodu u stóp wyższego, obsadzonego przez załogę niemiecką.

czyli się, aby mu stawić opór, ten fałszu pełen człowiek wysłał naprzeciw nich posła z oświadczeniem, że dokonał tego wszystkiego za pozwoleniem i z upoważnienia księcia Henryka, że pod żadnym względem nie będzie ciemiężył mieszkańców i że jeśli tylko Henryk obejmie władzę królewską, to on zastosuje się we wszystkim do jego woli, w przeciwnym zaś wypadku chętnie uczyni to, co im się będzie podobało. Kiedy nasi to usłyszeli, uwierzyli pięknie brzmiącym słowom i na hańbę swoją udawszy się do niego, jak gdyby do pana, zamienili wrodzoną cześć na unizoność i ciężką niewolę. Jak przykro jest porównywać współczesnych z naszymi przodkami! Za życia znakomitego Hodona [margrabiego Marchii Wschodniej] ojciec Bolesława, Mieszko, nie odważył się nigdy wejść w kozuch do domu, w którym wiedział, że znajduje się Hodo, ani siedzieć, gdy on się podniósł z miejsca. Niechaj Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem, wyniósł go tak wysoko, że ten, zapominając o tym, jak postępował jego rodzic, ośmielał się wciągać pomału w poddaństwo wyżej od niego stojących i nęcąc ich czczą przynętą znikomych pieniędzy, doprowadzać ich do niewoli i utraty wolności.

Bolesław nie mógł się cieszyć ze śmierci człowieka, który z nim razem popierał uniwersalistyczne zamiary Ottona, a w polityce doraźnej był konsekwentnym zwolennikiem pokoju z Polską. Zdanie Thietmara jest obelżywe i wielce oryginalne, perfidnie zredagowane. To takie kłamstwo, które mieści prawdę. Zgon Ekkeharda otwierał przed Bolesławem drogę na sam szczyt.

Ma pewnie rację profesor Zygmunt Wojciechowski, że po śmierci margrabiego kolejnym spadkobiercą Ottona III stał się Chrobry. Od Thietmara wiemy tylko tyle, że w Gnieźnie cesarz uczynił „trybutariusza panem”. Co to znaczy? W 1002 roku niektórzy grafowie niemieccy ze wschodu „uwierzyli pięknie brzmiącym słowom” Polaka i „na hańbę swoją” udali się do niego, „jak gdyby do pana”. Znowu wolno zatem napisać: więc jednak!

Nasza tradycja widzi w Bolesławie męża, który posunął granice swojego państwa aż do Elstery i kazał wbijać słupy żelazne w dno Sali. Kto wie, czy takie pojmowanie sprawy nie pomniejsza pamięci Wielkiego? Chwilowe posunięcie własnych granic w strony dość odległe zdarzało się często rozmaitym politykom. Nadzwyczajności żadnej w tym nie ma, najwyżej mówić można o zręcznym (jeśli nie przesadnym) wyzyskaniu koniunktury dnia. Ale Chrobry maszerujący wtedy z wojskiem aż tak daleko mógł występować nie jako zdobywca, lecz jako wykonawca wielkich zleceń. W jego działaniach z roku 1002 i lat następnych widać rozmach, jakiego Piastowie nigdy przedtem ani potem nie zdradzili. Bo też owe postęпки miały, być może, na celu dobro nie samej tylko Polski. Mieściło się w nich jeszcze coś ponadto. Kolejny spadkobierca Ottona III bronił programu ładu dla wszystkich. Usiłował wstąpić w swoje prawa, które (i znowu: być może) dotyczyły władzy najwyższej.

Dwadzieścia lat wcześniej Żyd i Słowianin uratowali życie Ottonowi II, który nosił tytuł cesarza rzymskiego, a przez to symbolizował nadzieje na lepszy porządek. Teraz książę

z Gniezna zachowywał się tak, jakby poczuwał się do powinności urzeczywistnienia owych nadziei.

Wolno oczywiście zarzucić tym wywodom przesadę. Lecz wolno również każdemu szukać w przeszłości własnego kraju dowodów służby ideałom wyższego typu, ponadnarodowym.

Henryk II był wyznawcą tych pryncypiów, które radowały Thietmara, to znaczy zasady prymatu Niemców. Nie wnosił nic nowego, a przeszkody, z jakimi po śmierci Ekkeharda musiał walczyć we własnym kraju, należały do tradycji.

Prawice wielmożów niemieckich, wzniesione w Werli gestem patetycznym, nie oznaczały jednak zgody. Tylko Bawaria i Frankonia popierały Henryka, inne szczepy burzyły się, ten i ów książe lawirował. Nadrenia była mu przeciwna, podobnie jak wschodni grafowie. Henryk II włożył koronę 6 czerwca 1002 roku, ale obrzędu nie udało się dopełnić w Akwizgranie, jak żądał odwieczny zwyczaj. Przyszło poprzestać na Moguncji. Ale i to wymagało zmylenia czujności Hermana, księcia Szwabii, zwanej inaczej Alamanią, oraz dwukrotnej przeprawy przez wezbrany Ren.

Dokonawszy tej sztuki, nowy król: postanowił wpaść przez wierną sobie Frankonię do Alamanii i spustoszyć ten kraj, by odwieść w ten sposób stawiającego mu opór Hermana od jego poczynań. Kiedy książe Herman dowiedział się o tym spustoszeniu jego włości, nie chciał się ukorzyć, lecz porywając się - o zgrozo! - na swojego króla i pana, uderzył zbrojnie wraz ze swym zięciem Konradem na stolicę swego księstwa, Argentina, która nazywa się także Strassburgiem, ponieważ biskup tamtejszy Wicelin ośmielił mu się przeciwstawić. Wdarłszy się na mury, nie znalazł żadnej laski dla pokonanych. Tymczasem przekłeta i do rabunku skora tłuszcz Alamanów, nie Uczęc się z niczym, wtargnęła bez wiedzy księcia do głównego kościoła, poświęconego Bożej Rodzicielce, zrabowała cały skarbiec i - co największą było zbrodnią - spaliła ogniem świątynię Boga. Byłoby wielkim szczęściem dla tego tłumu, gdyby przerażony okropnością samego wtargnięcia do świątyni cofnął się przed jeszcze większą zbrodnią. Albowiem żołnierze biskupa pod wodzą Rajnwarda walczyli tak chytrze, że kiedy nadciągnęła większa masa nieprzyjaciół, została przeszyta własnymi włóczniami i legła pokotem. W tak nędzny sposób zginęli ci ludzie przez Boga pokarani. Herman bardzo nad tym biadał i nie dał się pocieszyć, lecz opuścił Strassburg bez odwetu, jako że liczba nieprzyjaciół była zbyt wielka.

29 czerwca, w dzień Apostołów Piotra i Pawła, drużyny Henryka ustawiły się w szyk bojowy na obszernych łąkach w pobliżu Jeziora Bodeńskiego. Czekwały na rozstrzygające starcie. Herman szwabski nie nadszedł, szala przechylała się pomału na stronę Henryka II. Nie bez wahań! W czasie gdy król ciągnął powoli przez państwo, przyjmując hołdy rozmaitych wasali, opuścił jego obóz margrabia północnej Bawarii, Henryk ze Szwejnfurtu, cioteczny brat kronikarza Thietmara. Król niemiecki utracił, a książe z Gniezna uzyskał cennego sojusznika. Pan ze Szwejnfurtu miał przez czas pewien wiernie stać po stronie Chrobrego, a początek tej przyjaźni jaskrawo podkreśliły wypadki tegoż 1002 roku.

24 lipca Henryk II stanął w Merseburgu, gdzie spłynęła cała cizba wielmożów, „których za długo byłoby wymieniać szczegółowo po imieniu”. Przybył również Bolesław z Polski. Nie składał hołdu ani nie targował się o przywileje, co stanowiło właściwy cel zjazdu Niemców. Chciał układu zatwierdzającego wiosenne podboje polskie. Śmiały politycznie zamiar wymagał osobistego ryzyka, które Bolesław podjął z pewnością świadomie.

Bolesław tymczasem zabiegał usilnie o nabycie grodu Miśni, choćby za największą sumę pieniędzy, ponieważ jednak nie leżało to w interesie państwa, nie mógł wskórać niczego u króla. To tylko zdołał z trudem uzyskać, że Miśnia przyznana została jego bratu [krewnemu nieznanego stopnia] Guncelinowi, a jemu pozostawiono Łużyce i Milsko. Mój krewniak, margrabia Henryk [ze Szwejnfurtu], sprzyjał bardzo temuż Bolesławowi i popierał go, jak tylko mógł, z wielką życzliwością i przyjaźnią. Towarzyszył mu również, kiedy ten po odprawie królewskiej odjeżdżał z bogatymi darami. Wówczas to zauważył nagle nacierający na niego - Bogiem się świadczę, bez wiedzy i zgody króla - tłum zbrojnych ludzi. Kiedy starał się zbadać przyczyny tego tak niesłychanego gwałtu i uśmierzyć go, by większa stąd nie wynikła szkoda, ledwie mu się udało wyprowadzić bezpiecznie towarzysza przez wyważoną bramę zewnętrzną. Spośród wojowników, którzy za nim podążali, niektórzy padli ofiarą rabunku ze strony napierającego tłumu, inni zaś, ciężko poranieni, uniknęli śmierci tylko dzięki pomocy księcia Bernarda. Na to jednak niebezpieczeństwo narazili się oni z własnej winy i nie bez słusznej przyczyny, skoro wszedłszy do pałacu królewskiego w pełnym uzbrojeniu, wzbraniali się go opuścić, gdy tego od nich zażądano. Bolesław atoli, przypuszczając, iż stało się to wskutek złośliwie uplanowanej zdrady, bardzo sobie to wziął do serca i przypisywał wszystko niesłusznie królowi. Dlatego pożegnawszy Henryka [ze Szwejnfurtu] i przyrzekłszy mu solennie pomoc na wypadek, gdyby jej kiedykolwiek potrzebował, szybko podążył do domu. Kiedy przybył do grodu Strzały, natychmiast go podpalił i uprowadził w niewolę dużą liczbę miejscowej ludności. Rozesławszy następnie swoich zaufanych, starał się zbuntować, kogo tylko mógł, przeciwko królowi. Gdy to doszło do uszu króla, prosił on usilnie ludzi ze swego otoczenia, by wywieźli się o tajnych spiskach Słowianina i, o ile możliwości, starali się dostać w swoja moc jego szpiegów.

Nie udało się wysłać Bolesława w ślady Ekkeharda. Dwa zgony w ciągu jednego półrocza utorowały Henrykowi II drogę do władzy. Trzeci uczestnik zjazdu gnieźnieńskiego ocalał. Był tym groźniejszy, że rozporządzał siłą dużego państwa, trzymał w ręku inicjatywę i miał sojuszników w samych Niemczech. Henryk Szwejnfurcki też wyszedł cało i miał wkrótce we własnym hrabstwie bawarskim otrzymać posiłki z Polski. Zapewnienia Thietmara świadczą przeciwko niemu. Zamach na Bolesława był na pewno zorganizowany, a nie spontaniczny.

Sytuacja wyjaśniała się dość szybko. Wspomnienia z Gniezna bladły, wojna polsko-niemiecka wisiała w powietrzu. Zamach merseburski uznał pewnie Chrobry za jej wypowiedzenie, skoro cofając się we własne granice, palił i grabił.

Zanim jednak wszystko wróciło do normy, to znaczy zanim nabrało charakteru zwyczajnego zatargu dwóch mocarstw, miał się jeszcze rozegrać dziwny akt dziejów. Scena znajdowała się w Pradze.

Ponieważ „władza współregenta i następcy lęk zawsze budzi”, przeto księżę czeski Bolesław [III Rudy] pozbawił męskości swego brata Jaromira, a młodszego Udalryka usiłował zadusić w łaźni, następnie zaś zegnał ich obu z ojczyzny wraz z matką i „jako złośliwy królik, rządząc samowładnie”, gnębił lud w sposób trudny do opisanego. Kiedy lud nie mógł znieść dłużej ciężaru krzywd sobie zadawanych, wezwał potajemnie z Polski Włodziwoja, którego imię oznacza władzę nad wojskiem. Tę zmięję jadowitą, traktującą swoich poddanych bez żadnego poszanowania prawa, wybrał on jednomyślnie z uwagi na pokrewieństwo [z dynastią czeską] oraz wielką sympatię i wypędziwszy owego królika, to znaczy Bolesława, posadził go na jego tronie. Z jego życia przytoczę jeden tylko rys niewiarogodny i nie nadający się zgoła do naśladowania przez żadnego chrześcijanina, a mianowicie że nie mógł on wytrzymać nawet jednej godziny bez picia. Tymczasem Bolesław, mając przed sobą tylko jedną drogę ucieczki, schronił się do swojego najbliższego sąsiada, margrabiego Henryka [Szejnfurckiego], który uwięził go z powodu przykrości, jakich poprzednio doznał był od niego. Później jednak, ponieważ przybył tam jako gość, znalazł się na wolności i, aby ratować życie, podążył do swojego imiennika [tj. Bolesława Chrobrego], syna swej ciotki, który był mu równym w zbrodniach, nierównym pod względem potęgi. Włodziwój tymczasem, z mądrej korzystając rady, udał się do króla, bawiącego wciąż jeszcze w Ratyzbonie, i poddałszy mu się z całą pokorą oraz przyrzekłszy wierność, uznał go swoim panem. Następnie otrzymał od króla w lenno to, czego pragnął, i potraktowany przezeń życzliwie pod każdym względem, powrócił w pokoju do domu.

Uległy wobec cesarza Włodziwój w Pradze, wygnany stamtąd Bolesław Rudy w Polsce. Typowe prowizorium. Nadszedł rok 1003. Henryk II: Powróciwszy do Akwizgranu, obchodził tam z nabożeństwem święto Oczyszczenia Bożej Rodzicielki. Stąd podążył do Niemczen i spędził tam szereg dni wielkiego postu, zabiegając przede wszystkim o królestwo Boga i Jego sprawiedliwość, potem dopiero o zaspokojenie potrzeb ludzkiej ułomności.

Ponieważ w międzyczasie zmarł księżę Włodziwój, Czesi, skruczą zdjęci, odwołali z wygnania wspomnianych wyżej braci wraz z matką [tj. Jaromira i Udalryka z matką Emmą]. Lecz władca Polan Bolesław, zebrawszy zewsząd wojska, uderzył na nich i wypędził ich po raz wtóry. Następnie przywrócił do dawnej godności swojego wygnanego imiennika [Bolesława III Rudego] i skrywając głęboko swoje podstępne plany, odjechał do domu. Liczył bowiem na to, że jego krewniak będzie się mścił srogo na sprawcach swego wygnania, i spodziewał się bardziej korzystnej okazji, która jemu samemu może otworzyć drogę do tronu. Co też się stało. Bolesław czeski bowiem, widząc, jak jego naród oddaje się potępieniu godnym praktykom pogańskim i w zupełnej pograża się obojętności religijnej, posunął swą niegodziwość w łamaniu zaprzysiężonego pokoju do tego stopnia, że zebrawszy u siebie w domu wszystkich możliwych, zabił naprzód własnoręcznie uderzeniem miecza w głowę swojego zięcia, następnie zaś, przy pomocy współuczestników swej zbrodni, pozbawił życia pozostałych bezbronnych. Ten krwi żądny i fałszu pełen człowiek, niegodny dożyć połowy dni mu przeznaczonych, dopuścił się tego w świętym okresie wielkiego postu!

Przeżrana tym wielce reszta ludu czeskiego wysłała w tajemnicy posłów do polskiego Bolesława, aby mu przedstawić ogrom dokonanej zbrodni i błagać go na przyszłość o wybawienie z niebezpieczeństwa. Bolesław wysłuchał życzliwym uchem posłów i przez

zaufanego gońca zaprosił natychmiast Bolesława czeskiego na spotkanie w pewnym grodzie, w towarzystwie kilku ludzi, rzekomo dla omówienia z nim pewnych koniecznych spraw, wspólnie ich obchodzących. Bolesław młodszy zgodził się na to zaraz i przybył na umówione miejsce. Zrazu doznał serdecznego przyjęcia, lecz następnej nocy zausznicy Bolesława polskiego wyłupili mu oczy i w ten sposób unieszkodliwili go, by nie miał już sił dopuszczać się wobec swoich takich zbrodni, jak poprzednio, i by nie mógł tam więcej panować. Poza tym na długie został zesłany wygnanie. Za czym książę polski pospieszył następnego dnia do Pragi; jej mieszkańcy, radujący się zawsze z nowego panowania, wprowadzili go tutaj i obwołali jednomyślnie swoim władcą. W miarę jak rosła tam jego doczesna władza, podnosiła się do niebywałych rozmiarów zuchwałość jego niepohamowanych zamierzeń. Zapamiętaj to sobie, czytelniku, ku własnej rozwadze, że w im większą pychę wzbija się czyjś duch w okresie powodzenia, tym większego doznaje poniżenia w niepowodzeniu, co, jak Pismo Święte uczy, nie jest znamiem człowieka mądrego.

Kiedy król Henryk dowiedział się o tym z napływających pogłosek, przyjął to wszystko z pochwałą godną powagą i cierpliwością, przypisując wyłącznie swoim grzechom wszelkie niepowodzenia, jakie się wydarzyły w państwie za jego czasów. Przeto, nie zwracając uwagi na wszystkie krzywdy Czechów, uznał za najkorzystniejsze dla siebie wysłać posłów do Bolesława z następującą propozycją: jeżeli zgodzi się dźwżyć zajętą świeżo ziemię z jego łaski, jak tego wymaga stare prawo, oraz służyć mu wiernie pod każdym względem, to on uzna jego wolę w tej sprawie, jeżeli zaś nie, to wystąpi przeciw niemu z siłą zbrojną. Bolesław odrzucił powyższą propozycję z oburzeniem, choć słuszną była i należycie uzasadnioną, i w ten sposób zasłużył sobie w pełni na karę w przyszłości.

Uczeni przypuszczają, że wojna była nieunikniona, gdyby nawet Bolesław przyjął warunki Henryka, to znaczy został jego lennikiem. Kategoryczną odmowę Polaka uważają za dowód jego trzeźwości politycznej, bo położenie Niemiec było wyjątkowo trudne i nie należało ułatwiać im gry, godząc się na zwłokę. Ocena na pewno słuszna. Thietmar pokaże nam zaraz rozmiary akcji, którą bez obawy o przesadę uznać można za przygotowanie do rozprawy z Bolesławem. Przed wyprawą na wschód musiał król niemiecki zabezpieczyć zaplecze. Zjednać sobie Słowian zachodnich (doraźnie zapominając o ich pogaństwie), jako tako przynajmniej uspokoić Italię, a przede wszystkim złamać opozycję wewnętrzną.

W obszernej relacji biskupa nie ma ani słówka o jakichkolwiek działaniach Henryka wewnątrz Polski. Król miał nadal za krótkie ręce. Nie było sposobu wzniecenia dywersji za Odrą. Z Bolesławem rzecz się miała wręcz przeciwnie. Poszczególni grafowie germańscy przechodzili na jego stronę, drużyny polskie stawały załogami w ich zamkach.

Nigdy się nie dowiemy, jaką drogą tam dotarli ani z kogo się składały. Thietmar uparcie przemilcza szczegóły. Jedno pewne: Bolesław musiał ufać ludziom, którym powierzał takie rozpaczliwe zadania. Trudno przypuścić, by wysyłał na stracone pozycje swych wojów przybocznych. Musiał raczej używać jakichś jednostek terytorialnych. Armia jego rekrutowała się bowiem właśnie na zasadzie terytorialnej - powołane pod broń wojsko stanowiło niejako reprezentację mnóstwa części składowych państwa.

Thietmar lubi podkreślać niepowodzenia nieprzyjaciół. Koloryzuje bez ceremonii, utrzymując na przykład, że w pewnej bitwie zginęło trzech tylko Niemców, a sześciuset Polaków. Lecz w danym wypadku pola do popisu nie znajduje. Z jego oszczędnych informacji wynika, że wysłane w głąb Niemiec drużyny nie zawiodły swego pana. Ludzi spotkał los smutny, ale zadanie zostało wykonane. Król niemiecki napotykał wzmoczone polskimi siłami opór we własnym kraju. Bolesław zagradzał mu drogę na wschód od Odry i wznosił prowizoryczne przeszkody daleko na zachód od niej. Więż moralna spajająca poddanych Gniezna trzymała naprawdę mocno. W 1003 roku Wielkanoc przypadła na dzień 28 marca.

Tymczasem król [Henryk II] po zakończeniu wielkiego postu, o którym wyżej pisałem, obchodził uroczyste, zgodnie ze zwyczajem swych poprzedników, święto Wielkanocy w Kwedlinburgu. Za czym pokrył milczeniem zarówno niegodziwe zamysły Bolesława, jak pretensje Henryka [Szwejnfurckiego o obiecane mu księstwo bawarskie], i okazał swoim, jak przystało na takie święto, uśmiechnięte oblicze. Tu także wyróżnił królewskimi darami i pocieszył ojcowskimi słowy otuchy księcia Ottona i Ernesta, powracających z pola nieszczęśliwej bitwy [z Longobardami pod Górą Węgierską]. Wreszcie przyjął życzliwie posłów od Redarów i Luciców i przy pomocy miłych im darów oraz przyjaznych obietnic uspokoił tych dotychczasowych buntowników i z nieprzyjaciół uczynił ich największymi przyjaciółmi.

Po tych wypadkach król spędził w Merseburgu dni krzyżowe, których wszyscy wierni winni zawsze przestrzegać. Tu doniesiono mu o otwartym buncie księcia Bolesława margrabiego Henryka [Szwejnfurckiego]. Nadchodzące Święta Zielone obchodził król w Halberstadzie. Udawszy się stąd do Bawarii, starał się pokonać najpierw margrabiego Henryka, który stawiał mu opór z pomocą Bolesława, następnie zaś zdusić czającą się wszędzie zdradę. Na domiar złego dowiedział się, że świeżo przez niego wyróżniony Ernest oraz jego rodzony brat Bruno porozumieli się w nieczny sposób z Henrykiem, nie wiedząc, iż stoi w Piśmie: „Męstwo rozumu zbanne własnym upada ciężarem”. By uśmierzyć ich zuchwałość, król ściągnął zewsząd swoich stronników i wkroczywszy z początkiem sierpnia na ziemię wspomnianego margrabiego, pustoszył je, a jego samego zmusił do ukrywania się we wszystkich możliwych miejscach poza grodem. Powie ktoś, kto dobrze zna przyczynę owego buntu, że margrabia zmuszony był tak postępować: nie godzi się wyższej władzy cofać solennych obietnic, danych wiernemu słudze, i tracić w ten sposób przywiązanie innych poddanych! Temu odpowiem, iż nie ma na tym świecie władzy, która by nie pochodziła od Boga, i ten, kto przeciw niej powstaje, ściąga na siebie gniew Bożego majestatu. Gwałtowny przyływ niepomiarkowanej pychy należy powściągnąć hamulcem cierpliwości i oczekiwać ze słowami pokornej modlitwy na ustach prawdziwie zbawczej pociechy. Sądzę, iż korzystniej jest piąć się dzień za dniem coraz wyżej niż nagle spadać ku nieuchronnej ruinie. Broniłbym niechybnie mojego kuzyna [Henryka Szwejnfurckiego] w jakikolwiek sposób, gdybym miał odwagę sprzeniewierzyć się prawdzie, której przestrzegać jest obowiązkiem wszystkich wiernych.

Wielokrotnie sprawdzało się przysłowie przodków: „Stare niecnoty rodzą nasienie nowej sromoty”. Albowiem ojciec margrabiego stawiał często opór ojcu króla, nie jako wasal,

lecz jako wróg sobie poczynając, i popierał partię cesarską\*, jak sam stwierdził, li tylko z powodu przyrzeczonej mu pod przysięgą łaski. Podobnie i ten był wierny ostatniemu Ottonowi aż do jego śmierci i służył dzielnie nowemu władcy aż do tych nieszczęsnych czasów. Lecz „w głębi duszy króla tkwiła ukryta pamięć” o wielkiej nienawiści Henryka i jego ojca. Mam nadzieję, że dla miłości Chrystusa puściłby mu to wszystko płazem, gdyby nie wiedział, jak ten z całą złością i w przymierzu z innymi jego wrogami otwarcie bunt przeciwko niemu podnosi. Jakkolwiek wydaje się, iż margrabia Henryk sam ponosi winę tej zbrodni, to jednak bez podniety innych nie byłby do niej przystąpił na samym początku. A ponieważ zdrada na tym świecie uważana jest za wielką hańbę, przeto wołał on raczej ukryć to z bólem w swoim

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Ojciec Henryka Szwejnfurckiego, Bertold, wierny Ottonowi I i II, przeciwstawiał się uzurpatorskim dążeniom Henryka Kłótnika.

Str.85

sumieniu niż swoją karę powiększać przez wystawianie na nią także innych. I oto ten, który przedtem dzielnie stawiał czoło nieprzyjacielowi w obronie ojczyzny, otworzył mu ją teraz, na rabunek wystawiając. Bolesław przysłał mu potajemnie posiłki, które jednak nie pomogły mu zgoła.

Kiedy król, wysławszy naprzód cały swój skarbiec, przybył do miejscowości zwanej Hatheresburgdi [Hersbruck], rycerz rzeczzonego margrabiego, Magan, zrabował mu ów skarbiec przy pomocy swoich ludzi. Rozdzieliwszy go między siebie, rabusie powrócili w radosnym nastroju do grodu warownego Ammerthal [Alt-Ammerthal]. Król w posagu za nimi przystąpił do oblężenia grodu i ustawivszy maszyny wojenne, zmusił ich do tego, że za cenę wydania grodu i zdobyczy błagali go przez zaufanych pośredników tylko o życie. Zburzywszy doszczętnie gród i rozdzieliwszy pomiędzy swoich tłum polskich jeńców, król udał się stąd do grodu warownego Crusni [nad Czerwonym Menem], w którym brat margrabiego Henryka, Bukko [Burchard, burgrabia ratyzboński], miał pod swoją opieką żonę tegoż, Gerbergę, wraz z dziećmi. Wojsko (królewskie) otoczyło zewsząd gród, lecz wówczas margrabia Henryk zaatakował je od zewnątrz wraz ze swoimi. Przy tej okazji ranił on poniekąd wojowników królewskich, innych zaś, którzy niebacznie zbierali paszę dla koni, w pień wyciął. By to się nie mogło więcej powtórzyć, król postarał się o zebranie czterystu rycerzy i zmusił nieprzyjaciela do wycofania się w ukryte miejsca w dolinie. Niepowściągliwy język pewnego wieśniaka zdradził jednak czatownikom królewskim, gdzie nieprzyjaciel rozbił obóz. Ci podążyli tam ukrytymi ścieżkami wśród upalnego południa i kiedy po dostrzeżonych z oddali namiotach odkryli obóz, przywołali swoich głośnym śpiewem: „Kyrie eleison”. Nieprzyjaciele uciekli, pozostawiając wszystko na miejscu, i tylko Ernest [graf saski] dostał się do niewoli. Choć ludzie królewscy bardzo byli rozgniewani tą ucieczką, to jednak wielką sprawili radość swoim towarzyszom po powrocie. Gdy jeniec stanął przed królem, sąd skazał go na karę śmierci, która na usilne instancje arcybiskupa Willigisa została z woli króla zamieniona na okup pieniężny.



Graf Bukko tymczasem, dowiedziawszy się o ucieczce swego pana, odczuł to bardzo boleśnie i pytał towarzyszy broni, co mu teraz czynić wypada. Różne otrzymał od nich odpowiedzi. Jedni mówili, że z uwagi na wierność ślubowaną swemu seniorowi i zarzut tchórzostwa, który by wiecznie na nich ciążył, wolą raczej umrzeć niż oddać królowi gród z takim zastawem i że skoro żyje dotąd ich senior, spodziewają się zawsze nadejścia odsieczy. Inni znów, roztropniejsi, powoływali się na to, iż trudno jest opierać się rwącemu potokowi i potężnemu człowiekowi i że pokonani rzadko albo nigdy nie uzyskują przebaczenia. Twierdzili oni dalej, iż teraz, kiedy są jeszcze żywi i cali i kiedy żadnej nie doznali rany, będą prosić króla o pozwolenie odejścia z margrabią i całym ich dobytkiem oraz załogą. Za radą tych ostatnich, jak sądzę, dowódca grodu Bukko rozmawiał z bratem swojej pani, Ottonem, i wydał za jego zgodą gród królowi, sam zaś odjechał bezpiecznie wraz ze wszystkimi powierzonymi jego opiece osobami. Król kazał natychmiast zrównać gród z ziemią, lecz ponieważ wykonawcy rozkazu oszczędzali go, przeto lwią część grodu wraz z budynkami ocalała.

W międzyczasie, gdy król oblegał gród margrabiego Crusni, Bolesław, który starał się usilnie mu szkodzić, gdzie tylko mógł, zebrał w tajemnicy wojsko i wezwał przez posłów swego brata [tj. krewnego] Guncelina, by pomny solennej obietnicy, oddał mu we władanie gród Miśnię i odnowił z nim dawną przyjaźń. Ten jednak, zdając sobie sprawę z tego, że przez wkroczenie tam Bolesława gotów stracić całkowicie zarówno łaskę króla, jak takie cenne lenno, odpowiedział na to wezwanie: „Wszystko, czego ode mnie zażadasz, mój bracie, prócz tego, chętnie spełnię i nie wymówię się od tego w przyszłości, jeżeli zdarzy się ku temu sposobność. Są tu ze mną wasale\* mojego władcy, którzy na to nie pozwolą. Gdyby to się stało głośnym, życie moje wraz z całym moim majątkiem byłoby zagrożone”. Kiedy Bolesław wysłuchał tego poselstwa, kazał uwięzić posłów, a wojsku maszerować

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Załogę Miśni, jak i innych grodów nadgranicznych, stanowili wasale królewscy z najbliższej okolicy, którzy odbywali tam służbę na zmianę w ustalonych z góry okresach czasu.

spiesznie ku Łabie. Tam badał w tajemnicy brody rzeki i rankiem sam się przepawił. Mieszkańcom Strzały, ponieważ stanowiła ona wiano jego córki [Regelindy], zapowiedział, by nie lękali się niczego, i prosił ich, by krzykiem swoim nie dawali znać o wyprawie sąsiadom. Bezzwłocznie, na rozkaz księcia, wojsko zostało podzielone na cztery części i otrzymało polecenie ponownego połączenia się wieczorem koło warownego zamku Czirzyna [na lewym brzegu Łaby, poniżej Miśni]. Dwa hufce wysłane naprzód miały przeciwdziałać niepokojeniu wojska książęcego ze strony margrabiego [Guncelina], Cały ten kraj, Głomackim nazwany, bogato zagospodarowany, w tym jednym dniu w żalosny sposób został zniszczony ogniem i mieczem oraz przez uprowadzenie mieszkańców.

Warto wspomnieć, w jaki sposób ten, który zwykle wszystkich zwodził, został sam wyprowadzony w pole przez mieszkańców grodu Mogilna [między Łabą i Muldą]. Kiedy mianowicie wysiany tam oddział wojska ich zaatakował, rzekli: „Przecież to czynicie? Znamy waszego pana z najlepszej strony i bardziej go wolimy od naszego. Idźcie tylko naprzód, a

bądźcie pewni, że podążymy za wami z naszymi rodzinami i całym dobytkiem". Po takim oświadczeniu nieprzyjaciele nie atakowali ich więcej i donieśli swemu władcy, jako rzecz pewną, że oni nadciągną. Kiedy jednak książę Bolesław zobaczył, że jego żołnierze późno się schodzą na umówione miejsce, a tamci siedzą w domu, zapłonął wielkim gniewem i groził karami kłamliwym sojusznikom. Nazajutrz, gdy słońce już wzeszło, wysłano naprzód niezliczone łupy wojenne. Duża część nieprzyjaciół utonęła w Łabie. Reszta, która powróciła do domu zdrowa i cała, podzieliła między siebie łupy, oddając najlepsze sztuki Bogu i swemu władcy. Liczba jeńców wyniosła nie mniej niż trzy tysiące, a jak twierdzą świadkowie, o wiele nawet więcej.

Margrabia Henryk tymczasem, widząc swój zbliżający się upadek, pospieszył do grodu zwanego Crana [Kronach w Górnej Frankonii], gdzie zastał młodego Zygryda, syna grafa Zygryda [zabójcy Ekkeharda], oczekującego go z zebranymi posiłkami. Lecz ani sobie, ani jemu nie mógł dać żadnej nadziei na powodzenie buntu w tych stronach. W końcu, po dłuższej z nim naradzie, puścił gród z dymem i wraz z czcigodnym Brunonem i pozostałymi stronnikami udał się do Bolesława, który właśnie zajął Czechy. Zygryd zaś, zawiedziony w nadziei na otwartą walkę, nie poszedł z nimi, lecz powrócił do domu z postanowieniem naprawienia w przyszłości błędów, jakich się dopuścił. Król tymczasem, ścigając uciekającego wroga aż do Crana, ostygł nieco w swym gniewie, gdy widział, jak wróg ten ubiegł go w dziele zniszczenia. Posłał jednak biskupa wüzburgskiego Henryka i opata fuldajskiego Erkanbalda, aby spalili i zburzyli gród warowny Szwejfurt. Kiedy przybyli oni na miejsce, przyjęła ich i powitała z należnym takim osobom szacunkiem matka margrabiego Henryka, dostojna Ejla. Kiedy usłyszała polecenie króla, przeraziła się nim bardzo i pobiegłszy szybko do kościoła, oświadczyła, że woli raczej zginąć w płomieniach niż wyjść stąd żywą, gdy kościół ma spłonąć. Wobec tego wspomniani dostojnicy, powodując się miłością Bożą i nie dbając zgoła o strach ziemski, zmienili wydany im rozkaz: zburzyli tylko mury grodu oraz budynki i uspokajali zasmuconą matronę obietnicą, iż to wszystko własnym odbudują kosztem, gdy tylko będzie to możliwe, za zgodą króla.

Król zaś, spustoszywszy wszystkie posiadłości margrabiego i rozdzieliwszy je wszędzie pomiędzy lenników, przybył do Bambergu, gdzie odprawił najpierw w pokoju wojsko, a następnie obchodził wśród radosnych uroczystości święto Narodzenia Bożej Rodzicielki. Stąd wybrał się do lasu zwanego Spechteshart [Spessart] i w rozkoszach polowania szukał ukojenia po trudach wojennych. Spędziwszy tam pogodną jesień, podążył przez Frankonię do Saksonii, gdzie zapowiedział na najbliższą zimę wyprawę wojenną na Miłsko [dzierżone przez Chrobrego]. Następnie obchodził w Pöhlde Boże Narodzenie, świętując je wedle zwyczaju przodków na świecki i kościelny sposób.

Od Wielkiejnocy do Bożego Narodzenia 1003 roku król niemiecki Henryk II pacyfikował więc własny kraj, oczyszczał go ze stronników Bolesława z Polski. Ofiarą tych działań padały grody takie, jak Crana, czyli dzisiejsze Kronach w Górnej Frankonii, lub Szwejfurt, położony nad Menem. W przededniu rozprawy z Polską materialna potęga Niemiec bynajmniej nie wzrastała.

Wyprawy zapowiadanej na zimę urzeczywistnić się nie udało. Należało z nią poczekać jeszcze kilka miesięcy.

Tymczasem Bolesław pod wpływem własnego gniewu i podżegań margrabiego Henryka dopuszczał się wielkich gwałtów na Bawarach i wszystkich swoich poddanych. Z tego powodu król, nawiązując do zapowiadanej poprzednio wyprawy, wtargnął do kraju Milczan i gdyby nie przeszkodził mu duży opad śniegu, który zaraz stopniał, cała ta kraina uległaby spustoszeniu i zupełnemu wyludnieniu. Powróciwszy stąd w ponurym nastroju, udzielił pomocy margrabiemu Guncelinowi i innym obrońcom ojczyzny, rozmieszczając u nich załogi. Kiedy przybył do Merseburga, dowiedział się od zaufanych pośredników wysłanych przez margrabiego Henryka, że jego brat [Bruno] uciekł do króla Węgier, aby stamtąd prosić o przebaczenie, i że on, Henryk, bardzo żałuje swoich czynów. Król przychylił się, jakkolwiek niechętnie, do gorących próśb owych pośredników, a zwłaszcza ukochanego Taginona oraz księcia Bernarda, i udzielił przebaczenia margrabiemu na tych warunkach, że odda zarówno jemu, jak jego stronnikom posiadłości wraz z mieszkańcami, jego samego jednak zatrzyma w swojej mocy, jak długo będzie mu się podobało. Henryk, przybrawszy postawę i szatę pokutnika, przyznał się z płaczem do całkowitej winy we wszystkim i oddał się w ręce króla. Na jego rozkaz rzeczony arcybiskup osadził go w zamku warownym Giebichenstein, gdzie żołnierze strzegli go pilnie dniem i nocą. Tam wśród wielu dobrych uczynków zdarzyło mu się odśpiewać cały psalterz ze stu pięćdziesięciu aktami skruchy.

Terminologia wojskowa zna pojęcie działań opóźniających. Z punktu widzenia ówczesnego Gniezna sprawa Henryka ze Szwejnfurtu stanowiła takie właśnie działanie. Od chwili zajęcia Czech przez Bolesława upłynął już rok. Przez cały ten czas margrabia zatrudniał Henryka II w samych Niemczech, „opóźniał go” — jak się mawia w wojsku.

Powodem dalszej zwłoki stały się zagadnienia włoskie. Henryk II, którego zdolności lekceważyć nie należy, uważał widocznie, że zanim się ruszy na Polskę, trzeba uspokoić Italię.

Niemcy siłą posiadli władzę nad północą tego kraju, gdzie od VII wieku znajdowało się państwo Longobardów. Koronacja ich „żelazną koroną” stanowiła niejako wstęp do uroczystości przyjęcia diademu cesarskiego w samym Rzymie. Po śmierci Ottona III ten stan rzeczy uległ zakłóceniu. Longobardowie wynieśli na tron Arduina, margrabiego Iwrei, osobistość malowniczą i groźną.

Rozprawianie o Longobardach może się komuś wydać odbieganiem od tematu. Istota rzeczy na tym jednak polega, że z punktu widzenia ówczesnej Polski te sprawy wcale nie stanowiły egzotyki. Zarówno Mieszko, jak Bolesław myślą i działaniem sięgali dalej niż do Pawii, bo do Rzymu. Ich poczynania mierzyć trzeba skalą europejską. Lekceważenie tego względu uniemożliwia zrozumienie przebiegu konfliktu z Niemcami oraz jego rezultatów.

Cesarstwo bardzo wcześnie doznało ujemnych skutków zjawiska, z którym Polska miała się na dobre zapoznać dopiero znacznie później, w epoce jagiellońskiej. Miało za wiele spraw do załatwienia naraz i dlatego nie mogło skupić wszystkich swych sił na jednym froncie. Jego ogromna potęga oraz światowładcze uroszczenia zagrażały wszystkim i dlatego

wszyscy je zwalczali, mocą samego tego faktu - solidarnie. Program Thietmara, polegający na zasadzie bezwzględnej dominacji Germanów nad sąsiadami, wiódł w ślepią ulicę. Taki Arduin i bez układów był sprzymierzeńcem Bolesława. Działał jednak przeciw temu samemu wrogowi.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, warto może przypatrzeć się wiosennym wypadkom 1004 roku. Barwny opis Thietmara pomoże nam lepiej zrozumieć, dzięki czemu bezsprzecznie słabsza Polska została się wobec naporu Niemiec. Bo najwyższa nawet ocena Polski piastowskiej oraz jej kierownictwa nie powinna nam przesłaniać faktu, że ten kraj był od Niemiec słabszy, i to znacznie. Walki polsko-niemieckie na szczęście nie przypominały pojedynku.

Dzięki zmyślnym manewrom drużyn Karyntyjczyków Henryk II przecisnął się przez przełęcz alpejskie. Jego nagłe pojawienie się w Italii zrobiło swoje: Dotychczasowa jedność Longobardów w służbie zła załamała się zrzuceniem Bożej opatrności. Odpadłszy od bezprawnego uzurpatora, otwarli oni przez swą ucieczkę bezpieczny wstęp do kraju koronowanego przez Boga królowi Henrykowi. Pierwsza przyjęła go Werona, radując się w Panu, iż zjawił się obrońca ojczyzny, a odszedł sprawca nieszczęść wszelakich.

W Brescii i Bergamo uroczyście witali Henryka biskupi i wielmoże. 14 maja czekał go w Pawii największy tryumf. „Wśród nadzwyczajnych hymnów pochwalnych” wszedł do kościoła, został obwołany królem i zasiadł na tronie.

Tegoż dnia okazało się, z jaką zmiennością niestały bieg spraw tego świata toczy się zawsze po pochyłości. Albowiem nagle zakradła się w ogólną radość nieprzyjaciółka pokoju - niezgoda, a nadmierne upojenie winem zerwało z błażej przyczyny w sposób pożałowania godny węzły wierności i przysięgi. Mieszkańcy miasta chwycili za broń przeciw świeżo obranemu królowi i ruszyli na jego pałac, w ich rzędzie zaś przede wszystkim ci, którym nie podobała się prawota Henryka, a dogadzała swawola Arduina. Kiedy król usłyszał hałas, kazał szybko zobaczyć, co się dzieje. Odpowiedziano mu zaraz, że to lud prosty, nagłym zapalony gniewem, wszczął bunt z niewolniczą zuchwałością, a wszyscy inni przyłączyli się do niego na szkodę i hańbę swoją. Kiedy tłum już się wdierał do pałacu, dostojny arcybiskup koloński Herbert, chcąc go uspokoić, pytał z okna o przyczynę tej napaści, lecz grad kamieni i deszcz strzał zmusił go do cofnięcia się w głąb komnaty. Atakowanego z wściekłością przez wrogów pałacu bronili dzielnie nieliczni słudzy królewscy, których na palcach można było policzyć. Podczas gdy nasi z konieczności rozmieszczeni byli w kilku punktach siła wroga wciąż rosła. W pewnej chwili nasi, usłyszawszy z dala głoony zgiełk i krzyk, pospieszyli tłumnie do króla i zdołali nieco odeprzeć szalejących wciąż nieprzyjaciół, lecz z nastaniem zmroku powstrzymały ich znowu strzały i kamienie. Wówczas, by się przed nimi zabezpieczyć, podpalili domy w mieście.

Ci spośród naszych, którzy znajdowali się poza miastem, wdrapali się odważnie na szanice, pod których osłoną tamci stawiali tak skuteczny opór. Wtedy to został śmiertelnie raniony przez Longobardów brat królowej, znakomity młodzian Gizelbert, co wzmożyło bardzo gniew towarzyszy. Pomścił go rycerz Wolfram, który rzucił się w sam środek nieprzyjaciół i nie odniósłszy sam rany, ciął jednego z nich przez hełm aż po szyję. Tak

jednym zwrotem miły każdemu pokój przemienił się w okropności wojny. Tych nielicznych nieprzyjaciół, których nasi schwytali, przyprowadzili oni do króla. Nagle runął podpalony przez Longobardów budynek, który służył naszym zmęczonym wojownikom za schronienie, lecz to zagrzało ich jeszcze bardziej do walki, gdyż odtąd nie mogli już liczyć na żadne tego rodzaju schronienie. Tymczasem Alamanowie oraz Frankowie i Lotaryńczycy, do których dotarła nareszcie wieść o tych klęskach, wdarli się przez zburzone mury do miasta i taką sprawili łaźnię mieszkańcom, że żaden z nich nie śmiał wychylić się poza mury swego domu. Rzucając pociski z dachów próbowali oni zgnieść naszych, lecz poginęli wszyscy, kiedy podpalono domy. Trudno opowiedzieć, jak wielka była tam rzeź, którą nasi pod różnymi urządzili postaciami. Wojownicy królewscy ściągali po zwycięstwie łupy z poległych bez żadnej przeszkody. Król, poruszony tym przykrym widokiem, rozkazał kategorycznie oszczędzić pozostałych i udawszy się do warowni św. Piotra, przebaczył miłościwie wrogom, którzy na klęczkach błagali go o litość. By uniknąć podobnego losu, ci, którzy jeszcze się nie zjawili, albo przybyli teraz na wiadomość o zwycięstwie króla, albo wysłali zakładników, przysięgając królowi wierność, pomoc i należne poddaństwo. Zielone Święta 1004 roku spędził Henryk w Italii. Dopiero w samym końcu czerwca: Jadąc stąd dalej, stanął król w pokorze u progów kościoła świętego biskupa Marcina z Moguncji i tam święcił uroczyste urodziny apostołów. Następnie przejechawszy przez wschodnią Frankonię, odwiedził Saksonię, ten rajski ogród tonący w kwiatach, jak często nazywał ów kraj dla jego poczucia bezpieczeństwa i pełni życia. Tam ulżył on swemu dobrotliwemu skądinąd sercu, ujawniając długo ukrywaną oraz w tajemnicy chowaną nienawiść, i dla poskromienia okrucieństw pychą nadętego Bolesława zapowiedział wszystkim, wiernym Chrystusowi i jemu wasalom wyprawę wojenną na połowę sierpnia. Wojsko zebrało się w oznaczonym terminie w Merseburgu, po czym ruszyło nareszcie w tajemnicy na wroga. Dla stworzenia pozorów, iż wyprawa kieruje się wprost ku Polsce, zgromadzono w Borzycach i w Nizanach okręty, by nikt ze swoich, z uwagi na ich niepewną lojalność, nie zdradził nieprzyjacielowi, iż miano go obejść z drugiej strony. Tymczasem wielkie deszcze opóźniły ogromnie przeprawę wojska przez rzeki, wobec czego król w chwili, kiedy najmniej się tego można było spodziewać, podążył szybko do Czech. Lecz ten lew ryczący z wlokącym się za nim ogonem czynił wszystko, by powstrzymać jego wyprawę, i w lesie zwanym Miriquidui obsadził pewną górę łucznikami, zamykając w ten sposób wszelki dostęp. Gdy król się o tym dowiedział, wysłał w tajemnicy wyborowy oddział opancerzonych wojowników, który mimo oporu nieprzyjaciół wdarł się na spadzistą drogę i utorował łatwe przejście dla idących za nim wojów. Kiedy w tym czasie pewnego dnia Bolesław [przebywający w Pradze] siedział przy uczcie, jeden z naszych, kapelan biskupa [kołobrzeskiego] Reinberna, odezwał się tam na temat przybycia naszego wojska. Słyszając to, Bolesław zapytał go, co też on wygaduje. A gdy ten wyjawiał wszystko, co mu opowiadano, wówczas rzekł Bolesław: „Toć gdyby posuwali się jak te żaby, mogliby już tu przybyć”. I to jest prawdą, że gdyby króla nie ożywiła miłość do Boga, a tamtego nie roznosiła duma i pycha, nie przypadłaby nam tak nagle radość zwycięstwa.

Królowi sprzyjała także ta okoliczność, iż towarzyszył mu wygnany Jaromir, które to imię oznacza „silny pokój”. Jego oczekiwane przybycie zjednało nam oddział Czechów. Za ich radą i na ich wezwanie Jaromir otworzył królowi dostęp do swego kraju i oddał mu dobrowolnie jeden gród [Gniewin, dziś Brüx nad Białą], który znajdował się u samych jego

wrót. Król, opóźniwszy nieco marsz z powodu nieprzybycia na czas Bawarów, stanął u bram grodu zwanego Žatec [Saaz nad Eger], a kiedy mieszkańcy otwarli mu je zaraz i wyrznęli znajdującą się tam załogę polską, zaliczył ich w poczet swoich sprzymierzeńców. Równocześnie jednak, widząc tak wielką rzeź, król ulitował się i nakazał spędzić pozostałych przy życiu do kościoła. Wówczas znalazł się ktoś, kto utrzymywał z całą pewnością, iż Bolesław został zabity przez tamtejszych mieszkańców. Radowali się w Panu z tego powodu przyjaciele króla, a smucili obałamuceni stronnicy nieprawego księcia. Ci, plotkując między sobą, takie uknuli kłamstwo w głębi niegodziwego serca: jeżeli sprawy ułożą się pomyślnie dla króla, to oni nie będą mieli żadnego znaczenia i będą musieli znosić wiele przykrości z jego strony. Z tego powodu tlił się nadal ogień ukryty pod popiołem, gdy oni, gorsi od zwierząt nierozumnych, zarówno w tej sprawie, jak nieraz później, wyżej stawiali tego wroga wszystkich wiernych od własnego króla. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że Bóg Ojciec Przedwieczny, spoglądający na wszystko z góry, wybawi mocą niebieską swojego zastępcę na ziemi od ich podstępnych zamachów.

By schwytać lub zgładzić tego jadowitego węża, król wysłał do Pragi Jaromira wraz z najlepszymi naszymi wojownikami oraz tymi krajowcami, którzy opowiedzieli się po jego stronie. Uprzedzili go jednak wysłańcy wspomnianych wyżej wrogów króla, którzy odkryli kolejno cały plan Bolesławowi, nieprzeczuwającemu zgoła, iż grozi mu tak wielkie niebezpieczeństwo. Ostrzeżony przez owych wysłańców, Bolesław poczynił w tajemnicy przygotowania do odjazdu i w połowie następnej nocy, słysząc, jak w sąsiednim grodzie zwanym Wyszehrad dzwony wzywały mieszkańców do walki, opuścił Pragę z pierwszym oddziałem wojska i uciekł do ojczyzny. Zginął wówczas na moście, gdy podążał za Bolesławem, trafiony śmiertelnie Sobiesław [w rodzimej tradycji: Sobiebór], brat biskupa i świętego męczennika Wojciecha. Niewypowiedziany smutek pozostawił on wśród swoich, wielką zaś radość wśród wrogów. Nazajutrz przybył Jaromir i na prośbę ludu udzielił mu przed bramą miasta potwierdzenia praw oraz przebaczenia za czyny przedtem popełnione. Zaraz potem przywrócono go do dawnej godności i wśród wielkiej radości posadzono na tron oraz ubrano w kosztowne szaty w miejsce zwykłych, które zrzucił. Przyniesiono mu także w darze łupy, jakie każdy z wojowników ściągnął z uciekającego łub zabitego wroga. Uradowany z powodu tak licznych darów Jaromir został powiedziony do Wyszehradu, gdzie obwołano go władcą i gdzie przyrzekł wszystkim przebaczenie, a tym, którzy aż dotąd przy nim wytrwali, od dawna zasłużoną nagrodę. Ze wszystkich stron napłynął niezliczony tłum prostych ludzi i panów, aby pozyskać sobie łaskę nowego księcia i oczekiwać przybycia sławnego króla. Kiedy ten wreszcie nadjechał, biskup [praski] Dydak i książę Jaromir przyjęli go wśród potężnych owacyj kleru oraz całego ludu i poprowadzili do kościoła św. Jerzego. Z kolei król obdarzył Jaromira w przytomności zebranych tam Czechów wszystkimi godnościami, jakie posiadał jego ojciec.

Jaromir objął więc władzę książęcą w Pradze jako lennik króla Niemiec, Bolesław zdecydowanie przegrał. Skończyło się działanie, uważane przez niektórych naszych historyków za jedyny w dziejach Polski piastowskiej przejaw „myśli imperialnej”.

Tradycja przypisuje Chrobremu zamiar stworzenia jednolitego państwa zachodniosłowiańskiego i boleje nad klęską tego planu. Trudno rzeczywiście stłumić żal, jeśli

się pamięta o późniejszych losach plemion zza Odry, a także samych Czech i Polski. Jedność słowiańska może by sprostała naporowi Germanów. Ale cóż komu przyjdzie z teoretycznych biadań? Owa jedność była celem niemożliwym do osiągnięcia. W średniowieczu przeważały tendencje odśrodkowe, czego najlepszym dowodem są dzieje nie Polski i nie Czech, lecz Niemiec właśnie. Stulecia upłynęły, zanim na dobre zjednoczyły się plemiona, mieszkające w zlewiskach tych samych rzek i mówiące tym samym językiem.

Pewien, zapewne przeważający, odłam Czechów przeszedł na stronę Henryka II. Inni aż do końca byli wierni Bolesławowi. Wśród nich brat św. Wojciecha, Sobiebór, gorzko opłakiwany przez „swoich”. Króciutka wzmianka kronikarza pozwala – być Rysunek - św. Wacław, miniatura z Kodeksu Wyszehradzkiego (ok. 1085), sporządzonego z okazji koronacji pierwszego króla Czech, Wratysława II. Národní knihovna, Praga

Złoty Kodeks Gnieźnieński (Codex Aureus Gneznensis), oprawa, ewangelia z XI w. Archiwum Archidiecezjalne w Gnieźnie Infula biskupia, przypisywana św. Stanisławowi, ok.1253. Muzeum Katedralne na Wawelu, Kraków Cesarz Otton II nadaje św. Wojciechowi godność biskupa (przez wręczenie pastorału w Weronie). Scena z Drzwi Gnieźnieńskich, ok.1175 Cesarz Otton III (980-1002), miniatura z Ewangeliarza Ottona III, ok. 998. Bayerische Staatsbibliothek, Monachium, Niemcy Cesarska korona Ottona I Wielkiego (912-973), koniec X w. Kunsthistorisches Museum, Wiedeń

Mapa Polski za panowania pierwszych Piastów (966-1138 r.) może - odgadywać, z kogo składała się grupa zwolenników Bolesława. Prawdopodobnie z takich ludzi, którym tkwił jeszcze w pamięci rok 1000, zjazd w Gnieźnie i pomysł ładu powszechnego. Przecież poczynaniom owego roku patronowała postać św. Wojciecha.

Odwrót Bolesława Chrobrego z Pragi to ostateczna klęska postanowień, powziętych w Gnieźnie przed czterema laty. Słuchajmy uważnie oskarżeń Thietmara. Biskup karcni Polaka nie za zbrodnie czy podboje, lecz za to, że „podnosiła się do niebываłych rozmiarów zuchwałość jego niepoohamowanych zamierzeń”. Kronikarz ten jest mistrzem w sztuce pisania między wierszami. Można odcyfrować te zawiłości, ale pod jednym warunkiem: trzeba stale pamiętać, co Thietmar wyznaje w polityce, a co zwalcza.

To może za mało widzieć w Chrobrym twórcę planu zjednoczenia Słowian zachodnich. Jego działalność w dobie historii, zamkniętej przez odwrót z Pragi, służyła celom jeszcze szerszym.

Otto III zmarł nagle, margrabia Ekkehard został zamordowany. Ich ideowy spadkobierca przegrał najpierw na najdalej wysuniętych placówkach, czyli w Niemczech, potem w Czechach. Zepchnięty do zaodrzańskiego matecznika trzymał się tam mocno. Dotychczasowe zmagania nie dotknęły jeszcze ziem Polski.

Poczynając od jesieni 1004 roku, kronika Thietmara opowiada o zwykłej wojnie dwóch państw. Problemy wielkie, dotyczące organizacji całego zachodniego chrześcijaństwa, znikły. Teraz gra się toczy o niepodległość Polski, czyli o istniejące już i przyszłe bogactwo kultury kontynentu. Zwycięstwo tego programu, który wyznawał Thietmar, oznaczało wszak

niwelację. Tak zwany *Drang nach Osten* potępia się za krzywdy wyrządzone plemionom, które posiadały wszelkie dane na wyrośnięcie w naród czy narody. Mniej się pamięta o zubożeniu kultury Europy. Ludy wytępione miały własny dorobek, nie gorszy od polskiego i wytrzymujący porównanie z cywilizacją zdobywców. Wiek XI był dla wszystkich dopiero samym początkiem wspinaczki. Kraj pomiędzy Łabą a Odrą mógł wzbogacić dorobek ogólny o jeden więcej oryginalny ton. Podbity, możliwość tę utracił. Od wyniku działań wojennych, rozpoczętych w roku 1004, zależało, czy zachowa ją Polska. Początki nie zapowiadały aż tak poważnych zagadnień, nosiły charakter starć granicznych.

Po załatwieniu wszystkich spraw król odprawił do domu Bawarów, sam zaś z nowym księciem czeskim podążył wśród niewymownych trudności po drodze do sąsiedniego kraju Milczan i obiegł gród Budziszyn. Gdy pewnego dnia zachęcał swoich wiernych wojowników do szturm, o mało nie został raniony znieścacka przez jednego z łuczników z murów, gdyby opatrność Boża nad nim nie czuwała. Ofiarą padł ten, który stał tuż obok niego, i w ten sposób wrogi zamiar innego dosięgnął człowieka. Król zaś chwalił Boga z wzniesionym ku Niemu w pokorze sercem za to, iż okazał mu znowu nie-zasłużenie swoją zwykłą czujność i miłość. Tymczasem sam gród leżałby dawno w zgłiszczach - wszak już przygotowano ogień - gdyby nie przeszkodził temu nieszczęsny rozkaz margrabiego Guncelina.

Wielu wojowników z obu stron odniosło rany, a niektórzy padli zabici. Gdy jeden z naszych, imieniem Hemuza, szlachetny urodzeniem i męstwem, wyzywał często do walki obłożonych i ścigał ich potem aż do samych murów, padł ugodzony połową młyńskiego kamienia w hełmem okrytą głowę. Wśród okrzyków radości zaciągnęli nieprzyjaciele trupa do grodu. Mój brat Henryk, którego wasalem był Hemuza, wykupił jego ciało za pieniądze i odwiózł do ojczyzny. Inny znowu wojownik, z powodu swej namiętności polowania dzikim Tomem nazywany, broniąc się dzielnie nad rzeką Sprewą, wpadł do wody wskutek pośliznięcia się na kamieniach. Hartowny pancerz osłaniał go czas jakiś, lecz w końcu rana później zadana o śmierć go, niestety, przyprawiła. Jeden z towarzyszy chciał przeszkodzić w uprowadzeniu ciała przez nieprzyjaciela, lecz zwałił się tylko na nie, przesyty grotem. Gdy już przesiliły się te okropności wojny, Bolesław wysłał rozkaz do załogi i gród, zawarowawszy sobie wolne wyjście obrońców, poddał się królowi. Ten obsadził go zaraz nową załogą.

Następnie powrócił do domu wraz z wojskiem, które aż nadto było znużone marszami i głodowaniem. Gdzie zachodziła jednak potrzeba, wzmocnił po drodze siły margrabiów zwykłymi w tych wypadkach uzupełnieniami.

Rok 1005 stał się dla Polski chwilą próby. Wyprawa niemiecka, jakiej nigdy dawniej nie było, ruszyła na wschód. Szła przez kraje wcale jeszcze nie germańskie, te właśnie, których los dopiero się rozstrzygał. Dało to kronikarzowi okazję do napisania kilkudziesięciu kipiących moralnym oburzeniem zdań. Mieszczą się w nich wiadomości o kulturze, która miała zaginać.

[Henryk] ogłosił [...] pod sankcją królewską na dworze i we wszystkich hrabstwach swego państwa wyprawę wojenną przeciw Polsce i nazaczył zbiórkę wojska w Licykawie [Leitzkau koło Magdeburga]. Wojsko zebrało się w wyznaczonym czasie, tj. 16 sierpnia, i w



zapowiedzianym miejscu. Król, spędziwszy święto Wniebowzięcia Matki Bożej w Magdeburgu, tegoż dnia po mszy świętej i rozdaniu jałmużny przeprawił się przez Łabę w towarzystwie królowej [...].

Sprawiwszy w szyk swoje wojska, król ruszył stąd dalej, a królowa powróciła szybko do Saksonii i postanowiła oczekiwać tam powrotu swojego ukochanego męża. Kiedy wojsko nasze dotarło szczęśliwie do miejscowości Dobry Ług w Łużycach, pospieszyli mu na pomoc książęta Henryk [bawarski, brat królowej] i Jaromir wraz ze swoimi i wielkiej mu dodali otuchy i radości z uwagi na swoją roztropność i męstwo. Ponieważ jednak przewodnicy zostali przekupieni i o swoje tylko dbali interesy, poprowadzili oni wojsko naokoło przez pustynie i bagna, narażając je na wielkie uciążliwości. Opóźnili oni przy tym przez swoją podłą złośliwość marsz wojska, aby nie mogło ono szybko wystąpić przeciw nieprzyjacielowi. W dalszym swoim marszu dotarło wojsko do kraju zwanego Nice [między dolną Nysą i Sprewą, koło Gubina] i rozbiło obóz nad rzeką Sprewą. Kiedy dzielny rycerz Thiedbern dowiedział się tutaj, iż nieprzyjaciel zaczął się, by zaatakować z boku nasze wojsko, zebrał potajemnie najlepszych rycerzy i chcąc samemu sobie przysporzyć sławy, postanowił podejść go i zniszczyć podstępem. Nieprzyjaciel jednak bardzo przezornie uciekł między gęsto leżące ścięte drzewa, aby tym skuteczniej móc nękać stąd nacierających. Wypuściwszy, jak zwykle, strzały, które u niego główny stanowią środek obronny, zabił z tej zasadzki, a następnie złupił najpierw owego Thiedberna, potem Bernarda, Izysa i Bennona, sławnych wasali biskupa Arnulfa, oraz wielu ich towarzyszy broni. Stało się to 6 września i wielkim napełniło bólem króla oraz całe jego otoczenie. Niektórzy wiarogodni ludzie podają, że i Bolesław odczuwał wyrzuty sumienia z tego powodu. Zanim nasi dotarli do Odry, połączyli się z nimi dnia poprzedniego Lucicy, którzy kroczyli za poprzedzającymi ich w pochodzie bożkami.

Choć wzdragam się mówić o nich cokolwiek, to jednak przedstawię pokrótce, kim są i skąd tu przybyli, abys poznał, kochany czytelniku, czczy zabobon i ohydny kult pogański tego ludu.

Jest w kraju Redarów pewien gród o trójkątnym kształcie i trzech bramach doń wiodących, zwany Radogoszcz, który otacza zewsząd wielka puszcza, ręką tubylców nietknięta i jako świętość czczona. Dwie bramy tego grodu stoją otworem dla wszystkich wchodzących, trzecia, od strony wschodniej, jest najmniejsza i wychodzi na ścieżkę, która prowadzi do położonego obok i strasznie wyglądającego jeziora. W grodzie znajduje się tylko jedna świątynia, zbudowana misternie z drzewa i spoczywająca na fundamencie z rogów dzikich zwierząt. Jej ściany zewnętrzne zdobią różne wizerunki bogów i bogiń - jak można zauważyć, patrząc z bliska - w przedziwny rzeźbione sposób; wewnątrz zaś stoją bogowie zrobieni ludzką ręką, w straszliwych hełmach i pancerzach, każdy z wyrytym u spodu imieniem. Pierwszy pośród nich nazywa się Swarozyc i szczególnej doznaje czci u wszystkich pogan. Znajdują się tam również sztandary, których nigdzie stąd nie zabierają, chyba że są potrzebne na wyprawę wojenną, i wówczas niosą je piesi wojownicy. Dla strzeżenia tego wszystkiego z należytą pieczołowitością ustanowili tubylcy osobnych kapłanów. Kiedy zbierają się tutaj, by składać bożkom ofiary lub gniew ich przebłagać, kapłani jedynie mają prawo siedzieć, podczas gdy inni stoją. Szepcząc sobie wzajemnie

tajemnicze wyrazy, kopią z drzeniem ziemię, ażeby na podstawie wyrzuconych losów zbadać sedno spraw wątpliwych. Po zakończeniu tych wróżb przykrywają losy zieloną darnią i wbiwszy w ziemię na krzyż dwa groty od włóczni, przeprowadzają przez nie z gestami pokory konia, którego uważają za coś największego i czczą jako świętość. Rzuciwszy następnie losy, przy których pomocy już przedtem badali sprawę, podejmują na nowo wróżbę przez to niejako boskie zwierzę. Jeżeli z obu tych wróżb jednaki znak wypadnie, wówczas owe plemiona idą za nim w swym działaniu, jeżeli nie, rezygnują ze smutkiem całkowicie z przedsięwzięcia. Ze starożytności [tj. z zamierzchłej przeszłości], którą fałszowano przy pomocy różnych błędnych opowieści, pochodzi świadectwo, że ilekroć grożą im srogie przykrości długiej wojny domowej, wychodzi ze wspomnianego wyżej jeziora potężny odyniec z pianą połyskującą na białych kłach i na oczach wszystkich tarza się z upodobaniem w kałuży wśród straszliwych wstrząsów.

Ile okręgów w tym kraju, tyle znajduje się świątyń i tyleż wizerunków bożków doznaje czci od niewiernych, między nimi jednak wspomniany wyżej gród posiada pierwszeństwo. Gdy na wojnę ruszają, zawsze go pozdrawiają; gdy szczęśliwie z niej powracają, czczą go należnymi darami i przez losy oraz przez konia, jak wyżej powiedziano, pilnie badają, jaką ofiarę stosowną winni kapłani złożyć bogom. Niemy gniew bogów łagodzą ofiary z ludzi i z bydła.

Te wszystkie plemiona, zwane razem Luckami, nie mają nad sobą jednego władcy. Swoje ważne sprawy roztrząsają na zgromadzeniu w drodze wspólnej narady i, aby przywieść jakąś sprawę do skutku, muszą wszyscy wyrazić zgodę. Jeżeli jakiś tubylec sprzeciwia się na zgromadzeniu już powziętym decyzjom, okładają go kijami, a jeżeli stawia jawny opór poza zgromadzeniem, wówczas albo pozbawiają go majątku, konfiskując go w całości lub podpalając, albo też płaci on w ich obecności należną wedle stanu sumę pieniędzy. Sami wiarołomni i zmienni, od innych jednak stałości wymagają i bez-względnej wierności. Układ pokojowy umacniają przez podanie prawicy i równoczesne wręczenie obciążonego czuba włosów z wiązką trawy. Łatwo jednak dają się przekupić pieniędzmi, by go naruszyć.

W takim orszaku przybyli na pomoc królowi owi wojownicy niegdyś niewolni, dziś przez naszą niesprawiedliwość wolni. Unikaj, czytelniku, stosunków z nimi i z ich religią i słuchaj pilnie oraz przestrzegaj przykazań bożych! Jeżeli przyswoisz sobie i zachowasz w pamięci wyznanie wiary biskupa Atanazego\*, będziesz mógł stwierdzić z wszelką pewnością, iż żadnej nie mają wartości te rzeczy, które wyżej przedstawiłem.

Owóz te tak różne i pod różnym przewodnictwem kroczące oddziały dotarły wnet do Odry i rozbiły namioty nad krętą rzeką, zwaną po słowiańsku Bóbr, po łacinie zaś Castor. Bolesław jednak, obwarowawszy brzeg tej rzeki i usadowiwszy się z wielkim wojskiem w Krośnie [przy ujściu Bobra do Odry], przeszkadzał, jak mógł, w przeprowianiu się ich na drugą stronę. Kiedy król, zabawiwszy tam siedem dni, jął przygotowywać już okręty i mosty, Boża opatrność wskazała wysłanym przezeń wywiadowcom bardzo dogodny bród na rzece. Z brzaskiem dnia sześć legii udało się tam na rozkaz króla i skorzystało bezpiecznie z owego brodu. Straż Bolesława, która zauważyła to z daleka, zaniósła czym prędzej swemu władcy tę smutną i trudną do wiary wiadomość. Ten, upewniwszy się wreszcie przez trzykrotnie czy

więcej nawet razy wysyłanych wywiadowców, zwinął szybko obóz i uciekł wraz ze swoimi, pozostawiając na miejscu wiele materiału wojennego. Król, przyglądając się temu bacznie wraz ze swoimi, wznosił z duchowieństwem i ludem całym hymn pochwalny na cześć Chrystusa i przeprawił się bezpiecznie przez rzekę. Ci zaś, którzy pierwsi się przeprawili, byliby dopadli nieprzyjaciół zniecacka w namiotach, gdyby nie musieli wyczekiwać na opóźniających się w marszu Luciców. Nasi puścili się żwawo w pościg za wrogami, nie mogli ich jednak dosięgnąć, ponieważ tamci uciekali jako te rączę jelenie, wobec czego wrócili do swoich towarzyszy.

Król ruszył stąd dalej i przybył do opactwa w Międzyrzeczu, gdzie postanowił obchodzić z największą, jaką tylko mógł, czcią doroczne

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Św. Atanazy, biskup aleksandryjski (296-373), autor wielu pism apologetycznych. Thietmar ma tu na myśli symbol „Quicumque”, który wprawdzie nie pochodzi od św. Atanazego, lecz znajduje się w jego pismach i stąd jemu był przypisywany.

święto Legionu Tebaidzkiego\*. Równocześnie starał się zapobiec temu, by ani klasztor, ani mieszkania nieobecnych mnichów nie poniosły żadnej szkody ze strony naszych. Następnie, niszcząc wokoło najbliższe okolice, ścigał dalej nieprzyjaciela, tak że ten nie miał wprost odwagi nocować w żadnym ze swoich grodów. Zatrzymał się dopiero na prośby swoich książąt o dwie mile od poznańskiego grodu. Wojsko jednak, które rozdzieliło się dla zebrania żywności i innych potrzebnych materiałów, poniosło wielkie straty od nieprzyjaciół, którzy zaatakowali je z zasadki. Tymczasem Bolesław prosił króla o przebaczenie przez zaufanych pośredników i wnet je sobie wyjednał. Arcybiskup Tagino oraz inni mężowie z otoczenia króla udali się na zaproszenie Bolesława do wymienionego wyżej grodu i zawarli z nim, pod przysięgą oraz na podstawie słusznych poprawek, trwały pokój. Z radością tedy wracali nasi do domu, ponieważ wielkie znosili trudy wskutek długich marszów i dotkliwego głodu, nieodłącznych od przykrości wojny.

Wytepiwszy sprawców wszelkich niegodziwości, król zabiegał usilnie po tych wypadkach o ugruntowanie w naszym kraju upragnionej pomyślności oraz bezpieczeństwa. Dlatego kazał powiesić na stryczku w Fallersleben sławnego rycerza Bruncjona z Merseburga, spośród Słowian zaś możnego Borysa i Wszemysła wraz z ich stronnikami. Często odbywał zjazdy ze Słowianami w Wierzbianach leżących nad Łabą i, czy chcieli, czy nie chcieli, omawiał z nimi potrzeby swego państwa i narzucał w końcu swoją wolę. Gwoli obrony ojczyzny kazał odbudować zburzony poprzednio [przez Wioletów w 997] Arneburg [gród obronny na lewym brzegu Łaby] i zwrócić wszystko, co stamtąd dawniej nieprawnie zostało zabrane. Uczestnicząc osobiście w sądzie synodalnym, zabronił na mocy kanonicznego i apostołskiego autorytetu zawierania nielegalnych związków

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Legion ten, złożony z samych chrześcijan, został sprowadzony w roku 286 przez cesarza Maksymiana z Teb w Górnym Egipcie w celu przeprowadzenia represji wśród chrześcijan. Ponieważ odmówił wykonania rozkazu, został wycięty w pień. Święto męczenników obchodzone w Niemczech (gdzie bardzo żywy był kult św. Maurycego, wodza legionu) niezwykle uroczyście.

małżeńskich oraz sprzedawania chrześcijan poganom. Tych, którzy odrzucali sprawiedliwość Bożą, polecił zniszczyć mieczem władzy duchownej.

Szubienicą karało się wtedy zdradę. Wspomniane przez Thietmara egzekucje wykonano więc na pewno na stronnikach Polski. A co się tyczy sprzedawania chrześcijan poganom, to zakaz Henryka nie odnosił się do Słowian zachodnich. Chodziło o zwykły handel niewolnikami, którym parali się kupcy arabscy i żydowscy.

Zdaniem Thietmara Henryk II zawarł pod Poznaniem układ korzystny. Całkiem co innego głosi współczesny niemiecki „Rocznik Kwedlinburski”. W rubryce „rok 1005” powiada, że straty „o boleści!” (pro dolor) były duże, król przyjął „niedobry” pokój i powrócił do siebie, uwożąc ciała poległych.

Jednak nie naśladowmy Thietmara i nie ciągnijmy zbytnio w swoją stronę. Bolesław przegrał kampanię. Niepodległość Polski obronił, ale monarchia poniosła straty terytorialne na peryferiach. Miłsko i Łużyce przyszło oddać, coś niepomysłnego zaszło i na Pomorzu Zachodnim, skoro Wolin zaczął sobie poczynać samodzielnie w polityce.

Źródła pisane są skąpe, więc dopiero wykopaliska wyjaśniły, czemu Henryk II, doszedłszy pod sam Poznań, nie zdobył się na cios ostateczny, nawet go nie próbował wymierzać. Położony w widłach Warty i Cybiny gród poznański był twierdzą nie do wzięcia. Nie licząc już rozlewisk rzecznych, bagna i zasieków, przedproże właściwych obwarowań stanowił nasyp kamienny, ujęty w ścianę z belek wysoką na dwa przeszło metry. Dopiero z tego nasypu wyrastał stromy wał, sterczący co najmniej na dziesięć metrów i u dołu równie gruby. Trudno było zmęczonej, szarpanej wojną podjazdową armii ważyć się na szturm. Zmarnować wojsko w głębi nieprzyjacielskiego kraju znaczyć mogło: nie wrócić za Odrę.

Ocalił Polskę jej własny wcześniejszy dorobek. Technika obronna kraju nie ustępowała ani zachodniej, ani wschodniej. Henrykowi II nie dane było zażywać „upragnionej pomyślności oraz bezpieczeństwa”. W roku 1006 musiał walczyć na zachodzie, nad Skaldą, przeciwko grafowi Flandrii, Baldwinowi. A w kwietniu roku 1007:

Ponieważ jednak rzadko kiedy panuje jasna pogoda, po której by nie przyszły ciemne, mgliste chmury, przeto w chwili gdy król obchodził święta wielkanocne w Ratyźbonie, przybyli posłowie od Lucków, od wielkiego miasta zwanego Wolin oraz od księcia Jaromira z doniesieniem, iż Bolesław knuje różne złośliwe plany przeciw niemu i namawia ich słowem i pieniędzmi do ich wykonania. Oświadczyli również, że jeżeli król będzie nadal żył z nim w pokoju i udzielać mu swojej łaski, to nie będzie mógł liczyć na pewno na ich wierność. Król zastanawiał się nad tym z całą rozważą ze swoimi książętami i wysłuchawszy ich różnych głosów doradczych, przychylił się do ich gniewem podyktowanej opinii tak dalece, że wysłał

do Bolesława jego zięcia Hermana [margrabiego Miśni] i wypowiedział zawarty poprzednio układ pokojowy. Bolesław, dowiedziawszy się o tym poselstwie przez pośredników, przyjął grafa nie najlepiej, choć sam go poprzednio do siebie zapraszał. Wysłuchawszy jego przemówienia, usprawiedliwił się długo, po czym rzekł: „Chrystus, świadek wszechrzeczy, niechaj wie, jak niechętnie uczynię to wszystko, co mi odtąd czynić wypadnie”. Następnie, zebrawszy wojsko, spustoszył kraj zwany Morzyce, leżący obok Magdeburga, i przez ten wrogi krok zerwał węzły braterstwa, jakie zadzierzgnął przedtem w imię Chrystusa z magdeburczykami. Stąd ruszył do grodu warownego zwanego Czerwiszcze [stolica Morzyczan] i uprowadził ze sobą jego mieszkańców, zniewoliwszy ich częściowo strachem, częściowo uwodzicielską namową. Nasi, dowiedziawszy się o tym, przybyli z opóźnieniem i puścili się za nimi w pogoń, lecz bez zapalu. Prowadził ich arcybiskup Tagino. Był on wprawdzie uprzedzony z góry o sytuacji, lecz nie potrafił jej należycie zaradzić. Byłem i ja tam z nim również i kiedy przybyliśmy do miejscowości zwanej Juterbok [dziś Jüterbog we Fläming], rozważniejsi uznali, iż nie jest wskazanym ścigać nieprzyjaciół z tak małą siłą, wobec czego powróciliśmy do domu.

Bolesław tymczasem zajął na nowo Łużyce, Żarowe [gród między Bobrem i Nysą] i kraj Słupian i wkrótce potem przystąpił do oblężenia grodu Budziszyna obsadzonego przez załogę grafa Hermana, w czym okazał się zgoła nieżyczliwym teściem. Wysławszy posłów, zażądał od mieszkańców grodu, aby nie czyniąc ani jemu, ani sobie trudności, gród ten poddali; nie mogą bowiem liczyć na odsiecz ze strony swego władcy. Zawarto rozejm na siedem dni. Bolesław gotował się do szturmów, mieszkańcy zaś grodu błagali przez posłów króla i książąt państwa o pomoc, zobowiązując się, iż przez dalszych siedem dni jeszcze będą stawiali opór nieprzyjacielowi. Margrabia Herman, przybywszy do Magdeburga, zwrócił się do tamtejszego prepozyta Walter-da i zwołał przez specjalnych wysłańców wszystkich możnych. Oskarżał ich następnie gwałtownie, iż tak zwlekają z odsieczą, równocześnie zaś przez zaufanych ludzi dodawał otuchy rycerzom z załogi. Ci jednak, cierpiąc dotkliwie z powodu nieustannych szturmów Bolesława i opierając mu się dzielnie przez czas dłuższy, kiedy widzieli w końcu, iż niektórzy z ich towarzyszy zaczęli się chwiać, a ich władca nie przybywał im na odsiecz, poddali gród księciu polskiemu, uzyskawszy wprzód od niego zezwolenie na opuszczenie go wraz z całym dobytkiem. Ze smutkiem powrócili następnie do ojczyzny.

W roku 1005 działania wojenne dotknęły okolic Poznania, a teraz oto fala powróciła do punktu wyjścia. Polska odzyskała Budziszyn, który oddała na początku wojny. Organizm jej musiał mieć silne ścięgna, skoro odprężył się jak guma.

Wojna wlokła się bez końca i trudno przytaczać wszystkie poświęcone jej fragmenty kroniki. Z opowiadania Thietmara wynikać się zdaje, że działania zamierały w zimie, lecz wzmagaly się co wiosna. Zaraz po Wielkiejnocy 1010 roku wspierani przez Czechów Niemcy wdarli się na Śląsk. Nie próbowali nawet zdobywania twierdz, pustoszyli tylko ziemie Ślęzan i Dziadoszan. Bolesław trzymał swoich na wodzy, nie szedł do walnego starcia, szarpał wojną podjazdową. Powstrzymał swe rycerstwo nawet wtedy, kiedy hufce niemieckie przesuwaly się pod samym Głogowem, doskonale widoczne z wałów.

Nie udała się Polakom wyprawa za Łabę. Dwaj tamtejsi Słowianie skrycie doprowadzili silny oddział pod samą Miśnię, ale Niemcy dobrze strzegli grodu. Przyszło zawrócić - bez strat, lecz i bez zysku. Tylko obydwoj przewodnicy zapłacili za to głowami. Widocznie powrócili do swych domostw i ktoś ich zdradził.

Bolesław nie uczestniczył w tym wypadku, oczekiwał wieści w Budziszynie. Za to w roku 1012 osobiście obiegł Lubusz. Szczęście przebiera między ludźmi, do jednych się uśmiecha, innym pokazuje plecy. Wylew Łaby powstrzymał odsiecz niemiecką, Chrobry miał czas na inscenizację widowiska. Kazał zastawić ucztę, zza stołu biesiadnego przyglądał się ostatecznemu szturmowi.

Puściła brama, polała się krew wielu wojowników. Wzięci zostali do niewoli znakomici rycerze Guncelin i Wizo oraz ranny dowódca grodu Scih, który nie miał zgoła szczęścia. Albowiem ilekroć dostawał jakiś gród pod swoją pieczę, zawsze go tracił, i to nie przez swoje tchórzostwo, lecz wskutek nieszczęśliwych okoliczności. Wszystkich tych jeńców przywieziono przed oblicze dumnego zwycięzcy i na jego rozkaz odprowadzono zaraz do więzienia. Spośród wojowników księcia Bolesława poległo tam nie mniej niż pięciuset. Ta straszliwa rzeź miała miejsce 20 sierpnia. Rozdzieliwszy nieprzebrane łupy i podpaliwszy gród, zwycięskie wojsko powróciło wraz z wodzem swoim w radosnym nastroju do domu.

Gród w Lubuszu spalił był w swoim czasie Henryk I. Nie na długo przed opisywanymi wypadkami Henryk II kazał go odbudować i obsadził załogą. Jesienią 1012 roku wojna zamarła na dłużej. Obie strony miały bowiem drugie fronty, które dały właśnie znać o sobie.

Córka Chrobrego wydana do Kijowa za Świętopełka, syna Włodzimierza Wielkiego, dostała się wraz z mężem oraz byłym biskupem kołobrzeskim Reinbernem do więzienia. Sprawy dynastyczne znaczyły wtedy wiele, ale zatarg z pewnością dotyczył nie tylko osób. Zaniósł się na pierwszą wyprawę Bolesława na wschód. Należało zatem doraźnie ugodzić się z Niemcami.

Henryk II władał nimi już od lat dziesięciu, ale dotychczas nie był jeszcze cesarzem. Nie sprzyjała mu koniunktura w Rzymie. Tymczasem wtedy właśnie stosunki nad Tybrem uległy zmianie, zaświtała okazja. Obie strony pragnęły pokoju, ale Thietmar wołał wspomnieć tylko o zabiegach Polski.

Tymczasem król wyjechał z Allstedt, gdzie spędził święto Objawienia Pańskiego i gdzie przyjął posłów Bolesława. Posłowie ci prosili o pokój i obiecywali, iż zaprzysięgnie go syn Bolesława, Mieszko. Z kolei przybył król do Merseburga. Tam dowiedział się o śmierci wspomnianego wyżej arcybiskupa [bremeńskiego Libencjusza] i obżalowywał go z powodu doraźnej straty dla państwa, wieszował sobie jednak z uwagi na przyszłe wstawiennictwo zmarłego u Boga. Z wielką też gorliwością uczcił jego pamięć. Następnie odjechał od nas i obchodził święto Oczyszczenia Bożej Rodzicielki w Magdeburgu. [...]

W kilka dni potem przybył z wielkimi darami syn Bolesława Mieszko i złożył hołd lenny królowi, po czym przysięgą wzmocnił złożone przyrzeczenie. Następnie odprawiono go z wielkimi honorami i okazano mu wiele uprzejmości, by skłonić go do powtórnego przyjazdu.

W tym czasie zerwała się wielka burza po zachodzie słońca i silny wśród nas wywołała niepokój. Zwaliała bowiem kościół pod miastem, który zbudowano z czerwonego drzewa jeszcze za panowania Ottona I. Ponadto duża część majątku arcybiskupa padła ofiarą pożaru.

Na domiar złego doszło do uszu królewskich, że mój krewniak Wirinhar udał się wraz z bratem margrabiego Hermana, Ekkehardem, bez pozwolenia królewskiego do Bolesława i wygłaszał tam słowa nie dające się pogodzić z lojalnością wobec swego władcy oraz że przyjmował u siebie w sekrecie posłów Bolesława. Król czuł się tym wszystkim bardzo dotknięty i kazał stawić się jednemu i drugiemu przed swoim obliczem, a kiedy tym zbrakło do tego odwagi, zajął wszystkie ich posiadłości i ogłosił winnymi oporu wobec władzy królewskiej. Mój brat stryjeczny odzyskał w końcu łaskę królewską i odwołanie banicji za cenę jednej swej posiadłości i złota. Ten drugi jednak dopiero po upływie dłuższego czasu został ułaskawiony dzięki interwencji przyjaciół. [...]

Z nadchodzącym właśnie wielkim postem król przybył do Werli, gdzie długo chorował na ostre bóle żołądkowe i rozliczne miał we śnie widzenia. W końcu wyzdrowiał dzięki łzom i modlitwom z wielu stron, a ponieważ nie mógł w tak krótkim czasie dotrzeć tam, dokąd pragnął się udać [tj. do Akwizgranu], przeto spędził uroczystość Wielkanocy z odpowiednim nabożeństwem w Paderborn u bardzo mu oddanego [biskupa] Meinwerka, Zielone Świąta zaś u nas [tj. w Merseburgu]. W wigilię tych świąt przybył Bolesław, ubezpieczywszy się uprzednio przez przysłanych mu zakładników, których pozostawił u siebie w domu. Przyjęto go jak najlepiej. W samo święto Bolesław, złożywszy ręce, oddał hołd lenny i po wzajemnej wymianie przysięg niósł miecz przed królem, gdy ten kroczył w uroczystym stroju do kościoła. W poniedziałek zjednął sobie króla bogatymi darami, które mu złożył od siebie i od swojej małżonki, i z kolei otrzymał z jego szczodrych rąk jeszcze większe i piękniejsze dary oraz z dawna upragnione lenno [tj. Łużyce i Milsko]. Odesłał następnie z honorami i uprzejmościami zakładników królewskich. Po tych wypadkach udał się Bolesław na Ruś, przy czym nasze wojska wspierały go w tej wyprawie. Tam spustoszył duży szmat kraju, a gdy spór wybuchł między jego żołnierzami i goszczącymi ich Pieczyngami, kazał wybić tych ostatnich do nogi, mimo iż byli jego sprzymierzeńcami.

Widocznie Bolesław dobrze sobie zapamiętał doświadczenie sprzed lat dziesięciu, kiedy to omal nie zginął w tymże Merseburgu. Wziął więc zakładników.

To, co w maju 1013 roku zaszło w Merseburgu, zrozumieć można tylko na tle oryginalnych pojęć i zwyczajów średniowiecza. Hołd lenny nie zawsze oznaczał zależność polityczną. W przeciwnym razie cesarze i królowie Francji nie mogliby bywać lennikami klasztorów, położonych na ich własnych terytoriach. „Niesienie miecza przed królem (cesarzem) niemieckim w uroczystym pochodzie było zaszczytem, który przypadał w udziale

znakomitym lennikom względnie niepodległym władcom bawiącym na jego dworze" - pisze profesor Jedlicki.

Wspomniany już „Rocznik Kwedlinburski” jest bardziej prawdopodobny od Thietmara. Henryk - powiada - dla dobra pokoju przyjął Bolesława z królewskimi honorami i zawarł układ nie bez uszczerbku dla własnego państwa.

Polska otrzymała wtedy Łużyce i Milsko. Złożony przez Bolesława hołd dotyczył tylko tych terytoriów i stanowił gwarancję dotrzymania warunków układu. Obie strony przyrzekły sobie pokój oraz posiłki. Oddział niemiecki miał iść z Bolesławem na Kijów, polski z Henrykiem do Rzymu.

Wyprawa na Ruś skończyła się tak samo, jak niedawny zamach na Miśnię, bez strat, nawet bez bitwy, lecz i bez zysków. Ucierpieli tylko Pieczyngowie. Mieszkali oni, a raczej koczowali, w stepach czarnomorskich, między Dunajem i Donem. Byli sprzymierzeńcami Chrobrego w owej akcji i zawiedli się gorzko, gdyż liczyli na łupy. Zatarg z Polakami, źle zakończony dla Pieczyngów, wynikł prawdopodobnie na tym tle. Skoro Chrobry ugodził się z władcą Kijowa, zdobyczy zabrakło.

Henryk II również mniej osiągnął, niż się spodziewał: Król tymczasem udał się do zachodnich części państwa, po czym skierował się do Lombardii i znowu do nas powrócił. Wyjechawszy stąd 21 września, pospieszył przez Bawarię i Szwabię do miejscowości zwanej... [prawdopodobnie Augsburg], Tam nadciągnęło zewsząd wojsko i okazało się, iż wszyscy pragną nieść pomoc królowi. Stąd bez żadnych przeszkód dotarł król w towarzystwie królowej aż do samego Rzymu. Tylko Bolesław, choć otrzymał przedtem wezwanie, nie poczuwał się do obowiązku pomocy w tej wyprawie i okazał się, jak zwykle, kłamcą w swych pięknych obietnicach. Poza tym skarżył on się poprzednio w liście papieżowi [Benedyktowi VIII], iż nie może uścić czynszu przyrzeczonego księciu apostołów, Piotrowi, z powodu przeszkód stawianych mu skrycie przez króla\*. Obecnie zaś,

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Według M. Jedlickiego można się domyślać, iż Henryk wydał rozkaz nieprzepuszczania przez terytorium Niemiec osób wiozących ów czynsz do Rzymu.

wysławszy tam szpiegów, wywiadywał się po cichu, jak stoją sprawy króla w tamtych stronach [tj. w Italii], oraz starał się przez nich zbuntować kogo tylko mógł przeciw niemu. Taką była zaś jego bo-jaźń boża! W tym celu zabiegał o pomoc ze strony prawych ludzi! Taką mieniła się wierność niezłomna znakomitego wasala i tyle dbał o najstraszliwsze przysięgi! Uważ, czytelniku, co czynił on pośród tylu zdrożności! Kiedy mianowicie albo sam poczuł, albo przekonał się pod wpływem jakiegoś chrześcijańskiego upomnienia, iż wiele narzeszył, kazał przedłożyć sobie kanony i badać, w jaki sposób należy naprawić grzechy, po czym, w myśl zawartych tam przepisów, starał się odpokutować zbrodnie, których się był dopuścił. Lecz silniejszą była u niego skłonność do popełniania zgubnych przestępstw niż do trwania w zbawiennej pokucie!



Był więc Bolesław całkiem normalnym politykiem. Dodać by najwyżej można, że pokuty, które odprawiał, wcale niekoniecznie oznaczały samobiczowanie czy włosiennice. Budowa nowego kościoła, obdarzenie klasztoru włościami to także były formy zadośćuczynienia właściwe monarchom i w ogóle możliwym.

A jednak w życiorysie Chrobrego są rzeczy dziwne. Lgnęli do niego ludzie wielkiego ducha. Tacy, co moralnie wyprzedzali swój wiek i doznawali gdzie indziej krzywd oraz niepowodzeń. Polska Chrobrego aż dwukrotnie udzieliła schronienia i poparcia przyszłym świętym Kościoła. Co prawda, sprzymierzający się z poganami Henryk II też został kanonizowany po śmierci, ale mowa teraz o dwóch mężach rzeczywiście niezwykłych. Pierwszym z nich był św. Wojciech. Drugiego Thietmar znał osobiście.

Żył za moich czasów i kształcił się razem ze mną niejaki Bruno, który pochodził z bardzo znakomitego rodu i z łaski niebios bardziej niż inni jego krewni wyróżniony był wśród synów bożych. Jego czcigodna i miłująca go nade wszystko matka Ida oddała go do szkoły filozofa Gedдона [kierownika magdeburgskiej szkoły katedralnej], gdzie uzyskał w obfitości to wszystko, co było mu potrzebne do wykształcenia. Jego ojcem był Bruno, znakomity i pod każdym względem na pochwałę zasługujący wielmoża, mnie bliski przez pokrewieństwo, wszystkim zaś przez swoją życzliwość. Syn tegoż, a zarazem imiennik, ilekroć miał rano iść do szkoły, prosił przed opuszczeniem mieszkania o wolną chwilę i podczas gdy myśmy igrali beztrosko, on oddawał się modlitwie. Pracę wyżej cenił od odpoczynku i w ten sposób, zbierając jej owoce, doszedł do wieku dojrzałości. Otto III upodobał go sobie i zaciągnął w swoją służbę, lecz on go wnet opuścił i szukając życia pustelniczego, utrzymywał się z owoców własnej pracy [w eremie Pereum pod Rawenną]. Po śmierci przesławnego cesarza, kiedy z bożej łaski panował Henryk II, przybył do Merseburga i prosił go o godność biskupią z upoważnienia papieża\*. Na rozkaz króla otrzymał tamże z rąk arcybiskupa Taginona święcenia biskupie oraz paliusz, który sam tutaj przywiózł. Następnie dla korzyści swej duszy podjął się trudu wielkiej i odległej podróży, ćwicząc swe ciało głodem i umartwiając się czuwaniem. Wiele otrzymał darów od Bolesława i innych bogaczy, lecz z miejsca rozdzielił je między kościoły, przyjaciół i biednych, niczego nie zatrzymując dla siebie.

W dwunastym roku swego zbożnego, pustelniczego żywota podążył do Prus i bożym nasieniem starał się użyźnić tamtejsze jałowe pola, lecz wobec wciąż wyrastających cierni nie przyszło mu łatwo uprawić ten ugór. Kiedy 14 lutego głosił słowo boże na granicy tego kraju i Rusi, sprzeciwili się temu tubylcy, a gdy on dalej nauczał Ewangelii, schwytali go i za to, że tak kochał Chrystusa, który jest głową Kościoła, odcięli głowy zarówno jemu, jako jagnię łagodnemu, jak jego osiemnastu towarzyszom. Ciała tylu męczenników leżały niepochowane, aż dopiero Bolesław, dowiedziawszy się o tym, wykupił je i w ten sposób przysporzył swemu domowi błogosławieństwa na przyszłość. Stało się to za czasów najjaśniejszego króla Henryka, którego Bóg wszechmocny wyróżnił i - mam nadzieję - zbawił poprzez triumf tak wielkiego pasterza. Ojciec owego pasterza

**PRZYPISY AUTORA:**

\* Chodziło tu o uzyskanie godności arcybiskupa „gentium” dla zorganizowania akcji misyjnej wśród pogan.

zachorował w jakiś czas potem i przywdziawszy strój zakonny, jak mi sam opowiadał, na polecenie swojego syna, umarł w pokoju 19 października.

Kronikarz mówił o św. Brunonie z Kwerfurtu.

Bolesław udzielał mu poparcia we wszystkich jego wyprawach na wschód i południe. Bruno dwukrotnie bywał na Węgrzech, działał wśród Pieczyngów, odwiedził również Kijów. Historycy domyślają się, że Chrobry wprost namawiał misjonarza do wędrówek, którym nadawał znaczenie polityczne. Dla sprawiedliwości nie pominiemy jeszcze jednego. Władca Polski także potrafił sprzymierzać się z poganami, nie przewyższał więc w tym względzie Henryka II.

Przypomniawszy okoliczności obciążające, wolno przytoczyć fragment listu, który Bruno napisał w Polsce. Adresatem był Henryk II:

Jeśli ktoś powie, że tego władcę [Bolesława] kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni — to jest to prawda. Kocham go rzeczywiście jak duszę własną, a więcej od mego życia: Lecz w Bogu mam cennego świadka, że kocham go nie wbrew łasce waszej; gdyż, o ile mogę, pragnę go ku wam skłonić...

Za gorący jest ten ton, by przypisać wszystko pomyłce szlachetnego, lecz naiwnego marzyciela. Tajemnica kryła się w osobowości Chrobrego. Był człowiekiem niezwykłego formatu, o czym nie sposób wątpić, bo same fakty świadczą. Posiadał też widocznie ów dziwny dar zniewalania serc, właściwy urodzonym politykom, a będący orężem czasami strasznym. A może i coś ponadto, wielkość prawdziwą? Trudno przypuścić, by tacy ludzie jak Wojciech i Bruno ulegli pozorom. Obydwaj oddali życie w służbie swej idei. Musieli wyczuwać, że ich przyjaciel jest na swój sposób skłonny do podobnego wyboru, że chodzi mu nie tylko o władzę osobistą.

Bolesław wiernie służył programowi państwa powszechnego. Jakość hasła coś jednak mówi o wyznawcy.

W kronice Thietmara prawie nie ma wiadomości o takich Polakach, którzy nie należeli do rodziny panującej. O stosunku poddanych do Chrobrego można więc tylko wnioskować pośrednio. Wiemy o Przybywoju i Odylenie, którzy w roku 992 popierali Odę i za karę utracili oczy. Należało poczekać aż do roku 1015, by usłyszeć coś o jeszcze jednym Polaku, pochodzącym ze sfery nieksiążęcej.

Imię jego doskonale znają czytelnicy powieści Antoniego Gołubiewa. Stojgniew był zapewne rycerzem, bo Thietmar nie wspomina o jego godności duchownej. Nie wiemy nic o jego działalności w kraju. Musiał się jednak czymś odznaczyć, skoro pozyskał zaufanie swego pana.

W 1014 roku Henryk II - już nie tylko król niemiecki, ale i cesarz rzymski - po powrocie z Włoch zwołał do Merseburga wasali i przedstawił im, „jak wyglądały przyrzeczenia i pomoc Bolesława”. Nie wyglądały dobrze — Polska nie wykonała warunków

układu sprzed dwóch lat. Zażądano od Chrobrego wytłumaczenia się i zmiany postępowania. Margrabia Miśni, Herman, pojechał w tej sprawie za Odrę do teścia.

Fragmenty kroniki, które się teraz przytacza, noszą już po części charakter pamiętnika. Thietmar zabrał się do pisania w roku 1012.

[W 1015] cesarz spędził święta Bożego Narodzenia w Pöhlde i we środę poprzedzającą Wielkanoc przybył do Merseburga. W dzień Wieczery Pańskiej dokonałem, niegodny, w jego obecności poświęcenia oleju świętego. W wigilię Zmartwychwstania Pańskiego, które przypadało wtedy na 10 kwietnia, umarł opat werdeński Redbald i następcą jego wybrany został tamtejszy proboszcz Hetenryk. W święto Zmartwychwstania arcybiskup Gero śpiewał mszę świętą. W międzyczasie zjawił się książę czeski Udalryk i owe dni świąteczne spędziliśmy w bardzo pogodnym nastroju.

Tymczasem margrabia Herman spędził Wielkanoc u teścia\*, a kiedy udało mu się wyrwać stamtąd, przybył wraz z posłem jego Stojgniewem do cesarza, który wyczekiwał nań od dłuższego czasu.

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Tj. u Chrobrego, którego miał nakłonić do stawienia się przed Henrykiem II.

Onże poseł, do kłamstwa zawsze przywykły, wysłany został (poprzednio) do cesarza bawiącego wówczas [tj. w drugiej połowie stycznia lub w lutym 1015] na Zachodzie przez swego niestatecznego pana nie gwoli zapośredniczenia zgody, jak udawał, lecz raczej w celu siania zamętu. Cesarz oddał go wraz z orszakiem pod opiekę swoich zaufanych, a sam przyjął z litościwym sercem swoich dziewierzy, którzy bosko błagali go o przebaczenie. Dopiero wtedy kazał przyprowadzić owego zmiennika, aby był świadkiem tej sceny, po czym udzielił wobec wszystkich odpowiedzi jego panu. Ponieważ Stojgniew przedstawił w domu sprawę inaczej, niż mu zlecił cesarz, przeto jego nieszczęsny książę odesłał go w towarzystwie wspomnianego margrabiego, który bardzo pragnął zawarcia pokoju. Tu, w obecności cesarza i książąt, potępiono Stojgniewa jako kłamcę i mąciciela pokoju. Kiedy cesarz wezwał ponownie Bolesława, by wytłumaczył się względnie poprawił swe krnąbrne postępowanie, ten odmówił stawienia się przed nim i żądał, by mógł załatwić sprawę ze swoimi możnymi.

Wielmoże, którzy w obecności Stojgniewa bosko upokarzali się przed Henrykiem za bunt podniesiony w 1009 roku, byli rodzonymi braćmi cesarzowej Kunegundy. Jeden piastował godność biskupa Metz, drugi panował w Bawarii. Przykład ich niedoli miał odpowiednio wpłynąć na Bolesława. Rachuby zawiodły, sprawozdanie złożone przez Stojgniewa wypadło nie po myśli cesarza.

Niepodobna chyba rozstrzygnąć tych zawiłości, zwłaszcza że relacja Thietmara jest po prostu mętna. Wykażmy jednak najdalej posuniętą ustępliwość i zgódźmy się z biskupem, że Stojgniew intrygował. Kronikarz napiętnował go jako „mąciciela pokoju”. A więc Stojgniew był jeszcze bardziej zaciekłym przeciwnikiem Niemiec niż sam Bolesław. Bardzo to jest

możliwe. Książę ogarniał okiem całość spraw państwowych, widział zarówno zachód, jak wschód. Do niego należała polityka, to znaczy działanie zmierzające do określonego celu. Jeśli zaszła potrzeba, musiał ukrać poddanych, dokładnie tak jak wtedy, gdy powstrzymał wojów, rwących się z wałów Głogowa ku kolumnie niemieckiej.

Trzy lata wcześniej, w roku 1012, jeździł do Bolesława w poselstwie biskup niemiecki Walterd. „Tam spotkał się ze wspaniałym przyjęciem, lecz spędził tylko dwie noce i nie osiągnąwszy niczego, powrócił do siebie z bogatymi darami”. W Niemczech oskarżono go potem o zdradę i sprzedajność. (Duch zmarłego wkrótce arcybiskupa ukazał się Thietmarowi w biały dzień. Zapytany o wiadomą sprawę: „Zaklinam was, wierzcie mi, wierzcie - powtórzył on z jękiem - iż nie dopuściłem się takiej przewiny”). Fakty są faktami. Henryk II mógł zazdrościć Chrobremu lojalności poddanych.

Wielmoże niemieccy zawiedli cesarza w sprawie bardzo dla Polski kłopotliwej, a wyglądającej na dar losu dla Niemiec. Zdarzyło się to nieco wcześniej. W Czechach panował wówczas, po wygnaniu Jaromira, równie uległy Niemcom Udalryk.

Książę Bolesław, w tysiącnych biegły sztuczkach, wysłał swego syna Mieszka do księcia czeskiego Udalryka i zaproponował mu, by przez pamięć na wspólne pokrewieństwo ułożyli swoje sprawy pokojowo i przeciwstawili się wspólnie wszystkim wrogom, a w szczególności cesarzowi. Udalryk jednak, uprzedzony przez wiarogodnych ludzi, że to wszystko ukartowane zostało na jego zgubę, pojmał Mieszka i zabiwszy przedniejszych spośród jego towarzyszy, uprowadził resztę wraz z księciem do Czech, gdzie wtrącił ich do więzienia. Na wieść o tym cesarz wysłał tam swojego krewniaka Teodoryka z rozkazem, by Udalryk wydał mu jego wasala i by nie pozbawiał go życia w żadnym wypadku, jeżeli choć trochę zależy mu na jego łasce. Udalryk taką miał dać mu odpowiedź: „Jest moim obowiązkiem słuchać we wszystkich rozkazów mego pana wedle mej możliwości i chęci. Mimo iż na to nie zasłużyłem, Bóg Wszechmogący wyrwał mnie niedawno z paszczy lwa i oddał w moje ręce jego szczenię, na moją zgubę nastane. Jeżeli wypuszczę je na wolność, będę miał w ojcu i synu pewnych wrogów do końca życia, jeżeli zaś je zatrzymam, mogę się spodziewać, iż jakaś korzyść przez nie osiągnę. Zechce więc Pan mój rozpatrzyć, co w tej całej sprawie jemu odpowiada, a i mnie w jakikolwiek sposób na dobre wyjdzie. To wszystko spełnię z całym oddaniem”.

Gdy Teodoryk wrócił z tą odpowiedzią, cesarz wysłał zaraz drugiego posła, który przekazał Udalrykowi żądanie i stanowczy rozkaz, by odesłał Mieszka, i obiecywał równocześnie, iż cesarz usunie wszystkie jego obawy oraz zapewni mu korzystny pokój. W tej sytuacji Udalryk, chcąc nie chcąc, musiał wydać jeńca i bardzo sobie tym zjednał cesarza. Bolesław zaś, uradowany niezmiernie z powodu wypuszczenia syna, złożył przez pośredników należne podziękowanie cesarzowi i prosił go, by ku jego radości, a smutkowi nieprzyjaciół odesłał mu syna i liczył na pewno na wdzięczność ich obu w przyszłości. Cesarz odpowiedział, iż chwilowo nie jest to możliwe, obiecał jednak, że spełni jego życzenie po wspólnej naradzie ze swoimi książętami, jeżeli Bolesław przybędzie do Merseburga. Bolesław nie był zadowolony z tej odpowiedzi i przez cały czas zabiegał w cichości oraz przez liczne poselstwa o odzyskanie syna.

Kiedy cesarz przybył do tej umówionej miejscowości, radził się wszystkich możliwych, co mu czynić wypada w tej sprawie. Pierwszy spośród nich zabrał głos arcybiskup Gero: „Kiedy był jeszcze czas i sprawa mogła być załatwiona bez naruszenia waszego honoru, nie słuchaliście, panie, moich rad w tym względzie. Dzisiaj serce Bolesława odwróciło się od was wskutek zatrzymania i długotrwałego więzienia jego syna i obawiam się, że jeżeli odeślecie Mieszka bez zakładników lub innych gwarancyj, straciec wiernie usługi ich obu na przyszłość”. Do tego zdania przychyliła się bardzo duża liczba obecnych, lecz ta ich część, która była przekupiona, powtarzała, że takie załatwienie sprawy nie może przynieść cesarzowi wielkiego zaszczytu. Pieniądze przeważały szalę rady i cesarz wydał Mieszka owym właśnie przekupionym możliwym na słowo oraz za poręką całego ich majątku. Ci oddali go następnie Bolesławowi, by mu się w ten sposób przypodobać. Otrzymali oni przy tym od niego to, co poprzednio był im przyrzekł, i upomnieli zarówno jego, jak syna, by pomni Chrystusa i przysięgi wobec Boga nie czynili więcej cesarzowi żadnych wstrętów i nie dopuścili do tego, by ich przyjaciele doznali zawodu. Na te łagodne słowa upomnienia dali Polacy natychmiast przymilną, jak ton fletu, odpowiedź, która nie spełniła się potem bynajmniej w czynach. Choć słowo ich posiada małą lub żadnej zgoła nie ma wartości, to jednak zarzucają nam oni, iż cesarz i my tak późno odesłaliśmy Mieszka, mimo iż zaliczał on się do wasali cesarza.

Nie wdając się w dyskusję na temat słowności ówczesnych Polaków, trzeba stwierdzić, że Mieszko ani Bolesław nie mieli wprost możliwości dotrzymania przyrzeczeń danych swym niemieckim przyjaciółom. Stroną występującą zaczepnie byli bowiem nie Polacy, lecz cesarz. W roku 1015 zaniósł się na powtórzenie wypadków sprzed lat dziesięciu, kiedy to Niemcy dotarli pod Poznań.

W dzień narodzin świętego Jana Chrzciciela, który nadszedł niebawem, cesarz przybył do Goslaru [...]. Następnie ruszył do Magdeburga, gdzie modlił się gorąco do rycerza Chrystusowego Maurycyego o pomoc w uśmierzeniu zuchwałości jego wroga Bolesława. Stąd podążył z zebrany wojskiem do miejscowości zwanej Sclancisfordi [nieistniejąca dziś miejscowość nad Łabą] i wielkie wyrządził szkody przy tej okazji tamtejszym mieszkańcom i ich margrabiemu Geronowi. 8 lipca bowiem odbyła się koncentracja wojska i mieszkańcy tej okolicy, zamiast doznać należytej obrony, padli ofiarą wielkiego rabunku. Skoro tylko nasi przeprawili się przez Łabę, cesarzowa i ja udaliśmy się do Merseburga i tam oczekiwaliśmy powrotu cesarza do kraju.

Kiedy nasi przybyli do kraju Łużyc, załoga grodu Ciani [dziś Zützen koło Luckau] urządziła wypad i wyzwalała ich do walki. Nasi przyjęli wyzwanie i zabili wielu ludzi z owej załogi; schwytali również Eryka zwanego Pyszny, który zbiegł tam z naszego kraju z powodu zabójstwa, jakie był popełnił. Skutego w dyby przywieźli teraz do cesarza.

Stąd pociągnął cesarz aż do Odry, do miejscowości zwanej Krosno, i wysłał najznakomitszych swoich wodzów w poselstwie do Mieszka, który stał tam obozem z wojskiem. Posłowie ci przypomnieli Mieszkowi złożone przezeń przyrzeczenie i prosili jednogłośnie, by nie doprowadzał do tego, iżby cesarz miał przez niego pozbawić ich majątku, skoro podporządkowując mu się, może temu zapobiec. Mieszko tak im

odpowiedział: „Przyznaję, iż łaska cesarza wyrwała mnie z mocy wroga i że wam złożyłem przyrzeczenie; gdybym był wolny, chętnie dochowałbym go pod każdym względem. Obecnie jednak, jak wiecie sami, znajduję się pod władzą mego ojca, a ponieważ on mi tego zabrania, a także jego przytomni tu rycerze nigdy by się na to nie zgodzili, muszę zaniechać tego, choć wbrew mojej woli. Aż do przybycia mego ojca jestem zdecydowany bronić wedle sił moich ojczyzny, po którą wyciągacie rękę, potem jednak będę się starał naprowadzić go na drogę łaski cesarza i waszej życzliwości". Nasi, wysłuchawszy tej odpowiedzi, odeszli i przekazali jej treść cesarzowi. Tymczasem książę Bernard [II Saski] ze swoimi ludźmi [północne skrzydło armii], biskupami i grafami oraz zastępami pogańskich Lucków napadł na Bolesława od północy, lecz natknął się wszędzie na jego silne umocnienia wzdłuż Odry.

Cesarz przeprowił się w dzień znalezienia pierwszego męczennika Chrystusowego przez Odrę i rozniósł wojsko Polaków, które zacięty stawiało opór. Z naszych zginęli tylko: znakomity młodzian Hodo, Ekryk i pewien rycerz z orszaku grafa Guncelina. Cesarz oskarżał poprzednio owego Hodona oraz Zygfyda, syna margrabiego [Marchii Wschodniej] Hodona [zm. w 993], o to, że zbyt zażyłe utrzymywali dotąd stosunki z Bolesławem. Tego dnia oczyścili się obaj śmiercią rycerską z zarzutów. Hodo mianowicie, oderwawszy się daleko od swoich, ugodzony został w pościgu za uciekającym nieprzyjacielem strzałą w głowę i utracił najpierw oko, a potem życie. Kiedy Mieszko rozpoznał jego ciało, zapłakał rzewnie i opatrzywszy je, jak należy, odesłał do naszego wojska, albowiem Hodo był jego stróżem, a zarazem przyjacielem w czasie jego pobytu w naszym kraju. Liczba zabitych po stronie nieprzyjaciela nie była mniejszą od sześciuset; pozostawił on nam przy tym przebogate łupy.

Bolesław dowiedział się o tym wkrótce w swoim obozie od gońców spiesznie doń wysłanych i choć bardzo chciał tam podążyć, to jednak nie ryzykował otwarcia dostępu obecnym po drugiej stronie rzeki nieprzyjaciołom. Gdzie tylko nasi próbowali wsiąść do łodzi, tam, puszczając wodze, pędził ze swoimi. W końcu nasi, podniósłszy szybko żagle, płynęli bez przerwy cały dzień, a gdy nieprzyjaciele nie mogli nadążyć za nimi, osiągnęli bezpiecznie upragniony brzeg i puścili z dymem sąsiednie miejscowości. Kiedy książę Bolesław zobaczył to z daleka, rzucił się, jak zwykle, do ucieczki i w ten sposób wbrew swojej woli dał naszym okazję i zachętę do dalszego pustoszenia. Książę Bernard zaś, nie mogąc przybyć wraz ze swoimi na pomoc cesarzowi, jak ten mu był polecił, doniósł mu o sytuacji i o przyczynie niewykonania rozkazu przez wysłanych doń potajemnie pieszych gońców, po czym spustoszywszy okolicę, powrócił do domu\*. Również Udalryk, który miał przybyć do cesarza razem z Bawarami, zrezygnował z tego z różnorodnych przyczyn\*\*. Choć jednak Bawarowie nie byli przy cesarzu, niemniej spełnili wierną dlań służbę w swoim sąsiedztwie. Udalryk bowiem zdobył wielki gród zwany Businc [dziś Gross i Klein Biesnitz koło Zgorzelca] i wziął tam do niewoli co najmniej tysiąc mężów, nie licząc kobiet i dzieci, po czym spaliwszy go, powrócił do siebie jako zwycięzca. Margrabia Henryk zaś z Marchii Wschodniej [tzn. bawarskiej Marchii Wschodniej (Austrii)] dowiedziawszy się, iż wojownicy Bolesława urządzili wyprawę łupieską w jego sąsiedztwie [tj. na teren Moraw], natarł natychmiast na nich razem z Bawarami i pomimo zaciętego oporu, jaki stawiali, położył trupem ośmiuset spośród nich oraz odbił całą zdobycz. [...]

Zanim się cesarz dowiedział o tym wszystkim, trzymał się silnie, jak długo chciał, w tych stronach, choć bardzo się martwił małą ilością żołnierzy, którą rozporządzał. Kiedy w drodze powrotnej przybył do kraju Dziadoszan [tj. na Śląsk], rozbił, na swoje nieszczęście, obóz w pewnym ciasnym pustkowiu, którego jedynym mieszkańcem był pewien hodowca pszczoł, później zresztą zabity. Bolesław tymczasem

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Według M. Jedlickiego: „Z powyższego można się domyślać, iż Bolesław Chrobry cofnął się umyślnie w głąb kraju, ażeby nie dopuścić do połączenia się wojsk prowadzonych przez księcia Bernarda z wojskami cesarskimi, co, jak widać, udało się całkowicie”.

\*\* Głównie dlatego, „że napad wojsk (morawskich) Bolesława na Marchię Wchodnią uniemożliwił połączenie się Czechów z Bawarami, bez których nie chciał Udalryk ryzykować żadnej akcji wojennej na większą skalę”. M. Jedlicki przyjmuje w tej kwestii interpretację S. Zakrzewskiego {Bolesław Chrobry Wielki, Lwów 1925, s. 283}.

czasem, dowiedziawszy się, że cesarz obrał inną drogę powrotu niż tę którą przybył, umocnił na wszelki sposób swoje terytorium nad Odrą. A gdy zawiadomiono go, że cesarz już się wyniósł, wysłał wielką liczbę pieszych do miejsca, w którym obozowało wojsko, z rozkazem, by starali się choć część tegoż zniszczyć, jeżeli nadarzy się do tego korzystna okazja. Poza tym wysłał do cesarza swojego opata [eremitów z Międzyrzecza], imieniem Tuni [Antonius, uczeń św. Brunona], z udanymi propozycjami pokojowymi. Cesarz jednak rozpoznał w nim zaraz szpiega i zatrzymał go, dopóki całe wojsko nie przeszło przez znajdujące się na drodze bagna przy pomocy mostów ułożonych poprzedniej nocy.

Wtedy dopiero powrócił ów mnich z powierzchowności, a chytry liszka z czynów swoich i za to przez swego pana tak lubiany. Cesarz podążył naprzód i powierzwszy pozostałe wojsko arcybiskupowi Geronowi, znakomitemu margrabiemu Geronowi oraz palatynowi Burchardowi, zalecił im, aby zachowali większe, niż zazwyczaj, środki ostrożności. Po pewnym czasie nieprzyjaciele ukryci w pobliskim lesie wzniesli potrójny okrzyk i zaraz potem rzucili się na nasze wojsko z łucznikami, którzy nadbiegli w zamieszaniu. Nasi dzielny stawiali opór przy pierwszym i drugim ataku i zabili wielu spośród nadbiegających. Lecz nieprzyjaciele, nabrawszy otuchy na widok ucieczki niektórych spośród naszych, zwarli się i uderzywszy powtórnie, rozpędzili wszystkich i wybili pojedynczo przy pomocy zdradzieckich strzał. Arcybiskup Gero i ranny palatyn Burchard ledwie uszli z życiem i donieśli o tym cesarzowi. Młodociany Ludolf dostał się z garstką do niewoli. Polegli i ze zbroi odarci zostali: grafowie Gero i Folkmar oraz dwustu najprzedniejszych rycerzy, o których imionach i duszach niechaj Bóg wszechmogący w swym miłosierdziu pamięta! Nam zaś, z których winy oni polegli, niechaj Bóg przebaczy w imię Chrystusa i chroni nas łaskawie, byśmy nie doznali czegoś podobnego w przyszłości!

Kiedy cesarz wysłuchał smutnej o tym relacji, chciał powrócić na miejsce, by zabrać zwłoki zabitych, lecz odwiedziony od tego zamiaru przez wielu doradców, zaniechał go nie

bez oporu i wysłał tylko biskupa [Miśni] Idziego, aby wyprawił im pogrzeb za zgodą niegodziwego księcia i zażądał zwłok margrabiego Gerona. Dostojny pasterz, spełniając chętnie życzenie cesarza, podążył tam szybko, a gdy ujrzał ślady żalosnego pogromu, zaniósł się od płaczu i modlił się na klęczkach za poległych. Kiedy zwycięzcy, zajęci ciągle jeszcze tylko szukaniem łupów, spostrzegli go z daleka, uciekli zrazu w obawie, iż nadciąga nowe wojsko, potem jednak, gdy się przybliżył, pozdrowili go i pozwolili mu odejść, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Uzyskawszy od Bolesława radującego się naszą klęską to, o co prosił, Idzi pogrzebał z wielkim trudem przy pomocy nieprzyjaciół ciała towarzyszy, po czym niezwłocznie odjechał. Zwłoki zaś wspomnianego margrabiego [Gerona] i jego towarzysza Widreda kazał zawieźć aż do Miśni. Tam przyjął je ze smutkiem margrabia [Miśni] Herman i odprowadził je z braćmi Gunterem i Ekkehardem aż do grodu Nienburga, gdzie arcybiskup koloński Gero i jego brat margrabia Thietmar, ojczym Hermana, a ojciec poległego margrabiego, zbudowali za panowania Ottona II opactwo na cześć Bożej Rodzicielki i świętego męczennika Cypriana. Z kolei arcybiskup Gero oddał zwłoki ziemi i pocieszał czcigodną Adelaidę, jej syna Thietmara [II z saskiej Marchii Wschodniej] oraz pogrążonych w żałobie przyjaciół i wasali.

Tymczasem cesarz dotarł ze swoim wojskiem do Strzały, a ponieważ wiedział, że Mieszko następuje mu na pięty z siłą zbrojną, nakazał margrabiemu Hermanowi przybyć szybko dla obrony miśnieńskiego grodu, sam zaś udał się prosto do Merseburga. Mieszko atoli, pouczony przez swego niegodziwego ojca, skoro tylko zauważył, że nasi odeszli rozdzieleni na części, nie pozostawivszy żadnej osłony, przeprowił się 13 września o świcie przez Łabę pod wspomnianym grodem [tj. Miśnią] z siedmiu legiami [tzn. 7000 ludzi] i nakazał jednym z nich pustoszyć okolicę, drugim zaś przystąpić do zdobywania grodu. Kiedy to zobaczyli wietnicy, zwątpili o możliwości ocalenia i zostawiając prawie całą chudobę, schronili się do warowni leżącej w górnej części grodu. Nieprzyjaciele, uradowani tym wielce, wdarli się do opuszczonego podgrodzia i zabrawszy wszystko, co tylko tam znaleźli, podpalili je, po czym podłożyli ogień wyżej w dwóch miejscach pod ową warownią i natarli na nią z całą zaciętością. Graf Herman, widząc, jak jego nader szczupła garstka obrońców słabnie, rzucił się na ziemię i błagał o zmiłowanie Chrystusa, Jego zaś sławnego męczennika Donata o święte wstawiennictwo, następnie przywołał na pomoc niewiasty. Te stanęły na szańcach i rzucając stąd kamienie, wsparły mężczyzn. Ogień, który podłożono, ugasiły w braku wody miodem i, Bogu dzięki, poskromiły wściekłość i zuchwałość wroga. Mieszko, przypatrując się temu wszystkiemu z wznoszącej się obok góry, oczekiwał na przybycie reszty rycerzy. Ci, pustosząc i paląc, gdzie tylko był ogień, wszystko wokoło aż do rzeki Gany [dziś Grosse und Kleine Jahna, lewy dopływ Łaby], powrócili późno na zdronych koniach i byliby przenocowali tam ze swoim wodzem, by ruszyć nazajutrz do szturm, gdyby nie zauważyli przybierającej wody na Łabie. Z tego powodu wojsko, mimo wielkiego zmęczenia, wycofało się w nader pomyślnych warunkach i ten szczęśliwy manewr ulżył zatroskanemu sercu wodza. Kiedy cesarz się o tym dowiedział, wysłał spieszenie na pomoc margrabiemu co tylko mógł zebrać wojska i w jakiś czas potem nakazał odbudować podgrodzie. Dla wykonania tego dzieła oraz nadzoru nad nim zjechali się 8 października arcybiskup Gero, biskup Arnulf grafowie i wielu innych. Byłem i ja wśród nich, o wiele od



nich gorszy. W czternaście dni wykonaliśmy całkowicie dzieło odbudowy i odjechaliśmy, powierzwszy pieczę nad grodem na cztery tygodnie grafowi Fryderykowi.

Późniejsza historiografia polska nadała Mieszkowi II przydomek Gnuśnego. Trudno o przykład większej pomyłki i niesprawiedliwości. Następca Chrobrego, drugi z kolei koronowany król polski, był dzielny i zdolny człowiekiem. Odznaczał się ponadto dużym wykształceniem, znał łacinę i grekę. Widocznie ojciec zawczasu postarał się o przygotowanie następcy do szerokich zadań politycznych.

Mieszko II zwyciężył okoliczności. Nie dorównywał on ojcu zdolnościami i nie służyło mu szczęście. Naukowiec wzruszyłby ramionami na to twierdzenie, ale wywody niniejsze nie mają pretensji do godności nauki. Interesują się losami ludzi.

Chrobry zza stołu biesiadnego przyglądał się zdobywaniu Lubusza - wezbrana Łaba powstrzymała odsiecz. Mieszko patrzył ze wzgórza na szturm Miśni, był o krok od zwycięstwa - nagły przybór tejże Łaby zmusił go do odwrotu.

Bardzo pomyślny dla Bolesława był rok 1016. Thietmar powiada, że gdyby cesarz ruszył na niego wówczas z całą swą siłą wojskową, mógłby samym strachem przywieść go do zwrotu naszych ziem [tzn. Łużyc i Milska], znajdujących się pod jego panowaniem, a jego samego uczynić skłonny do uległości, ofiarowawszy mu tylko pokój. Nie ruszył jednak, nawet nie próbował. Walczył bowiem z grafem burgundzkim, Ottonem Wilhelmem, osobnikiem pod każdym względem niebezpiecznym. Otto Wilhelm potrafił nawet biskupów szcuć psami. Był on „z nazwy wasalem króla [Burgundii, Rudolfa III], faktycznie zaś jego panem”. Toteż kiedy Rudolf postanowił podporządkować Burgundie Niemcom, Otto Wilhelm stanął okoniem i rozpoczął własną wojnę z cesarzem. Henryk II nie zdobył żadnej z jego twierdz, powrócił z niczym, „ze smutkiem”.

Warto pamiętać o tym grafie burgundzkim. Poczynania jego wyjaśniają, jaką treść mieściły wówczas pojęcia Europy, stosunków europejskich i wpływów Zachodu. Iść z nim razem znaczyło - przebrnąć przez jego doświadczenia.

W styczniu 1017 roku uspokoiło się trochę w Niemczech. Między innymi odroczyli rozprawę do jesieni biskup Monastyru Teodoryk oraz graf z Werli Herman, którzy poprzednio „pokłócili się ze sobą o błahe sprawy i pustoszyli sobie nawzajem kraje”. Pogodzili się również grafowie Gebhard i Wilhelm, rodzeni bracia świętego Brunona, oraz inni wielmoże.

Układy międzynarodowe także zapowiadały pokój. Pragnął go Bolesław, bo sprawy wschodnie coraz bardziej przyciągały jego uwagę. Zięć Chrobrego Świętopełk uszedł z Kijowa do Polski, pokonany przez brata, Jarosława, nazwanego później Mądrym. Groziła wojna na dwa fronty. Bolesław zaproponował więc cesarzowi pokój. „Z obu stron wymieniono poselstwa i zawarto zawieszenie broni”.

Delegacja niemiecka, wyznaczona do ostatecznych rokowań, wyglądała okazale. Oprócz książąt i grafów należeli do niej arcybiskupi moguncki i magdeburski oraz biskup z Halberstadt. Bolesław odmówił przybycia na terytorium niemieckie. Uczyniono mu

ustępstwo, zażądano, by tylko przekroczył granicę. „Co zamierzasz uczynić, jeżeli nasi książęta przybędą nad Czarną Elsterę?”. „Nie przejdę tam nawet przez most”.

Chrobry chciał rozmawiać, ale po swojej stronie rzeki. Pokoju pragnął, lecz nie za każdą cenę. Nie uznawał się za pokonanego w dotychczasowych kampaniach i rzeczywiście nim nie był. Ponadto jeszcze - nie chciał uznać cesarza za władcę wyższego stopnia.

Parlamentariusze niemieccy zawrócili, by zdać sprawę swym mocodawcom, właściwemu poselstwu.

Cesarz tymczasem obchodził razem z nami święto Oczyszczenia Bożej Rodzicielki [2 III1017]. Po tym święcie nadciągnęli biskupi i grafowie, oburzeni z powodu lekceważenia, jakiego doznali od zwodzającego ich Bolesława, a gdy przedstawili cesarzowi przebieg poselstwa, gniew rozpalili w jego sercu. Odbyła się tam zaraz narada nad nową wyprawą wojenną i wszyscy wasale otrzymali rozkaz przygotowania się do niej. Równocześnie cesarz wydał ostry zakaz przyjmowania i wysyłania posłów od i do tego jawnego już wroga oraz polecił wysledzić tych, którzy ośmielili się tak dotychczas postępować.

Zdaniem profesora Jedlickiego, zakaz ten świadczy o żywych związkach Chrobrego z wielmożami niemieckimi, a ponadto o tym, jak bardzo owe koła germańskie nie chciały wojny z Polską. „Jak łatwo się domyślić - dodaje uczony - koła te wywodziły się z dawnych stronników Ottona III”.

Jakieś przeszkody istotnie pętały ręce cesarza, skoro po wydanych w lutym rozkazach działania wojenne rozpoczęły się dopiero latem — z inicjatywy Polski. Najpierw: morawscy wojownicy Bolesława otoczyli podstępnie wielki oddział Bawarów, który nie zabezpieczył się od napaści, i w pień go wycięli, a potem, w lipcu tegoż 1017:

Syn Bolesława, Mieszko, wtargnął z dziesięcioma legiami do Czech, które wskutek nieobecności księcia Udalryka mniejszy niż zwykle mogły stawić opór. Przez dwa dni plądrował on kraj i powróciwszy z nieprzebrany tłumem jeńców, wielką sprawił radość ojcu. Oburzony tym cesarz wyruszył ze swoim wojskiem oraz znacznymi posiłkami Czechów i Luciców; pustosząc wszystko po drodze, dotarł 9 sierpnia do grodu Głogowa, gdzie oczekiwał go ze swymi wojami Bolesław, lecz zabronił naszym ścigać nieprzyjaciela, który ukrywający dokoła łuczników, wyzywał do walki. Następnie wysłał przodem dwanaście legii, wybranych z głównej siły zbrojnej, do grodu Niemczy\*, który stąd swą nazwę wywodzi, że niegdyś przez nas został założony. Ich zadaniem było odciąć pomoc, która miała nadejść dla tamtejszej załogi. Kiedy owe legie rozbiły obóz, gruchnęła wieść, iż zbliża się nieprzyjaciel. Nie mogąc zadać mu większej klęski z powodu ciemności nocy i ulewnego deszczu, zdołały one przepędzić tylko część jego wojsk, część zaś puściły wbrew swej woli do grodu. Gród ten leży w kraju śląskim, który nazwę tę otrzymał niegdyś od pewnej wielkiej i bardzo wysokiej góry\*\*. Owa góra wielkiej doznawała czci u wszystkich mieszkańców z powodu swego ogromu oraz przeznaczenia, jako że odprawiano na niej przeklęte pogańskie obrzędy.

W trzy dni potem cesarz przybył pod ten gród z silnym wojskiem i kazał otoczyć go ze wszystkich stron, w nadziei, że w ten sposób zamknie nieprzyjacielowi wszelki dostęp z

zewnątrz. Jego mądry plan i dobre pod każdym względem zamiary mogłyby wiele tu osiągnąć, gdyby jego pomocnicy poparli go z całą gotowością. Tymczasem korzystając z ciszy nocnej, wielka odsiecz przedarła się przez wszystkie stráže do grodu. Cesarz nakazał naszym zbudować różnego rodzaju maszyny oblężnicze, wnet atoli ukazały się bardzo podobne do nich u przeciwnika. Nigdy nie słyszałem o oblężonych, którzy by z większą od nich wytrwałością i bardziej przetrzoną zaradnością zabiegali o swoją obronę. Naprzeciw pogan wzniesli krzyż święty w nadziei,

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Niemcza - gród o wielkiej wartości strategicznej, panujący nad drogą z Wrocławia do Kłodzka.

\*\* Dzisiejsza góra Sobótka nosiła wówczas nazwę Góry Ślężej (Mons Silensis).

iz pokonają ich z jego pomocą. Gdy zdarzyło im się coś pomyślnego, nie wykrzykiwali nigdy z radości, ale i niepowodzenia również nie ujawniali przez wylewne skargi.

Tymczasem Morawianie, wtargnąwszy do Czech, zdobyli jeden gród i z wielkim łupem opuścili ten kraj, nie poniosłszy sami żadnej straty. Na wieść o tym margrabia [Marchii Austriackiej] Henryk, który usiłował dopaść ich z wojskiem, podjął szybko pościg. Zabiwszy więcej niż tysiąc ludzi spośród nich i rozpędziwszy resztę, puścił wolno do domu wszystkich jeńców.

Nie można pominąć milczeniem, że inni wojownicy Bolesława napadli 15 sierpnia na gród warowny zwany Białą Górą [dziś Alt-Belgern na prawym brzegu Łaby], lecz, Bogu dzięki, nic nie wskórali pomimo długotrwałych szturmów. Natomiast duży oddział Luciców, tych mianowicie, którzy pozostali w domu, napadł na inny gród wspomnianego księcia. Straciwszy tam z górą stu towarzyszy, powrócili z ogromnym smutkiem i pustoszyli potem straszliwie jego dziedziny. [...]

Tymczasem ukończono budowę wszystkich machin, wobec czego cesarz, który siedział już trzy tygodnie pod grodem [Niemczą], nakazał jego szturmowanie, lecz wnet zobaczył, jak te maszyny szybko spłonęły od ognia rzuconego z wałów. Następnie Udalryk próbował ze swoimi wspiąć się na wały obronne, lecz nic nie wskórał. Również zrzucano z nich Luciców, kiedy podjęli podobną próbę. Cesarz, widząc, jak daremne są wysiłki jego chorobą trapiętego wojska, udał się bardzo uciążliwym marszem do Czech, gdzie przyjął go i uczcił stosownymi darami nieprawy władca tego kraju Udalryk\*. [...]

Równocześnie Bolesław oczekiwał z niepokojem we Wrocławiu na wynik oblężenia. Kiedy dowiedział się, że cesarz odjechał, a gród stoi nienaruszony, weselił się w Panu i brał udział w świeckiej radości swoich wojów. Z górą sześcuset jego piechurów wtargnęło potajemnie do Czech w nadziei na zwykłe łupy, lecz wpadli oni sami w sidła,

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Thietmar krytycznie odnosił się do polityki Henryka II związanej z przewrotem na tronie czeskim w roku 1012, stąd epitet, jakim kronikarz obdarza Udalryka.

które zastawili na nieprzyjaciół, tak że tylko garstka ich zdołała się ocalić.

Lucicy tymczasem wrócili zagniewani i skarżyli się na to, iż obrażono ich boginię. Albowiem jeden z ludzi margrabiego Hermana przebił kamieniem jej wizerunek na sztandarze. Kiedy jej kapłani donieśli o tym ze skargą cesarzowi, otrzymali jako odszkodowanie dwanaście talentów [tzn. funtów srebra]. A kiedy Lucicy usiłowali przeprowadzić się koło grodu warownego Vurcin przez silnie wezbraną Muldę, stracili drugi obraz bogini wraz z doborowym oddziałem pięćdziesięciu wojowników. Pod wpływem tak złej wróżby pozostali wojownicy chcieli po powrocie do domu, za namową złych ludzi, wystąpić ze służby cesarza, lecz przywódcy odwiedli ich od tego na wspólnie odbytym zgromadzeniu.

Któż zdoła opisać trudności tego marszu i ogólne straty? Z ogromnymi przykrościami połączone było wkroczenie do Czech, lecz o wiele gorszy był odwrót z tego kraju. Na zgubę nieprzyjaciół podjęto tę wyprawę, tymczasem z powodu naszych zbrodni przyniosła ona nam, zwycięzcom, wielką szkodę. Albowiem to, czego nie danym było dokonać w stosunku do nas wrogom, sprawiły w dalszej kolei wypadków nasze przewinienia. Zapłakać mi wypada również nad zbrodnią, jakiej się dopuścili ludzie Bolesława między Łabą i Muldą. 19 września mianowicie wypadli oni nagle na rozkaz swego pana i uprowadzili z tych stron więcej niż tysiąc niewolników, po czym spalili wiele sadyb wokoło i powrócili bez przeszkód do domu.

Cesarz przybył 1 października do Merseburga i zamianował biskupem praskim Ekkeharda, który przez dwadzieścia trzy lata i pięć miesięcy stał na czele opactwa w Nienburgu, i kazał arcybiskupowi Erkanbaldowi wyświęcić go 4 listopada za moim zezwoleniem\*. Równocześnie przybył od Bolesława poseł z obietnicą odesłania młodego Ludolfa, który od dłuższego czasu [tj. od wojny 1015] przebywał u niego w niewoli; w zamian jednak za jego uwolnienie żądał

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Thietmar był zwierzchnikiem Ekkeharda jako opata jednego z klasztorów diecezji merseburskiej.

Bolesław wypuszczenia na wolność jego wojowników, trzymany u nas jako jeńców pod silną strażą. Zarazem dowiadywał się ostrożnie czy może wysiać do cesarza posła w celu odzyskania jego łaski. Cesarz zgodził się na wszystko na usilne prośby swoich książąt i wtedy dopiero się dowiedział, iż władca Rusów\* napadł na Bolesława, tak jak mu był przyrzekł przez posła, lecz nic nie zdziałał przy obleganiu grodu [zapewne Brzeście nad Bugiem]. Bolesław wtargnął potem z wojskiem do jego kraju i osadziwszy tam na tronie jego brata a swego zięcia [Świętopełka], powrócił w radosnym nastroju do domu.

Propozycję pokojową Bolesława wolał Thietmar przedstawić jako ostrożną prośbę o łaskę. Pisarz-polityk pozostał wierny zadaniu chwalczy dynastii saskiej, usiłował maskować

fakty, o których sam przed chwilą opowiedział jako kronikarz. Bo nie ma żadnych wątpliwości — Henryk II przegrał kampanię roku 1017, ostatnią w wojnie trwającej od lat kilkunastu. Bolesław zdecydowanie zwyciężył. Nie tylko utrzymał całe terytorium, które miał za Ottona III, ale powiększył je o Milsko, Łużyce i Morawy. Zachodnia granica monarchii polskiej opierała się na Czarnej Elsterze. Odra na całej swej długości płynęła przez jej ziemie.

Rok 1017 był w naszych dziejach fenomenem, który się już nigdy więcej nie miał powtórzyć. Polska toczyła wtedy wojnę na dwóch frontach i na obu wygrała, przy czym żadnemu z nieprzyjaciół nie udało się wtargnąć do wnętrza kraju. Grodem, bezskutecznie obleganym przez Ruś, był - zdaniem Stanisława Zakrzewskiego - Brześć nad Bugiem.

Borys Greków, autor Rusi Kijowskiej, nie żywi żadnych wątpliwości: Jarosław — powiada — „zawarł sojusz z cesarzem niemieckim Henrykiem II i ruszył razem z nim". I Thietmar też wspomina, że Jarosław przyrzekł był Henrykowi przez specjalnego posła uderzyć na Polskę. Ponieważ Grody Czerwieńskie od roku 981 należały do Kijowa, uderzenie Rusi musiało pójść nie

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Wielki książę kijowski Jarosław, który po wypędzeniu Świętopełka objął tron po ojcu Włodzimierzu.

tylko na Brześć, lecz na linię Wieprza, Wisłoka, a więc i Wisły To wszystko... w czasie oblężenia Niemczy.

Bolesław, który w styczniu 1017 roku zabiegał o pokój z Henrykiem, czynił to samo i w stosunku do Jarosława. W istniejącym położeniu nie mógł żądać ustępstw terytorialnych zwrotu Grodów Czerwieńskich. Domagał się pokoju i jako gwarancji jego dotrzymania - siostry Jarosława, Predysławy (Przeclawy), za żonę. Chciał również uwolnienia córki, wywiezionej zapewne na północ (biskup Reinbern zmarł w więzieniu kijowskim). Celu, to jest pokoju z Rusią, nie osiągnął.

W przytoczonym tekście Thietmara zastanawia twierdzenie, że Henryk II dopiero w październiku - po wycofaniu się z Polski, czyli grubo poniewczasie - dowiedział się o akcji Jarosława. Czyżby w ogóle nie miał szpiegów w Polsce, nie mówiąc już o stronnikach? Państwo Chrobrego zaliczało się widać do ciał nieprzezroczywych.

Opisy wypraw, bitew i potyczek zajęły Thietmarowi dużo miejsca. Traktatowi pokoju poświęcił biskup niewiele wierszy. W roku od narodzenia Pańskiego 1018 [...], w szesnastym roku panowania najjaśniejszego pana Henryka, a czwartym jego cesarstwa, obchodzono z nabożeństwem w jego obecności we wspomnianym mieście [tj. we Frankfurcie] uroczystość Obrzezania i Objawienia Pańskiego. [...]

Następnie 30 stycznia na rozkaz cesarza i usilne prośby księcia Bolesława biskupi Gero i Arnulf oraz grafowie Herman i Teodoryk, jak również komornik cesarski Fryderyk zaprzysięgli pokój w grodzie zwanym Budziszyn. Był to pokój, nie jaki być powinien, lecz

jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji. Po przyjęciu wybranych zakładników wspomniani wielmoże wrócili do kraju.

Cztery dni potem przybyła do Cziczani [grodu w Dolnych Łużycach] córka margrabiego Ekkeharda Oda, o którą starał się od dawna Bolesław i po którą wysiał teraz swego syna Ottona [z małżeństwa z Emnildą]. Ponieważ noc właśnie zapadała, gdy tam przybyła, przeto olbrzymi tłum obojga płci przyjął ją rzędem zapalonych pochodni Już po siedemdziesiąticy poślubiła ona wspomnianego księcia bez pozwolenia kanonicznego. Nie cieszyła się ona jednak stanowiskiem matrony, szczególnie godnym takiego związku.

Chrobry ożenił się po raz czwarty. Został mężem szwagierki własnej córy, Regelindy, margrabiny Miśni („die lachelnde Polin"). Pośpieszono się z małżeństwem, stanowiącym gwarancję polityczną. Wbrew prawu kanonicznemu zawarto je w okresie przygotowań do wielkiego postu (po tzw. siedemdziesiąticy), nie czekając na zezwolenie biskupa.

Mało napisał Thietmar o traktacie pokojowym, ale wystarczy i tego, co zanotował. Układ zawarto i zaprzysiężono w Budziszynie, na polskim terytorium państwowym. Wystarczy sobie przypomnieć, o co rozbiły się pertraktacje w roku poprzednim, by ocenić znaczenie tego faktu.

Zaraz się przekonamy, że Niemcy zobowiązały się w Budziszynie dać Polsce pomoc na wyprawę przeciwko Jarosławowi, dotychczasowemu sprzymierzeńcowi Henryka. (Dały pomoc również i Węgry. Stanisław Zakrzewski twierdzi, że i one wojowały poprzednio z Polską, będąc sojusznikami Rusi i cesarza. Jeśli tak było, Chrobry pokonał koalicję, wygrał na trzech frontach). Za to Gniezno nie obiecało i nie przysłało Henrykowi ani jednego żołnierza na jego akcję w Burgundii. Okoliczność wskazująca zwycięzcę.

Warunki pokoju zmartwiły Thietmara i ludzi podobnie mu myślących, ale to nie znaczy, że wszystkich Niemców. W książce Stanisława Zakrzewskiego Bolesław Chrobry znajdujemy fragment listu, który otrzymał wtedy arcybiskup Gero. Adresat był główną osobą w niemieckiej delegacji pokojowej. Autor listu, opat z Reichenau, Berno, zaliczał się do elity intelektualnej Niemiec, był pisarzem i muzykiem. Oto jego opinia:

Aniołowie Pańscy słusznie zaśpiewali „Chwała Bogu na wysokości", gdy niedawno na ludzi tak dobrej woli spłynął tak wielki pokój za Boską wolą, dzięki Waszym staraniom. Albowiem dar tego zbawienego pokoju odpowiada usposobieniu wszystkich, co dążą ku wzniosłym rzeczom, lecz przede wszystkim kapłani Chrystusa powinni do tego pokoju dążyć i kroczyć jego śladem, jak każe Psalmista: „Szukaj - mów - pokój i zachowuj go".

Gdyśmy się przeto dowiedzieli z głosu ludów i z własnego doświadczenia, że zabiegacie koło tego pokoju, złożyliśmy dzięki gorące Dawcy łask wszelkich.

Nie wszyscy Niemcy byli zwolennikami wojny z Polską, nawet nie wszyscy Sasi. Pokoju z nią pragnęli nie tylko ci, których Chrobry przekupił. Byli w cesarstwie tacy, co dochowali wierności pamięci Ottona III, oraz tacy, co nie myśląc o szczytnych programach, po prostu nie życzyli sobie walk pomiędzy chrześcijanami.

Budziszyn zabezpieczył Chrobremu plecy. Można było obrócić się całym frontem na wschód.

Opis wyprawy kijowskiej jest cenny, ale trzeba pamiętać o stałej skłonności Thietmara do wyolbrzymiania roli Niemiec i Niemców w ogóle. Przymusowy udział w wojnie to u niego „nasza namowa”, Kijowianie poddają się Chrobremu i Świętopełkowi ze strachu przed „naszymi”, Bolesław śle do Henryka list wiernopoddańczy. Biskup z Merseburga aż do końca pozostał wierny sobie. Opis wyprawy kijowskiej zajął ostatnie karty jego kroniki.

Zanim się nim zajmiemy, jeszcze parę uwag, wiążących się z minionymi sprawami. Thietmar napisał o Niemczy, że gród ten „niegdyś przez nas został założony”, jak dowodzi jego polska nazwa. Badania archeologiczne przeprowadzone w Niemczy wydobyły na jaw mnóstwo zabytków, odsłoniły także szczątki starych wałów. Wszystko to było słowiańskie, pokrewne zabytkom, które można znaleźć w Poznaniu, Wrocławiu, a nawet w Łęczycy. Ale dziwna nazwa grodu też jest faktem. Wybudowali go zatem brańcy niemieccy, pochwytni podczas wojen i osadzeni na Śląsku. Pracowali pod miejscowym kierownictwem, które obwarowywało osiedle cudzymi rękoma, ale na rodzimym łąd. Niemcza to niejako kuzynka osiedli polskich, zwanych się: Pomorzany, Serby, Jatwiewi, Szwedy.

Opinia Thietmara o pochodzeniu Niemczy, przesadne wyobrażenia o roli Niemców podczas wyprawy na Kijów, cały zresztą duch kroniki charakteryzują pisarza, który wszędzie szukał dowodów wielkości i chwały Germanów. Żadnej okazji nie pomijał, lecz ani jednym słówkiem nie wspomniął o... germańskim rzekomo pochodzeniu polskiej dynastii i organizacji państwowej. Dla niego Mieszko to książę Polan i nic więcej. Chrześcijanin wprawdzie, ale człowiek obcy. A przecież Thietmar żył za jego czasów, obcował z ludźmi, którzy go znali. Czyżby zamilczał, gdyby Mieszko, jego ojciec lub dziadowie naprawdę byli Germanami i gdyby „zdobywczą pięść” zorganizowała słowiańskie pogłowie w państwo?

O germańskim rodowodzie Piastów nie mówi żadna z kronik niemieckich, polskich czy ruskich. Milczy o nim tradycja. Wykopaliska nie natrafiły na żaden ślad wtargnięcia obcego elementu, dowiodły za to rdzennej rodzimości sztuki fortyfikacyjnej i całej kultury. Hans Wilhelm Haussig, autor wspomnianej już książki *Kulturgeschichte von Byzanz* (wyd. Stuttgart 1959), uważa Germanów za założycieli państwowości polskiej (str. 395). Zalećmy mu pilną lekturę kroniki Niemca Thietmara i sami do niej powracajmy.

Nie wypada zamilczeć o żalosnej klęsce, jaka się wydarzyła na Rusi. Bolesław mianowicie najechał ten kraj i duże poczynił tam szkody za naszą namową. Przybywszy 22 lipca [1018] nad pewną rzekę\*, nakazał on swemu wojsku rozbić obóz, jak również przygotować potrzebne do przeprawy mosty. Z drugiej strony rzeki rozłożył się ze swoimi król Rusów [książę Jarosław Mądry], oczekując z niepokojem na wynik zapowiedzianej przez obu przeciwników walki. Tymczasem Polacy, wyzywając nieprzyjaciela, skłonili go do walki

**PRZYPISY AUTORA:**

\* Nad Bug. Przeprowa i bitwa odbyły się w miejscu zwanym do dziś Królewskim Kątem, obok wsi Gródek Nadbużny.

i z niespodziewanym szczęściem odepchnęli go od rzeki, którą obsadził. Zgiełk walki podniecił Bolesława. Zachęciwszy swych towarzyszy do gotowości do walki i pośpiechu, przeprowił się szybko, choć z wielkim trudem, przez rzekę. Wojsko nieprzyjacielskie, ustawione naprzeciw w zwartych oddziałach, nadaremnie usiłowało bronić swojej ojczyzny. Albowiem ustąpiło już przy pierwszym starciu i nie stawiało potem silniejszego oporu. Poległa tam bardzo duża liczba spośród uciekających, mała zaś spośród zwycięzców. Zginął po naszej stronie znakomity rycerz Eryk, którego cesarz trzymał przez długi czas w więzieniu. Od tej chwili Bolesław ścigał z wymarzoną wprost powodzeniem znajdujących się w rozsypce nieprzyjaciół, a mieszkańcy przyjmowali go wszędzie z wielkimi honorami i darami.

Tymczasem Jarosław zajął siłą jeden gród, należący do jego brata [Świętopełka], i uprowadził jego mieszkańców. Bardzo potężne zaś miasto Kijów stało się z poduszczenia Bolesława ofiarą ustawicznych ataków ze strony wrogich Pieczyngów i duże poniosło straty wskutek silnych pożarów. Jego mieszkańcy bronili go, lecz niebawem otwarli bramy obcej potędze. Opuszczony mianowicie przez swego władcę, który uciekł, Kijów przyjął w dniu 14 sierpnia Bolesława oraz wygnanego od dawna księcia Świętopełka, który pozyskał sobie cały ten kraj, wykorzystując strach przed naszymi. Kiedy wkraczali do miasta, tamtejszy arcybiskup powitał ich uroczyście z relikwiami świętych oraz innymi różnymi okazałościami w monasterze Świętej Zofii, który spłonął w poprzednim roku wskutek nieszczęśliwego wypadku. Obecne były przy tym: macocha wspomnianego księcia, jego żona oraz dziewięć jego siostr, z których jedną, dawniej sobie upatrzoną [Predysławę], ten stary wszetecznik Bolesław uprowadził bezwstydnie, zapominając o swojej ślubnej małżonce. Równocześnie ofiarowano mu niezliczoną ilość pieniędzy, z których dużą część rozdzielił między swych sprzymierzeńców i ulubieńców, pewną zaś część odesłał do ojczyzny. Wśród posiłków, jakie znajdowały się przy boku wspomnianego księcia, było od nas trzystu, od Węgrów pięciuset, od Pieczyngów wreszcie tysiąc ludzi. Wszystkich tych ludzi odesłał tamtejszy władca [tj. Świętopełk] do domu, gdy mógł stwierdzić z radością jak mieszkańcy kraju garną się do niego i swoją wierność mu okazują. W tym wielkim mieście, które jest stolicą owego państwa, jest więcej niż czterysta kościołów i osiem rynków, mieszkańców zaś liczba nie dająca się wyrazić. Jak w całym tym kraju, mieszkańcy owi składają się z dużej liczby niewolników\*, którzy zewsząd tu zbiegli, oraz w szczególności z obrotnych Duńczyków. Pieczyngom, którzy ich ciągle nękali, stawiali oni dotąd skuteczny opór i innych także gromili nieprzyjaciół.

Bolesław, uniesiony tym powodzeniem, wysłał tamtejszego arcybiskupa do Jarosława z żądaniem odesłania mu córki [żony Świętopełka] i obietnicą zwrotu w zamian za to jego żony wraz z macochą i siostrami. Następnie wyprawił z bogatymi darami swego ukochanego opata Tuni do naszego cesarza, aby zaskarbić sobie nadal jego łaskę i pomoc oraz okazać gotowość wypełnienia wszystkich jego życzeń w przyszłości. Wysłał także posłów do pobliskiej Grecji, którzy mieli zapewnić tamtejszego cesarza o jego życzliwości, jeżeli cesarz ze swojej strony zechce dotrzymać wierności i przyjaźni. W przeciwnym wypadku - mieli mu oświadczyć - Bolesław stanie się jego zdecydowanym i nieustępliwym wrogiem.

Niechaj Bóg Wszechmogący pośredniczy w tych wszystkich sprawach i wskaże łaskawie, co Jemu się podoba, a nam korzyść przynieść może.



Wracając znad Dniepru, ponownie przyłączył Bolesław do Polski Grody Czerwieńskie, zagarnięte przez Włodzimierza Wielkiego w roku 981. Po wyprawie kijowskiej obszar monarchii polskiej sięgał pięciuset tysięcy kilometrów kwadratowych. Brak w ogóle dowodów, że Chrobry chciał anektować sam Kijów, i nie wiadomo doprawdy, skąd się wzięło takie dziwne mniemanie. W roku 1018 pokonano przeciwnika, który już poprzednio działał przeciwko Polsce jako sprzymierzeniec cesarza, odzyskano terytorium utracone przez Mieszka I, udzielono

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Według M. Jedlickiego: „Wyrażenie «niewolnicy» odnosi się tutaj do kupców, których Thietmar dlatego nazywa tak pogardliwie, że część ich stanowili istotnie dawni ludzie niewolni, którzy zbiegli do miasta”.

pomocy księciu ruskiemu, spokrewnionemu i zaprzyjaźnionemu z Piastami.

Pomysł aneksji Kijowa, odległego o czterdzieści dni wysiłonego marszu, byłby szaleństwem. Wolno ryzykować domysł, że Bolesławowi Chrobremu chodziło wtedy o coś znacznie większego i bardziej realnego niż taki podbój.

Nie wiadomo, kto powiózł jego list do Bizancjum. Opinia Thietmara o treści pisma nie bardzo nas zobowiązuje, bo wątpić należy, czy osoba, która informowała biskupa, list ten czytała. Doskonale znany jest tylko adresat. Był nim cesarz bizantyński Bazyl II.

Przeszedł on do historii z ponurym przydomkiem Bułgarobójcy i w sławie ujarzmiela Słowian bałkańskich. Rok 1018, chwila, w której Chrobry wkroczył do Kijowa, przyniósł i jemu tryumf. Carstwo bułgarskie padło, można było składać ofiary dziękczynne w Partenonie ateńskim, od dawna przerobionym na kościół. Ale Bazyl II mierzył wyżej. Dążył do faktycznego odnowienia powszechnego państwa cesarów rzymskich — ze stolicą nie w Rzymie, lecz w Bizancjum.

Na podstawie nikłych śladów w pismach ówczesnych doszedł Stanisław Zakrzewski do wniosku, że w późniejszych walkach o panowanie nad Italią uczestniczyły drużyny polskie - po stronie Bizancjum. Christopher Dawson pisze w Tworzeniu się Europy, że na początku XI wieku nikt nie mógł przewidzieć losu, jaki miał spotkać świat bizantyński. Cesarstwo wschodnie nigdy nie wydawało się silniejsze czy bardziej kwitnące niż w ostatnich latach panowania cesarza Bazylego II. Prześcignęło znacznie Europę zachodnią co do bogactw i cywilizacji, a podbój Bułgarii i nawrócenie się Rusi dostarczyły nowych sposobności kulturalnej ekspansji. We wschodniej Europie zostały położone podstawy rozwoju nowej bizantyńsko-słowiańskiej kultury, które zdawały się przedstawiać nie mniej obiecujące horoskopy na przyszłość niż równoległy rozwój rzymsko-germański na Zachodzie.

Bazyl II nie był intelektualistą. Człowiek twardy, znakomity polityk i wojownik, rządził „nie według praw pisanych, ale według praw niepisanych własnego ducha”. Musiał to być duch mądry, skoro Bazyl - jak przypomina Dawson - sam osobiście zapobiegł w roku 1009 ostatecznemu zerwaniu pomiędzy Wschodem a Rzymem. Cesarzowi chodziło o

poparcie ze strony papieżstwa dla planów przywrócenia w Italii władzy bizantyńskiej, ale jedność chrześcijaństwa miała wszak znaczenie nie tylko polityczne.

Wielkie sukcesy Bazylego na Zachodzie zaczęły się właśnie w roku 1018. Pisze Kazimierz Zakrzewski:

„Nie tracąc swej przewagi nad islamem, Bizancjum za Basileiosa II dzięki potężnej organizacji swych sił państwowych występuje i w Europie jako kierownicza potęga, górująca nie tylko nad światem słowiańskim, ale i nad łacińskimi państwami Zachodu, gdzie równocześnie rozpręgało się cesarstwo Ottonów.

Późniejsze losy miasta, które zostało tureckim Stambułem, rzuciły cień na jego przeszłość. Dzisiejszy czytelnik ślizga się wzrokiem po samej powierzchni krótkiej notatki Thietmara, nie wgłębia się w jej treść. Trudno mu ocenić, że poselstwo polskie jadące z Kijowa do Bizancjum to był gest pod adresem siły, która mogła ukształtować przyszłość.

Minęło osiemnaście lat od zjazdu w Gnieźnie. Bolesław doznał wielu rozczarowań i doświadczeń, lecz nie zmienił chyba zasady rozumowania, skoro teraz, u schyłku życia, znowu ofiarowywał pomoc temu, kto dążył do celów uniwersalnych. Jego kijowski postępek zdradza się zdaje główną wytyczną postępowania. Chrobry był człowiekiem o bardzo szerokich horyzontach. Skoro Zachód zawiódł jako twórca porządku powszechnego, należało obrócić się na Wschód, który zdawał się skuteczniej temu porządkowi służyć.

Rozłam w chrześcijaństwie jeszcze się wtedy nie dokonał. O jakiejś niechęci Polski do bizantyńskiego Wschodu dziwnie by nawet mówić. Otto III, przyjaciel Chrobrego, był synem Greczynki Teofano, z wychowania zupełnym Grekiem. Ten ces; z dynastii saskiej lubił kpić z saskiego prostactwa.

Mamy bardzo mało wiadomości o ówczesnych stosunkach Polski z Bizancjum. Nie pomimo, lecz właśnie dlatego wolno zapytać na zakończenie powyższych rozważań: co skłoniło Mieszka II do nauczenia się po grecku? Na co mogła się przydać przyszłemu władcy Krakowa i Gniezna znajomość urzędowego języka Bizancjum?

W roku 1018 Mieszko miał lat dwadzieścia osiem. Dwa zdania, dotyczące owego poselstwa, zawierają ostatnią wiadomość o Chrobrym, jaką zawdzięczamy Thietmarowi. Ale nie odkładajmy jeszcze samej kroniki biskupa z Merseburga. Odczytajmy sobie samo jej zakończenie. Chrobremu pisane jeszcze było siedem lat życia i panowania. Wkrótce po jego zgonie miał się rozpocząć pierwszy, bardzo ciężki kryzys w dziejach Polski. Mieszko II skończył w okolicznościach tragicznych, jego syn i spadkobierca, Kazimierz, musiał na czas pewien ująć z kraju. Chcąc wczuć się w to „ku czemu Polska szła" podówczas i ku czemu nieuchronnie iść musiała, poczytajmy sobie o losach i nastrojach Henryka II, cesarza, najwyższego autorytetu świeckiego w zachodnim chrześcijaństwie:

/Tymi dniami mój krewniak Udo\* pojmał równego sobie szlachectwem i znaczeniem Hermana\*\* i mimo jego oporu powiózł go do swego grodu. Obawiam się, by nie wyrósł z tego powodu jaki chwast niebezpieczny, który z trudnością albo wcale nie da się wyplenić.

Teraz powinienem zacząć znowu opowiadanie o cesarzu, który powrócił z nieudanej wyprawy [do Burgundii] i nic nie uzyskał z tego, co mu obiecano, i tylko lekko pokarał opornych. Kiedy jego znakomity i wierny wasal, książę Teodoryk [książę Górnej Lotaryngii], rozstał się z nim i chciał podążyć do domu, napadł go z zasadzki

PRZYPISY AUTORA:

\* Udo, czyli Ludger, syn rodzzonego brata matki Thietmara, grafa ze Stade, Zygfrida.

\*\* Herman, graf z Werli, cioteczny brat Henryka II.

pewien możny, imieniem Stefan, jego, jak się okazało, i cesarza nieprzyjaciel- Teodoryk zdolał go odeprzeć, lecz gdy żołnierze rzucili się na zdobycz, został powtórnie napadnięty i, niestety, pokonany, tak że z małą tylko uciekł garstką. Był to już drugi tego rodzaju zamach na niego i dałby Bóg, by go ominęło niebezpieczeństwo za trzecim razem. Kiedy się nasz cesarz dowiedział o tym wszystkim, odbył w Szwabii naradę nad sprawami państwowymi i wnet potem odpłynął zatroskany w dół Renu. Albowiem jego współpracownicy i podpory jego państwa, po większej części, niestety, polegli, udający zaś wierność i ciągnący się za nim, jako ten ciężar ukryty, knują przeciwko niemu w zмовie z obcymi tajemne intrygi, tak iż nie może on rządzić z należyłą swobodą i ukrócić ich nieprawości i zuchwalstwa, Na tym urywa się i kończy Thietmari Merseburgensis Episcopi Chronicon.

Oryginał dzieła przetrwał lat dziewięćset trzydzieści siedem. Tom, składający się ze stu dziewięćdziesięciu dwóch kart marnego pergaminu, stanowił własność Saskiej Biblioteki Krajowej w Dreźnie i spłonął z nią razem w roku 1945<sup>1</sup>, podczas wielkiego bombardowania, o którym przypomniał nam ostatnio film *Dziś w nocy umrze miasto*.

PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Oryginał, choć mocno uszkodzony, jednak przetrwał. Jak pisze profesor Krzysztof Ożóg w *Posłowie do kroniki Thietmata* (Universitas, Kraków 2005, s. 417): "Odnaleziono go dopiero w ostatnich latach. Obecnie jest przechowywany w Sächsische Landes- Stadts- und Universitätsbibliothek w Dreźnie pod starą sygnaturą Msc. Dresd. R. 147. W roku 2001 był prezentowany jego fragment (pierwsze karty) na wielkiej wystawie historycznej w Magdeburgu pt. *Otto der Grosse. Magdeburg und Europa*" (przyp. red.).

#### ANONIM

Licząc okrągło, w sto lat po zgonie Thietmara ukazała się pierwsza kronika spisana w Polsce i całkowicie jej poświęcona. Autorem książki był cudzoziemiec, o którym nikt niczego nie wie i prawdopodobnie nigdy wiedzieć nie będzie. Nawet imienia jego nie znamy. W XVI wieku Marcin Kromer nazwał go Gallem i tak pozostało. Tradycja przyjęła domysł uczonego biskupa. Niektórzy tylko historycy zowią tajemniczego kronikarza Anonimem, zawsze pisząc ten rzeczownik dużą literą.

Thietmar był świadkiem poczynań Bolesława I, Gall opiewał czyny Trzeciego. Siedemdziesiąt siedem lat upłynęło od śmierci Chrobrego do chwili objęcia rządów przez

Krzywoustego. Kolejno schodzili ze świata: Mieszko II, Kazimierz Odnowiciel, Bolesław Śmiały i Władysław Herman. Polski obyczaj polityczny uległ w tym czasie dość gruntownej europeizacji. Państwo aż zatrzęszczało w spojeniach, wiele szwów puściło. Sama dynastia omal nie szczyła, i to dwukrotnie. Jej linia pierworodna, królewska, istnieć przestała.

Kronikarz, którym się w tej chwili zajmujemy, zapisał, że Mieszko II „był dzielnym rycerzem, wiele też dokonał dzieł rycerskich, których wyliczanie za długo by trwało. On też stał się dla wszystkich sąsiadów nienawistnym, a to przez nienawiść, jaką czuli dla jego ojca”. Anonim był literatem i wyraził się po literacku, dokonał personifikacji. Nienawiść do nieboszczyka nie wystarcza za motyw działań politycznych. To dzieło Chrobrego – i poprzedników -było dla sąsiadów nieznośne. Ogromne, jak na owe czasy wcale zwarte państwo, wiszące na flance Niemiec, i bez tego szarpanych ze wszystkich pozostałych stron oraz od środka... Państwo które raz już interweniowało w Kijowie, odzyskało straty nad Bugiem i Sanem, próbowało współpracy z Bizancjum... Początkowe lata powodzeń Mieszka II upływają szybko, zbiegli czy też wygnani za granicę bracia królewscy zyskują protektorów. (W swoim czasie Bruno, brat rodzony cesarza Henryka II, szukał protekcji w Polsce, u Chrobrego. To samo czynił Świętopełk z Kijowa).

Polska traci Łużyce, Milsko i Grody Czerwieńskie, jej władca musi zrzec się korony królewskiej. Pod presją cesarza, Konrada II, przystaje Mieszko nawet na podział kraju pomiędzy siebie a braci - współzawodników.

Prawowity spadkobierca Chrobrego nie poddawał się łatwo, a w środkach też pewnie nie przebierał. Pod tym względem nie był gorszy od ojca. Bracia-współzawodnicy - Bezprym i Otto -szybko, niemal jeden po drugim, zginęli śmiercią gwałtowną. Ma chyba słuszość Stanisław Kętrzyński, który przypisuje to nie tyle przypadkowi, co świadomemu działaniu Mieszka II, który zaraz w roku następnym - 1034 - 10 maja sam zakończył życie. Późniejszy, ale dobrze poinformowany kronikarz niemiecki, Gotfryd z Viterbo, zanotował, że zabił Mieszka jego własny giermek. Obecni historycy niezbyt temu wierzą. Ich zdaniem książę zszedł ze świata w sposób naturalny.

Postuchajmy jednak opinii Stanisława Kętrzyńskiego:

Kilka tych śmierci książąt polskich, tak nagłych i tajemniczych, choćbyśmy mieli prawo posądzać, że działy się one, o ile chodzi o Bezpryma i Ottona, za wiedzą Mieszka II, nasuwa przypuszczenie, że na dworze książęcym był zastęp ludzi, który nie potrzebował się na nic oglądać, z nikim liczyć, który miał środki i w środkach nie przebierał i który mógł Terroryzować księcia, dwór i partię sobie przeciwną, byle dopiąć zamierzonego celu. Można przypuszczać, że silne więzy, które łączyły monarchę z jego otoczeniem za czasów Bolesława Chrobrego i w pierwszych latach rządów Mieszka II, bardzo osłabły pod wpływem klęsk zewnętrznych i wewnętrznych walk, sporów, niesnasek rodzinnych. Prestiż, który otaczał króla, upadł, a korzyść z tego stanu rzeczy starali się wyzyskać ci ludzie, którzy stali dotąd blisko tronu.

Cóż, znajome rzeczy... Przecież to tonacja kroniki Thietmara! Początki marszu po europejskich szlakach nie wyglądały sielankowo, za to perspektywy i - co ważniejsze! -

wyniki były wcale nie najgorsze: w trzysta lat później znowu zwarte, dość rozległe królestwo z określonym programem politycznym i uniwersytetem, drugim w naszej połaci kontynentu. Ale zanim do tego doszło, miała historia Polski doznać całego cyklu przyptyków i odpływów, pulsować dramatycznym, kapryśnym rytmem dziejów powszechnych. Kronikarz, w nieznanym miejscu i czasie przybyły nad Wisłę, słuchał od tubylców o wzlotach i upadkach całkiem świeżej daty. O niektórych mógł się zresztą dowiedzieć już za granicą, bo to były sprawy ważkie nie tylko dla Polski.

Od roku 1034 po 1042 dynastię Piastów reprezentował tylko jeden mężczyzna, który przez czas pewien przebywał na wygnaniu, może i na Węgrzech, z pewnością w Niemczech. Podobno cesarz chciał go tam zatrzymać na stałe, proponując rozmaite dobra i godności. Jeśli to prawda, ród piastowski mógł być ekspatriować się, wsiąknąć w Lotaryngię.

Kazimierz Karol, nazwany później Odnowicielem, powrócił do kraju i zdołał odtworzyć rodzimy ośrodek władzy. Potomność zapamiętała go, ale nie obdarzyła specjalną uwagą. Niesłusznie, bo Odnowiciel to pierwszy w Polsce polityk w prawdziwie europejskim stylu. Ani nawet próbował iść w ślady dziada - zupełnie jak Kapetyngowie, którzy znali oczywiście i cenili tradycje Karolingów, lecz na razie powstrzymywali się od prób wcielania ich w życie. Rozważając jego postęпки, ma się takie wrażenie, jakby ten Piast studiował w szkole słabiutkich „monarchów” z Paryża, których naczelną maksyma brzmiała: trzeba zszywać.

Zszywał, pracowicie łątał swe potraskane dziedzictwo, podpierał się sojuszami z tymi właśnie, którzy pokonali jego ojca. Powrócił do Polski zaraz po najeździe czeskim, wspierany przez posiłki niemieckie. Wkrótce potem pomagał cesarzowi w wojnie z Czechami. Powód jej polegał na tym, że Praga zanadto spotężniała i pozwoliła sobie naruszyć równowagę polityczną. Ale pretekst był bardzo oryginalny. Henryk III zażądał od Brzetysława czeskiego zwrócenia Polsce zagarniętych w niej skarbów, brańców, Śląska oraz relikwii św. Wojciecha. Jesienią 1040 roku Brzetysław, który dopiero co szykował się do roli czeskiego Chrobrego, zzuł ciężmy w Ratybonie i stojąc boso u podnóży cesarskiego tronu, złożył hołd i przyrzekł posłuszeństwo. Henryk III, pomny na zasadę równowagi, okazał mu częściową łaskę. Zrezygnował z żądań pożytecznych dla Polski. W roku 1054 Kazimierz odebrał Śląsk siłą, korzystając ze sposobności, ale na gniewny pomruk cesarza natychmiast wykazał powściągliwość. Śląsk zatrzymał, lecz zobowiązał się płacić Czechom trybut z tej dzielnicy.

Współzawodnicy ojca - Mieszka II - znaleźli pomoc w Kijowie. W dwa, najwyżej w trzy lata po powrocie do kraju Kazimierz żeni się z kijowską księżniczką Dobrogniewą Marią, córką Włodzimierza Wielkiego. Bierze w posagu skarby, które na pewno przydały mu się, bo Czesi poprzednio starannie opróżnili komory piastowskie w Gnieźnie, w Poznaniu i w Krakowie, nie pominęli również kościołów. Jako wiano oddaje Rusi kilkuset brańców, których dziad jego przyznał był ongi z Kijowa.

Kiedy Kazimierz pomagał cesarzowi w wojnie z Czechami, na wschodzie: „siedł Jarosław w łodziach na Mazowszany”, czyli - płynąc z biegiem Bugu - zaatakował niebezpiecznego przeciwnika Polski. Kronikarz ruski, który to zanotował, w sześć lat później

powrócił do tego samego tematu: „lata 6555 [1047] Jarosław szedł na Mazowszany i zwyciężył ich, i zabił księcia ich Mojsława, i upokorzył ich Kazimierzowi”.

Szerzej znacznie opowiada o tych wypadkach nasz Anonim. Zapamiętajmy od razu, że przemilcza w ogóle pomoc ruską. Według niego w generalnym starciu nad rzeką, zapewne nad Wisłą, przewaga sił była po stronie Mazowsza, ale zwycięstwo przypadło Polsce. Zbuntowana dzielnica zmuszona została do posłuszeństwa, powróciła pod władzę Piastów. Zaraz potem następane wygrane starcie oddało Kazimierzowi część Pomorza.

Thietmar przekazał potomności długie spisy nazwisk rebeliantów niemieckich, nasza historia, znacznie uboższa w źródła pisane, lecz nie w fakty, zapamiętała tylko jednego z polskich. Historycy ciągle spierają się o właściwe brzmienie jego imienia, tradycja zna go jako Masława. Dawny cześnik Mieszka II w chwili zamętu, do którego głównych sprawców się zaliczał, pochwycił władzę na Mazowszu i umocnił się tam omal nie na dobre. Był z tych, co chcieli całkiem zepchnąć Piastów ze sceny. Anonim pisał, kiedy ludzie mieli Masława w dość świeżej pamięci, czerpiąc wiadomości z opowiadań pokolenia własnych ojców. Toteż przekazał w kronice obraz szczytowego punktu rozgrywki. Zgodnie z kanonem epoki, książe Kazimierz walczył nad Wisłą osobiście, na równi z szeregowym rycerstwem. Starał się pewnie dawać przykład męstwa, skoro krew nieprzyjaciół zbroczyła mu twarz, pierś i ramiona, a zapędzonemu zbyt daleko śmierć zajrzała w oczy. Ocalił go wojownik nienależący do żadnego z rodów szlacheckich — najpewniej zwyczajny chłop.

Nie warto doszukiwać się w tym szczególe jakichś osobliwych znamion historii kraju, którego dynastia podobno pochodziła z chłopów. W wydarzeniu owym widać raczej normę powszechną. Formująca się dopiero władza państwowa często doznawała pomocy od takich, co stali na samym dole. Za Renem, na przykład, plebejska milicja pokoju pomagała królom niszczyć kasztele różnych tamtejszych Masławów. Kazimierz zwalczał swojego „na przepaścistym brzegu rzeki”, burej od piasku. Sceneria swoista, nadwiślańska, ale treść dziejowa zupełnie ta sama co wtedy, gdy król Niemiec Henryk II, ustawiwszy hufce nad malowniczym Jeziołem Bodeńskim, czekał na wojsko przeciwnika, księcia Szwabii.

Żołnierz, który ocalił Kazimierza, otrzymał w nagrodę gród i awansował do rzędu rycerstwa.

Kazimierz Odnowiciel żył zaledwie czterdzieści dwa lata (ród, do którego należał, na ogół nie odznaczał się długowiecznością). Zmarł w Poznaniu, 28 listopada 1058 roku. Anonim nie może więc żadną miarą uchodzić za świadka jego rządów i czasów. Nikt nam jednak nie zaręczy, czy nigdy niewystawiona metryka Galla nie zdradziłaby daty narodzin o kilka lat wcześniejszej.

Uczeni twierdzą, że przyszedł na świat gdzieś około roku 1060. W takim razie pisząc kronikę, miałby niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Wolno zatem ryzykować i dorzucić jeszcze dziesięć wiosen. Dorzucić raczej niż ująć, bo dzieło zdradza męża, który nie tylko umiał dobrze pisać, lecz wiele w życiu rozmyślał. Rozumem i wyobraźnią ogarniał główne sprawy epoki.

Poglądy uczonych dotyczące metryki i całego życiorysu Galla są wyjątkowo urozmaicone. Profesor Karol Maleczyński pisze w Polskim słowniku biograficznym:

O mało kim napisano tyle sprzecznych sądów, co o Gallu; jego narodowość, miejsce studiów, imię, wykształcenie są do dziś sporne w literaturze. Najznakomitsi uczeni polscy i obcy biedzili się nad rozwiązaniem tej zagadki, jak do dziś bezskutecznie. Uważano go kolejno za Niemca (Semmler), Polaka (Kownacki), Francuza z Prowansji (Kętrzyński St., David), Flandryjczyka (Gumplowicz, Maleczyński), Włocha (T. Wojciechowski), Węgra względnie Słowianina węgierskiego (Bruckner, Tyc, Plezia). Identyfikowano go z Baldwinem hr. Flandrii, zaginionym w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej, i arcybiskupem pizańskim tegoż imienia (Gumplowicz), czyniono Galla biskupem kruszwickim lub scholastykiem poznańskim (Krotoski), członkiem weneckiego rodu Orseolich wygnanym z ojczyzny (T. Wojciechowski); ostatnio uważano go za zakonnika klasztoru węgierskiego w Somogyvár (David, Plezia). Czas przybycia Galla do Polski kładziono dawniej około roku 1089 (ostatnio Gródecki), obecnie przesuwają się go raczej na lata 1109-1119 (Plezia, David). Przypisywano Gallowi raz szerokie odczytanie w literaturze klasycznej i średniowiecznej (Znamierowski, Maleczyński), raz uważano go za przeciętnie wykształconego mnicha, który swej erudycji niczym w kronice nie zdradził (Plezia). Czyniono go członkiem polskiej kancelarii książęcej, a nawet jej kanclerzem (T. Wojciechowski), czemu znów inni badacze stanowczo zaprzeczają (Maleczyński). Wreszcie sporna jest wiarygodność samej kroniki Galla.

Anonim napisał bowiem o sobie tylko tyle: ja, zakonnik, wygnaniec wśród was i pielgrzym, nie chcę wynosić się ponad innych, wystawiać swego kraju ani rodu. W dość obszernej kronice nie ma nawet cienia wspomnień o ojczyźnie. Głucho o niej, jakby autor z rozmysłem coś czy kogoś taił. A przecież przemawiał w pierwszej osobie! Przebywał i pisał w Polsce. Może obawiał się, że treść dzieła urazi kogoś mocnego, czyjaś ręka potrafi dosięgnąć bliskich lub przyjaciół, zamieszkałych daleko od Krakowa? Kronika Anonima zdaje się pachnieć konspiracją. Jedno pewne — zdecydowana sympatia do Węgier oraz ich władców. Ale to nie może świadczyć o pochodzeniu. Jeśli przybysz obdarzył szczerym uczuciem Polskę, to czemuż nie miałby polubić kraju, który także kiedyś tam poznał i który często współdziałał z Polakami.

Gall nazwał siebie wygnańcem. Wierzyć mu bez zastrzeżeń to zgrzeszyć przeciwko podstawowej zasadzie wymiaru sprawiedliwości — *nemo iudex in causa sua*. Wiadomo, jak to bywa w praktyce pisarskiej. Można użyć określenia tylko spokrewnionego z prawdą, ustawić słowo ukosem. Może ten, co „wygnał” Galla, użyłby nieco innych rzeczowników. Na przykład: zbieg, wywołaniec, odstępcza lub nawet - zdrajca. A któż zaręczy, czy właściwym wygnańcem nie był rodzic kronikarza? Istnieje wszak kategoria dziedzicznych emigrantów politycznych.

Powróćmy do przytoczonego urywka Słownika biograficznego. Spierający się uczeni wymienili wiele krajów europejskich, położonych na zachód i południe od Polski. Co prawda, Gall mógł pochodzić z takiej akurat ziemi, którą w dyskusji przypadkiem pominięto, ale nie to jest ważne. Niemcy, Flandria, Francja, Włochy, Węgry, południowa Słowiańszczyzna — to już panorama

kontynentu. Należy zatem rzucić okiem na to, co się tam działo po roku 1060.

Historycy nazywają ów okres pierwszym rozdziałem wielkiej ekspansji feudalnej. Przyczyn zjawiska dopatrują się w ulepszeniach gospodarki rolnej, we wzroście gęstości zaludnienia. Kasztele zaroły się od młodszych synów rycerskich, na gwałt potrzebujących takiego chleba, który zapewnia miejsce na wierzchołku. I właśnie wtedy dokonał się ostateczny przełom w metodach wojowania. Ciężka jazda rycerska wzięła przewagę - na długie wieki.

Temat zwalnia od obowiązku rozprawiania o motorach historii. Losy osób zależą od wydarzeń zachodzących w określonym miejscu i czasie.

W roku 1066 powiodło się przedsięwzięcie wojenne, którego już nikt później nie zdołał powtórzyć. Książę Normandii, Wilhelm Bękart - syn Roberta Diabła i córki garbarza z Falaise, Ardetty - dokonał inwazji Wysp Brytyjskich. Przeprowadził się przez Kanał, zwyciężył pod Hastings, zdobył kraj, zmienił przydomek na „Zdobywca”, koronował się i dał początek tej Anglii, którą znamy. To między innymi znaczy: anglosaskiej monarchii, na której herbie widnieje francuski napis. Normanowie bowiem, którym Wilhelm panował, od dawna osiedli w północnej Francji, byli już właściwie Francuzami.

Nie tylko losy poszczególnych osób zależą od przypadków. Niekiedy przytrafia się to i państwom. Przez dwa tygodnie czekał Wilhelm na sposobną chwilę i przeklinał niepomyślne wiatry. A to one właśnie dały mu zwycięstwo. Król Anglii Harold wiedział, co się święci, siły zaś miał dobre, znaczniejsze od normandzkich. Skupił je i czekał, by zepchnąć lądujących do morza. Tymczasem na północy przybiła do brzegu flota norweska, sprowadzona przez królewskiego brata - współzawodnika, Trostiga. Harold rzucił się przeciw niej i zdecydowanie zwyciężył. Król Norwegów oraz Trostig polegli. Lecz niepomyślny dla Wilhelma wiatr wiał tylko przez dni piętnaście, nie dłużej. Powracający na południe Harold zastał Normanów na połowie drogi pomiędzy wybrzeżem a Londynem, koło Hastings. Jego kawaleria stosowała tę metodę walki, która miała na nowo odżyć dopiero w początkach XX wieku. Ta kawaleria była właściwie piechotą na koniach. Walczący z siodła i zdolni do konnego manewru Normanowie wygrali.

Wilhelm przygotował swą akcję dyplomatycznie, stosując najbardziej bezwstydną oszustwa i wymuszenia. Zdołał zapewnić sobie poparcie Rzymu. Dla nas ważniejsze w tej chwili, że z pomyślnym skutkiem wezwał do współudziału rycerstwo z rozmaitych stron, także z Flandrii, Włoch oraz z południowej Francji. Kraje te figurują w przytoczonym urywku Słownika biograficznego. Apel Bękarta mógł wyciągnąć z rodowego kasztelu ojca Gallowego i wplątać go w wir wydarzeń o przebiegu i skutkach nie do odgadnięcia.

Następny zamęt, rozstrzygający o awansie i upadku mocarstw, zdarzył się na południu Europy, wtedy kiedy Gall miał ze dwadzieścia albo więcej lat. Sprawa dotyczyła Włoch, samej Wenecji oraz słowiańskich wybrzeży Adriatyku. Nie przekroczyliśmy więc kręgu zakreślonego przez uczonych.



Sprawcami byli znowu Normanowie, których dawno temu uznano za polityczne drożdże średniowiecza. Aż za dobrze uznano, skoro byli i są tacy, co twierdzą, że jeśli od Normanów - Warego-Rusów - pochodzą Rurykowicze z Kijowa, to i polski Mieszko był niewątpliwie „Normaninem Dagonem przybyłym przez morze”. Drużyny normandzkie osiedlały się w południowej Italii już od czasów Bazylego Bułgarobójcy. Służyły orężem to cesarzom z Bizancjum, to znów przeciwko nim. Zastępnęły — powiada profesor Jan Dąbrowski - „z drapieżności, łupiestwa i chciwości”. Łup brzęczący i w ogóle ruchomy lub przenośny wystarczał im tylko w początkowym okresie. Już w trzecim dziesięcioleciu XI wieku zaczynają Normanowie brać w trwałe posiadanie ziemię, miasta i księstwa włoskie.

Ci Normanowie, o których mowa, od dawna już oderwali się od swej skandynawskiej ojczyzny. Ochotnicy ciągle napływający do Italii pochodzili z Normandii francuskiej. Był wśród nich niejaki Tankred de Hauteville. Jak wszyscy współplemieńcy, odznaczał się męstwem, ale do historii przeszedł dzięki innej swej zalecie. Z dwóch małżeństw spłodził dwunastu synów, z których aż ośmiu odegrało wybitną rolę.

Juniorzy, młodszy synowie władców lub rycerzy! - czynnik społeczny, z którym dzieje średniowiecza ciągle mają do czynienia. Raz się na nim potykają, kiedy trzeba dzielić państwa lub unikać podziałów, to znaczy mordować pretendenta, wypędzać ich z kraju, osadzać po klasztorach. To znów juniorzy stają się bodźcem historii, gwałcą los.

Dwaj synowie Tankreda - Drogo i Wilhelm Bras-de-fer, Żelazne Ramię — walczyli na Sycylii z Arabami, służąc cesarzom bizantyńskim. Nieco później zagarnął tę wyspę dla siebie brat wyżej wspomnianych wojowników, Robert Guiscard. On właśnie ze wszystkich Tankredowiczów najwyżej zaszedł. Stał się dla Bizancjum zmorą i przekleństwem.

Po raz pierwszy wybił się w roku 1053, kiedy do spółki z bratem Ryszardem rozbił pod Civitate wojska papieskie. W konflikcie ze stolicą apostolską pozostawał jednak niezbyt długo, tylko przez następnych sześć lat. W roku 1059 papież Mikołaj II osobiście spotkał się z nim w Amalfi, uznał w Robertcie księcia Apulii i Kalabrii oraz wziął italskich Normanów „w opiekę św. Piotra”. Od tej chwili — pisze historyk francuski - Rzym przestał uważać Normanów za bandę, gdyż stali się oni jego współnikami. Robert przyrzekł niewielki trybut pieniężny. Stokroć ważniejsze, że zobowiązał się bronić mieczem nowych porządków w Rzymie.

W tym samym roku 1059, trochę wcześniej, wydano tam dekret o sposobie obierania papieża. Miało go odtąd dokonywać kolegium kardynałów. Nie nosili oni jeszcze purpury, którą nakazał dopiero Paweł II w roku 1464. Papieże chadzali raczej podówczas w czerwieni, białą sutannę przyjął na stałe w wieku XVI Pius V, święty. Pomimo tych czysto zewnętrznych różnic, właśnie rok 1059 rozpoczął praktykę, która trwa do dziś. Zwolennikiem układu z Normanami był Hildebrand, w niedalekiej przyszłości papież Grzegorz VII. Trzy lata wcześniej zmarł Henryk III, uważany za największego z cesarzy niemieckich, współczesny naszemu Odnowicielowi i jego niezbyt ufny protektor. Przewaga Henryka nad Rzymem papieskim była druzgocząca i, jak się zdawało, zapewniona również spadkobiercom. Stać go było na złożenie z tronu dwóch kandydatów na papieża — Grzegorza VI i Sylwestra III — oraz na mianowanie Klemensa II, który był Niemcem, biskupem Bambergu. Henryk

rozstrzygał również o jego następcach, a zostawali nimi zawsze biskupi z cesarstwa: Damazy II, Leon IX, Wiktor II.

Wiemy od Thietmara i skądinąd, jak zachowywali się wtedy świeccy baronowie niemieccy, a także młodszy członkowie dynastii. Tron wspierał się na biskupach. Chcąc ich mieć w ręku, należało panować nad Rzymem. Postępowanie Henryka III zrozumieć łatwo.

Jego zgon otwiera w dziejach Niemiec rozdział, który oficjalnie zwie się „wiekiem anarchii” (widocznie twórcy tej nazwy uważają, iż poprzednio panował w Niemczech porządek). Rachunek niemal równy - ten okres trwał od roku 1056 do 1152 (lecz nie stanowił jeszcze dna chaosu, co Rzesza osiągnęła dopiero w stuleciu XIII, w czasie Wielkiego Bezkrólewia).

W chwili śmierci ojca, następcą - Henryk IV, który w dwadzieścia lat później miał się upokorzyć w Canossie przed Grzegorzem VII - był dzieckiem. Na dekret o kolegium kardynałów nie trzeba było długo w Rzymie czekać. Podporę, w postaci układu z Normanami, znaleziono niezwłocznie. Walka dwóch nadrzędnych autorytetów średniowiecza wkraczała w nową fazę. W Polsce rządził już wtedy Bolesław II Śmiały, który zdecydowanie stanął po tej samej stronie, co Robert Guiscard, za papieżem przeciwko cesarzowi.

Włoskie perypetie tylko z pozoru wyglądają na obce Nadwiślu. To były procesy wewnątrz wspólnego organizmu.

Wszystko, co tu dotychczas powiedziano o Normanach italskich, nosiło właściwie charakter wstępu. Chodzi nam przecież o czasy pełnoletności Galla. Zaczęły się one w schyłkowym okresie życia Roberta Guiscarda, przy boku którego już wzrastała nowa gwiazda normandzka, syn Boemund, przyszły krzyżowiec, ksiązę Antiochii. Streszczajmy się: Normanowie stworzyli we Włoszech duże państwo, obejmujące niemal całe południe półwyspu wraz z Sycylią. Po opanowaniu zachodnich wybrzeży Adriatyku przyszła kolej na wschodnie. W roku 1081 Normanowie przebijają cieśninę Otranto, lądują koło Durazzo. Są równie dobrymi kawalerzystami, jak żeglarzami. Ich drużyny, przed którymi wszystko truchleje, po starej drodze Via Egnatina prą na wschód, pokazują się pod Skopje i aż pod Laryssą. Stamtąd już prawie widać Morze Egejskie. Bizancjum zostaje bezpośrednio zagrożone.

Cesarstwo wschodnie chwyta się środków rozpaczliwych. Podburza Serbów i inne ludy, które samo przedtem niewoliło. Kapituluje przed własnym wasalem - Wenecją.

Ta ostatnia była właściwie jeszcze bardziej zagrożona. Zdobywając Korfu, Normanowie zamknęli wszak Adriatyk. Ale doża i rada mieli mocne nerwy, stanowczo lepsze niż cesarz Aleksy Komnenos. Wenecja nie odrzuciła więc prośby o pomoc, ale — mówi August Bailly — zachowywała się tak, jakby zamierzona ekspedycja tylko petentowi miała przynieść korzyść. Drogo sprzedała to, co i bez cudzych błagań musiałaby wykonać. Bizancjum zachowało pozory zwierzchnictwa politycznego nad nią, ale zapłaciło cenę naprawdę bez przykładu. Pomińmy honorowe tytuły dla doży. Mniej ważne było nawet ofiarowanie księstwa Dalmacji. Dopiero udzielone republice przywileje gospodarcze

porównuje niemiecki historyk do obroży, która z czasem zadusiła Bizancjum. Oddało ono Wenecji jedną z własnych dzielnic oraz część portu. Stały się one w stolicy cesarstwa niezależną odcien enklawą. Oddało wiele przedsiębiorstw, także prywatnych, z którymi Aleksy nie robił ceremonii. Piekarnia, zaopatrująca przepływające statki w chleb — nawet ona dostała się Wenecjanom. Uzyskali oni prawo handlu w całym imperium wschodnim i zwolnienie od wszelkich opłat i ceł. Za to kupcy z miast włoskich handlujących z Normanami, jeśli tylko działali na obszarze Bizancjum, musieli płacić Wenecji roczny podatek, po trzy sztuki złota każdy. Te pieniądze szły na katedrę św. Marka, której budowa rozpoczęła się dawno, w roku 976. „Każde pokolenie, każdy wiek zostawił swój ślad na tym mszale z kamienia i złożył mu w hołdzie swe najrzadsze skarby”.

Wielki przywilej, jaki cesarz Aleksy dał miastu w roku 1082, stał się prawdziwym punktem wyjścia olśniewającej kariery. Jeszcze trzy lata i za czasów doży Vitale Faliero flota wenecka, przez niego samego dowodzona, zwycięża okręty Normanów. Robert Guiscard ginie w walce, cieśnina Otranto i droga w świat są znowu wolne. Nabyte uprawnienia pozostają. Uchodzi za pewnik, że podstawą potęgi Wenecji była działalność gospodarcza. Udatnie prowadzona gra polityczna też coś znaczyła.

Jeśli Gall był Włochem, a zwłaszcza Wenecjaninem, czy Słowianinem z południa, to mógł widzieć ciekawe rzeczy lub nawet w nich uczestniczyć. A jeśli był Francuzem? Przede wszystkim — co to w ogóle znaczy „Francuz” w XI wieku? Tankred de Hauteville pochodził z Normandii.

W roku 1087 rycerstwo z Francji rusza tłumnie na Arabów hiszpańskich. Papieżem był wtedy Urban II, Francuz wysokiego rodu. Pobratymcy ciągną na zachód za jego błogosławieństwem. Wśród wodzów spotykamy postacie doskonale znane czytelnikom Krzyżowców Zofii Kossak. Poszedł więc do Hiszpanii Rajmund Saint-Gilles, hrabia Tuluzy, a także Wilhelm de Melun, zwany Charpentier, Cieśla.

W tym właśnie czasie zarabiał na wiekuiącą sławę narodowy bohater Hiszpanii, Rodryg Diaz de Vivar. Nazwisko jego niewiele mówi polskiemu ogółowi, za to przydomek Cyda jest i u nas głośny. W Hiszpanii nazywa się go Cid Campeador. To ostatnie słowo pochodzi od łacińskiego campidoctor, co można przetłumaczyć na: biegły w walce. Ciekawsza sprawa z przesławnym „Cid”. Jest to hiszpańska przeróbka arabskiego „Sidi”. Bohater zachodniego chrześcijaństwa, zanim wspinał się na szczyty chwały, służywał zbrojnie i muzułmanom, którzy tytułowali go w sposób przed chwilą wspomniany. „Sidi” znaczyło tyleż co nasz „pan”. Sprawy średniowiecza tylko z oddali wydają się nieskomplikowane i proste.

Cyd stanął na pomniku dopiero wtedy, gdy po dwudziesto-miesięcznym oblężeniu odebrał Arabom Walencję. Stało się to nieco później, w czerwcu 1094 roku. Urban II zamyślał już wtedy o wielkiej krucjacie na wschód.

Gall był zakonikiem (nie wiadomo, co prawda, od kiedy), trudno więc domyślać się jego udziału w samej walce. Ale każdej wyprawie chrześcijan na niewiernych towarzyszyły zawsze istne legie kleru. W roku 1095 uregulowano te sprawy i duchowni mogli całkiem

oficjalnie używać broni. Później postanowiono nawet, że zanim się zostanie kaznodzieją wzywającym do krucjaty, trzeba samemu „wziąć krzyż”, to znaczy zaprzysiąc osobisty w niej udział. Pochody na wschód i Reconquista hiszpańska to problemy, które nie mogły być obce i tym księżom, co sami nie poszli, zostali w domu. Tym bardziej duchownemu, który był pisarzem. Umysłowość Anonima formowała się w dobie i atmosferze krucjat.

Jeżeli był Francuzem, a do Polski — jak dziś utrzymują specjaliści - wybrał się znacznie później, byłoby po prostu nadużyciem z góry wykluczyć jego osobisty udział w soborze w Clermont, gdzie Urban II ogłosił pierwszą wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej. „Więcej niż dwieście pięćdziesiąt krzyży biskupich” widniało wtedy w nawach katedry, zapisał kronikarz. Przybyli hierarchowie z całej Francji, jak długa i szeroka. Nie zabrakło włoskich i niemieckich. Kleru rang pomniejszych nikt nie rachował. Było to w listopadzie 1095 roku.

A teraz jedno zdanie z książki Reginy Pernoud *Les Croises: Pierwsza krucjata* zgromadziła pod murami Konstantynopola cztery odrębne grupy: Francuzów z Północy i Lotaryńczyków pod wodzą Godfryda de Bouillon i jego brata Baldwina z Boulogne — Francuzów spomiędzy Sekwany i Loary oraz Włochów z Północy z Hugonem de Vermandois (bratem króla Francji Filipa I), Stefanem de Blois i Robertem Krótkoudym (synem Wilhelma Zdobywcy) — Francuzów i Południa pod hrabią Tuluzy Rajmundem Saint-Gilles - w końcu Normanów z Sycylii, prowadzonych przez Boemunda z Tarentu i jego siostrzeńca, Tankreda (Boemund to syn Guiscarda, który podbił Sycylię i część Włoch południowych).

Opis zwięzły i pozwalający zrozumieć, jak wielkim nieporozumieniem jest przenoszenie dzisiejszych pojęć w tamte czasy. Ówczesni Francuzi z północy to coś trochę innego niż Francuzi spomiędzy Sekwany i Loary oraz tamci z okolic Marsylii... Lotaryńczycy liczą się — rzecz jasna — całkiem osobno. Król Francji — pan bezpośredni Paryża tudzież Orleanu — nie poszedł, nie proszono go nawet. Został bowiem uroczyście wyklęty przez papieża, co stało się właśnie w Clermont, które należało do królestwa Francji. Legat papieski zabrał mu „poddanych” i poprowadził ich do Palestyny.

Krucjatę rycerzy i baronów poprzedziły wyprawy „ludowe”. Cudzystów był konieczny, ponieważ w tej sprawie popełnia się rażące uproszczenia. Anna Komnena, która widziała i opisała przybycie do Bizancjum entuzjastów Piotra Eremity, tak się wyraziła: „Za wojownikami celtyckimi\* widziało się nieprzebrany tłum ludu, z kobietami i dziećmi, a wszyscy mieli na ramionach czerwone krzyże. Było ich więcej niż piasku na wybrzeżu morza i gwiazd na niebie”. Astronomiczne mnóstwo nie przekraczało w rzeczywistości jakichś dwudziestu tysięcy głów. Ale nie o to chodzi. Kronikarka, naoczny świadek, zauważyła wojowników i osobno plebs. Krucjaty „ludowe” szły przez Europę kilku falami. Być może w tych pierwszych — Piotra Eremity, Waltera bez Mienia i Volkmara — uczestniczyli wojacy rang ostatnich, nienależący do rodów i niepasowani. Za to inna, ostatnia bodaj, składała się zarówno z pospólstwa, jak z wielmożów o wspaniałych

PRZYPISY AUTORA:

\* Anna nazywa „Celtami” wszystkich łacinników.

nazwiskach. Wiódł ją graf Emich von Leisingen. Z nim razem ciągnął Wilhelm de Melun, który nie był zwykłym sobie rycerzem, lecz wicehrabią. Francuzi i Niemcy służyli w tej bandzie pospołu.

Rzeczownik „banda” nie nosi w danym wypadku charakteru wyzwiska, ściśle odpowiada prawdzie. Krucjaty „ludowe” splamiły się zbrodniami. Ta z arystokratyczną przymieszką była chyba najgorsza. Już ksiądz Volkmar rznął Żydów w Pradze, inny przywódca, niejaki Gotschalk, wbijał na pale chrześcijan, toteż drużyny króla Węgier otoczyły jego ludzi, zażądały złożenia oręża i wytepiły rozbrojonych. Lecz dopiero graf von Leisingen zadziwił współczesnych. Szedł doliną Renu, urządzając wszędzie rzezie Żydów, a nie oszczędzając i współwyznawców, tych zwłaszcza, co ukrywali Izraelitów. Na Bałkanach szturmował Belgrad, leżący na samym pograniczu imperium bizantyńskiego i Węgier, i omal go nie zdobył. Nagła panika dała jednak przewagę Madziarom, którzy nie krępowali się w zemście. Pieszy plebs zapłacił głowami, rycerstwo miało dobre konie. Von Leisingen zrezygnował z dalszego udziału w krucjacie, de Melun przyłączył się do jednej z kolumn regularnego rycerstwa, które właśnie nadciągało. Nauczony doświadczeniem król Madziarów zażądał zakładników od wojsk baronów i Godfryd de Bouillon zostawił mu na czas przemarszu brata, Baldwina, późniejszego księcia Edessy i króla jerozolimskiego.

Regularne rycerstwo krzyżowe też dopuszczało się gwałtów, ale nie takich jak tamte poprzednie. Wodzowie dbali o zaopatrzenie i choć trochę trzymali ludzi w garści. Sami marzyli o księstwach w Lewancie, a nie o łupach z Węgier. Okoliczności, a nie przynależność społeczna, rozstrzygały o postępowaniu. Literatura wysublimowała ideał rycerstwa, toteż wierność wobec jego kanonów łatwiej odnaleźć u bohaterów Conrada niż w czynach pasowanych wojowników średniowiecza.

Król Węgier, który tyle miał kłopotów z krzyżowcami, nosił imię Kolomana. Kronika Galla wystawia mu piękne świadectwo.

Nie wspomina o jego okrucieństwie, podkreśla natomiast, że mądrości książkowej prześcignął wszystkich władców sobie współczesnych. Anonim znał Kolomana osobiście, uczestniczył w tajnej naradzie pomiędzy nim a Bolesławem Krzywoustym. Warto podkreślić tę okoliczność. Dzięki niej wiemy na pewno, że nasz zagadkowy kronikarz zetknął się z jednym uczestnikiem dramatycznych wydarzeń krucjaty. Stanowiłoby lekkomyślność zapewniać, że Koloman był jego jedynym znajomym tej kategorii. Domyślano się w Gallu osoby zaginionego podczas wyprawy Baldwina flandryjskiego, widziano w nim nawet świadka oblężenia Antiochii. To są tylko przypuszczenia, na niczym właściwie nieoparte i odrzucone przez historyków. Absolutnie pewne, że Gall przeżył dobę dziejów rozpoczętą soborem w Clermont, a zakończoną zdobyciem Jerozolimy. Uczestniczył jeśli nie ciałem, to duchem. Wiedzieć i rozmyślać musiał. Pisarzowi to wystarczy.

Pokusa uproszczeń zagraża nieustannie. Najłatwiej wyobrazić sobie zakonnik, który przybywa do patriarchalnej Polski ze świata też zaksięgo w bezwładzie. W jego ojczyźnie wnuczki donaszają suknie babek i prababek, rycerstwo wyładowuje energię w awanturach z sąsiadami zza miedzy, nikt niczego nie wie i nie zna „oprócz parafii mey niskiego proga, gdzie ray oglądam y harfy dokoła, y piekło, w którym potępieńców prażą”. W rzeczywistości

Europa kipiała. Anonim uszedł z ojcowizny — może ratując głowę - i trafił nad Wisłę, gdzie ujrzał widoki pokrewne tym, do których przywykł. Za jego czasów stronnicy młodszego syna książęcego, juniora, najpierw zepchnęli z tronu, potem wytępili pierworodną, królewską linię Piastów. Nieco później zaczęły się w Polsce wielkie, lata trwające łowy na dwóch ostatnich przedstawicieli dynastii. Łowczym był wojewoda Sieciech, mniej znany, ale na pewno nie mniej bezwzględny od Guiscarda. On także, z niczym się nie licząc, gwałcił los. Chciał dla siebie miejsca na samym szczycie.

Wszystko to nie tylko przypominało obyczaj południa, środka i zachodu kontynentu, ale było w dodatku dokonywane przez dziedzicznych chrześcijan i dobrze uwikłane w konflikt nadrzędnych autorytetów chrześcijaństwa. Zakończony przed chwilą, bardzo pobieżny przegląd spraw europejskich prowadzi do wniosku, że na kontynencie nie było chyba wtedy ani jednego powiatu, który by miał spokój. Nie bez przyczyny ludzie oczekiwali bliskiego końca świata. A przecież ów przegląd właściwie jeszcze nie dotknął kwestii kapitałnej, walki papieży z cesarzami.

Gall miał kilkanaście wiosen, kiedy w styczniu 1076 roku w kancelarii cesarskiej stylizowano pismo zaczynające się od słów: „Henricus non usurpatwe, sed pia Dei ordinatione rex Hildebrando iam non apostolico, sed falso monacho...”. Tak przemawiał wyklęty cesarz Henryk IV do papieża Grzegorza VII, którego także kazał wykląć, co wykonał w Utrechcie posłuszny biskup Wilhelm. Inni niemieccy hierarchowie zajęli jednak całkiem odmienne stanowisko, a świeccy książęta podnieśli bunt. W lot podchwycili okazję osłabienia władzy cesarskiej. Ruski kronikarz zapisał o tym obfitującym w wypadki roku: „Chodził Włodzimierz, syn Wsiewołoda, i Oleg, syn Światosława, Lachom na pomoc przeciwko Czechom”. Grzegorza VII jak mógł tak wspierał od wschodu Bolesław Śmiały. A że miał akurat dobre stosunki z Kijowem, wezwał Rurykowiczów w sukurs. Razem z nimi uderzał na Czechów, wiernych cesarzowi. Pierwszy też święcił tryumf. Zanim Henryk IV zdążył zabiec Grzegorzowi drogę w Canossie, upokorzyć się przed nim bezprzykładnie i zapobiec ostatecznej klęsce, to znaczy wtrąceniu się papieża w sprawy niemieckie — piętnastu biskupów polskich ukoronowało Bolesława na króla. W katastrofie Polak też wyprzedził Włocha. Obaj zmarli na wygnaniu, Bolesław wcześniej. Jego upadek, o którym Gall dużo wiedział, lecz mało mógł powiedzieć, był tylko fragmentem wielkiego przeciwnatarcia cesarza, dalej wspieranego przez Czechów. Spychany dotychczas w cień junior polski, Władysław Herman, posłużył im za narzędzie, sprawa biskupa Stanisława stanowiła tylko przełomowy moment gry.

Pokusa uproszczeń nadal zagraża. Do jakiegoż obozu, jeśli nie do gregoriańskiego, mógł należeć zakonnik, który utwór dedykował „bogobojnym i czcigodnym biskupom kraju polskiego”, wysławiał ich pod niebiosą, a nawet podniósł niejako do godności autorów dzieła, zamilczawszy własne imię? Jego niedwuznaczna sympatia dla królewskiej linii Piastów, tradycyjnie sprzymierzonej z Rzymem, zdaje się zaliczać do głównych i rozstrzygających argumentów. Doskonały znawca tematu, Marian Plezia, powiada dosłownie o tej kronice: „sprawy religijne i kościelne potraktowane po macoszemu”.

Nie ulegajmy sugestii pięknie brzmiących wyrażen i nie przypisujmy przesadnego znaczenia hołdom, jakie autor składał biskupom. Słowne deklaracje mają wartość monety zdawkowej. Doświadczenie wielu stuleci poucza, że dowodzą one tylko, kto w danym kraju i czasie szafował łaskami i postrachem. Istotnych sympatii autora nie muszą zdradzać, częściej potrafią je maskować.

Nie wynika z tego wcale, że Gall należał do przeciwników papieża, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że samą instytucję cesarstwa cenił bardzo. Historycy nie rozstrzygnęli kwestii jego orientacji w wielkim sporze. Przyda się jednak wiedzieć, że i w samym obozie papieskim rozmaicie bywało. Istniały różne odcienie wierności. Miłość do ideologii wygasła czasem na granicy osobistych lub grupowych interesów.

Niektórzy uczeni uważali Anonima za Francuza, zakonnika z klasztoru Saint-Gilles w Prowansji, leżącego nad ramieniem dolnego Rodanu „le Petit Rhône”, w dzisiejszym departamencie Gard. Nie lada jaki był to konwencik, warto więc powtórzyć za Marianem Plezią to i owo o nim. Założony w stuleciu VI, na szczyty wspiął się w wieku X, XI, a zwłaszcza w XII. W roku 1119 - Gall mógł wtedy jeszcze żyć - podlegało opactwu Saint-Gilles pięć innych klasztorów, mianowicie na Węgrzech, we Francji północnej, w Lombardii, Katalonii i Aragonii. Od dawna tłumnie ściągali tam pielgrzymi, także z Polski. W XIII stuleciu podlegało już opactwu sześćdziesiąt kościołów oraz dwa zamki. Miasto Saint-Gilles dzieliło się na siedem parafii. Powracajmy jednak do czasów bardziej nas obchodzących.

W dramatycznym, przełomowym roku 1076 papież Grzegorz VII rzucił klątwę na zakonników z Saint-Gilles. Nie sprzyjali oni cesarzowi, nie chcieli tylko posłuchać rozkazu podporządkowującego ich opatom z Cluny. Nawykli bowiem mieć nad sobą własnego opata, papieża, a wyżej już tylko Pana Boga.

Będzie jeszcze mowa o charakterystycznej powściągliwości Galla w sprawach, które uważano wtedy za należące do wiary. Biorąc pod uwagę opinię Plezi oraz takie fakty, jak ekskomunika rzucona na Saint-Gilles, wolno przypuszczać, że jeśli Gall naprawdę coś czy kogoś taił, to może niekoniecznie z lęku przed władzą świecką. Równie dobrze mógł się obawiać duchownej. Pierwsza kronika polska zalicza się do pism wszechstronnie podejrzanych.

Karol Maleczyński, który w 1952 roku ponownie wydał drukiem jej łaciński tekst oraz zaopatrzył go w komentarz naukowy, zaprzecza pochodzeniu Galla z Saint-Gilles. Archiwa prastarego opactwa nie zabiorą głosu. W 1562 roku hugonoci zdobyli Saint-Gilles, częściowo niszcząc klasztor. Bibliotekę oraz dokumenty spalili. O tych czasach Prosper Merimee napisał, że każdy rajtar, który strzaskał z muszkietu posąg Madonny, był tak dumny, jakby wykorzenił w kraju bałwochwalstwo.

Odgadnąć losy Galla! W porównaniu z tym zadaniem poszukiwanie szpilki w stogu siana zalicza się do przedsięwzięć rokujących pomyślny skutek. Bo stóg przynajmniej stoi na miejscu, nie rusza się. W Europie XI wieku nic go w tym względzie nie przypominało.

Szło wtedy ku oryginalnemu zjawisku, które historycy kultury nazywają „renesansem XII wieku” lub humanizmem średniowiecznym. Przywykliśmy zastrzegać miano Renesansu dla prądu umysłowego zrodzonego we Włoszech, a rozkwitłego najpiękniej w stuleciu XVI. Nie jest to całkowicie słuszne i niektórzy badacze od dawna przeciwko temu protestują. Trudno pojąć dlaczego dotychczas nie spolszczono książki Frantza Funkgrentano o Renesansie. Zawiera ona ciekawą polemikę ze słynnym dziełem Jakuba Burckhardta i naprawdę warto poznać i ten punkt widzenia.

Nikt nie chce degradować epoki Odrodzenia. Słusznie zastrzega się przywilej dużej litery dla Renesansu Michała Anioła, Erazma z Rotterdamu i Mikołaja Kopernika. Ale to wielkie Odrodzenie wynikało nie z importu greckich manuskryptów ani z wynalezienia druku czy rozwoju grafiki. Raczej wykwitło z europejskiej gleby, uprawianej poprzednio w sposób o wiele bardziej gorliwy, niż skłonni bywamy mniemać.

Istniał w swoim czasie „renesans karoliński”, który przepadł w katastrofie imperium Franków. Nastał później „ciemny wiek”, stulecie X. Ale już XI zaczęło się dźwigać. O czasach późniejszych pisze Marian Plezia, zastrzegając się oczywiście, że w sprawach kultury nie wolno niczego mierzyć „sztywno datami”:

Po pierwsze (czysto zewnątrznie rzecz biorąc) mnożyć się zaczynają w sposób dotychczas niespotykany ośrodki życia umysłowego, szkoły, biblioteki. [...] Ludzie XII wieku mieli jasną świadomość, że postępy ich wiedzy są w przeważnej mierze odkrywaniem na nowo zapomnianego dorobku kultury starożytnej; oni to przecież ukuli o sobie powiedzenie, że są jak karły siedzące na ramionach olbrzymów; jeśli wzrok ich sięga dalej, to tylko dlatego, że tamci podnieśli ich tak wysoko. Wynikał stąd obowiązek, któremu na ogół gorliwie czyniono zadość, obowiązek pilnego studiowania wszystkiego, co tylko z literatury starożytnej było jeszcze dostępne. Znano ją wówczas w o wiele szerszym zakresie niż poprzednio i studiowano o wiele gruntowniej.

Autorem powiedzenia o karłach i olbrzymach był podobno Bernard z Chartres. W „renesansie” owym szczególną rolę grały szkoły i skupiska intelektualistów Francji północnej. Nawiasem mówiąc, dzisiejsi badacze francuscy, upominający się o właściwą ocenę tych zjawisk, nie kryją, że chodzi im o przypomnienie zasług własnej ojczyzny. Ich dobre prawo! To tylko w pewnym kraju z wschodniego raczej środka Europy od dawna uważa się, że poważny myśliciel winien mówić ujemnie o własnej historii a kto tego nie czyni, ten jest parafianinem, zacofańcem i hurra-patriotą.

Nie warto się spierać o szczebel zajmowany przez Galla w ówczesnej hierarchii umysłowej. Uczni, badacze jednego i tego samego tekstu kroniki, głoszą w tej mierze poglądy krańcowo odmienne, mimo woli dostarczając jeszcze jednego dowodu, że nauka historii pozostaje w bliższym pokrewieństwie z literaturą niż z wiedzą ścisłą. Nie powinno więc dziwić, że właśnie roztrząsanie literackich cech utworu dostarczyło ważkiego argumentu. Wykazało, że Anonim należał do awangardy pisarskiej.

Sam typ kroniki zaliczał się do gatunku bardzo podówczas en vogue. Jest to rycerska opowieść o dynastii, a właściwie o jednym jej członku, tym współczesnym autorowi.



Albowiem tak jak święci mężowie czczeni są dla swych dzieł dobrych i cudów, tak też królowie ziemscy i książęta wywyższani są zwycięskimi wojnami i triumfami; a jak zbożną jest rzeczą w kościołach głosić kazania o żywotach świętych i męczeństwach, tak chwalebny też jest w szkołach i w pałacach wystawiać triumfy i zwycięstwa królów i książąt; a jak żywoty świętych i ich męczeństwa, opowiadane po kościołach, skłaniają myśli wiernych ku religii, tak dzieła rycerskie i zwycięstwa królów i książąt, rozgłaszane po szkołach i zamkach, zagrzewają umysły rycerzy ku dzielności. Cytat został zaczerpnięty ze wstępu do trzeciej księgi dzieła Anonima. Jest chyba dość wymowny.

Gall uczynił pewne koncesje na rzecz klasycznej koncepcji kroniki. Nie zaczął wprawdzie, jak by należało, od początku świata, opowiedział jednak o pierwocinach dziejów Polski. Uczynił to, jak się jeszcze przekonamy, w sposób politycznie bardzo przemyślny, ale — literacko rzecz biorąc — w pośpiechu. Sam się do niego przyznaje: „Tych pamięci godnych dzieł Kazimierza z lekka dotknąwszy, a bardzo wiele innych dla pośpiechu milczeniem pominąwszy, położmy kres życia umierającemu...”. Właściwym bowiem tematem są dlań czyny Bolesława III, zwanego rzywoustym, a ściślej - jego walki. „Kronika Galla to dzieje wojen” - powiedział Roman Gródecki. Trudno to wyrazić zwięźle i trafnie.

Anonim nie był w Europie odosobniony, stał w licznej kompanii autorów piszących podobnie. Wcale wtedy nie brakowało dzieł poświęconych historii poszczególnych monarchii narodowych. Pojawiały się one we Francji północnej, Anglii, Włoszech, Nadrenii, w południowych Niemczech. Ten gatunek ma nawet specjalną nazwę łacińską — *gesta*, czyny, opowieść biograficzna.

Zdaniem Karola Maleczyńskiego autorzy dzieł nadających się do porównania z Gallem pochodzą przeważnie z Normandii lub z południowej Anglii. Drugie takie centrum to Włochy, pozostające pod wpływem Normanów. Natomiast Prowansja, gdzie leży klasztor Saint-Gilles, przeżywała podówczas fazę zastoju literackiego. Później dopiero rozkwitnąć w niej miała twórczość poetycka, opiewająca czyny rycerzy, gatunek o charakterystycznej nazwie, już francuskiej: *chansons de gestes*.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że dzieło Anonima zalicza się do pierwszych w Europie opowieści biograficznych. (Uczni używają co prawda terminu „powieść”, ale chyba niezbyt słusznie. Brakuje u Galla fikcji literackiej. Podobnie jak wielu jego poprzedników i następców zmyślał on bardzo chętnie przemówienia, w czym zdecydowanie zbliżają się do niego niektórzy współcześni nam autorzy zbeletryzowanych reportaży, przytaczający całe tasiemce rozmów, których nie zapisał żaden magnetofon. O wiele przewyższa Gall „reportażystów” tym, że nigdy nie zmyśla osób ani faktów. Wziąwszy to pod uwagę, możemy mu darować twierdzenie, że droga przez Sudety jest równie trudna, jak przez Alpy).

Awangardowe zamiłowania Anonima na tym się nie wyczerpują. Dawno już zwrócono uwagę na jego skłonność do rymowania. Badania najświeższe rozwinęły i poprawiły ten pogląd. Gall pisał prozą rymowaną i rytmiczną. Niepodobna właściwie powiedzieć, gdzie się w jego tekście kończy proza, a zaczyna wiersz.

Kronika powstała na początku XII wieku, akurat wtedy, kiedy rym i rytm akcentowy, „podstawowe elementy nowej techniki poetyckiej”, jeszcze nie zdążyły wyodrębnić się z prozy. Zastosowanego przez Galla sposobu pisania używała wtedy kancelaria papieska. Wkrótce miał się on znakomicie upowszechnić. W roku 1146 biskup krakowski, Mateusz, wysłał do św. Bernarda list ułożony właściwie wierszem. Ale za czasów Galla rymowana i rytmiczna proza stanowiła zupełną nowość. Nie spierajmy się o to, czy nasz kronikarz wyprzedził wszystkich kolegów po piórze. Specjaliści wahają się w tej sprawie. Faktem jest za to, że nie dał się prześcignąć. Jeżeli nie wytyczał szlaków samotnie, to szedł w pierwszym szeregu.

Filip z Hainaut, opat klasztoru Bonne-Espérance, w pismach swych hołdował tym samym metodom, co Gall, ale w stopniu znacznie silniejszym. Biorąc to pod uwagę, a także inne argumenty, Karol Maleczyński domyśla się, że Flandria była macierzą nowej manieri, i wywodzi Galla stamtąd właśnie. Może tak, może nie... Warto jednak podkreślić, za profesorem, że Filip z Hainaut był od Anonima nieco młodszy, pisał później.

Zjawił się w Polsce — nie wiadomo kto i nie wiadomo skąd. W każdym razie człowiek jak najbardziej umyślowo rozruszany. Tępy zacofaniec nie stałby się pionierem nowych prądów w literaturze. Taki intelekt musiał czułe reagować na wydarzenia, których wagę i zakres z lekka poznaliśmy. Gall wyszedł z nie lada szkoły. Była chyba twarda — „ja, pielgrzym między wami i wygnaniec” — na pewno dobrze kształciła myśl. Zagadka, co — w sensie kulturalnym — zastał ten człowiek w Polsce?

Zagadka właśnie, aczkolwiek całkiem niedawno temu panowała zgoda powszechna, że wszystko wiadome.

Jesienią 1961 roku obiegła prasę wiadomość o znaleziskach w Tyńcu. Tyniec! — miejscowość obdarzona przez naturę rzadkim pięknem krajobrazu i pewnie w związku z rym szczególnie umiłowana przez literaturę. O tę nadwiślańską skalę zaczęła się prastara legenda o Walgierzu Udałym i pięknej Heligundzie, podanie wywodzące się rzekomo z czasów pogańskich, opiewające miłość, zdradę i zemstę. Gerard Labuda dowiódł ostatnio, że rodzima z pozoru baśń jest tylko starą bardzo przeróbką wątku romansowego, popularnego w całej Europie średniowiecznej. Nie ujęło to legendzie uroku. W tynieckiej gospodzie Pod Lutym Turem zaczyna się akcja Krzyżaków. W Tyńcu działają bohaterowie Srebrnych orłów Teodora Parnickiego, a poprzez postać arcybiskupa Arona i Nowa baśń z Tyńcem się wiąże.

Wznoszące się tam dzisiaj gmachy to rezultat wielu przebudówek. Ale w lessowej glebie - bo na niej, a nie na kamieniu stoją zarówno kościoły, jak klasztor - odnajdywali archeologowie zabytki z czasów przedchrystusowych, nie tylko z przedchrześcijańskich. Po wojnie kopał tam doktor Gabriel Leńczyk, przed wojną Adolf Szyszko-Bohusz, który twierdził, że pierwotny kościół tyniecki był kamienny, jednonawowy.

Jesień 1961 roku przyniosła sprostowanie poglądów sławnego historyka sztuki. Ten kościół był rzeczywiście kamienny, ale miał trzy nawy. Monumentalna świątynia kryła pod posadzką groby. Nie było w nich żadnych tablic z napisami. Nie zawsze tak się zdarza, jak w roku 1938, kiedy to w wawelskiej krypcie św. Leonarda odkryto grobowiec, a w nim płytę.

Wyraźne, duże, ryte w ołowiu litery głosiły, że tu spoczywa Maurus cracoviensis episcopus, zmarły Anno Dominice Incarnacionis (pisownia oryginału) MCXVIII, dnia 5 marca.

Groby tyńskie nazwano na bieżąco, używając za wyznacznik metali w nich znalezionych. Jeden przypisano więc „opatowi ołowianemu”, drugi „złotemu”. Powabny, lecz czysto literackiej natury domysł widzi w tym drugim arcybiskupa Arona, którego tak bardzo rozślawił Teodor Parnicki. Gdyby nie jego książki, nie byłoby może owej hipotezy.

Niewiele ocalało z ołowiu, który przez dziewięćset lat leżał w ziemi, początkowo tuż przy rozkładających się zwłokach. Zbutwiały szybko, ledwie zdążyły zapoczątkować wiekowy proces niszczenia, który zniekształcił okucia pastorału, uczynił nich bryłki bez formy. Złoto nie podlega korozji. Wyjęte z drugiego grobu kielich i patena niepokoiły blaskiem, wygląd zda wał się zaprzeczać wiedzy o ich starości. Drewno pastorału szczelo, spojenia i ozdoby świadczyły o swym twórcy, rzemieślnik który kuł i cyzelował to złoto, był artystą.

Oglądałem te cuda nie w Tyńcu, lecz w Krakowie, na Wawelu, gdzie urządzono poświęconą im konferencję naukową. W gablocie obok widniały pod szkłem niewielkie płachty materii o jednolitej, brunatnej barwie. Podobny kolor miał płaszcz królowej Jadwigi, wydobyty z jej trumny w lipcu 1949 roku.

Dzień był listopadowy, ciemny, już od rana przyszło zapalić lampy. Kiedy się spojrzęło pod światło, na brązowym tle wyraźnie znać było drobniutkie, srebrne i złote wypukłości. Do grobu przystrojono opatów w szaty haftowane. Historia tego rękodziela przedłużyła się zatem w Polsce o lat trzysta. Najstarsze znane dotychczas zabytki pochodziły z XIV wieku. Pierwotny kościół tyński, groby i zawarte w nich skarby pamiętają drugą połowę XI.

Przyszedłem na Wawel razem z Antonim Gołubiewem. W milczeniu, długo oglądaliśmy przedmioty, których istnienia w Polsce nie śmiał nigdy domyślać się nikt — ani uczony, ani pisarz. Musiały same zaświadczyć o sobie i epoce. Innej drogi do prawdy nie było... i nadal nie ma.

Najstarszy dokument polski, zachowany w oryginale, pochodzi z lat 1099-1102. Władysław Herman ogłaszał w nim „wszystkim wiernym w Chrystusie, tak obecnym jak i przyszłym”, że własnym kosztem wykupił w Polsce dwa złote krzyże „niesłusznie zabrane” kościołowi bamberskiemu i zwraca je właścicielowi, a w zamian: „modlitwa braci za zbawienie duszy mojej i wszystkich moich ma być bezustannie do Boga zasyłana”. Książkę musiał oglądać i ważyć w dłoniach owe krzyże — „okrągłe”, a więc stanowiące znak władzy biskupiej — które w jakiś nieznan nam sposób trafiły nad Wisłę. Być może oceniał je okiem znawcy. Na pewno nie dziwił się skarbowi. We własnym kraju od dawna miał podobne, jeśli nie znacznie lepsze. Aż do roku 1961 muzea europejskie posiadały dwa kielichy tego typu i wieku, co tyński. Trzeci odnalazł się u nas, czyli w kraju, który był podówczas najmłodszym z synów Kościoła. Odnalazł się w grobie, a to znaczy, że na pewno nie przywieziono go później od daty pochówku, że nie był jedyną kosztownością świątyni. Okuty złotem pastorał również złożono w trumnie, nie odziedziczył go następny opat.

Znaleziska tyńskie pochodzą z drugiej połowy, może z ostatniej ćwierci XI stulecia. Czasy Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana i Galla Anonima. Niczyja przysięga nie zaręczy, że kronikarz sam nie oglądał tego złota i haftów, że nie uczestniczył w ich uroczystym pogrzebie.

Biskupa Maura znał. Umieścił go wśród tych, którym dedykował swoje dzieło. A jeśli Gerard Labuda ma słuszość i Gall naprawdę pisał kronikę w Krakowie, to niewykluczone, że śpiewał egzekwie w krypcie św. Leonarda, dotykał ołowianej płyty z napisem, a może... sam go ułożył. Był przecież biegły w piórze. Profesor Labuda powiedział jeszcze, że być może prawdziwe imię Galla widnieje „wśród imion zapisanych w najstarszym kalendarzu krakowskim, będącym równocześnie księgą zmarłych tamtejszego kleru”. Nikt jednak nie potrafi wskazać, które z nich stanowi rozwiązanie zagadki.

W roku 1110 - na osiem lat przed swym zgonem - kazał biskup Maur skatalogować bibliotekę kapituły krakowskiej i ten spis zachował się do dzisiejszego dnia. Księgozbiór liczył pięćdziesiąt trzy rękopiśmienne, oczywiście, foliały, a Plezia uważa go za typowy dla epoki. Podobne istniały w wielu innych europejskich stolicach biskupich, przy katedrach i klasztorach. To znaczy mogły istnieć również w Gnieźnie, Poznaniu, Wrocławiu, Sandomierzu, Lubiniu, Łęczycy... lecz tylko o krakowskim wiemy- W Inowłodzu nad Pilicą stoi prastary kościół. Wiadomo, że zbudował go Władysław Herman około roku 1086, nie wiadomo natomiast, czym obdarzył. Księgi posiadał na pewno i dwór książęcy. Uważano je wtedy za skarb, nie tylko zresztą dlatego że skrybowie iluminowali je, zdobili złotem.

Wolno swobodnie fantazjować na temat udziału Galla w pracy nakazanej przez biskupa Maura. Nieliczni tylko wątpią o tym, że w roku 1110 Anonim był w Polsce. Ręki jego nie rozpoznamy. Oryginał kroniki przepadł bardzo dawno temu. Najstarszy odpis pochodzi z XIV wieku.

Tak więc przybył Anonim do kraju, który był chciwy nowości. Kronika napisana po łacinie w sposób nowatorski jakoś dobrze pasuje do dzieł sztuki złotniczej, stanowiących rzadkość na kontynencie. Księgi stworzył cudzoziemiec, kielich, patenę i pastorał wykonali zachodni mistrzowie. Nikt Polakom nie przypisuje autorstwa. Stwierdza się tu tylko, że kraj pragnął prawdziwych wartości, stał przed nimi otworem, skoro je miał.

Gall zalecał popularyzację swego dzieła przy pomocy tłumaczy. Współczesny mu Gaufrid Malaterra - opowiada Plezia - spodziewał się, że biskup Katanii przetłumaczy jego kronikę, napisaną również po łacinie, księciu Sycylii, Rogerowi. Czy musi z tego wynikać, że Krzywousty także nie znał międzynarodowego języka ówczesnych sfer kulturalnych? Moim zdaniem, niekoniecznie. Ród Piastów miał już w tym względzie dobre tradycje, przypomnijmy sobie Mieszka II. Odnowiciel musiał znać łacinę i niemiecki, kształcił się za młodu. Samo trudne położenie Polski po zgonie Chrobrego skłaniało chyba Piastów do umiejętności bardzo przydatnej w polityce. Porównywanie z Sycylią jest trochę niebezpieczne. Tamtejszy książę nie znał języka starożytnych Rzymian, z kardynałami rzymskimi dogadać się mógł.

Ale tłum polski na pewno po łacinie nie umiał. Przychodzące do kraju chrześcijaństwo od razu znalazło pozapojęciowy język porozumienia. Była nim sztuka. Pieśni ucichły na zawsze, zabytki plastyki świadczą do dziś. Czesi zburzyli świetne budowle wzniesione przez Mieszka I w Poznaniu na sam obrzęd chrztu (znaleziona wśród ruin moneta Brzetysława zdradziła sprawców zniszczenia). To samo uczynili z kościołem i zamkiem na Ostrowie Lednickim i na pewno w wielu innych miejscach. Chrześcijaństwo zachodnie, powracające do Polski po tak zwanym buncie pogańskim, natychmiast użyło tej samej metody, co za Mieszka i Chrobrego. Przemówiło językiem dobrej sztuki. Tego właśnie dowodzi odkrycie dokonane w Tyńcu - zarówno szczątki trójnawowego kościoła z kamienia, jak i zawartość grobów.

Odkrycia naukowe też podlegają kaprysom przypadku. Zaraz po wojnie zdumiały nas kolumny strzelneńskie, odsłonięte przez profesora Kępińskiego. Dowiedzieliśmy się, że nasze XII stulecie miało nie tylko Drzwi Gnieźnieńskie, gdzie indziej też były dzieła wielkie. Potem dziwne, zupełnie nieoczekiwane światło padło na wiek X. W Poznaniu odkopano chrzcielnicę, która stała przed frontonem kamiennej katedry, otoczona takimże krużgankiem. Los zaprowadził nas później znowu w wiek XII. Płyta z Wiślicy, unikat już nie w polskiej, lecz w europejskiej skali! Rok 1961 zdjął zasłonę z XI wieku. Z drugiej jego połowy, bo początek stulecia to były kościoły i zamki Chrobrego, jego koronacyjna katedra w Gnieźnie.

Luki znikły, panorama została wyraźnie wyznaczona. Kraj był kulturalnie młodszy od tych, z których czerpał nowości, lecz nie barbarzyński. Przybyły doń pisarz nie napotkał niechętniej obcości. Panujący w Polsce obyczaj polityczny znał z innych, może ulepszonych, to znaczy jeszcze sroższych wydań. Skłonność ku kulturze stwierdził.

Wywody powyższe były potrzebne właściwie tylko dla poparcia niektórych wypowiedzi kroniki i wykazania, że nie stanowiły one zdawkowej grzeczności, komplementu pod adresem chwilowych chlebobawców. Rozważywszy okoliczności, wolno uwierzyć w szczerą uczucia, którym cudzoziemski autor obdarzył Polskę. Gall uważa państwo Piastów za swoją także ojczyznę. Niektórych jej sąsiadów traktuje z taką samą niechęcią, z jaką rodowity Sas Thietmar odnosił się do księstwa Chrobrego. To, co w Polsce zastał, było dlań zrozumiałe, mogło usposobić przychylnie, a nawet skłonić go nie tylko do przedstawienia piórem jej historii, lecz ponadto - za pośrednictwem tej samej księgi - do pisarskiej interwencji na jej korzyść, zgodną w jego oczach z dobrem całego zachodniego chrześcijaństwa. O tej interwencji porozmawiamy wkrótce obszernie. Na razie przychodzi kolej na inną kwestię, zawikłaną i bardzo sporną. Jak długo przychylnie sentymenty dojrzewały w sercu, a oceny w umyśle Anonima? Wyrażając się inaczej: kiedy Gall zawitał do Polski?

Znamy opinię Maleczyńskiego: współcześni uczeni wymieniają datę późną. Najśmielej sobie poczyną badacz francuski Pierre David, który utrzymuje, że Gall przyjechał do Polski aż w początkach roku 1113, razem z Krzywoustym, powracającym z pielgrzymki na Węgry i tajnej narady z królem Kolomanem. Teza ostrożniejsza wymienia lata 1109-1110. Sam Maleczyński mówi o roku 1111. Jego zdaniem w sierpniu Gall bawił w Spirze przy cesarzu Henryku V, uczestniczył w uroczystym pogrzebie poprzedniego władcy Niemiec (utajona w jednym słowie reminiscencja z tej uroczystości posłużyła uczonemu za punkt

wyjścia i doprowadziła go do omawianej tu tezy). Potem razem z Henrykiem był w Rzymie na jego koronacji i dopiero ruszył do Polski.

Dziejopisarze starszej generacji całkiem inaczej rozwiązywali zagadkę. Tadeusz Wojciechowski, autor sławnych Szkiców historycznych XI wieku, był arcymistrzem w sztuce tropienia prawdy w pojedynczych wyrazach, a także między wierszami. Jego intuicja nie znajdowała i nadal nie znajduje sobie równej. Wszakże to on, sześćdziesiąt lat temu bez mała, obalił uświęcony tradycją pogląd na sprawę biskupa Stanisława. Odgadł, że karcąc króla za niepoczytalny postępek, napisał Gall, iż nie powinien być pomazaniec na pomazańcu mścić się w ten sposób, a nie chrześcijanin na chrześcijaninie. Chodziło o małą rzecz, o skrót błędnie odczytywany przez stulecia. Trzy spółgłoski „chrs” oznaczały „christus”, pomazaniec. Dawniej czytano: „christianus”. A więc Gall powiedział właściwie, że za wysoka była godność skazanego na śmierć. Biskupa nie należało karać aż ćwiartowaniem i prowokować w ten sposób solidarnego wystąpienia wielmożów.

W sprawie daty i okazji przybycia Anonima do Polski Tadeusz Wojciechowski znowu zaufał intuicji. Zachował się przy tym raczej jak literat, a nie uczony. Wsłuchał się w melodię, w ton, jakim brzmią pewne rozdziały kroniki. Wysunął śmiałą tezę, że Gall był wychowawcą królewicza Mieszka, sieroty po Bolesławie Śmiałym. Razem z nim zjechał do Polski w roku 1086, był świadkiem jego ożenku, śmierci od jadu i pogrzebu. Mówił przecież o tym wszystkim tak, jakby sam widział, przeboleł i opłakał.

Twierdzenie Wojciechowskiego podtrzymał inny znakomity uczony, profesor Roman Gródecki, który w 1923 roku wydał własny przekład kroniki i zaopatrzył go we „Wstęp”. Skromny tytuł maskuje kapitalne studium naukowe. Gródecki wprost mówi, że Gall dwadzieścia lat przeszło przebywał w Polsce, zanim się zabrał do spisania jej dziejów.

Wolno każdemu mieć własny pogląd na historię, pod warunkiem, że się nie udaje i nie podrabia nauki. Nie zgłaszając najmniejszej pretensji do niej, na marginesie niejako sporu uczonych, można zapytać: znał Polskę od lat dwudziestu przeszło, czy też stale od zgonu królewicza w niej przemieszkiwał? Księga druga zawiera zagadkowy „epilog”, który właściwie nazwać by należało „prologiem”. Oto jego najważniejsze zdania:

Nie dziw, że nieco po pracy spoczęliśmy, był bowiem czas na wypoczynek; tyle ziem przeszliśmy, a podjętej drogi nie znaliśmy dobrze, lecz przy pomocy tych, którzy ją znali, powoli i my ją odszukaliśmy. Zbudźmy się już ze snu, albowiem dosyć już się wyspali i już nauczyliśmy się drogi na jeden dzień, a gdy ją wykonamy, dość będzie czasu o przyszłej pomyśleć. Za przewodem Bożym ciągnijmy dalej, cośmy przerwali, wypełnijmy, cośmy w tytule zapowiedzieli wiele-kroć, i dodajmy, jeżeli coś zbyt niedokładnie opowiedzieliśmy!

Przesadne zamiłowanie do form literackich może niekiedy wpędzić w rozpacz. Co właściwie znaczą wszystkie te omówienia i metafory? Czy Gall przerwał pracę na krótko, by tylko odsapnąć pomiędzy napisaniem pierwszej książki a drugiej? A może powrócił do dawno rozpoczętej książki, rzeczywiście przemierzywszy „wiele ziem” i nauczywszy się „drogi na jeden dzień”, to znaczy, mając już określoną koncepcję całości i wytyczony cel polityczny. Bo ci, którzy znając drogę, pouczyli Anonima o niej, to niekoniecznie muszą być polscy

biskupi, świadomi przeszłości kraju. Przenośnia może się równie dobrze odnosić do takich, co ogarniali okiem europejskie horyzonty.

Gdybym był powieściopisarzem... Obarczyłbym młodego jeszcze Galla wiedzą - przeżyciem normandzkich poczynań nad Adriatykiem, uczynił go wychowawcą Mieszka Bolesławowica i świadkiem tragicznego końca pierwotnej linii Piastów. Potem wyprowadziłbym go od nas, wplątał w zamęt krucjat, zetknął ze środowiskami intelektualistów Zachodu, gdzie się rodziły poglądy na to, jak być w Europie powinno, a także, gdzie się tworzyły nowe formy wyrażania myśli. I sprowadził z powrotem do Polski. Kazałbym przeżyć w niej wypadki roku 1109, które wprost zmusiły mnicha do walki o program, stały się dlań ostatecznym bodźcem.

Jestem tylko eseistą, a nie powieściopisarzem. Pomimo to teza o bardzo późnym terminie przybycia Galla do Polski jest dla mnie nie do przyjęcia. Rozważając te sprawy, nie można przecież lekceważyć punktu widzenia praktyki pisarskiej. Trudno sobie wyobrazić obcego człowieka, który zjawił się w kraju na wiosnę 1113 roku i zaraz — nie znając języka, nie mając pojęcia o sprawach polskich - siadł czy raczej stanął za pulpitem i napisał dzieło... kończące się na roku 1113 właśnie, a niezawierające błędów. Wiadomo z doświadczenia, co są warte reportaże kreślone aby prędzej, na kolanie. Autorom ich nie pomagają ułatwienia, o których Gall marzyć nie mógł. Na przykład telefony, samochody, prasa, archiwa, bogata literatura przedmiotu. Są natchnienia, nie ma cudów w rzemiośle pisarskim.

Dotychczas nie przyłapano Galla na żadnym fałszu. Najstarsze polskie roczniki dorzucają bardzo mało szczegółów do jego relacji- Anonim wiele rzeczy pominął, osobiście twierdzą, że świadomie retuszował historię pod względem politycznym. Ale dzieje Polski znał doskonale.

Ostatnio bardzo ciekawie zaczęła się o nim wypowiadać niema historia, czyli archeologia. Co ona wydobywa, to nie są słowa, lecz materialne dowody prawdy. Okazało się, że Krzywousty rzeczywiście odnowił twierdzę w Łęczycy. A była ona naprawdę stara - jak twierdził Gall - bo fortyfikacje Bolesława III skryły szczątki nie jednego nawet, lecz dwóch dawniejszych umocnień. Anonim i wtedy nie skłamał, kiedy przypisał Władysławowi Hermanowi rozkaz spalenia grodów na Pomorzu. W wykopie gdańskim odnalazła się warstwa spalenizny. Dokładnie tak, jak Gall powiedział: w warstwie upamiętniającej schyłek XI stulecia. Można było całkowicie odmawiać wiary, czytając u Galla o bogactwach poddanych Chrobrego. Ochota do kpin znikła, od kiedy archeologowie wygrzebali w zwaliskach gdańskich i opolskich chat z owych czasów pieniądze, jedwab i brokat, ceniony w średniowieczu jak złoto. Kronikarz niewątpliwie upiększył obraz, ale zasadnicze jego rysy dał prawdziwe.

Nie, nie! — na kolanie nie pisze się książek, których treść można w szczegółach sprawdzić, i to za pomocą namacalnych dowodów. Kanclerz Michał z rodu Awdańców na pewno pomagał Gallowi. Dał mu cenne informacje, lecz nie dał szczegółowej dokumentacji, bo sam jej nie miał. Ani XI, ani XII stulecie takich rzeczy nie znało. Na zdobycie dokładnych wiadomości potrzebny był czas. I to niekrótki. A niekłamane przywiązanie Galla do Polski, jeśli nie miłość nawet, narodziło się z dnia na dzień?

Punkt widzenia praktyki pisarskiej pomijać należy tylko wtedy, jeśli się chce tworzyć fikcje.

Jakiż to geniusz spoza cechu dostarczył kiedy pisarzowi materiału tak pełnego, że tylko umoczyć pióro i nadać formę? Anonim przytoczył, w łacińskim przekładzie, pieśń wojów polskich, ułożoną nie wiedzieć przez kogo. Tę samą, którą próbował tłumaczyć Żeromski, a najlepiej zrobił to Gródecki. Posłużyła ona Antoniemu Gołubiewowi za motto tomu Szło nowe. Pisarze oddaleni od siebie o dziewięć stuleci porozumieli się znakomicie. Owa pieśń nie zawiera żadnej treści politycznej. Daje za to wyraz nowym odczuciom rycerstwa, które dotarło do morza. Tylko intuicja pisarska mogła skłonić do umieszczenia jej w kronice. Kanclerz, działacz i polityk, nie wpadłby na taki pomysł. Sam autor musiał ją usłyszeć i pojąć, co oznacza.

Gall rozumiał więc chyba po polsku, jeśli nie mówił. Znał pewnie inne wyrazy oprócz rzeczownika „ceber”, który uwiecznił w pełnej jego krasie.

Walnie by nam dopomógł oryginał kroniki, gdyby istniał. Wiele można odczytać ze śladu własnej ręki autora. Profesor Stefan M. Kuczyński ustalił na przykład, że zdanie przypisujące Jagielle tępotę umysłową Długosz nakreślił osobiście, ale w chwili zdenerwowania. Znać to po kształcie liter. Nikt nie wie nawet, kiedy przepadł oryginał książki Galla. Istnieją tylko trzy jej odpisy, z których najstarszy sporządzono najwcześniej w roku 1340, może w Koprzywnicy, a może w Kaliszu. Ale oprócz tych trzech egzystowały dawniej kopie inne. Znano je szeroko, zwłaszcza na Śląsku. Bez ceregieli czerpali z nich kompozytorzy żywotów św. Stanisława oraz Wincenty Kadłubek. Egzemplarz, z którego korzystał, dostał się może cystersom z Koprzywnicy, tam go na nowo przepisano — w dobrą godzinę.

Średniowiecze nie robiło ceremonii z prawem autorskim. Ostatnia z istniejących dziś kopii - po starym zwana „manuskrytem heilsberskim”, bo odnaleziona w Lidzbarku Warmińskim — zawiera oryginalny retusz. Skryba, pewnie na rozkaz swej władzy, usunął dwa rozdziały i zastąpił je odpowiednimi fragmentami „Żywota św. Stanisława”, wystawiającymi biskupa, którego Gall nazwał zdrajcą.

Mamy więc nie oryginał, lecz odpisy, oraz świadomość, że należy o tym stale pamiętać. Pomimo to tekst Anonima powie nam wiele nie tylko o wydarzeniach przeszłości, ale i samym autorze. Trzeba czytać uważnie, ani na chwilę nie zapominając dwóch punktach widzenia, praktyki pisarskiej oraz polityczni W kunsztownych zdaniach kroniki mieszczą się pospołu serce ambicja, myśl, wola działania i osobista przezorność.

Gall musiał się znakomicie orientować w grze sił politycznych na dworze Krzywoustego i wokół niego. Wiedział, gdzie i na jakie rafy można się natknąć. Tadeusz Wojciechowski miał słuszość: rozdziałem, nad którym kronikarz najwięcej się na-biedził i stracił mnóstwo czasu, był na pewno ten, który zawiera omówienie - bo nie opis — śmierci biskupa Stanisława. Położenie było gorzej niż zawile. Krzywousty zerwał wprawdzie z polityką ojca, powrócił do tradycji Śmiałego, ale... dziedziczył jednak tron po rodzicu, który do władzy doszedł nie pomimo, lecz wskutek tamtej katastrofy. Żyli na pewno rodowcy, krewni straconego biskupa (jeśli nie rodzeni synowie i wnuki). W tych warunkach, kiedy



sporo już upłynęło czasu, można było coś niecoś powiedzieć, byle nie za dużo i nie za wyraźnie. Gall wyważył więc tekst niczym na szalce aptekarskiej. Nie pochwalił króla, „mszczącego się tak szpetnie”, ale wymienił przewinę skazańca, „zdradę” oraz rodzaj kary - „obcięcie członków”.

Pod koniec lektury dowiadujemy się o jeszcze jednym wyroku za polityczne knowania. Ofiarą padł tym razem Zbigniew, starszy, przyrodni brat Krzywoustego, za młodu oddany do klasztoru, zbiegły stamtąd, lecz w dalszym ciągu duchowny, ksiądz. W średniowieczu pojęcie „kler” miało zakres bardzo szeroki. Obejmowało nie tylko księży i zakonników we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz i tych, co kiedykolwiek zapisani zostali do owego stanu. Gall dał nam rozległy opis pokuty, którą Krzywousty odprawił. Ani jednym słowem nie wyjaśnił, jak Zbigniew zszedł ze świata. Kronikarz wije się w tym miejscu, jakby tańczył między mieczami. To „źli doradcy” skłonili Zbigniewa do przestępczych zamysłów, a „ludzie głupi” do pychy. On sam był „dość prostoduszny i szczerzy”, Krzywousty, „podniecony gniewem” popełnił wprawdzie „zbrodnię”, ale za podszeptem „ludzi rozumnych”. Jaką zbrodnię? Co kazał z bratem zrobić? Dzięki czeskiemu kronikarzowi Kosmasowi wiemy, że skazał go na oślepienie. Domyślamy się egzekucji bardzo okrutnej i natychmiastowej śmierci nieszczęśnika. Gall to przemilczał. O kulminacyjnym punkcie tragedii powiedział więc mniej niż w wypadku biskupa Stanisława.

„Źli doradcy” dali pewnie głowy pod topór. Ale żyli na pewno inni sympatycy Zbigniewa, urażony był stan duchowny. Należało uważać, ostrożnie wodzić piórem po pergaminie.

Kiedy indziej Anonim nie krępował się, uderzał ostro. W prologu do trzeciej księgi powiedział, że cesarz Henryk V, idąc z wojną na Polskę, „z góry umyślił, kogo złożyć z urzędu, a kogo wywyżżyć”... Napisać coś takiego, nazajutrz niemal po wygranej kampanii, to przypomnieć o piątej kolumnie. Gall nie chciał, aby skryli się w cieniu ci, na których Krzywousty nie mógł liczyć.

Wstępy i „epilogi”, będące właściwie prologami, zwracają na siebie szczególną uwagę badaczy. Autor występuje tam w pierwszej osobie i zachowuje się bardzo dziwnie. Wyjaśnia, dlaczego zabrał się do roboty. Nie chce więc jeść darmo chleba polskiego ani utracić wprawy (z czego oczywisty wniosek, że parał się piórem od dawna), pragnie też uzyskać nagrodę, którą odniesie do macierzystego klasztoru. Przyjmijmy to do wiadomości. Resztę dopowie sens całej kroniki, jej wydźwięk. Ta reszta będzie znacznie ważniejsza od motywów głoszonych wprost.

Osobne zagadnienie to dedykacje. Pierwsza księga zaczyna się od słów:

Księdzu M(arcinowi)\*, z łaski Bożej arcybiskupowi, a zarazem Szymonowi, Pawiowi, Maurowi i Żyrośławowi, bogobojnym i czcigodnym biskupom kraju polskiego, jak również swemu współpracownikowi, czcigodnemu kanclerzowi Michałowi (właściwemu) wykonawcy\*\* podjętej pracy, (życzy) pisarz niniejszego dziełka, by na

PRZYPISY AUTORA:

\* Nawiasem R. Gródecki wyróżnia słowa wstawione do tekstu kroniki dla większej jasności w polskim przekładzie.

\*\* Właśc: sprawcy.

górze Pańskiej Syjon, dołączeni do grona świętych, z czujnym zapałem wpatrywali się i z cnoty w cnotę postępując, twarzą w twarz oglądali Boga bogów.

Poparcie ze strony tych mężów, ich wskazówki i światłe kierownictwo, oto cała nadzieja autora. Zbłądziłby, gdyby ich łaskawości nie wskazywały mu drogi. „A skoro takimi zasłoniłem się adwokatami i obrońcami, to lekceważę siebie, cokolwiek by półgębkiem szemrali (przeciw mnie) zawistni oszczercy”. Zapamiętajmy sobie to zdanie.

Wymienieni biskupi rzeczywiście żyli za czasów Galla, ale tylko w dwóch wypadkach daty są pewne. Maur panował swej diecezji krakowskiej od roku 1109 do 1118, Żyrosław zaś wrocławskiej od 1112 do 1120. Przyjmuje się więc za pewnik, że terminem rozpoczęcia przez Galla pracy jest chwila wstąpienia Żyrosława na tron biskupi, rok 1112.

Można jednak żywić wątpliwości. Dedykacje widnieją wprawdzie zawsze na pierwszych stronicach książek, ale zazwyczaj umieszcza się je tam dopiero przy samym końcu pracy. Kreśli je raczej ostatnie pociągnięcie pióra. Zwłaszcza dedykacje polityczne, które muszą być starannie wyważone i aktualne. Tekst upoważnia nas do stwierdzenia, że dedykację (może tylko do pierwszej księgi) Gall ułożył i uwiecznił wtedy, gdy wszyscy wymienieni biskupi rządili diecezjami, a więc najwcześniej w roku 1112. Dalej idące wnioski wolno kwestionować. Oryginał mógłby rozstrzygnąć te wątpliwości. Cóż począć, kiedy go nie ma.

Księga druga: Księdzu Pawiowi, z łaski Boga biskupowi polskiemu o rozumie szacunku godnym, i swojemu współpracownikowi, naśladowania godnej gorliwości, kanclerzowi Michałowi... Sprawa wydaje się dość jasna. Druga księga została poświęcona właściwym opiekunom autora. Tylko jedna uwaga na marginesie: ksiądz Paweł rządził diecezją poznańską, a Gall nazwał go biskupem polskim. Bo w tym czasie Polską, w pierwotnym tego słowa znaczeniu, była wciąż jeszcze późniejsza Wielkopolska. Wyliczając siły Bolesława Chrobrego, wymienił Anonim rycerstwo z Gniezna, Poznania, Gieczą i Włocławką, resztę zbył ogólnikami. Wiedział dobrze, gdzie się znajduje matecznik Piastów i punkt ciężkości ich państwa.

Wstęp do trzeciej księgi zastanawia. W pierwszej, jak wiemy, słaWił Gall cały episkopat polski, w drugiej sobie życzliwych dostojników. A teraz: Czcigodnym kapelanom książęcym i innym pamięci godnym dobrym księżom w Polsce (życzy) autor niniejszego dziełka, by tak pomijali dobra doczesne, iżby im dane było bez trudności przejść od rzeczy ziemskich do wieczystych. Niezły początek. Wyobraźmy sobie miny adresatów.

Dalej następuje wywód na temat przyczyn, które skłoniły Anonima do pracy, oraz powołanie się na autorytet nadrzędny. Ale już nie na życzliwość biskupów, lecz na „pobożność i wielkoduszność walecznego księcia Bolesława”. To cnoty samego władcy „dodawały otuchy mej odwadze”. A wy, czcigodni księża kapelani: jeśli może oskarżacie

mnie o czczość słów w tym dziele, to z nich przecie możecie zaczerpnąć wątku do głębszego i ardziej do-wodnego traktowania. Bo jeżeli sądzicie o królach i książętach polskich, iż nie zasługują na własne roczniki, to bez wątpienia królestwo polskie stawiacie na równi z jakimi bądź niekulturalnymi ludami barbarzyńców. Jeśli zaś przypadkiem wyobrażacie sobie, że człowiek taki jak ja, i takiego trybu życia, niegodnie podjąłem się takiej rzeczy, to wam odpowiem, że przecież napisałem nie ewangelię, lecz dzieje wojen królów i książąt!

Istnieje teoria wyjaśniająca wszystko w ten sposób, że po śmierci biskupa Pawła i anclerza Michała Gall osamotniał, stał się celem ataków i stąd jego obronny wywód. Ryzykuję tezę wręcz przeciwną. Gall tak mocno stanął w Polsce na nogach, że zamachnął się i uderzył. Przecież przytoczony tekst to po prostu denuncjacja polityczna! Oto są w księstwie — przeczytaliśmy - jedzą jego chleb tacy, co je uważają za kraj barbarzyński. Tacy, którym dokucza sława Bolesława III.

Oskarżenie rzucił kronikarz wkrótce po zwycięskiej wojnie z Niemcami. I tuż obok napisał - w „epilogu” - że idąc na Polskę, Henryk V wiedział zawczasu, kogo w niej złoży z odności, a kogo podwyższy. Jakoś to wszystko wydaje się arcywymowne... Byle tylko czytać politycznie.

Bo Gall politycznie pisał. Księcia pod niebiosą wysławił i natychmiast zastrzegł się, że kronika to wszak nie ewangelia. On zna i zachowuje proporcje! Władza świecka musiała być z tych jego wywodów zadowolona, duchowna nie miała do czego się przyczepić.

W tym samym wstępie do trzeciej księgi popisał się Anonim wiedzą o Kleopatrze i nie zaniedbał komentarza: A jeśli kobieta, dążąc do panowania, pokonana w bitwie morskiej, wołała sama siebie zgubić okrutną śmiercią niż znosić jarzmo niewoli, to cóż dziwnego, jeśli ci, którzy ojczyzny bronią lub dziedzictwa ojcowskiego, lub mszczą się doznanej krzywdy, wolą raczej w bitwie polec chlubną, nie trucicielską śmiercią niżeli haniebnie podlegać własnym niewolnikom! To było chyba o samym Krzywoustym, którego Gall uważał za prawego pana całej ziemi polskiej i wszystkich jej mieszkańców. Poparł jego niepodzielną już władzę. Ograniczanie jej uznał za rzecz haniebną.

Nie wydaje się, by Anonimowi grunt nadwiślański zaczął się usuwać spod nóg. Gall stanął raczej mocno już nie przy biskupach, na których początkowo liczył przeciwko „oszczercom”, lecz przy samym księciu. Przestaje być dziwne, że Krzywousty zabrał tego cudzoziemca na Węgry, na tajną naradę z królem Kolomanem.

Gall nie napisał nigdy niczego złego o kraju Madziarów. Jego stosunek do pozostałych sąsiadów Polski nie jest już taki prosty.

Rusi i Rusinów bardzo nie lubił. Aby zdobyć materiał porównawczy, powróćmy jeszcze na chwilę do Thietmara, który - podobnie jak Anonim — nie był Polakiem. Biskup z Merseburga surowo potępiał Włodzimierza Wielkiego za rozpustę, ale nic poza tym:

Wspomniany król nosił opaskę podniecającą na lędźwiach, aby pobudzić jeszcze silniej wrodzoną lubieżność. Wszelako kiedy nauczyciel aszego zbawienia, Chrystus, nakazał przepasać nasze lędźwie pełne szkodliwej lubieżności, zalecił nam to gwoli

wstrzeźliwości, a nie gwoli podniety\*. Ponieważ jednak król ów słyshał od swoich kaznodziejów o gorejącej pochodni, przeto starał się zmazać plamę popełnionego grzechu wielką szczodroblewością w rozdawaniu jałmużny. W Piśmie Świętym stoi: „Dajcie jałmużny, a oto wszystkie rzeczy są wam czyste”. Doszedłszy sędziwego wieku, zmarł ów król po długotrwałym panowaniu i pochowany został w wielkim mieście Kijowie, w kościele męczennika Chrystusowego i papieża Klemensa [z końca I w.], obok wspomnianej wyżej małżonki [Anny], Ich sarkofagi stoją na widoku w środku kościoła. Jego władzę podzielili się synowie. I sprawdziły się we wszystkim słowa Chrystusa. Lękam się, iż spełni się to, co zapowiada głos prawdy [tj. Ewangelia]. Zapowiada on mianowicie: „Wszelkie królestwo, przeciw sobie rozdzielone, będzie spustoszone” [Łk 11, 17] itd. Niech cała chrześcijańska społeczność modli się, by Bóg zechciał zmienić w tym kraju swoje wyroki.

Ilekróć sprzymierzeni z Piastami Rusini dali Polsce pomoc, Gall albo to zbywa jednym zdaniem, albo przemilcza. Za to z lubością powraca do opiewania triumfów Chrobrego na wschodzie. Czyni to bardzo obszernie, popuszczając wodze wyobraźni. Zdaniem współczesnego wypadkom Thietmara, bitwa nad Bugiem była ciężka. Według Galla Bolesław rozpedził Rusinów „sprzed swego oblicza jak wichur kurzawę”. Dopiero kiedy wracał z Kijowa, zagroziło mu niebezpieczeństwo, ale i tym razem świetnie poszczęściło się Polakom, a z nieprzyjaciół „tylko niewielu pozostałych przy życiu ucieczką się ocaliło”. Niezależnie od tych obszernych opisów, chcąc przedstawić wojenny talent króla, raz jeszcze obiera sobie Anonim Ruś za ofiarę.

Sentymenty jego znajdują chyba najpełniejszy wyraz w takim oto obrazku:

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Por. Ewangelia św. Łukasza (12, 35): „Niechaj biodra wasze będą przepasane i pochodnie gorejące w rękach waszych”.

A król Rusinów, z prostactwem właściwym owemu ludowi, przypadkiem wówczas łowił ryby na wędkę w czólnie, gdy mu niespodziewanie zwiastowano nadejście króla Bolesława. Zaledwie mógł temu uwierzyć, lecz wreszcie, gdy mu to jedni za drugimi donosili, upewniony, wpadł w przerażenie. Wtedy dopiero duży palec i wskazujący do ust podnosząc i wędkę obyczajem rybaków śliną pomazując, na hańbę swego narodu - jak mówią - takie przysłowie wypowiedział: „Ponieważ Bolesław tej sztuki nie uprawiał, lecz przywykł do noszenia rycerskiego oręża, dlatego Bóg widocznie postanowił wydać w jego ręce to miasto i królestwo Rusinów, i bogactwa!”. To rzeki i nie tracąc słów więcej, rzucił się do ucieczki.

Zniewolenia Predysławy, tak napiętnowanego przez Thietmara, Gall nie potępia. Traktuje je raczej jako objaw krzepy wojackiej. Postępek Bolesława Śmiałego, który najpierw wprowadził księcia Izasława do Kijowa, a potem na oczach całego ludu wytargał za brodę, budzi w kronikarzu coś w rodzaju ironicznej uciechy. Nawet Bogu ducha winną małżonkę królewicza Mieszka musiał nasz Anonim szturchnąć. Sprowadzono chłopaka - „pod złą wróżbą” - do Polski i ożeniono „za zrzędzeniem zawistnych losów! - z ruską dziewczyną”. Można odgadnąć, co zaszło w Krakowie. Młoda niewiasta lubiła pewnie zabawy, dało to okazję zamachowcom. Mieszka struto podczas uczty, skoro ci, „którzy z nim pili, zaledwie

uszli niebezpieczeństwa śmierci". Ale kronikarz wołał napisać tak, aby cień padł nie tylko na „pewnych rywali”, lecz i na wdowę.

Pomimo to Gall wcale nie namawia Polaków do wypraw na wschód. Takich surm w książce nie słyhać. Za to niechęć, sięgająca granic odrazy, całkiem wyraźna. Nie stępiło jej i to nawet, że ukochany bohater, Krzywousty, miał za pierwszą żonę Rusinkę Zbysławę, córkę Świętopełka II z Kijowa. Gall w ogóle przemilczał jej imię! Wspomnił tylko o pokrewieństwie narzeczonych i o wspaniałych darach. (A może okoliczność ta wskazuje, że kronika została napisana - lub ostatecznie zredagowana - po śmierci Zbysławy, która zmarła około roku 1108?

Niełatwo sobie wyobrazić takie spostponowanie księżny za jej życia. Wzmianka o zaślubinach znajduje się w księdze drugiej) Pierwsza żona Władysława Hermana - Czeszka Judyta, matka Krzywoustego - nazwana została po imieniu. Druga, Niemka Judyta Maria, która wrogo odnosiła się do pasierba, oraz Rusinka, Zbysława, poszły w cień, nie doczekały się uwiecznienia swych imion.

Taki nastrój kroniki nie wynikał z motywów polskich. Przejawiły się tu prądy szerokie, płynące przez stolice Europy. Ta fala po raz pierwszy sięgnęła wtedy Nadwiśla. Ogromnie ważne, że znalazła wyraz w twórczości cudzoziemca, którego sam sposób pisania zdradza nowatora. Gall nakłaniał pewnie ucha nie tylko do literackich nowinek. Znajdą się wkrótce inne na to dowody.

Ostateczny rozdział Kościołów był wtedy faktem świeżej daty. W roku 1054 obie strony obłożyły się wzajemnie klątwami. Gall słyszał za młodu ich pogłos. Konflikt wewnątrz chrześcijaństwa zaliczał się do czynników, które kształtowały jego umysł.

Jerzy Kłoczowski zwrócił nam ostatnio uwagę na okoliczność o szczególnym znaczeniu. Zerwanie nastąpiło zaraz, gdy tylko w Rzymie wziął górę prąd reformatorski, w wielkim uproszczeniu i dla ułatwienia zwany gregoriańskim. Pierwszym papieżem-nowatorem był Leon IX, panujący od roku 1048 do 1054. Legat papieski, który wyklął patriarchę, był zdecydowanym zwolennikiem reformy.

Niesłusznie uważa się ją za przychodzącą „z góry”, to znaczy z samego Rzymu. Ruch wynikał z wrzenia powszechnego na zachodzie kontynentu. Chrześcijaństwo obrosło w prebendy, doskonale zharmonizowane z istniejącym porządkiem świeckim, chrześcijaństwo - słowem - miłe sercu takiego Thietmara, już nie wystarczało. Reformatorzy żądali rozmaitych rzeczy - powrotu do ewangelicznego ubóstwa, nowych form życia zakonnego, swobód dla gmin miejskich i innych grup społecznych. We Francji kler parafialny ściśle sprzymierzał się z ludem w „ruchu pokoju”. Jerzy Kłoczowski przypomina o siedmiuset księżach, poległych podobno w czasie jednej tylko bitwy, którą „milicje pokoju” stoczyły z rycerstwem. Duchowni ci walczyli po stronie plebsu.

Kwestia rozdziału Kościołów jest bardzo nieprosta. Ostatnio, w latach bezpośrednio poprzedzających Sobór Watykański II, w obozie katolickim zabrano się do rewizji przestarzałych poglądów. Stroniąc jak najstaranniej od rozstrzygania o „winie” oraz od

wtrącania się do dogmatów, trzeba podkreślić rzecz po ziemsku ważną. Jakiś zatarg pomiędzy rwącym się ku nowościom Zachodem a zhierarchizowanym, społecznie nieruchawym Bizancjum leżał chyba w naturze rzeczy. W XI stuleciu nikt zresztą nie przypuszczał, że rozłam tak długo potrwa. Sam cesarz wschodni uprzejmie pożegnał odjeżdżających legatów.

Nie wiadomo, czy Gall był wiernym członkiem obozu gregoriańskiego. Jego ujemny sąd o biskupie Stanisławie o niczym nie rozstrzyga, bo przecież król Bolesław stał po stronie Grzegorza VII. Niechętnie traktować chrześcijan wschodnich mógł jednak i taki Europejczyk z Zachodu, który z samym papieżem zadarł. Na przykład mnich z nieposłusznego Saint-Gilles.

Echa ekskomunik sprzed półwiecza to nie wszystko. Pierwsza krucjata ogromnie rozjątrzyła stosunki. Gwałty popełniano nie tylko na Węgrzech, lecz także w Bułgarii i w Grecji. Samo Bizancjum dobrze pamiętało takie wyczyny, jak chociażby zdzieranie z kościołów ołowiu, który szedł potem na czarny rynek. „Łacinnicy” zarzucali „Grekom” nieszczerść, nawet zdradę. Rycerstwo musiało odejść spod Nicei, którą oblegało i zmusiło do kapitulacji. Dostała się Bizantyńczykom. Były i inne zajadłe spory o władzę nad odebranych mużulmanom krajami. W pierwszej krucjacie można się już dopatrywać niejako zapowiedzi czwartej, która zdobyła nie Jerozolimę, lecz Bizancjum, spustoszyła je, obrabowała i sponiewierała w haniebny sposób.

W Myślach o dawnej Polsce broniłem tezy, że zatarg pomiędzy Rzymem a Carogrodem mało obchodził Kijów i Kraków. Badacz francuski, Bernard Leib, głosił poglądy zbliżone (śpieszę podkreślić, że jego książka Rome, Kiev et Byzance powstała bez mała czterdzieści lat temu). „Nie ma niezgody pomiędzy Kijowem a Rzymem — twierdzi Leib — lecz istnieje silne napięcie pomiędzy Bizancjum a jego włoskim rywalem, które znajdzie odbicie w kwestiach religijnych, takie były wzajemne stosunki Kościoła rzymskiego i grecko-ruskiego w początkach rządów Urbana II”, czyli u schyłku XI wieku.

Na początku XII dały się już odczuć zmiany — na samej górze. W roku 1104 przybył do Kijowa nowy metropolita, przysłany przez patriarchę. Zwał się Nicefor, posiadał znaczne wykształcenie i... na własne oczy widział krucjatę. W Kijowie rządził wtedy Włodzimierz Monomach, syn Wsiewołoda, władającego pięcioma językami, i księżniczki bizantyńskiej. Wiedział już on coś niecoś o świeżych zaognieniach i zażądał od metropolity wyjaśnień. Monomach musiał być niezłe przyzwyczajony do łacinników, tych mianowicie, których miał blisko. W Pouczeniu dla synów umieścił wspomnienie z młodości: „Potem posłał mię Światosław w Lachy, chodziłem za Głogowe do Czeskiego Lasu, chodziłem w ich ziemi cztery miesiące”. Chodził w roku 1076 na pomoc Bolesławowi Śmiałemu przeciwko Czechom i Niemcom. Zdawał sobie z tego sprawę czy nie - faktem jest, że razem z królem polskim działał na rzecz papieża.

Metropolita Nicefor odpowiedział księciu całym traktatem. Troska o prawowierność kijowian nie wystarczała mu. Za najbardziej zagrożonych uznał tych Rusinów, którzy siedzieli na dalekim zachodzie, w pobliżu Lachów. Był to przede wszystkim Jarosław, syn Światopełka, książę Wołynia. Powstał więc prze-znaczony dla niego drugi traktat, starannie

wyliczający błędy papistów. Do szczególnie ciężkich zaliczało się używanie chleba przaśnego podczas komunii.

Nicefor rządził metropolią kijowską od roku 1104 do 1121. Był współczesny Gallowi. Więcej niż znamienne, że zarówno w Krakowie, jak w Kijowie i na Wołyniu niechęć wzajemną szczepią cudzoziemcy, przybysze z naprawdę wielkiego świata.

Jestem jak najdalszy od chęci lekceważenia dorobku słowiańskiego, lecz Kijów nie przewyższał wszak Bizancjum ani Polska Zachodu. Śmieszne! Prądy umysłowe płynęły w naszym kierunku, a nie odwrotnie.

Anonim nie pisywał rozpraw moralno-teologicznych, to nie leżało w typie jego umysłowości. Inny, bardziej ziemski wyraz dawał niechęci do „schizmatyków”, wylęgłej niedawno lub całkiem świeżo. Można śmiało twierdzić, że ta szczepionka przyjmowała się w Polsce opornie. Aż do Kazimierza Wielkiego włącznie brak w świeckiej historii kraju dowodów wrogości wobec prawosławia i prawosławnych. Zmienić się to poniekąd miało dopiero za nowej dynastii, za króla neofity, który musiał podkreślać swą katolicką prawowierność.

W tej chwili zajmujemy się jednak Gallem Anonimem, a nie Kazimierzem Wielkim czy Jagiełłą. Złe sentymenty wobec Rusi zdają się charakteryzować pisarza, wskazywać na jego duchowy rodowód. To chyba był łacinnik z dalekiego Zachodu. Polska oraz jej historia zetknęły go z tymi, co się skłaniali ku obmierzłym Grekom znad Bosforu.

W roku 1146 zapewne, wczesną wiosną, biskup krakowski Mateusz wysłał list do św. Bernarda z Clairvaux, słynnego już w Europie. Pismo skomponowane było w wyszukanej formie, prawie wierszem. Biskup zapraszał znakomitego cystersa do Polski. Pragnął, by natchniony mąż udzielił swego zapału temu, kogo wybierze do „misji” na wschodzie. „Impios Ruthenorum ritus atque observantias extirpare” - oto cel zamierzonej akcji. (O Rusinach św. Bernard pisał poprzednio do Polski. Ale — wyjaśnia biskup — są ponadto liczne rzesze Słowian nieprzyznających się ani do greckiego, ani do łacińskiego Kościoła i pragnących wyznawać chrześcijaństwo na własny sposób. Mateusz ma zapewne na myśli obrządek słowiański, którego dzieje wcale jeszcze nie zostały wyjaśnione).

Arcybiskup gnieźnieński Jakub ze Żnina, który obłożył klątwą Władysława Wygnańca — pierwородnego syna i dziedzica władzy Bolesława Krzywoustego - uzasadniał swój postępek i tym także, że książę brał pomoc od schizmatyków przeciwko katolikom. Motywacja dziwna, bo sprzymierzeni z metropolitą juniorzy także przyzywali Rurykowiczów, wespół z nimi walczyli nad Pilicą, zapłacili za usługi mazowiecką Wizna, przyłączoną do księstwa grodzieńskiego, prawosławnego przecie, na potwierdzenie układu ruskim obyczajem całowali krest. Bolesław Kędzierzawy ożenił się z Rusinka, to samo zrobili później Mieszko Stary i Kazimierz Sprawiedliwy. Ogromnie znamienne jest owo rozchodzenie się u nas dróg ideologii i praktyki politycznej. Zapominając o nim, nie pojmiemy polskiego średniowiecza, które w sprawach religii umiało zachowywać umiar.

W Gallu zaś wolno widzieć zwiastuna nowych, przedtem nieznanych nad Wisłą zjawisk, na razie może tylko haseł. W kronice brzmią echa klątw carogrodzkich.

Anonim Rusinów nie lubił, za to bardzo, ale to naprawdę bardzo oszczędzał Niemców. Ta cecha książki uderza w oczy i w niej chyba szukać należy klucza do politycznego credo autora. Co wcale nie oznacza, że Gall był Germaninem. Brak na to jakiegokolwiek dowodu. Zabiegając o ścisłość, powiedziec nawet wypadnie, że pisarz oszczędza w gruncie rzeczy nie tyle może Niemców, co cesarstwo.

Trzeba uzasadnić twierdzenie, które wielu rozgniewa. Niezbędny jest krótki przegląd tego, co Gall zapisał o stosunkach polsko-niemieckich.

Wiadomość o szesnastu lat trwającej wojnie Bolesława I z cesarzem wygląda u Galla nader treściwie: „Niepokonanych zaś Sasów ujarzmił przez tak wielką dzielność i żelaznymi słupami w rzece Sali w środku ich ziemi oznaczył granicę Polski”. Znał więc szczegóły. Wyraził się w sposób zadowalający miłość własną Polaków i niezbyt dotkliwy dla strony przeciwnej. (Dodajmy nawiasem, że żaden polski rocznik nie zanotował wieści o wojnie Chrobrego z Henrykiem II. Pierwsze pisma powstałe w naszym kraju kreśliły dłonie cudzoziemców. Powściągliwość Galla płynęła ze skomplikowanych przyczyn).

Wizyta Ottona III w Polsce i zjazd gnieźnieński opisane zostały obszernie. Kronikarz włożył serce w tę robotę. Obie strony aż błyszczą od wspaniałości. Gall zużytkował w tej scenie całą swą wiedzę... i jeszcze coś niecoś dołożył, świadomie chyba. O papieżu wspominał jako o tym, co ex post zatwierdził układ, gdy tymczasem Sylwester II patronował przymierzu. Bolesław Chrobry koronował się w roku 1025, fakt niesporny. Ale zdaniem Galla dokonało się to o ćwierć wieku wcześniej, w roku 1000, w Gnieźnie. Właściwy obrzęd to według niego chwila, w której Otto zdjął z własnej głowy diadem cesarski i włożył go na skronie Chrobrego. Czytamy czarno na białym: „Bolesław więc, tak chlubnie wyniesiony na królewski tron przez cesarza”...

Poczynając od roku 1000, Polska jest dla Galla królestwem. Z następców Chrobrego nie wszyscy zdobyli tytuł. Dokonali tego jedynie Mieszko II i Bolesław Śmiały. Gall o tym wie, pamięta jednak o własnej koncepcji dziejów Polski: Krzywousty jest dla niego księciem, lecz rządzi królestwem. Akt, dokonany w Gnieźnie w roku 1000, cofnięty być nie może. Przynajmniej w oczach naszego kronikarza.

Bolesław II to król. Gall stale go tak nazywa, niczego jednak nie mówi o samej koronacji. Można się domyślić, dlaczego. Wystarczy przeczytać u Tadeusza Wojciechowskiego fragment kroniki Niemca Lamberta, sympatyka stronnictwa niechętnego cesarzowi, a więc takiego, które mniej nienawidziło Polskę:

Książę polski, trybutariusz naszych królów, którego państwo już z dawna było podbite i przemienione w prowincję, gdy spostrzegł, że nasi panowie, zajęci sprawami domowymi, nie mają wolnej ręki do wojowania z cudzoziemcami, więc uniesiony pychą, przywłaszczył sobie godność i imię królewskie, przywdział koronę i w sam dzień Bożego Narodzenia poświęcił go piętnastu biskupów. O czym gdy dowiedzieli się nasi, którym godność



ojczyzny leżała na sercu, poczęli sobie wzajemnie wyrzucać, że gdy między sobą się wyrzynają, wykarmili tym potęgę barbarzyńców, tak iż książe czeski już po trzykroć spustoszył państwo niemieckie żelazem i ogniem, zaś polski posiągnął się bezwstydnie o koronę królewską przeciw prawom i na hańbę naszego królestwa niemieckiego.

Z tego tekstu wiemy o dacie dziennej i wspaniałości koronacji Bolesława II w roku 1076. Aż piętnastu biskupów! Gall przemilczał nie tylko te szczegóły, lecz i sam obrzęd. Pewnie uczynił to bez uciechy. Myślał politycznie i nawykł widać do dyscypliny intelektualnej.

Ocena stosunków polsko-niemieckich wypada u Lamberta i Galla w sposób krańcowo odmienny. Niemiec powiada, że Polska przemieniona została w prowincję cesarstwa, Gall o niczym takim nie wie. Czytelnicy jego kroniki dojdą do wniosku, że wszystko układało się gładko. Nie dowiedzą się, że do katastrofy Mieszka II Niemcy też przyłożyły ręki. Po jego zgonie - usłyszą — Niemka Rycheza, „jak na sposób kobiecy, zaszczytnie zarządzała królestwem”. Nie znajdą ani słówka na temat wyraźnie antycesarskiej polityki Bolesława Śmiałego. A przecież ten król doskonale uzupełnił dzieło ojca, osiągnął rzecz, na którą Odnowiciel nie mógł się ważyć, bo było za wcześnie. Odrzucił i zniweczył wszelkie uroszczenia Niemiec do zwierzchnictwa.

Dawno już temu zwrócono uwagę, że Gall właściwie przemilczał pierwsze dwanaście lat rządów Władysława Hermana. Wymienił tylko takie fakty, jak narodziny Krzywoustego oraz zgon królewicza Mieszka. Postąpił tak — wyjaśniano — bo były to czasy haniebne. Słusznie, ale spróbujmy spojrzeć na rzecz z tego punktu widzenia, który nas tu interesuje. Przedstawiając owe lata szczegółowo, musiałby Anonim - nie pomimo, ale wbrew własnej woli! — sycić złe nastroje po obu stronach. Przypominać Niemcom utraconą przewagę, Polakom krzywdę. Przecież Henryk IV do tego się posunął, że mianował Wratysława czeskiego królem nie tylko Czech, lecz i Polski. Takie czasy nastąpiły po strąceniu z tronu Bolesława Śmiałego! Anonim zachował dyskrecję. Tylko w opisie pogrzebu królewicza Mieszka zaświadczył, jak bardzo Polacy czcili upadłą wielkość.

Po śmierci pierwszej żony, matki Krzywoustego, „książe Władysław — prawi Gall - że był człowiekiem ociężałym i chorym na nogi, a miał małego chłopaka, pojął w małżeństwo siostrę cesarza Henryka IV, poprzednio żonę Salomona, króla Węgier, z której nie spłodził żadnego syna, lecz trzy córki”. Całkiem, jakby dziejopis chciał z czegoś wytłumaczyć ojca własnego bohatera. Kronikarze niemieccy wyjaśnili, z czego miano-wicie. Judyta Maria zdradzała pierwszego męża „przeciw przykazaniom boskim”. Potem, przebywając u brata, prowadziła się tak, że ten tylko wypatrywał „przyzwoitej sposobności oddalenia jej od siebie”. Znaleziona wreszcie sposobność była może przyzwoita dla cesarza, lecz nie dla Polski. Gall koił zranione ambicje, trącał w nuty sentymentalne: schorowany wdowiec miał małego synka, potrzebował kobiecej ręki w gospodarstwie domowym...

Czytelnik kroniki ma więc przed oczyma widok przyjemny, raz tylko żałośnie popsuty. Od wieku już przeszło, od czasów wielkiej pamięci Bolesława I i Ottona Rudego wszystko układa się dobrze. I oto w roku 1109 cesarz Henryk V uniesiony pychą, zbiera świetne rycerstwo niemieckie i rusza na Polskę! Stoczy krwawe walki, niczego nie osiągnie i

powróci do siebie. W opowieści Galla o tej wojnie aż trzykrotnie powraca refren: trupy wojowników germańskich - jedyny zysk i haracz cesarza z Polski...

Epilog do trzeciej księgi zapowiada, co będzie jej treścią. Opíše autor „wspaniałe zwycięstwa” Bolesława na innym froncie, potem zaś doda „parę słów o zawarciu pokoju i przyjaźni z cesarzem”. A więc nawet nie sama wojna jest dla kronikarza najważniejsza, chociaż nie poskąpi on kolorów i wysławi tryumf Bolesława. Najistotniejsze to przyjaźń i pokój z cesarstwem, stan rzeczy, który zdaniem Anonima... mniejsza już z tym, czy stale panował od czasów Chrobrego, w każdym razie panować powinien.

Popelnimy błąd, uważając kronikę Galla za przeznaczoną tylko dla Polaków. Napisana w języku międzynarodowym, mogła służyć wszystkim rozumiejącym po łacinie. Bo znajomość pisma nie stanowiła warunku koniecznego. Można było oczywiście studiować ją w samotności, ale najczęściej utwory takie odczytywano głośno wobec licznych słuchaczy.

Książka, lektor, audytorium... Domyślano się dawniej aż ośmiu oryginałów czy autoryzowanych kopii dzieła. Nie spierajmy się o ich liczbę, lecz i nie upierajmy przy wyobrażeniu pojedynczego egzemplarza. Lektora i słuchaczy można było znaleźć w całej łacińskiej Europie. To w teorii, rzecz jasna. Praktycznie rzecz biorąc, tam gdzie interesowano się problemami Nadodrza i Powiśla, zgodą lub niezgodą pomiędzy Polską a cesarzem. To znaczy w Krakowie, Gnieźnie, Poznaniu, w niemieckich stolicach grafskich i biskupich, a także w cesarskiej, no i w Rzymie. Czechy oraz Węgry też nie były obojętne wobec tego, co głosił Anonim.

Wyobraźmy sobie audytorium składające się z ludzi, którzy żyli polityką. Wpada im w uszy opowieść podana w formie, jakiej nikt dotychczas nie znał. A przecież byli to ludzie ogromnie wrażliwi na sztukę. To tacy jak oni pozostawili nam w spadku skarby tynieckie, kolumny w Strzelnie i płytę w Wiślicy. Wyprawa Wilhelma Bękartta na Anglię wymagała prozaicznych przygotowań, zwykłego załadunku okrętów. Wiemy, jak to wyglądało, i zachwycamy się widokiem. Mamy obraz, uwieczniony na tkaninach z Bayeux. Zrobił je wspaniały majster i artysta. Pracę jego opłacali ludzie okrutni i twardzi, nie wiadomo czemu uważani też za barbarzyńców.

Dzisiejszy badacz rozłoży prozę Galla na składniki, rym nazwie rymem a rytm rytmem. Dokonana przezeń analiza wyda się nam równie powabna, co rachunek buchaltera. Tamci z XII wieku stawali wobec odkrycia. Porażał ich nieznaną, tajemniczą sztukę.

Postarajmy się streścić to, co usłyszeli.

Daleko na wschodzie, w stronach, które znają tylko zmierzający na Ruś kupcy, w pradawnych czasach powstało państwo. Kronika Galla Anonima, najstarszy z zachowanych odpisów w tzw. Kodeksie Zamojskim, poł. XIV w. Biblioteka Narodowa w Warszawie

Cesarz Henryk IV, kaplica Karola Wielkiego z katedry w Akwizgranie, 1215. Aachen, Niemcy

Patena, kielich, pierścień i fragment pastorału z pochówku biskupa Maura (zm.1118) w krypcie św. Leonarda. Muzeum Katedralne na Wawelu, Kraków.

Denar Mieszka I, Denar Bolesława Chrobrego, Szachy sandomierskie, XII/XIII w. Muzeum Okręgowe w Sandomierzu, Bolesław Szczodry (Śmiały), wizerunek na awersie złotego denara

Bolesław Krzywousty, wizerunek ze srebrnego brakteatu protekcyjnego,

Matylda lotaryńska wręcza księgę Mieszkowi II, miniatura z Ordo Romanus, ok.1027

Cesarz Henryk IV (1050-1106) prosi ks. Matyldę toskańską o interwencję w sporze z papieżem Grzegorzem VII w 1077, karta z poematu Donizona, szkoła włoska, XII w. Biblioteca Apostolica Vaticana, Watykan

Koronacja cesarza Henryka V (1081 – 1125), miniatura z Miror Historial Vincenta de Beauvais, XV w. Musée Condé, Chantilly, Francja

Cesarz Henryk IV, kaplica Karola Wielkiego z katedry w Akwizgranie, 1215. Aachen, Niemcy

Wcześniej i z własnej woli przyjąwszy chrześcijaństwo, zawarło przyjaźń ze świętym cesarstwem. Otto III Rudy podniósł je do godności królestwa, a papież Sylwester II pobłogosławił temu. Staczała Polska zwycięskie wojny, stała wysoko, potem rozmaicie układały się jej losy. Lecz nigdy nikomu nie udało się zniszczyć „starodawnej wolności Polaków”. Zamiłowanie narodu do swobody oraz jego zwartość, w tę strunę trąca opowiadacz, jak tylko może.

W tej chwili rządzi Polską Bolesław III, młody, waleczny, pasowany na rycerza „syn Marsa”. Zmógł przeszkody wewnętrzne i zabrał się do dzieła godnego chrześcijańskiego władcy. Po cóż cesarz Henryk V posłuchał złych doradców, Czechów oraz polskiego zdrajcy Zbigniewa, i poszedł na Bolesława z wojną? Książę zachował się wszak godnie, nie uchybił swej powinności. Rzekł cesarzowi: gdybyś po dobremu zażądał pomocy dla Kościoła rzymskiego, dałbym ci ją - postrachem niczego nie wymusisz. Henryk V uniósł się pychą i ruszył na wschód. Przegrał, w dodatku własni jego rycerze nazwali tę wojnę „niedozwoloną”. Bo to rzeczywiście była grzeszna wojna chrześcijan przeciwko chrześcijanom. Nie przybliżyła zwycięstwa prawdy, wręcz przeciwnie - przeszkodziła Bolesławowi w jego zbożnym, błogosławionym, wcześniej rozpoczętym dziele...

Gall oszczędzał cesarstwo, pchał ku zapomnieniu wszystko, co mogło jątrzyć i ranić. Chciał uwiecznić przeszłość dobrą, postawić krzyżyk na złej. Po to, by łatwiej doszło do zgody polsko-niemieckiej. Ideał tej zgody, a nawet przymierza, oto właściwy klucz do kroniki, lecz jeszcze nie jej cel najwyższy.

Jeśli tak, to zupełnie zrozumiały staje się gorzej niż niechętny stosunek autora do Czechów. („Ale wy, Czesi, czemu się ociągacie z poddaniem swych karków pod jarzmo, skoro widzicie, że sam król ustępuje przed Bolesławem, a wiecie, że własnymi siłami nie zdołacie mu się

oprzeć!"). Praga to był tertius gaudens. Ona zyskiwała na zatargach polsko-niemieckich, a niekiedy je podsycala.

Przymierze bez celu jest przymierzem bez sensu\*. Anonim doskonale wiedział, czemu wzywa do współpracy dwa silne państwa, rozdzielone Odrą. Na samym wstępie, opisując położenie kraju, w jednym niedługim zdaniu wymieniwszy Ruś, Morawy Czechy, Węgry, Saksonię, nawet Danię, w następnych rozwiódł się nader obszernie:

Od strony zaś Morza Północnego, czyli amfitrionalnego, ma [Polska] trzy sąsiadujące z sobą bardzo dzikie ludy barbarzyńskich pogan, mianowicie Selencję, Pomorze i Prusy, przeciw którym to krajom książę Polski usilnie walczy, by je do wiary nawrócić; ale ani mieczem wymowy kaznodziejskiej nie dało się ich serc oderwać od pogaństwa, ani mieczem zniszczenia nie można było tego pokolenia zmij zupełnie wytepić. Częstokroć wprowadzie naczelnicy ich, pobici przez księcia polskiego, szukali ocalenia w chrzcie; lecz znów zebrawszy sity, wyrzekając się wiary chrześcijańskiej, na nowo wystąpili z wojną przeciw chrześcijanom. Są też poza nimi, i już w objęciach Amfitriona, inne barbarzyńskie ludy pogan i wyspy niezamieszkałe, gdzie wieczny leży śnieg i lód.

Opisy walk z Pomorzanami przepełniają kronikę, która kończy się obrazem oblężenia przez Polaków Wyszogrodu. Paganie doznali porażki, lecz tylko częściowej. Nie mogąc spodziewać się pomocy od swego władcy, Świętopełka, „poddali gród, sami cało i nietknięci odchodząc ze wszystkimi swoimi (rzeczami), dokąd im się spodobało". Po takim finale słuchacze milczeli pewnie, pełni niedosytu. Pytanie o ciąg dalszy i akord, godny epoki, zwrócone było i do nich.

Gall uczynił Krzywoustego istnym bohaterem walk z poganami, tak jednakże swoją pisarską rzecz prowadził, jakby chciał powiedzieć: to jest waleczny pan, waży się na czyny, przed którymi cofnąłby się inny książę chrześcijański — ale sam jeden nie poradzi. Na przykład: wówczas Bolesław zgromadził swe

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Wzięte od Stanisława Mackiewicza: „konsolidacja bez celu jest konsolidacją bez sensu".

wojsko i wiarołomnego wroga poskromił — choć niezupełnie — żelaznym biczem". Nigdzie w całej księdze, jak długa i szeroka, nie znajdziemy słowa o konieczności przyłączenia Pomorza do Polski. Owszem, ten lud broni swej wolności i ojczyzny, lecz walczyć z nim należy, ponieważ nie wyznaje Chrystusa. Skoro się nie ugina, ma być wytepiony.

Anonim powiada Polakom i Niemcom: po co toczycie walki i przelewacie wzajemnie krew, chrześcijanie? I jedni, i drudzy macie obok tych samych pogan!

Biskup Thietmar gorszył się nieprawościami niewiernych, ale takich akcentów w jego księdze nie było. Dla Anonima Polacy i Niemcy to jakby członkowie rodziny, „dzieci eiusdem matris", chciałyby się powtórzyć powiedzenie Sienkiewicza o Lachach i Ukraińcach. Ich powołaniem jest zgoda, przymierze i wspólny czyn przeciwko światu obcemu wiarą i duchem.

Przybył więc do Polski tajemniczy człowiek, który ją szczerze polubił, ale się przez to nie przemienił. Pamiętał wszystko, co przemyślał, czym nasiąkł w szerokim świecie i czego nauczyło go doświadczenie. Pozostał wierny epoce. Można powiedzieć — wierny duchowi dziejów Europy Zachodniej. Anonim pisał w dobie krucjat, o tym nie wolno ani na chwilę zapominać.

Wyprawy krzyżowe rachujemy w sposób podręcznikowy, pamiętając tylko o największych. Tak więc pierwsza wyruszyła w roku 1096, druga w pół wieku później. A przecież w roku 1101 odbyła się jeszcze jedna, będąca raczej całą wiązką pochodów rycerstwa, bardzo ciężka dla ludności krajów, które przemierzała. W jej szeregach powrócił do Palestyny Stefan de Blois, który zrejterował spod Antiochii. Historia krucjat to właściwie jeden ciąg, znajdujący swe punkty szczytowe w wysiłkach szczególnie okazałych. Z biegiem czasu zapał słabł, ale podtrzymywali go ludzie, których najbardziej utalentowanym przedstawicielem był św. Bernard z Clairvaux. Chciałbym zaliczyć i Galla do tej samej kategorii kaznodziejów, będących niekiedy i pisarzami.

Dla nas krucjaty - zwłaszcza te najpierwsze - to egzotyka temat do powieści. XII stulecie żyło w ich atmosferze, wezwanie do wzięcia krzyża stwarzało przymus moralny. Dowody zaczerpnijmy z dziejów drugiej wyprawy. Będzie to całkiem słuszne, kronika Galla powstała bowiem tylko trzy dziesięciolecia wcześniej, więc wśród nastrojów, z których ów czyn się zrodził Ludwik VII, francuski, waha się. Sam wielki Suger - opat z Saint-Denis, zwanego l'Abbaye de France, mąż stanu i historyk - jest przeciwny. Św. Bernard przemaga. Przewycięża również niechęć cesarza Konrada III<sup>1</sup>. I to w jakich okolicznościach jakimi sposobami! Niedawno wybrany władca wolałby oczywiście zostać w domu, a do Palestyny wyprawić co krnąbrniejszych wasali. Nie uda się! Podczas sejmku Rzeszy w Spirze Bernard nagle zakłóca tok mszy, staje na stopniach ołtarza i grzmi na cały kościół nieprzewidzianym w danej chwili kazaniem. „Co odpowiesz Chrystusowi w dniu Sądu?” - woła do Konrada. Cesarz poddaje się, bierze krzyż. Decyzja jego jest tak mocna, że odrzucone zostaną perswazje samego papieża, który chciałby jednak zatrzymać swego sprzymierzeńca w Europie.

W lutym 1147 roku Francuzi i Niemcy radzą w Châlons-sur-Marne nad wspólną wyprawą. Obierają najgorszą z dróg - lądową, przez Azję Mniejszą. Konrad III poniesie tam olbrzymie straty, zostawi całą swą piechotę. Ludwik VII odcięty raz pewnego od swoich, otoczony pod skałą, będzie musiał własnym mieczem i tarczą bronić życia.

Nie działo w Palestynie niczego. Do Europy powróciły grupki krzyżowców tak nieliczne, że historycy francuscy porównują je z niedobitkami Wielkiej Armii Napoleona, które w roku 1813 dowlokły się do domów. Doszło bowiem do znamienych nieporozumień. Król jerozolimski Baldwin III wolał oszczędzać emira Damaszku, który jako tako współżył

#### PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Konrad III (1093-1152), koronowany na króla Niemiec w 1137 roku, nigdy nie został cesarzem (przyp. red.).

chrześcijanami. Przybysze z Europy uważali, że nie wolno rozróżniać pomiędzy niewiernymi, należy bić wszystkich, zaczynając od mieszkającego najbliżej. Słowo „poganin” wywoływało wtedy w umyśle przeciętnego Europejczyka reakcje zautomatyzowane.

Nawet najbardziej powściągliwi ulegali niekiedy duchowi czasu. Już się wspominało o opacie Suger oraz jego niechęci do udziału Ludwika VII w drugiej krucjacie. Rzeczywiście, lepiej by było dla Francji, gdyby jej król został w domu. Niedawno skończyła się na południu sroga wojna domowa z Tybaldem, hrabią Szampanii. Dopiero co również zdjęta została klątwa papieska, rzucona na Ludwika VII za to, że podczas owej kampanii wojsko jego spaliło kościół w Vitry, gdzie tysiąc trzysta osób znalazło śmierć w ogniu.

Suger był człowiekiem trzeźwym. Potrafił w czwórnasób pomnożyć dochody opactwa Saint-Denis, a jednocześnie... obdarzyć jego przypisańców wolnością. Od roku 1147 do 1149 z powodzeniem sprawował we Francji regencję.

Obowiązek walki z muzułmanami, zagrażającymi Ziemi Świętej, i jemu bardzo leżał na sercu. Zabrał się więc opat do szykowania krucjaty na koszt własny. Nie doszło do niej, bo podczas przygotowań Suger zmarł.

Tyrazy Galla o pogańskim plemieniu żmij, które siedzi na Pomorzu, były dobrze obliczone. Autor znał słuchaczy, oni pojmwali jego. Hańba spadała na rycerza, który beczynnie cierpiał sąsiedztwo ludu bluźniącego Chrystusowi. Bolesław III beczynny nie był.

Anonim zatroszczył się pilnie o usunięcie zastrzeżeń. Tak - powiedział w swej książce - Bolesław III popełnił zbrodnię. Skazał na śmierć brata, będącego księdzem. Ale odpokutował. Pościł, przywdział włosiennicę, ofiary składał, pielgrzymował do miejsc świętych i grobu męczennika Wojciecha, kajał się i płakał. To jest prawy rycerz chrześcijański.

Długi opis zadośćuczynień Bolesława ma sens ideologiczny.

Nie miejsce tutaj na próby rozstrzygnięć, do jakiej kategorii zaliczyć należy utwór Galla - do opowieści biograficznych, kronik klasycznego typu czy też do nowatorskich gęsta. Używając pojęć nam współczesnych, powiedzieć wypadnie, że w formie kronikarskiej przemawia w tej książce wielka publicystyka polityczna. To była interwencja pisarska, czyn zmierzający do określonego celu.

Autor używał argumentów rang najrozmaitszych. Szczegółowo opiewał na przykład szcudroblność Piastów. Komes Żelisław, który utracił w boju ramię, otrzymał od Krzywoustego rękę odlaną ze złota. Ubogi kleryk omal się nie udusił pod ciężarem kosztowności władowanych mu na kark przez Śmiałego. Niemieckie otoczenie Ottona Rudego zostało obsypane darami, co dzień nowymi. Żaden ze sług nie odszedł z Polski bez upominku. Tak przemawiał kronikarz do rycerstwa, które żyło z wojny, i to nawet wtedy, gdy nosiła ona charakter podniosły. W mowie Urbana II, wygłoszonej 27 listopada 1095 roku, a wzywającej do krucjaty, nie brakło podobno akcentów natury całkiem materialistycznej. Papież przeciwstawiał ubóstwo Zachodu bogactwom Orientu. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy kronikarze, bo sprawozdań z soboru w Clermont jest wiele. Książka Galla nie

pozostawiała miejsca na wątpliwości. Woje Krzywoustego nieźle obławiali się na pogańskim Pomorzu.

Ponieważ brak jakichkolwiek danych, niepodobna odgadywać, ilu ludzi Galla przeczytało - czy wysłuchało - i kogo Anonim przekonał. Warto natomiast zastanowić się nad pewną uderzającą cechą jego utworu. Jest nią zgodność z tym, co nadchodziło, co się miało w ten albo inny sposób urzeczywistnić. Anonim prorokiem wcale nie był. Był natomiast dobrze wyczulony na tendencje, które zaczynały górować. Dyscyplina umysłowa kazała mu pewnie dokonywać obliczeń ścisłych i widzieć to, co wypadało z rachunku. Jego skłonności do przedstawiania historii tak, jak ona przebiegać była powinna, nie należy uważać za jałowe kaznodziejstwo. To była tylko forma przekonywania.

Mówiło się już o tym, że kronika Galla jakby zwiastuje nowe zjawiska i nastroje w dziedzinie rozłamu religijnego. Jego niechęć do Rusi jest ich wytworem ubocznym, ale znamionym. Wyraźniejsze, bo wprost wyrażone, są prekursorskie poglądy na konieczność zgody w chrześcijaństwie zachodnim. We wstępie do księgi trzeciej, tam gdzie się mieści polemika z „czcigodnymi kapelanami książęcymi”, czytamy całkiem wyraźnie: „Godzi się bowiem, by służy Boga w tych rzeczach, które dotyczą Boga, duchem posłuszni byli Bogu, zaś w tych, które są cesarza, okazywali cześć i pełnili służby książętom świata”.

O tak! - na pewno łatwo dosłuchać się w tym echa znanych słów Ewangelii, a nawet dopatrzeć ich przeróbki. Te same hasła potrafią rozmaicie dźwięczeć w różnych epokach dziejów. Rezonowanie Gaikowe trafiało na słuchaczy, którzy mieli w świeżej pamięci Dictatus papae Grzegorza VII, dekret ogłoszony w roku 1075. Stanowił on, że papież ma prawo zwalniać poddanych od obowiązku posłuchu wobec niesprawiedliwych władców... składać z tronu cesarzy. Gall napisał swój wywód gdzieś w roku 1113, tuż przedtem lub potem, a w kwietniu roku 1111 cesarz Henryk V (ten sam, co dwa lata wcześniej walczył z Krzywoustym) uwięził w Rzymie papieża Paschalisa II i grono kardynałów, porwał ich nawet i wywiózł, uchodząc przed buntem ludności. Wrócił wkrótce do Wiecznego Miasta, uwolnił głowę Kościoła, ale dopiero tuż przed własną koronacją, której tamten musiał dopełnić. Przy obrzędzie asystowało rycerstwo niemieckie. Cesarz siłą wymógł na papieżu uznanie przewagi władzy świeckiej, jej faktyczne prawo wtrącania się do spraw sumienia.

W tych warunkach bezpieczniej by było niektórych pouczeń Ewangelii na razie nie cytować. Doprawdy nie powinno zdumiewać tajemie się pisarza przybyłego nad Wisłę i osiadłego tam. Prekursorem lepiej czasem być z ukrycia.

Gall pisał na kilka lat przed konkordatem w Wormacji, który zawarto 23 września 1122 roku. Postanowiono wtedy, że cesarz nie może wtrącać się do obioru biskupów ani wprowadzać ich w funkcje duchowne. Jego rzeczą natomiast jest nadawanie dóbr materialnych, przynależnych do danego biskupstwa czy opactwa. Dokonano więc kompromisu, rozgraniczenia zakresu dwóch władz. Apel Anonima do czcigodnych kapelanów nabrał cech legalności. Lecz dopiero od września 1122 roku (na pierwszy kanoniczny obiór biskupa w Polsce trzeba było zresztą poczekać do roku 1207).

Jeszcze jedno, bardzo ważne, kiedy mowa o kronice Anonima, zwanego Gallem. Autorem formuły kompromisu, przyjętego w Wormacji, był Francuz, prawnik z wykształcenia, Iwo z Chartres. Sposób załatwienia sporu obmyślił on dawno, u schyłku XI stulecia, musiał jednak dość długo czekać na przyjęcie propozycji. Chartres leży we Francji północnej i słynie z gotyckiej katedry. Jak widzimy, ludzie tamtejsi zdobywali się na nie lada osiągnięcia duchowe już grubo przed epoką gotyku. Iwo nie był przecież samotnym kwiatkiem na pustyni.

Treść konkordatu w Wormacji uważa Jan Dąbrowski za zwycięstwo zasady znamiennej dla kultury Zachodu. Władzę świecką wyproszono z zakresu spraw sumienia. W przyszłości - dodajmy — poproszono również władzę duchowną o powstrzymanie się od uroszczeń.

Powracajmy do spraw lokalnych, nie zapominając jednak, że to, co Gall zalecał Polakom i Niemcom, płynęło z nurtem powszechnym. Chciał wszak zgody wśród chrześcijan. Protestował przeciwko wojnom „zabronionym”, zalecał „dozwolone”.

Uporawszy się z Henrykiem V i z Czechami, zabrał się Krzywousty do Pomorza. Najpierw zajął Wschodnie i wcielił je wprost do Polski. Potem pobił i uzależnił od siebie Zachodnie, wraz ze Szczecinem, pozostawił mu jednak jego własną dynastię, zobowiązaną do hołdowania Polsce, płacenia jej daniny oraz dawania posiłków. Drużyny jego dotarły aż na Rugię. Stało się to pewnie zimą, kiedy cieśnina zamarzała.

Karol Maleczyński, autor bardzo cennego studium Bolesław Krzywousty, twierdzi, że podbój Pomorza przez Polskę dokonany został na mocy i wskutek kompromisowego układu z Niemcami. Uznano w nim, że ziemie od Wisłoujścia aż po Pianę i Rugię włącznie stanowią strefę interesów Polski. Co dalej na zachód leży tym zająć się mieli Niemcy. Wskutek takiego stanu rzeczy Gdańsk stał się własnością Polski, Szczecin jej tylko hołdował. Leżał bliżej niemieckiego obszaru władania, a kompromis nie wykluczał jednak konkurencji. Jej wyrazicielem po stronie germańskiej był książę Sasów Lotar von Supplinburg, późniejszy cesarz.

Również misja św. Ottona z Bambergu stanowiła jeden z rezultatów polityki porozumienia. Biskup był dla obydwu stron kandydatem do przyjęcia. Niemiec, Polskę znał i w niej bywał. Kiedy wyruszył na Pomorze, jego orszak misjonarski składał się z samych Polaków. Eskortą dowodził kasztelan santocki, Pawlik, kapelanem był Polak, Wojciech, w przyszłości pierwszy biskup Pomorza.

Zdaniem Karola Maleczyńskiego zarys kompromisu, później uzupełniany, mieścił się już może w układzie pokojowym kończącym wojnę 1109 roku. Jeśli tak było, publicystyka Galla mocno trzymała się ziemi. Pędziła wiatr w żagle już podniesione.

Zwrot Krzywoustego ku Pomorzu datuje się od roku 1113. Dokładnie wtedy urywa się kronika Galla, która na mnie osobiście sprawia wrażenie dokończonej. Wszystkie rozpoczęte wątki zostały wszak zamknięte. Otwarta jest w dalszym ciągu tylko kwestia walki z



poganami. Ale pozostawienie księgi w tym stanie stanowi celnie użyty środek pisarski. To apel, wezwanie do dzieła!

Rok 1113, koniec i początek. Koniec kroniki, początek pochodu na Pomorze, odbywanego już w porozumieniu ze świętym cesarstwem. Zupełnie tak, jakby pisarz doprowadził do progu, który należało przekroczyć i który przekroczony został. Treść dzieła nadal nawoływała, wspierała pochód.

Zachodnia granica Polski, zdobyta wskutek porozumienia z Niemcami, nie objęła ostatecznie Rugii, lecz dobrze przekroczyła dolny bieg Odry. Utrzymała się aż do roku 1180. Utracono ją wśród i wskutek okoliczności zupełnie zmienionych.

Jeżeli pokój z roku 1109 zawierał porozumienie, a Gall o tym wiedział, to w dalszym ciągu można podziwiać jego zmysł wy czuwania przyszłości. Anonim musiał ogarniać okiem szerokie horyzonty, doskonale znać swój europejski czas.

W roku 1147 wyruszyła z Magdeburga „krucjata saska”. Nazywa się ją również „wendyjską”, a to dlatego, że godziła w Słowian połabskich, nadal trwających w pogaństwie. 29 czerwca Henryk Lew uderzył na Niklota, księcia Obodrzyców, których od północy zaatakowała jednocześnie flota duńska. 1 sierpnia wyszły z Magdeburga siły główne, jakoby to liczące sześćdziesiąt tysięcy wojowników. Z wodzów duchownych wymienić trzeba arcybiskupa magdeburgskiego Fryderyka oraz pięciu biskupów z Saksonii. Ze świeckich wystarczy wspomnieć o jednym, mianowicie o Albrechcie Niedźwiedziu, przyszłym założycielu Marchii Brandenburskiej. W jego cieniu nikną wszyscy inni.

Zjawił się w Magdeburgu i wziął udział w wyprawie syn Krzywoustego, Mieszko zwany Starym. Przeprowadził liczne wojsko z Wielkopolski, którą władał. Krucjata sterroryzowała Połabian. Podeszła od strony zachodniej pod Szczecin, na którego wałach ujrzała krzyże. Dla pertraktacji wyszedł z miasta biskup Wojciech, dawny kapelan św. Ottona i zaufany Krzywoustego. Krzyżowcy nie szturmowali grodu, zawrócili.

Udział Mieszka Starego w tym przedsięwzięciu to wstydlivy zakątek naszej historii. Tak też traktują go przeważnie polscy dziejopisarze. Piastowicz w jednym szeregu z Albrechtem Niedźwiedziem oraz Henrykiem Lwem (którego hitlerowcy uważali za swego patrona)!

Stanisław Smolka napisał, że Krzywousty walczył z pomorskimi poganami, lecz w odróżnieniu od synów nie myślał „wysługiwać się Niemcom”. Czcigodny historyk nie spostrzegł, niestety, sprzeczności we własnych wywodach. Zaraz w następnym zdaniu stwierdził: a wreszcie w roku 1147 pojęcie narodowości przestało istnieć: Francuzi i Niemcy, Hiszpanie, Duńczycy, Czesi Polacy byli jakby jednym narodem, jedną myślą świętej alki z nieprzyjaciółmi krzyża ożywionym”. Albo jedno, albo drugie: wspólnota lub wysługiwanie się Niemcom.

Udział Mieszka Starego w tej wyprawie wyjaśnia się czy też tłumaczy chęcią pilnowania interesów polskich. Ryzykując zgorszenie publiczne, można próbować wzmocnić ten pogląd. Postępek księcia był z dobrem Polski całkowicie zgodny.

W jaki sposób można było uchylić się od udziału w powszechnej akcji europejskiej, nie narażając się na konflikt z Europą? Krucjata to rok 1147. Poprzedniego lara Konrad III szedł na Polskę, ujawszy się za wygnanym z kraju Władysławem II. Odry nie przekroczył, zawrócił, lecz nie wcześniej, aż mu polscy książęta przyrzekli stawić się na sąd. Władysław poszedł do Palestyny razem z Konradem III i Ludwikiem VII, a współzawodniczący z nim bracia mieliby zostać w domu? Zlekceważyć apele największego podówczas autorytetu w chrześcijaństwie i nie wyruszyć na pogan? Chyba po to, aby postawić się na równi z nimi i sprowokować katastrofę.

Zachowały się listy św. Bernarda z Clairvaux do Czechów i Morawian, wzywające ich do krucjaty. Trzej książęta czescy, Otto, Świętopelk i Wratysław, oraz biskup z Ołomuńca, Henryk, stawili się w Magdeburgu i walczyli przeciwko Połabianom. Listu do Polaków nie ma, ale musiał istnieć. Spłonął pewnie w roku 1850 w Jędrzejowie kieleckim, podczas pożaru klasztoru cystersów. Św. Bernard wiedział o Polsce, skoro biskup krakowski z nim korespondował. Królowie Francji i Niemiec nie oparli się wezwaniom i wbrew najistotniejszym własnym interesom pociągnęli do Azji. Jakże mogli polscy juniorzy nie pójść... za Odrę? Nie wszyscy się zresztą tam wybrali. Kiedy Mieszko Stary pomaszerował do Magdeburga i dalej, Bolesław Kędzierzawy ze znacznymi siłami uderzył na Prusy. Obie akcje posługiwały się tym samym sztandarem powszechnej krucjaty europejskiej, do której papież Eugeniusz III bullą z 12 kwietnia 1147 roku wezwał wszystkich chrześcijan zachodnich. Pewien szczegół świadczy, jak trzeźwo umieli myśleć książęta, posądzeni o rozbrat z polską racją stanu. Kędzierzawy uzyskał pomoc od Rusinów, których apel papieża wszak nie dotyczył. Niemcy potrafili piec własną pieczeń przy ogólnoeuropejskim ogniu? Polacy także. A jeśli im się gorzej wiodło, to dlatego że byli słabsi. Zamykanie się w zaścianku osłabiało jeszcze bardziej.

Anonim wiedział, co się na kontynencie święci, i' dobrze uczył, kiedy zalecał płynąć z prądem. Drogowskaz, który wystarcza na kilka dziesięcioleci — wielka rzadkość w polityce.

Samo dno historii Polski to czasy saskie, „rządy” Augusta III, kiedy właściwie wyłączyliśmy się z dziejów powszechnych. Tego rodzaju ideał naszemu średniowieczu nie przyświecał.

Zagłada Słowian połabskich oraz większości ludów bałtyckich jest tragedią, której rozmiarów stanowczo nie doceniamy. Chodzi o poważniejsze rzeczy niż osłona Polski od zachodu. Jak się już rzekło w szkicu o Thietmarze, kultura kontynentu została zubożona, dorobek powszechny zmniejszony. Doprawdy śmieszne nieporozumienie i dowód zaściankowego sposobu myślenia zarzucać średniowiecznej Polsce, że nie dała pomocy pobratymcom. Ależ oni sami odcięli się zarówno od tej pomocy, jak od wielu znacznie cenniejszych desek ocalenia. Istota zła polega na tym, że te ludy nie przyłączyły się do wspólnych dziejów Europy. Zajadłe broniły swego partykularyzmu, podczas gdy owa niebezpieczna i trudna „wspólnota” uznawała różnorodność, nie oznaczała paktu o duszę. Uważnie czytamy Anonima. Chciał współpracy Polski z cesarstwem, ale „starodawną wolność Polaków” wysławiał i bronił jej piórem. Nie wiadomo, czy Krzywousty rzeczywiście w tych słowach odpowiedział cesarzowi, że lepiej zginąć, broniąc wolności, niż zachować

nawet władzę za cenę hańby. Jedno nie ulega wątpliwości: taki kodeks moralny zalecał pisarz, będący chorążym zgody wśród chrześcijan, myśliciel, uważający za pełne szczęście ten dzień, w którym Otto III i Bolesław I tak wielką „złączyli się miłością, że cesarz mianował go bratem i współpracownikiem cesarstwa i nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego”. Niestety, żaden taki Anonim nie mógł przywędrować ze świata do stolic Obodryców, Wieleatów ani też Prusów. Litwini mieli więcej szczęścia — na pięć minut przed dwunastą podparli się Polską. Pierwszą po łacinie napisaną i w patriotycznym duchu utrzymaną historię Litwy napisał Augustyn Rotundus Mieleski rodem z Wielunia. Dobrowolne przystąpienie do powszechności ściągało trudne dobro, odcinanie się od niej pewną zagładę.

Kimże więc ostatecznie mógł być człowiek, którego praca w Polsce stanowi po prostu dokument familijny, świadczy o rzeczywistej przynależności kraju do rodu rozprawiającego po łacinie i po łacińsku myślącego? Pytanie tak natrętnie, że powraca się do niego nawykowo.

Darmo odgadywać personalia. Można bez końca spierać się o rolę przypadku w historii, niepodobna zaprzeczyć, że przypadek wszechwładnie rządzi losami poszczególnych osób. Gdyby w swoim czasie żołnierz carski wycelował nieco staranniej, nie mielibyśmy ani Lalki, ani Faraona. Kto został ranny, ten równie dobrze mógł polec. Jeżeli wydarzenia XI śmiecia doraźnie rozstrzygały o wyniesieniu lub schyłku mocarstw, jak Wenecja i Bizancjum, o początku tej Anglii, którą znamy, o powstaniu pierwszej europejskiej kolonii w Azji - to trzeba skapitulować. Z pojedynczymi ludźmi wszystko było możliwe.

Nie wspomniałem dotychczas o pewnym domyśle Mariana Plezi. Jest to hipoteza wręcz urocza. Według niej Gall to Francuz, zakonnik z Saint-Gilles, który zanim się wybrał do Polski, przebywał w klasztorze Somogyvar w pobliżu Balatonu. Konwent tamtejszy, założony w roku 1091 przez króla Władysława Świętego, bajecznie uposażony w dobra, był filią Saint-Gilles. Anonim, zdaniem profesora, jest nie tylko autorem pierwszej kroniki polskiej. Jemu się również zawdzięcza Gęsta Ungarorum, czyli pierwszą kronikę węgierską, która, niestety, zaginęła i znana jest tylko z refleksów odbitych w innych dziełach, późniejszych.

Trudno przypuścić, by w jednym i tym samym czasie pojawiło się w tej połaci Europy dwóch pisarzy równie utalentowanych i poświęcających się temu samemu gatunkowi literackiemu. Zatem Anonim węgierski i polski to jedna osoba.

Teoria powabna. Na mocy jakiego prawa mielibyśmy jednak wykluczyć taki przypadek, jak mniej więcej jednoczesne pojawienie się dwóch historyków po obu stronach Karpat? Epoka, która nas tu interesuje, oglądała jeszcze bardziej oryginalne wydarzenia. Pierwszy kronikarz polski był cudzoziemcem z niewiadomego kraju, a pierwszy dziejopis czeski - Polakiem z pochodzenia. Oddajmy głos Stanisławowi Kętrzyńskiemu, który nie tracąc ani na chwilę powagi uczonego, włożył serce w opis powrotu Brzetysława z Polski w roku 1038.

Na czele pochodu kroczył książę i biskup praski Sewer, niosąc na barkach „słodki ciężar męczennika Chrystusowego Wojciecha”, za nimi opaci nieśli relikwie Pięciu Braci Męczenników, dalej zaś arcybiskupowie „radowali się ciężarem Radyma arcybiskupa”.

Następnie dwunastu co cięższych kapłanów ugięło się pod ciężarem złotego krzyża, daru Chrobrego, niesiono również trzy ogromne tablice zabrane z katedry gnieźnieńskiej. Po nich na więcej niż stu wozach wieziono dzwony i skarby w Polsce zdobyte, a w końcu szły tłumy jeńców, ze skrępowanymi rękoma i szyjami zakutymi w żelazo. Byli tam i panowie, i lud prosty, i duchowni, przykuci do wspólnego łańcucha. Między wziętym do niewoli duchowieństwem znajdował się pewien ksiądz polski, dziad pierwszego czeskiego kronikarza Kosmasa.

Kanonik Kosmas pisał nieco później niż Gall. Polski nie lubił. Od niego pochodzą niezbyt pochlebne wiadomości o Dobrawie, małżonce Mieszka I. Niektórzy nasi badacze traktują je tak, jakby Kosmas był świadkiem wydarzeń X wieku i nie należał do kategorii narodowych neofitów, obciążonych zazwyczaj kompleksami.

Niebezpiecznie byłoby przysięgać, że Gall napisał również *Gęsta Ungarorum*.

Treść książki zdaje się wskazywać region Europy, z którego pochodził autor. Kronika Anonima jakoby to roi się od wydarzeń cudownych. Pisarz wierzy w nie i przypisuje im bezpośredni wpływ na dzieje- Porównajmy tylko jego utwór z dziełem biskupa z Merseburga. Kontrast uderzy w oczy. Mistycznych mgławic, które kłębiły się w głowie Thietmara, u Anonima ani śladu. Zjawisk nadprzyrodzonych zaledwie u niego trochę. Bo nie weźmiemy chyba za dobrą monetę powiedzenia, że łaska Boża oślepiła pogan, którzy zaniedbali poszukać arcybiskupa Marcina na strychu. Równie dobrze moglibyśmy uważać za mistyka każdego, kto dziś zawoła: „dzięki Bogu!”. Owszem, jest twierdzenie, że nie należy łączyć obrzędu zaślubin z uroczystością poświęcenia kościoła i że sam Stwórca dał po temu „wyraźną wskazówkę”. Następne zaraz zdanie brzmi: „Lecz zamilczmy o cudownościach, a trzymajmy się naszego wątku!”. To prawie tyle znaczy, co powiedzieć: cudy, w które stanowczo wierzę, swoją — a dzieje swoją drogą. Nieźle, jak na męża zrodzonego w XI stuleciu.

Między Thietmarem a Anonimem jest wiek różnicy. Jednakże upływ czasu i postęp kultury wszystkiego nie wyjaśnia. Popatrzmy tylko, jakie rzeczy wypisywał znacznie później mistrz Wincenty, pierwszy Polak parający się piórem. Jasność cudowna biła z nieba w nocy po straceniu biskupa Stanisława, z czterech stron świata zleciały się orły, posiekane na sztuki ciało zrosło się.

Anonim był pisarzem bardzo trzeźwym i zdyscyplinowanym umysłowo. Te jego cechy wprost palcem wskazują na regiony kontynentu, które najlepiej nasiąkły kulturą i wcześniej zaczęły czerpać z dorobku myśli starożytnej. Nie o to chodzi, ilu klasyków dziejopis przewertował. Atmosfera intelektualna, w której wzrastał, oto co ważne. Nie inaczej, on musiał pochodzić ze stron, nad których nieprawościami łamał ręce Thietmar. Z tych, gdzie wraz ze słońcem zachodzi „i prawość wszelka, i posłuszeństwo, i miłość bliźniego”. Gdzie „daremne są wysiłki pobożnych głosicieli słowa Bożego”, gdzie „wiele ciał świętych spoczywa snem wiecznym... mieszkańcy atoli gardzą nimi w swojej przewrotności”. Po długotrwałym namyśle muszę sprostować to, co napisałem w Polsce Piastów. Właściwie nie ma podstaw do uważania Anonima za Węgra czy Słowianina z południa. Ludzie z tych nacji

tak wysoko wznieść się jeszcze nie mogli. Wcale nie pomylili się chyba ci, którzy uznali Anonima za Francuza.

Tylko ten termin kłopotliwy! Spod czyjego znaku Francuz - Hugona de Vermandois, jego brata, wyklętego króla Filipa I Roberta Krótkoudego, Stefana de Blois, Rajmunda Saint-Gilles z Tuluzy czy też może poddany Godfryda de Bouillon, pana Lotaryngii?

Marcin Kromer nazwał autora kroniki Gallem. Zdziwiająca intuicja! Lepiej pochodzenia i przynależności kulturalnej Anonima określić chyba nie można. Wiadomo przecież, jak Juliusz Cezar scharakteryzował pradawną różnorodność kraju, który rozciąga się na zachód od Renu, a zdążył sam uczestniczyć w dziejach kultury antycznej:

Galia est omnis dwisa in partes tres. Quarum unam incolunt Belgae, aliant Aquitani, tertiam, qui ipsorum lingua Celtae, nostra Galli appellantur.

## II

Gall nie był świadkiem początków dynastii Piastów, trzeba jednak przytoczyć wszystko, co na ten temat napisał. Poznamy dzięki temu wersję oficjalną. Dowiemy się, w jaki sposób na początku XII stulecia polski ród panujący widział i oceniał własną przeszłość.

Kronikarz mógł, oczywiście, upiększyć opowiadanie i na pewno to zrobił, gdy doszło do opisu chwili przyjęcia chrztu. Bardzo prawdopodobne, że to on właśnie wplótł w polską sagę legendę o myszach pożerających zbrodniarza, czyli wątek baśniowy popularny w Europie i przejęty zapewne z Niemiec. Nie mógł natomiast fantazjować na temat przodków Mieszka I, dowolnie sobie wymyślać ich imion. W tej kwestii istniała dla kronikarza tylko jedna wersja. Ta, którą uznawał i do której się przyznawał władca.

Anonim żył i działał na dworze Krzywoustego, który reprezentował dziewiąte pokolenie dynastii, a jeśli policzyć również samego Piasta - dziesiąte. Jeżeli Gallowy wywód genealogiczny uznać za czyste zmyślenie, to tym samym twierdzić wypadnie, że Polska całkiem zapomniała o postaciach dziada i pradziada Bolesława Chrobrego. Pierwszy król polski, przyjaciel i współpracownik cesarza, znał tylko własnego ojca, był pozbawiony rodowodu? I to w czasach, kiedy przynależność do rodu rozstrzygała o znaczeniu człowieka? Fantazja jest niewątpliwie, ale nie w wywodzie Gallowym. Popisuje się w wątpliwościach.

Jan Czekanowski napisał ironicznie: „To tylko Murzyni w Afryce Środkowej ogarniają pamięcią dwadzieścia dwie generacje swoich władców”. Zapamiętanie czterech czy pięciu imion z doby przedchrześcijańskiej przekraczało siły Prapolaków.

Piastowie nieźle, i to od dawna ustabilizowali się wśród panujących. Byli spokrewnieni z czeskimi Przemyślidami, z obu dynastiami Niemiec, to znaczy z saską i z salicką, z węgierskimi Arpadami, z Rurykowiczami, z królami Danii i Szwecji, że się już pominie grafów i margrafów germańskich. Te okoliczności wspierają twierdzenie, że kronikarz mógł tylko powtórzyć imiona protoplastów Krzywoustego.

Archeologia odśladania dowody rzeczowe. Takie na przykład, że Mieszko I nie był budowniczym grodu gnieźnieńskiego. On go tylko wzmocnił, pogrubiał wały.

A więc na początku XII wieku tak oto zapatrywano się na najdawniejszą Polskę oraz jej władców:

Kraj to wprawdzie bardzo lesisty, ale dość przecież obfituje w złoto, srebro, chleb i mięso, w ryby i miód, a pod tym względem najbardziej zasługuje na wywyższenie ponad inne, że - gdy przez tyle wyżej wspomnianych ludów, i chrześcijańskich, i pogańskich, jest otoczony i zwalczany od wszystkich naraz i wielokrotnie przez pojedynczych wrogów - nigdy przecież nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności; kraj, gdzie powietrze zdrowe, rola żyzna, las miodopłynny, wody rybne, rycerze wojowniczy, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły chętne do orki, krowy mleczne, owce wełniste. Lecz by się ta dygresja nie wydała zbyt długą, powróćmy do zakreślonego zamiarem tematu. Mamy zaś zamiar pisać o Polsce, a głównie o księciu Bolesławie, ze względu zaś na niego pragniemy też nadmienić o niektórych czynach jego przodków, godnych pamięci. Teraz więc tak zaczniemy nasze opowiadanie, by posuwając się od korzenia, dojść do gałęzi drzewa. W jaki przeto sposób zaszczyt władzy książęcej przypadł temu rodowi, to okaże następujące opowiadanie.

Był mianowicie w mieście Gnieźnie, które w słowiańskim tłumaczy się jako gniazdo, książę imieniem Popiel, mający dwóch synów; przygotował on zwyczajem pogańskim wielką ucztę na ich postrzyżyny, na którą zaprosił bardzo wielu swych dostojników i przyjaciół. Zdarzyło się zaś - w myśl ukrytej woli Boga - że przybyli tam dwaj goście, którzy nie tylko że nie zostali zaproszeni na ucztę, lecz nawet odpędzeni w krzywdzący sposób od wejścia do miasta. Uchodząc szybko przed nieludzkością owych mieszkańców miasta i kierując się na przedmieście, przybyli szczęśliwym przypadkiem przed domek oracza wspomnianego księcia, zarządzającego ucztę dla synów. Ów zaś biedak pełen współczucia zaprosił owych przybyszów do swej chatki i najuprzejmiej roztoczył przed nimi obraz swego ubóstwa. A oni chętnie przychylając się do zaprosin ubogiego i wchodząc do gościnnej chaty, mówią mu: „Ciesz się zaiste, iżeszmy przybyli, i obyś z naszego przybycia pozyskał obfitość dobra wszelakiego, a z potomstwa honor i sławę”.

Mieszkańcami gościnnej chaty byli: Piast, syn Chościszka, i żona jego Rzepka; z wielkim wylaniem serca wedle możności starali się oni spełniać życzenia gości, a zauważając ich roztropność, gotowali się pewien poufny zamysł, jaki mieli, wykonać za ich doradą. Gdy usiadłszy wedle zwyczaju, rozmawiali tak o bardzo wielu rzeczach, a przybysze zapytali, czy mają jakiś napój, gościnny oracz odpowiedział:

„Mam beczułkę [...] piwa, które przygotowałem na postrzyżyny jedynego syna, jakiego mam - lecz cóż znaczy taka odrobina? Jeżeli chcecie, to pijcie!”. Postanowił bowiem ów ubogi wieśniak, czasie gdy jego książę pan będzie urządzał ucztę dla synów - bo kiedy indziej nie mógłby tego zrobić dla zbytniego ubóstwa - urządzić skromny posiłek przy sposobności postrzyżyn swego malca i zaprosić paru równie ubogich przyjaciół nie na ucztę, lecz raczej na skromne śniadanie; toteż karmił prosiaka, którego przeznaczał na ową potrzebę. Dziwne rzeczy opowiem, lecz któż może pojąć wielkość Boga? albo któż poważy się zagłębiać w dociekania nad dobrodziejstwami Boga, który już w doczesnym życiu niejednokrotnie wynosi

pokorę biednych i nie waha się wynagrodzić gościnności nawet u pogan. Każą tedy Piastowi pewni siebie goście nalewać piwo, o którym dobrze wiedzieli, że przez picie nie ubędzie go, lecz przybędzie. I opowiadają istotnie, że piwa tak ogromnie przybywało, iż napełniono nim wszystkie wypożyczone naczynia i jakie tylko znaleziono próżne na uczcie u księcia. Polecają też zabić wspomnianego prosiaka, którego mięsem, jak wieść niesie, napełniono ku ogólnemu zdumieniu dziesięć naczyń, zwanych po słowiańsku „cebry”. Zobaczywszy więc Piast i Rzepka te cuda, co się działy, domyślali się w tym jakiejś ważnej wróżby dla syna i już zamierzali zaprosić księcia i jego biesiadników, lecz nie śmieli wpierw, nim się o to poradzą wędrowców. Po cóż zwlekać? - za radą więc gości i ich poleceniem pan ich ksiązę i jego wszyscy współbiesiadnicy zaproszeni zostają przez kmiotka Piasta, a zaproszony ksiązę wcale nie uważał sobie za ujmę zająć do chaty swojego wieśniaka. Jeszcze bowiem księstwo Polski nie było tak wielkie ani też ksiązę kraju nie nadymał się jeszcze taką pychą i dumą, ani też nie występował tak okazałe, otoczony tyłu rzędami towarzyszącej mu klienteli. Urządziwszy zwyczajową ucztę i pod dostatkiem przyrządziwszy wszystkiego, goście owi postrzygli chłopaka i nadali mu imię Ziemowita na wróżbę przyszłych losów.

Gdy się to stało, młody Ziemowit, syn Piasta Chościszkowicza, wzrastał w lata i siły i z dnia na dzień postępował i rósł w poczciwości do tego stopnia, że Król królów i Ksiązę ksiąząt zgodnie go księciem Polski ustanowił, a Popiela z potomstwem doszczętnie wy. tracił z królestwa. Opowiadają też starcy sędziwi, że ów Popiel z królestwa wypędzony tak wielkie cierpiał prześladowanie od myszy, iż z tego powodu przewieziony został przez swych towarzyszy na wyspę, i tak długo w drewnianej wieży broniony był przed owymi rozwścieczonymi zwierzętami, które tamże przepływały, aż opuszczony przez wszystkich z powodu smrodu wytępionej masy zabójczych stworzeń, wyzionął ducha śmiercią najhaniebniejszą, bo pożarty przez te potwory. Lecz poniechajmy rozpamiętywania dziejów tych wypadków, których wspomnienie zaginęło w niepamięci wieków i które uległy skażeniu błędami bałwochwalstwa, a wspomniawszy je tylko pokrótce, przejdźmy do przedstawienia tych rzeczy, których wierna pamięć żyje.

Ziemowit tedy, osiągnąwszy godność ksiązęcą, młodość swą spędzał nie na niedorzecznych rozrywkach, lecz oddając się pracy i służbie rycerskiej, zdobył sobie rozgłos zacności i zaszczytną sławę oraz granice swego księstwa rozszerzył dalej niż ktokolwiek przed nim. Po jego zgonie na jego miejscu zasiadł syn jego, Leszek, który czynami rycerskimi dorównał ojcu w dzielności i odwadze. Po śmierci Leszka nastąpił Ziemomysł, jego syn, który pamięć rodziców potroił i potomstwem, i dostojnością.

Ten zaś Ziemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka, który pierwszy obcym nazwany imieniem, przez 7 lat od urodzenia był ślepy. Gdy zaś dobiegała siódma rocznica jego urodzin, ojciec, zwoławszy wedle zwyczaju zebranie komesów i innych swoich ksiąząt, urządził obfitą i uroczystą ucztę na cześć syna, lecz sam wśród biesiady skrycie z głębi duszy wzdychał z powodu ślepoty chłopaka, pełen boleści i uczucia wstydu. A kiedy inni tańczyli i wedle zwyczaju klaskali w dłonie, radość dosięgła szczytu na wiadomość, że ślepy chłopak odzyskał wzrok. Lecz ojciec nikomu z donoszących mu o tym nie uwierzył, aż matka, powstając od biesiady, podeszła do chłopca i ojcu węzeł niepewności przecięła, pokazując wszystkim siedzącym patrzącego już dobrze chłopaka. Wtedy na koniec doszła do szczytu

wesołość ogólna, gdy chłopak rozpoznał tych, których nigdy nie widział, i tak plamę swej ślepoty zmienił w radość niewypowiedzianą. Wówczas książę Ziemomysł starszych i roztropniejszych, jacy byli, pokrótce wypytuje się, czy nie oznacza jakiejś przepowiedni ślepotą i przewidzenie chłopięcia. Owi zaś tłumaczyli, że ślepotą oznaczała, iż Polska przedtem była tak jakby ślepa, lecz odtąd przez Mieszka ma być oświeconą i wywyższoną ponad sąsiednie narody; tak się też rzecz miała istotnie, choć wówczas inaczej mogło to być rozumianym. Prawdziwie ślepą była przedtem Polska, nie znając ani czci prawdziwego Boga, ani zasad wiary, lecz przez oświeconego cudownie Mieszka sama została oświeconą, bo gdy on przyjął wiarę, lud Polski uratowany został od śmierci w pogaństwie. W stosownym bowiem porządku Bóg najpierw przywrócił wzrok cielesny Mieszkowi, a następnie dodał duchowy, aby przez poznanie rzeczy widzialnych dotarł do pojęcia niewidzialnych i by przez znajomość rzeczy ogarnął wszechmoc ich Stwórcy. Lecz czemuż wyprzedzamy wypadki?... Ziemomysł zatem, dopełniwszy wieku, rozstał się wreszcie ze światem.

Wtedy Mieszko, objąwszy księstwo, zaczął rozwijać zdolności umysłu i siły ciała i coraz częściej wojną nachodzić ludy sąsiednie dookoła. Dotychczas jednak w tak wielkim pogrążony był błędnie pogaństwa, że wedle zwyczaju siedmiu żon zażywał. W końcu zażądał w małżeństwo jednej bardzo dobrej chrześcijanki z Czech, imieniem Dąbrówki. Lecz ona sprzeciwiła się poślubieniu go, jak długo nie zarzuci owego zdrożnego obyczaju i nie przyrzeknie zostać chrześcijaninem. Gdy zaś on na to przystał, że porzuci ów zwyczaj pogański i przyjmie sakramenta wiary chrześcijańskiej, pani owa przybyła do Polski z wielkim przepychem świeckiej i kościelnej okazałości, ale nie pierwszej podzieliła z nim łożo małżeńskie, aż ów, powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim i obrzędami kościelnymi, wyrzekł się błędów pogaństwa i zjednoczył się z matką-Kościółem.

Pierwszy więc książę Polaków Mieszko osiągnął łaskę chrztu za sprawą wiernej żony; sławie jego i chwałę dosyć tego starczy, że za jego czasów i przez niego światło niebiańskie nawiedziło królestwo Polski.

Bardzo ciekawe! - „wiemy” od Galla, jaką śmiercią zginął P0 piel, nie dowiadujemy się natomiast niczego o jego zbrodniach. Za co mianowicie Stwórca pokarał go myszami, i to już po wypędzeniu z państwa, jakby za granicą? Bo chyba nie za brak gościnności w stosunku do dwóch przybyszów (których Gall wcale zresztą aniołami nie nazywa). W przedstawieniu kronikarza Popiel wygląda nawet dość sympatycznie. Jest człowiekiem prostych obyczajów, nie wstydzi się biesiadować u wieśniaka.

Sam Bóg obalił dynastię Popiela i oddał tron Ziemowitowi. Była to więc sprawa bardzo wysokiego rzędu. Między wierszami kroniki tuła się echo przewrotu politycznego.

Zdaniem Jana Czekanowskiego państwo Popiela było szczątkiem, ocalałym na wschodzie bastionem słowiańskiego imperium Połabian, które obejmowało również Wielkopolskę, a zostało zniszczone przez Franków Karola Wielkiego. Najstarsze czaszki ludzkie odkopane w Kruszwicy oraz na Ostrowie Lednickim różnią się typem fizycznym od czerepów okolicznych mieszkańców. Należały bowiem do drużynników z Połabia, stojących załogami we wspomnianych miejscowościach i utrzymujących kraj w posłuchu. Czaszki z wczesnej doby piastowskiej, nawet pochodzące od wielmożów, znalezione w katedrze



gnieźnieńskiej, są autochtoniczne, polańskie. Przewrót, który oddał władzę Ziemowitowi, byłby więc czymś w rodzaju plemiennego powstania Polan przeciwko pobratymcom z zachodu. Tak twierdzi Jan Czekanowski wbrew zdaniu większości naszych historyków.

Gall bardzo pilnie podkreśla chłopskie pochodzenie Piastów. Jeszcze w XII wieku dynastia chciała zatem, aby tak właśnie widziano jej początek. Jakoś to współdźwięczy z teorią profesora Czekanowskiego, z faktem, że typ fizyczny wielmożów piastowskich nie różnił się od pospolitego w kraju Polan. No i z tą niewątpliwą prawdą, że w całej Europie wrogami monarchów byli nie słabi chłopci, lecz możni potomkowie książąt plemiennych. Lud nadawał się na podporę, a nie na niszczyciela tronu.

Ale to jeszcze wielka kwestia, czy Piast naprawdę był tylko chłopem i nie trudnił się niczym oprócz orki. Za Popielidów zbyt głębokich przedziałów społecznych być chyba nie mogło i łatwo przychodziło zatrzeć je całkiem w kronice, jeśli autor tego pragnął. W Polsce nikt nigdy Piastem się później nie nazywał, dynastia - w tych rzeczach, jak się wkrótce przekonamy bardzo czuła - jakoś zapomniała o imieniu własnego założyciela. Uczni dawno już zwrócili uwagę na tę oryginalną okoliczność. Już w roku 1895 Tadeusz Wojciechowski zaproponował tezę, że założyciel dynastii, nazwany przez tradycję Piastem, był piastunem, wychowawcą dzieci książęcych, który przygotował drogę do władzy nie im, lecz własnemu synowi. Tacy ambitni pedagogowie odegrali znaczną rolę w dziejach zarówno Frankonii, jak Rusi. Podobny mechanizm przewrotu mógł działać i w Polsce.

W każdym razie za Bolesława Krzywoustego uchodziło za pewnik, że Piastowie to nie pierwsza dynastia krajowa. Ważna wiadomość, świadcząca o nieustępliwej prawdomówności tradycji. Przecież dworackie pochlebstwo nakazywałoby raczej głoszenie poglądu przeciwnego, że od Piasta zaczęła się historia. Drugi wniosek, nienadający się do kwestionowania: małe początkowo ksiąstewko z czasem rosło. Ziemowit rozszerzył jego granice „dalej niż ktokolwiek przed nim”. Ponieważ był pierwszym z nowej dynastii, więc owo „ktokolwiek” odnosi się do Popielidów. W oczach Galla i jego chlebobawców Popiel był władcą polskim. Nie ma po temu ani cienia wątpliwości. Jeżeli Połabianie istotnie podbili ongi kraj Polan, zapomniano im to. Liczyło się już tylko stworzenie pierwszej organizacji państwowej nad Wartą. Trzecia rzecz — ani cienia aluzji o obcym rzekomo pochodzeniu rodu Piastów. Byłby to niezmiernie oryginalny wypadek, gdyby germańska dynastia zdobywców aż tak starannie charakteryzowała się na polskich kmieci. Normalnie rzecz biorąc, winna by była nimi atawistycznie gardzić, jako podbitym plemieniem niewolników. Gall jest tego samego zdania co Thietmar i ruscy kronikarze (którzy skandynawskie pochodzenie własnych panów aż do przesady podkreślili). Polacy, zwani na wschodzie Lachami podlegali książętom, którzy spomiędzy nich samych wyrosli.

Można by teraz zacząć przytaczać całe opowiadanie Galla o dziejach Polski, twierdząc, że nie jest ono wynikiem studiów archiwalnych, lecz odbiciem wspomnień i opinii mających obieg na początku wieku XII. I to nie tylko w samej Polsce. Bo śmiało przypuszczać wolno, że o takich faktach, jak zjazd gnieźnieński, w Rzymie samym albo na dworze cesarskim można się było wtedy dowiedzieć szczegółów, za których odkrycie dzisiejsi historycy poszliby bosy do Częstochowy w pielgrzymce dziękczynnej. Anonim wiele

o Polsce pewnie wiedział, zanim ją poznał. Zachodzi jednak jakościowa różnica pomiędzy tym, o czym autor tylko usłyszał, a tym, co przeżył jako świadek lub człowiek współczesny wypadkom. Usiłowałem wykazać, że Gall świadomie historię retuszował, pouczając słuchaczy, jak być na przyszłość powinno. Nic nie stało na przeszkodzie pokazaniu, jak w jego czasach zapatrywano się na początki dynastii. Nie należy jednak stawiać na równi obrazu epoki Kazimierza Odnowiciela z relacją o strąceniu Bolesława Śmiałego. Przerzucmy się więc od razu do niej właśnie. Najbardziej tajemniczy i wielkiej tragedii dotyczący fragment kroniki brzmi tak:

Tenże Bolesław wypędził też króla Salomona z Węgier własnymi siłami, a na stolicy osadził Władysława, zarówno okazałej budowy ciała, jak i pełnego bogobojności. Ten Władysław od dzieciństwa chowany był w Polsce i pod względem obyczajów i życia niejako stał się Polakiem. Mówią, że takiego króla nigdy Węgry nie miały ani też już po nim nigdy tak nie obfitowały w plony.

Jak zaś król Bolesław z Polski został wyrzucony, dużo byłoby o tym do opowiadania, lecz to powiedziec wolno, że nie powinien był pomazaniec na pomazańcu jakiegokolwiek grzechu cieleśnie mścić. To bowiem wiele mu zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował, gdy za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. Ani bowiem zdrajcy biskupa nie usprawiedliwiamy, ani króla mszczącego się tak szpetnie nie zalecamy - lecz tu w środku poniechajmy i opowiedzmy, jak został przyjęty na Węgrzech!

Gdy usłyszał Władysław, że Bolesław przybywa, częścią się cieszy z (całej) duszy, częścią pozostaje miejsce gniewu; cieszy się bowiem z przyjęcia brata i przyjaciela, lecz boleje nad tym, że brat (jego) Władysław (Herman) stał się (dlań) wrogiem. Nie przyjmuje go zaś tak, jak każdy zwykł przyjmować obcego lub gościa, lub równy równego, lecz jako rycerz księcia lub księżę króla, lub król cesarza z prawa powinien przyjmować. Bolesław nazywał Władysława „swoim królem”, a Władysław przyznawał, że (istotnie) przez niego został królem uczyniony. Jedno przecież w Bolesławie przypisać należy próżności, co wiele zaszkodziło jego wypróbowanej z dawna zacności: albowiem gdy do obcego królestwa wchodził jako zbieg i gdy zbiega nie chciał słuchać nawet żaden chłop, Władysław, jako mąż unizony, pospieszył wyjść naprzeciw Bolesława i zbliżającego się wyczekiwał go z daleka, zsiadając dla uszanowania z konia. Tymczasem przeciwnie Bolesław nie miał zrozumienia dla uprzejmości łagodnego króla, lecz uniósł się w sercu zgubną pychą i dumą. „Tego oto - powiedział - ucznia wychowałem w Polsce, tego jako króla osadziłem na Węgrzech. Nie godzi się, bym mu ja, jako równemu, cześć okazywał, lecz siedząc na koniu, oddam mu pocałunek, jak któremukolwiek z książąt”. Zauważywszy to, Władysław odczuł dość przykro i zawrócił z drogi, polecił jednakowoż, by mu przez całą ziemię pełniono posługi jak najokazałej. Później jednak zgodnie i po przyjacielsku zeszli się razem z sobą jak bracia. Węgrzy jednak owo zajście głębiej sobie w sercu zapisali, skąd wielką Bolesław na się ściągnął nienawiść Węgrów, i stąd szybciej - jak mówią - ostatni dzień go zaskoczył.

Miał zaś król Bolesław jednego syna, imieniem Mieszka, który nie byłby pod względem zacności niższy od przodków, gdyby zawiść Parek nie przecięła chłopcu nici życia już w dojrzewającym wieku. Owego bowiem chłopaka po śmierci ojca utrzymywał król Węgier

Władysław i kochał go miłością ojcowską jakby syna. Sam zaś chłopiec istotnie wszystkich i Węgrów, i Polaków przewyższał szlachetnymi obyczajami i pięknnością i myśli wszystkich ściagał ku sobie nadzieją przyszłego panowania, czego wyraźne były objawy. Stąd spodobało się stryjowi jego, księciu Władysławowi, odwołać chłopca - pod złą wróżbą - do Polski i ożenić go - za zrządzeniem zawistnych losów! - z ruską dziewczyną. Ożeniony tedy młodzieniaszek gołowasy a piękny tak obyczajnie się prowadził i tak rozumnie, tak przestrzegał starego obyczaju przodków, że cały kraj z dziwną serdecznością upodobał go sobie. Lecz wrogi pomyślności śmiertelników los w boleść zamienił wesele i podciął nadzieję pokładaną w jego zacności, w kwiecie wieku. Mówią bowiem, że pewni rywale, obawiając się, by krzywdy ojca nie pomścił, zabili trucizną chłopaka wielkich zdolności; niektórzy zaś, którzy z nim pili, zaledwie uszli niebezpieczeństwa śmierci. Gdy zaś umarł młodzieńczy Mieszko, cała Polska tak go opłakiwała jak matka śmierć syna jedynaka. I nie tylko ci, którym był znany, lamentowali, lecz owszem i owi, którzy go nigdy nie widzieli, postępowali z płaczem za marami zmarłego. Wieśniacy mianowicie porzucali pług, pasterze trzody, rzemieślnicy swe zajęcia, robotnicy robotę odkładali z bólu za Mieszkiem. Mali również chłopcy i dziewczeczki, nadto niewolnicy i służebnice uczcili pogrzeb Mieszka Izami i płaczem. Na koniec biedna matka, gdy w urnie składano szczątki nieodżałowanego chłopaka, przez godzinę trzymaną była jakby umarła, bez ducha i bez życia, i zaledwie po pogrzebie przez biskupów ocuconą została wachlarzami i zimną wodą. Żadnego też króla lub księcia śmierć nawet u barbarzyńskich ludów nie była tak długą żałobą opłakiwana ani też tak żałośnie nie obchodzi się pogrzebu dostojnych tetrarchów, ani żadnej rocznicy cesarskiej nigdy nie uczczono tak żałobnym śpiewem] Lecz zamilczmy już o smutku za pogrzebanym chłopakiem, a przejdźmy do radosnych nowin o chłopaku mającym panować!

Gdy więc umarł król Bolesław i zgaśli inni jego bracia, panował sam Władysław książę, który pojął za żonę córkę króla czeskiego Wratysława, imieniem Judyta. Ta powiła mu syna Bolesława III, którego dzieje opisać jest właściwą naszą intencją, jak to okaże opowiadanie, które obecnie zaczniemy.

Tyle tylko o wydarzeniach całego dziesięciolecia. Bolesław Śmiały uszedł z Polski w roku 1079, nie wcześniej niż w końcu kwietnia. Zginął na Węgrzech, najpewniej z rąk nasłanych z Polski morderców, w dwa lata później co najwyżej. Nie zdążył w każdym razie rozpocząć żadnej akcji przeciw wrogom, a człowiek tak energiczny nie poddałby się bez walki. Niewykluczone, że po wygnaniu z Polski pożył już bardzo krótko. Królewicz Mieszko powrócił do Krakowa w roku 1086. Ożeniono go w roku 1088, a w 1089 otruto.

Przyszły Krzywousty żył już wtedy na świecie, który ujrzał 20 sierpnia 1085 roku. Bardzo prawdopodobne, pewne niemal, że narodziny spadkobiercy popchnęły ojca, Władysława Hermana, do oczyszczenia mu drogi. Współzawodnik - znacznie starszy brat stryjeczny, dziedzic korony! - usunięty z niej został, kiedy Bolesław miał cztery lata.

Wszystkie wątpliwości współczesnych nam historyków nie zdołały jednak, moim oczywiście zdaniem, obalić twierdzenia Tadeusza Wojciechowskiego, że Gall przybył do Polski z Węgier razem z powracającym Mieszkiem, jako jego wychowawca. Kwestia oczywiście, czy przyjechał już na stałe. Słuchaliśmy tonu opowiadania o zgonie i pogrzebie

królewicza. Tak nie pisze człowiek, który tyle tylko, że wie od innych. Nie rozpacza aż do tego stopnia wraz z „biedną matką”. Nie upamiętnia szczegółów o jej omdleniu w chwili wkładania ciała do trumny, o biskupich wachlarzach i zimnej wodzie. Zwłaszcza że służba u takiego, któremu ów zgon utorował drogę do władzy, kazałaby... zapomnieć przynajmniej o detalach.

Uderzającą cechą kroniki Galla jest szacunek dla tradycji, drogiej widać ówczesnym Polakom. Jak usiłowałem wykazać, nie brakuje w książce retuszów i przemilczeń. Głucho w niej nawet o koronacji Bolesława Śmiałego, czyli o fakcie, który wielu musiało pamiętać (sam Gall by doskonale pamiętał, gdyby w roku 1076 bawił w Polsce). Przemilczeniu uległy sprawy związane z polityką międzynarodową. Łatwo więc wskazać motyw praktyczny, jakim kierował się pisarz-publicysta. Ale przed chwilą czytaliśmy jego własne słowa: „poniechajmy rozpamiętywania dziejów tych wypadków, których wspomnienie zginęło w niepamięci wieków i które skazane zostały błędami bałwochwalstwa”... Zakonnik chrześcijański i cudzoziemiec, myśliciel przeniknięty duchem krucjat na pewno wolałby nie mówić o dziejach książąt pogańskich. Wspomnił ich jednak. Streszczał się bardzo, ku największej naszej szkodzi, ale wspomniął. A cała historia upadku Bolesława Śmiałego i skazania biskupa? Przecież to był temat w sam raz nadający się do pominięcia. Kronikarz dokonał wielkiego wysiłku, przywołał na pomoc cały swój kunszt pisania między wierszami — a był w tej sztuce nie lada jakim biegłym! - okrył prawdę mgłami niedomówień, ale jej nie ukrył. Jedno tylko utopił w milczeniu, pewnie nie bez pasji - imię skazanego biskupa. Zaraz potem ważył się na rzeczy tak ryzykowne, jak wysławianie cnót ostatniego przedstawiciela pierworodnej linii Piastów i wizerunek rozpaczy ogółu po jej wy-gaśnięciu. Tak postąpił dworzanin Krzywoustego, juniora...

Jakie motywy mogły nim kierować w danym wypadku? Ryzykuję twierdzenie, że oprócz odwagi osobistej i prawdomówności w grę wchodził szacunek względem krajowej opinii publicznej. Wspomnienia o Prapolsce, o Bolesławie Śmiałym i królewskiej gałęzi dynastii musiały być drogie ogółowi. Sens praktyczny nakazywał oględność, kiedy się poruszało sprawę stosunków z cesarstwem. Ludzie czynni w polityce potrafili się z tym godzić, chociaż malkontentów na pewno nie brakło. Niejednego świadka koronacji Śmiałego musiał gniewać brak wzmianki o niej. Nie wyrażono by jednak zgody na skreślanie z historii całych jej rozdziałów, miłowanych jako chwalebne lub tragiczne, a przez to tym głębiej wzruszające. Hymny do Krzywoustego były dopuszczalne, bohater kroniki zasługiwał na pochwały, dopiero co wojnę wygrał. Ale dworackie pomiatanie jego poprzednikami, kopanie upadłej wielkości - takie praktyki uśmierciłyby książkę. Rozumiał to publicysta, wykształcony na Zachodzie.

Pierwsza nasza kronika zdaje się dobrze świadczyć o jej krajowych odbiorcach. Niezależna opinia publiczna musiała w Polsce istnieć. Liczył się z nią każdy, kto chciał działać. Same manewry pisarskie Galla dowodzą, że opinia ta wcale nie we wszystkim była jednolita. W przeciwnym razie kronikarz nie scharakteryzowałby postępu Krzywoustego ze Zbigniewem jajco „zbrodni”, obmyślonej przez „ludzi mądrych”. I nie denuncjowałby przeciwników dziejopisarstwa świeckiego przed jego zwolennikami. Bo przecież nie jeden

tylko Krzywousty zaliczał się do tych ostatnich. A ród Awdańców, z którego pochodził dobrodziej Anonima, kanclerz Michał?

Pierwsza nasza kronika uczyła swych odbiorców rzeczy bardzo pożytecznych. Wiedzy o przeszłości, rachunku politycznego, lecz i czegoś ponadto. Autor nie schował pod korzec spraw kłopotliwych i niebezpiecznych. Dał utrwalony pismem przykład odwagi i swobody myśli. Lektura jego książki mogła tylko sprzyjać dalszemu rozwojowi tego, co dziś nazywamy niezawisłą opinią publiczną.

\*

Właściwy bohater kroniki, Bolesław Krzywousty, pojawia się dopiero w księdze drugiej. Ostatnie stronicie pierwszej zawierają tylko opis niecodziennych wydarzeń, jakie poprzedziły jego narodziny.

Władysław Herman i Judyta z rodu Przemyślidów (poślubieni około 1080) długo nie mogli doczekać się potomstwa. Chcąc los odmienić, modlili się, uprawiali posty i rozdawali jałmużny.

Gdy tak oni bez przerwy tym czynnościom się oddawali, przystąpił do nich Franko, polski [tj. poznański] biskup, niosąc zbawienną radę w te słowa: „Jeżeli jak najpobożniej wypełnicie, co wam powiem, to niewątpliwie pragnienie wasze się wam spełni”. Owi zaś w takiej sprawie jak najchętniej słuchając biskupa i obiecując, że wszystko gotowi uczynić w nadziei uzyskania potomstwa, upraszali biskupa, by czym prędzej sprawę przedstawił. A na to biskup rzecze:

„Jest pewien święty w granicach Galii ku południowi około Marsylii gdzie Rodan wpada do morza - ziemia zwie się Prowansją, a święty zowie się Idzi - który tak wielkie ma wobec Boga zasługi, że każdy człowiek, który z pobożnością swą ku niemu się zwraca i o nim pamięta, jeżeli o coś go poprosi, osiągnie to z całą pewnością. Zatem na podobieństwo chłopca sporządźcie posąg ze złota, przygotujcie dary królewskie i pospieszcie je posłać świętemu Idziemiu ". Bez zwłoki sporządzają posązek chłopca z kielichem z najczystsze go złota; przygotowują złoto, srebro, paliusze, święte szaty, które miały być odniesione przez zaufanych posłów do Prowansji, z listem następującej treści;

„Władysław, z laski Boga książę Polski, i Judyta, prawa jego małżonka, O(dylonowi), czci godnemu opatowi św. Idziego, i wszystkim braciom przesyłają posłuszne wyrazy najgłębszej czci. Dowiedziawszy się, że św. Idzi góruje (nad innymi) godnością i wpływowymi zasługami swej pobożności i że ochotnie przychodzi z pomocą wiernym na podstawie mocy z nieba sobie danej, ofiarujemy mu w nadziei potomstwa dary naszej pobożności i uniżenie błagamy o wasze święte modlitwy na pomoc naszej prośbie".

Przeczytawszy tedy list i odebrawszy dary, opat i braciszki posyłającemu dary przesłali podziękowanie i trzydniowy odprawili post z litaniami i modlitwami, błagając wszechmocny majestat Boży, ażeby przychylił się do pobożnej prośby wiernych, którzy obecnie mu tak wielkie dary przysłali, a wiele więcej jeszcze ślubowali, skąd chwałę Swego imienia podniesie u ludów nieznanych i sławę Swego sługi, św. Idziego, rozszerzy daleko i

szeroko. Żywo! słuگو Boży, orędowniku tej sprawy, spełnij, czego żądają wota twoich sług! Za chłopca daj chłopca, za fałszywego daj prawdziwego! Stwórz cielesnego, zachowując sobie złotego! Cóż więcej? Jeszcze postu mnisi w Prowansji nie dopełnili, a już matka w Polsce doznała radości poczęcia syna! Jeszcze posłowie nie odchodzili stamtąd, a już mnisi przepowiadali, że pani ich już poczęła. Dlatego wysłańcy tym żywiej i ochoczej wracają do domu, przekonawszy się, iż wróżba mnichów się spełniła, cieszą się z poczęcia syna, lecz radość ich jeszcze większą będzie, gdy się urodzi.

Nie jest wykluczone, że Krzywousty nazywał się właściwie Bolesław Idzi. W każdym razie nie wątpił o czynnej roli świętego przy swych własnych narodzinach. Klasztor w Saint-Gilles aż do końca XVII wieku zdołał przechować dokument Bolesława, świadczący o pamięci i wdzięczności. Utwory hagiograficzne, opiewające cuda patrona Saint-Gilles, mówiły o darach posyłanych nad Rodan przez polskiego księcia. W skarbcu konwentu przechowywano złoty posążek dziecka, ale mnisi rychło zapomnieli, skąd pochodził.

Gall ani odrobinę nie przesadził, kiedy wymieniał bogate podarki Władysława Hermana dla Saint-Gilles. Odkąd odkryto skarby tynieckie, znikły ostatnie rozumne powody do podejrzeń. Adam Bochnak, który w I tomie Historii sztuki polskiej opisał rzemiosło artystyczne za pierwszych Piastów, powołał się na przytoczony fragment kroniki i dorzucił wywód naukowy, stanowczo wart przytoczenia. Bolesław Krzywousty szedł w ślady ojca:

słał dary do klasztoru w Zwiefalten nad Dunajem: złoto, srebro i tkaniny, jedną z nich wyszywaną w białe woły. Szczególną dobrodziejką tego klasztoru była jego małżonka, która wysłała nad Dunaj sto funtów srebra, skrzynkę z kości słoniowej nabijaną złotem, złoty krzyż ważący z górą cztery grzywny, krzyż srebrny pozłacany, przepiękne naczynie kryształowe, psalterz pisany złotem, przede wszystkim zaś liczne złotem przetykane paramenty kościelne, stuły, alby, swój płaszcz czerwony, a także, jak zapisano, „inny płaszcz na szatę mszalną, cały przetykany złotem, obramowany złotymi naszywkami i u dołu obszyty czerwonym obramieniem, który według zwyczaju tego ludu [polskiego] zdobiony jest złotymi gwiazdami". Znalazły się wśród tych darów kobierce, różne tkaniny, zasłony zdobne w lwy i liście, chusty, pasy, dalmatyki i rękawice. Przykład księżnej oddziaływał widać na jej dworki, skoro jedna z nich, Bilihida, ofiarowała klasztorowi krzyż srebrny, wysadzany klejnotami, dwa kielichy i różne tkaniny.

Tak, Władysław Herman na pewno bez żalu rozstał się z dwoma krzyżami złotymi, które odesłał klasztorowi w Bambergu. Zbyttnio się przez ten gest nie zubożył, a zyskał pewnienna opinii. Gall zaś był rzetelnym historykiem, kiedy pokazywał ówczesną Polskę jako kraj wcale niepodły.

Zaczyna się księga druga, którą autor poświęcił Pawłowi „z łaski Boga biskupowi polskiemu" oraz kanclerzowi Michałowi z rodu Awdańców.

Urodził się więc Bolesław w uroczystość św. Stefana króla, matka zaś jego, zaniemógłszy następnie, umarła w noc Bożego Narodzenia. Niewiasta ta pełniła dzieła miłosierdzia na rzecz biednych i więźniów, szczególnie bezpośrednio przed śmiercią, i wielu chrześcijan wykupywała własnymi środkami z niewoli od Żydów. Po jej śmierci księżę

Władysław, że był człowiekiem ociężałym i chorym na nogi, a miał małego chłopaka, pojął w małżeństwo siostrę cesarza Henryka III, poprzednio żonę Salomona, króla Węgier, z której nie spłodził żadnego syna, lecz trzy córki; jedna z nich zaślubiła męża na Rusi, jedna zaś głowę swą przykryła świętym welonem, ostatnią wreszcie poślubił ktoś z jej rodu. Lecz by ojca tak wielkiego dziecięcia nie zbywać pustą gadaniną, przytoczymy na jego pochwałę niektóre z jego rycerskich dzieł.

Książę zatem Polaków, Władysław, złączony z cesarzem rzymskim przez swój związek małżeński, odniósł triumf nad pospieszającymi swoim na pomoc Pomorzanami, gród ich obiegłszy, i zuchwałość ich zmiażdżył pod swymi stopami, a radosne to zwycięstwo przyniósł dzień Wniebowzięcia Bogarodzicy. Po zwyciężeniu ich zagarnął zbrojnie grody ich i miasta wewnątrz kraju i nad morzem i ustanowił własnych rządców i komesów w głównych i obronniejszych miejscach. A ponieważ wiarołomstwu pogan w ogóle chciał odebrać nadzieję buntu, nakazał swym rządom w oznaczonym dniu i w określonej godzinie spalić wszystkie warownie w głębi kraju. Tak się też i stało. Ani tak jednakże nie można było okiełznać buntowniczego ludu. Albowiem tych rządców, których nad nimi ustanowił Sieciech, który wówczas był wojewodą, częściowo za ich nadużycia (Pomorzanie) wymordowali, inni zaś, szlachetniejszego pochodzenia, rozsądniej i godniej się zachowujący, zaledwie uciekli za przyzwoleniem przyjaciół.

Spłonął wtedy i Gdańsk, jako miasto istniejący już od wieku przeszło, a nazywający się tak samo jak dziś. Pod warstwą spalenizny pozostały w ziemi i wśród szczątków drewnianych budowli przedmioty pogubione dawniej przez mieszkańców albo porzucone w pośpiechu podczas ucieczki przed pożarem. Archeologowie wydobyli ich mnóstwo, odczytując w ten sposób społeczne i gospodarcze dzieje grodu. Żyli w nim wolni rzemieślnicy, kupcy i rybacy. Miejscowe rękodzieło rozwinięte było nad podziw. Oprócz jego wyrobów właściciele drewnianych domostw gdańskich posiadali również jedwabne tkaniny z Persji i Bizancjum, brokaty, szkło z Nadrenii, skandynawskie okucia, naczynia z Kijowa i Kolonii, pieniądze, kryształ górski, krwawniki. Bogactwo dworu książęcego było więc zjawiskiem naturalnym. Dynastia nie wysysała widać z ludu wszystkich soków, aczkolwiek niewątpliwie nakładała nań duże ciężary.

Władysława Hermana, który spalił Gdańsk i inne grody pomorskie, nie powinniśmy uważać za wyjątkowego potwora. W średniowieczu wszelkie wojny prowadzono w sposób według dzisiejszych pojęć zbrodniczy. Zdaniem Stanisława Kętrzyńskiego Słowianie byli w tej mierze gorsi, powiedzmy oględnie: jeszcze gorsi od rycerstwa zachodniego. Najsrożej poczynali sobie zawsze Czesi. Polacy ustępowali im tylko odrobinę. Uczony przytoczył słowa niemieckiego kronikarza Helmolda, piszącego w drugiej połowie XII wieku.

Taka sama jest broń u Polaków i Czechów i podobny sposób prowadzenia wojny. Ile razy bowiem powoła się ich do wojny poza granice kraju, dzielni są w spotkaniu, lecz niezmiernie okrutni w łupieży i mordach; nie oszczędzają ni klasztorów, ni kościołów lub cmentarzy. Lecz nie inaczej ruszają do wojny za granicę, jak pod warunkiem, że bogactwa kryjące się pod osłoną miejsc świętych zostaną im na łup wydane. Stąd pochodzi, że dla

żądzy zdobyczy obchodzą się nieraz ze sprzymierzeńcami jak z wrogiem, i dlatego tylko bardzo rzadko bywają wzywani o pomoc w wojennej potrzebie.

Zapamiętajmy sobie opinię świadka. Wkrótce bowiem w ślad za Gallem, zaczniemy zwiedzać pobojowiska Pomorza kraju bogatego i naówczas jeszcze pogańskiego. Zdobywcy nie znali w nim żadnego, nawet teoretycznego hamulca. Misjonarze spotkali raz nad Odrą człowieka, który od kilku lat ani razu nie jadł chleba, żywiąc się tym, co ubił w lesie lub ułowił w rzece. Mimowolny pustelnik schronił się w puszczy przed drużynami Bolesława Krzywoustego.

Zdarzyło się to w czasach, których kronika Galla już nie obejmuje. Na razie zaś surowe metody i posiłki czeskie w niczym nie pomogły Władysławowi Hermanowi. Polska utraciła Pomorze. Granica północna przebiegała wzdłuż Noteci.

Odzyskać wybrzeże było tym trudniej, że nastąpiły czasy krytyczne. Tak wyglądało, jakby się miała dopełnić ostateczna katastrofa dynastii, która w roku 1079 straciła koronę i pierwotną odrośl. Ród Piastów mógł nie doczekać początków nadchodzącego XII stulecia.

Gdzieś od roku 1087 (wrażać się należy oględnie, bo za absolutną ścisłość dat ręczyć nie sposób) niezdolny i słabowity Władysław Herman był jedynym w kraju dorosłym przedstawicielem dynastii. W owych czasach czternastoletni chłopak uchodził za dojrzałego, ale pierwotny syn książęcy usunięty został z Polski w odległą stronę. Gall powie nam za chwilę, że wysłano go do Saksonii na naukę. Nie należy temu wierzyć. Żeński klasztor mógł przyjąć młodego mężczyznę tylko na kapelana. Przełożoną owego zgromadzenia była rodzona siostra drugiej; a właściwie trzeciej żony Władysława Hermana, Judyty Marii, dożywotnio noszącej tytuł królowej - po pierwszym małżonku, Salomonie węgierskim.

Młodego księcia wyprawiono więc z Polski do Niemiec, pod nadzór. Wcześniej jeszcze postanowiono odsunąć go od dziedzictwa władzy. Kazano mu uczyć się w szkole katedralnej krakowskiej - istniała więc taka w XI wieku! - do Saksonii wysłano już jako księdza.

Gall powiada, że zrodzony był z „nałożnicy” i dlatego nie posiadał prawa do tronu. Wersja ta przyjęła się w naszej literaturze, zwłaszcza pięknej. Istnieje jednak inny pogląd. Księcia odsunęto, kiedy narodził się jego młodszy brat, przyszyły Krzywousty, którego matka pochodziła z rodziny panującej w Czechach (i po upadku Śmiałego sprawującej nad Polską coś w rodzaju zwierzchnictwa). Dopiero wtedy zapadła decyzja przeznaczenia dotychczasowego następcy na księdza. Tak zapewne było, ale jeszcze jedna okoliczność zasługuje na uwagę, gdyż zdaje się rzucać na sprawę oryginalne światło i dotyczy osobliwych zwyczajów dynastii słowiańskich. Chodzi o imię człowieka, który nas tu interesuje. Nazywał się Zbigniew.

Aż do końca doby piastowskiej żaden polski magnat czy rycerz, że się już przemilczy mieszczan i chłopów, nie śmiał nazwać syna Ziemowitem, Leszkiem, Ziomomysłem, Mieszkiem, Bolesławem, Kazimierzem, Władysławem. Tylko członkowie domu panującego mogli nosić te imiona. Nadanie któregokolwiek z nich to jakby magiczny obrzęd pasowania



na władcę. Rodziny bywały liczne i nie każdy z młodych książąt mógł się spodziewać tronu. Ale każdy nosiciel książęcego imienia był zdolny na nim zasiąść. Oto synowie Kazimierza Odnowiciela - Bolesław, Władysław, Mieszko i Otto. A teraz liczne potomstwo męskie Krzywoustego - Władysław, Leszek, Kazimierz, Bolesław, Mieszko, Henryk, Kazimierz. Dwa imiona niepiastowskie, lecz za to cesarskie - Otto i Henryk. W dodatku obaj ich właściciele to synowie z szarego końca, najmłodszy. Taki stan rzeczy regułę raczej podkreśla, niż przekreśla.

Pierworodny Chrobrego, zrodzony z Węgierki, wkrótce odesłanej ojcu, nazywał się Bezprym. Pierworodny Władysława Hermana, jakoby to syn „nałożnicy” - Zbigniew. Chrobry na pewno wykluczył Bezpryma od dziedziczenia korony. W tym wypadku zgodność z regułą jest chyba całkowita. Czyżby i Władysław Herman od razu zastosował magię imion i zaznaczył przez to, że nie uznaje w Zbigniewie swego spadkobiercy?

Mogło tak być. Lecz nie zapominajmy o zwyczajnych względach życiowych, które też potrafią czasem wyjaśniać pozorne tajemnice. Zbigniew urodził się zapewne około roku 1073. Panował wtedy Bolesław Śmiały, mający już prawowitego dziedzica imieniem Mieszko. Władysław Herman, młodszy brat władcy człowiek bezwolny i dziwnie bezambitny, nie przewidywał pewnie własnej kariery i nie brał jej w rachubę. Przecież Bolesław Śmiały w chwili swej katastrofy liczył lat trzydzieści siedem. Nadanie synowi pospolitego, niedynastycznego imienia mogło być ze strony juniora gwarancją lojalności wobec starszego i strasznego brata. Bolesław Śmiały sam mógł jej zażądać. Jego bezwzględność i pycha nie znały granic.

Na to wygląda, że spiskujący przeciw Śmiałemu magnaci wyciągnęli Władysława z cienia i wpełnęli na tron. Nie był chyba inicjatorem przewrotu i królobójstwa człowiek, który w przyszłości kurczowo trzymał się poły kochanka własnej żony i z zadziwiającą wiernością współdziałał z nim przeciwko rodzonym swym synom. Tak czy inaczej, Władysław Herman w roku 1079 zasiadł na tronie książęcym. Spadkobierca o niedynastycznym imieniu nie przydawał blasku jego panowaniu i tak niesławnemu. Ożenek z czeską księżniczką i narodziny Krzywoustego pozwoliły roić o przekreśleniu przeszłości. Królewicza Mieszka otruto, Zbigniewa postrzyżono na księdza, a matkę jego być może wtedy właśnie zaczęto ogłaszać nałożnicą.

Ale przeszłość skreślić się nie pozwoliła. Saski klasztor okazał się schowkiem zgoła niedostatecznym. Działy w Polsce rozmaite siły polityczne, istniało społeczeństwo. Zaraz zobaczymy, że nie tylko magnaci pragnęli i mogli wpływać na sprawy państwa.

A więc Zbigniew, przez księcia Władysława zrodzony z nałożnicy, w mieście Krakowie, dojrzały już wiekiem, oddany został na naukę, a macocha jego odesłała go do Saksonii, do klasztoru zakonnicy, celem dalszego uczenia się. W tym czasie był komesem pałacowym Sieciech, mąż wprawdzie rozumny, szlachetnego rodu i piękny, lecz zaślepiiony chciwością; wiele też popełniał on rzeczy okrutnych i nie do zniesienia. Jednych mianowicie z błahego powodu zaprzedawał w niewolę, innych z kraju wypędzał, ludzi niskiego stanu wynosił nad szlachetnie urodzonych. Stąd poszło, że wielu z własnej woli, bez przymusu, uciekało z kraju, gdyż obawiali się, że doznają bez własnej winy tegoż samego losu. Lecz gdy

przedtem ci zbiegowie błakali się w różnych stronach, teraz za radą księcia Brzetysława gromadzą się w Czechach. I tak za chytrą doradą Czechów ugodzili oni za zapłatę pewnych ludzi, którzy po kryjomu Zbigniewa wydobyli z klasztoru zakonnicy. Odzyskawszy więc Zbigniewa, emigranci zgromadzeni w Czechach posłali do kasztelana wrocławskiego, imieniem Magnusa, poselstwo w te słowa: „Jakkolwiek bądź my sami wprowadzicie, komesie Magnusie, cierpimy prześladowanie od Sieciecha, rzućni na tułaczkę, lecz tobie, Magnusie, żałownie współczujemy, któremu nazwa księstwa raczej na hańbę wychodzi niż na sławę, gdy trudy związane z zaszczytem ponosisz, lecz samego zaszczytu nie masz, nie ośmielając się rozkazywać rządcom wyznaczonym przez Sieciecha. Lecz jeżelibyś jarzmo niewoli chciał zrzucić z karku, pośpieszaj przyjąć pod tarczę swej obrony chłopaka, którego mamy wśród siebie”. A to wszystko podsuwał książę czeski, który chętnie siał niezgodę między Polakami. Usłyszawszy to, Magnus długo zrazu wahał się, lecz zasięgnąwszy rady przedniej szlachy i uznawszy ją, przychylił się do ich słów, przyjmując Zbigniewa. Zasmucił się tym faktem ojciec jego Władysław, lecz Sieciech z królową o wiele więcej się przerazili. Posłali więc do Magnusa i magnatów wrocławskiej ziemi posła, dowiadując się, co by to miało znaczyć, że Zbigniewa z emigrantami bez pozwolenia ojca przyjęli, czy więc chcą być buntownikami, czy też zachować księciu posłuszeństwo. Na to wrocławianie jednomyślnie odpowiedzieli, że nie wydali kraju Czechom ani jakimkolwiek obcym narodom, lecz przyjęli syna księcia pana i własnych uchodźców, sami zaś chcą księciu panu i prawemu jego synowi, Bolesławowi, być wiernie posłusznymi we wszystkim i pod każdym względem, lecz pragną Sieciechowi i jego złym postępkom przeciwdziałać wszelkimi sposobami. Lud zaś chciał posłańca ukamienować, ponieważ fałszywymi wykrętami bronił strony Sieciecha.

Z tego powodu wielce wzburzony Władysław i nadmiernym gniewem rozpalony Sieciech wezwali sobie na pomoc króla Węgier Władysława przeciw wrocławianom i księciu czeskiemu Brzetysławowi, skąd więcej hańby i szkody odnieśli niż sławy i zysku. Albowiem Sieciecha uwięzionego byłby król Władysław z sobą zabrał na Węgry, gdyby ten że na swe szczęście nie uciekł wraz z malutkim Bolesławem. Gdy zaś niczego zbrojnie przeciw wrocławianom wskórać nie mogli, ponieważ swoi przeciw swoim wojny nie chcieli prowadzić, wbrew własnej woli zawarł ojciec pokój z synem i wtedy to po raz pierwszy nazwał go swoim synem. Wróciwszy tymczasem z Polski, dokąd był uciekł, nastawał Sieciech chytrze na znaczniejszych spośród nich obietnicami i darami, i powoli ich nagiął na swoją stronę. W końcu zaś, po pozyskaniu przeważnej ich części, książę Władysław z wojskiem podstąpił pod miasto Wrocław, a już dzierżył oddane sobie wokoło grody; Zbigniew zaś, widząc, że wewnątrz grodu i zewnątrz odpadli odeń przywódcy, rozumiejąc, że niebezpieczną było rzeczą buntować się przeciw władzy, zwątpiwszy w wierność pospólstwa i we własne życie, w nocy zbiegł i wśród ucieczki wkroczył do grodu Kruszwicy, bogatego w rycerstwo, przyjęty chętnie przez mieszkańców.

Ojciec wszakże, bolejąc, że Zbigniew tak bezkarnie uszedł, oraz że go kruszwiczanie przyjęli, występując w ten sposób przeciw niemu samemu, z tymże samym wojskiem udał się w pościg za uciekającym Zbigniewem i z wszystkimi swymi siłami podstępnie pod gród kruszwicki. Zbigniew zaś, przyzwawszy na pomoc duże siły pogan i mając siedm szyków kruszwiczów, wyszedł z grodu i stoczył walkę z ojcem; lecz Sprawiedliwy Sędzia rozsądził

sprawę między ojcem i synem. Była to bowiem wojna gorzej niż domowa, gdzie syn przeciw ojcu, a brat przeciw bratu wznosił zbrodniczy oręż. Tam też - wierzę w to - nieszczęsny Zbigniew zasłużył na klątwę ojcowską, która go czekała w przyszłości; tam też Bóg Wszechmogący księciu Władysławowi tak wielkie okazał miłosierdzie, że wytepił nieprzeliczone mnóstwo przeciwników, a z jego żołnierzy poległo tylko bardzo niewiele. Tak wiele zaś rozlano tam ludzkiej krwi i taka masa trupów wpadła do przyległego grodowi jeziora, że od tego czasu wzdrygał się każdy dobry chrześcijanin jeść ryby z owej wody. W ten sposób Kruszwica, opływająca przedtem w bogactwa i rycerstwo, doprowadzona została prawie do wyglądu pustkowia. Zbigniew zaś, ocalony z nieliczną garstką, uciekając do grodu, nie był pewien, czy życie straci, czy który z członków. Atoli ojciec, nie mszcząc głupoty młodzieńczej, by w zwątpieniu rozpaczliwym nie przystał do pogan lub (innych) obcych ludów, skąd by mogło większe zagrozić niebezpieczeństwo, udzieliwszy mu na żądanie gwarancji bezpieczeństwa życia i członków, zabrał go z sobą na Mazowsze i tam go w więzieniu w grodzie Sieciecha przez pewien czas poddał skrusze. Później zaś przy konsekracji gnieźnieńskiego kościoła katedralnego za wstawieniem się biskupów i możnych przyzywał go do siebie, i za ich prośbami odzyskał Zbigniew łaskę, którą utracił.

Zbigniew wystąpił przeciwko ojcu w roku 1093, więzienie opuścił w 1097. Władysław Herman miał wtedy około pięćdziesięciu czterech lat, co bardzo ważne. Współcześni mogli się już spodziewać rychłej zmiany na tronie, bo przekroczone półwiecze znaczyło dużo, bez porównania więcej niż dziś (mało który z Piastów przekroczył sześćdziesiątkę. Nie dociągnął do niej Chrobry ani Krzywousty).

Szczególną cechą pisarstwa Galla jest dyskrecja w sprawach drażliwych. Pod tym względem nasz kronikarz różni się jaskrawo od Thietmara z jednej, a od dziejopisów ruskich z drugiej strony, którzy kwestie łoża wywlekali na światło bez ceremonii. Czuje się po prostu człowieka z innej formacji kulturalnej. Tym bardziej to uderzające, że średniowiecze było w wiadomym względzie wcale liberalne (dopiero doba przewagi mieszczaństwa umieściła tak zwaną rozpustę wśród grzechów naprawdę głównych). Widocznie Anonim, o którego życiu prywatnym nic nie wiemy, babrania się w cudzych intymnościach nie lubił. Był zresztą mózgiem na wskroś politycznym, a w danym wypadku ta okoliczność mocno ważyła.

Krzywousty nie mógł mile wspominać macochy. Nienawidził raczej jej pamięci. Każdy politycznie myślący człowiek wie jednak, że skandale małżeńskie wśród rządzących degradują moralnie niekonkretnych winowajców, lecz przede wszystkim samą instytucję władzy w danej epoce istniejącą, ośmieszają ją. W dodatku to wszystko, co Gall potraktował z zadziwiającą oględnością dotyczyło Władysława Hermana, ojca Krzywoustego.

„Królowa i Sieciech” - tyle tylko czytamy u Anonima, i to rzadko. Lecz wszystko, co wiemy, wystarcza, by uznać ich za parę kochanków. Kronikarze niemieccy nie krępowali się wcale bez ogródek opowiedzieli o wcześniejszym, aż nazbyt swobodnym trybie życia Judyty Marii. To się na pewno nie zmieniło w Polsce. Gall dyskretnie naszkicował sylwetę partnera królowej. Nie omieszkał napomknąć o jego urodzie. Za chwilę zapoznamy się z dziwną rolą Władysława Hermana w owym trójkącie małżeńskim. Książę z maniakalnym, może z tajemniczym uporem nie chciał go złamać, chociaż mógł. Związek Judyty z Sieciechem

hańbił go, zagrażał nawet jego życiu, bo tamta para najpewniej czekała na jego zgon, ale Władysław nie przeszedł na stronę synów. Uciekł po nocy z ich obozu.

Wątpić nie warto, bo pomimo dyskrecji autora kronika Galla wypowiada się dość wyraźnie. Sieciech dążył do zagarnięcia władzy, chciał usunąć Piastów. Działał w porozumieniu z Judytą, to fakt. Ale powszechnie przyjęte przypuszczenie, że zmierzał do ożenku z królową po śmierci Władysława, może być mylne. Współdziałał z nią — na razie. Pragnął chyba stać się założycielem nowej dynastii, a w tym względzie słabe widoki rokowała niewiasta zbliżająca się do pięćdziesiątki. W roku 1093, kiedy Zbigniew po raz pierwszy wystąpił przeciwko ojcu, Judyta Maria liczyła sobie lat czterdzieści sześć. Była dla Sieciecha cennym sojusznikiem... po drodze.

Na razie wojewoda wdawał się z podstarzałą kobietą, osłaniał jej męża i młodszego z pasierbów, ośmioletniego chłopca. Bo na razie jego głównym przeciwnikiem był dwudziestoletni Zbigniew. Sieciech musiał być politykiem z krwi i kości. Chciał iść naprzód nie inaczej jak etapami, jeśli wolno użyć terminologii XX wieku.

Niełatwo było jednak w Polsce ówczesnej w ogóle zbliżyć się do wiadomego celu. Istniało społeczeństwo. Mieszkańcy Wrocławia, a pewnie i całego Śląska, opowiedzieli się przeciwko wojewodzie, więc de facto po stronie dotychczasowej dynastii. Władysław Herman i Sieciech ruszyli na nich z drużynami innych dzielnic, lecz niczego „wskórać nie mogli, ponieważ sami przeciw swoim wojny nie chcieli prowadzić”. Ileż znaczenia ma ta wiadomość, tym bardziej cenna, że rzucona jakby od niechcenia, zawarta w kilku wyrazach! Przecież świadczy ona o spoistości państwa Piastów. Śląsk, region najpóźniej, bo dopiero za Mieszka I przyłączony, zaczął oto grać ciekawą rolę polityczną. Wystąpił w roli obrońcy rodu własnych zdobywców. Rycerstwo z innych dzielnic poszło pod Wrocław bez zapału, poczuwało się do wspólnoty z nim. Zamęt, jaki ogarnął wtedy Polskę, szalał na szczytach hierarchii. Na dole ład się trzymał. Ogół pragnął przywrócić jego pełnię.

Oprócz społeczeństwa istniał sprzymierzeniec. Król Węgier, przyzwany przez Hermana na pomoc, to św. Władysław. Tak, ten sam! Człowiek urodzony w Polsce, „pod względem wychowania i obyczajów” prawie Polak, dawny przyjaciel Bolesława Śmiałego. Przeszedł z „pomocą”, Wrocławia nie zdobył, ale uwięził Sieciecha, który zdołał jakoś wyrwać się, uciec do Wielkopolski (w charakterystyczny sposób nazwanej przez Galla „Polską”) i zabrać ze sobą małego Bolesława, pewnie jako coś w rodzaju zakładnika.

Był rok 1093. Czternaście lat zaledwie minęło od upadku króla Bolesława Śmiałego, a cztery tylko od gwałtownej śmierci jego syna, królewicza Mieszka. Pod Wrocławiem musiało się odezwać echo tych tragedii. Władysław węgierski nie zapomniał. Sieciech, którego ujął i chciał wywlec z Polski, na pewno maczał palce w tamtych sprawach, to znaczy w zdradzie i dwu morderstwach. Wspólnictwo w zbrodniach - oto tajemniczy czynnik, który przykuwał Władysława Hermana do osoby wojewody Sieciecha. Słaby, truchlejący przed gniewnym społeczeństwem

przestępca trzymał się kurczowo poły przestępcy z charakterem. Stary i schorowany godził się na wszystko, nawet na rolę zdradzanego męża, byle nie zdawać rachunku, byle za plecami tamtego jakoś dociągnąć końca.

Nie zgodził się jednak wydać syna na kaźń, chociaż według prawa należała się Zbigniewowi ta sama kara, która spadła kiedyś na biskupa Stanisława. By nie przeczernić obrazu, zgódźmy się, że książę nie pragnął rozlewu własnej przecie krwi. Lecz nie zapomnijmy, że na pewno nie chcieli tego biskupi oraz możni. Zażądali łaski dla Zbigniewa.

Tajemniczo wygląda historia wyprawy pomorskiej, o której za chwilę. Młodzi książęta poszli na nią, lecz zawrócili. Całkiem jakby się obawiali, że coś złego może ich czekać.

Ojciec zaś, zapytany przez możnych, który z synów ma okazalej występować przy wysyłaniu i podejmowaniu poselstw, w powoływaniu wojska i prowadzeniu go i w rozlicznych dziedzinach zarządu tak wielkiego królestwa, w ten sposób - jak mówią - odpowiedział: „Moją jest wprowadzić rzeczą, jako człowieka starego, i słabego, podzielić państwo między nich, a zachować sobie decyzję o bieżących sprawach; lecz jednego wywyższyć nad drugiego lub też uczciwość i mądrość im wszczepić nie jest w mej możliwości, lecz w mocy Boskiej. To jedno zaś wam mogę odsłonić pragnienie mego serca, że mianowicie życzeniem moim jest, byście po mojej śmierci wszyscy jednomyślnie posłuszni byli rozsądniejszemu i zacniejszemu w obronie kraju i w gromieniu wrogów. Tymczasem zaś tak, jak podzielone zostało między nich państwo, niech każdy dział swój dzierży. Po śmierci atoli mojej Zbigniew niech posiada Mazowsze wraz z tym, co obecnie posiada, Bolesław zaś, prawy mój syn, niech zajmie główne stolice królestwa, we Wrocławiu, w Krakowie i w Sandomierzu. Na koniec zaś, jeśli obaj uczciwymi nie byli lub jeśli przypadkiem niezgoda ich rozdzieliła, to ów, który by do obcych przystał ludów i naprowadził je na zniszczenie państwa, pozbawiony królestwa niech straci prawo do dziedzictwa ojcowskiego; ów zaś niech tron królestwa wieczystym posiadzie prawem, który o sławę kraju i pożytek lepiej będzie się troszczył”. Po dokonaniu zaś - jak powiedziano - podziału państwa i po wysłuchaniu wcale pięknej przemowy ojca, każdy z chłopców zwiedził swoją część państwa, ojciec ich zaś zawsze najchętniej przemieszkiwał na swym Mazowszu.

Spokój nie powrócił jednak do Polski. Sieciechowi, który wcale swych planów nie zaniechał, pozostały już tylko środki brutalnie bezpośrednie. Gall opowie nam zaraz, jakimi sposobami wojewoda usiłował oczyścić sobie drogę z zawadzających ludzi.

Zaczynają się te rozdziały kroniki, które ściągnęły na nią niezbyt zaszczytną nazwę panegiryku dla Krzywoustego. Trudno zaprzeczyć — zachwyty Anonima są przesadne. Ale ostatecznie Krzywousty to jeden z najwybitniejszych Piastów. Jego energia doprawdy zasługuje na podziw. Zapowiadał się pewnie dobrze już od dziecka. Gallowe uniesienia trzeba zatem przyciszyć, lecz zasadniczej melodii zaufać.

Według późniejszej legendy haniebne rządy ojca budziły w Bolesławie taką odrazę, że nerwowy grymas na stałe skrzywił mu usta. W rzeczywistości zaś przydomkiem obdarzyło go cierpienie natury nie moralnej, lecz czysto fizycznej - złośliwy wrzód. Przypomnijmy sobie Thietmara, któremu ślady po takim wrzodzie pozostały na zawsze. Chirurgia średniowieczna

nie umiała sobie z tym radzić, aczkolwiek - jak zaraz zobaczymy — lekarze ówczesni umieli trepanować czerepy.

Tymczasem niech się nikomu nie wydaje z jakiegokolwiek powodu dziwnym, jeżeli coś napiszemy pamięci godnego o dzieciństwie Bolesława. Albowiem nie uganiał się on za czczymi zabawami, jak to zwykła czynić częstokroć swawola chłopięca, lecz starał się naśladować przedsiębiorcze i rycerskie czyny, o ile to mógł (czyńć) jako chłopiec. A aczkolwiek jest zwyczajem chłopców szlacheckiego rodu zabawiać się psami i ptakami, więcej jednak zwykł był Bolesław, choć pacholę dotychczas, w rycerskim rzemiośle odnosić sukcesy. Jeszcze bowiem nie zdołał własnymi siłami dosiąść lub zsiąść z konia, a już wbrew woli ojca, lub niekiedy bez jego wiedzy, wyruszał na wyprawę przeciw wrogom, jako wódz rycerstwa.

Teraz zaś przedstawimy pierwszy występ jego dziecięcej rycerskości i tak powoli od pomniejszych przejdziemy do ważniejszych rzeczy. Jak wiadomo, książę Władysław, sędziwą ociężały starością, powierzał swe wojsko wojewodzie Sieciechowi i jego wysyłał do walki i pustoszenia ziem nieprzyjacielskich. Gdy zatem miał wkroczyć na Morawę, poszedł wraz z nim chłopaczek, by samym swym imieniem walczyć. Wtedy to spustoszyli bardzo wielką część Morawy i przywiedli stamtąd obfity łup i jeńców, (i powrócili) bez ryzyka walki.

Wiele mógłbym pisać o odwadze tego chłopaka, gdyby nie to, że czas już nagli, by zdążyć do głównej części dzieła. Jednakże jednemu faktowi nie pozwolę pozostać w ukryciu, skoro godnym jest błyszczeć jako wzór dzielności. Pewnego razu dziecię Marsa, siedząc w lesie przy śniadaniu, ujrzało ogromnego dzika, przechodzącego i chowającego się w gęstwinię leśną; natychmiast zrywając się od stołu, pochwyciwszy oręż myśliwski, popędził za nim i bez towarzysza łub psa zuchwale rzucił się nań. I gdy zbliżył się do bestii leśnej i już cios chciał wymierzyć w jej szyję, z przeciwka nadbiegi pewien jego rycerz, który wzniesiony cios powstrzymał i broń mu chciał odebrać. Wtedy to Bolesław, gniewem oraz męstwem podniecony, sam zwycięsko stoczył w cudowny sposób podwójną walkę, bo i z człowiekiem, i ze zwierzem. Albowiem i owemu broń wyrwał, i dzika zabił. Ów zaś rycerz, potem zapytany, dlaczego to uczynił, wyznał, że sam nie wiedział, co czyni, a jednak z tego powodu przez długi czas pozbawiony był jego łaski. Chłopak zaś wrócił stamtąd zmęczony i zaledwie (z trudem) po wypoczynku odzyskał siły.

Nie zamilczę też o innym jego dziecięcym czynie, temu podobnym, choć wiem, że rywalom nie we wszystkim będę się podobał. Tenże chłopiec, z kilku towarzyszami przechodząc przez las, zatrzymał się przypadkiem na nieco wzniesionym miejscu i spoglądając w dół tu i ówdzie, zobaczył, jak olbrzymi niedźwiedź zabawiał się z niedźwiedzicą. Ujrawszy to, natychmiast kazał się innym zatrzymać, a sam zszedł na równinę i na koniu siedząc, bez trwogi zbliżył się do krwi chciwych bestyj i niedźwiedzia z wyciągniętymi łapami przeciw sobie zwróconego przebił oszczepem myśliwskim. Czyn ten w duże wprawi! zdumienie obecnych tam, a tym, którzy nie widzieli, należało opowiedzieć o tak niezwyklej odwadze chłopaka.

Tymczasem Bolesław, Marsowe dziecię, wzrastał w siły i lata, i nie uganiał się za zbytkami i próżnościami, jak to zwykł czynić wiek chłopięcy, lecz gdziekolwiek

przypuszczał, że wróg dopuszcza się grabieży, tam niestrudzenie śpieszył z rówieśnymi młodzieńcami i częstokroć potajemnie z garstką nieliczną zapędzał się do kraju nieprzyjacielskiego, a spaliwszy wieś, przyprowadzał jeńców i łupy. Już bowiem dzierzył księstwo wrocławskie, wiekiem wprowadził chłopak, lecz zacnością mąż dojrzały, a jeszcze przecież stopnia rycerskiego nie uzyskał. A że w myśl ogólnych nadziei zapowiadał się na młodzieńca dużych zdolności i już widoczne były w nim zadatki wielkiej sławy rycerskiej, kochali go wszyscy możni, ponieważ domniemywali się już w nim czegoś wielkiego w przyszłości.

Tenże chłopaczek, z Marsowego zrodzon rod, pewnego razu wyruszył na Pomorze, gdzie już wyraźniej ujawnił sławę swego imienia. Albowiem tak dużymi siłami obiegł gród Międzyrzecz i z taką gwałtownością nań szturmował, że w kilku dniach zmusił załogę do poddania się. Tam też cześnik Wojsław taki znak męstwa zyskał na czole, że zaledwie ocalała go (od śmierci) przezorna operacja lekarza po wyciągnięciu kości.

Wróciwszy stąd, dał nieco wytchnienia rycerzom, lecz szybko ich z powrotem tamże zawiódł niezmordowany chłopiec. Pragnąc ujarzmić plemię barbarzyńców, nie dbał o to, by najpierw łupy zbierać i ogniem pustoszyć kraj, lecz przemyślał nad zajęciem warowni i grodów lub nad ich zniszczeniem. Wkroczy! więc szybkim marszem, by oblegać pewien gród dość znamienity i warowny, który jednak nie wytrzymał jego pierwszego szturm; pobrał też stamtąd łupy mnogie i jeńców, a z wojownikami postąpił wedle prawa wojennego. A im więcej winien był być kochanym, tym większą na siebie ściągnął zawiść i wywołał zasadzki przeciwników na swą zgubę.

Tymczasem bowiem Sieciech wiele - jak mówią - obu chłopcom gotował zasadzek i odwracał rozlicznymi machinacjami umysł ojcowski od miłości synów. Także w grodach, wyznaczonych w udziale dla chłopców, ustanawiał albo ze swego, albo z niższego rodu komesów i zarządców, którym młodzi książęta mieli rozkazywać, i nakłaniał owych z przewrotną chytrą, by odmawiali chłopcom posłuszeństwa. Jeżeli w stosunku do obydwóch braci niebezpiecznym był spiskowcem, to jednak bardziej obawiał się Bolesława, legalnego syna, o energicznym duchu, który na jego nieszczęście miał po ojcu panować. Bracia zaś sami przysięgą się z sobą połączyli i umówili między sobą (pewien) znak, że na wypadek, gdyby Sieciech gotował któremu z nich zasadzkę, to jeden drugiemu pośpieszy na pomoc ze wszystkimi swymi siłami bez najmniejszej zwłoki. Zdarzyło się zaś, że książę Władysław - nie wiem, czy podstępnie, czy zgodnie z prawdą - zawiadomił syna Bolesława, iż od wywiadowców posłyszał, jakoby Czesi mieli zamiar wkroczyć do Polski celem zabrania łupów, że więc wobec tego winien Bolesław jak najszybciej pośpieszać na miejsce wyznaczone i przywołać na pomoc komesów swego księstwa, których mianował Sieciech i w których chłopak bynajmniej nie pokładał zaufania. Chłopiec zaś, łatwowierny wobec nakazów ojcowskich, wyruszył na wyznaczone miejsce ze swymi przybocznymi towarzyszami szybko i niczego nie podejrzewając; lecz komes Wojsław, którego opiece był powierzony, nie szedł z nim razem. Wobec tego szeptali (otaczający go rycerze) jeden do drugiego nawzajem, jak gdyby upatrując w tym widomy znak zdrady, mówiąc: „Nie jest bezpodstawne przypuszczenie niebezpieczeństwa dla ciebie, że ci twój ojciec polecił udać się do tego pustkowia i na pomoc wezwać powierników i przyjaciół Sieciecha, zasadzających się

na twe życie! Wiemy bowiem z całą pewnością, że Sieciech dąży wszelkimi sposobami do wygubienia całego twojego rodu, a najbardziej ciebie, jako dziedzica królestwa, by sam mógł chwycić we własne ręce i zatrzymać całą Polskę; nadto także komes Wojsław, którego pieczy powierzeni jesteśmy, a który jest krewniakiem Sieciecha, z pewnością przybyłby tu razem z nami, gdyby nie przekonał się, że tu na nas jakieś sidła zastawiają. Wobec tego należy jak najszybciej znaleźć jakąś radę, by uniknąć tego grożącego nam niebezpieczeństwa". Na te słowa gwałtowny lęk ogarnął chłopięcego Bolesława i cały potem i łzami kroplistymi się zalewał. Powziąwszy następnie jedynie odpowiednie postanowienie, a kierując się instynktem chłopięcym Bolesława, posłali natychmiast gońca z omówionym znakiem do Zbigniewa, by do nich co rychlej ze swoimi podążył na pomoc, sami zaś natychmiast powrócili do grodu wrocławskiego, ażeby nie został zajęty przez spiskowca rywala. Powróciwszy przeto do Wrocławia, chłopięcy Bolesław powołał najpierw co przedniejszych i starszych grodu, a następnie cały lud na wiec, i tam im po porządku opowiedział, łzy lejąc po chłopięcemu, o zasadzkach, jakie cierpiał od Sieciecha. Gdy zaś na odwrót i owi z miłości do chłopaka płakać zaczęli i gniew i wzburzenie przeciw nieobecnemu Sieciechowi wyładowywali w obelżywych słowach, wtedy Zbigniew, pośpiesznie przybywając z garstką - bo jeszcze nie zdążył zebrać większych sił - wymownie skoloryzował mowę brata, jako człowiek wykształcony i starszy wiekiem, i burzący się tłum energicznie zachęcił świetną przemową do wierności bratu a do sprzeciwienia się Sieciechowi, a to w te słowa: „Gdyby nie była znana i doświadczona waszej wierności, o obywatele, stałość niewzruszona dla naszych przodków i dla nas, choć tak nieletnich, w żaden sposób nie mogłaby złożyć w was całej nadziei ratunku i rady słabość naszego dziecięcego wieku, takimi doświadczana klęskami i tylu spiskami wrogów ścigana! Lecz dobrze wiadomo jest i obcym ludom, i bliskim, że wyście wiele wycierpieli z powodu zdradzieckich spisków na nasze życie, knutych przez tych, którzy usiłują doszczętnie wygubić następstwo naszego rodu i dziedzictwo przyrodzonych panów rozgrabić przewrotnym sposobem. Dlatego też ze względu, że złożony już starością i niemocą rodzic nasz nie jest w stanie troszczyć się o siebie, o nas i o kraj, nieuniknioną jest wobec tego dla nas koniecznością z zaufaniem do garstki obrońców zginąć od mieczy ambitnych przeciwników lub od zbrodniczych zamachów albo też przekroczyć granice Polski i zbiec na wygnanie. Dlatego raczcie nam otworzyć swe serca, czy mamy tu pozostać, czy też opuścić ojczyznę?". Na to całe pospólstwo wrocławian do głębi serca bólem wstrząśnione przez chwilę zachowało ciszę, wnet jednak wybuchając wielkim głosem, powzięte w myśli postanowienie ujawniło jednomyślnie w sposób pełen gorącego umiłowania dla chłopców: „My zaprawdę - mówili - pragniemy zachować wierność przyrodzonemu naszemu panu, a waszemu ojcu, jak długo będzie żył, ani też od jego potomstwa nie odstępimy, jak długo nam życia starczy. Do nas więc nie żywcie żadnej nieufności, lecz zebrawszy wojsko, pośpieszajcie zbrojno do dworu ojcowskiego i tam - z zachowaniem całego szacunku dla ojca - pomścijcie waszą krzywdę". Podczas gdy tego rodzaju oświadczenia były wypowiedzane i przez obywateli przysięgami utwierdzone, komes Wojsław, który małego Bolesława piastował, przybył ze swej służby, nic nie wiedząc o tym, co zaszło. Padło nań jednak podejrzenie o zdradę ze względu na pokrewieństwo z Sieciechem i wzbroniono mu wstępu do miasta oraz zawiadywania sprawami chłopca. A chociaż przedkładał na swe niewinność, że nic nie wiedział, jakoby zaszły jakieś nieporozumienia, chłopcy go jednak wówczas absolutnie nie przyjęli, choć



chciał dać zadośćuczynienie i chodził (błagalnie) za nimi, lecz zebrawszy pospólstwo, ruszyli przeciw ojcu.

Zatem książę Władysław i jego synowie zatrzymali się z wojskami w miejscowości, która się zwie Żarnowiec - synowie rozdzieleni od ojca; tam też przez dłuższy czas przez wzajemne poselstwa prowadząc rokowania, zaledwie zmusili synowie starca do porzucenia Sieciecha pod wpływem dostojników i gróźb młodzieńców. Mówią też, że ojciec przysiągł także synom, że już nigdy na przyszłość nie przywróci Sieciecha do dawnej godności. Gdy wobec tego Sieciech uszedł do grodu własnego imienia, bracia udali się do ojca pokornie, bezbronni i spokojni, i ofiarowali mu swe postuszeństwo, nie jak udzielni książe, lecz jako rycerze i poddani, z korną myślą i czołem. Tak to ojciec i synowie, i wszyscy dostojnicy, zjednoczeni, pośpieszyli następnie z całym wojskiem za Sieciechem, uciekającym na zamek, który sam zbudował. Gdy go tak ścigali i usiłowali wypędzić za granice kraju, sam książę w nocy, gdy sądzono, że spoczywa w swym łożu, bez wiedzy kogokolwiek ze swoich, z trzema tylko najzaufańszymi powiernikami, cichaczem uchodząc spośród wojska, przepłynął w łódce do Sieciecha, znajdującego się po drugiej stronie rzeki Wisły. Wobec czego wszyscy dostojnicy wzburzeni oświadczyli, że opuszczanie synów i tylu dostojników wraz z wojskiem nie jest decyzją człowieka rozumnego, lecz szalonego, i natychmiast złożyłwszy radę, postanowili, aby Bolesław zajął Sandomierz i Kraków, główne i najbliższe siedziby królestwa, a odebrawszy od nich przysięgę wierności, by dzierzył je jako swe państwo; zaś Zbigniew miał pośpieszać na Mazowsze i zająć miasto Płock i przyległe mu tamtejsze okolice. Bolesław też istotnie zajął i dzierzył grody wymienione, Zbigniew zaś, uprzedzony przez ojca, zadania swego nie zdoła! wypełnić. Lecz czemuż tak długo przewlekamy ostateczny epilog sprzysiężenia Sieciechowego? Gdybyśmy poszczególne wypadki w zatargu z Sieciechem chcieli opisać, to dzieje jego bez wątpienia zrównalibyśmy z książką o Jugurcie [„Bellum Jughurtinum” Salustiusza]. Byśmy się jednak nie wydali niesmacznymi i gnuśnymi, postąpmy jeszcze nieco dalej po zaczętej drodze.

A zatem po pewnym czasie zebrali chłopcy dostojników i wojska i stanęli obozem naprzeciw grodu płockiego po drugiej stronie Wisły, gdzie arcybiskup Marcin, wierny starzec, z wielkim trudem i z dużą przezornością załagodził gniew i niezgodę między ojcem i synami. Tam także książę Władysław, jak mówią, potwierdził przysięgą, że już nigdy nie zatrzyma więcej przy sobie Sieciecha. Wtedy Bolesław zwrócił ojcu zajęte stolice, lecz ojciec nie dotrzymał układu zawartego z synami. Ostatecznie wreszcie zmusili chłopcy ojca do tego, że przez wygnanie Sieciecha z Polski spełnili swe pragnienie. Jakim zaś sposobem się to stało lub też jak powrócił z wygnania, zaznajomienie się z tym byłoby długim i przykrym, niech przeto wystarczy to, co powiedziałem, że nigdy później nie było mu danym wykonywać jakąkolwiek władzę.

Kto wie, czy i tym razem Gall nie wykręcił się od opisu spraw jętrzących. Znowu tyle tylko bąknął, że opowiadanie o dalszych losach Sieciecha byłoby „długie i przykre”. Podobno wojewoda po powrocie do Polski został skazany na oślepienie. Wyrok wykonano. Na tej samej karcie kroniki rozstajemy się i z Sieciechem, i z Judytą Marią. „Tyle, com powiedział o Sieciechu i królowej,

niech wystarczy" - tak zaczyna się rozdział następny. Ten sposób zakończenia wątku wymowniejszy jest od najdłuższych wywodów. Stanowi też chlubny popis umiejętności pisania między wierszami. Dwoje bohaterów opowieści przegrywa spór z młodszym pokoleniem i razem schodzi ze sceny. Oszczędziwszy sobie grzebania się w skandalach, Anonim na zawsze sprzągnął pamięć o nich sposobem czysto pisarskim. Wyzaczył im tę samą funkcję w jednym krótkim zdaniu podrzędnym. Porzekadło o mądrej głowie, której dwóch słów wystarczy, sformułowano później, lecz treść jego znano widać od dawna.

Gall nie mówi, co się stało z Judytą Marią. Prawdopodobnie zmarła za granicą, może już w roku 1100. Klęska Sieciecha oznaczała kres rojeń starej kobiety. Młodsze pokolenie na dobre zajęło scenę. Władysław Herman dożywał swoich dni.

Tyle, com powiedział o Sieciechu i królowej, niech wystarczy, teraz zaś zaostrzywszy pióro, ciągnijmy dalej wedle powziętego zamiaru opowiadanie o chłopcu oddanym całą duszą Marsowi. Gdy te sprawy taki obrót wzięły, zwiastowano nagłe, że Pomorzanie wyruszyli i na wprost Santoku, który jest strażnicą i kluczem królestwa, wystawili gród przeciwny. Był zaś ten nowy gród tak wysoki i tak bliski chrześcijanom, że to, co mówiono lub co się działo w Santoku, mogło być przez pogan dobrze słyszane i widziane. Zbigniew więc, jako że wiekiem był starszy i dzierżył część królestwa najbliższą Pomorzanom i ojcu, wraz z wojskiem ojca i swoim pośpieszył przeciw Pomorzanom bez młodszego brata; mniej jednak wówczas sławy pozyskał starszy brat, który z większą siłą najpierw wyruszył, niż brat młodszy, który z garstką za nim podążył. Albowiem starszy, pośpieszywszy tam, ani owego nowego grodu dzielnie nie atakował, ani wrogów nie wciągnął do walki, mając tak znaczne siły, lecz więcej sam się lękając niż budząc lęk - jak opowiadają - powrócił do domu. A za odejściem starszego brata, gdy tylko się pojawił chłopięcy Bolesław, syn Marsa, to chociaż dotąd niepasowany na rycerza, jednak szybciej działając, więcej wskórał niż brat opasany już mieczem. Bo i most w szturmie zabrał grodzianom, i ścigając ich, wpadł Jo bram, z mieczem w dłoni. Ten początek rycerskiego zawodu Bolesława wymowną był dla chrześcijan zapowiedzią przyszłej jego dzielności, a dla Pomorzan groźną wróżbą ich zmiążdżenia i dużego im też napędził strachu. A Zbigniewowi, który przybył z licznym rycerstwem, a nic męznego nie zdziałał, naigrawając się, zarzucali Pomorzanie gnuśność, Bolesława zaś, który z nieliczną garstką później przybył i dzielnie wrogów swych ścigał aż do bram, nazywali „wilczym synem". „Zbigniew - mówili - powinien, jako duchowny, kościołem rządzić, temu zaś chłopczkowi przystoi, jak się okazuje, dzielnymi czynami pełnić służbę wojenną". Tak to młodszy brat, z garstką pomału następując, więcej pozyskał szacunku i sławy niż starszy, który z wielkim rozmachem i z dużą siłą w bój pośpieszył. Widząc więc poganie, iż chłopiec odstępował dlatego, że małe miał siły, a obawiając się groźnej im zguby, gdyby z dużymi powrócił siłami, sami zburzyli swój gród, który przedtem zbudowali, i po bezskutecznym trudzie schronili się w bezpiecznych kryjówkach.

Widząc przeto Władysław, że chłopak wiekiem dojrzewał i już zajaśniał czynami rycerskimi, a wszystkim rozumnym ludziom w państwie się podobał, postanowił przypasać mu miecz w uroczystość Wniebowzięcia P. Marii i przygotowywał to w mieście Płocku ze wspaniałą okazałością. Już bowiem i wiekiem, i nieustanną słabością postarzał się, i w owym chłopcu pokładał nadzieję następstwa. Podczas gdy wszyscy się przygotowywali i na tę

uroczystość pośpieszali, doniesiono, że Pomorzanie obiegli gród Santok, a żaden z dostojników się nie ośmielał wyruszyć przeciw nim. Więc wbrew woli ojca i sprzeciwom wielu innych, syn Marsa, wpadłszy tamże, odniósł zwycięstwo nad Pomorzanami i za powrotem, jako zwycięski giermek, pasowany został przez ojca na rycerza, odprawiając z niezmierną wesołością tę uroczystość. A nie sam jeden owego dnia [prawdopodobnie w 1099] pasem rycerskim został przepasany, bo ojciec jego z miłości i dla uczczenia syna wręczył oręż wielu jego rówieśnikom.

Świeżo tak na rycerza pasowanemu Bolesławowi okazał Bóg na Wołowcach, jak wielkich dzieł ma przez niego dokonać w przyszłości.

Zdarzyło się bowiem po dopiero co dokonanym przepasaniu go pasem rycerskim, że Połowcy zebrali się naraz w niezliczonej masie i mając się rozbiec wedle zwyczaju po całej Polsce, podzielili się na trzy lub cztery części opodal od siebie i nocną porą przepłynęli przez Wisłę. Z brzaskiem dnia następnego gwałtownym marszem rozbiegając się i zagarniając niezliczone lupy, obciążeni zdobyczą powrócili pod wieczór na drugi brzeg rzeki i tamże bezpieczni a zmęczeni rozbili namioty na nocny spoczynek. Lecz nie wypoczywali tak bezpiecznie, jak do tego z dawna przywykli. Albowiem Bóg, obrońca chrześcijan i mściciel swych strażników, na zgubę mnogich zastępów pogan podniecił odwagę garstki wiernych i za ich atakiem w chwałę dnia niedzielnego odniósł triumf ramieniem Swej potęgi. Od tego czasu Połowcy tak osłupieli, że za panowania Bolesława nie śmieli zajrzeć do Polski.

Zdarzyło się też, że ktoś wygłosił pewne przemówienie na zebraniu podczas pasowania na rycerza, które godnym jest, by mu tu poświęcić wzmiankę. „Książę panie - rzeki ów ktoś- Władysławie, Bóg dobrotliwy nawiedził dziś królestwo Polski i twoją starość i słabość, i całą ojczyznę wywyższył przez tego, dziś pasowanego na rycerza! Błogosławiona matka, która takiego wykarmiła chłopca! Aż dotąd była Polska przez wrogów deptana, lecz przez tego chłopaczka będzie do dawnego przywrócona stanu!“. Na te słowa wszyscy obecni struchleli, i skinęli mu, by milczał przez uszanowanie dla księcia. My jednak wierzymy, że te słowa nie pochodziły z płochości, lecz duchem wieszczym były natchnione, bo już w czynach jego dziecięcych potwierdza się, że Polska kiedyś przez niego przywróconą będzie do pierwotnego stanu.

Lecz na razie dajmy chłopcu nieco wypocząć po trudach, aż pióro nasze pogrzebie w pokoju księcia Władysława, męża pobożnego i łagodnego. Książę zatem Władysław, pamiętny na dawne zamieszki, gdy wygnał Sieciecha z Polski, choć wiekiem był i słabością złamany, żadnego przecież nie ustanowił na dworze swoim palatyna lub jego zastępcy; wszystko mianowicie sam osobiście załatwiał lub bystre wydawał rady i każdemu komesowi, którego odwiedzał prowincję, powierzał odpowiedzialność za bezpieczeństwo dworu książęcego. I tak sam osobiście rządził krajem bez komesa pałacowego, aż duch jego, cielesnego zbywszy się ciężaru, doszedł na miejsce należnego spoczynku, mając tam wieczyście pozostać. Umarł zatem książę Władysław, dopełniwszy wieku i długą słabością złożony, a arcybiskup Marcin, przez pięć dni w mieście Płocku odprawiając z kapelanami uroczyste egzekwie za niego, nie śmiał go pogrzebać, wyczekując synów. Przybywszy zaś obaj bracia, i nie pochowawszy jeszcze ojca, wielki stoczyli między sobą prawie że zatarg o

podział skarbów i królestwa, lecz za natchnieniem łaski Boskiej a za pośrednictwem arcybiskupa, starca wiernego, zastosowali się w obliczu zmarłego ojca do zarządzeń wydanych jeszcze przez żywego. Po bardzo świetnym więc i okazałym pochowaniu księcia Władysława w kościele płockim i po rozdeleniu skarbu ojcowskiego wówczas między synów, bo podział państwa polskiego dokonany był jeszcze za życia ojca, każdy z braci zajął część przypadłą mu z podziału. Bolesław atoli, jako prawy syn, dwie główne stolice królestwa otrzymał i część kraju ludniejszą. Objąwszy swój dział ojcowizny, wzmocniony rycerstwem i radą, zaczął chłopięcy Bolesław rozwijać dzielność ducha i siły ciała, zaczął też dobrym imieniem zarazem i wiekiem dojrzewać na młodzieńca pełnego talentu.

Władysław Herman zmarł 4 czerwca 1102 roku.

Dwa lata wcześniej, wskutek zamachu czy też nieszczęśliwego przypadku, zginął w Anglii jej król, Wilhelm Czerwony, a raczej Czerwonolicy. Podczas polowania czyjaś strzała trafiła go w serce. Obecny przy tym młodszy brat Wilhelma, Henryk, nawet się nie zatroszczył o ciało. Natychmiast pocwałował do Winchester, gdzie zawładnął kluczem od skarbcza. Ledwie zdążył, bo zaraz po tenże klucz zgłosił się dostojnik będący zwolennikiem najstarszego z braci, Roberta Krótkoudego, księcia Normandii. (Beatus qui tenet - królem został Henryk).

Jak widzimy, w Płocku postępowano dokładnie według tego samego obyczaju, co w Winchester.

W Polsce rozstrzygnięcie sporu o władzę miało nastąpić dopiero po latach. Gall jest stronniczy, kiedy sugeruje, że od początku Bolesław - syn młodszy! - był przewidziany na zwierzchnika. Prawda, Krzywousty otrzymał „dwie główne stolice” państwa, czyli Kraków i Wrocław, oraz „część kraju ludniejszą”. Zbigniew dzierżył jednak Wielkopolskę, prakolebkę państwowości, Kujawy i Mazowsze. Profesor Jan Dąbrowski utrzymuje, że do roku 1106 księciem zwierzchnim był Zbigniew.

Korona królewska, uwięziona na Węgry przez Bolesława Śmiałego i przywieziona do Polski z powrotem przez jego syna Mieszka, znajdowała się w skarbcu krakowskim. Miała tam bezużytecznie spoczywać jeszcze przez dwa wieki bez mała. Krzywousty nie mógł nawet marzyć o niej ani na początku swej kariery, ani u schyłku życia. Nie pozwalało na to położenie międzynarodowe. Fakty dokonane kształtują dzieje. Takim faktem była katastrofa Bolesława Śmiałego, która na długo zdegradowała Polskę w Europie.

Gall ani trochę nie przesadził, mówiąc nam przed chwilą o talencie Bolesława Krzywoustego. Spór wygrał zdolniejszy z braci.

W kilka miesięcy po zgonie ojca Bolesław żeni się ze Zbysławą, córką Świętopętka II z Kijowa. Musi uzyskać pozwolenie papieża, ponieważ narzeczona jest wnuczką Gertrudy, siostry Kazimierza Odnowiciela (który wypada oblubieńcowi rodzonym dziadem). Anonim nie pisze, czy trzeba było podobnych starań, kiedy w pięć lat później Krzywousty wydawał przyrodnią siostrę za brata żony, Jarosława I, księcia włodzimiersko-wołyńskiego.

Skomplikowana polityka matrymonialna miała wyraźny sens. Szykując się do rozgrywek na innych frontach, zabezpieczał sobie Bolesław stronę wschodnią. Wchodził w rodzinne parantele z panami Rusi.

Talent młodego człowieka jeszcze piękniej zabłysnął w sprawie pomorskiej. Nie wystarczy liczyć zwycięstw odniesionych na północy, za Notecią. Najważniejsza była decyzja, sam wybór głównego kierunku uderzenia. Wyteżone działania przeciwko poganom, prowadzone w dobie pierwszej krucjaty, gdy Królestwo Jerozolimskie było tworem ostatniej chwili i kiedy szły mu na pomoc świeże drużyny rycerstwa - trudno doprawdy lepiej dopasować politykę do ducha czasu. Nie zapomnijmy przypadkiem, że zgłębiamy właśnie książkę takiego Europejczyka z Zachodu, który stał się chwałką i pierwszym kronikarzem Polski, walczącej z pogaństwem.

Nie próbujmy rozstrzygać, czy polskie rycerstwo również płonęło żądzą nawracania Pomorzan (Anonim napomknie wkrótce o „pewnej prostocie wiary”, panującej podówczas w samej Polsce). Nie ulega za to wątpliwości, że pragnęło polityki czynnej, przynoszącej zysk. Woje, którzy słynęli jako „dzielni w spotkaniu, lecz niezmiernie okrutni w łupieży i mordach”, którzy nie oszczędzali na wojnie „ni klasztorów, ni kościołów czy cmentarzy”, musieli chętnie chadzać za Noteć i sprzyjać temu księciu, co ich tam wodził. Wspomniało się niedawno o bogactwach Gdańska. Pomorze Wschodnie było ubogim krajem w porównaniu z Zachodnim. W ziemi dawnych Prusów, uznanej przez Galla za dziką, znajdują dziś archeolodzy biżuterię piękną, zdobioną emaliami.

Zbigniew nie mógł popełnić większego błędu niż sojusze z Pomorzanami. Zawierając je, stawiał na zawadzie nie tylko Bolesławowi, lecz i rycerstwu. Przegradzał mu drogę w zwykłym tych słów znaczeniu. Władał wszak Wielkopolską i Mazowszem, które bezpośrednio przylegały do Pomorza.

Walki pomiędzy braćmi trwały przez lata. Niech nam Gall opowie o nich jednym tchem, tak jak opowiadał niegdyś swoim słuchaczom.

Nowy więc rycerz nowe zaczął odnawiać wojny i przemyślał nad tym, jak by coraz gwałtowniej i częściej wyzywać swych wrogów. Zwoławszy więc mnogich wojowników, z garstką wybraną wdarł się w środek ziemi pogan. I gdy przybył do znamienitego królewskiego grodu, zwanego Białym, i ani nawet nie miał trzeciej części wojska z sobą, zsiadłszy z konia, żadnych nie sporządzał machin oblężniczych i przyrządów, lecz gwałtownym szturmem a w dziwny sposób zdobył gród bogaty i ludny, w dniu, w którym przybył. Mówią nawet niektórzy, że on pierwszy natarł i pierwszy wdarł się na wały grodu. Przez ten czyn nader groźnym stał się dla Pomorzan, przez swoich wychwalany, a przez wszystkich chrześcijan umiłowany. Z miasta wywiózł nieprzeliczone łupy, warownię zaś zrównał z ziemią.

Lecz pominąwszy wiele rzeczy, o których w swoim miejscu trzeba będzie nadmienić, opowiedzmy o zaślubinach i o darach jego z tej okazji, które można chyba porównać z darami króla Bolesława Wielkiego. Jak zaś pozyskano na to zgodę papieża Paschalisa II, że przyzwolił na ten ślub mimo pokrewieństwa, to postarał się o to - jak wiadomo - biskup

krakowski Baldwin, przez tegoż papieża konsekrowany w Rzymie; on go bowiem poinformował o pewnej jeszcze prostocie wiary i o potrzebach kraju, tak że stolica rzymska przyzwoliła miłościwie - jak mówią - swą powagą na to małżeństwo, nie kanonicznie ani ze zwyczaju, lecz zupełnie wyjątkowo. My zaś nie mamy na celu rozpatrywania kwestii grzechu czy sprawiedliwości, lecz czyny królów i książąt Polski opisujemy skromnymi słowami. Przez ośm więc dni przed ślubem i przez tyleż dni po oktawie zaślubin [w 1103] bez przerwy rozdawał waleczny Bolesław podarunki, jednym mianowicie futra i skóry kryte sukmem, jako płaszcze, ze złocistym obramowaniem; książętom szaty, naczynia złote i srebrne, innym miasta i zamki, innym wreszcie wsie i włości.

Tymczasem brat jego Zbigniew, który zaproszony na ślub brata odmówił przybycia, zsojuszył się przyjaźnią z Pomorzanami i Czechami, i gdy się odbywały zaślubiny, podżegał - jak mówią - Czechów do wkroczenia do Polski. Czesi też, rozbiegłszy się po prowincji wrocławskiej i zbierając łupy i jeńców, zadali tej krainie straty dotkliwe na bardzo długie lata. Usłyszawszy o tym energiczny Bolesław, choć bardziej bolał nad znieważonym braterstwem niż nad zniszczeniem państwa, posłał jednakże poselstwo do brata z zapytaniem, dlaczego mu to czyni lub w czym go obraził? Zbigniew na to odpowiadał, że o niczym podobnym nie wiedział, i zapewniał, że jest niewinnie jakimiś obmowami posądzony o tak haniebne postępowanie.

Gdy Bolesław gorliwie ścierał się z wrogami, tak Czechami, jak Pomorzanami, i swego działu mężnie przed najeźdźcami bronił, Zbigniew, nawet proszony, nie udzielił pomocy bratu swemu tak się trudzącemu, lecz ponadto z wrogami brata skrycie zawiązywał przymierze przyjaźni i przysyłał im na pomoc pieniądze dla wojska. I gdy częstokroć go nawiedzał wojowniczy Bolesław i poselstwami, i na osobistych zjazdach, starając się poruszyć braterską miłością, by nie wchodził w przymierze i przyjaźń z nieprzyjaciółmi ojcowskiej dziedziny ani jawnie, ani tajemnie, skąd by mógł dla królestwa Polski ogromny rozłam wyniknąć, ów przeciw temu rozumnie i spokojnie odpowiadał, i tak hamował gniew brata i zawiść możnych. Lecz o tym na innym miejscu obszerniej opowiemy, a tymczasem rozradujmy się rycerskimi czynami Bolesława.

Wojowniczy więc Bolesław, mściciel krzywdy doznanej od Czechów, trzy szyki rycerzy wysłał na Morawę, które wyprawiły się w sam tydzień Zmartwychwstania Pańskiego, a biorąc łupy i pałac, znalazły godną swoich czynów zapłatę, mianowicie za to, że złamały uszanowanie dla tak wielkiej uroczystości [w 1104 Wielkanoc przypadała 17 kwietnia]; albowiem Świętopełk, książę morawski, udał się w pościg za nimi z mężnym szykiem rycerzy, gdy już wracali, i byłby im odebrał zdobycz - jak mówią - gdyby nie to, że piesi, którzy ją nieśli, poszli przodem. Polacy zaś, widząc Morawian gotowych do walki, jak się zbliżali pewni siebie, sami też nie myśleli w ucieczce pokładać ufności, lecz w orężu. A więc obustronnie sroga wszczyną się walka, która też skończyła się nie bez bardzo ciężkich strat po obu stronach. W pierwszym bowiem starciu Świętopełk, książę morawski, jak dzik opadnięty przez psy na wsze strony krzywymi kłami przebijając, jednych zabija, innym wnętrzości rozrywa; i nie pierwiej kładzie temu kres i przestaje szerzyć klęskę, aż łowca zdyszany z nową sforą psów zjawi się na pomoc swoim, utrudzonym - tak zrazu Świętopełk, wyprzedziwszy okrążającą poprzeczną drogą Polaków objuczonych łupem, prawie z triumfem byłby ich

ogarnął, gdyby szyk rycerski skupiony gęsto nie odparł był wszystkimi siłami zarówno zawziętości, jak i męstwa następującego nań wroga.

Wtedy to właśnie dźwięki rozbijanych hełmów rozbrzmiewały przez wąwozy gór i gąszcze lasów, blask iskier krzesanych z żelaza lśnił w powietrzu, włócznie uderzane o tarcze dźwięczały, rozpruwano piersi, a ręce i tułowia, i porąbane ciała zaległy pole. Tam oto pole Marsa, tam Fortuna igra. Na koniec tak się pomęczyły obie strony i zrównały w stracie zabitych rycerzy, że ani Morawianie wesołego nie osiągli zwycięstwa, ani Polacy znamienia hańby nie ściągnęli na siebie. Tam też komes Żeliszław utracił rękę, w której dzierżąc tarczę, zasłaniał nią ciało, a utraconą natychmiast pomścił mężnie, zabijając sprawcę. Książę zaś Bolesław dla uczczenia go zwrócił mu złotą rękę za cielesną.

Znowuż wkroczył Bolesław na Morawy, lecz gdy na wieść o tym wszyscy wieśniacy z dobytkiem schronili się do warownych grodów, choć wojsko Czechów i Morawian zebrało się, to jednak nienapastowany przez nie powrócił, więcej pożogi tam sprawiwszy niż innych jakichkolwiek szkód - którym to czynem niemałą wszakże sobie pozyskał sławę, zważywszy trudność przedsięwzięcia. Albowiem od strony Polski Morawa tak silnie jest zamknięta wyniosłością gór i gęstwiną lasów, że i dla spokojnych podróżników, idących pieszo i bez pakunków, drogi wydają się niebezpieczne i nader uciążliwe. Morawianie, wiedząc na długo przedtem o jego pojawieniu się, nie ośmielili się wszakże zetrzeć z nim w bitwie w otwartym polu, ani nawet choćby w trudnym jakim przejściu stawić opór z zasadzki, gdy wkraczał lub powracał.

Gdy zaś dość chlubnie powracał z Morawy, przybył do Polski legat stolicy rzymskiej, imieniem Walo, biskup belwaceński [Gwalo, biskup Beauvais], który za poparciem Bolesława z umiłowania sprawiedliwości z tak wielkim rygorem wypełniał przepisy kanoniczne, ze dwóch biskupów złożył z godności, przy czym nie pomogła ani prośba żadna, ani zapłata. Uczczony tedy z należyтым uszanowaniem legat stolicy rzymskiej, po kanonicznym odprawieniu synodu i udzieleniu apostolskiego błogosławieństwa, powrócił do Rzymu; waleczny zaś Bolesław znowu do walki z wrogami swymi się zwrócił.

Zwoławszy więc wojska do Głogowa, nie wziął z sobą żadnego piechura, lecz wybranych tylko rycerzy i wyborowe konie, a maszerując przez pustkowia dniem i nocą, nie pofolgował dostatecznie trudom ani głodowi przez pięć całych dni. Na koniec szóstego dnia, w piątek, przystąpili do komunii Św., posiliwszy się zarazem cielesnym posiłkiem, przybyli pod Kołobrzeg za przewodem gwiazd. Poprzedniej nocy zarządził Bolesław odprawienie nabożeństwa do Marii Świętej, co następnie z pobożności przyjął za stały zwyczaj. W sobotę z rannym brzaskiem zbliżyli się już do miasta Kołobrzegu i pobliską rzekę przebywszy wśród niebezpieczeństw, bez mostu lub brodu, by nie zwrócić na siebie uwagi pogan, uformowali następnie szeregi, a dwa szyki ustawivszy z tyłu na pomoc (w rezerwie), tak by przypadkiem o tym się poganie przedwcześnie nie dowiedzieli i nieprzygotowanych nie napadli, płonęli wszyscy jednomyślnie chęcią natychmiastowego napadu na miasto, opływające w dostatki i umocnione strażami. Wtedy pewien komes przystąpił do Bolesława, a za udzieloną radę odwrotu wyszydzony, natychmiast odstąpił. Bolesław zaś krótką zachętą wszystkich swoich dostatecznie pobudził do męstwa. „Gdybym - przemówił - o rycerze! nie doświadczył waszej

zaczności i odwagi, w żaden sposób nie pozostawiłbym za sobą w kraju takiej mnogości moich ludzi, ani bym śmiało przybywać z taką garstką aż tu, na brzegi morskie. Teraz zaś od naszych żadnej nie spodziewamy się pomocy - nieprzyjaciele z tyłu, ucieczka daleka, jeśli byśmy o ucieczce myśleli - w Bogu już tylko i w orężu ufność bezpiecznie pokładajmy!". Po tych słowach zdali się raczej lecieć ku miastu niż biec. Niektórzy tylko o braniu łupu, inni myśleli o wzięciu miasta. I gdyby tak wszyscy, jak niektórzy z nich, jednomyślnie natarli, to bez wątplenia posiadliby owego dnia sławny i znamienity gród Pomorzan. Lecz obfitość bogactw i łupów na podgrodzium zaślepiła waleczność rycerzy i w ten sposób los ocalił ich miasto od Polaków. Nieliczni tylko zacni rycerze, sławę przynosząc nad bogactwa, wyrzuciwszy oszczepy, z dobytymi mieczami przebiegli most i wpadli do bramy miasta, lecz powstrzymani przez tłum mieszkańców, za ledwie w końcu zostali zmuszeni do odwrotu. Sam zaś książę Pomorzan podczas ich przybycia był wewnątrz grodu i boląc się, że to całe wojsko nadciąga, uciekł inną bramą. A niestrudzony Bolesław nie stał w jednym miejscu, lecz spełniał swój obowiązek walecznego rycerza i dzielnego księcia, pojawiał się wśród swoich wyteżających się w walce, i zarazem zapobiegał przewidująco grożącym szkodom. Tymczasem jedni jedną, a inni inną bramę szturmowali, inni wiązali jeńców, inni nadmorskie zbierali bogactwa, inni wreszcie wyprowadzali pojmanych chłopców i dziewczęta. Bolesław więc rycerzy swych, jakkolwiek utrudzonych całodziennym szturmowaniem, za ledwie pod wieczór, i to z użyciem gróźb, zdołał odwołać od walki. Odwoławszy zaś rycerstwo i złupiwszy podgrodzie, odstąpił stąd Bolesław za radą starego Michała poza mury, spaliwszy przedtem wszelkie zabudowania. Wstrząśniony tym wypadkiem, cały naród barbarzyńców przeraził się gwałtownie, a sława Bolesława daleko i szeroko głoszona rozpowszechniała się. Stąd też utarła się powszechnie piosenka ułożona na tym tle, w której dość przystojnie dzielność ową i odwagę podniesiono w te słowa:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące –

My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!

Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali –

A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali;

Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie –

A my skarby i potwory łowim skryte w oceanie.

Gdy tak wielkimi trudami i drogą zmęczone rycerstwo pokrzepiło się już nieco udzielonym wypoczynkiem, znowuż Bolesław zwołał swe drużyny i na nowo wyzwiał Pomorzan do walki. Powód zaś do tej wyprawy dał Świętobor, jego krewniak\*, którego ród nigdy władcom polskim wierności nie dochował. Został bowiem samże Świętobor uwięziony na Pomorzu i przez pewnych zdrajców z państwa swego wyzuty. Niezmordowany zaś Bolesław, pragnąc uwolnić swego krewnego, zamierzył wszystkimi swymi siłami najechać ziemię Pomorzan. Lecz Pomorzanie, obawiając się zuchwałości Bolesława,



#### PRZYPISY AUTORA:

\* Świętobor był spokrewniony z Piastami przez małżeństwo jednej z córek Chrobrego z księciem pomorskim.

chytry powzięli plan: albowiem oddali mu krewniaka i takim sposobem uniknęli gniewu jego i napadu, którego nie byliby w stanie odeprzeć. Wracając stamtąd, Bolesław umówił się z królem Węgrów Kolomanem, wykształconym w książkowej wiedzy ponad wszystkich królów współczesnych, dzień i miejsce spotkania wyznaczył, na które jednak zawahał się przybyć król Węgier, bojąc się zasadzki. Wy-ścigany bowiem z Węgier owego czasu księżę węgierski Almus\* utrzymywany był przez księcia Bolesława z łaskawej gościnności. Później jednak, wymieniwszy między sobą dalsze poselstwa, zjechali się razem i zatwierdziwszy wieczyste braterstwo i przyjaźń, rozjechali się.

Tymczasem Skarbimierz, komes pałacowy Polski, wkroczył ze swymi towarzyszami broni na Pomorze, gdzie niemałą pozyskał dla Polaków sławę, wrogom swym wyrządzając szkody i zniewagę. Wolał on pozyskać sławę zdobywcy grodów i miast niż łupiecy wielu chociażby wsi i stad. Z zuchwałą przeto odwagą zdobył pewien gród, skąd wywiódłszy jeńców i łupy, cały spalił do gruntu.

Innym razem podobnie zdobył inny gród, zwany Bytom [właściwie Bytów na Pomorzu], skąd nie mniej wyniósł sławy i korzyści, jak z owego. Albowiem liczną zdobycz stąd wywiózł i jeńców, a miejsce owo pozostawił na kształt pustyni. Lecz to nie dlatego mówimy o Skarbimirze, by go w czymkolwiek z władcą jego porównywać, lecz by się trzymać prawdy historycznej.

Zatem waleczny Bolesław, skoro tylko powrócił z wiecu z Węgrami, inny wiec ułożył z bratem swym Zbigniewem, gdzie nawzajem sobie obaj bracia zaprzysięgli jeden drugiemu taki układ, że żaden z nich bez drugiego nie będzie wchodził z wrogami w umowy co do pokoju lub wojny ani też jeden bez drugiego nie zawrze z nikim żadnego przymierza, wreszcie że jeden drugiemu przyjdzie z pomocą przeciw wrogom i dostarczy wszelkich niezbędnych środków. Utwierdziwszy

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Almus, brat stryjeczny Kolomana I, który był królem Węgier w latach 1095-1116. Traktując go jako swego rywala, obawiał się Koloman, czy zaproszenie przez Bolesława Krzywoustego nie jest podstępem w interesie Almusa, cieszącego się poparciem księcia polskiego.

to przeto, umówili pod powagą tejże samej przysięgi dzień i miejsce, gdzie mieli się zejść z wojskami, i tak z wiecu się rozjechali. Przedsiębiorczy Bolesław pośpieszył, chcąc dotrzymać wiary, w umówionym dniu z garstką swoich na oznaczone miejsce, Zbigniew zaś nie tylko złamał wiarę i przysięgę, nie przybywając, lecz nadto wojsko brata, podążające za nim, z drogi odwołał. Skąd o mało taka szkoda i hańba nie wynikła dla królestwa Polski, że ani Zbigniew, ani ktokolwiek inny nie mógłby potem tego naprawić. Teraz zaś, w jaki sposób z pomocą Boską uniknął Bolesław tego niebezpieczeństwa, okaże się zaraz na następnej karcie.

Zdarzyło się, że pewien rycerz na pograniczu kraju zbudował kościół, na którego poświęcenie zaprosił księcia Bolesława, jeszcze dość chłopięcego, wraz z jego młodzieńcami. Dokonano tedy najpierw tej duchownej konsekracji, a następnie dołączono zaślubiny małżeńskie. Lecz jak bardzo nie podoba się Bogu łączenie z uroczystościami Bożymi zaślubin cielesnych, łatwo można stwierdzić z niebezpieczeństw, które częstokroć stąd wynikają; często bowiem zauważamy, że gdzie naraz poświęcenie kościoła odbywa się i zaślubiny małżeńskie, towarzyszą temu zamieszki i zabójstwa, skąd widać, że naśladowanie takiego zwyczaju nie jest ani dobrym, ani chwalebny. Atoli nie mówimy tego, by potępiać zaślubiny, lecz aby każdą rzecz odkładać do swojego czasu i swojego miejsca. Czego wyraźną wskazówkę Bóg Wszechmogący okazał przy poświęceniu kościoła rudzkie-go\*, albowiem wynikło tam i zabójstwo, i - jak wiadomo - jeden z kapłanów dostał obłędu, a sami także zaślubieni niefortunnym połączyli się małżeństwem - jak to wiadomo - i nawet jednej rocznicy zaślubin nie dopełnili. Lecz zamilczmy o cudownościach, a trzymajmy się naszego wątku! A więc waleczny Bolesław, ponad uctowanie i libacje przekładając rycerskie rzemiosło i łowy, pozostawiwszy starszych z całym tłumem przy biesiadzie, z kilku towarzyszami poszedł w lasy na łowy; lecz stało się na odwrót: natknął

#### PRZYPISY AUTORA:

\* W Rudzie nad Wartą w Sieradzkim. Ustęp o konsekracji kościoła w Rudzie jest dla przykładu wtrącony w opowiadanie, które dotyczy poświęcenia nieokreślonego bliżej kościoła na pomorskim pograniczu.

się na łowców! Bo właśnie Pomorzanie, rozsypawszy się po Polsce, gromadzili łupy i jeńców i szerzyli pożogę. Lecz wojowniczy Bolesław, jak lew smaganiem ogona podniecony gniewem, ani nie czekał na dostojników, ani na wojsko, lecz jak lwica po porwaniu jej szczeniąt łaknąca krwi, rozprószył łupieżców i ich czeladź błyskawicznie ostrzem miecza. Gdy zaś coraz bardziej i bardziej starał się ich doścignąć i klęskę kraju pomścić, nieświadomie wpadł w zasadzkę, gdzie mógł doznać niedającego się już naprawić losu. Sam jednakże, choć garstkę miał nieliczną, mianowicie 80, i to chłopaków i młodzieńców, owych zaś było 3000, nie rzucił się do ucieczki ani nie zawahał się uderzyć na tak wielką przewagę, lecz od razu ze swym drobnym szykiem wpadł na olbrzymią gromadę wrogów. Dziwne będą opowiadał rzeczy i dla wielu może nie do uwierzenia, i nie wiem, czy należy je przypisać li tylko zuchwałej odwadze. Gdy już swoich prawie wytracił, bo jedni zostali zabici, inni się rozpierzchli i tylko samopięt pozostał, po raz wtóry natarł na gęsto stłoczonych wrogów. I gdy po raz trzeci chciał koło zatoczyć, jeden z jego ludzi, widząc wnętrzości jego konia ciekące na ziemię, zawołał: „Nie wszczynaj, panie, więcej już walki! Oszczędzaj siebie, oszczędzaj ojczyzny, siądź na mego konia; lepiej, bym ja tu zginął niż ty sam, zbawienie Polski!“. Co usłyszawszy, zaledwie gdy koń padł, przystał na radę swego rycerza i tak przynajmniej trochę oddalił się z pola walki. A czując się bardzo osłabionym - i ponieważ nadto i Skarbimierza wojewody nie było wśród pozostałych - już zwątpił Bolesław w odzyskanie zwycięstwa. Skarbimierz bowiem, oddzielnie walcząc gdzie indziej, został ciężko zraniony i - czego bez łez w oczach niepodobna powiedzieć - prawego pozbawiony oka. Owi zaś, którzy siedzieli przy ucztach, usłyszawszy, co zaszło, zerwawszy się, pośpieszyli na pomoc swoim walczącym. Przybywając zaś, zastali Bolesława z garstką zaledwo 30, jednak

nieustępującego z poła walki, lecz z wolna podążającego śladem pierzchających wrogów. Lecz ani nieprzyjaciel stawianiem oporu nie dawał możliwości dalszej walki, ani nasi utrudzeni nie atakowali go więcej. Byli bowiem poganie tak zdumieni niezwykłym męstwem młodzieńca, że więcej mieli uznania dla niego, iż odważył się na taką walkę z tak małą garstką i tak zjadliwie nacierał, niżeli ochoty do szczylenia się smutnym zwycięstwem, śmiercią tylu okupionym. „Kim będzie - mówili - ten chłopiec, gdy dłużej pożyje? A gdyby więcej ludzi miał ze sobą, któż mu się będzie mógł oprzeć w walce?”. Tak to poganie, użalając się na poniesione straty i z trwogą rozpamiętywując doświadczone właśnie męstwo Bolesława, powrócili więcej obciążeni smutkiem niż zdobyczą. Bardzo wielu zaś na drugi dzień przybyło, nie tyle już z pomocą Bolesławowi, jak raczej z pociechą. Przybywający zaś tam dostojnicy doznali boleści wobec wygubienia tak wielu szlacheckiego rycerstwa i z pełnym uszanowaniem wytykali jednak Bolesławowi tak lekkomyślną odwagę. Syn zaś Marsa nie tylko nie dał posłuchu łającym go ani nie żałował, że się na takie rzeczy ważył, lecz upomniał ich z powołaniem się na przysięgę wierności, że mają mu pomóc do pomszczenia się na wrogu. Tyle zaś tamże Bolesław odniósł i wytrzymał uderzeń na pancerzu i szyszaku od włóczni i mieczów, że ciało jego poranione przez wiele dni dawało świadectwo odebranych ciosów. Toteż nieco mniej bolał nad swą młodzieżą, tak chlubnie poległą, ponieważ uważał sobie za większy zysk tak wielką rzeź nieprzyjaciół. Albowiem za jednego z zabitych lub ranionych rycerzy Bolesława można było liczyć więcej poległych Pomorzan.

Po tym wypadku Bolesław z tymże samym wojskiem zamierzał pomścić się na Pomorzanach i już po wyruszeniu w drogę doszła go leżąca przodem wieść o (zamierzonym) wyruszeniu Czechów na Polskę. Wtedy to w dużej niepewności zawisła decyzja Bolesława, czy najpierw bezpośrednio należy wziąć odwet (na Pomorzanach) za świeżą zniewagę, czy też od najeźdźców bronić swego kraju. W końcu, jako naśladowca Machabeuszów, podzieliwszy wojsko, pozostał i obrońcą ojczyzny, i mścicielem krzywdy. Wyprawił bowiem na Pomorzan część wojska, która grabiąc i paląc, dość sromotnie ich zdeptała - sam zaś z lekkozbrojnymi rycerzami pośpieszył zająć drogę Czechom i przez dłuższy czas wyczekiwał wychylenia się ich z lasów; lecz na wieść o Bolesławie strach skłonił ich do odwrotu.

Nie tylko zaś niezgoda z sąsiadami i walka z wrogami dawała się we znaki Bolesławowi, lecz nadto zamieszka domowa, mianowicie nienawiść braterska zagrażała mu wszelkimi sposobami. Albowiem Zbigniew więcej się cieszył, że wspomniana wyżej walka cokolwiek upokorzyła Bolesława, niż że tylokrotnie zwycięstwa go wywyższały. Czego wyraźnym objawem okazało się to, że od pogan przyjmował dary, jako oznaki ich zwycięstwa, i posłom ich odwdzięczał się dużymi darami za małe. A jeżeli, łupiąc Polskę, z działu Bolesławowego jeńców przywozili z sobą, to natychmiast ich transportowali na sprzedaż na wyspy barbarzyńców; jeśli zaś cokolwiek, czy lupy, czy ludzi, przez pomyłkę zagarnęli z działu Zbigniewowego, to bez-zwłocznie mu i bez zapłaty odsyłali. Czym oburzeni wszyscy rozumni ludzie w Polsce z przyjaźni do Zbigniewa przerzucili się do nienawiści, tak do siebie mówiąc nawzajem i takie podejmując rady: „Aż dotąd nazbyt cierpliwie znosiliśmy w kraju naszym niezgodę i szkody, czy to z niedbalstwa, czy też przez pomijanie milczeniem, teraz zaś wyraźnie widzimy we wrogach ukrytych - otwartych wrogów, zaś w spiskach tajemnych - jawne! Wiemy to bowiem i jesteśmy pewni, ponieważ

częstokroć w naszej obecności zaprzysiął to Zbigniew Bolesławowi, zatem nie raz lub trzykroć, lecz wielokroć krzywo przysiął, ponieważ ani nie zachowywał przyjaźni z przyjaciółmi brata, ani wobec wrogów jego nie występował nieprzyjaźnie, lecz owszem na odwrót był przyjacielem wrogów brata, a wrogiem przyjaciół. Nie wystarczało mu zaś samo tylko łamanie zaprzysiężonej wiary lub niedostarczenie przyrzeczonych pod przysięgą posiłków, lecz nawet, gdy się domyślał, że brat wybiera się na wrogów, pobudzał innych nieprzyjaciół, by z innej strony wpadli w granice Polski, i w ten sposób zmuszał go do odstąpienia od przedsięwzięcia". Tenże zaś Zbigniew słuchał widocznie dość naiwnych i szkodliwych dlań rad, skoro z zawiści do kilku obrażał cały kraj i ojcowskie dziedzictwo wystawiał na podeptanie przez wrogów. A ponieważ Zbigniew, w myśl podsuwanej mu złej rady, ani wiary bratu nie dochowywał, ani przysięgi, ani honoru kraju i ojcowskiego dziedzictwa nie bronił, ani nie troszczył się o zagrażającą klęskę lub szkodę, niestety! - do cięższego stąd doszedł upadku, skąd pragnął wywyższenia i skąd im nie będzie mógł być podźwigniętym przez swych złych doradców\*. Niech stąd czerpią przestrożę potomni i współcześni, aby nie by{0 w królestwie dwóch równych sobie a różniących się z sobą współrządców!

Bolesław zaś to wszystko samemu powierzał Bogu i krzywdę ze strony brata dotąd spokojnie znosił, i zawsze zajęty, obchodził Polskę wkoło jak lew ryczący dla postrachu. Tymczasem zwiastowano mu przypadkiem, że gród Koźle na pograniczu od strony Czech sam przez się spalił się, a bynajmniej nie przez wrogów. Przypuszczając, że ktoś to uczynił przez zdradę, i nie wątpiąc, że Czesi pośpieszą, by ten gród obwarować, natychmiast tamże z bardzo nieliczną garstką pośpieszył i własnymi rękami robotę rozpoczął na miejscu. Już bowiem do takiego utrudzenia przywiódł swoich ludzi, tak wiele i tak długo jeżdżąc raz tu, raz ówdzie, że wydawało się krzywdzącym znowu ich tak nagle przywoływać. Jednakże wezwał i swoich do pomocy, i brata zaprosił przez zupełnie odpowiednich posłów, te przesyłając mu wyrazy: „Ponieważ, bracie, choć wprawdzie starszy jesteś wiekiem, a równy godnością (władzą) i podziałem królestwa, mnie samemu, młodszemu, pozwalasz cały podejmować trud, ani się do wojen i rad królestwa nie wtrącasz, więc albo obejmij całą pieczę i bezpieczeństwo królestwa na siebie, jeśli chcesz być wyższym, albo też mnie, prawemu synowi, choć młodszemu wiekiem, ponoszącemu cały ciężar obrony kraju i cały wytrzymującemu trud przynajmniej nie szkodź, jeśli już nie chcesz pomagać. Jeślibyś zaś ową troskę przyjął na siebie i w prawdziwym dla mnie pozostał braterstwie, to dokądkolwiek mnie zawezwiesz na wspólną naradę i dla pożytku królestwa, znajdziesz we mnie zawsze ochoczego współpracownika. Albo też, jeśli przypadkiem wolałbyś żyć spokojnie niż podejmować się tak wielkiego trudu, powierz mnie wszystko, a tak za łaską Bożą będziesz bezpieczny!". Na to Zbigniew bynajmniej nie dał przystojnej

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Ten fragment zdaje się wskazywać, że autor napisał go po ostatecznej klęsce i upadku Zbigniewa, czyli po roku 1112.

odpowiedzi, lecz posłów za karę w kajdanach do więzienia wsadził- Już bowiem zebrał całe swe wojsko, by napaść na brata, i zarazem przyzwał sobie Czechów i Pomorzan celem

wypędzenia go z Polski- Tymczasem Bolesław, umocniwszy gród (Koźle), nic o tym nie wiedząc, przesiadywał w miejscowości zwanej Kamień i tam mając leże, wedle zwyczaju z pobliza nadśluchiwał wieści i odbierał poselstwa i szybciej mógł niespodzianie wypaść przeciw wrogom. Posłowie wreszcie, zaledwie z pomocą przyjaciół uwolnieni, powrócili do Bolesława, zwiastując, co widzieli i słyszeli. Co postyszawszy, Bolesław długo zmagął się z wątpliwością, czy ma stawić opór, czy też poniechać, lecz wszedłszy w głąb swego serca, czym szybciej zgromadził swe wojsko i wyprawił posłów do króla Rusinów i Węgrów o pomoc. Bo przecie jeśli by sam własnymi siłami lub za ich pomocą niczego nie mógł dokonać, to przez (bezczyenne) oczekiwanie straciłby i samo królestwo, i nadzieję królestwa.

Waleczny więc Bolesław, trzema osaczony wojskami, zastanawia się nad tym, których ma najpierw wyczekiwać lub na których napaść, i jako lew lub dzik, osaczony przez psy moloskie, ujadaniem psów i trąbami łowców pobudzany był do wściekłości. Lecz wszyscy oni tak dalece obawiali się Bolesława, że gdy on stanął w pośrodku, nie śmieli zejść się razem na umówionym miejscu. Tymczasem zaś przyniesione zostały listy Zbigniewa, przychwycone wraz z posłańcami, z których okazały się liczne zdrady i spiski. Przeczytawszy je, zdumiał się każdy rozumny człowiek, a cały lud biadał nad niebezpieczeństwem. Ostatecznie zaś Bolesław rozsądnie dosyć i przystojnie zawarł tymczasowo pokój z Czechami, a zwoławszy wojsko, postanowił wypędzić Zbigniewa. Zbigniew zaś, nie myśląc już o dokonaniu tych (zamierzeń) lub prowadzeniu walki, nie czekał na przybycie brata ani też nie zatrzymał się bezpiecznie w grodach czy miastach, lecz uciekając jak jeleń, przepłynął rzekę Wisłę.

Bolesław tedy, bezzwłocznie przybywając do Kalisza, napotkawszy tam na opór garści wiernych Zbigniewowi, w kilku dniach i ten gród zajął, i odebrawszy poselstwo, własnego komesa ustanowił w mieście Gnieźnie. Stąd posuwając się naprzód do Spicymierza, uwięził wiernego starca [arcybiskupa Marcina], którego zaledwie po odebraniu wiadomości o poddaniu się jego stolicy (arcybiskupiej) wypuścił, a wzięwszy go z sobą, do przeniesionej stolicy Łęczycy pośpieszył i tamże stary gród przeciw Mazowszu naprawił. Wtedy dopiero nadpłynęły posiłki Rusinów i Węgrów, z którymi wyruszając w drogę, przeprowił się przez Wisłę. Wówczas Zbigniew doprowadzony został do desperacji i za pośrednictwem księcia ruskiego Jarosława oraz Baldwina biskupa krakowskiego przyprowadzony został przed brata, by dać zadośćuczynienie i oświadczyć posłuszeństwo. Wtedy dopiero uznał się za niższego od brata, wtedy też ponownie wobec wszystkich zaprzysiął, że nigdy bratu nie będzie przeciwny, lecz we wszystkim będzie posłuszny i zburzy gród Galla [miejscowość nieodgadniona, być może Golin nad Wartą albo też Kurzelów]. Wtedy uzyskał od brata tyle, że zatrzymał Mazowsze jako rycerz, nie zaś jako władca udzielny. Po pogodzeniu się zatem braci wojsko Rusinów i Węgrów wróciło do domów, Bolesław zaś krążył po Polsce, dokądkolwiek mu się podobało.

Znowu czasem zimowym zebrali się Polacy w celu wkroczenia na Pomorze, by tym łatwiej zająć warownie wobec pokrytych lodem bagien. Wtedy to przekonał się Bolesław o wiarołomstwie Zbigniewa, ponieważ otwarcie okazał się krzywoprzysięzcą w tym wszystkim, co zaprzysiął. Grodu swego, który Gallus zbudował, nie zburzył ani też, wezwany bratu na pomoc, jednego szyku nawet nie wystawił. Księżę zaś północny, zaniepokojony cokolwiek tym podstępem, nie porzucił przecież swego postanowienia, ufność serca pokładając w Bogu,

nie w bracie. Niby więc smok, który ogniem zionąc, samym tchnieniem pałac otoczenie, a to, co nie spłonęło, rozbijając giętkim ogonem, przebiega ziemię, by czynić spustoszenia - tak Bolesław napada Pomorze, tępiąc żelazem opornych, a ogniem warownie. Lecz pomińmy to, co działał, idąc i przechodząc przez kraj, a przystąpmy do oblężenia miasta Białogrodu w głębi kraju. Przybywszy więc Bolesław pod miasto, które uważane jest jakoby środkowe ognisko krainy, rozbija obóz, przygotowuje maszyny, którymi by łatwiej i z mniejszym niebezpieczeństwem mogło być zdobyte. Zbudowawszy je, gorliwie pracował orężem i podstępem tak, że wreszcie zmusił po niewielu dniach załogę do poddania miasta. Zająwszy je, umieścił tam swoich żołnierzy, a dawszy znak i zwinąwszy obóz, pośpieszył nad wybrzeże morskie. I gdy już skręcał ku miastu Kołobrzegowi i przemyślał nad zdobyciem grodu najbliższego morzu, jeszcze przed przystąpieniem do miasta, wtedy oto (zjawili się) mieszkańcy miasta, z pochylonymi kornie karkami postępując naprzeciw Bolesława, ofiarując się z wiernością i posłusznymi służbami. Sam także książę Pomorzan, przybywając, zwrócił się do Bolesława i siedząc na koniu, oświadczył mu się z posłuszeństwem i służbami rycerskimi\*. Przez pięć tygodni następnie jeździł po Pomorzu, wyczekując i szukając walki, i całe prawie owo państwo bez walki ujarzmił. Takimi przeto tytułami chwały wielbić należy Bolesława i takimi zwycięskich wojen triumfami wieńczyć!

Lecz wraz z tą radością z powodu triumfalnego zwycięstwa zesła się równocześnie większa radość wobec urodzenia mu się syna z królewskiego rodu\*\*. Niechaj zaś rośnie w lata chłopię, niech postępuje w zacności, niech wzmacnia się w zbożnych obyczajach - wystarczy nam opowiadania o ojcu, jeśli mamy się trzymać rozpoczętego wątku.

Widząc więc Bolesław, że brat żadnej nie dochowywał wiary we wszystkim, co przyrzekł i przysiągł, i ponieważ całemu krajowi zawadzał, jako szkodliwy i winny, wypędził go z całego królestwa Polski, a opornych sobie, broniących grodu na pograniczu kraju, pokonał z pomocą Rusinów i Węgrów. Tak to skończyło się władztwo Zbigniewa przez złych doradców, i całe królestwo Polski zostało pod władztwem Bolesława zjednoczone. A gdy dokonanie takich dzieł zimową porą wielu wystarczyłoby do utrudzenia, Bolesław przecież niczego nie uważa za zbyt ciężkie, gdzie widział możliwość powiększenia pożytku lub sławy królestwa.

A więc wkroczył do Prus, kraju dość dzikiego, skąd, szukając a nie znajdując sposobności do walki, powrócił z obfitym łupem, rozszerzywszy pożogę i wzięwszy jeńców. Lecz skoro trafiła się przypadkiem

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Autor ma na myśli złożenie hołdu.

\*\* Nieznany z imienia, urodzony około 1107-1108 roku.

sposobność do wzmianki o owej krainie, nie będzie od rzeczy dodać cośkolwiek z opowiadania starszych. Mianowicie za czasów Karola Wielkiego, króla Franków, gdy mu Saksonia stawiała opór i nie chciała przyjąć jarzma jego panowania ani wiary chrześcijańskiej, lud ów na łodziach przyplynał z Saksonii i zagarnął tę krainę, a od kraju

przyjął nazwę. Dotąd tak bez króla i bez praw pozostają i nie odstępują od pierwotnego pogaństwa i dzikości. Ziemia zaś owa tak dalece obronna jest jeziorami i bagnami, że nie mogłaby nawet zamkami i grodami być tak ubezpieczoną; toteż nie zdołał jej dotąd nikt podbić, ponieważ nikt nie mógł z wojskiem przeprowadzić się przez tyle jezior i bagien.

Teraz zaś Prusaków z nierozumnymi pozostawmy zwierzętami, a dla istot obdarzonych rozumem opowiedzmy pewne zdarzenie, raczej cud Boski. Zdarzyło się przypadkiem, że Pomorzanie wypadli z Pomorza i rozbiegli się wedle zwyczaju po Polsce za zdobyczą. Gdy się tak rozdzielili i rozbiegli na wsze strony, wszystkim czyniąc krzywdy i przewrotności, niektórzy z nich jednak na większe odważyli się zbrodnie, bo samego metropolite i Kościół święty opadli. Mianowicie Marcin, arcybiskup gnieźnieński, wierny starzec, przystępował przed kapłanem do spowiedzi w kościele swoim w Spicymierzu, mając słuchać mszy, a zamierzając udać się gdzie indziej, osiodławszy już konie wydawał zarządzenia co do swej podróży. I tak bez wątpienia zostaliby tamże wszyscy razem zamordowani lub też zarówno pan, jak i sługa pojmani by zostali w więzy niewoli, gdyby nie to, że któryś ze służących, stojących na zewnątrz, rozpoznawszy broń (zbliżających się), przybiegł do drzwi kościoła i zawołał, że tuż nadchodzą Pomorzanie. Wtedy zaś arcybiskup, ksiądz i archidiakon, zatrwożeni, zmuszeni byli już zwątpić w życie doczesne, nie wiedząc, jaką znaleźć radę, co czynić lub dokąd uciekać. Broni żadnej, służba nieliczna, wróg w bramie, a co się jeszcze niebezpieczniejszym wydawało, że kościół drewniany tym łatwiejszy był do podpalenia. W końcu archidiakon, przez drzwi wychodząc, chciał przez zakryty ze wszech stron zegar słoneczny<sup>1</sup>

#### PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> W wydaniu Kroniki polskiej Galla Anonima z 1965 roku Marian Plezia, który przekład Romana Gródeckiego „przejrzał, wstępem i przypisami opatrzył”, zamiast „zakryty ze wszech stron zegar słoneczny” podaje „kryty podcień” (przyp. red.). dostać się do koni i tak spodziewał się uciec. Lecz opuszczając bezpieczne schronienie i szukając ocalenia, zszedł z drogi zbawienia, bo właśnie zaszedł drogę wpadającym tamże Pomorzanom. Schwyciwszy go, poganie, sądząc, że to arcybiskup, gwałtownie się ucieszyli, umieściwszy go na wózku, nie wiązali go ani nie bili, lecz strzegli z szacunkiem. Tymczasem zaś arcybiskup Bogu się polecił ślubami i modlitwami, przeżegnał się świętym znakiem krzyża, i ten starzec drżący nie zawahał się wyleźć tam, gdzie chyba tylko jako młodzieniec nie lękałby się wspinać. Nie do uwierzenia, jak niebezpieczeństwo śmierci i nagły strach dodał sił, których już wiek zgrzybiały odmawiał. Kapłan zaś, tak jak był gotów, wsunął się za ołtarz, i tak obaj, arcybiskup i ksiądz, przy pomocy Bożej uniknęli rąk wrogów. Albowiem pogan wpadających do kościoła tak oślepił majestat Boski, że żaden z nich nie przypomniał sobie, by wyleźć na górę lub zajrzeć za ołtarz. Zabrali jednak relikwie z podróznego ołtarza arcybiskupa oraz kościelne i natychmiast z nimi i z pojmanym archidiakonem odeszli. Ale Bóg Wszechmogący, jak arcybiskupa, kapłana i kościół ocalił, tak też później relikwie i całe sanktuarium nieskalane i niesplugawione przywrócił arcybiskupowi. Którykolwiek bowiem z pogan posiadał relikwie lub szaty święte, lub naczynia sanktuarium, to albo epilepsji dostawał, albo też strasznego szaleństwa. Wobec tego, zatrwożeni wszechmocą Boga, zmuszeni zostali uwiezionemu archidiakonowi oddać wszystko. Samże ów archidiakon zdrowy i nietknięty

powrócił z Pomorza, a tak wszystkie swe rzeczy odzyskawszy, uczcił arcybiskup Boga, przedziwnego w tych Jego dziełach. Od tego dnia z wolna zaczynają zanikać Pomorzanie, i już później nie odważyli się tak zapędzać do Polski.

Więc przedsiębiorczy Bolesław ponownie wkroczył na Pomorze i przystąpił z wielkimi siłami do oblężenia grodu Czarnkowa. Sporządziwszy maszyny różnego rodzaju i wzniosłszy wieże wynioślejsze od obwarowań grodowych, tak długo orężem i tymi przyrządami atakował miasto, aż je, po skutecznym poddaniu się, objął pod swą władzę. Ponadto wielu przywiódł od pogaństwa do wiary i samego władcę grodu podniósł ze źródła chrztu św.\* Gdy zaś to postyszeli poganie i ich władca, że tak łatwo uległa hardość czarnkowiec, sam książę pierwszy ze wszystkich zwrócił się do Bolesława lecz żaden z nich dwóch nie dochował wierności przez dłuższy czas Albowiem później ów ochrzczony, duchowy syn Bolesława, wielorakie popełniał zdrady, godne kary śmierci. Lecz że o tym w swoim miejscu mamy mówić, obecnie pokryjmy milczeniem, aż sprowadzimy cesarza z Węgier, Bolesława zaś z Czech, i aż przytoczymy, jeśli się cośkolwiek przedtem zdarzyło.

Teraz tedy od Pomorzanie zwróćmy się do Czechów, byśmy nazbyt długo zabawiając się tym samym tematem, nie wydawali się zbyt opieszali. Więc gdy Bolesław stał na straży kraju i wszelkimi siłami dbał o honor ojczyzny, zdarzyło się przypadkiem, że pojawili się Morawianie, chcąc ubiec gród Koźle w tajemnicy przed Polakami. Wówczas to Bolesław wysłał pewnych dzielnych rycerzy do zajęcia, jeśli to było możliwe, Raciborza, sam jednak dla tej przyczyny nie zaniechał łowów i wypoczynku. Owi zaś dzielni rycerze odeszli i stoczyli walkę z Morawianami, w której kilku wybitnych spośród Polaków padło w boju, jednak ich towarzysze odnieśli zwycięstwo i zdobyli gród. Tak wybici zostali Morawianie w walce i tak owi w grodzie (Raciborzu), nie wiedząc o niczym, zostali zagarnięci.

Tymczasem cesarz Henryk IV wkroczył na Węgry, gdzie niewiele zyskał pożytku i sławy. My jednak obecnie nie zajmujemy się czynami cesarza lub Węgrów, lecz wzmiankując to tylko, mówić będziemy o wierności i męstwie Bolesława.

Albowiem między królem Węgrów Kolomanem a księciem Polski Bolesławem stanęła przysięga, że jeżeli cesarz wkroczy do kraju jednego z nich, to drugi z nich tymczasem będzie trzymał na uwięzi Czechy. Skoro zatem cesarz wkroczył na Węgry, Bolesław także, dochowując wiary, w środku lasów stoczywszy walkę, zwycięsko utrzymał w szachu Czechy, gdzie przez trzy dni i noce, pałac, zniszczył trzy

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Chrztu w tym czasie dokonywano przez całkowite zanurzenie chrzczonego w wodzie.

kasztelanie i jedno przedmieście, i tak szybko cofnął się ze względu na Pomorzanie, którzy przez zdradę zajmowali jego grody.

Już w jego nieobecności obiegli Pomorzanie gród Bolesława Uście i już go Polacy Pomorzanie wydali za podszeptem zdradzieckim Gniewomira. Był to zaś ów Gniewomir z grodu Czarnkowa, zdobytego przez Bolesława, i którego sam on podniósł ze źródła chrztu Św., i innych zabiwszy, jego zachował przy życiu i w tymże grodzie osadził jako pana. Ten



zaś niewierny, wiarołomny, niepomny dobrodziejstwa, przewrotną radą doradził grodzianom wydać gród, kłamiąc, że Bolesław pobity przez Czechów i już został wydany Niemcom. Gdy przeto wojsko odbywało tak uciążliwą i tak niebezpieczną drogę po-wrotną z Czech, nie oszczędzał ani siebie, ani ludzi zmęczonych, ani koni spotniałych, ani we dnie, ani w nocy nie wypoczywał, aż spiesznym marszem przybył tamże z nielicznymi, których z wielu mógł wybrać; a jeżeli nic więcej nie zdziałał, to stało się przynajmniej wiadomym, że chce pomścić zniewagę, i okazało się jasno, że jest zdrow i niezwyciężony. Nikt się bowiem nie przygotował do wojny z nim, nikt mianowicie nie zaszedł drogi powracającemu, by z nim walczyć, i tak ani nie zadając strat, ani nie ponosząc, powrócił.

Tymczasem, dawszy nieco wypocząć koniom i żołnierzom, przygotowuje się Bolesław do powrotu na Pomorze, znowu sprawiając oddziały do walki. Wkroczywszy zatem na ziemię wrogów, nie ubiega się za łupami i stadami bydła, lecz obiegłszy gród Wielen [nad Notecią na granicy Pomorza], buduje maszyny i różnego rodzaju narzędzia. Wobec tego grodzianie, wątpiąc w życie i w samym tylko orężu pokładając ufność, wznoszą wały, zniszczone naprawiają, przygotowane wcześniej pale i kamienie wciągają na wierzch, pośpieszają zabarykadować bramy. Gdy więc maszyny przygotowano i wszyscy się uzbroili, Polacy przypuścili zewsząd atak mężny na gród, zaś Pomorzanie nie mniej (dzielnie) się bronią. Polacy dla triumfu sprawiedliwości tak dzielnie następowali, Pomorzanie stawiali opór, broniąc wrodzonej przewrotności i zbawienia własnego. Polacy sięgali po sławę, Pomorzanie bronili wolności. Na koniec przecie Pomorzanie, ciągłymi trudami i strażami zmęczeni, przekonując się, że nie mogą opierać się tak dużym siłom, spuścili nieco z pierwotnej pysznej wyniosłości i poddali się oraz gród, biorąc w zakład rękawicę Bolesława. Atoli Polacy, pomni na tyle trudów, tyle śmierci, tyle srogich zim, tyle zdrad i zasadzek, wszystkich pozabijali, nikogo nie oszczędzając ani nie słuchając nawet samego Bolesława, który tego zakazywał. Tak to powoli wytepia Bolesław opornych i krnąbrnych Pomorzan, jak zresztą powinni według prawa być tępieni niewierni. Gród zaś Bolesław lepiej umocnił w celu zatrzymania go w swych rękach, a uzbroiwszy go w niezbędne środki, osadził tamże własnych żołnierzy.

W następne lato jednak znowu zebrawszy się, wtargnęli Pomorzanie na Mazowsze po zdobycz. Lecz jak kusili się o to, by im Mazowszanie dostarczyli łupów, tak sami zostali zmuszeni stać się łupem Mazowszan. Mianowicie, rozbiegłszy się po Mazowszu, gromadząc zdobycz i jeńców i paląc budynki, już bezpieczni z łupami stali i ani nie przypuszczali walki. A oto komes imieniem Magnus, który wtedy rządził Mazowszem, z Mazowszanami, niewielu wprowadzie co do liczby, lecz dzielnością starczącymi za wielu, wszczął walkę straszną przeciw liczniejszym, wprost niezliczonym poganom, przy czym Bóg okazał swą wszechmoc. Albowiem mówią, że z pogan poległo tam więcej niż 600, i cały łup i jeńców odebrali im Mazowszanie, co do reszty zaś też nie ma wątpliwości, że zostali pojmani lub uciekli. Oczywiście Szymon, biskup owej okolicy, szedł za swymi owieczkami, poszarpanymi wilczymi zębami, z żalonym głosem, wraz ze swymi klerykami, przyodziany w infule kapłańską, i czego nie przystało mu czynić ziemskim orężem, tego starał się dokonać bronią duchowną i modlitwami. I jak dawniej synowie Izraela pokonali Amalechitów modlitwami Mojżesza, tak właśnie Mazowszanie osiągnęli swe zwycięstwo nad Pomorzanami

wspomożeni modłami swego biskupa. Następnego też dnia dwie kobiety, zbierając poziomki po bezdrożach, znalazły jednego żołnierza Pomorzan, odniosły nowe zwycięstwo, bo obdarły go z broni, związawszy ręce z tyłu, przyprowadziły go przed oblicze komesa i biskupa.

Również żołnierze Zbigniewa z Czechami, łupiąc po krainie śląskiej i pałac, w podobnie niefortunny sposób pobici zostali przez miejscową ludność, niektórzy zaś zostali pojmani, inni mieczem zabici- Opowiedziawszy te pomniejsze szczegóły, spoczniemy nieco, by przystąpić do trzeciej księgi, złożonej z większych spraw.

„Większe sprawy” już się właściwie zaczęły, i to na dobre. Sam Gall oznaczył ich początek, wprowadzając do kroniki postać władcy Niemiec. Anonim zowie go Henrykiem IV i na zapas niejako tytułuje cesarzem, świadom tego, co stało się nieco później, czyli jego rzymskiej koronacji w roku 1111. Historia zna tę postać jako Henryka V ostatniego przedstawiciela dynastii salickiej albo frankońskiej.

Henryk V objął władzę w roku 1106 i od razu zaskoczył Europę w sposób bardzo niemiły. Spodziewano się powszechnie, że chwila jego wstąpienia na tron przyniesie pożądany kres walce cesarstwa z papieżem. Aż dotychczas Henryk nie tylko uchodził, ale sam się podawał za zwolennika reform gregoriańskich. Potwierdzał to czynami. Walczył z własnym ojcem, Henrykiem IV (tym z Canossy), wzniecił przeciwko niemu bunt poddanych, wziął rodziciela do niewoli i przymusił do zdjęcia korony. To było w roku 1105. W dwa lata później poselstwo Henryka V — wysłane zresztą nie do Rzymu, lecz do Francji, gdzie papież chwilowo bawił - zażądało od Paschalisa II ustępstw niesłychanych, takich, których przyjęcie równałoby się kapitulacji Kościoła. Jak najczęściej bywa, chwila objęcia władzy okazała się punktem zwrotnym. Wszystko, co było przedtem, stanowiło maskę i pozór. Opinia zwolennika reformy była Henrykowi potrzebna tylko do czasu.

Paschalis II nie skapitulował. Wyprawa na Rzym należała do zadań poważnych, toteż Henryk V postanowił przed wymarszem na zachód uporządkować wschód, gdzie z jego punktu widzenia nie wszystko dobrze wyglądało. Pod mądrym i okrutnym królem Kolomanem Węgry osiągnęły ten stopień potęgi, którego nigdy jeszcze nie miały. Po śmierci Władysława Hermana Polska przestała okazywać uległość. Czechy również zaczynały chadzać własnymi drogami i porządki cesarskie zaczęły się właśnie od nich.

Henryk wezwał do Niemiec skłóconych książąt Borzywoja i Światopełka, pierwszego z nich obdarzył łaską i wysłał do Pragi jako panującego, drugiego uwięził. Ponieważ jednak Borzywojowi się nie powiodło, a Światopełk obiecał znaczną sumę pieniędzy, on z kolei został wybrańcem Henryka. Z przyrzeczenia się wywiązał, obdarłszy własny kraj bez litości, i razem z cesarzem ruszył na Węgry, związane z Polską przymierzem zaczepno-odpornym.

W przytoczonym już rozdziale drugiej księgi kroniki opowiadał nam Gall, jak wierny przysiędze Bolesław uderzył na Czechy i odniósł tam sukces (który, co kronikarz przemilczał, zaprowadził go w pobliże Pragi). Światopełk musiał wycofać się z Węgier, dywersja polska znacznie dopomogła Kolomanowi do zwycięstwa.

Trzecia księga kroniki Anonima zaczyna się od opisu zdobycia Nakła 10 sierpnia 1109 roku. Może się komuś wydawać dziwne, że Krzywousty, stojąc wobec niebezpieczeństwa niemieckiego, tracił czas i siły na Pomorzu. Całkiem niesłusznie! Wiedząc, co go czeka ze strony cesarza, zabezpieczał sobie Bolesław skrzydło północne. Operacja pod Nakłem przygotowywała „większe sprawy”.

Zwróćmy pilną uwagę, że Krzywousty rozporządzał swymi drużynami, jak chciał. Wodził je z jednej wyprawy na drugą, bez względu na odległość i porę. Cesarz również miał prawo powoływać wasali na wojnę, lecz nie dłuższą niż trzy miesiące w roku. Po upływie tego terminu każdy rycerz germański mógł wracać do domu i skwapliwie to czynił. Polski książę miał bez porównania mniej sił, lecz znacznie więcej władzy niż cesarz niemiecki.

Wśród niezliczonych wprost pamięci godnych dzieł wojennych Bolesława III między pierwszymi wymienić należy, jak to w dzień św. Wawrzyńca przygodziło się Pomorzanom, jak ukrócony został gniew cesarza i jak najeżdżczym stawiano opór Niemcom. Na pograniczu Polski i Pomorza znajduje się mianowicie pewien gród, zwany Nakło, obronny bagnami i umocniony sztucznie. Celem zdobycia go, obiegi go dzielny książę ze swym wojskiem, szturmując orężem i machinami.

I gdy załoga ujrzała, że nie jest w stanie stawić oporu takiej masie wojsk, ale jeszcze spodziewała się odsieczy od swych książąt, zażądała zawieszenia broni, naznaczając ściśle pewien dzień, w którym - jeśli od swoich nie doczeka się pomocy - odda siebie i miasto pod władzę wrogów. Zgodzono się wprawdzie ze strony polskiej na zawieszenie broni, o ile to dotyczyło atakowania ich, lecz bynajmniej nie przerywano przygotowań oblężniczych. Tymczasem wysłańcy załogi zetknęli się z wojskiem Pomorzan i zawiadomili o zawartej z wrogami umowie. Wtedy Pomorzanie, wzburzeni posłyszana od wysłańców wiadomością, ślubując wraz albo polec za ojczyznę, albo zwyciężyć Polaków. Porzuciwszy więc konie, aby przez zrównanie bezpieczeństwa wszystkich podniosła się ich odwaga i ufność (we własne siły), nie trzymając się dróg żadnych ani ścieżek, wprost przebijali się przez gąszcza leśne i legowiska dzikiego zwierza, i wynurzyli się z lasów, jak myszy polne ze swych nor, nie w dniu oznaczonym (na poddanie), lecz w uroczystość św. Wawrzyńca; za jego też przyczyną zginęli nie od ludzkiej, lecz od Boskiej ręki. Niech będzie pochwalony Bóg w świętych swoich! - właśnie bowiem był to dzień świąteczny św. Wawrzyńca męczennika i te same godziny pospólstwo wiernych wracało z uroczystych mszy Św., a oto nagle wprost z bliska wojsko barbarzyńców zaszło im drogę. - O! święty Wawrzyńcze męczenniku, pośpiesz z pomocą wiernemu ludowi! - Cóż mają robić teraz chrześcijanie, kędy się zwrócić? Wojsko nieprzyjacielskie (pojawiło się) niespodzianie, nie ma czasu na sprawianie szyków, naszych niewielu, nieprzyjaciel liczny, na ucieczkę już za późno, zresztą nie zwykł był nigdy uciekać Bolesław! - O! święty Wawrzyńcze męczenniku, broń swego ludu przed przemocą! - Uszykowawszy tedy żołnierzy, ilu ich tylko było, we dwa zaledwie szyki, komendę nad jednym objął sam waleczny Bolesław, nad drugim zaś jego chorąży Skarbimir. Co do reszty wojska bowiem, to jedni szukali paszy dla koni, inni poszli za żywnością, inni zaś strzegli dróg i ścieżek, wypatrując zjawienia się wroga. Bez zwłoki też wyprowadza nieustraszony Bolesław swe szyki, tak pokrótce napominając żołnierzy: „Wasza pobożność oraz groza zachodzącego niebezpieczeństwa i miłość ojczyzny silniej do was przemówią, niezwyciężeni

moi chłopcy, niż moja mowa. Dziś, za łaską Boga a wstawieniem się św. Wawrzyńca, bałwochwalstwo Pomorzan i ich duma rycerska starte zostaną naszymi mieczami!". I nie tracąc czasu na dłuższą przemowę, zaczął wrogów wokoło okrążyć, ponieważ ci tak się razem skupili i powbijali włócznie swe w ziemię, zwróciwszy je ostrzami przeciw napadającym, że nikt nie byłby w stanie w środek ich się przedostać samym tylko męstwem, lecz jedynie zażywszy podstęp; jak bowiem wyżej już powiedziano, byli oni prawie wszyscy piesi i nieuszykowani do bitwy obyczajem chrześcijańskich wojsk, lecz jak wilki zasadzające się na owce przyczaili się, klęcząc na zgiętych kolanach na ziemi. I gdy na niestrudzonego Bolesława, który raczej zdawał się latać niż biegać, ukazując się wszędzie, zwrócił wróg całą czujność, wtedy Skarbimir, upatrzwszy miejsce umożliwiające wpadnięcie w środek nieprzyjaciół, bez zwłoki wdziera się z przeciwnej strony w ich stłoczone klinowe szyki. Rozbici w ten sposób i otoczeni barbarzyńcy zrazu dzielny stawili opór, lecz wreszcie zmuszeni zostali do ucieczki. Co prawda, padło tam niemało dzielnych rycerzy spośród chrześcijan, lecz ze 40 tysięcy pogan uszło zaledwie 10 tysięcy. Świadczę się Bogiem, za którego sprawą, i św. Wawrzyńcem, za którego prośbami dokonano tego pogromu; zdumiewali się wszyscy obecni, w jaki sposób garstka, licząca mniej niż tysiąc rycerzy, dokonać mogła takiej rzezi. Sami Pomorzanie podobno obliczyli dokładną liczbę swoich tamże poległych na 27 tysięcy; a ci, którzy znaleźli się w bagnach, wydobyć się już z nich nie zdołali! Załoga zaś miasta, widząc, że cała jej nadzieja się rozwiła i nie ma już celu skądinąd od nikogokolwiek wyczekiwać pomocy, poddała miasto za cenę życia. Połyszawszy o tym, załogi sześciu innych grodów także samo powzięły postanowienie, mianowicie poddały się wraz z warowniami.

Karol Maleczyński określa siły cesarza na jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Poszło na wyprawę rycerstwo saskie, bawarskie, frankońskie, nadreńskie, lotaryńskie, no i czeskie. Pewny jest udział arcybiskupa Kolonii, Fryderyka, oraz biskupów Trewiru, Würzburga i Spiry. Tej dużej potędze mógł Bolesław przeciwstawić trzy albo cztery tysiące wojów, ustępujących Niemcom pod względem uzbrojenia (pomoc węgierska zawiodła, Koloman nie odwdzieczył się Krzywoustemu). Ponieważ jednak operacje toczyły się na ziemiach polskich, można było zastosować taktykę, wypróbowaną już przez Chrobrego. Gall opowie dość szczegółowo o tych działaniach, doskonale dopasowanych do właściwości terenu. Czytając tę relację, słuchajmy pilnie jej tonu, bo on najlepiej zdradza intencje kronikarza. Anonim nie szczędził Krzywoustemu pochwał, lecz nie wykazał ani cienia entuzjazmu, że w ogóle doszło do „wzbronionej walki” wewnątrz chrześcijańskiego świata.

Gdy się to działo, cesarz Henryk PV, jeszcze w Rzymie nieukoronowany - koronacja miała się odbyć na drugi rok - mając zamiar wkroczyć do Polski z potężnym wojskiem, przesłał do Bolesława wprzód poselstwo w te słowa: „Niegodnym cesarza byłoby i przeciwnym prawom rzymskim, wkraczać z orężem w rękę w kraj wroga, a zwłaszcza swego rycerza\*, pierwiej, nim się go zapytało o pokój, jeśli chce być posłusznym, lub o wojnę, jeśli stawić chce opór, by miał czas ubezpieczyć się pierwiej. Dlatego zawiadamiam cię, że albo zgodzisz się brata swego przyjąć, oddając mu połowę królestwa, a mnie płacić rocznie 300 grzywien trybutu lub tyluż rycerzy dostarczyć na wyprawę, albo ze mną - jeśli jesteś w stanie - podzielić mieczem królestwo polskie". Na to książę północny Bolesław odpowiedział:

„Jeżeli pieniędzy naszych lub rycerzy polskich żądasz jako haraczu, to mielibyśmy się za niewiasty, a nie za mężów, gdybyśmy wolności swej nie bronili. Zaś do przyjęcia człowieka buntowniczego lub do podzielenia z nim jednolitego (i niepodzielonego) królestwa nie zmusi mnie przemoc jakiegokolwiek obcej władzy, a chyba tylko jednomyślna rada moich ludzi i decyzja mojej własnej woli. Gdybyś z dobrocią, a nie z zuchwalstwem, zażądał pieniędzy łub żołnierzy na pomoc Kościołowi rzymskiemu, uzyskałbyś na

#### PRZYPISY AUTORA:

\* W znaczeniu lennika, za jakiego cesarz mógł uważać księcia polskiego od czasów Władysława Hermana.

pewno nie mniej pomocy i rady u nas, jak ją znajdowali twoi przodkowie u naszych. Zatem bacz, komu grozisz: jeśli chcesz wojować znajdziesz wojnę!".

Odpowiedzią tą doprowadzony do niesłychanego gniewu, cesarz takie w myśli powziął zamiary i na taką wstąpił drogę, z której już zejść ani zawrócić nie będzie mógł inaczej, jak tylko z ogromnymi stratami i upokorzeniem własnym. Zbigniew też rozgniewanego w ten sposób cesarza jeszcze bardziej podburzał, obiecując, że tylko niewielu Polaków będzie mu stawiało opór. Nadto także Czesi, nawykli do życia z łupów i grabieży, podniecali cesarza, by wkroczył do Polski, zapewniając go, że dobrze znają drogi i ścieżki wiodące przez lasy Polski. Na podstawie takich rad i zachęty, cesarz, nabrawszy nadziei, że odniesie zwycięstwo nad Polską, wkroczył wreszcie, lecz przybywając do Bytomia, doznał zawodu pod każdym względem. Albowiem ujrzał gród Bytom tak uzbrojony i obwarowany, że zgniewany zwrócił się ze słowami oburzenia do Zbigniewa, mówiąc: „Zbigniewie, tak to Polacy ciebie uznają za swego pana? Tak to opuścili twego brata i domagają się objęcia rządów przez ciebie?". A gdy chciał ze sprawionymi szykami wyminąć gród Bytom, jako niemożliwy do zdobycia ze względu na obwarowanie i naturalne położenie wśród rozlanych dokoła wód, wtedy niektórzy słynniejsi z jego rycerzy zboczyli pod gród, pragnąc w Polsce utwierdzić swą sławę rycerską oraz poznać siły i odwagę Polaków. Wobec tego grodzianie, otwarli bramy i dobywszy mieczy, wyszli naprzeciw, nie obawiając się ani mnogości różnorodnych wojsk, ani natarcia Niemców, ani obecności samego cesarza, lecz w obliczu ich stawiając odważny i mężny opór. Co widząc, cesarz niesłychanie się zdumiał, patrząc mianowicie, jak ludzie nadzy [bez zbroi] walczyli gołymi mieczami przeciw tarczownikom, a tarczownicy przeciw uzbrojonym w pancerze - a tak ochoczo pośpieszali do walki, jakby na biesiadę. Wtedy cesarz, jakoby zniechęcony do tej zaczepki, wszczętej przez swoich rycerzy, posłał tamże kuszników i strzelców, aby przynajmniej przed ich groźbą ustąpili grodzianie i schowali się do grodu. Pociski i strzały, które leciały gęsto zewsząd, robiły swą mnogością na Polakach wrażenie śniegu lub kropel deszczu. Tam też cesarz po raz pierwszy naocznie stwierdził odwagę Polaków, bo nie wszyscy jego rycerze wyszli cało z tej walki. Teraz jednakże pozwólmy cesarzowi przez jakiś czas przedzierać się przez lasy Polski, aż przyprowadzimy z Pomorza naszego „ognistego smoka".

Niestrudzony tedy Bolesław, wygrawszy opowiedzianą wyżej bitwę na Pomorzu i zdobywszy siedm grodów, na wiadomość, że cesarz istotnie wkroczył do Polski, mimo że mężowie i konie pomęczeni byli długim oblężeniem, że niemało rycerzy poległo, inni odnieśli

rany, a inni odesłani zostali z tymi do domów - z iloma mógł, z tyłu rycerzami wyruszył i nakazał zastawiona wszelki sposób przejścia i brody na rzece Odrze. Zastawiono zatem wszystkie miejsca, w którychkolwiek można by w bród przejść rzekę, a nawet takie, w których ewentualnie sama ludność mogła ukradkiem próbować przejścia. Garstkę doborowych rycerzy nadto wysłał przodem do Głogowa dla pilnowania przejść na rzece; mieli oni tak długo opór dawać cesarzowi, aż, z przyjściem samego Bolesława na pomoc, albo nad brzegiem rzeki w ogóle odniosą zwycięstwo, albo przynajmniej, zatrzymując tamże cesarza dalej, doczekają się przyjścia posiłków. Sam zaś Bolesław z nielicznymi siłami stał w niewielkim oddaleniu od Głogowa, co zresztą nie dziwne, bo wojsko swe długą bardzo służbą już zmęczył. Tam chwycił wieści i słuchał poselstw, tam wyczekiwał nadejścia swych wojsk, stamtąd wysyłał tu i ówdzie wywiadowców i stamtąd komorników rozsyłał z wezwaniem po swoich i po Rusinów, i Węgrów na pomoc.

Cesarz zaś, postępując naprzód, nie zbaczał ani w dół, ani w górę (rzeki) dla próbowania brodów, lecz przekroczył wpław rzekę pod miastem Głogowem, w miejscu trudnym do przypuszczenia nawet, o którym nikt przedtem nie wiedział, że tam jest przejście możliwe, ani nikt go nie bronił; przejścia dokonał w zwartych szykach, z orężem w rękę, nie dając mieszkańcom czasu do przygotowania się, w miejscu, co do którego grodzianie nigdy żadnych obaw nie żywili i ani nie przypuszczali, by się należało obawiać! Była to zaś uroczystość św. Bartłomieja apostoła [24 sierpnia 1109], gdy cesarz przebywał rzekę, i cały lud miasta słuchał wówczas mszy świętej. Zrozumiałym jest tedy, że bezpiecznie zupełnie i pewnie przeszedł znaczne łupy pobrał i jeńców, a nawet zajął namioty pod miastem Bardzo też wielkiej liczbie z tych, którzy przybyli dla obrony grodu i mieszkali w namiotach na zewnątrz grodu, przeszkodził cesarz w schronieniu się do grodu, niektórych tamże z nagłą pojmano, inni zaś uratowali się szybką ucieczką. Jeden z tych, uciekając, stawiał się przed Bolesławem i opowiedział mu wszystko, co zaszło. A wtedy Bolesław bynajmniej nie czmychnął, jak bojaźliwy zając, lecz swoich, jak na męznego rycerza przystało, zagroził tymi słowami; „O nieustraszeni żołnierze! utrudzeni w wielu wojnach i na wielu wyprawach ze mną, bądźcie też teraz przygotowani ze mną albo zginąć za wolność Polski, albo życiem jej służyć dalej! Ja też już chętnie, choć z tak małą garstką, zacząłbym walkę z cesarzem, gdybym wiedział na pewno, że jeśli tam polegnę, to zarazem od ojczyzny usunę niebezpieczeństwo. Lecz skoro na jednego z naszych przypada więcej niż stu wrogów, chwalebniej będzie tu stawić opór niż tam idąc z małą garstką, w zuchwałej walce śmierć ponieść. Gdy bowiem tu stawimy opór i wzbronimy wrogowi przejścia, będzie dość, by i to poczytać za zwycięstwo". To rzekłszy, rozpoczął zasypywanie rzeczki, nad którą stał, ścinanymi w tym celu drzewami!

Tymczasem zaś cesarz wziął zakładników od głogowian na takich warunkach, umocnionych przysięgą, że jeżeli w przeciągu pięciu dni mieszczanie, za pośrednictwem wysianego w tym celu poselstwa, zdołają doprowadzić do zawarcia pokoju albo w ogóle jakiegokolwiek układu, to po daniu odpowiedzi, czy to zgadzającej się na pokój, czy też odmownej, odzyskają jednak z powrotem swych zakładników. Ugodzono się tak obustronnie z pewnym podstępym zamiarem: cesarz mianowicie w tym właściwie celu przyjął pod przysięgą zakładników, bo spodziewał się przez nich - chociażby dopuszczając się wiarołomstwa - zdobyć miasto. Z drugiej zaś strony także głogowianie na to dali owych

zakładników, by tymczasem umocnić pewne miejsca w fortyfikacjach miasta, zniszczone starością.

Atoli Bolesław, posłuchawszy relacji poselstwa o daniu zakładników, uniesiony gniewem, zagroził mieszczanom karą ukrzyżowania, gdyby ze względu na zakładników gród poddali, dodając, że lepiej będzie i zaszczytniej, jeśli i mieszczanie, i zakładnicy zginą od miecza za ojczyznę, niż gdyby, kupując zhańbiony żywot za cenę poddania grodu, służyli obcemu narodowi. Odebrawszy taką odpowiedź, mieszczanie donieśli cesarzowi, że Bolesław w tych warunkach nie chce się zgodzić na pokój, i zażądali zwrotu swych zakładników, jak to było zaprzysiężone. Na to cesarz odpowiedział: „Owszem, jeśli mi gród oddacie, to zakładników nie będę zatrzymywał, lecz jeśli mi opór stawiać będziecie, to i was, i zakładników w pień wytnę!”. Na to zaś grodzianie: „Możesz wprowadzić na zakładnikach dopuścić się i wiarołomstwa, i mężobójstwa, lecz wiedz o tym, że przez nich w żaden sposób nie potrafisz uzyskać tego, czego żądasz!”.

Po tej wymianie poselstw cesarz nakazał budować przyrządy oblężnicze, chwycić za oręż, rozdzielić odpowiednio oddziały, otoczyć zewsząd miasto walem, chorążym zaś polecił dąć w trąby na bitwę, rozpoczynając zdobywanie miasta ze wszech stron naraz żelazem, ogniem i machinami. Z drugiej strony mieszczanie rozdzielili się odpowiednio między poszczególne bramy i wieże, umacniając przedmurza, przygotowując narzędzia wojenne, znosząc kamienie i wodę do bram i wież. Wtedy cesarz, sądząc, że umysły mieszczan może dadzą się ugiąć z litości dla synów i przyjaciół, polecił znaczniejszych pochodzeniem spośród zakładników miasta oraz syna komesa grodowego przywiązać do machin oblężniczych, sądząc, że tak bez krwi rozlewu zmusi do otwarcia bram miasta. Tymczasem grodzianie nie oszczędzali własnych synów lub krewniaków więcej niż Czechów i Niemców, lecz zmuszali ich kamieniami i orężem do odstąpienia od muru. Widząc tedy cesarz, że przy pomocy takiego fortelu nie przewyżczy nigdy oporu miasta ani też umysłu załogi nie zdoła zachwiać w powziętym postanowieniu, stara się w dalszym ciągu osiągnąć siłą oręża to, czego podstępem uzyskać nie było mu dane. Zatem ze wszech stron przypuszczono szturm do grodu, zewsząd krzyk potężny podnosząc. Niemcy atakują gród, Polacy się bronią, zewsząd maszyny wyrzucają w powietrze olbrzymie kamienie, kusze dźwięczą, pociski i strzały latają w powietrzu, tarcze przedziurawione pękają, pancerze pryskają, szyszaki idą w drzazgi - trupy padają pokotem, ranni ustępują, a na ich miejsce natychmiast przychodzą nowi wojownicy. (Obrona godna ataku). Niemcy nakręcali kusze ręczne, Polacy zaś maszyny z kuszami; Niemcy wypuszczali strzały, a Polacy strzały i inne pociski; Niemcy zataczali proce z kamieniami, a Polacy kamienie młyńskie i silnie zaostrzone pale. Gdy Niemcy, zakryci przykrywkami z desek, usiłowali podejść pod mur, to Polacy sprawiali im łaźnię wrzącą wodą, zasypując płonącymi głowniami. Niemcy podprowadzali pod wieże żelazne barany\*, Polacy zaś staczali na nich z góry koła, zbrojne stalowymi gwiazdami; Niemcy po wzniesionych drabinach pięli się w górę, a Polacy, zaczepiając ich hakami żelaznymi, porywali ich w powietrze.

Tymczasem Bolesław, nie spoczywając ani we dnie, ani w nocy, przepędzał częstokroć Niemców, wychylających się z obozu za żywnością, często też w obozie samego cesarza siał postrach, uganiając się raz tu, raz ówdzie i czyniąc zasadzki na łupieżców i

podpalaczy. - Takimi to sposobami przez wiele dni usiłował cesarz miasto zdobyć, lecz nie innego codziennie w zysku nie odbierał, jak tylko coraz to świeże trupy własnych rycerzy. Codziennie bowiem ginęło tam niemało szlachejnych mężów, których po wypruciu wnętrzności nadziewano solą i aromatami, składając na wozach, na których miał je wysłać cesarz do Bawarii lub Saksonii jako jedyny haracz Polski!

Gdy cesarz ujrzał, że ani orężem, ani groźbami, ani też podarkami lub obietnicami nie potrafi ująć mieszczan, ani też dłużej tamże stojąc, niczego nie zdoła dokonać, po odbyciu narady rozpoczął pochód na miasto Wrocław, gdzie jednak też miał sposobność poznać siły i talent wojenny Bolesława. Albowiem gdziekolwiek się cesarz zwrócił, rozbijając obóz i czyniąc postoje, następował za nim też Bolesław, jakkolwiek nieco później, i zawsze przebywał w pobliżu miejsca postoju cesarza. A gdy cesarz, ruszając w drogę, zwijał obóz, Bolesław dalej był mu nieodstępnym towarzyszem marszu, i jeżeli tylko

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Tarany do rozbijania murów, zaopatrzone w żelazną głowę barania.

ktokolwiek wystąpił z szeregów, to już nie znalazł powrotnej drogi; a jeżeli czasem większy oddział w poszukiwaniu żywności lub paszy dla koni, zaufany w liczbę, na większą odległość oddalił się od obozu, to Bolesław wpadał natychmiast w środek między nich a wojsko cesarskie, odcinając im odwrót, i tak ci, którzy wyprawiali się po łupy, stawali się sami łupem Bolesława. W ten sposób tak wielkie i dobre wojska doprowadził do takiego przestradchu, że nawet Czechów, urodzonych łupieżców, zmusił, by jedli własne zapasy lub też całkiem pościli; nikt bowiem nie śmiał wychylić się z obozu, żaden giermek nie odważył się trawy zbierać dla koni, nikt też nie ośmielał się iść dla załatwienia naturalnych potrzeb poza wyznaczoną linię straży. Obawiano się Bolesława w dzień i w nocy, ciągle mając go w pamięci, ostrzegano się wzajem, że „Bolesław nie śpi!”. Gdy się ukazał jakiś gaik lub zarośla, wołano: „Strzeż się, tam czyha Bolesław!”. Nie było miejsca, o którym by nie przypuszczano, że tam się ukrywa Bolesław. W ten sposób dręczył ich bez wytchnienia, porywając niejednokrotnie po kilku, raz z czoła pochodu, to znowu z tyłu, innym razem zaś z boków nastając. Dlatego też wojownicy cesarscy bez przerwy cały dzień szli w pełnym rynsztunku, spodziewając się wszędzie i ciągle zjawienia się Bolesława. W nocy spali wszyscy również w pancerzach lub też stali na stanowiskach, inni odbywali strażę, inni przez całą noc obchodzili dookoła, inni wołali: „Czuwajcie, pilnujcie, strzeżcie się!” - wreszcie inni śpiewali o dzielności Bolesława piosenkę w te słowa:

Bolesławie, Bolesławie, ty przesławny książę panie,

Ziemi swojej umiesz bronić wprost niezmordowanie!

Sam nie sypiasz i nam także snu nie dasz ni chwili,

Ani we dnie, ani w nocy, ni w rannej godzinie!



Szliśmy pewni, że cię z ziemi twej łatwo wyżeniem,  
A ty teraz nas zamknąłeś niemal jak w więzieniu!  
Taki książe słusznie rządy nad krajem sprawuje,  
Który z garstką swych olbrzymie wojska tak wojuje!  
Cóż by było, gdybyś wszystkie swe siły zgromadził,  
Nigdy by ci cesarz w polu bronią nie poradził!  
Godny jesteś i królewskiej, i cesarskiej władzy,  
Gdy z twą garstką tłumy wrogów tak trzymasz na wodzy!  
Wszakżeś jeszcze nie wypoczął z walk z Pomorzanami,  
A już, karząc naszą śmiałość, uganiaś się z nami!  
Miast triumfatora witać hołdy należnemi,  
My podstępnie pragnęliśmy obedrzeć go z ziemi!

On prowadzi dozwolone wojny z poganami,  
My wzbronioną walkę wiedziem tu z chrześcijanami!  
Dlatego też Bóg poszczęścił mu walką zwycięską,  
A nas słusznie za zadane krzywdy karze klęską!

Niektórzy zaś rozważni i szlachetni rycerze, słuchając tej piosenki, ze zdumieniem szeptali między sobą: „Gdyby Bóg nie wspomagał tego człowieka, to nigdy by takiego zwycięstwa nie odniósł nad poganami ani też nam tak mężnego nie potrafiłby stawić oporu. I gdyby nie to, że potęgą swą Bóg go tak wywyższa, to przecież nigdy by nasz własny lud tak go nie wysławiał!”. Lecz zapewne sam Bóg w nieodgadnionych swych zamiarach umyślnie z cesarza chwałę przenosił na Bolesława; głos bowiem ludu zawsze zwykł zgadzać się z głosem Bożym. To tylko pewna, że ten lud śpiewający posłusznym był woli Bożej; jednak cesarzowi piosenka ta się nie podobała i bardzo często zabraniał ją śpiewać, czym jednak do tym większej krnąbrności lud swój doprowadzał. Wreszcie na tych faktach i przykładach poznając, że daremnymi trudami udręcza swój lud, a woli Boskiej oporu stawić nie był w stanie, ułożył cesarz pewien tajny plan, a udawał, że co innego czynić zamierza. Orientował się bowiem już dokładnie, że tak liczny lud dłużej bez łupów wyżyć już nie był w możliwości, ponieważ Bolesław uporczywie, jak lew ryczący, krążył dookoła. Konie padały, ludzie udręczeni byli ciągłym czuwaniem, trudami i głodem; zaś nieprzebyte gąszcza leśne, niewysychające bagna, kłujące muchy, ostre strzały, zawzięte chłopstwo (po siołach) - to wszystko nie pozwalało na wykonanie przedsięwzięcia. Toteż udając, że ma zamiar ruszyć na

Kraków, wysłał do Bolesława posłów w sprawie pokoju oraz żądając okupu pieniężnego, ani tak wielkiego jak przedtem, ani z taką pychą - w te słowa mianowicie:

„Cesarz Bolesławowi, księciu Polski, (oświadcza) swą łaskę i pozdrowienie. Poznawszy twą dzielność, przychyliam się do rad moich książąt, i odebrawszy 300 grzywien, spokojnie stąd odejdę. Wystarczy mi to zupełnie na dowód czci, jeśli nadal pokój będzie między nami i miłość, jeśli zaś nie spodoba ci się na to zgodzić, to rychło możesz mnie oczekiwać w swej krakowskiej stolicy!”.

Na to odpisał cesarzowi książę północny: „Bolesław, książę Polaków, pragnie wprowadzić pokoju, ale bynajmniej nie za cenę denarów\*. Do woli to pozostaje waszej cesarskiej władzy dalej maszerować lub też powracać już, lecz na podstawie pogroźek lub dyktując to jako warunek, nie spodziewaj się ode mnie otrzymać ani lichego obola! Wolę bowiem w tej chwili stracić królestwo Polski, broniąc jego wolności, niż na zawsze je w spokoju zachować w hańbie (poddania)!”.

Usłyszawszy taką odpowiedź, cesarz uderzył na miasto Wrocław, gdzie jednak nic więcej nie zyskał, jak świeże trupy własnych rycerzy. Gdy zaś przez dłuższy czas - udając jakoby pochód na Kraków - kręcił się wokoło nad rzeką, raz tu, raz ówdzie w nadziei, że w ten sposób napędzi strachu Bolesławowi i zmieńczy jego umysł. Bolesław jednak bynajmniej nie dał się tym w błąd wprowadzić i stałe tę samą, co poprzednio, dawał odpowiedź posłom cesarskim. Cesarz przeto, widząc, że przez dalsze wyczekiwanie raczej grożą mu straty i niesława niż chwała lub zysk jakikolwiek, zdecydował się na dokonanie odwrotu, trupy swoich wioząc za cały haracz (z Polski). Widać stąd, że ponieważ przedtem dumnie żądał dużej ilości pieniędzy, to w końcu niewiele się już domagając, ostatecznie nie otrzymał ani denara! A że nadęty pychą, zamyślał ujarzmić prastarą wolność Polski, Sędzia

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Jedyna ówczesna moneta srebrna: denar dzielił się na dwa obole.

Sprawiedliwy pomieszał te jego zamiary, a na doradcę jego Świętopełka zesłał pomstę i tę, i inną jeszcze. A żeśmy przypadkiem Świętopełka przywiedli na pamięć, warto przy sposobności ku poprawie innych parę słów powiedzieć o jego życiu i śmierci. Więc Świętopełk był zrazu dziedzicznym księciem morawskim, później zaś — pełen ambicji - zrzucił swego władcę, Borzywoja, z księstwa czeskiego [w maju 1107]; z rodu wprowadzić pochodził szlacheckiego, ale z natury był dziki, w rzemiośle rycerskim odważny, jednakże niezbyt godzien zaufania, a umysłu chytrego. Za jego to bowiem doradą wkroczył cesarz do Polski, a przecież nie raz, lecz wielokrotnie zaprzysięgał on Bolesławowi wierność, związał się z Bolesławem jedną tarczą\*, a nadto dzięki dzielnej pomocy Bolesława osiągnął królestwo czeskie! Czyż to nie Bolesław w celu osadzenia Świętopełka w Pradze wkroczył na Morawę z królem Węgrów Kolomanem, a za ustępującym królem zapuścił się w lasy Czech? Tak, on to istotnie uczynił! I nie rychlej stamtąd ustąpił, aż mu Borzywój oddał dla umocnienia układu gród Kamieniec. Nadto też Bolesław przetrzymywał u siebie i żywił wielu, którzy z Czech już do niego zbiegali, chcąc wcześniej pozyskać jego łaskę w nadziei, że on osiągnie książęcą godność, ponieważ Świętopełk wówczas posiadał mały kawałek kraju i niewielkie bogactwa.

Na odwrót przysiągł Świętopełk Bolesławowi, że jeśli kiedykolwiek w jaki bądź sposób lub z użyciem jakiegoś podstępu zostanie księciem Czechów, to zawsze będzie dlań wiernym przyjacielem i wzajem będą sobie jedną tarczą, obiecując grody na granicy królestwa albo oddać Bolesławowi, albo też w ogóle zrównać z ziemią. Ale osiągnąwszy godność książęcą, ani wiary nie dotrzymał, łamiąc zaprzysiężone układy, ani też Boga się nie bał, dokonując mężobójstw. Dlatego też Bóg, dla dania przykładu innym, godną jego czynów dał mu zapłatę: gdy mianowicie, czując się zupełnie bezpiecznym, bez broni siedząc na mulicy w pośrodku swoich, padł przebity oszczepem przez pewnego prostego żołnierza [właściwie rycerza

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Mowa tu o zawarciu pobratymstwa rycerskiego, które w tym wypadku łącząc osoby dwóch panujących, równało się sojuszowi dwóch państw. W symbolice tego aktu odgrywała rolę tarcza.

z rodu Werszowców], a nikt z jego ludzi nie podniósł nawet ręki dla pomszczenia go. Z takim to triumfem wyszedł cesarz z Polski, wynosząc mianowicie żałobę zamiast wesela, trupy poległych na pamiątkę zamiast haraczu. Bolesław zaś, książę Polaków, niewiele się go bał z bliska, a tym mniej, oczywiście, skoro odszedł.

Ostrożnie wspomniana przez Galla „prostota wiary” musiała być w Polsce ówczesnej dość znaczna, skoro Krzywousty groził poddanym karą ukrzyżowania. Niebezpiecznie było nie słuchać takiego pana! Jednakże sam postrach nie wystarczy za wyjaśnienie sposobu zachowania się społeczeństwa podczas tej wojny. Społeczeństwa właśnie, a nie jakiejś jego warstwy czy klasy. Walczyli z Niemcami wszyscy, chłopów wcale nie wyłączając. Nie sposób wątpić — cesarz Henryk V uderzył na kraj, którego mieszkańcy poczuli się już do solidarności i wspólnoty narodowej. Anonim mógł sam skomponować przemowy Bolesława, wołającego do żołnierzy, iż trzeba „albo zginąć za wolność Polski, albo życiem jej służyć dalej”. Nie mógł natomiast posługiwać się pojęciami obcymi epoce, niezrozumiałymi dla słuchaczy, w ogóle jeszcze niewynalezionymi. W znamienity sposób używa kronikarz terminu „Polska”. Raz jest to dla niego domena Piastów, kraj nad Wartą i pobliskimi jeziorami. Kiedy indziej — cała ziemia zamieszkała przez plemiona lechickie. (Pomorza to pojęcie jeszcze nie obejmuje. Pomorzanie, powiada Gall, bronią własnej ojczyzny. Ani przeczuwa, oczywiście, że do tamtego regionu zgłoszą kiedyś pretensje Niemcy, jako do własnej ziemi. Oni sami w XII wieku nie żywili jeszcze takich uroszczeń).

Słowo „Polska” zawiera u Galla treść uczuciową tylko wtedy, kiedy odnosi się do całego państwa Piastów. „Polska” - kraj Polan, to u niego już tylko termin z dziedziny administracji, chciałoby się rzec — termin techniczny. Sami Wielkopolanie czuli na pewno inaczej, kochali i ojcowiznę. Ale widzieliśmy przecież -wrocławian uważali jakoś za swoich. Ojcowizna nadal była wartością żywą, lecz już nie wystarczała. Ludzie ówcześni i umysłem, i uczuciem sięgali dalej.

W piętnaście lat po niepowodzeniach w Polsce cesarz Henryk V wyprawił się na Francję. Musiał się z niej wycofać, nie stoczywszy nawet batalii. Feudałowie tamtejsi stanęli

bowiem murem przy królu Ludwiku VI, z którego na co dzień drwili uważając się za panów samowładnych.

Narodów w dzisiejszym tego słowa znaczeniu wiek XII nie znał. Miłość ojczyzny istniała już wtedy. Wydaje się, że właśnie w tym względzie Polska ówczesna nie dawała się nikomu wyprzedzić.

A teraz, kiedyśmy już przeczytali opis wojny, powróćmy na chwilę do poprzednio poruszonego tematu. Przecież sukces odniesiony w roku 1109 musiał chyba ożywić wspomnienia o dawnych zwycięstwach i krzywdach. Normalnie rzeczy biorąc, zawsze tak się dzieje. Tryumfatorzy z reguły zanoszą wieńce na groby poprzedników. Woje Krzywoustego na pewno uznali się za równych rycerstwu Chrobrego i za mścicieli porażek. Nie wolno wątpić, że wspomnienia ożyły w społeczeństwie i nabrały świeżych kolorów. W kronice Galla nie znalazło to żadnego wyrazu. Autor nie uległ nastrojom chwili, jego pisarska decyzja była żarem gruntownie przemyślana. On dokładnie wiedział, dlaczego tak mało napisał o powodzeniach Chrobrego w walce z Henrykiem II i czemu w ogóle przemilczał liczne polskie klęski. Chciał zgody polsko-niemieckiej i dlatego zagłuszał niesprzyjające jej tradycje. To był pisarz z charakterem. Umiał pływać pod prąd, nie dał się porwać sentymentom, które w duchu pewnie podzielał.

Byłoby lekkomyślnością tłumaczyć Gallowe przemilczenia nieświadomością prawdy. Skoro dokładnie pamiętano w Polsce taktykę Chrobrego, na pewno nie zapomniano i jego zwycięstw. Sławę ich kanclerz Michał i inni Polacy musieli ciągle kronikarzowi kłaść w uszy. Anonim wybierał wiadomości pozytywne dla obranego celu.

Nie wiemy, jaki układ pokojowy zakończył wojnę 1109 roku. Musiał odpowiadać obydwu stronom, skoro cesarz wojny nie wznowił ani następnego lata, ani nigdy. Krzywousty naturalnie jak najbardziej pragnął takiego obrotu spraw. Jeśli wierzyć Gallowi, Polska odniosła wielki tryumf wojenny. W oczach kronikarzy niemieckich przedstawiało się to o wiele mniej wspaniale. Według nich cesarz wymusił jednak na Polsce trybut i pysznił się łupami. Rację ma zapewne Karol Maleczyński, twierdząc, że układ z 1109 roku zawierał prawdopodobnie porozumienie co do podziału stref wpływów na Pomorzu, a Krzywousty obiecał - wzorem Mieszka I - opłacać pewną sumę jako daninę z tych ziem, które nad dolną Odrą zawojuje. Kronikarze niemieccy ogłosili pieniądze obiecane za już otrzymane, nawet za zdobyte.

Pewne, że Polska zwycięsko wyszła z kampanii, granice obroniła i potwierdziła swą suwerenność. Nie udało się Niemcom wznowić stosunku zależności, jaki istniał za Władysława Hermana. Krzywousty odzyskał to, co przed trzydziestu zaledwie laty miał jego stryj, król Bolesław Śmiały. Stał się władcą zupełnie samodzielnego państwa. Lecz jeśli wyjmował czasem koronę z krakowskiego skarbcza, to jedynie po to, by nacieszyć oczy jej widokiem.

Pomimo niepowodzeń w Polsce Henryk V pozostał pierwszą potęgą na kontynencie. Do Rzymu wyruszył, ukoronował się na cesarza i - jak się już wspominało - potraktował

papieża w sposób bardzo brutalny. Ale te jego zaalpejskie zatrudnienia ułatwiły Krzywoustemu akcję w Czechach.

Gall opisał te sprawy tak, jak gdyby wszyscy i zawsze musieli się doskonale orientować w czeskich zawiłościach dynastycznych. Dlatego potrzeba paru informacji.

Po zgonie Światopełka II (zamordowanego w obozie cesarskim z zemsty za poprzednio urządzone przezeń rzezie) pozostało w Czechach trzech współzawodników. Byli nimi: Borzywój II, Władysław I i Sobiesław I. Żyła również ich matka, polska księżniczka Swatawa, córka Kazimierza Odnowiciela, wydana do Czech za ich władcę, Wratysława II. Trzej wymienieni książęta byli zatem ciotecznymi braćmi Krzywoustego.

Popierał on najpierw najstarszego i dopomógł mu do umocnienia się w Pradze, o czym Anonim pisze. Wspomina również o uwięzieniu Borzywoja przez cesarza. Dodajmy, że było to więzienie długotrwałe. Borzywój siedział w zamku Hammerstein aż do roku 1117. Henryk V wyznaczył teraz Czechom drugiego z braci, Władysława. Nie chcąc zadzierać z Niemcami, Krzywousty pogodził się z tym, ale nie porzucił sprawy najmłodszego z rodzeństwa, Sobiesława. Nie żądał już dla niego samej Pragi, lecz tylko udzielnego księstwa. Zgodę wymusił i Sobiesław I otrzymał Zatec.

Po katastrofie Bolesława Śmiałego Wratysław II czeski bardzo wzmógł się na siłach. W 1085 roku cesarz Henryk IV pozwolił mu ukoronować się na króla Czech i Polski, co mówi samo za siebie i komentarzy nie wymaga. Teraz Krzywousty odrobił to wszystko, przywrócił stan rzeczy, jaki istniał za czasów stryja. Uzyskał przewagę polityczną i odzyskał straty pograniczne. Działał bardzo szybko, wyzyskując sprzyjającą koniunkturę po wygranej wojnie z Henrykiem oraz wspomniane już jego zatrudnienie kwestią koronacji cesarskiej.

Wolno podziwiać energię kierownika polityki polskiej. Byłoby jednak bardzo ciężkim grzechem zapomnieć o sprawności narzędzia, bez którego usług największy geniusz byłby bezsilny. Społeczeństwo polskie znajdowało się w stanie, który umożliwiał realizację koncepcji politycznych. Jak na owe czasy, było zdumiewająco zdyscyplinowane. Cesarze niemieccy musieli się skrzętnie liczyć z trzymiesięcznym terminem, do którego ograniczał się roczny obowiązek służby rycerza.

Po tak wielkim więc trudzie wypocząwszy cokolwiek, nie odkładał już dłużej północny książę wyprawy na Czechów. Zamyślał bowiem i swojej krzywdy dochodzić na Czechach, i przyjaciele swego Borzywoja przywrócić na tron, z którego go zrzuciono. Gdy zaś, ruszywszy w pochód, odniósł zwycięstwo w bitwie stoczonej z zachodzącymi mu drogę Czechami w pośrodku puszczy, a już część wojska wtargnęła na poła Czech, wtedy Borzywój, przyjęty już przez Czechów, dzięki złożył Bolesławowi za trud taki i dotrzymanie wierności i tak niestrudzony Bolesław z podwójną chwałą powrócił z Czech. Lecz posłuchajmy, co uczynił po powrocie, by odnieść też korzyść z rozważenia przykładu tak wielkiej zacności.

Nie zaraz bowiem pozwolił iść do domu wojsku, aczkolwiek zmęczonemu tak długimi pochodami, ani też sam nie oddał się wywczasom rozkosznych biesiad wobec srogiej nadchodzącej już zimy, lecz wpadł do ziemi Pomorzan z wybranymi z całego wojska

rycerzami. Jak zaś długo tam bawił i jak wielkie obszary kraju ogniem nawiedził i łupiestwem, nie ma potrzeby zatrzymywać się na szczegółowym tego opisywaniu, lecz wystarczy podać ogólne wyniki, skoro śpieszy się nam do ważniejszych wypadków. Tym razem tedy zdobył Bolesław na Pomorzu trzy grody, a paląc je i zrównując z ziemią, zabrał jedynie jeńców i lupy. Potem zaś czas pewien tam przepędził nie-atakowany, a następnie ubezpieczył w sposób nie do zdobycia swe miasta w tych okolicach, gdzie był cesarz.

Gdy zaś Bolesław, umacniając miasto Głogów, stał pod nim ze swymi wojskami, ruszyli na Polskę żołnierze Zbigniewa z Czechami, celem grabieży. Lecz rychło - o czym nawet Bolesław nie wiedział - wychodząc chyłkiem, jak myszy z dziur, wyłapani zostali lub wybici przez zebranych (na wiadomość o najściu) miejscowych margrabiów\*, prócz niewielu tylko, którzy uciekli się pod osłonę lasu, przyjaciela zbójców!

Pamiętam, że nieco wyżej powiedziałem o przyjęciu przez Czechów księcia Borzywoja na zagrabioną mu stolicę i że dlatego tak rychło powrócił Bolesław z Czech. Lecz że wierność czeska jak koło się toczy, toteż jak przedtem, wypędzając Borzywoja, zwiedli go zdradziecko, tak i teraz oszukańczo go przyjęli, z zamiarem ponownego zdradzenia. W krótkim bowiem czasie nie tylko godności został pozbawiony, wypędzony przez średniego brata [Władysława], lecz nawet stracił możność odzyskania władzy, uwięziony przez cesarza.

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Godność margrabiów w tym czasie w Polsce nie istniała; kronikarz ma na myśli kasztelanów pogranicznych grodów.

Miał także trzeciego brata [Sobiesława], wiekiem wprawdzie młodszego, ale nie ustępującego mu pod względem zacności, jego to - dotrzymującego bratu wierności - utrzymywał Bolesław w Polsce i dostarczał mu pomocy i rady celem szkodenia dobremu imieniu starszego brata.

W takich okolicznościach zamiłowany w wojnie Bolesław, zebrawszy mnogie rycerstwo, otworzył nową drogę do Czech [w końcu września 1110], w czym może być porównany z Hannibalem i jego nadzwyczajnym czynem. Albowiem tak jak ów, idąc na zdobycie Rzymu, pierwszy dokonał przejścia przez górę Jowisza<sup>1</sup>, tak też Bolesław, celem wtargnięcia do Czech, przeszedł przez miejsca okropne, kędy przejścia nie próbowano dotąd. Ów, przez jedną górę z trudem przechodząc, pozyskał sobie tak wielką sławę i pamięć potomności, zaś Bolesław nie jedną, lecz znacznie więcej przebył niebotycznych szczytów górskich. Ów trudził się tylko drążeniem góry i wyrównywaniem skal, ten zaś nie ociążał się nawet ze staczaniem pni i skal, wychodząc na strome szczyty, otwierając przejścia przez mroczne puszcze i kładąc mosty przez bezdenne bagna. Przez trzy dni i noce prowadząc pochód wśród takiego trudu w obronie sprawiedliwości i przyjaźni dla Borzywoja, zasłużył Bolesław tym, czego w Czechach dokazał, na wieczną chwalebłą pamięć. Skoro zaś wreszcie, po pokonaniu tak wielkich niebezpieczeństw, wkroczył Bolesław do Czech, nie zaraz wrócił się, porwawszy łup jak wilk drapieżny, tak jak to zwykli Czesi robić w Polsce - lecz z podniesionymi sztandarami, wśród dźwięku trąb i łoskotu bębnow, w sprawionych bojowo szykach, z wolna postępował przez otwarte pola Czech, szukając spotkania z

wrogiem, lecz nie znajdując; i nie chciał brać wcześniej łupów ani szerzyć pożogi, nim koniec położy walce. Podczas tego Czesi kilkakroć ukazywali się gromadami, lecz natychmiast wobec natarcia Polaków do szybkiej rzucali się ucieczki. Z okolicznych grodów wychodziło też wielu rycerzy, którzy za natarciem Polaków cofając się, dawali sposobność do podpalania przedmieść.

#### PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Chodzi o górę i przełęcz św. Bernarda, gdzie według M. Plezi „w starożytności oddawano cześć Jowiszowi” (przyp. red.).

Brat zaś najmłodszy Borzywoja [tj. Sobiesław, w którego także interesie Bolesław przedsięwziął wyprawę], o którym wyżej mówiłem, błagał Bolesława o zaniechanie brania łupów, podpalania i niszczenia kraju, bo z dziecięcą naiwnością wierzył, ufając słowom zdrajców, że może pozyskać królestwo bez wojny i bez zwycięstw. Gdy zaś już czwarty dzień wyczekując okazji do walki, prostą ścieżką pośpieszał na spotkanie wroga i zbliżał się do pewnej rzeki [Cidliny koło miejscowości Lucica], wprawdzie niewielkiej, lecz trudnej do przeprawy, z drugiej strony rzeki rozsiadł się ze zgromadzonym wojskiem książę czeski, który, nie śmiąc gdzie indziej, tu wyczekiwał Bolesława, zaufany w naturalną niedostępność miejsca, chcąc bronić przeprawy przez rzekę. Lecz Bolesław, znalazłszy wreszcie wrogów, których szukał, wpadł w gniew jak lew, gdy zobaczy zdobycz zamkniętą za ogrodzeniem; nie miał bowiem możliwości stoczenia walki. Bo gdy Polacy zamysłali przeprowić się raz w górę rzeki, to znowu w dół, natychmiast pojawiali się naprzeciw nich na drugim brzegu Czesi. Była to zaś rzeka, wedle kłamliwych relacyj Czechów, znajdujących się w obozie Bolesława, nader bagnista i niebezpieczna dla tak wielkiej masy wojska, nawet gdyby nikt oporu nie stawiał przeprowiającym się. Widząc zatem Bolesław, że na tych próbach czas daremnie traci i że dzień się kończy, wobec nadchodzącego zachodu słońca stawia księciu czeskiemu rycerską propozycję co do wyboru, mianowicie, że albo Bolesław zrobi mu miejsce, by się przeprowił, albo sam się na drugą stronę przeprowi, jeśli mu książę czeski miejsca ustąpi, oświadczając zarazem, że bynajmniej nie przybył celem zajęcia dla siebie stolicy czeskiej, lecz że wedle zwyczaju podjął się obrony sprawiedliwej sprawy nieszczęśliwych wygnańców, jak to niegdyś w jego także uczynił sprawie. Dlatego albo brata swego przywróci w spokoju do władzy na należnej mu części ojcowizny, albo Sędzia Sprawiedliwy wszystkich ludzi w otwartej walce prawdziwą okaże między nimi sprawiedliwość. Na to odparł książę czeski: „Chętnie owszem gotów jestem przyjąć mego brata, jeśli ty przyjmiesz swego; ale nie śmiem z nim królestwa podzielić, chyba tylko za wolą cesarza. Gdybym zaśmiał ochotę lub siły wręcz z wami się zetrzeć, nie czekałbym na wasze pozwolenie, skoro przez długi czas przedtem miałem swobód\* przeprowy przez rzekę!”.

Bolesław zaś, widząc, że książę czeski w tych odpowiedziach, które przysyłał, nie podawał żadnej jasnej racji, a tylko czcze słowa z brzaskiem dnia, jeszcze w czasie wypoczynku, zwinął obóz, lecz posuwając się w dół ku rzece Łabie, nie oddalił się od brzegu tej rzeki (nad którą stał). Tam zaś w pobliżu Łaby bez przeszkody przekroczył ów strumień i szybko pośpieszył do walki na to miejsce, w którym ją przerwał. Gdy zaś przybył do stanowisk Czechów i zastał po nich tylko już ślady, zwołałszy starszyznę, urządził naradę i

powziął decyzję wcale rozsądną, postanawiając, co mu się wydało pożyteczniejszym i chwalebniejszym. Niektórzy bowiem ze starszyny mówili: „Zupełnie zadość stało się honorowi rycerskiemu, żeśmy przez trzy dni stali na ziemi nieprzyjacielskiej i nie znaleźli sposobności do walki, mimo bliskiej obecności zgromadzonych nieprzyjaciół”. Znowuż inni mówili: „Słuszne są wyroki Boże i dla ludzi zakryte. Dobrze nam poszło aż dotychczas, lecz jeśli tu dłużej zabawimy, w niepewności zawisło, jak się dalej losy obróć!” Przeciwnie Bolesław i młodzieńcy lekceważyli rady starszyny i uchwalali iść na Pragę, jak już poprzednio. I zaiste młodzieńczy plan wzięłyby górę nad radami starszych, gdyby nie zabrakło chleba, którego brak więcej zdziałać może i silniejszy jest ponad wszelkie prawa ludzkie. Zgodziwszy się zaledwie pod takim naciskiem na radę odwrotu, dał Bolesław pozwolenie na sianie pożogi i branie łupów w drodze powrotnej. Sam zaś ciągle maszerował z uszykowanymi oddziałami, częstokroć pozostając dla obrony w tyle z oddziałami straży tylnej. Miał też uszykowane bojowo oddziały rycerzy, które szły przodem przed łupiącymi i palącymi, pilnując pochodu przed nagłym zjawieniem się Czechów. Gdy zaś tak rozsądnie i przeczornie prowadził wojsko z powrotem i w piątek już rozbił obóz u wniścia do lasów, wydał rozkazy zagęszczenia straży, większej gotowości do walki, oraz by każdy oddział na wypadek jakiegoś tumultu trwał na swym stanowisku. Też nocy, gdy Bolesław już po zejściu jutrzeńki trwał na modlitwie, przypadkiem jakaś trwoga ogarnęła cały obóz i wywołała gwałtowny krzyk i hałas

Materiały graficzne:

Krzyżowcy, The Temple Pyx, ok. 1140-1150. Burrell Collection, Glasgow, Szkocja

Tkanina z Bayeux, przedstawiająca podbój Anglii przez Wilhelma I Zdobywcę (fragmenty), przed 1082. Musée de la Tapisserie, Bayeux, Francja

Wilhelm nakazuje budowę fortyfikacji w Hastings (z lewej: Wilhelm i jego bracia, Robert Se Mortain i biskup Odo)

Żołnierze opuszczają Hastings, by wydać bitwę Haroldowi

Sobór w Clermont i przybycie papieża Urbana II, 1095, miniatura z *Le Roman de Godefroi de Bouillon*, 1337. Bibliothèque Nationale, Paryż

Krzyżowcy plądrują zdobytą Jerozolimę, 1099, miniatura Jeana de Courcy, 1440. Bibliothèque Nationale, Paryż

Popiersie-relikwiarz Fryderyka I Barbarossa (ok.1123-1190), Akwizgran, 1155-1171. Kościół św. Jana, Cappenberg, Niemcy

tu całym wojsku. Wówczas każda prowincja uzbrojona, jako osobny oddział, stanęła - jak to było zarządzonym - na swoim stanowisku, by bronić swego miejsca; zaś drużyna dworska, uzbrojona po dworsku, stanęła wokoło Bolesława, by przy nim zwyciężyć lub tamże zginąć. Jednakże Bolesław, posłyszawszy krzyk ludu, rychło otoczony drużyną młodzi dookoła, wystąpił na miejsce nieco wzniesione, by przemówić, i swoją przemową powiększył odwagę u dzielnych, bojaźliwym przytłumił strach i łęk zarazem, w te odzywając się słowa:



„O, młodzi! świetna obyczajami i urodzeniem! przy moim boku zawsze wprawiana do boju, ze mną nawykła do trudów! bezpiecznie przetrzymajcie tak, jak ochoczo wyczekiwaliście dnia dzisiejszego, który nas zwycięskim uwieńczy wawrzynem! Dotychczas Czesi naigrawali się z Polaków i za istotę rycerskiego rzemiosła uważali, jeśli im się udało - jak potworom morskim lub leśnym - z trzód naszych cośkolwiek porwać i z tym przez lasy uciec. Wy zaś już siódmy dzień uganiacie się po ich kraju, popaliliście wsie i podgrodzia, widzieliście ich księcia i wojska zgromadzone, pragnęliście okazji do walki, lecz nie mogliście jej znaleźć. Dziś wszakże właśnie, czy Czesi stoczą walkę, czy też nie, dziś przy pomocy Boga Polacy pomszczą swe krzywdy. A gdy rozpoczniecie bój, pomnijcie na zagrabione mienie, na jeńców, na pożogi; pomnijcie na porwane dziewczęta, żony i matki; pomnijcie, ile to razy was drażnili i wyzywali; pomnijcie, ile razy, uciekając przed wami, utrudzili was pościgiem! A zatem wytrzymajcie jeszcze tę chwilę, bracia i rycerze wślawieni, dzielnymi bądźcie w boju, młodzieńcy moi radośni! Dzień dzisiejszy wam to przyniesie, czego zawsze sobie życzyliście, dzisiejszy dzień wynagrodzi przykrości, które tak długi czas znosiliście! Oto już jutrenka się ukazuje, wkrótce rozplonie ten dzień przesławny, który ukaże w pełni zdradę i wiarołomstwo Czechów i zuchwałość ich, i butę zmiążdży, i który pomści krzywdy nasze i przodków naszych. Dzień, powiadam, dzień ów, dzień, który będzie zawsze w Polsce z czcią wspominany, dzień ów, dzień wielki i gorzki zawsze dla Czechów i straszliwy, dzień ów, dzień chlubny dla Polski, dzień ów, dzień nienawistny dla Czechów. Dzień — powiadam - radosny i weselny dla wszystkich (Polaków), który czoła Czechów pochyli dziś ku ziemi, a w którym Bóg Wszechmogący wywyższy skromne czoła nasze potężną swą prawicą!“. Gdy przemowę tę skończył, zaczęto odprawianie mszy generalnej po wszystkich stanowiskach, biskupi opowiadali słowo Boże swym parafianom i cały lud utwierdził się i pokrzepił przyjęciem komunii św. Dokonawszy tych obrzędów, wojsko utartym zwyczajem wyszło ze swych stanowisk w sprawionych do boju szykach i tak z wolna doszło do wejścia do puszczy leśnych. Gdy zaś tak olbrzymi tłum przybył do lasów, nie mając ani znajomości miejsca, ani śladu drogi nie znajdując, wtedy każdy sobie sam drogę torował przez bezdroża, wobec czego już ani znaków swych trzymać się nie był w stanie, ani porządku bojowego zachować. Doszły bo-wiem słuchy, że droga, którą przybyli, oraz wszystkie inne, zostały zawałone, i dlatego wracali inną drogą, niezdolną zmieścić tak wielkiej masy ludzi. Książę zaś Bolesław z oddziałem nadwornym pozostawał z tyłu z prawego boku, puszczać całe swe wojsko przodem, jak pasterz wzorowy. Również komes Skarbimir z drugiego boku ukrył się w małym lasku i tam w zasadzce wyczekiwał Czechów, gdyby się przypadkiem zjawili w pościgu. Albowiem gnieźnieński pułk, poświęcony patronowi Polski, wyczekiwał z niektórymi dworzanami i innymi walecznymi rycerzami na pewnej malej równinie księcia postępującego z tyłu, która to równina oddzielała większe puszcze od znajdującego się nieco bliżej mniejszego lasu. I gdy Bolesław podążał za swym wojskiem z boku przez ów mniejszy las, widząc swoich i przez nich widziany również, wziął własne wojska za wroga, przez nie nawzajem za nieprzyjaciela uważany; lecz gdy bliżej podeszli ku sobie i dokładniej zbroje obejrzeni, wnet poznali znaki polskie i tak wstrzymali się od prawie zaczętej już zbrodniczej walki! Tymczasem Czesi, pewni już niemal zwycięstwa, nie uszykowawszy się wprzód w oddziały, lecz jeden przez drugiego pośpieszali, sądząc, że zdołają wyłapać, jak zające, Polaków, pogrążonych już w lesie, nie mogących się uszykować do walki, rozpierchłych i kryjących się w gąszczu. Wtedy jednak mężny Bolesław, widząc już wroga w pobliżu,

zawołał: „Młodzieńcy, my zacznijmy walkę, do nas też będzie należał jej wynik!”. To rzekłszy, w tejże chwili pierwszego w szyku włócznią zwałił z rumaka, a wraz z nim też cześnik Dzierżek innemu napój podał śmiercionośny. Wtedy dopiero młodź polska runęła na wroga, a walcząc zrazu lancami, po zużyciu ich dobyła mieczy, niewielu z podsuwających się tam Czechów uchroniły ich tarcze, pancerze zaś ciężaru im przydawały zamiast obrony, szyszaki raczej za strój ich głów, niż ku ich ocaleniu służyły. Żelazo szczeka o żelazo, męstwo zмага się z męstwem, tam dopiero można poznać, kto jest prawdziwie odważnym rycerzem! Trupy padają pokotem, pot cieknie z oblicz i piersi, krew płynie potokami, a młodzież polska woła: „Tak przystoi mężom okazywać swe męstwo i zdobywać sławę rycerską, a nie skrycie lupy porywając, uciekać w lasy, jak wilki drapieżne!”. Tamże lśniący pancerzami szyk Czechów i Niemców, który szedł na przedzie, pierwszy też legł, przytłoczony ciężarem zbroi raczej niż chroniony. Jeszcze jednak księżę czeski, mimo że kwiat jego rycerstwa poległ rozgromiony, usiłował po raz wtóry i trzeci, zawracając swe oddziały, pomścić swe straty, lecz za każdym razem zwiększała się tylko masa jego poległych żołnierzy. A Skarbimir z wojewodzińskim pułkiem, przedzielony lasem, walczył z innymi oddziałami Czechów, tak że Bolesław nie wiedział nic zgoła o Skarbimirze, Skarbimir zaś o Bolesławie, gdzie stał i czy toczył jeszcze walkę. Po obu walczących stronach Mars rozwija swe siły, Fortuna igra, odwracając koło Czechów, Parki tną nici czeskich żywotów, Cerber szczyrzy żarłoczną paszczę, przewoźnik trudzi się przewożeniem przez Acheront, Prozerpina śmieje się z radości, Furie rozchylają przed nimi (tj. Czechami) węzowe swe szaty, Eumenidy przygotowują im siarczyste łaźnie, a Pluto poleca Cyklopom przygotować godne takich rycerzy wieńce dla uczczenia ich zasług, mianowicie z węzowych i smoczyczych języków i zębów. Lecz cóż się bawić w dalsze opisy! Czesi, widząc, że ich sprawa nie spodobała się wyrokowi Bożym, a męstwo Polaków i słuszność ich sprawy bierze górę nad nimi, rozproszeni rzucają się do ucieczki, a co lepsi z nich masą trupów zalegli pole walki; ale nie od razu w ucieczkę ich uwierzyli Polacy, sądząc, że ją tylko udają. Kotlina bowiem pewna, położona w pośrodku, i las przychodziły z pomocą Czechom, zakrywając ich ucieczkę względnie chytry podstęp wojenny. Dlatego księżę polski Bolesław zabronił zapalczywym swym wojownikom lekkomyślnego ścigania Czechów obawiając się chytrej czujności ze strony Czechów i zasadzki. Przekonawszy się wreszcie o prawdziwości ucieczki Czechów, natychmiast rozpoczynają Polacy pościg, puszczając lejce swym rumakom. Tak tedy, odniósłszy triumfalne zwycięstwo, nie odwołują rozpoczętego marszu powrotnego do Polski, wioząc z sobą swoich towarzyszy ranionych w Czechach, a dodając do poprzednich siedmiu dni marszu jeszcze trzy dni, dopełnili liczby W dni całej wyprawy. Do takiej to klęski i sromoty doprowadzony został spiskami wojenny lud czeskich wiarołomców, że prawie w zupełności stracił co dzielniejszych i szlachetniejszych rycerzy, stopą polską zmiażdżony. Był tam także obecny wśród Czechów Zbigniew, któremu na większą korzyść wyszła ucieczka niż to, że tam w ogóle stanął do walki. Polacy zaś, wracając z ogromną radością z Czech, nieskończone dzięki składają Bogu Wszechmocnemu, wychwalając triumfatora swego, księcia Bolesława.

Opisaną przez Galla bitwę stoczono nad Trutiną 8 października 1110 roku. Kronikarz czeski potwierdza, że zwycięstwo przypadło Polakom.

Anonim użył sobie przy tym opisie, popuścił wodze zarówno fantazji, jak ambicji. Krzywousty istotnie poszedł do Czech drogą trudną, z której nikt przed nim nie korzystał, ale porównywać Sudety z Alpami mógł tylko ten, komu zależało na zabyśnięciu wiedzą o drugiej wojnie punickiej i o Hannibalu. Albo te mowy Bolesława! Któż je zdążył zanotować w całej ich krasie?

Jednakże ten właśnie przeładowany retoryką i erudycją opis wprost uderza realizmem. Wojsko — powiada autor — uszykowało się „prowincjami”, biskupi odprawiali nabożeństwa każdy dla swoich „parafian”, a drużyna nadworna stanęła przy Bolesławie. Przecież to wierny obraz ówczesnej Polski w miniaturze! Zasada regionalizmu obowiązuje nawet na wojnie. Mamy „gnieźnieńskipułk”, obok którego istnieć musiał krakowski, giecki, kruszewicki, sandomierski, wrocławski i inne. Dynasta rozkazuje tej zjednoczonej moralnie, lecz różnorodnej cizbie plemiennej, mając przy boku drużynę ogólnopolską, państwową. Wszystkie oddziały słuchają go nie pomimo, lecz między innymi właśnie dlatego, że ład, który ten władca reprezentuje i nieustannie wzmacnia, szanuje plemienne tradycje Polan, Wiślan, Ślęzan, Opolan czy Łęczycan. Bolesław wzywa poddanych do obrony ojczyzny, mozaiki ojcowizn.

A sam obraz bitwy! Przecież to typowy bój odwrotowy. Oddziały opóźniające obsadzają punkty terenu ważne taktycznie, zatrzymują pościg i w sposobnej chwili stosują najlepszą formę obrony — atak. I jeszcze ten chaos, bez którego żadna wojna odbywać się nie może. Pomyłka drużyny Bolesława i pułku gnieźnieńskiego, które wzięły się nawzajem za nieprzyjaciół, nie doprowadziła do nieszczęścia tylko dlatego, że w średniowieczu walczone wręcz. W wieku XX takie same nieuniknione na wojnie wydarzenia powodują skutki okropne.

Relacja o bitwie nad Trutiną jest tak nasycona realizmem, że samo przez się nasuwa się pytanie, czy aby autor własnymi oczyma jej nie oglądał. Łatwo co prawda zaprzeczyć domysłowi. Gall mógł znać szczegóły, bo słuchał opowiadań naocznych świadków, uczestników bitwy. Zwróćmy jednak uwagę, że nie tylko bój nad Trutiną dostarczył kronikarzowi okazji do dziwnie szczegółowych sprawozdań. Cofnijmy się trochę w czasie... A pogrzeb Mieszka Bolesławowicza? A przygoda arcybiskupa Marcina, chowającego się przed Pomorzanami na strychu kościelnym? Anonim i o tym nawet wiedział, że uciekający w inną stronę archidiakon przemykał przez pomieszczenie, w którym był zegar słoneczny. Drobiazgi, zwłaszcza zaś takie, które nie mogą imponować, zna i notuje ten, kto był świadkiem, albo ten, kto słuchał opowiadania „na gorąco”. Omdlenie królowej, wachlarze biskupów, drewniany kościół, osiodłane konie i zegar słoneczny w Spicymierzu, gaiki, bory i pola nad Trutiną... wszystko jak najbardziej powszednie, całkowicie do prawdy podobne. Czas zdobi przeszłość w dodatki, ale nie w takie.

Kronika Anonima obfituje w wiadomości podrzędnej natury co zdaje się świadczyć, że autor znał Polskę od dawna. Jakżeby zdołał tak swobodnie i trafnie operować detalem ktoś, kto przyjechał do zupełnie sobie obcego kraju i musiał natychmiast zabierać się do pracy. Powtórzmy raz jeszcze, nie szczędząc nacisku ze punktu widzenia praktyki pisarskiej pomijając nie wolno.

Kronikarz doprowadził nas już do wypadków roku 1111. Krzywousty liczył sobie wtedy lat dwadzieścia sześć. Trzeba przyznać, że w młodym wieku przyszło mu poddawać się takim próbom, jak wojna z cesarzem, co nadaje cechę wiarygodności zachwytom Galla nad jego zdolnościami i energią, okazywanymi od dzieciństwa.

Od roku 1108 był Bolesław III wdowcem. Miał ze Zbysławy sześciolatniego syna, którego nazwał Władysławem. Spadkobierca o dynastycznym imieniu! Wzgląd na jego dobro mógł zaważyć na sposobie rozwiązania domowego i ponurego sporu Piastów.

Poskromiwszy tedy wrogów, jak wyżej powiedziano, zmusił Bolesław księcia czeskiego, by swego najmłodszego brata, o którym wyżej mówiliśmy, dopuścił do części dziedzictwa, odstępując mu mianowicie niektóre miasta [gród Zatec z przynależną doń prowincją - w roku 1111]. Wobec tego faktu przysłał Zbigniew do swego brata Bolesława poselstwo z pokorną prośbą, ażeby mu także - jak czeski książę własnemu bratu - ustąpił jakąkolwiek część ojcowego dziedzictwa pod takim warunkiem, że absolutnie pod żadnym względem nie będzie miał pretensji być mu równym, a tylko zawsze i we wszystkim posłuszeństwo będzie mu okazywał, jak rycerz swemu władcy. Już bowiem nie wierzył więcej, by mógł zwyciężyć przy pomocy cesarza czy też Czechów lub Pomorzan, i pokorą oraz odwołując się do braterskiej miłości, usiłował teraz uzyskać to, czego osiągnąć nie mógł siłą i orężem. Słowa poselstwa dobrotliwie wcale brzmiały i pokojowo, lecz być może co innego na języku miał na zawołanie, a co innego kryło się w głębi piersi. Lecz opowieść o tym odłożmy w swoje miejsce, a teraz posłuchajmy odpowiedzi Bolesława. Usłyszawszy wszakże tak unizoną prośbę brata, puścił Bolesław w niepamięć tylekroć dokonane przezeń wiarołomstwa, tyle krzywd wyrządzonych przez wprowadzone do Polski obce wojska, i ułagodźwisty swój umysł, zawezwał Zbigniewa z powrotem do Polski, pod takimi mianowicie warunkami: jeżeli w zgodzie ze słowami jego poselstwa pozostaje też pokora jego myśli, jeżeli się istotnie za wasala, a nie za pana będzie uważał i żadnej już dumnej ambicji nie okaże ani dążności do władzy, to z braterskiej miłości odstąpi mu wtedy niektóre grody. A skoro następnie zauważy u niego prawdziwą pokorę i prawdziwą miłość, to ciągle go będzie posuwał z dnia na dzień wyżej. Jeśliby zaś nadal w sercu ukrywał ową dawną hardość i nie-zgodliwość, to lepszą byłaby otwarta niezgoda, niż gdyby miał ponownie wzniecić w Polsce nowe zamieszki.

Atoli Zbigniew, idąc za podszeptem ludzi głupich, najzupełniej niepomny przyrzeczonej pokory i poddaństwa, przybył do Bolesława nie w pokornej, lecz w wyzywającej postaci, nie jak przystało na człowieka skruszonego tak długotrwałym wygnaniem, udręczonego tyłu trudami i niepowodzeniami, lecz owszem, jak pan udzielny, każąc miecz nieść przed sobą, wśród brzmiającej orkiestry muzykantów bijących w bębny i cytry, i wyznaczając sobie w duchu rolę nie poddanego, lecz panującego, mając pretensje nie wojować pod rozkazami brata, lecz raczej bratu rozkazywać. A niektórzy rozumni ludzie na inny sposób to sobie wytłumaczyli, niż może sam Zbigniew zamyślał, i taką radę podsunęli Bolesławowi, której ze uwierzył, natychmiast mu zrobiło się żal i zawsze będzie żałował, że ją wykonał; takimi mianowicie słowy podniecali jego umysł: „Ten człowiek takimi klęskami zmiażdżony, na tak długie wypędzony wygnanie, zaraz przy pierwszym ukazaniu się, choć niepewnym jeszcze szczegółowych warunków, występuje z taką pychą i pompą - cóż uczyni

w przyszłości, gdy mu się udzieli jakiegokolwiek władzy w królestwie polskim?". Także inną i groźniejszą dodawali wiadomość, że mianowicie Zbigniew miał już kogoś z pewnego rodu, bogatego czy też biednego, upatrzonego i umówionego, by w dogodnie dla siebie upatrzonym miejscu przebić Bolesława sztyletem lub jakimkolwiek innym żelaznym narzędziem; zaś tego zabójcę, gdyby mu się wówczas udało śmierci uniknąć, miał sam Zbigniew wywyższyć na szczyt dostojęństw, jakby którego spośród książąt. Lecz my wierzymy, że to raczej owi źli doradcy coś podobnego wymyślili, niż żeby kiedykolwiek sam Zbigniew, człowiek dość prostoduszny i dość szczery, pomyślał chociaż o takiej zbrodni! Dlatego też mniej należy się dziwić, jeśli młodzian w kwiecie wieku, będąc przy władzy panującego, podniecony gniewem, a także za radą podszeptaną przez ludzi rozumnych, popełni jakąkolwiek zbrodnię, by w ten sposób uniknąć przypuszczalnego niebezpieczeństwa śmierci i dalej bezpiecznie od wszelkich zasadzek sprawować rządy. Wszakże niech nikt nie wierzy w to, iż ten grzech dokonany został z powziętego wprzód rozmysłu, a nie niespodzianie, że go spełniono po zimnym zastanowieniu się, a nie pod bezpośrednim wrażeniem okoliczności. Gdyby bowiem Zbigniew przybył z rozsądną pokorą, jak przystało na człowieka, który ma dopiero prosić o miłosierdzie, a nie jak udzielny władca, mający wśród pysznej pompy objąć rządy - to ani sam nie popadłby w zło nie dające się już naprawić, ani też innych do żalosnej nie przywiódłby zbrodni. Czy wszakże oskarżamy tu Zbigniewa a uniewinniamy Bolesława? Bynajmniej! Lecz mniejszą jest winą popełnić grzech pod wpływem gwałtownego gniewu i dostarczonej okazji niż choćby zastanawiać się z zimnym wyrachowaniem nad jego popełnieniem. My zaś nawet z rozmysłem popełnionemu grzechowi nie zaprzeczamy prawa do skruchy, lecz zważmy w tej pokucie na osobę winowajcy, na jej wiek i jej zdolność. Nie godzi się bowiem, by z popełnionego zła, które się już nie da odrobić, miało wyniknąć zło jeszcze gorsze, lecz należy temu, który jeszcze może być uzdrowionym, przyjść w pomoc ze stosownym lekarstwem. Dlatego też, ponieważ to, co zostało popełnione, po jednej stronie nie da się już do dawnego stanu przywrócić, godzi się, by stronie drugiej, znajdującej się na stanowisku dostojnym, która jest chorą a zdolną jeszcze przyjąć lekarstwo, poświęcić czujną a tkliwą uwagę. A jak wiadomo, choremu cieleśnie należy cieleśnej używać pomocy, zaś chorego na duszy wesprzeć duchowym lekarstwem. Toteż my, którzy oskarżamy Bolesława pod tym względem, że coś podobnego popełnił, pochwalamy go jednak w tym, że godnej dokonał pokuty i bardzo się upokorzył. Po raz pierwszy bowiem widzieliśmy takiego męża, tak potężnego księcia, tak lubego młodzieńca, jak pościł od mięsa, leżąc wytrwale na ziemi w popiele i w włosiennicy, wśród strumieni łez i łkań, jak wyrzekł się towarzystwa ludzkiego i rozmowy, mając ziemię za stół, trawę za ręcznik, czarny chleb za delicje, a wodę za nektar! Prócz tego biskupi, opaci i księża wspierali go wedle sił każdy mszami św. i postami, a na każdej znaczniejszej uroczystości łub przy konsekracjach kościołów odpuszczali mu cokolwiek z pokuty na mocy swej władzy kanonicznej. Nadto on sam zarządzał codziennie śpiewanie psalmów i odprawianie mszy za grzechy i za zmarłych, i z wielkim miłosierdziem niósł ulgę nędzarzom, karmiąc ich i odziewając. A co ważniejsze nad to wszystko i za główną rzecz w pokucie się uważa, że uczyniwszy tak zadość bratu swemu, pogodził się z nim (duchowo) i otrzymał za powagą niebios zupełne rozgrzeszenie. Jeden jeszcze bardzo odpowiedni środek pokuty zastosował Bolesław, który dla wszystkich pokutników może być stawiany jako wzór, ile że tu chodziło o tak potężnego księcia. Mianowicie, mimo że sprawował rządy nie księstwa, lecz potężnego królestwa i niepewny był pokojowi ze strony

różnych wrogich chrześcijańskich i pogańskich ludów, jednak powierzając siebie i obronę swego królestwa potędze Bożej, dokonał pielgrzymki (pokutnej) do św. Idziego i św. króla Stefana\* z największą pobożnością; uczynił to przy sposobności zjazdu (politycznego), wtajemniczywszy w to bardzo niewielką ilość osób. I przez wszystkie dni owego postu czterdziestodniowego byłby pościł, poprzestając na posiłku samym tylko chlebem i wodą, gdyby ze względu na trudy pielgrzymki nie skłaniali go do łamania owego postu biskupi i opaci mszami św. i modlitwami. Co dzień też od miejsca noclegu

#### PRZYPISY AUTORA:

\* W Somogyvar na Węgrzech było opactwo św. Idziego; w Białogrodzie (Székes-fehérvár) przechowywano relikwie św. Stefana.

tak długo szedł bosymi stopami wraz z biskupami i kapelanami, aż skończył odmawianie godzin o Najśw. Pannie, dziennych godzin kanonicznych i 7 psalmów pokutnych z litanją, a częstokroć po wigiliach za umarłych dodawał też kurs psalterza. A taką pobożność i gorliwość okazywał także w obmywaniu nóg ubogim i dawaniu jałmużny, że nikt potrzebujący wsparcia nie prosił go bezskutecznie o zlitowanie. Ilekroć przybywał północny księżę do jakiejś siedziby biskupiej lub opactwa czy też prepozytury, to miejscowy biskup, opat czy prepozyt, a kilkakrotnie sam król Węgier Koloman, wychodzili przeciw niemu na spotkanie z umyślnie uszykowaną procesją. Sam zaś Bolesław wszędzie pewne dary składał kościołom, zaś w owych główniejszych miejscowościach ofiarowywał jedynie tylko złoto i paliusze. Przez całe Węgry przyjmowany był ogromnie religijnie przez biskupów, opatów i prepozytów i z niesłychaną okazałością, a nader skrzętnie przygotowywano dlań wszelką posługę świecką; składał im dary i wzajem był obdarzany przez nich. Wszędzie towarzyszyli mu urzędnicy królewscy i służba, a specjaliści powiernicy mieli uważać i dawać znać królowi, gdzie gorliwsze, a gdzie opieszalsze dla Bolesława przygotowano przyjęcie. A gdy ktoś wydawał się gorliwiej go i z większą czcią przyjmować, mówiono o nim, że sobie niewątpliwie zaskarbił przyjaźń i łaskę królewską za to. Z taką pobożnością duchową i pompą świecką dokonał Bolesław powrotu ze swej pielgrzymki, jednakże wracając do swego królestwa, nie wyrzekł się od razu trybu życia pokutniczego i stroju pielgrzymiego, lecz wytrwał w tym samym charakterze pielgrzymim dalej, udając się aż do grobu św. męczennika Wojciecha [tj. do Gniezna], by tamże odprawić uroczystość Wielkiejnocy. Im bliżej z każdym dniem dochodził do stolicy św. męczennika, tym pobożniej wśród łez i modlitw postępował naprzód bosymi stopami. Gdy zaś wreszcie przybył do miasta i grobu św. męczennika, jakże ogromne rozdał jałmużny ubogim, ileż ozdobnych kosztowności złożył na ołtarzach kościoła! Dowodem tej działalności jego jest dzieło złotnicze, które sporządził Bolesław dla relikwii św. męczennika jako pamiątkę i świadectwo swej pobożnej skruchy i pokuty. Trumienka owa bowiem zawiera w sobie 80 grzywien najczystszej złota, nie licząc pereł i kosztownych kamieni, które też nie wydają się mieć mniejszej wartości niż złoto. W stosunku zaś do biskupów swoich, książąt, kapelanów i niezliczonych rycerzy tak okazałe i hojnie uświetnił ową świętą i przesławną Wielkanoc, że każdy z możniejszych, jak nie mniej z pomniejszych, otrzymał od niego kosztowne i ozdobne szaty. Odnośnie zaś do kanoników św. męczennika, stróżów i sług kościoła, oraz mieszkańców samego miasta wydał zarządzenia tak szczodre, że wszyscy bez żadnego wyjątku uhonorowani zostali! szatami czy koźmi lub innymi darami,

stosownie do godności i stanowiska. Ukończywszy tedy opis tej pielgrzymki z tak religijną dopełnioną pobożnością, nie możemy przecież spuścić z uwagi i pamięci oblężenia, dokonanego jeszcze wcześniej, i nie powinien nikt tego uważać za odwrócenie porządku, bo gdybyśmy opis oblężenia wtrącili w środek, tobyśmy sobie mogli popsuć cały szysk rozpoczętego opowiadania o pokucie Bolesława.

Zbliżamy się do zakończenia kroniki, a niektóre okoliczności zdają się dowodzić, że i autor zmierzał do finału, pisząc jednym ciągiem o Zbigniewie oraz o pokucie Krzywoustego i odkładając na później zasze tymczasem wydarzenia na północy. Z punktu widzenia dobra kompozycji Gall postępował słusznie. Zamknął po prostu główny wątek personalny. Czytelnik czy słuchacz rozstaje się z opowieścią, wiedząc, że Polska została zjednoczona i podlega księciu, którym jest Bolesław III. Na samo zaś zakończenie kroniki zachował autor wiadomości, jak najściślej związane z ideowym programem dzieła. Znowu słyszymy o Pomorzanach.

Krzywousty odnosi nad nimi sukcesy, lecz do takiego zwycięstwa, jakiego by wymagała epoka krucjat — daleko.

Gród więc Nakło, gdzie stoczona została, jak już wyżej wzmiankowano, owa olbrzymia bitwa, i który jest niegasnącym źródłem ciągłych bolesnych strat i trudów dla Polaków, ten gród wraz z większą ilością innych zamków pozwolił Bolesław zatrzymać Pomorzaniowi pewnemu, imieniem Świętopełk, z rodu sobie krewnego, pod takim warunkiem wierności dla siebie, że mu nigdy nie ma odmówić swych służb ani wzbronić wejścia do tych grodów pod jakimkolwiek pozorem. Ale później nigdy nie dotrzymał Świętopełk zaprzysiężonej mu wierności, ani nigdy sam nie przybywając, by przyrzeczone służby świadczyć Bolesławowi, ani bram grodów nie otwierając przybywającym (Polakom), lecz przeciwnie, jak wiarołomny wróg i zdrajca siłą i orężem stawiał opór sam w swoich (zamkach). Wobec tego Bolesław, książę północny, doprowadzony do gniewu, zwołałszy oddziały swych wojowników, obiegał przepotężny gród Nakło, zamyślając pomścić doznana zniewagę. Tam trwając przy oblężeniu od święta św. Michała aż do Bożego Narodzenia i w codziennych walkach usilnie atakując gród, wszystkie te trudy zupełnie ponosił daremnie, gdyż z powodu grząskości gruntu, pełnego wód i bagien, niepodobna było przywieźć machin i przyrządów oblężniczych. Ponadto zamek tak był silnie zaopatrzony w załogę i wszelkie potrzebne rzeczy, że nie można by go zdobyć przez całoroczne oblężenie ani orężem, ani głodem. Sam zaś Bolesław, gdy tam został także raniony strzałą, zapalił się jeszcze większym gniewem i zawziętością, by się pomścić. Przewo Świętopełk przez przyjaciół i powierników Bolesława domagał się zawarcia pokoju albo jakiego układu, przy czym ofiarowywał mu duży okup pieniężny wraz z zakładnikami. Zważywszy te propozycje, Bolesław zawiesił oblężenie i odstąpił, uwożąc z sobą część haraczu i syna pierworodnego Świętopełkowego jako zakładnika; nie wyrzekał się jednak zamiaru wyczekiwania na sposobną chwilę, by tu powrócić i pomścić zniewagę. Jakoż następnego roku, gdy Świętopełk nie dotrzymywał ani zaprzysiężonej wierności, ani zawartego układu, nie myśląc o niebezpieczeństwie grożącym synowi, ani też kwapił się przybyć na umówiony z Bolesławem zjazd lub przynajmniej podać przyczynę usprawiedliwiającą niestawienie się, wówczas Bolesław zgromadził swe wojsko i wiarołomnego wroga poskromił - choć niezupełnie - żelaznym biczem. Przybywszy na

pogranicze Pomorza, gdzie by niejedyn inny książę nawet z dużym wojskiem doznawał obawy, pośpieszył Bolesław naprzód z wybranym tylko rycerstwem, całe wojsko pozostawiając na miejscu, i powziął plan nagłym napadem zająć gród Wyszogród [nad Wisłą], licząc na to, że grodzianie, nie spodziewając się najścia, nie ubezpieczyli się na czas. Gdy zaś przybyto nad rzekę, która łącząc się z Wisłą, oddzielała od nich ów gród, położony na jej drugim brzegu, w kącie utworzonym przez obie rzeki, wtedy część zaczęła szybko jeden przez drugiego przepływać rzekę wplaw, inni zaś spośród Mazowszan przybywali Wisłą łodziami. W tych warunkach zdarzyło się na tej wojnie to, że przez niezajomość położenia większą tu poniesiono stratę niż następnie od ataków wroga w ciągu ośmiodniowego oblężenia. Po zebraniu się w końcu całego wojska około grodu i przygotowaniu już całego aparatu przeróżnych potrzebnych do zdobywania miasta przyrządów, grodzianie, obawiając się uporczywej wytrwałości Bolesława przy obleganiu, poddali się, uzyskawszy pewne gwarancje, i tak uniknęli rąk Bolesława i śmierci. Gród ów zajął Bolesław w ciągu 8 dni, i przez następne 8 dni pozostał w nim, by go umocnić odpowiednio, i na stałe zatrzymać w swych rękach. Pozostawiwszy tamże załogę, ruszył w dalszy pochód i otoczył wojskiem drugi gród, rozpoczynając oblężenie. Zdobył go zaś z większym trudem i z dłuższą stratą czasu, ponieważ i miejsce samo było tu obronniejsze, i wojownicy - jak się przekonał Bolesław - liczniejsi i dzielniejsi. Gdy więc Polacy przygotowali przyrządy i maszyny oblężnicze, Pomorzanie sporządzili podobnie przyrządy obronne. Polacy wyrównywali doły, znosząc ziemię i drzewo, by tym łatwiejszy po gładkim gruncie zyskać dla swych drewnianych wież dostęp do grodu. Pomorzanie w odpowiedzi na to przygotowują tłuszcze i smolne łuczywa, którymi powoli udało im się spalić owo nagromadzone drzewo. I tak trzy razy skrycie zszedłszy z murów, spalili grodzianie wszystkie przyrządy oblężnicze, i po trzykroć je znowu wystawiali Polacy. Tak mianowicie blisko grodu stały drewniane wieże Bolesława, że grodzianie z wałów bronili się przed nimi orężem i ogniem, i gdy tylko silniej atakowali Polacy gród bronią, kamieniami i ogniem, to tak samo grodzianie wszelkimi sposobami starali się dorównać obroną. Wielu z Polaków ranili grodzianie strzałami i kamieniami; jeszcze więcej z grodzian zabijali codziennie Polacy. Byli bowiem poganie pewni śmierci, gdyby ich orężnie wzięto w niewolę, i dlatego woleli, broniąc się, ginąć ze sławą niż tchórzliwie uchylając karku. Niekiedy jednak zamyślali zawrzeć układ z Bolesławem i gród poddać, lecz na razie prosząc o zawieszenie broni i oczekując pomocy, decyzję tę odkładali następnie. Tymczasem Polacy, bez wypoczynku i jakiegokolwiek opieszałości walcząc, utrudzeni już byli tyłu znojami i strażami, lecz mimo to usiłowali za wszelką cenę zdobyć gród siłą lub podstępem. Pomorzanie, widząc niezłomne postanowienie Bolesława, zrozumieli, że nie ujdą inaczej jego rąk, jak przez poddanie grodu, i w największe zwątpienie popadali z tego powodu, że od władcy swego Świętopelka żadnej już nie spodziewali się pomocy. Wobec tego powzięli postanowienie, dla obu stron obecnie dość odpowiednie, że mianowicie po zaprzysiężeniu im gwarancji poddali gród, sami cało i nietknięci odchodząc ze wszystkimi swoimi (rzeczami), dokąd im się spodobało.

## KONIEC

Żal naprawdę nieznośny! Nie dowiemy się, jak wyglądała chwila zajęcia Szczecina ani też wśród jakich okoliczności drużyny Krzywoustego dotarły do Rugii. Wolno



przypuszczać, że właśnie owo uczucie niedosytu każe uważać kronikę Galla za urwaną. Nie chcemy się pogodzić z tym faktem, że autor pisał dla ludzi jemu współczesnych, a nie dla nas. Chciał opowiedzieć „głównie o księciu Bolesławie” i tylko „ze względu na niego” wdał się w rozważania czasów dawniejszych. Pomyślał i skomponował książkę w ten sposób, jakby chciał politycznie dopomóc Krzywoustemu. Towarzyszył mu piórem aż do chwili, w której bohater opowieści po pokonaniu głównych przeszkód wszedł na właściwy szlak, to znaczy ruszył ku morzu. Kronika Galla zdradza wyraźne pokrewieństwa z tą gałęzią piśmiennictwa, którą my dziś nazywamy publicystyką polityczną.

Dla przybysza z szerokiego świata, dla człowieka o rozległych horyzontach i ustalonym poglądzie na świat, kwestia podboju Gdańska i zhołdowania Szczecina była mniej ważna. On przecież w ogóle nie mówił, komu ma przypaść Pomorze po ochrzczeniu go. Najwięcej znaczyło w jego oczach, że w nadodrzańskim regionie Europy sprawy przybrały należyty obrót.

Pozostało nam już tylko zastanowić się, kiedy Gall postawił w książce ostatnią kropkę.

Opowiadanie doprowadził do wiosny 1113 roku. Według wszelkiego prawdopodobieństwa uczestniczył wtedy w tajnej naradzie króla Kolomana z Krzywoustym (niektórzy twierdzą, że dopiero wówczas przyjechał do Polski wraz z powracającym Bolesławem, ale ten pogląd uważam za nienadający się do przyjęcia, za fantastyczny w stopniu najwyższym). Z wysławianym przez Anonima królem Kolomanem rozstajemy się jako z postacią nie tylko żywą, lecz stojącą u szczytu chwały. Koloman zmarł 3 lutego 1116 roku.

Drugim po Krzywoustym polskim bohaterem kroniki jest Skarbimir z rodu Awdańców. W pewnym miejscu autor uważał za stosowne zastrzec się, że oddając hołd wojewodzie, wcale nie zamierza wysuwać go przed księcia. W roku 1117 Skarbimir zbuntował się i został ukarany oślepieniem. Ponieważ zaś poprzednio, podczas walk z Pomorzanami, utracił był jedno oko, Krzywousty kazał wydrzeć mu to drugie. Kończąc kronikę, Gall nie przeczuwał tego, podobnie jak nie przeczuł bliskiego zgonu Kolomana. Z czego prosty wniosek, że odłożył pióro przed śmiercią króla i buntem wojewody.

Sprawa Skarbimira skłania jednak do dalszych rozważań. Jedno z trojga: albo w roku 1117 Galla już nie było w Polsce, albo nie żył, albo... był człowiekiem o tak silnym charakterze, że niczego w kronice nie zretuszował i nie skreślił. Jego zażyłość z rodem Awdańców, nakładająca dług moralny, oraz zamiłowanie do rzetelności nadają temu ostatniemu domysłowi cechę prawdopodobieństwa.

Jest niezbitym faktem, że ani autor, ani nikt współczesny mu nie amputował kroniki. Pochwały dla Skarbimira przetrwały dłużej niż jego kariera.

Wracajmy do przeczuć, których nie ma w książce. Jak się już wspomniało, gdzieś około roku 1108 Krzywousty owdowiał. W roku 1115 ożenił się powtórnie. Dokładnej daty godów nieznamy. Włodzimierz Dworzaczek, z którego znakomitej Genealogii bardzo często korzystałem przy pisaniu, twierdzi, że odbyły się między marcem a lipcem tego roku.

Wybranką Krzywoustego była czternastoletnia Salomea, córka Henryka hrabiego Bergu. To z niej narodziło się liczne potomstwo męskie, pomiędzy które Krzywousty rozdzielił ziemie Polski testamentem. Ona kazała w Tumie pod Łęczycą zbudować czwórwieżową kolegiatę, której posadzka skryła ruiny opactwa benedyktynów, pamiętające czasy Chrobrego i św. Wojciecha.

Tego wszystkiego Gall oczywiście przewidzieć nie mógł. Istnieją jednak podstawy do przypuszczeń, że kończąc kronikę, nie przewidywał samego małżeństwa.

Było ono na wskroś polityczne. Jedna z sióstr Salomei wyszła za Władysława czeskiego, druga za księcia z Ołomuńca. Te związki matrymonialne oznaczały dla Polski lepsze widoki na pokój od południowego zachodu. Ród hrabiów Bergu aż do zgonu cesarza Henryka V, czyli do roku 1125, miał w Niemczech potężne wpływy. Pokrewieństwo z nim dawało Krzywoustemu wiele korzyści, wzmagало bezpieczeństwo od strony zachodniej. Ułatwiałoby zatem urzeczywistnienie ideału, głószonego przez Anonima.

O Salomei głucho w kronice. Nie tylko w samym jej tekście, lecz i w dedykacjach. Dowodzi to chyba, że nie było jej jeszcze na Wawelu, gdy Anonim kończył kronikę w Krakowie. Ostatnia kropka mogła więc być postawiona w roku 1114.

Jeśli Gall w roku 1115 żył jeszcze i przebywał w Polsce, to widać nie przyszło mu do głowy przerabiać rękopis i umieszczać w nim imię nowej pani. Nazwa panegyryku, którą się często nadaje utworowi Anonima, wygląda niesłusznie i obelżywie. Gall sławił Krzywoustego nie dla zysku chyba. Służył piórem nie tyle może polskiemu księciu, co idei powszechnej, którą uważał za słuszną.

#### ANTYKRONIKA

Było to w roku 1923, jesienią, kiedy można swobodnie chodzić na przelaj uprzątniętymi już polami. Wzgląd na to zaważył pewnie na wyborze terminu uroczystości, którą świętować właściwie należało w pierwszej dekadzie marca.

W kierunku wioski Karwów walił od strony Opatowa wielotysięczny tłum. Sunął ławą, frontem szerokim na kilometry i wyrównanym, bo nikt nie wyprzedzał idącego na czele duchowieństwa. Białe komże księży świeciły wzdłuż całej linii łańcuchem, który na tle zbitej ciżby ludzkiej wydawał się rzadki. Łagodny wiatr rozdymał chorągwie kościelne. Dzień był szary, bez słońca, lecz i bez deszczu.

My trzej, uczniowie IV klasy gimnazjum im. Bartosza Głowackiego w Opatowie, rwaliśmy przodem, na nic nie zważając. Któż widział tracić okazję podziwiania takiego pospolitego ruszenia! Dopiero stamtąd od nas można było - przystanąwszy — patrzeć, jak ciemne mrowie pochłania pagórki, spływa w wądoły, czyni sam horyzont ruchliwym. Pierwsi dopadliśmy Karwowa, potoczku, który tam ciecze w dolince między drzewami. Mało świadom tradycji miejscowych ze zdumieniem obserwowałem pielgrzymów, napełniających wodą flaszki, myjących twarze, a zwłaszcza oczy. Według starego wierzenia strumyk ów posiada cudowne właściwości lecznicze w chorobach wzroku.

Obchodzono wtedy siedemsetlecie śmierci błogosławionego Wincentego z przydomkiem Kadłubek, biskupa krakowskiego, kronikarza, pierwszego literata narodowości polskiej. Nie wiem, jak wyglądało to święto w Jędrzejowie, gdzie mistrz Wincenty - złożywszy infułę - zmarł jako zwykły zakonnik Tłumy, które wyprzedzaliśmy, szły do Karwowa uczcić miejsce narodzin błogosławionego. Zapomniałem już słów, ale do dziś brzmi mi w uszach potężny ton głosu biskupa, przemawiającego pod gołym niebem z drewnianej kazalnicy, przygotowanej zawczasu.

Minęło czterdzieści lat. Mam przed sobą książkę Mariana Plezi *Od Arystotelesa do „Złotej legendy”*, otwartą na rozdziale „Kadłubek (dzieje imienia)”. Wspominam własne zaskoczenie na widok dziesiątków osób, jednocześnie przemywających oczy wodą potoku... Więc nie Karwów wcale, lecz Kargów. I nie pod Opatowem, lecz pod Stopnicą, w pobliżu ujścia Nidy!

To szanowny Jan Długosz wprowadził w błąd pokolenia. We własnych jego rękopisach widniało początkowo „Kargów”. Potem uczony zmienił pogląd słuszny na mylny. Zaczął wymazywać spółgłoskę „g”, stawiać „w” i w wyskrobonym również miejscu pisać „Opatów”. Konsekwentnie stosując fałszywą indukcję, uznał też mistrza Wincentego za członka rodu, pieczętującego się herbem Róża alias Poraj. Tymczasem stare roczniki biskupów krakowskich mówią wprost, że o szlachectwie Kadłubka wolno wątpić.

Ale wieś Okalinę, położoną tuż pod Opatowem, Wincenty rzeczywiście podarował cystersom z Sulejowa. Pielgrzymka przemierzała więc pola, które znał i deptał. Kargów i Karwów leżą w tej samej ziemi sandomierskiej, bo terminu „województwo kieleckie” nikt przecie *Mo tempore* nie słyszał. Historycznie rzecz biorąc, nic się zatem nie zmieniło. Przybyło tylko jeszcze jedno pouczenie o wiekuiestej możliwości błędu i o użyteczności sceptycyzmu.

Przydomek kronikarza, powszechnie zresztą uważany za nazwisko... Można przypuszczać, że dzięki niemu mistrz Wincenty należy do najlepiej zapamiętanych postaci polskiego średniowiecza. „Kadłubek” - to brzmi śmiesznie. A już co najmniej bezpretensjonalnie. Wpada w ucho lepiej od przydomków dumnych.

Do XV wieku mówiono o naszym literacie: Wincenty syn Kadłuba. Dopiero Długosz ugrzecznił imię ojcowe na Kadłubek, a czasy późniejsze przenieśli miano z rodzica na potomka. Dla Jana Kochanowskiego był on zresztą po prostu Kadłubskim. Czemuż by nie miał nim zostać, skoro za czasów Kochanowskiego właśnie inny dziejopis, Łukasz Góra, łyk z Oświęcimia, stał się raptem Łukaszem Górnickim herbu Ogończyk, a poeta Klemens, syn chłopski z Januszkowa, Janickim? Pełno fałszu w rozpowszechnionym mniemaniu o czysto szlacheckim rodowodzie naszej kultury i takiejże barwie historii. Arcybiskup Jakub ze Żnina, postać w dziejach XII wieku ogromnie ważna, pochodził z gminu. Nie należał do szlachty i pierwszy nasz prymas, Mikołaj Trąba, jedyny polski uczestnik rady wojennej, która przygotowała Grunwald (pozostali dwaj, Jagiełło i Witold, byli Litwinami), i jedyny w ogóle ówczesny sztabowiec, który nie chciał Grunwaldu zmarnować. Jeśli chodzi o Górnickiego, to świetny ten pisarz figuruje w osławionej *Liber chamorum* z XVII wieku. Bez wzmianki o

jego dziełach, ale figuruje. Nie przesadzajmy z tym szlacheckim monopolem na polską przeszłość.

Polskie średniowiecze nie chorowało na gminofobię. Kronikarza, który był wszak biskupem, zwano czasami bez ceremonii Kadłubem. Słowo to oznaczało jednak wtedy coś całkiem innego niż dziś. Rzeczownik nie zdążył jeszcze zerwać związku ze swym macierzystym czasownikiem. Kadłub to wydrażony, czyli wydłubany pień drewna. Albo duże naczynie drewniane. Takie miano nie przydawało blasku i nikt dostojny chyba go nie nosił. Marian Plezia podaje, że profesor Witold Taszycki odnalazł w dokumentach jedną jedyną wiadomość o człowieku, który nazywał się tak samo jak ojciec kronikarza. W roku 1424 wypłacono należność niejakiemu Kadłubowi, który wespół z innymi pachołkami przyświecał po nocy pochodnią królowi Jagielle gdzieś koło Niepołomic.

Bratankowie Wincentego nosili imiona Bogusława i Sulisława. Pierwsze z nich bardzo widać przypadło do gustu Janowi Długoszowi, skoro zawdzięczamy mu twierdzenie, że ojciec dziejopisa zwał się Bogusław, a matka Benigna. Przyjmując to za świętą prawdę, wykoncypowano później przekonywającą i nie-pozbawioną wdzięku teorię. Bogusław to było stanowczo zbyt trudne dla Niemców, przepelniających klasztor w Jędrzejowie do którego Wincenty wstąpił. Przetłumaczyli więc dosłownie na Gottlob. Omyłki i nieporozumienia przepisywaczy zrobiły później z Gottloba Katloba, Katluba, Kadłuba i Kadłubka. Bardzo logiczne, gdyby nie ta drobna okoliczność, że w XIII stuleciu brakło w Jędrzejowie Niemców, przebywali tam bowiem sami Francuzi i Włosi (Wincenty był pierwszym Polakiem przyjętym do konwentu). I druga trudność — imienia Gottlob zaczęto w Niemczech używać dopiero w XVI wieku.

A zatem Wincenty syn Kadłuba (i matki nieznanego imienia), urodzony w Kargowie koło Stopnicy. Ponieważ jednak na przyzwyczajenie nie ma rady, kronikarz na wieki zostanie Kadłubkiem i wolno mi nadal go tak nazywać.

\*

Urodził się około roku 1160. Data czysto orientacyjna. Niebezpiecznie jednak byłoby odmładzać Kadłubka, który w roku 1186 czy też w 1194 został proboszczem kolegiaty sandomierskiej. Wolno natomiast doliczyć mu kilka wiosen. Ponieważ na metrykalnej ścisłości wcale w danym wypadku nie zależy, wybierzmy sobie rok 1157 i przyjrzyjmy się bliżej jego przebiegowi oraz znaczeniu. Bo pewne jest, że w dobie dzieciństwa przyszłego kronikarza kraj znajdował się w znaku tej daty.

Trzeba zresztą cofnąć się nieco w czasie, aby trochę naszkicować dzieje pewnej zachodnioeuropejskiej korespondencji. Kto ciekaw, ten znajdzie ją *in extenso* w drugim tomie Pomników dziejowych Polski wznovionych ostatnio przez PWN w pięknej szacie (należy oczywiście pamiętać o zabraniu ze sobą słownika łaćnińsko-polskiego).

Poczynając od roku 1144, papież Eugeniusz III znosi się listownie z cesarzem Konradem III<sup>1</sup> oraz jego synem, królem rzymskim Henrykiem. Obu monarchom chodzi o

poparcie dla najstarszego z książąt polskich Władysława II (nazwanego przez historię Wygnańcem), którego młodszy bracia wypędzili z kraju, pozbawili dziedziny i władzy. Bardziej jeszcze niż na Władysławie zależy im na jego małżonce, Agnieszce, margrabiance austriackiej. Jest ona przyrodnią siostrą cesarza. Pokrewieństwo z rodem Hohenstaufów rozstrzygnęło o jej wyborze dla pierworodnego syna Krzywoustego. Stary książę dobrze przewidywał. W kilka lat po ślubie Władysława Konrad III wstąpił na tron, dając początek nowej dynastii niemieckiej. Ale wskutek buntu juniorów to, co miało być dla Polski asekuracją, zmieniło się w jej zaprzeczenie. Władysław zażądał od germańskiego kuzyna pomocy, Konrad zyskał okazję wtrącenia się w sprawy polskie.

3 maja 1146 roku papież nakazał biskupowi morawskiemu Henrykowi zdjąć klątwę, jaka ciążyła na Władysławie. Rzucił ją był na księcia arcybiskup Jakub ze Żnina, zdecydowany zwolennik juniorów. Miało to stanowić karę za korzystanie z pomocy „Saracenów”, czyli druzyn z Rusi i Prus. We wrześniu papież raz jeszcze pisze do biskupa Henryka. Tym razem każe mu jechać do Polski jako towarzyszy legata apostolskiego, kardynała Gwidona. (W sierpniu, to znaczy pomiędzy datą pierwszego i drugiego z tych listów, cesarz Konrad ruszył na Polskę. Dotarł tylko do zasieków granicznych i zawrócił, wzięwszy od książąt polskich obietnicę stawienia się w Niemczech na sąd).

W styczniu 1150 roku Gwido doniósł Konradowi III o własnym radykalnym postępku w Polsce. Kardynał wyklął mianowicie wszystkich przeciwników Władysława, a papież potwierdził ekskomunikę. W tym samym miesiącu Eugeniusz III surowo

#### PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Konrad III Hohenstauf (1093-1152), wybrany na króla w 1137 roku, nigdy nie został cesarzem (przyp. red.).

skarcił kler polski, który ani myślał uznawać rzuconej przez legata anatemy. Pismo papieskie zawierało na wstępie formułę pozdrowienia, lecz Eugeniusz zaraz podkreślił, że stało się tak tylko przez szacunek dla tradycji, bo krnąbrne duchowieństwo z Nadwiśla nie zasługuje na dobre słowa.

Kolejny list pochodzi z sierpnia 1157 roku. Adresatem był opat niemiecki Wibald, nadawcą zaś postać, która przeszła nie tylko do historii, lecz i do legendy. Cesarz rzymski i król niemiecki Fryderyk I Barbarossa, czyli Rudobrody. Wibald dowiedział się od niego o postanowionej już wyprawie na Polskę. A w piśmie otrzymanym we wrześniu przeczytał zwięzły opis tryumfu. Doszliśmy - pisał Rudobrody - do rzeki Odry, „qui totam terram Mam quasi muro vallat” i pomimo jej głębi „contra spem Polonorum cum omni exercitu nostro transvimus” - chociaż wielu żołnierzy utonęło podczas przeprawy. W ten sposób - zaczyna cesarz koloryzować - dokonaliśmy czynu, który nie udał się żadnemu z naszych poprzedników (widocznie Barbarossa zapomniał o Henryku II i V). List wymienia grody polskie „Głogowa”, „Bitum”, „Frodezlau” i „Posnan”. W pobliżu tego ostatniego, w miejscowości „Crisgowe”, czyli w Krzyszkowie, nastąpił finał. Najstarszy z polskich

juniorów, Bolesław Kędzierzawy, stanął przed Fryderykiem, przyrzekł wpuścić do kraju Władysława, zwrócić mu dziedzictwo, zapłacić Niemcom haracz, dać zakładników i zjawić się w Rzeszy na sąd cesarski.

Oto co oznacza w naszych dziejach rok 1157. Wincenty urodził się pod znakiem złej gwiazdy. W przyszłości miał się popisać umiejętnością przerabiania czarnego na białe. Kędzierzawy stanął przed Rudobrodym boso, trzymając nad głową nagi miecz. Miało to oznaczać, że cesarz jest panem życia i śmierci polskiego księcia. Kadłubek uczynił Kędzierzawego zwycięzcą. Posłuchajmy urywka jego opowieści, a może raczej powieści. „Relacja” o tamtej wojnie doskonale reprezentuje ducha i formę antykroniki.

Cesarz Fryderyk I (czyli „rudy smok”):

częstymi poselstwami Bolesławowi się naprzykrzał, aby brata już nie do królestwa, lecz do dziedzicznej przywrócił części. Im uporczywiej napomnieniom się opierał, tym mocniej gniew cesarza przeciw sobie jątrzył; boć nie ujdzie wierzganie, gdzie ostrogą dostanie, ani się płynnie bezpiecznie przeciw prądowi. Tak więc całą siłę cesarstwa przeciw jednemu mężowi obraca, oręż wszystkich przeciwko Bolesławowi, oręż Bolesława przeciw wszystkim uzbraja. Dają mu do wyboru, żeby albo królestwo złożył, albo wojny nie unikał. Lecz mąż przebiegły, wszystko to z dnia na dzień odkładając, bez wojny walczy, bez bitwy zwycięża; odcina bowiem i zamyka ze wszech stron wszelkie zasiłki żywności; stąd też w obozie nieprzyjacielskim powoli powstał niedostatek; a niezwyciężonych legionów siła, owe najślawniejsze falangi z głodu i zarazy ginęły.

W powodzi słów oraz we wspominkach, bezceremonialnie czerpanych z Galla i przenoszonych w czasy późniejsze, utonęło wszystko. Nie widzimy płonących grodów w Głogowie i Bytomiu, które Polacy sami spalili, nie śmiejąc stawić w nich oporu. Nie ma niemieckiego obozu w Krzyszkowie nad Wartą ani bezprzykładnego upokorzenia Kędzierzawego. Brak słówka chociażby o danych cesarzowi zakładnikach, wśród których znajdował się najmłodszy brat Bolesława, Kazimierz, przyszły Sprawiedliwy. Jest za to niewątpliwy, chociaż dziwnie pojmowany, patriotyzm i zdecydowane opowiedzenie się po stronie młodszych książąt przeciwko najstarszemu z rodu Piastów.

Kadłubek kochał Polskę, nie lubił Niemców i Czechów. Był dumny z istnienia własnej dynastii, wysławiał dawnych władców kraju. Lecz z całej duszy popierał nowy prąd polityczny, będący zaprzeczeniem tego, o co kolejno walczyli trzej wielcy Bolesławowie - Chrobry, Śmiały i Krzywousty. Wkrótce po zgonie tego ostatniego rozpoczął się w dziejach Polski okres, tradycyjnie zwany dobą rozbicia dzielnicowego. Kronikarz Wincenty tym nowym porządkiem sprzyjał. Pomagał nawet czynnie ich utwierdzeniu się.

Zawiłe to wszystko i rok 1157 naprawdę dobrze się nadaje na ilustrację. Kadłubek raka bolał nad tym, co zaszło w Krzyszkowie, że skrzętnie starał się utaić prawdę. Lecz książąt, będących współwinowajcami, pochwalał. Tradycyjnie nazywał kraj królestwem, a jego panów królami. Zwróciłby się jednak na pewno przeciwko temu z nich, który by zechciał zrobić właściwy użytek z korony, przechowywanej w skarbcu krakowskim.

Cudzoziemiec Gall był zwolennikiem polskiej jedności, rodak Wincenty - rozdrobnienia. Tajemnicy nie wyjaśni żadna łatwizna w postaci powoływania się na charakter narodowy. (Gall pisał o wiek niemal wcześniej, wśród całkiem odmiennych okoliczności. Autor polityczny musiałby się dostosować do realnie istniejących warunków i żyjąc później, uderzyłby pewnie w ten sam ton, co Kadłubek). Nie będzie pożytku z ogólnikowych formułek, bo to, co się w Polsce stało, wynikało z niepowtarzalnego konketu. Warto jednak pamiętać, że separatyzm, dzielnicowość i mozaikowatość struktur państwowych stanowiły w europejskim średniowieczu nie wyjątek, lecz regułę. W dobie rozbitcia Polska bynajmniej się nie oddaliła od charakterystycznych dla kontynentu norm. Raczej się do nich w sposób swoisty ostatecznie dopasowała.

Okres podziałów dzielnicowych ocenia się u nas aż do przesady ujemnie, obarczając Krzywoustego całą odpowiedzialnością za zło. Rozdał kraj pomiędzy synów, rozdrobnił państwo, które sam przedtem zjednoczył za cenę krwi brata! - oto zarzut powtarzany z uporem. Pogląd ten wynikał z dwu równie żalonych metod poznawczych. Przede wszystkim z korepetytorskiej postawy wobec własnej historii. Po drugie — z nieszczęsnej manii takiego traktowania dziejów Polski, jakby rozgrywały się one na samotnej wyspie wśród oceanu. Rzućmy tylko okiem na ówczesną Europę, a zaraz spostrzeżemy prawdę. Schyłek rządów Krzywoustego upływał wśród koniunktury tak złej, że gorszą trudno sobie wyobrazić. Tymczasem osądza się go, jakby nic w ogóle nie krępowało ręki, która opieczętowała sławny „testament z 1138 roku.

Wydarzenia miały przebieg dramatyczny, tym łatwiej więc uzmysłwić fatalne dla Polski okoliczności. Wiadomo jednak wszystkim, że ciekawe opowiadanie o historii zalicza się w pewnych krajach jeśli nie do grzechów, to co najmniej do czynności niezgodnych z powagą badacza. Skąpo udzielane wiadomości z dziejów powszechnych muszą być w dodatku wyprane z koloru, wyżęte aż do szarzyzny. Dlatego każdy, kto chce pokazać warunki, które ciężko zaważyły na losach Polski, musi sięgać po trudno dostępne i nigdy na nasz język nietłumaczone książki Francuzów.

14 lutego 1130 roku zmarł w Rzymie papież Honoriusz II. Wydarzenia ogromnej wagi zaczęły się teraz tak ścigać, że niepodobna wprost uwierzyć, ile faktów zaszło, zanim zmieniła się na kalendarzu data dzienna. Historia powszechna liczyła się wtedy na godziny. Od dwóch dni istniało ośmioosobowe kolegium kardynałów, mające przygotować wybór następcy. Ale jeden z jego członków, kardynał Pierleoni, Żyd z pochodzenia, uszedł na Zatybrze, straciwszy nadzieję uzyskania większości. Wraz z nim opuścili zebranie dwaj inni hierarchowie - Jonatan, też zapewne Izraelita, oraz Piotr z Pizy, sławny z uczoneości. Pozostałych pięciu obrało jednego spośród siebie, Grzegorza Papareschi. O świcie pochowano dobrze jeszcze nieostygłe zwłoki Honoriusza i ogłoszono papieżem Innocentego II. Ogółem opowiedziało się za nim piętnastu kardynałów, obecnych przypadkowo.

Tego samego nie dnia nawet, lecz poranku znaczniejszy odłam Świętego Kolegium obwołał na Zatybrzu Pierleoniego, który przybrał imię Anakleta II. Antypapież też sięgał, jak widać, do starochrześcijańskich tradycji. Popierała go duża część patrycjatu rzymskiego. Najważniejszą rolę grały jednak pieniądze jego rodziny. Dzięki nim udało się pozyskać tłum

stołeczny, zawsze gotów stanąć po stronie więcej dającego. Zbrojne oddziały antypapy zaczęły zajmować dzielnicę po dzielnicy. Obawiając się niewoli, Innocenty II opuścił Wieczne Miasto i Włochy. 11 września 1130 roku przybył do Saint-Gilles. Dalszy jego los całkowicie zależał od woli potęg chrześcijańskich, położonych na północ od Alp.

Zanim jeszcze Innocenty przybył do Francji, zebrani w Etampes biskupi oraz rycerze tego kraju udzielili mu poparcia. Bernard z Clairvaux wołał, że nie wolno oddać Żydowi kluczy św. Piotra. Co prawda, nie tylko ten взгляд ważył. Pierleoni-Anaklet cieszył się sławą wcale nieszczególną, a ci, którzy dali głosy za Innocentym, stanowili większość kardynałów-biskupów. Zgodnie z tradycją ukoronował go biskup Ostii.

Innocenty pozyskał także wkrótce przychylność Anglii i Hiszpanii. Chcąc powrócić do Rzymu, należało jednak zdobyć go siłą. Tego mogli dokazać tylko Niemcy. Ściślejszy - ich król, dotychczas jeszcze nieukoronowany na cesarza. Obrzęd musiał odbyć się w Rzymie.

Owym królem był Lotar III, poprzednio książę Sasów, stary rywal Krzywoustego. Aż za dobrze znali go Obodrzyce oraz inne plemiona zachodniosłowiańskie, które zmuszał do uległości. Jego polityka coraz wyraźniej kierowała się ku ujściu Odry oraz ku wyspie Rugii. W Genealogii Włodzimierza Dworzaczka figuruje on całkiem osobno, w rogu karty poświęconej dynastii salickiej. Bo też nie należał ani do niej, ani do następnej - Hohenstaufów. Ród von Supplinburg wydał tylko jednego cesarza. Po zgonie Henryka V wybrano Lotara jako kandydata opozycji. Zwłaszcza duchowieństwo było za nim, pamiętając jego przychylną postawę wobec programu gregoriańskiego. Sojusz z Innocentym był w tych warunkach zjawiskiem naturalnym. Wygnańca wspierały ponadto takie powagi, jak Bernard z Clairvaux i Norbert z Westfalii, założyciel zakonu premonstratensów, arcybiskup magdeburski i kanclerz Włoch - dwaj przyszli święci. Kler polski pośpieszył się, niestety, i uznał papieżem Anakleta.

Król Lotar musiał starannie obmyślać plany, by każde z zamierzeń zbrojnych zmieścić w ramach sakramentalnych trzech miesięcy, po upłynięciu których wierne rycerstwo zawracało wierzchowce i ruszało do domu, ani dbając, jakie plany wodza udaremnia. Pierwsza wyprawa, odbyta w roku 1131, była improwizacją. Poszło za Alpy tysiąc pięciuset Niemców oraz trzystu Czechów. Druga, w dwa lata później, wyglądała już inaczej.

Mniejsza o walki. Bez porównania ważniejsze są dla nas posunięcia polityczne, wywierające bezpośredni wpływ na strukturę władz kościelnych. We Włoszech trzeba było pogodzić Genuę i Pizę, których połączone floty mogły zabezpieczyć ujście Tybru przed Rogerem sycylijskim, stronnikiem antypapy. Św. Bernard osiągnął ten cel. Genua uzyskała arcybiskupstwo, a władzę nad sześcioma biskupstwami korsykańskimi podzielono po równo pomiędzy obie metropolie. Trzy dla Genui, trzy dla Pizy. Niemcy znaczyły więcej od obu tych miast. Św. Norbert, Germanin rodowity, towarzyszył Innocentemu i Lotarowi w wyprawie. 27 maja 1133 roku papież podporządkował wszystkie biskupstwa skandynawskie metropolii hambursko-bremeńskiej. 4 czerwca odbyła się koronacja Lotara na cesarza. Ceremonii dopełniono jednak u świętego Jana na Lateranie, bo kościoła św. Piotra nie udało się wydrzeć z rąk Anakleta. Tego samego dnia bulla papieska oddała Magdeburgowi władzę nad wszystkimi biskupstwami polskimi w liczbie ośmiu.



Przekreślona została bezcenna zdobycz Mieszka i Chrobrego, odrębność i samo nawet istnienie polskiej prowincji kościelnej, podlegającej dotychczas tylko Rzymowi. Obrażono najbardziej żywotne interesy papieżstwa. Toczyła się walka o władzę najwyższą. W tych warunkach Innocenty gotów był wszystko zrobić dla Lotara.

Wkrótce po koronacji cesarz odchodzi na północ. Trzymiesięczny termin minął. Wraz z Niemcami ciągną Genuńczycy i Pizanie. Drużyny Anakleta mogą teraz odwojować utracone dzielnice Wiecznego Miasta. Innocenty II nie czeka na to. Opuszcza Rzym, osiada w Pizie. Pomoc cesarska jest nadal potrzebna. Fatalna dla Polski koniunktura trwa. Na zwyczajne niepokoje wewnątrz Niemiec liczyć nie można, bo kler tamtejszy z zapałem zabrał się do pacyfikacji. Zapewnił mir tak solidny, że cesarz wziął ze sobą do Włoch szwagra, Henryka Pysznego z Bawarii, którego zostawiał poprzednio w Rzeszy dla pilnowania porządku.

15 sierpnia 1135 roku Krzywousty stawił się przed Lotarem w Merseburgu i złożył mu hołd z Pomorza Zachodniego oraz z Rugii (której zresztą nie posiadał; upokarzając się, potwierdzał jednak swe prawa do niej). Biskupia stolica Thietmara po raz drugi w swych dziejach widziała księcia polskiego niosącego miecz przed cesarzem. O ile jednak Chrobrego czekały w niedalekiej przyszłości pełny tryumf i korona, o tyle Krzywousty mógł liczyć tylko na uchylenie gróźb najgorszych. Składając hołd, zmierzał do tego właśnie i cel osiągnął.

Podporządkowanie Kościoła polskiego Magdeburgowi to najcięższe z ówczesnych niepowodzeń Bolesława III, lecz wcale nie jedyne. Nie udała mu się wyprawa na Węgry, gdzie zamierzał przeszkodzić umacnianiu się wpływów niemieckich. Było to w roku 1132. W przeciągu trzech lat następnych spadały na Śląsk odwetowe wyprawy czeskie. Protegowany przez Krzywoustego na Węgrzech królewicz tamtejszy Borys, przebywający później w Wiślicy, zdradził. Porozumiał się z Rurykowiczami i w fatalnym roku 1135 wydał im gród. Ruskie i połowieckie drużyny spaliły go i wycięły ludność, ale Borys nie zyskał na swym postępkach. Pisze Kadłubek, że Wołodar ruski:

Owego zaś sprawcę zdrady, syna piekieł, wychowańca wiarołomstwa najpierw uczcił najwspanialszymi darami, napoił łask obfitością, najczulszymi przycisnął uściski i na najwyższy szczyt godności wyniósł. Gdy wreszcie zdrajca żadnego nie przeczuwał nieszczęścia, by niespodziewany pocisk srożej go dotknął, by z wyższego stopnia głębiej był strącony, w tej samej prawie chwili wywyższa go i strąca; strąconego pozbawia wzroku, ucina język, otrzebia, mówiąc: Niechaj przepada, niech się ze źmii, z potworu zdrady, zgubniejszy nie mnoży potwór.

Wątpliwe, czy Wołodar naprawdę tak powiedział, pewne za to, że męka Borysa stanowiła słabą pociechę dla Krzywoustego. W jednym tylko wypadku los rozstrzygnął wtedy na jego korzyść. Umarł arcybiskup Norbert. Zabrakło najgorliwszego orędownika sprawy Magdeburga.

Po złożeniu hołdu Krzywousty powracał przez to miasto. Z rozkazu cesarza wyszedł mu na spotkanie metropolita, były dzwony we wszystkich kościołach, w uroczystej procesji niesiono chorągwie. W średniowieczu hołd hołdowi nie był równy. Merseburg w niczym nie

przypominał późniejszego Krzyszkowa. Krzywoustego traktowano jako samodzielnego monarchę.

Głęboki manewr polityczny powiódł się, załagodzenie stosunków z cesarzem zaraz przyniosło korzyść. W roku 1136 Innocenty II wydał bullę dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, w której ani jednym słowem nie wspomniał o podporządkowaniu go Magdeburgowi. Papiestwo nie odwołuje własnych postanowień. W milczeniu odchodzi od uznanych za przekreślone.

Bulla Innocentego szczegółowo opisała posiadłości kościelne na Pałukach, wymieniła też imiona chłopów, zamieszkałych we wsi Starzi Biskupici, czyli w dzisiejszym Biskupinie. Brzmiały tak: Nawóz, Ruz, Sól, Białowas, Witosa, Pantys, Zmarszcz, Miłoch, Kraik, Niegłos, Konus, Dal, Marzecz, Czyż, Pospiech, Redanta, Smogor (co znaczy torf), Donic, Dygoma, Kobyłka, Parech, Kłobuszec, Pampie, Kandra, Komor, Zdomyt i Pandeciech. Prawda, że Kadłub pasowałby tu w sam raz?

4 grudnia 1137 roku wracający z kolejnej wyprawy włoskiej Lotar III zmarł w Tyrolu. Krzywousty przeżył go tylko o dziesięć miesięcy, chociaż był o tyleż dokładnie lat młodszy. Zgasł 28 października 1138 roku, podobno w Sochaczewie.

Z dwóch małżeństw zostawił czterech synów (piąty był niemowlęciem lub miał się wkrótce narodzić). Najstarszy liczył sobie lat trzydzieści trzy, następny z kolei — trzynaście. Ta okoliczność musiała stanowić pociechę dla umierającego. Mógł liczyć, że senior da sobie radę. Zwłaszcza jeśli się go zawczasu dobrze podeprze.

Tylko tytuł królewski zdołałby zapobiec podziałowi kraju między spadkobierców. Wśród warunków, które z lekka poznaliśmy, sama próba koronacji stanowiłaby szaleństwo. Byłaby wyzywaniem i tak już aż nazbyt nieprzychylnego losu. Obaj starsi Bolesławowie wyzyskiwali dobrą koniunkturę, koronując się Bolesławowi III jej zabrakło.

Gdzieś w roku 1138, zapewne podczas wiecu możnych Krzywousty ogłosił swój statut, nazwany później testamentem Wyznaczył czterem synom po dzielnicę (Wincenty Kadłubek nie wymienił ich wcale, uznając widać konkret za balast). Stworzył również dzielnicę środkową, obejmującą całe Pomorze, zachodnie Kujawy, wschodnią Wielkopolskę z Gniezmem i Kaliszem, ziemię łęczycko-sieradzką oraz krakowską z samym Krakowem. Tego obszaru nie wolno było rozdrabniać. Miał zawsze stanowić domenę najstarszego z rodu Piastów, któremu w stosunku do reszty kraju przysługiwały prawa księcia zwierzchniego, seniora, nieukoronowanego monarchy.

Prowincje dane Bolesławowi Kędzierzawemu, Mieszkowi (Staremu) i Henrykowi, czyli Mazowsze, resztę Wielkopolski i Sandomierskie, Krzywousty pokroił, okaleczył na pewno z rozmysłem. Żadna z nich nie ostała się w swym dawnym kształcie plemiennym. Jedynie przeznaczony dla Władysława Śląsk dostał mu się w całości. To nie mógł być przypadek. Ojciec, jak umiał, tak podpierał najstarszego z synów, upatrzono go na prawdziwego dziedzica. Miały mu służyć nie tylko zasoby Śląska, lecz i prastare tradycje

szczepowe. Ponadto — dzielnica senioralna, wiek dojrzały oraz powinowactwo z rodem Hohenstaufów.

Krzywousty zamykał pewnie oczy z sumieniem jako tako spokojnym. Testament swój kazał spisać i uzyskał dlań zatwierdzenie papieża. Zrobił wszystko, co leżało w mocy ludzkiej i dało się ogarnąć przewidywaniem. Postanowił bowiem jeszcze, że tylko senior ma prawo mianowania biskupów w całym kraju. (W Polsce, pomimo konkordatu wormackiego i innych reform zachodnich, po dawnemu wyznaczał ich panujący). Zarówno w Niemczech, jak we Francji podporami tronu bywali zazwyczaj hierarchowie duchowni, bo na świeckich sobiepanów tylko człowiek naiwny mógłby liczyć. Krzywousty spodziewał się tego samego dla Polski. I tu się zawiódł. Píše Tadeusz Wojciechowski:

Trudno było przewidzieć Krzywoustemu to, że biskupi, ówczesna inteligencja narodu i zaprzysiężeni na testamentowy statut - jakby idąc za przykładem Stanisława, z nielicznymi wyjątkami, jak Robert wrocławski, Werner płocki, Arnold poznański i może Iwo krakowski — zamiast pomagać do utrzymania monarchii, pomagali juniorom do rozburzenia państwa. Nie wynikało to bynajmniej z ich urzędu czy charakteru biskupiego; po prostu nie dorosli do wysokiej godności. Byli to ci sami biskupi, na których żalił się Krzywousty przed Ottonem bamberskim: „Szukam od dawna między moimi biskupami, czy który nie podejmie się misji do pogan, i nie mogę znaleźć”. Nie umieli apostołować, ale umieli burzyć na równi i razem z panami świeckimi, jako magnaci, arystokracja średniowieczna, zasadniczo sprzeczna monarchii; a byli potężni, bo miesiali pod sobą po kilka grodów z licznym rycerstwem włódczym. Tak, zaczawszy od klątwy rzuconej na pierwszego seniora i jego żonę (!), burzyli przez cały ten okres (1138—1243), a mianowicie w tych latach, kiedy zachodziły przemiany na tronie krakowskim.

Pierwsza klątwa! — już się o niej napomykało, lecz warto ją jeszcze raz przypomnieć.

Na początku 1146 roku książę Władysław brał już górę. Obiegł w Poznaniu młodszych braci, których zamierzał wyzuc z ich dzielnic, państwo zaś znowu całkiem zjednoczyć. Uzyskał już na to zgodę Konrada III.

W obozie Władysława zjawia się arcybiskup Jakub ze Żnina. Jest bardzo sędziwy, chodzić nie może, przywożą go na małym wózku, wtaczają do namiotu Piastowicza. Za sprowadzenie drużyn ruskich i posiłków z Prus metropolita rzuca klątwę i natychmiast każe się wywieźć spod skażonego dachu. Przestraszeni słudzy śpieszą. Wózek zaczeplia o sznury czy kołki, namiot wali się, omal nie zabijając księcia.

Władysław poniósł wkrótce porażkę pod Poznaniem. Widział, jak na wieży trzykrotnie podnosi się i opada czerwona tarcza, lecz zlekceważył to. Dał się zaskoczyć wycieczce oblężonych oraz jednoczesnemu uderzeniu z zewnątrz. Dla wyklętego przegrana bitwa musiała się stać katastrofą. W tym samym roku 1146 dotychczasowy Władysław II został Władysławem Wygnańcem, a dla Polski zaczęła się doba rozbicia dzielnicowego. Sierpniowa wyprawa Konrada III doszła tylko do zasieków granicznych. Juniorzy wykręcili się niedotrzymaną obietnicą przyjazdu do Niemiec na sąd. Konrada odciągnęła od Polski druga krucjata. W jedenaście lat później Fryderyk Barbarossa rozbił obóz w Krzyszkowie

koło Poznania. Wiemy już, że Kędzierzawy zjawił się tam z mieczem nie przy pasie, ale nad głową.

Kadłubek potępia tylko Władysława za naprowadzenie Niemców, innych winowajców nie dostrzega. Rozumuje w ten sam sposób, co biskupi, którzy „umieli burzyć razem i na równi z panami świeckimi”. Nic dziwnego - pisarz, duchowny, urodzony gdzieś około roku 1157, wzrastał w określonej atmosferze umysłowej i moralnej, w bardzo swoistym klimacie pojęć. Trzeba pokusić się o ich odgadnięcie zamiast biadać nad kronikarzem.

Wbrew zdaniu Tadeusza Wojciechowskiego, „urząd i charakter biskupi” znaczyły w tych dziejach. Przecież to był zatarg dwóch władz, świeckiej i duchownej. Przyjmuje się zazwyczaj, że rozdzierający średniowiecze konflikt ominął Polskę. Jedynie później, w wieku XIII, spór Henryka Probusa z biskupem wrocławskim Tomaszem herbu Nałęcz po trosze przypominał dramaty rozgrywające się na Zachodzie. Żaden z papieży nigdy Polski nie odwiedził, zabrakło więc u nas takich scen jak Canossa czy klątw rzucanych na monarchów przez samego następcę św. Piotra. Lecz jeśli pamiętać o proporcjach i zredukować wszystko rozsądnie do skali prowincjonalnej, można chyba i nad Wisłą doszukać się znamion owego konfliktu. Zwłaszcza że dostarczały mu pożywki odczucia, które jeśli występowały na Zachodzie, to słabiej.

Od dziesięcioleci już znana była parabola Grzegorza VII o władzy duchownej, będącej jak życiodajne słońce, i świeckiej, która niczym księżyc świeci pożyczonym blaskiem. Rzym chciał, aby ugięli się przed tą teorią spadkobiercy Karola Wielkiego, cesarz oraz król Francji. Przypomnijmy sobie teraz słowa Galla zwrócone do kapelanów nadwiślańskiego suwerena: „Bo jeżeli sądzicie o królach i książętach polskich, iż nie zasługują na własne roczniki, to bez wątpienia królestwo polskie stawiacie na równi z jakimi bądź niekulturalnymi ludami barbarzyńców”.

Czy rzeczywiście na równi, to kwestia. W każdym razie gdzieś w pobliżu.

Katolicycy, czyli rzymscy, biskupi musieli spoglądać na państwo polskie chociażby nieco z góry. Nie potrzebowali być na to zaraz Niemcami, jak Thietmar. Wystarczał sam „charakter” urzędu duchownego. Ich mocodawcą było Wieczne Miasto, stolica świata, szafarz koron. Dłonie ich przodownika, arcybiskupa Gniezna, posiadały moc namaszczenia królów. Mowa łacińska, święcenia kapłańskie, infuły, paliusze, pastorały, to wszystko pochodziło z tej samej strony świata, z której kraj Piastów brał wzory, gdzie było światło oraz nadrzędne potęgi.

Rzym ogłosił wiernym, że papież może składać z tronu cesarzy. Arcybiskup gnieźnieński tak wysoko nie sięgał. Sprawował najwyższą władzę duchowną w kraju prowincjonalnym. W roku 1146 widział w nim walkę kilku skłóconych książąt. Urzeczywistnił w Polsce teorię o słońcu i księżycu. Wystąpił jako ten, co rozstrzyga.

Z pozoru stanął jedynie przy magnatach świeckich, takich jak wojewoda Wszebor. Ale co u tamtych było tylko buntem, to u niego stanowiło również spełnienie doktryny. Oni mogli

się powoływać najwyżej na tradycje plemienne, on na program głoszony przez Wieczne Miasto.

Ludzie z zasady skwapliwie podchwytyją wszelkie teorie, które uzasadniają ich „prawo” do przewagi społecznej lub do władzy. Trzymają się kurczowo nawet zupełnie śmiesznych. Późniejsze wywody, że szlachta pochodzi od Jafeta, Żydzi od Sema, a chłopci od Chama, traktowane były jak najbardziej serio i pełno zła narobiły. Rycerstwo litewskie, święcie wierząc w swój rzymski rodowód, uważało się za coś lepszego od koroniarzy. Byłoby niesłychanie dziwne, gdyby biskupi polscy w wieku XII rozumowali tylko tak, jak możnowładcy świeccy, to znaczy przeoczyli teorię ogłaszającą ich właśnie za sól ziemi. Ci biskupi musieli postępować zgodnie z żelazną regułą historii, czyli wydedukować sobie z rzymskich tez przekonanie o własnym prawie do rozstrzygania o władzy świeckiej w Polsce. Jeśli na Zachodzie tiara walczyła z koroną, to u nas infuła z mitrą.

Parabola o słońcu i księżycu oraz *Dictatus papae* Grzegorza VII były już od dawna znane, stanowiły ideologiczny oręż kleru. Nasz Wincenty Kadłubek doczekać miał czasów, kiedy ogłoszono z Rzymu:

Władza papieska wyższa jest od królewskiej, bo gdy królom dane jest tylko panować na ziemi i nad tym, co cielesne, władza papieska do niebios sięga i dusze nieśmiertelne ma pod swoim panowaniem. Królowie rozkazują tylko swoim państwom, krajom i świeckim potęgom, ich wszystkich przewyższa zaś św. Piotr swym znaczeniem i wszelką władzą swoją, bo jest namiestnikiem Tego, do którego ziemia cała należy i wszyscy, którzy na niej mieszkają.

Kronika Kadłubka to obraz dziejów Polski wymalowany według tych zasad. Autor przytoczonych słów - papież Innocenty III - zatwierdził mistrza Wincentego na krakowskiej stolicy biskupiej. Duch czasu doskonale wyjaśnia niepojęty z pozoru sens dzieła, które tchnie patriotyzmem, lecz głosi, że statut Krzywoustego — mający wszak na celu jedność państwa — przestał obowiązywać, ponieważ papież Aleksander (III) i cesarz Fryderyk (Barbarossa), mający władzę do nadawania i znoszenia praw, ustawę tę zupełnie znieśli. Dzieła stawiającego za wzór księcia, który potulnie znosi uderzenie w twarz.

Barbarossa, będący początkowo dla Kadłubka „rudym smokiem”, na dalszych kartach książki przemienił się w czynnik nadrzędny, w autorytet moralny. Nie warto może dopatrywać się w tym znamion kronikarskiego niechlujstwa, który to zarzut ciążył nad naszym historykiem. Bo powiedzmy od razu, że klątwa rzucona przez kardynała Gwidona na doraźnie nieposłusznych biskupów polskich została w ogóle przemilczana. Meandry wyczyniane przez dziejopisarza to ciekawy ślad świetnie znanej praktyki naginania ideologii do potrzeb naginającego. Z teorii bierze się to, co sprzyja uroszczeniom władczym, reszta idzie w dyskretny półcień lub w ogóle w cień.

Tym łatwiej było Kadłubkowi klątwę przemilczeć, że ostatecznie Rzym opowiedział się za zniesieniem statutu Krzywoustego. Zatwierdził więc niejako postępek Jakuba ze Żnina. Uznał, że miał rację kler, który nie życzył sobie powrotu Władysława Wygnąńca, będącego legalnym księciem zwierzchnim Polski.

Charakter kroniki Kadłubka zwalnia od obowiązku przestrzegania metody poprzednich rozdziałów. Rozważania o epoce i warunkach, które zrodziły ten osobliwy płód, będzie się więc przeplatać cytataми. Tym to słuszniejsze, że Kadłubek pod pewnym względem odróżnia się zdecydowanie od innych dziejopisów średniowiecznych, na przykład od wcześniejszego Thietmara i późniejszego Długosza. Opowieść urywa się na roku 1202, autor zaś żył do 1223- Zabrakło w ogóle wiadomości o wydarzeniach bardzo ciekawych, których był świadkiem, uczestnikiem albo i bohaterem. Wspomni się o nich później, kiedy po zamknięciu kroniki przyjdzie opowiedzieć resztę życiorysu.

Nie służyło nam szczęście. Nasz pierwszy literat nie miał temperamentu historyka czy publicysty. Natura obdarzyła go duszyczką romansopisarza, któremu efekty i gierki formalne wydają się pępkiem świata. Długosz zaczął od czasów sobie najbliższych, bo najbardziej go piekły. Gall śpieszył do nich na łeb na szyję, sam się do tego przyznając. Thietmar odłożył pióro chyba w godzinie śmierci.

Wincenty uczył się zapewne w szkole katedralnej krakowskiej. Po jej ukończeniu wyjechał na Zachód kształcić się dalej. Czynić to mógł w Paryżu lub w Bolonii, wolno jednak przypuścić, że poznał oba te miasta oraz ich uczelnie. Został jeśli nie pierwszym, to jednym z pierwszych w Polsce magistrów. Nie wiadomo, kiedy powrócił. Roman Gródecki twierdzi, że stało się to chyba około roku 1177, pamiętnego zmianą na tronie krakowskim. Moźni odjęli wtedy władzę Mieszkowi Staremu, powołali zaś do niej Kazimierza Sprawiedliwego.

Nie wiemy, kiedy z zagranicy powrócił, wiemy za to dokładnie z czym. O tym najlepiej zaświadczy wstęp do kroniki (przekład Augusta Bielowskiego):

Trzej z trojga przyczyn teatralnymi wzgardzali uroczystościami: pierwszego imię Kodrus, drugiego Alcybiades, trzeciego Diogenes. Kodrus dlatego, że był ubogi i łachmanami odziany; drugi, że był urody precudnej; trzeci, że i czystością obyczajów odznaczał się, i bystrością umysłu celował. Pierwszy, aby ubóstwa, które jest samo z siebie wzgardliwe, nie wystawiać na pośmiewisko wszystkich; drugi, aby się nie narażać na niebezpieczeństwo uroków; trzeci, aby nieskalany mądrości majestat nie podawać trefnisiom w zniewagę. Wołał tedy Kodrus wzbronić sobie widoku innych niż wzgardliwe z siebie dać innym widowisko: albowiem nie masz miru między purpurą a łachmanami. Przenosił i Alcybiades raczej w domu kryć się bez pochwał niż pochwały odnosząc, narażać na szwank swoją urodę: albowiem nic nie jest z przyrodzenia tak piękne, czego by płaksooka zazdrość spojrzeniem swoim urzeknąć nie mogła. Na koniec uznał i Diogenes za rzecz roztropniejszą wzgardzać poufałością gminu: albowiem lepiej jest mieć cześć w samotności niż w towarzystwie wzgardy doznawać.

Aliści tej oto książeczki szorstka chudzizna, jałowa szorstkość bezpieczna jest od alcybiadowego kłopotu. Przesądem bowiem jest obawa uroków, a nieurodziny nie ma też nic do stracenia z swojej urody. I Diogena, acz boskie, zdanie nie obchodzi nas, na których mądrość ani kropelki daru swego nie złała. Kodra, jedynie Kodra trwoży nas obraz, gdy na zgromadzeń publicznych zasadzki wystawiona nasza nędzota nie ma ani lichego łachmana,

którym by wstyd swój okryła. Mamy bowiem pośród Muz nie płochy wyprawiać choro wódze zwolenniczkami Diony, lecz zająć miejsce na wyżynach wobec świetnego senatu i opiewać nie cieniste trzciny po kępach, lecz ojczyzny złote kolumny. Nie lalki z gliny, lecz prawdziwe ojców wizerunki z łona niepamięci, z najstarszego trzonu słoniowego wyrzeźbiać nam kazano, ba i światła boskiego kagańce w zamku królewskim rozwiesić, i wraz w wojennych czoło uznoić zapasach.

Inna wszakże jest, przedsiębrać co w nieogłędnej skwapliwości z chęci popisania się, z żądzy zysku, a inna spełniać wymogi wszechwładnej konieczności. Mnie oto ani taka namiętność pisania nie zaślepia, ani pobudza taka chęć sławy, ani żądza zysku zapala, iżbym po tylu doświadczonych morskich przygodach, po tylekrotnym w przedsiębranych trudach rozbiciu i zaledwie na brzeg wybrnięciu, miał ochotę na tychże samych rozbijać się mieliznach: tylko bowiem osia podniebieniu smakuje oset zamiast sałaty i tylko całkiem bezrozumny da się przynęcić cierpką słodyczą.

Lecz niesłuszna jest opierać się słusznemu rozkazaniu. Zrozumiał to bardzo dobrze najwaleczniejszy z książąt, że wszelkie czyny bohaterstwa, wszelkie zacności oznaki z przykładu przodków, jakby z jakich zwierciadeł, na jaw wychodzą. Bezpieczniej puszcza się w drogę, gdy jest przewodnik, gdy światełko przed nami, i wdzięczniejszy jest wizerunek obyczajów mający za tło wzorową starożytność. Pragnąc tedy cnoty przodków zrobić udziałem potomnych, na mnie pisarza, na kruche jak ze trzciny me pióro, na pigmejskie me barki włożył brzemię Atlasa, nie inną zapewne kierowaną pobudką, jak tą, że blask złota, że połysk pereł nieudolnością artysty ceny swojej nie tracą, podobnie jak i gwiazdy najczarniejszymi Etiopów palcami ukazane nie kopcieją. Ani też wielkiego potrzeba na to u artysty dowcipu, iżby żelazo oczyścić ze rdzy, żużel wydzielić od złota. Ponieważ tedy byłoby niedorzecznością wahać się w podejmowaniu ciężaru, od którego uchylić się nie można, podejmę go więc według sił, byle mię nie odstępowali ci, którzy podróży przeze mnie przedsięwziętej przychylnym sercem dotuszają, których ani moje na zuboczy potknięcie, ani na ślizgocie upadek mój nie zdziwi, przy których uprzejmej życzliwości ciężar ciężarem, a trud trudem być przestaje: wesołe bowiem w podróży towarzystwo jest niejako wózkiem podróży. To na koniec wypraszam sobie u wszystkich, aby nie każdy o mnie wyrokował, lecz tylko ci, co umysłem wytwornym lub ogłądą wyższą jaśnieją; aby nikt nie potępił nas pierwej, nimby się w nas najpilniej nie rozpatrzył. Tylko bowiem rozgryziony imbir daje poczuć swą siłę, i nie masz nic takiego, co by nieuwzględnione zachwycało, a jest niegodziwa, nie rozpatrzywszy dzieła, wydawać sąd o dziele. Skąpy tedy w pochwałach niech będzie skąpszy jeszcze w naganie.

Autor truchlał więc przed rozmiarami zadania, do którego powołał go Kazimierz Sprawiedliwy. Bo z mnóstwa słów wyłowić chyba można tę jedną konkretną wiadomość, że książę zachęcił Wincentego do pisania kroniki lub wręcz mu to nakazał. Dolega nam niepewność, czy Kadłubek rzeczywiście został u Kazimierza kanclerzem, kiedy zabrał się do dzieła, z jakiej pomocy korzystał. Gdybyż choć tyle wiedzieć, ile Gall napomknął o Michale z rodu Awdańców! Przyjmujemy, lecz nie będziemy przysięgać, że kronika zaczęła powstawać za życia i rządów Sprawiedliwego, czyli przed rokiem 1194.

Mistrz Wincenty powrócił z Zachodu niewolnikiem panującej tam mody literackiej. Nie od rzeczy będzie przytoczyć w tym miejscu starą, bo w 1840 roku ogłoszoną opinię Michała Wiszniewskiego o ówczesnych pisarzach: „A lubo uczeni nie umieli ani widzieć natury, ani patrzeć w serce, kochali się jednak w zmyślonych baśniach, podobni do dzieci, którym się więcej podoba rzecz osobliwa i dziwna niżeli prawdziwa. Stąd poszło, że mieli przytępiony zmysł historyczny”.

Nie wszyscy, jednak nie wszyscy... Aż do schyłku XVI stulecia uchodziło we Francji za pewnik, że Frankowie wywodzą się od Franka, syna Hektora. Lecz już w XII wieku znalazł się taki, co cenił widać konkret, skoro o niego dbał. Był to wielokrotnie poprzednio wspomniany Suger. Nie chodzi mi w tej chwili o jego książkę poświęconą panowaniu i osobie Ludwika VI. Zostawszy opatem Saint-Denis, Suger najpierw zebrał z archiwum teksty odnoszące się do różnych epok przeszłości, a potem zasadził jednego z mnichów do przepisywania ich po kolei na pergaminie. Tak powstał manuskrypt nr 543, przechowywany w Bibliotece Mazariniego, czyli — jak stwierdzają Józef Calmette i Henryk David: „najstarsza ze wszystkich historii Francji. Dziś jeszcze pewne opowiadania, które się napotyka w większości książek historycznych, zawdzięczają ten przywilej wyłącznie temu, że zostały umieszczone w rękopisie nr 543”.

Manuskrypt ów już istniał, kiedy Wincenty przybył na Zachód. Gdybyż po powrocie zechciał naśladować i takie wzory! Niestety, za cenę olbrzymiego wysiłku został Kadłubek mistrzem łatwizny.

Bo praca, której dokonał, zasługuje na najwyższy szacunek. Posłuchajmy opinii miarodajnego znawcy, profesora Plezi:

W porównaniu z Gallem Anonimem i jego językiem bardzo indywidualnym, nieraz kapryśnym, jest Kadłubek o wiele bardziej klasycyzującym łacinnikiem, w tym szczególnie również nieodrodnym reprezentantem humanizmu XII wieku. Jego słownictwo jest bardzo bogate, gdyż używa w kronice bez mała 6000 wyrazów, nie licząc imion własnych, co u człowieka piszącego w obcym języku jest uderzająco wysoką cyfrą, skoro cały słownik Iliady i Odysei ma liczyć 9000 wyrazów, a zasób słów Milтона 7 czy 8 tysięcy, podczas gdy w obu tych wypadkach chodzi o teksty od kroniki naszej wielokrotnie obszerniejsze.

Uczony wspomina jeszcze o „słynnej łacinie Kadłubkowej, będącej postrachem mediewistów i każącej im z tęsknotą myśleć o dobrym tłumaczeniu, które oszczędziłoby trudu wgryzania się w oryginał”.

Wincenty nie wyjechał z Krakowa nieukiem. Ukończył szkołę katedralną i wiedza, którą tam zdobył, na pewno na lekceważenie nie zasługiwała.

Oduczyź się nareszcie bajania o całkowitym prymitywizmie i prostactwie Polski ówczesnej. W świetle dokonanych odkryć archeologicznych dotychczasowe wyobrażenia stają się po prostu śmieszne, a ich amatorzy sami sobie wystawiają nieszczególne świadectwo. XII wiek to Drzwi Gnieźnieńskie, kolumny ze Strzelna, płyta z Wiślicy i... Właśnie: i co jeszcze ponadto? Na jakie dalsze rewelacje natrafiają - może wkrótce — sondy i łopatki badaczy? U



schyłku 1962 roku Eligia i Jerzy Gąssowscy oraz Aleksander Śliwowski wykryli w Sandomierzu, obok kościoła św. Jakuba, szachy z rogu jelenia, pochodzące z pierwszej połowy tamtego stulecia. W Sandomierzu, to znaczy w stolicy ojcowizny Kadłubka, tam dokładnie, gdzie kronikarz był proboszczem kolegiaty. Figurki o ciekawych formach zdobią ornamenty wykonane rylcem i doskonale znane z mnóstwa innych polskich znalezisk. Tych koni, wież i pionków na pewno znikąd nie przywieziono. Leżały wśród szczątków zwykłej chaty chłopskiej, takiej sobie rodzimej półziemianki.

W połowie XII wieku geograf arabski, który nigdy zresztą Polski nie odwiedził, nazwał ją „krajem wiedzy i mędrców ar-Rum”, czyli mówiących po łacinie. Jego zdaniem Kraków ówczesny był miastem dużym i pięknym, posiadał liczne place targowe, ogrody, a nawet winnice. Zaliczał się do ośrodków, które „zażywają szacunku, ponieważ przebywają w nich uczeni w dziedzinach nauk i religii ar-rumia”.

Archeologia stanowczo zaprotestowała przeciwko skreśleniu z rejestru wywodów arabskiego mędrca. Bo skoro zwyczajni mieszkańcy prowincji zabawiali się grą w szachy... A ponadto: skoro biskup krakowski Mateusz pisywał do Bernarda z Clairvaux w sposób kunsztowny i uczony, skoro od dawna istniały biblioteki, to Arab miał widać rzeczowe powody do pochwały Krakowa.

Nie naśladowmy go jednak i nie popadajmy w przesadę. Szkoła katedralna uczyniła Wincentego zdolnym do studiów w najlepszych uczelniach Europy. One dopiero i cała atmosfera kulturalna Zachodu zrobiły z syna Kadłubowego intelektualistę, pisarza. Z Bolonii ani z Paryża nikt po wiedzę do Krakowa nie jeździł. Obowiązywał kierunek odwrotny. Podwawelski ośrodek bezsprzecznie wzbogacał kulturę kontynentu, samo jego powstanie było wielką zdobyczą pierwszych wieków Polski chrześcijańskiej. Światło brali z niego przybysze z Kargowa, Opatowa, Okaliny. On ich podkszałcał, przekazując najzdolniejszych biegłym mistrzom. Na tym polegała na razie jego rola.

Ogromnie trudno dokonać oceny łupu duchowego, który Wincenty przywiózł z Zachodu. Zaczniemy od tego, co wzrusza, trochę jednak śmieszac. Zostawmy na potem rzeczy zdolne doprowadzić do rozpacz.

W glebach dawnej ziemi sandomierskiej można czasem znaleźć podobizny cesarów rzymskich. Widnieją na pieniądzach, monetach. Świadczą o handlu, który imperium uprawiało z krajem Słowian. Innych dowodów styczności naszych pradziejów z historią antyczną nie ma i nigdy nie będzie. *Immensa Pacis Romanae maiestas* tu nad Wisłę nie docierała. Wincenty, syn Kadłuba, studiujący w Bolonii oraz w Paryżu, czyli w rzymskiej Lutecji, musiał bardzo boleć nad upośledzeniem swej ojczyzny. Postanowił uświetnić jej przeszłość. Literat, dla którego dziejopisarstwo było tylko pretekstem, okazją do popisu, mógł to uczynić z sercem zupełnie lekkim. Przyznawał się do tych samych praw, które służą dzisiejszym beletrystom (jeśli nie do szerszych nawet).

Największe talenty ówczesne lubiły ryszunek erudycji, nie czuły się pewnie bez podpór w postaci Pisma Świętego obojga Testamentów oraz dzieł mędrców starożytności. Wieśniak z Kargowa przeczytał wszystko, co należało do normalnej lektury przeciętnego

intelektualisty. Chłonać to musiał z żarliwością neofity. Samo jego dzieło świadczy o tym wyraźnie. Wincenty pokochał antyk, stanowiący wspólne dziedzictwo łacińskiej Europy. Kochał również Polskę. Zaraz zobaczymy, co wynikło z ożenku tych dwu miłości.

Forma trzech pierwszych ksiąg kroniki wyraźnie zalatuje antykiem. Już w niej samej jest coś z gaju Akademosy, z rozmów na agorze, z czasów, słowem, dla których dyskurs filozofów i scena teatralna były chlebem powszednim. Arcybiskup gnieźnieński Jan oraz biskup krakowski Mateusz, postacie historyczne, ludzie z krwi i kości, wiodą dialog. Trzy pierwsze księgi to dwugłos o dziejach Polski, także i takich, których nigdy nie było.

Mateusz mówi o pogańskim królu Polski Leszku II, jego synu i dalszych następcach.

Syn jego nie tyle rozszerzył państwo, jak raczej wzbogacił ojcowskie cnoty. On w trzech potyczkach rozproszył siłę Juliusza Cezara, zniszczył u Partów Krassa z całym wojskiem, a lejąc w usta jego złoto, wołał: „Złotaś pragnął, złoto pij!”. Panował bowiem (Leszek) nad Partami i Getami, i nad krajami za Partami leżącymi. W końcu Juliusz Cezar rad się z nim węzłem pokrewieństwa łączy i daje mu siostrę swoje Julię za żonę. Ta w posagu dostała od brata Bawarię, a jako wiano od męża (surbiński) sorbijski kraj. Założyła dwa miasta, z których jedno po imieniu brata Julius, teraz Lubus, drugie po własnym Julin nazwać kazała, które dziś Lublinem się zowie. Stąd też Juliusz rozjątrzył na siebie umysły senatu, jakoby w nie-przyjacielskich utulon objęciach nie jako obywatel, lecz jako wróg rozszerzenie się rzymskiego państwa tamował: jakoby tych nauczył panować, którym by przystało być poddanymi. Wszystko więc, co tylko w posagu siostrze był ofiarował, starał się odebrać. Dlatego siostra jego od męża wydaloną została i tylko mu małego zostawiła synka (Pompiliusza) Popiela. Nałożnica zaś, która na królową za jej bytności jeszcze zazdrosnym poglądała okiem, zajęła miejsce królowej. Ta z zalotniczej nienawiści pod wpływem miłości, jaką opętała króla, przemieniła nazwy pomienionych miast. Z tą i z innymi miał Leszek spłodzić dwudziestu synów, którym tyleż księstw przeznaczył; dając jednym hrabstwa, czyli margrabstwa, a drugim nawet królestwa. Popiela (Pompiliusza) zaś jako pierworodnego zrobił królem nad wszystkimi. Jego skinieniem wyłącznie nie tylko monarchia słowiańska, lecz i sąsiednie rządziły się kraje. Na jego też pogrzebie tłum braci w pobożnych usługach nawzajem wyprzedzać się zdawał. Tak go zaś czcili i miłowali, że nawet jego małego synka, także Popiela (Pompiliusza) królem obrali, nie słuchając głosu oszczerstwa ani zazdrości.

Rzadki to ptaszek ta zgoda na ziemi; rzadszym jeszcze zdarzeniem, ażeby dwór królewski żył w zgodzie i miłości. Z głębi bowiem okropnej zazdrości wznosząca się groźna burza nad głowami spółników rządu zawisła. Ale błogosławiona zaiste więcej niż bratnia spólność! gdzie więcej znaczy sumienna miłość, niż dokazać może żądza panowania. Sławą tego szczęścia zajaśniało przed innymi plemię Erotyma. Ten to Erotym, król arabski, był miał z nałożnic, czemu trudno dać wiarę, 700 synów, których odwagą naprzeciw sąsiednim pokoleniom wielkie zyskał imię; a nawet niezwyciężonych pomiędzy królów szczególnym pokonał szczęściem. O gdyby to za takim idąc przykładem, synowie naszego Popiela byli późnego doczekali się wieku!

Nie samego tylko Juliusza Cezara wplątał Wincenty w historię Polski. Wcześniej znacznie zapoznał z nią Aleksandra Wielkiego, Arystotelesowi kazał wzmiankować o niej w swych listach, wymieniać jej stolicę — Kraków.

Chronologia doprowadziła jednak w końcu dyskutujących biskupów do dni znanych ze słyszenia i prozaicznemu Gallowi. Mistrz Wincenty czytał jego kronikę. Pojęcie prawa autorskiego nie istniało za jego czasów. Zresztą Kadłubek „wiedział” więcej od swego poprzednika. Nie były mu na przykład tajne zbrodnie Popieła, o których tamten zamilczał.

Arcybiskup Jan opowiada o uczcie, na którą Popiel II zaprosił swych krewnych.

Jan: A więc podnieśmy puchary! - zawołał król - i ja się podźwignę, bym pożegnał wszystkich, byśmy się nawzajem pożegnalnym złączyli pocałunkiem, by z tego puchara za moim przykładem każdy wychylił. Puchar zaś ten złoty pomysłem królowej bardzo sztucznie był wyrobiony, albowiem mała ilość płynu aż pod brzeg sięgała, tak iż kielich, chociaż w istocie do połowy tylko nalany, wydawał się płynem na kształt pary się wznoszącym całkiem napełniony. Płyn ten za oddechem ust lub nosa opadał, jak się to dzieje z płynami, które od ognia kipią, aż w pewnej ilości na pewnym dnie stanął. Mówią, że taką własność ma wapień. W ten puchar szczególny, podstępem tego samego podczaszego, wlano skrycie napój zabójczy. Każdemu, który miał po królu pić, kazano najprzód puchar do ust króla przytknąć, by nie podejrzewano jakiejś zdrady, skoro i król najpierw pił; wydawało się bowiem, że wypija, nie zaś, że oddechem oddała to, co sztuką odplynęło. Ile zaś czystego wina i trucizny nalano, tyle musiał ten, który królowi puchar podał, ucałować go, wypróżnić. Tak oszukanych, tak trucizną upojonych prosił, by z przyjacielskiej rozeszli się pogadanki, mówiąc, że niespodziewanie sen go nachodzi. Sądzone, że upici, bo od trucizny albo się zataczają, albo się walą na ziemię. Tej samej nocy wpośród boleści życie zakończyli. Zwłokom ich tyran okrutny nawet pogrzebu odmówił, twierdząc, że zemsta nieba ich dosięgła, ponieważ zamierzili wczorajszym pogrzebowym obchodem swego przyjaciela, synowca, króla, żywcem pogrzebać, i że ta bezbożność pod płaszczem pobożności w płaczu posągów, w nagłej śmierci sprawców, w zwątpieniu o łasce i w wielu innych poszlakach się pojawiła. Skoro te gwiazdy ojczyzny zgasły, świetność Polski runęła. Ta bowiem zakała ludzkości, ta cnót zagłada, ów bezwstydnik największy, nakarmiony bezwstydem owej wszetecznicy, cały się zbytkom i rozwiązłości oddał i nic nie uważał za zbawienniejsze, jak opływać w rozkoszach; a najgłówniejszą zasadą jego było: Namaśćmy się najlepszymi maściami, napełnijmy się winem, zrywajmy kwiat, by nie zwiędniał. On był pierwszy do ucieczki, ostatni do boju; w niebezpieczeństwach najbojaźliwszy, a skoro postrach ustąpił, nadęty; cnót wrogiem najzjadliwszym i nigdy przeciw nim nie poprzestał walczyć; we wszystkich sprośnościach wprawny, żadnych nie pominął usiłowań, które uznał za przeciwne cnocie. Grono niewiast przekładał nad zgromadzenia męskie. Za te więc niesłychane występki niesłychaną został dotknięty karą. Z zepsutych bowiem ciał, które niepochowane wyrzucić kazał, wyroiła się nadzwyczaj wielka mnogość myszy, które go ścigały poza bagna, jeziora, rzeki, poza stosy ognia, aż z żoną i dwoma synami w bardzo wysokiej wieży zamkniętego najokropniej zagryzły.

Mateusz: Tak Abderydzi dla mnogości żab i myszy porzucili ojczyznę; tak Filistynowie dla gnicia jelit odesłali synom izraelskim arkę z jelitami i myszami złotymi\*. I Popielowi za niezwykłą zbrodnię niezwykłą wymierzono karę; a w czym przyszłe upatrywał szczęście, znalazł w tym źródło nieszczęścia, niewieścia to sprawiła przebiegłość. Taką korzyść odnoszą mężowie, którzy w czepku chodzą, taki to owoc częstego obcowania z kobietami. To w księdze doświadczeń wyczytał Sardanapal, mąż od niewiasty zniewieścialszy. Gdy go bowiem Arbatus, przełożony w służbie jego będący, w tłumie nałożnic w ubraniu niewieścim zastał rozdzielającego przedzę między dziewczęta, rzekł: Nie przystoi, aby mężowie ulegali temu, który woli być niewiastą niż mężczyzną. A więc poddani wypowiedzieli mu posłuszeństwo, a on pokonany, wystawiwszy stos, rzucił się wraz ze swymi skarbami w płomienie, w tym jednym podobny mężczyźnie. Arbatus objął rządy, godniejszy raczej chwały niż nagany; nie pragnął bowiem władzy rządzenia, lecz litując się, dźwignął barkami swymi ojczyznę z opłakanego upadku.

Imiona pierwszych dynastów piastowskich wziął Kadłubek od Galla, nie wątpiąc widać o ich prawdziwości. I tutaj, na samym wstępie sztukowanej fantazją opowieści o historii prawdziwej, kronika zaczyna na chwilę dźwięczeć tonem bardzo dziwnym. Anonim po prostu podkreślił chłopskie pochodzenie Piastów i na tym poprzestał. Wincenty postąpił całkiem inaczej.

Mateusz: Gdy tedy do szczętu znikło Popiela plemię, rozpoczyna się nowe następstwo książąt, których wzniosłość tym szczytniejszą się stała, tym świetniej się wzmogła, im poziomsze, jak mówią, było pochodzenie. Syn bardzo ubogiego rolnika, imieniem Ziemowit, odznaczył się skrętnością, zapobiegliwością i wszelkimi cnotami. Na własnych zatem, nie na przodków, oparty zasługach wybrany został najpierw wodzem, a w końcu królewską przyodzian godnością, co -jak o nim mówią - od kolebki mu się prawie znaczyło. [...] Ten nie tylko jak gdyby z martwego popiołu wskrzesił iskrę sławy, lecz nieśmiertelne imię Polski prawie między zodiaku umieścił znakami, bo

#### PRZYPISY AUTORA:

\* Stary Testament: I Księga Królewska, rozdz. 5 i 6 w przekładzie Jakuba Wujka.

nie tylko te narody, które przez gnuśne tchórzostwo Popiela odpadły, przywrócił, lecz i inne niczym orężem nietknięte kraje pod swoje podbił panowanie, nad którymi dziesiętników, pięćdziesiątników, rotmistrzów, towarzyszków, tysiącników, wodzów wojsk, burmistrzów, kapitanów, rządców i wszystkie ustanowił władze.

Nie jest to w ludzkim życiu drobnostką, że się rzeczy mało znaczące pomija. Często bowiem spomiędzy dzikich krzewów wzniosły dźwiga się cedr; nieraz kryją się perły między ziarnkami piasku; pod popiołem najmocniej tli siła iskier; a wielkoduszność szlachetna nie zawsze mieszka w miastach najeżonych wieżami ani też zupełnie ubogich pomija chaty. Często bowiem uszlachetnia się różdżka, a przez nią winorośl. I źródło, które ugasiło pragnienie, szlachetniejszym staje się zrodzajem. Pomijając znane o Dawidzie, Saulu, Jeroboamie, słudze Salomona, i bardzo wielu innych przykłady, nadmienię, jak Gordiusz, gdy zaprząwszy woły pole uprawiał otoczony różnego gatunku ptastwem, szukał wieszczka.

Dziwnej urody dziewczyna, którą przypadkiem spotkał, odrzekła, że mu się tron znaczy i poleca mu się za towarzyszkę życia i spodziewanych rządów. Powstaje między Frygami rokosz. Wyrocznie głoszą, że dla załatwienia niezgod króla potrzeba. A gdy się znowu o króla pytali, kazano im królem uznać tego, którego by najpierw do świątyni Jowisza na wozie jadącego spotkali. Spotykają Gordiusza i natychmiast go królem powitali. Wóz, na którym był przyjechał, świątyni poświęcił.

Jan: Czyż to o tym starożytne opiewały wyrocznie, że kto gordyjskie rozwiąże jarzmo, ten nad całą Azją panować będzie?

Mateusz: Istotnie, Aleksander bowiem Wielki, zdobywszy miasto, odszukał jarzmo wozu i przeciąwszy węzeł, znalazł końce rzemieni. Agatokles także, syn garncarza, postacią i pięknnością ciała okazały, nastąpił na tronie po Dionizjuszu królu sycylijskim. Tak samo król Azji Arystonikus, zrodzony z córki lutniczki, pokonał w bitwie Rzymian. Wszakże i Abdatomiuszowi ktoś wyrzucił, że się zwykł trudnić podbieraniem studzien i podlewaniem ogrodów, wszelakoż od Aleksandra został królem Sidonii postanowiony, z pominięciem szlachty, by to nie wydawało się łaską, którą ma swemu pochodzeniu, nie zaś wyłącznie dawcy zawdzięczać. Ten sam Aleksander dla waleczności Ptolomeusza z prostego żołnierza na króla wyniósł, który po nim Egipt, Afrykę, Azję i część Libii otrzymał. Wreszcie Rzymianie takich królów mieli, za których imiona się rumienia, albo pasterzy krajowców, albo wieszczków sabińskich, albo wygnańców korynckich, albo niewolników i niewolnice etruskie, albo też takich, których wilczyca wykarmiła. Na próżno więc odrodni między nami chępią się z cienia wysokiego pochodzenia; na próżno z olbrzymia zrodzony karzełek pyszni się z wielkości olbrzymiego rodu. Wszakże i na różowym krzaku wyrasta róża i cień kolczaty. Nie wiesz, że z tej samej winorośli i wino, i ocet, i że z tej samej żyły złoto i szych? Wiadomo, że plewka zawiera się w ziarnie, a ziarno w piewę. Owszem tacy powinni być książęta, ażeby umieli z ubóstwem obcować; bo trudno, aby ten uczcił cnoty, który zawsze żył w szczęściu. Dlatego też mędrzec jednemu powiedział: Uważaj się zawsze za biednego, bo nigdy nie byłeś biednym.

Jan: Wyznaję, że najzupełniej błędzą ci, którzy szlachectwa tron złoty nie w duszy, lecz we krwi wznoszą. Dlaczego? Albowiem szlachcicem jest ten, którego własna uszlachetnia cnota.

Polska nie potrzebuje się zatem wstydić gminnego pochodzenia swej dynastii, skoro starożytność klasyczna pełna jest przykładów wspinania się z wyżyn na trony. Wychowanek Bolonii, gdzie studium prawa stało szczególnie wysoko, nie byłby sobą, gdyby pominął sposobność powołania się na precedensy.

Ciekawe jednak, po co ten cały wywód był potrzebny? Bo chyba nie tylko dla popisu. Czyżby wspomnienie o chłopskim rodowodzie już zaczynało dolegać synom Krzywoustego? Domownik i protegowany Kazimierza Sprawiedliwego mógł o tym wiedzieć i śpieszył przylepić moralnie kojący plaster na zbolące miejsce duszy książęcej. Jeżeli Kazimierz naprawdę miał kompleks, to dobrze mu chyba zrobiło, kiedy sobie posłuchał o Agatoklesie, synu garncarza, o Arystonikusie, zrodzonym z córki grajka, i o nosiwodzie Abdatomiuszu.

A może jeszcze inaczej? Nie zapomnijmy tylko, że wywód powyższy włożył w usta biskupów Wincenty syn Kadłuba. Człowiek, o którego szlachectwie roczniki kapituły krakowskiej pozwalały wątpić (więc właściwie wątpić nakazywały, bo w przeciwnym razie przemilczałyby całą sprawę). Trudno zaręczyć, że autor rzeczywiście pragnął przypochlebić panującemu. Znacznie podobniejsze do prawdy, że pochwalając ludowy rodowód Piastów, myślał o własnej wspinaczce na szczyty, uzasadniał swe moralne prawo do kariery. Czytaliśmy przed chwilą jego rozważania o szlachectwie. Miały zakres bardzo szeroki. Wcale z nich nie wynikało, że tezy główne odnoszą się tylko do rodziny sprawującej władzę najwyższą.

W każdym razie zanotujmy sobie w pamięci bardzo pilnie, że u schyłku XII stulecia, w Polsce jak najbardziej feudalnej, w pierwszej książce napisanej przez Polaka znalazły się następujące słowa: „najzupełniej błędzą ci, którzy szlachectwa tron złoty nie w duszy, lecz we krwi wznoszą. Albowiem szlachcicem jest ten, którego własna uszlachetnia cnota”.

Znajomość tego cytatu i pamięć o nim na pewno każdemu się przyda. Wyprostuje trochę całkiem skrzywione poglądy na polskie średniowiecze. Przekona ponadto, że literatura polska ma zadziwiająco stare tradycje demokracji. Tak stare, jak ona sama.

Niestrudzeni biskupi Jan i Mateusz zajęli się już oto wypadkami, na które Gall własnymi oczyma pewnie patrzył, a co najmniej znał je z opowiadań bezpośrednich świadków. Wybierzmy sobie jeden tylko fragmencik - przygodę arcybiskupa Marcina w Spicymierzu. Kadłubek ani się zatroszczył o poinformowanie nas, skąd o tym wydarzeniu wie. Utopił Anonima w niepamięci, a opisane przezeń fakty wcale swobodnie uzupełniał czy - jeśli kto woli - literacko amplifikował.

Mateusz mówi do Jana, który był wszak jednym z następców Marcina w metropolii gnieźnieńskiej:

Bardzo grzeszymy, jeżeli dobrych czynów innych mężów nie pochwalamy, lecz nie czynimy nic, co by jaką wartość miało, jeżeli ich, o ile możemy, nie naśladujemy. Bo i komuż nie wydałbym się zawistnym, jeżelibym prawdziwą podporę królewskiego dworu, jeżeliby najzasłużeńszego z ojców, kogoś z poprzedników twoich milczeniem pominął? Był bowiem w tym samym ś. kościele gnieźnieńskim, któremu przewodniczysz, arcybiskupem Marcin, na którego skinieniu, na którego radzie całej Rzeczypospolitej zarząd polegał. Na niego Pomorzanie ustawiczne zasadzki czynili, to chcąc go zatrutymi pucharami zgładzić, to znowu zadusić, to jakimkolwiek skrytobójczym sposobem sprzątnąć; po części dlatego, że bałwochwalczych zabronił im obrzędów, po części, że dziesięcin i pierwocin wymagał, po części, by go zgładziwszy, królestwa radę i głowę przecięli. A gdy długo z podstępą niegodziwością zbrodnicze knuli zamachy, wszystkie bowiem mąż roztropny przezornością niweczył, zapragnęli nareszcie ofiarę świętą w świątyni spicymirskiej sprawującego schwytać: powstał krzyk, dano znać, że nieprzyjaciel już w przedsionku. Co czynić? uciekać, aleć ze szczękiem we drzwiach połyskują miecze! Odeprzeć? do tego nie ma siły, żadnej znikąd pomocy, czy drżącymi, bezwładnymi siłami błagać? Lecz kiedyż jagnięcia beczenie ułagodziło krwi chciwy ryk wilków? Lecz jak w rozpamiętywaniu był umysłem wzniesiony do Boga, tak i ciałem wznosił się w górę, albowiem za pomocą jakichś schodów się wydobył i

ukrył się pod stropem. Tak strach dodał starości sił a nogom skrzydeł. Nieprzyjaciele wpadają tłumnie, nie szczczędzą świętości, rabują, spostrzegają pewnego arcydiakona, który z przerażenia zdrętwiały przy ołtarzu leżał. Sądząc, że to arcybiskup, chwytają, nie bez radości okrzyku go unoszą, i nie tylko mu każą zrzec się dziesięcin i pierwocin, ale wyrzec się wszelkich sprawowań służby katolickiej wiary, prócz tego zapłacić znaczną sumę pieniędzy i przyrzec wieczny pokój. Ale pomimo takiego okupu życia na nic nie zezwolił. Był bowiem bogobojny, mający nadzieję w Panu, nie liczący tyle na własne zasługi, jak na modły arcypasterza, którego cnoty nietajne były uczniowi. Arcypasterz zaś tonie w łez strumieniu i opłakuje, że znieważona świątynia i świętości bezbożną ściągnięte ręką; a pobożnie ujawszy ołtarz w pośród gorących modłów, trzy dni wszelkiego zrzekł się pokarmu. I jeszcze z świątyni wielebny nie wyszedł ojciec, a tu Pan zemsty, który więźniów wyswobadza, dopuścił karę. Szałem bowiem jakimś nagłym nieprzyjaciele sami i żony, i dzieci ich porwani, żelazem, kamieniami lub kijami na siebie uderzali i najdroższych sobie nie tylko jak nieznanym, lecz jak nieprzyjaciół prześladować, z mieszkań wypędzili. A gdy innych dochwycić nie mogą, własne członki pazurami rozdzierają lub zębami rozszarpują; tak największa część ich na tę zarazę wśród przeraźliwego ryku i strasznego szamotania się ginie. I tak długo dręczeni byli, aż poznawszy przyczynę kary, świętości z sprzętem wszelkim arcybiskupowi odesłali i taką ilość pieniędzy, jaką od arcydiakona żądali, jako karę za obrażoną nietykalność przyrzekli. Teraz i z większą czcią katolicką wyznali wiarę, i do służby kościelnej się zobowiązali.

Trzecia księga kroniki kończy się w chwili śmierci Bolesława IV Kędzierzawego, który zmarł 3 kwietnia 1173 roku, „w wieku dojrzałym, nie podeszłym”. Niedbale rzucona informacja odpowiada prawdzie. Bolesław umarł, mając czterdzieści osiem lat<sup>1</sup>. „Pochowany obok ojców swoich” - dodaje Kadłubek. Więc w Płocku, gdzie spoczęli Władysław Herman i Bolesław Krzywousty. Wawelski cmentarz królów założyc miano dopiero w roku 1333.

Wraz z trzecią księgą kończy się dialog. W czwartej Wincenty zrezygnuje z kunsztownej formy, zacznie mówić wprost od siebie. Posłuchajmy jednak, jak to zapowie.

Podczas rozmowy dostojników:

Był tam zaś obecny pewien domownik mający kałamarz z piórem i ucierający palącą się szczapę. Ten pod warunkiem ścisłej rękojmi zapisywał wszystkie na biesiadę przeznaczone wydatki. Naczelnik biesiadujących, zobaczywszy dokładniej jego rachunki, rzekł: „Wybornie, oszczędny szafarzu, kiedy tak przebiegłym jesteś w twoich wydatkach i nie pozwalasz, aby z pieniędzy ci przeznaczonych coś zginęło lub poszło w zapomnienie; okoliczności i skarb wymagają w obecnej chwili, aby włożyć na ciebie urząd skarbnika. Tak więc jedynym i najwyższym tego państwa będziesz skarbnikiem. Cokolwiek

PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Bolesław IV Kędzierzawy (ur. 1121 lub 1122) zmarł 5 stycznia 1173 (przyp. red.).

wiek więc przeznaczonym będzie na nadzwyczajne wydatki, na dostojeństwa, urzędy i sprawy państwa, z twego skarbu wydawać i w książki twoje zapisywać będziesz”. Zadrzał

cały ów domownik, przerażony rozkazem królewskim. Dlatego przysięgał, że nie jest zdolnym do takiego urzędu, i szukał różnych powodów uwolnienia się od tego obowiązku. Nareszcie królewskim zaledwo spowodowany rozkazem, rzekł: „Jestem w wielkim kłopotcie, a nie mam przy tej sposobności żadnego zamiaru, aby łaskę królewską utracić; albowiem z jednej strony prawda rodzi nienawiść, z drugiej zaś oburzenie zagraża karą. Któż bowiem, proszę, gołą nogą najeżonego ostu deptać się nie boi? Niech tylko, uwiódłszy się przychylnością lub bo-jaźnią, cokolwiek z powierzonych mi pieniędzy potajemnie wezmę, a pewno nie uniknę piętna za skradzione pieniądze. Lecz inny obowiązek żniwiarza, a inny rolnika; cierniskiem niech się zajmuje rolnik, naszej zaś pracy zadaniem jest kłosa bogdaj rozrzucone w jedną ułożyć wiązań”.

Skromny słuźka, obarczony dotychczas troską o kałamarz i pochodnie, to sam Wincenty. Na niego spadnie teraz obowiązek opowiadania o przeszłości najświeższej, a właściwie — o teraźniejszości. Autor pozostawał wierny nie tyle może sobie, co panującej modzie literackiej. Zmianę formy narracji zapowiedział w sposób niesłychanie zawiły i kunsztowny. Naczelnik biesiadujących, który narzucił słuźbnikowi nowe powinności, to chyba książę Kazimierz. Przecież to on zachęcił czy też przymusił Kadłubka do kronikarstwa.

Śmiertelny grzech mowy prostej i zrozumiałej ominięty został bardzo starannie.

Po zgonie Bolesława Kędzierzawego prawo do władzy zwierzchniej przeszło na Mieszka III, zwanego Starym. On był teraz seniorem rodu Piastów, a statut Krzywoustego ciągle obowiązywał. Na spadek po Mieszku czekał już jeden tylko z braci, najmłodszy z rodzeństwa Kazimierz, ozdobiony później przydomkiem Sprawiedliwego. Starszy odeń Henryk, uczestnik wyprawy krzyżowej, już nie żył. Poległ w Prusach 18 października 1166 roku, gdy przewodnik wprowadził jego wojsko w zasadzkę. Dzielnica Henryka, Sandomierz, weszła w skład domeny senioralnej. Wydzielono jednak z Sandomierszczyzny Wiślicę, oddając ją we władanie Kazimierzowi. Stało się to pod presją możnowładztwa, któremu przewodził Świętosław, syn głośnego Piotra Włostowica, oraz Jaksa z Miechowa. Młody książę umiał widocznie pływać z prądem. Najpierw skromnie wyczekiwał, pozbawiony dzielnicy dziedzicznej, potem korzystał z poparcia wielmożów, którym nie w smak poszło wzmoczenie siły seniora, zagarniającego Sandomierz.

Profesor Roman Gródecki przypuszcza, że Kadłubek poznał Kazimierza i zbliżył się doń jeszcze za życia Kędzierzawego, gdy książę bez ziemi przebywał na dworze brata. Zdaniem uczonego powrót kronikarza z zagranicy przypadł gdzieś w pobliżu roku 1177, kiedy przed czterdziestoletnim już niespełna Kazimierzem otwarła się droga na Wawel.

Jeśli Wincenty nie był naocznym świadkiem rządów i upadku Mieszka Starego, to jednak wiedział o wszystkim od bezpośrednich uczestników wydarzeń.

Tak więc po śmierci Bolesława nastąpił na tron brat jego Mieczysław III, który jako był urodzeniem bratu najbliższy, tak z powodu nie zaszłej zmiany prawa następstwa zaraz po nim tron odziedziczył. Podziwiała go ościenne kraje, hołdowały zewsząd z najodleglejszych krain najpotężniejsze książęta, towarzyszyła sława wszystkich dostojęństw i uśmiechał się blask wszelkiego szczęścia. Nigdy mu nie zbywało ani na pomyślnym spełnieniu życzeń, ani



na tryumfach wojennych [...] Jednak nikt nie jest tak szczęśliwym, żeby się pod jakim względem ze szczęściem swoim nie pasował. Do tego się przyłączyło, a raczej nad to się wznosiło szczytne stanowisko wyrównywające najpotężniejszym królom. Lecz największa pomyślność często największe za sobą pociąga nieszczęście, szczególnie zaś każda sława im jest wyższa, tym do upadku skłonniejsza. I tak ów król tak wysokimi szczęściami obsypany darami, niestety, w zaślepieniu pewnego bezpieczeństwa wpadł w gnuśną nieoględność. Nie ma bowiem spokojności i na najwyższym szczycie szczęścia, a jeżeliby nawet i była jakaś, to tylko bardzo krótko trwająca, która pogodną ciszą bliską zwiastuje burzę. Albowiem powstałi mężowie bezbożni, mężowie zgubni, którzy prześladowując pobożność, a podkopując sądy, nic nie uważali za słuszne, tylko to, co bezbożne, nic nie radzili sprawiedliwego, lecz to, co było niesprawiedliwym. Posłuchaj (jakie były) ich rady: „Nie królem ten - mówią oni - który się obawia; a któż dopiero godniejszym jest pogardy nad tego, który się dlatego obawia, aby się go nie bano? Chceszli więc panować, to musisz być postrachem drugich, a nie sam się obawiać”. Znow tak mówili: „Z pokorą czcić trzeba królów, nie zuchwale nimi pomiatać, gdzie zaś jest pokora, tam jest i cześć, gdzie cześć, tam bojaźń, gdyż cześć jest miłość połączona z bojaźnią. Usunąwszy więc bojaźń, nie masz miejsca ani dla poświęcenia, ani dla czci. Dlatego aby lud nie zhardział, trzeba natychmiast przyczyny hardości usunąć. Trzeba ich więc w pomyślności karać, żeby się w zbytku nie rozahulali; gdyż swawola jest macochą czci, a matką pogardy”.

O roztropna rado roztropnych! Podobną bowiem namową zachęcony syn Salomona odpowiedział radzącym mu Izraelitom: „Najmniejszy mój palec grubszy jest od grzbietu ojca mego; mój ojciec chłostał was różgami, ja zaś będę kolcami”. Wskutek tej groźby oddzieliło się od pokolenia Juda i Beniamin dziesięć pokoleń i obrali sobie królem Jeroboama, niewolnika jego.

Poznawszy więc takie zdania radców, zwróćmy teraz uwagę na ich wyroki: „Niedźwiedzia zabiłeś w lesie, o jak szkaradny występki popełniłeś! Prawo polowania jego królewskiej mości zgwałciłeś, przywłaszczywszy sobie lekkomyślnie miejsce królewskie, chociaż rozsądna jest twoja wymówka, że ci to samo zwierzę barcie poszarpało, niektóre nawet zupełnie zgładziło, miód do szczytu wyżarło i trzody wyniszczyło. Przypuśćmy jednak, że dla życia tego zwierzęcia wszelkie bezpieczeństwo ludzi znikło; to lubo zemsty warto, ale nie należało ci tego karać, nie mając upoważnienia ze strony prawa; gdyż nam wiadomo, jakie wyroki wydają prawa przeciw czyniącym samym sobie sprawiedliwość. Znieważona więc powaga prawa pociąga sądowniczą władzę do surowego ukarania; a straszny ten występki wyrównywa zbrodni obrażonego majestatu. Nie ma więc czego obwiniony w tym przypadku zwlekać zapłaty siedmdziesiąt grzywien, gdyż w podobnych wypadkach podobne także zapadają wyroki”.

Przyjǎli kto przychodnia na służbę, zagrażają mu karą, wołają go do sądu, pytają: „Czy ten przychodziń poddany jest, czy wolny? Jeżeli jest wolny, jakim czołem śmiałeś' wolnego człowieka zrobić poddanym? - I nie można zaprzeczyć, co jaśniej nad światło dowodzi chytry twój umysł. Sama oczywistość rzeczy cię potępia. - Jeżeli zaś poddanym jest, to cudzego posiadasz poddanego, a to ani słusznym prawem, ani dobrą wiarą, bo nic podobnego dowieść nie możesz, gdyż tych pism i dowodów, które przytaczasz, karność

naszych czasów nie cierpi. A zatem przekonany o występki zapłaci siedmdziesiąt grzywien". Szkolnicy przypadkiem Żyda pobili, ci sami sędziowie skazują ich na tę samą karę, sądzą ich jakby za świętokradztwo. Zająłeś bydło sąsiada, oskarżają cię o kradzież bydła, zapłaci więc do skarbu siedmdziesiąt grzywien. Przy tym doznajesz wielkiej łaski, kiedy za gotowe pieniądze możesz się uwolnić, gdyż najśluszniejszym prawem, prócz kwoty zapłaconej do skarbu, powinieneś być skazany na kopanie kruszców. Uznał nieborak za mniej uciążliwe uwolnić się od większego ucisku, wyliczywszy kwotę pieniężną, stara się jak najprędzej o pieniądze, przynosi, liczy i prosi o uwolnienie. Ogląda je podskarbi, sam fałszerz tych pieniędzy, i zatrwożony woła: „Patrzcie no, skąd tak prędko nowy szalbierz powstał? Na śmiech nas wystawia ten niecnota, który tymi plewami nas oszukać pragnie?”. Na to rzekł obwiniony: „Czyż nie jestem skazany na karę w bieżącej monecie?”. Sędziowie zaś odpowiadają: „Wylicz pieniądze z cechą królewską, nie plewy”. A on na to: „Menniczników to wina, nie moja”. Po czym oni: „Ostrożnie z taką mową nierozważną, byś w większą przepaść nie wpadł; wekslarzów nie wspominaj, abyś siebie samego nie oskarżył o sfalszowanie monety, gdyż potwór, dostawszy się do góry, olbrzymiej nabiera postaci”. Na to ów: „Ugrzązłem w głębokim błocie i nie mam środków, aby się wydobyć. Błagam was więc, cóż mi każecie czynić?”. Duszą go, mówiąc: „Oddaj, coś winien!”. „Cóż mam oddać? wyliczyłem pieniądze, wy je odrzucacie”.

Mieli zaś na podporządku kilka monet z czystsze srebro świeżo naumyślnie wybitych. Dowodzili więc, że li taka moneta jest jedynie prawdziwa i w obiegu w obecnym czasie, i takiej też żądali, te zaś pieniądze, za które chcesz być uwolnionym, wyszły z obiegu i nie podpada wątpliwości, że je już dawno odrzucono. Nie zbywało im na współnikach tej złości. Klnąc się, zapewniają, że takimi pieniądź-mi nie tylko kilku winnych się opłaciło, lecz że ich już wiele na żołd dla wojska wydano. Cóż potem? Oto go oprawcom w ręce oddają, więzami krępują, do więzienia wtracają, a cokolwiek miał ludzi, majątku i włości, wszystko zabierają i przeznaczają do skarbu. Tak więc z ostatniego grosza ogołoconego nieboraka torturami najokropniejszymi zmuszają do obietnicy, że wszystko zapłaci. Jest podanie, że nawet wysłużeni kapłani Kościoła świętego wpośród więzów i wśród hałasu tych mistrzów ducha wzyonęli. Takich to masz, Krakowie, sędziów, takich doradców!

Rozpatrzmy teraz pokrótce „zbrodnie” Mieszka Starego i jego złych doradców. Z retoryki Kadłubka można coś niecoś zrozumieć, lecz pod warunkiem przyzwania na pomoc nam współczesnych historyków, znających dobrze zarówno obyczaje średniowiecza, jak i dokumenty owej epoki.

Sprawa niedźwiedzia, która dostarczyła Kadłubkowi okazji do popisania się wiedzą prawniczą, oznacza, że Mieszko pilnie dbał o nietykalność lasów książęcych, czyli państwowych. Wszyscy panujący w Europie postępowali podobnie.

Znacznie ciekawsza kwestia to „przyjęcie przychodnia na służbę”. Jeśli był człowiekiem wolnym - przyjmujący płacił grzywnę za pozbawienie go swobody. Jeśli poddanym - za przyjęcie obcego przypisańca. Błędne koło? Ani odrobinę! Mieszko, jak mógł, tak przeszkadzał rozrostowi większej własności ziemskiej. Należy tylko pamiętać, kto był wrogiem księcia, a wszystko stanie się jasne.

„Szkolnicy przypadkiem Żyda pobili”... (przypadkiem tylko — oczywiście). Za skrzywdzenie Izraelity płacono się wtedy w Polsce najwyższą karę pieniężną. Powodziło się im u nas lepiej niż gdzie indziej, ale Mieszko na pewno nie był liberałem. Ochraniał ludzi, których praca i umiejętności przynosiły mu korzyść materialną. Żydzi byli specjalistami w zakresie obrotu pieniądza, służyli panującemu pożyczkami, dzierżawili mennicę. Zachowały się z owych czasów dziwne monety, na których hebrajskimi literami wybite były nadwiślańskie słowa „Mszka król polski”. W Kaliszu, który stanowił dziedziczną własność Mieszka i gdzie książe spoczął po zgonie, od dawna istniała gmina żydowska.

Powszechnym w Europie zwyczajem mincarze Mieszka Starego dokonywali rozmaitych operacji monetarnych, graniczących z malwersacjami. Kadłubek z przesadą pisał o wymianach denarów na lichsze. Częstsze i zyskowniejsze dla władców było przeliczanie pieniędzy na nowe monety, niekiedy nawet bardziej wartościowe.

Z biadań Wincentego wyłania się wizerunek księcia bardzo bezwzględnego, twardego, dbającego o skarb państwa jak o źrenicę oka. Ze wszystkich synów Krzywoustego Mieszko Stary był na pewno najbardziej utalentowany. O jego programie politycznym najlepiej świadczą tytuły, których używał. Kazał się uznawać za „księcia największego” lub „księcia całej Polski”. Kiedy na wiosnę 1177 roku zwołał do Gniezna wiec ogólnopaństwowy, stawiał się tam również Bogusław I ze Szczecina. Syna pierworodnego - Władysława zwanego Laskonogim - ożenił Mieszko z księżniczką Rugii, drugiego - Odon - z inną dziedziczką pomorską. Dla trzech córek - Salomei, Anastazji i Zwinisławy - wyszukał mężów wśród pomorskich dynastów<sup>1</sup>. Mieszko Stary rozumiał pojęcie „całej Polski” i władzy nad nią dokładnie tak samo, jak jego ojciec, Bolesław Krzywousty.

Kronika Wincentego traktuje go nieprzychylnie. Dziejopis umieścił w księdze same tylko narzekania. On patrzył inaczej niż Krzywousty i Mieszko, aczkolwiek całości ziem polskich bronił.

#### PRZYPISY AUTORA:

<sup>1</sup> Nieściśle. Pierworodnym synem był Odon, który poślubił księżniczkę halicką Wyczestawę. Mieszko Stary nie miał córki o imieniu Zwinisława (przyp. red.).

Podzielał poglądy opozycji magnackiej, której przywodzili biskup krakowski Gedko i wojewoda Stefan.

Biskup krakowski Getko, którego imię warto by złotym piórem wyryć, głosem napominającym ustawicznie wołał i usiłował od zaciętego złoczyńców odprowadzić uporu. Nie mógł bowiem pobożny pasterz zaniedbać i w zapomnienie puścić tak okropnego ucisku trzody swojej, nie narażając własnego zbawienia. Ten więc według umowy niewiastę ubraną w żałobne szaty z żalosniejszą jeszcze twarzą wprowadził przed trybunał królewski. Król kazał jej bliżej przystąpić i to, co by ją spotkało, bez obawy opowiedzieć: „Miałam, o panie, ja, służebnica twoja, znaczną trzodę owiec, do której paszenia mój syn przybrał najemników, lecz z powodu ich niedbalstwa cała trzoda zginęła od wściekłych napadów wilków”. Wtedy król rzekł: „Któryż to jest twój syn?”. Na co ów odpowiedział: „Ja, twój sługa, jestem synem

tej twojej służebnicy". „Którzyż zaś są najemnicy?". Odpowiadają: „Jesteśmy tu, prosząc o posłuchanie". Wtedy król rzekł: „Cóż sobie życzycie?" A oni tak rozpoczęli: „Nie zapieramy się wprawdzie, że trzoda była powierzona naszej opiece, lecz zarazem wyznajemy, że nie z naszej winy zginęła. Albowiem pasierb tej tu matrony, którego na próżno synem zowie, wielki miłośnik polowania, prowadzi wszędzie za sobą psy złe aż do wściekłości, co mu nie tylko my, lecz także i inni znakomici mężowie wyrzucali. Zgraja więc tych psów napadła na trzodę obok drogi pasącą się i mimo naszego krzyku rozszarpała i wyniszczyła ją". Młodzieniec zaś dowodził, że wilki są tego przyczyną. „Zobaczywszy - rzekł - przypadkiem wilki grożące trzodzie, kazałem psy spuścić ze smyczy i ściagałem wilki tymi psami przez gęste lasy, tymczasem zaś wróciła część wilków i zniszczyła opuszczoną trzodę. A więc jawna to jest sprawka waszej opieszałości, którzyście trzodę opuścili, a nie moja wina, który wilki odpędziłem". Na to rzekł król: „Obojej strony sprawozdanie bardzo jest do prawdy podobne, jednak żadna nie dołącza dowodów prawomocnych; żadna bowiem nie opiera się ani na świadkach, ani na innych środkach. Zdawałoby się jednak, że najemnicy niewinni, gdyż nikogo nie można zmusić, aby zaręczył za ślepy traf, chyba w jakimś osobliwym razie. Lecz ponieważ winy, czyli podstępu, nie mogą udowodnić, toteż i zarzut, który o psach czynią, nie może mieć wiary; któż by zatem zaprzeczył, że nie podpadają karze pieniężnej za owce? Czy wam się zdaje sprawiedliwy wyrok, panowie?". Na to odpowiadają: „Jakiż by inny wyrok można wydać?". Lecz ów rzekł: „Jednak przeciwnie prawo nakazuje. Albowiem powód, dla którego powinni byli dowodzić, wynika z wyznania przeciwnika. Przecież nie może zaprzeczyć, że chowa zażarte psy, gdyż to jest dla wszystkich widoczną rzeczą; że ich także rozpuszczono blisko trzody na jego rozkaz, nie zaprze się wobec prawa. Cóż zatem innego, proszę, mogła krwi chciwa wściekłość psów między niewinnymi owcami zrobić, kiedy wszelka wściekłość jest nieprzyjaciółką niewinności? Kiedy więc tak silny jest domysł, że go ani przeciwnymi dowodami, ani innym domysłem nie można obalić, przeto trzeba opierać się na tym domyśle; albowiem bajeczka, którą tak niestosownie o wilkach przytacza, nie może stanowić nawet pozornego dowodu. A więc kto dał powód do szkody, niech szkodę wynagrodzi, czy to matce, czy macosze, za jego bowiem przykładem mógłby czyjś wół rogami lub koń kopytem komu bądź szkodę wyrządzić. Podoba wam się ten wyrok?". Wszyscy krzyknęli: „Podoba”.

Wtedy dopiero kapłan natchniony duchem Bożym, mając lepszą sposobność do mówienia tak się odezwał: „Boski, zaiste, najjaśniejszy królu! wydałeś wyrok i boskie objawiłeś zdanie tej uchwały. Jednak wiedz, że twoje wyroki o tyle tylko mają znaczenie, o ile sam twoim uchwałom nie uwłaczasz. Słuchaj więc, proszę, do czego zmierza ten twój wyrok, który sam wydałeś. Raczysz więc posłuchać z cierpliwością twego o sobie samym wydanego wyroku. Ta niewiasta jest ziemia krakowska; ty zaś, jeżeli nie chcesz się zaprzecć, jesteś jej synem, trzoda owiec jest to lud prowincji, do której paszenia nie skotarczów [tj. pasterzy] przeznaczyłeś, lecz nieprzyjaciół, którzy tylko własnych korzyści szukają, a nie dobra trzody, dlatego słusznie nie nazywasz się już więcej jej synem, ale pasierbem. Albowiem słusznie nosi ten wrogie miano pasierba, kto się nie lituje nad nieszczęściem swojej matki. Ty psów wściekłych, tj. twoich tak okrutnych urzędników, nie trzymasz na wodzy, lecz wypuściwszy ich ze sfory karności twojej, pozwalasz im wszędzie rabować. Ci więc z chciwością krwi i paszczą jadowitą napadają ciągle na trzodę znękaną i, zdaje się, że

niczego innego nie pragną, jak tylko gardła trzody poszarpać i jej krwią się nasycić. Sam więc na siebie wydałeś wyrok, gdyż za to, o co drugich sądzisz, sam siebie potępiasz; dlatego trzeba się obawiać w surowym wyroku surowszego dochodzenia. Świątobliwy bowiem Dawid nie kazał ludu uciemieżyć, lecz go policzyć, a przecież za to popadł w niełaskę gniewu Bożego. Przecież ten gniew Boski prawdziwą skruczą w krótkim czasie zupełnie przebłągał. Powiedz więc, synu, powiedz razem z Dawidem: „Zgrzeszyłem, czyniłem niesprawiedliwie”, wyznaj swoje występki, abyś się usprawiedliwił; bo inaczej, kiedy ci topór przyłożą do głowy, czego Boże broń, zginiesz jak kogut”.

Demonstracja magnacka w Krakowie odbyła się więc w sposób godny ateńskiego teatru Dionizosa. Biskup Gedko, urodzony widać dramaturg, dokonał personifikacji gnębiących Polskę problemów. Kto chce, niech wierzy.

Jak się należało spodziewać, i jak tym razem na pewno było, księżę Mieszko nie uległ perswazji, nawet tak kunsztownej. Dalej robił swoje.

Lecz nadaremno zaszczepia się gałązkę oliwną na kamieniu, i nie brak zaślepionemu dowcipowi obfitych wybiegów. Albowiem król większy jeszcze powód znalazł do nienawiści ku biskupowi, twierdząc, że to upomnienie nie z prawdziwej pobożności pochodziło, lecz z nienawiści ku królowi zostało wyrzeczone. Albowiem nie bez boleści zadrażnienia jest choćby najleksze dotknięcie się do wrzodu; dlatego też tak na biskupie, jak i na innych postanowił się zemścić, jakoby za przykre o księciu wydawali sądy. Tak więc dla biskupa potajemnie zamierza wygnanie, dla innych zaś karę śmierci lub utratę jakich członków. Lecz na próżno zastawia się jawnie sidła na ptaki. Biskup bowiem, mąż niepospolitej mądrości, nie tylko sam uniki jego zamachów, lecz także drugim podał sposób do uniknienia. Przecież nie zaniechał ojcowskich napomnień, i to nie w myśli zaszkodzenia, jak ów sądził, lecz z chęci naprawienia, gdyż ludzie szlachetni nie mają zwyczaju za złe ziem się odpłacać.

Lecz na glos wdzięcznie śpiewającego głuśniejsze żmija, a na groźby nieba grzmiącego stawia jeż kolce, jak gdyby chciał niebu wydać wojnę. Owszem, urzędnicy królewscy, jakoby na własne życie sprzysięgli się i na zgubę króla spisek knowali, jeszcze uciski pomnażali i gwałtów jednych po drugich się dopuszczali, która to okoliczność nieubłaganej nienawiści przeciw królowi stałą się przyczyną. Albowiem za szaleństwo głowy często pokutują członki, a upadek członków często obija się o głowę, i w pewnym względzie ten zdaje się potakiwać, kto mogąc złemu zapobiec nie zapobiega. Przeto najpierwsi prowincji panowie i radcy zaczęli się potajemnie namawiać. „Haniebna jest, mówili, uchodzić za rokoszanów, ale haniebniejsza jest być tchórzem. Niegodziwa jest dla wolnego być niewolnikiem, ale daleko niegodziwsza królową prowincji jak nierządnicę na gwałt wystawiać. Przykro jest tyle nieszczęść doznawać, ale nierównie przykrzej targnąć się na majestat tak wielkiego króla. Czy więc jest jeszcze jaki ratunek w tak krytycznym położeniu dla naczyń szklanych położonych między młotem a kowadłem?”.

Znalazł się jednak wśród zrozpaczonych mąż znający deskę ratunku. Przypomniał zebranym o istnieniu opatrnościowego człowieka, z którym oczywiście nikt z magnatów ostatnio się nie porozumiewał ani nie spiskował. Ufano widać, że znana już nam wymowa biskupa Gedki nawróci księcia Mieszka.

Wtedy rzekł pewien z mężów najznakomitszy: „Jest niedaleko stąd pewna oliwa między drzewami owocowymi szlachetniejszego szczepu, i najprzyjemniejsze konary rozciągająca, blaskiem wiecznym jaśniejąca, z której nie tyle olej spływa, jak raczej balsam w szerokich strumieniach, której zapach wszystkim jest znany, a przecież nikt o nim nie wie, wszystkim jest obcy, a przecież szacowniejszy nad wszystkie drogie kamienie. Albowiem, jak sądzę, nie jest wam tajną rzeczą, jak wielkie są Kazimierza przymioty i jak sława jego cnót, pachnącą przyjemnością nacechowana, przewyższa woń wszystkich pachnideł. Bo o zewnętrznych ozdobach jego ciała mówić mi nie wypada, które swym wdziękiem niby promieniami słońca oczy widzów mają. Okrom tak szlachetnego wdzięku, kształtów i rysów twarzy, sama budowa ciała o niewiele tylko przewyższa ludzi miernego wzrostu. Wzrok jego ujmujący, odznaczający się pewnym urokiem wspaniałym, mowa zawsze skromna, jednak pięknymi dowcipami przykraszona. Komuż zaś taką niedościgłych rzeczy przenikłość rozumu, tak bogate skarby serca, tak nieoszacowane naczynie duchowe albo natura dała, albo łaska udzieliła? Nie wiadomo, czy w nim natura łaskę przewyższa, czy łaska naturę. Tak się z sobą bratają, że każda z obydwóch chce drugą przewyższyć, a żadna drugiej nie zazdrości zwycięstwa. Albowiem politycznymi wiadomościami natura go obsypała, moralnymi zaś łaska skrzętnie przyozdobiła. Cokolwiek bowiem odnosi się do sprawiedliwości wrodzonej lub prawnej, do umiarkowania, waleczności i roztropności, to wyraża nie tylko w mowie, lecz pokazuje także i w czynach. Albowiem nikt nie może rzetelniej oddawać każdemu, co jego, i w nikim bardziej nie kwitnęła sprawiedliwość i roztropność w wydawaniu wyroków. Bo że hałas oskarżycieli niekiedy go razi, że znieść nie może natrętności rzeczników, dwa są do tego powody: nienawiść oszczerstwa i miłość zgody. Dlatego wielu z powodu oszczerstwa nosi piętno na czole, wielu utraciło nos, niektórzy język na znak wiecznego zhańbienia, przeciwnie zgodni z powodu doznanej łaski powzięli pochop do ustawicznego spokoju, z których to względów jeden jest dziełem sprawiedliwości, drugi wynikiem umiarkowania. Albowiem sprawiedliwość jest mścicielką potwarzy, umiarkowanie zaś sprawcą zgody, które w jak wielkim stopniu posiada Kazimierz, dowodzi jego skromność, pokazuje łagodność, a uczy uprzejmość. Często on, zapominając o swojej godności, wchodzi w towarzystwa najniższej klasy ludzi i podnosi je nie z lekkomyślności, lecz z miłości do cnoty, swoją zaś szczodrobliwością przekracza zupełnie granice umiarkowania. Już od dzieciństwa jego szczodrobliwłość nie miała granic, gdyż nie jest to jego zwyczajem jak wielu, aby tylko pragnął nabyć skarbów lub siedział na nabytych, lecz na kształt rzeki Tagu, im obficiej płynie, tym więcej złotego piasku na brzeg wyrzuca. Albowiem cnota szczodrobliwości szacowniejsza jest nad złoto. Co się zaś tycze zalet jego męstwa, to trzeba wiedzieć, że się ciągle zatrudnia pracami, i to rzadko innymi, jak poważnymi i zacnymi. Gdyż życie dzielnych ludzi zawsze jest czynne, gnuśność zaś już przez samą beczynność obudzą Wstręt, a jeżeli im zbywa na zewnętrznych wojnach, przykładają się szczególnie do polowania. Niepospolitym zaś ćwiczeniem się w męstwie jest unikanie próżniactwa i niemało zachęty do poważnych spraw mąż dzielny z zabaw nabiera. Słyszeliście może o królu Epiru Mitry dacie, którego przyszłą wielkość nawet niebieskie znaki przepowiedziały, gdyż w roku jego urodzenia i w roku wstąpienia na tron kometa przez sześćdziesiąt dni tak mocno świeciła, iż zdawało się, że całe gore niebo. Ta zaś kometa cztery godziny wschodziła lub zachodziła i przez ten czas szóstą część nieba ogromem swoim zajmować miała. Otóż na tego króla już w młodości godzili opiekunowie truciznę, on jednak często wypijał przeciwjady, tak

że mimo chęci nie mógł w starości trucizną zginąć. Bojąc się nareszcie, żeby mieczem nie dowiedzieli, czego nie mogli trucizną, udał się na polowanie, tym zatrudniając się przez siedm lat, ani do wsi, ani do miasta nie przychodził, lecz w lasach i różnych okolicach górzystych przebywał, tak że nikt o miejscu jego pobytu nie wiedział. Przez to unikł zasadzek, a ciało zahartował do wykonania odważnych czynów. Nareszcie pomyślał o pomnożeniu królestwa. Tak więc Scytów niezwycięzonych pokonał, którzy Sopsiszjona, wodza Aleksandra Wielkiego, z trzydziestu tysiącami żołnierza zniszczyli, a króla perskiego Cyrusa z dwieście tysiącami wymordowali, Filipa króla macedońskiego do niewoli wzięli i Pontus z Kapadocja zajęli. Potem wkroczył do Azji i do Bitynii, przemyślując, jakim by sposobem odnieść korzyści swego zwycięstwa. Ponieważ zaś męża dzielnego nie tylko siła cielesna zdobi, lecz także nieskazitelność ducha, dlatego Kazimierz nie mniej usiłował potwory serca pokonać, jak dzikie zwierzęta. Jak zaś wielka była szlachetność jego duszy, jak wielka stałość i odwaga, a obok wielkiej odwagi wytrwałość w pracy, niełatwo tu opisać. Może chcesz słyszeć śmieszne wprowadzenie zdarzenia, lecz cechujące jego cierpliwość. Pewien młodzieniec namówił tego księcia, aby grali w kostki.

Schodzą się i spotykają, w środku leży nagroda zwycięstwa, wielka ilość srebra. Chwieje się niejaki czas szczęście wojenne, niepewne rzuty kostek, ów w strachu, wzdycha, drży, całkiem osłupiał między nadzieją i obawą, od zmysłów odchodzi, aż nareszcie następny rzut kostek los wojny rozstrzyga i wyrok zwycięstwa dla księcia ogłasza. Wtedy gracz uniesiony rodzajem szaleństwa podniósł pięść, machnął nią mocno i uderzył w twarz księcia i uciekał, korzystając z ciemnej nocy, wymknąwszy się z rąk krzyczących ludzi. Ledwo go znaleziono, zaraz stawiono przed sąd i wszyscy uznali go winnym zbrodni stanu i skazali na rozszarpanie. A gdy tenże niczego się nie spodziewał, jak tylko okrutnej śmierci, wtedy rzekł książę: „Nie unoście się surowością, sędziowie, ponieważ jest znakiem nierozsądku gniewać się dla błahych przyczyn, niesłuszny bowiem tego gniew, którego umysł wewnątrz spokojny nie rozbierze pobudek gniewu. Nie godzi się badać tego, którego los jest w niebezpieczeństwie. Cóż bowiem, proszę, gniewu godnego biedny Jan przewinił? - Tak się ów młodzieniec nazywał. - Co by było, gdyby się sąd na ślepy traf uskarżał? A czyż nie jest to ślepy traf, kiedy w równej sprawie biednego pognębia, a potężnego wywyższa? Niesprawiedliwy jest w obu razach, okrutny dla biednego, a podchlebny dla możnego. Słuszna jest zatem, że nie mogąc wyrzeć zemsty za krzywdę na losie, usiłował ją wyrzeć na dziecku losu. Aby raczej prawdę powiedzieć, zysk dodał do zysku, a fortunę swoją zwyciężył darem. Ta mi dała pieniądze, których mam dosyć, on zaś obdarzył mnie złotą roztropności oznaką, bez której się książę obejść nie może. Roztropność mię nauczyła, że niebezpieczna jest dla księcia wdawać się w gry, niebezpieczniejsza jeszcze w najmniejszych nawet rzeczach puszczać się na śliską ścieżkę losu. Rozumem bowiem powinni książęta rządzić, nie ślepym trafem. Wielkie więc dzięki winienem Janowi, który jest sprawcą, iż nic nie powierzam płochości i ślepego trafowi". Tak to ów krzywdziciel przyjęty został do łaski książęcej i darami jak najhojniej obsypany. Dziwna zaiste w mężu dzielnym nie tylko niezachwiana cierpliwość, lecz także osobliwa roztropność, który obelgi doznanej krzywdy nie tylko spokojnie znosi, ale nawet z wdzięcznością przebacza,

roztropnie uniewinnia, względami wynagradza i darami obsypuje. Ale skąd się to wzięły te córki wszystkich cnót, ten cały ich orszak, że jakkolwiek obowiązek sprawują, cokolwiek robią, wszystko odnoszą do Roztropności? np. Cierpliwość, która jest córą Męstwa, trzy części nosi w tym samym worku: część słabości, część trudu, część obelg, czyli krzywd. Tę zobaczywszy Roztropność, cóż niesiesz - rzecz - córo? Na to owa, stękając pod ciężarem: przyspiesz, o matko - rzecz - zdejmij ciężar z znękanej, siostra twoja, Odwaga, kazała do ciebie ciężar przynieść. Na co Roztropność rzekła: znam mej siostry słodycze, znam zwykłe dary, rozkazuje, abyśmy jej służyli, z tobą, o Cierpliwości, cierpimy razem. Trzymaj więc na chwilę, zrobię to, czego żąda. Surowe potem bryły kładzie do pieca pragnień, dmie, gotuje, próbuje, rozkłada na cząstki i dziwną sztuką złote wyrabia ozdoby. Za sprawą więc roztropności z odrzuconego nieszczęść materiału tworzą się znakomite zalety. Wszystko widocznie posiada syn Roztropności, Kazimierz, o którym mówię. Jest to książę dzielny w radzie, przezorny, ostrożny, oględny i we wszystkim opierający się na roztropności. Mimo tego stara on się jak najbardziej między prostymi okazać się pełnym prostoty, raz dlatego, aby uniknąć niebezpiecznej dumy, potem żeby nie zboczyć z ścieżki uprzejmości; nareszcie, aby z plew prostoty obfitsze plony mądrości zebrał. Gdyż roztropny zbiera owoc cnoty we własnym sumieniu, mniej zaś doskonały w powierzchownej okazałości. Dlatego nic nie ma prostszego nad jego roztropność, nic roztropniejszego nad prostotę. Któż bowiem nie wie, że ustawiczne biesiady są nieprzyjaciółkami cnót? Albowiem przybrawszy pozorne imię hojności, zaprasza cnoty, poi, truje naumyślnie, jednak pod płaszczykiem prostoty nie tylko nie unika dawnych biesiad, ale nawet bardzo huczne i wystawne wydaje bale, i to z wielu przyczyn. Pierwsza przyczyna jest: aby o zbywających jej zaletach dowiedzieć się z odurzonych umysłów innych ludzi, gdyż roztropność jest doświadczeniem nabytym z nierozwagi, tak jak nierozwaga kamieniem probierczym cnoty. Bo jeżeli mądry schwyta głupiego na głupstwie, to przez to staje się mędrszym. Druga przyczyna jest, aby się dowiedzieć, co też inni o niej sądzą, gdyż Bachus nazywa się wolnym, rozwiązuje języki i dlatego o wszystkich wolne objawia zdanie. Trzeci powód jest, aby potajemnie uknowane na nią zamachy, których od trzeźwych wyłudzić niepodobna, wydobyła od pijanych. Albowiem opilstwo wkrada się w tajniki serca, aby szczerzej wyjaśnić tajemnicę trzeźwości. Po czwarte, żaden roztropny człowiek nie wlewa napoju w naczynie pęknięte, boby się całkiem wylał; dlatego mądry człowiek stara się wybadać roztropność tych ludzi, którym by roztropnych zamiarów tajemnicę przezornie chciał powierzyć, gdyż płyn wlany łatwo wynajdzie dziury w naczyniu. Nareszcie dobry król woli, aby go kochano, aniżeli się bano, ponieważ i rój pszczoł z miłości postępuje za królową, nie z obawy. A zatem dla uzyskania sobie względów według trybu biesiadowania wszystkim wspólnego w stosownej porze, przywoitym hołduje biesiadom, i to o tyle tylko, że nie pozwala opilstwu brać nad sobą góry, owszem, zawsze mu towarzyszy nierozdzielna trzeźwość umysłu. Wiecie, jaki go otacza orszak uczonych ludzi, których trzeźwość i nauka mało komu jest nieznaną. Z tymi przechodzi wzajemnym rozważaniem przykłady ojców świętych i czyny sławnych mężów, czasem grając na organach i śpiewając, zastanawia się nad słodyczą niebiańskiej muzyki, czasem znów ćwiczy się w badaniach teologicznych, rozbiegając pytania wszechstronnie, popiera je najdobitniejszymi dowodami, jako najbieglejszy badacz rzeczy subtelnych. Jeżeliby zaś którykolwiek nieprzyjazny oskarżyciel twierdził, że Kazimierz lubi opilstwo i żyje w towarzystwie opilców, dla czegoż nie ma dodać także, że żyje w towarzystwie roztropnych ludzi? Masz więc, uszczypliwa zazdrości, powód



do smutku, gdyż nie możesz wynaleźć błędów, które byś mogła ganić. Nigdy bowiem ta oliwa nie wydawała owocu tak, żeby nie doznawała albo łaski, albo znów nienawiści. Pod cieniem więc tej oliwy (Kazimierza) spocząć nam wypada, aby zbawienny jej owoc wezbraną naszą boleść ukoił. Bo inaczej spełni się na nas owa powieść syna Gedeona, w której czytamy, jakim sposobem drzewa, chcąc króla obrać, zapraszały na tron figę, winny szczep i oliwę; a gdy te odmówiły, wybrały oset, z którego ogień się zajął i wszystko zniszczył”.

Oto nareszcie panujący, jakiego potrzeba! Oszczercom potrafi wprowadzić piętnować czoła, obcinać nosy i języki, ale umie również nie mścić się za policzek (kto chce, niech wierzy - wolno chyba powtórzyć; w każdym razie grać z księciem w kości mógł chyba tylko ktoś z jego dworu, przypowieść Kadłubkowa maluje więc pewien ideał, uczy, jak być powinno). „Obok cnót rozlicznych wieńca” ma Kazimierz pewną wadę. Lubi się napić. Ale równoważy to jego zapal do dysput teologicznych.

Nie wystarczyło sławić Kazimierza. Należało go również przekonać, że powinien wystąpić przeciwko złemu bratu.

Taką to mową wszyscy pobudzeni, już to z przywiązania do Kazimierza, już z chęci pozyskania wolności, wzdychają, schodzą się do niego, proszą, namawiają, aby jeżeli już godnością królewską nie da się zachęcić, przynajmniej nad prośbami nieszczęśliwych miał politowanie. Jeżeli nie chce panować, niech się przeciw lituje. Na to Kazimierz odrzekł: „Niedawne i niezastarzałe w sercach waszych jest to obłudne nagabanie mię, gdyż nie mogło tak prędko wypaść z waszej pamięci, jako pierwsi panowie i sławny ów Świętosław, którego chwalebne dziś kwitnie potomstwo, i w ogóle wszyscy magnaci, pomimo mej woli do tegoż zaszczytnego pociągali mię królestwa, abym wygnawszy najukochańszego króla, brata mego Bolesława, przez nieszczęsne przywłaszczenie sobie tronu bezpiecznie panował. Lecz wołałem braterską miłość przenieść nad wszelkie panowanie, bo kto brata nienawidzi, samobójcą jest; gdyż ktokolwiek braterskie serce rani, ten swoje własne zabija wewnątrz. Jeżeli więc dzieckiem będąc, umyłem w czystym zdroju niewinności nogi moje, jakżebym je mógł teraz broczyć we krwi brata mego? O, jak świetna do panowania droga! popełniać na sobie samobójstwo, na bracie bratobójstwo, a z bratobójstwem zuchwale ojcobójstwo! Jakim czołem mógłbym na wygnanie tego nastawać, który mię więcej jak ojcowską wychował miłością? Którego ja więcej niż synowskim czciłem uszanowaniem! Nader niegodziwą jest rzeczą niegodziwymi środkami nabywać szczęścia”. Jednak oni nalegają. „W istocie - mówią - musiałeś szczerzyć, najjaśniejszy książę, twego kochanego brata Bolesława, ponieważ wtenczas nie było słusznego powodu, bo tylko zapęd stronnictwa przeciw niemu powstał. Ale teraz inna okoliczność układ usprawiedliwia. Kiedy wszelkie zewnętrzne konieczności naglą, którym jeżeli twoja litość nie zapobieże, jeżeli tak uciśnionej Rzeczypospolitej nie przyniesiesz swobody, wtedy musi zginąć, ponieważ nie ma sposobu ratowania się”. Ledwie nareszcie ustawicznym naleganiem proszących i radą największych swoich przyjaciół pobudzony, udał się do Krakowa z małym orszakiem, chcąc zapobiec, aby zajęcie królestwa nie zdawało się raczej gwałtownym aniżeli wolną wolą obywateli skutecznym. Zabiegają mu drogę z niewymowną radością liczne wojska, gromadnie zewsząd sypią się rzesze, z radością krzyczą i winszują, wołając: że ich zbawca przybył. Cisną się do niego ludzie wszelkiego wieku, oddają cześć wszystkie stany i wszystkie dostojeństwa, i bramy nawet

miasta, lubo najmocniejszą strażą uzbrojone, natychmiast otworem stają, a straż zamkowa, przeznaczona od Mieczysława na załogę miasta, dobrowolnie z zamku przybiega. Wszyscy z głębokim ukłonem upadają do nóg Kazimierzowi, wszystkich życzenia i dążności zgodnie w jedno się łączą. I tak od wszystkich z uszanowaniem został królem ogłoszony.

Historycy zgodnie utrzymują, że czwarta księga kroniki jest o wiele bardziej rzeczowa od poprzednich. Napór współczesności zrobił swoje, Kadłubek zarzucił formę dialogu, nie utracił niczego ze swej napuszonej i nieprawdopodobnej wręcz pretensjonalności, ale zaczął mocniej trzymać się konkretności. Trudno w to uwierzyć czytelnikowi, bez litości traktowanemu oracjami, których nikt nie wygłosił. Jednakże opinia specjalistów jest słuszna. Ot, chociażby przed chwilą — z pustosłowa wyjrzała wiadomość, że magnaci pchali Kazimierza do buntu już za życia Kędzierzawego. „Dzieckiem będąc, umyłem w czystym zdroju niewinności nogi moje” — miał o tym mówić Sprawiedliwy. Dzieckiem jak dzieckiem, raczej młodym człowiekiem. Jeżeli ten spisek knuto po śmierci Henryka, gdy Bolesław przyłączył Sandomierz do dzielnic seniora, to Kazimierz miał wtedy dwadzieścia osiem czy dziewięć lat. Przewrót odbył się w roku 1177, czyli w tym właśnie, kiedy książę Szczecina po raz ostatni uczestniczył w ogólnopolskim wiecu państwowym. W cztery lata później Bogusław I złożył hołd Fryderykowi Barbarossie na rynku w Lubece. Szukał w ten sposób protekcji i ochrony, których nie mogła mu dać osłabiona Polska. Najgroźniejszymi jego wrogami byli margrabiowie brandenburscy.

Kadłubek pisał o Sprawiedliwym w ten sposób, że dzisiejszy czytelnik kroniki gotów uznać jej bohatera za karykaturę władcy. Wcale tak nie było. Kazimierz to polityk z krwi i ciała, pojmujący, że gdzie przeskoczyć się nie da, tam trzeba podleźć. Umiał cierpliwie wyczekać i w sposobnej chwili wypłynąć na dobre. Pozycję księcia zwierzchniego utrzymał, uzyskał przewagę nad pogranicznymi księstwami ruskimi, politycznie podporządkował je sobie, z Jadźwingami wojnę wygrał na ich terytorium.

Od kiedy archeologowie dobrze przetrzęśli jego dziedziczną Wiślicę, szacunek dla Kazimierza wzrósł ogromnie. Bo to on zapewne sprowadził mistrzów zachodnich, którzy ozdobili posadzkę podziemnej krypty kościoła cudownym rytmem. Wyobrazili na nim postacie rodziny książęcej - samego Kazimierza, jego małżonki Heleny, księżniczki kijowskiej, i obu synów - Leszka oraz Konrada, którym historia nadała później przydomki Białego i Mazowieckiego. Pewnie z rozkazu Kazimierza biegli majstrowie opasali stary gród nad Nidą murem kamiennym. Znak litery greckiej, wryty na jednym z kamieni, zdradził ich pochodzenie. Przybyli z Lombardii.

Wiślica nie była wyjątkiem. XII stulecie jawi się dziś naszym oczom jako doba bujnego wzrostu kulturalnego. Rozbicie dzielnicowe dużo Polskę kosztowało pod względem politycznym, ale nie ma powodów do rozpaczania nad tym okresem, który kronika Kadłubka reprezentuje. Mistrz Wincenty nie zatracił pojęcia ani poczucia jedności kraju. Własne jego słowa najlepiej o tym zaraz zaświadczą. Wśród panujących zawsze ktoś myślał o ponownym scaleniu państwa i wytrwale do tego celu dążył.

Ostateczne obalenie statutu Krzywoustego nastąpiło w roku 1207. W tym czasie od siedmiu już lat panem Śląska był Henryk Brodaty, wnuk Władysława Wygnańca. W kilka lat

po śmierci Kadłubka dostał się Henrykowi sam Kraków, a wkrótce potem południowo-zachodnia Wielkopolska z Poznaniem i Kaliszem. Państwo stało w przededniu zjednoczenia przez tę odrośl Piastów, która dziedzicznie władała Wrocławiem. Zjednoczenie owo oznaczałoby tę samą granicę nad górną i średnią Odrą, jaka istniała za Krzywoustego.

Wczesnemu scaleniu królestwa przeszkodził fakt niezależny od woli kogokolwiek nie tylko w Polsce, lecz i w Europie. Najazd Tatarów i śmierć Henryka Pobożnego, godnego spadkobiercy ziem, władzy i planów politycznych ojca, Henryka Brodatego. Tatarzy odroczyli zjednoczenie Polski o dalszych lat kilkadziesiąt. Nieszczęście raczej znośne w porównaniu z losem Rusi, która straciła wolność na dwa wieki z okładem. Wychodzące z Azji uderzenia odbiły się okropnie na doli większości państw słowiańskich. Polska była w tej mierze uprzywilejowana, ucierpiała bez porównania mniej od naddnieprzańskich czy bałkańskich pobratymców.

Trzeba było wybiec nieco naprzód i wspomnieć o tym wszystkim, grozi bowiem niebezpieczeństwo fałszywej oceny. Ideologii politycznej Kadłubka oraz działań ludzi jemu współczesnych nie wolno obarczać odpowiedzialnością za to, co nie nadawało się do przewidzenia ani do odparcia. Objąwszy władzę, zajął się książę Kazimierz urządzaniem stosunków wewnętrznych oraz polityką międzynarodową w dotychczasowej, to znaczy prowincjonalnej skali. Czuł się pewnie jak u Pana Boga za piecem. Nikomu przyśnić się nawet nie mogło, że już wkrótce wschodnia granica Polski stanie się zachodnią rubieżą imperium, sięgającego od Bugu po Koreę.

A tak Kazimierz został jednowładcą Lechii. Tak więc księstwa czterech braci, tj. Władysława, Bolesława, Mieczysława i Henryka, na jednego Kazimierza zwały się głowę, jak to ojciec był dawno przepowiedział, mówiąc o czterech rzekach, przez które czterech władców rozumiał, a przez koryta cztery księstwa, Kazimierza z wiadrem złotym porównywając, a jego zalety ze źródłem pachnącym. Zostawszy więc królem, pęta niewoli potargał, jarzmo poborów uciążliwych skruszył, podatki częścią zniósł, częścią zwolnił, ciężary nie tylko zmniejszył, ale nawet zupełnie usunął, musy i przymusy do szczętu zniweczył.

Był bowiem u tego narodu od prastarych czasów uroczysty, niby powagą nawyknięcia uświęcony zwyczaj, iż wielmożni panowie, gdziekolwiek się z orszakami w podróż udawali, biednym kmiotkom nie tylko zabierali plewy, siano, słomę, ale nawet do stodół i chat się dobywali, wydzierając im zboże, i nie tyle na pożywienie obracali, jak raczej na stratowanie koniom porzucali. Był także i inny podobną zuchwałością zadawniony zwyczaj, że ile razy jakiś możny pan chciał do kogo poselstwo wysłać, nakazał służalcem używać podwodów biednych kmiotków i w jednej godzinie niezmierną przestrzeń jak najprędszym pędem odbywać. Ten zwyczaj dla wielu nader był szkodliwy. Jednych bowiem konie nagłym biegiem wysiliły się, a za to nie otrzymali nagrody; drugich wśród drogi padały, te zaś, które się odznaczały nadzwyczajną mocą i szybkością, zabierano bez nadziei odzyskania ich na powrót. Stąd zjawiały się częste napady, czasem nawet zabójstwa. Prócz tego książęta i ten zwyczaj upórcozywie zachowali, iż dobra zmarłych biskupów zabierali albo do skarbu króla składali. Jednak to, co należy pod prawo Boskie, nie należy do niczyjej własności, co zaś do

nikogo nie należy, zostaje w rękach posiadacza. Lecz Bóg drwić z siebie nie pozwala i nie trzeba z nim żartować śmiesznym jakim wymysłem. Aby się więc podobne nadużycia na przyszłość nie działy, zakazał je król sprawiedliwy pod karą klątwy. Zjechało się więc ośmiu biskupów w oznaki godności przybranych, tj. Sobiesław arcybiskup gnieźnieński, Getko biskup krakowski, Syrosław wrocławski, Cherubin poznański, Wilczek płocki, Onolf kujawski, Konrad pomorzański i Gaudenty lubecki. Ósemka zaś jest to pierwsza z dobrych liczb parzystych, liczba błogosławieństwa, ponieważ oznacza, że konstytucje winny być dobre, a ich opiekunowie będą błogosławieni. Wszyscy więc ci biskupi jednogłośnie postanowili: „Ktokolwiek by biednym kmiotkom zboże, czy gwałtem, czy innym sposobem, zabierał albo zabierać kazał niech będzie wyklęty; ktokolwiek do dania podwodów na posyłki kogokolwiek przymusi lub przymusić każe, niech będzie wyklęty; wyjąwszy tylko jeden przypadek, tj. gdy nieprzyjaciele której prowincji zagrażają. Nie jest to bowiem niesprawiedliwością, jeżeli jakimkolwiek bądź sposobem stara się kto o ocalenie ojczyzny. I znów, ktokolwiek zmarłego biskupa zagarnie dobra lub każe zagarnąć, czyliby księżciem był, czy jakąkolwiek znakomitą osobą lub urzędnikiem, bez wszelkiej różnicy niech będzie wyklętym. Ale i ten, kto zabrane dobra kościelne przyjmie, a zabranych zupełnie nie zwróci albo za zupełne ich oddanie nie zareczy, ten także jako współnik tegoż świętokradztwa zarówno ma podpadać tej samej karze”. Zgodzili się wszyscy i wspólnie potwierdzili tak święte zakazów uchwały, które od owego czasu dotąd nienaruszone trwają dlatego, iż potwierdzone zostały apostolskim przywilejem Aleksandra III, papieża, którego boskim wyrokiem i panowanie Kazimierza zostało utwierdzone, aby woła ojcowska żadnej mu nie stawiała przeszkody. Ten bowiem zastrzegł sobie, aby najstarszy syn miał prawo do tronu i aby w sporach o następstwo na tron zasada pierworództwa rozstrzygała.

Dosyć bałamutnie przedstawił Wincenty zjazd łęczycki, odbyty w cieniu czwórwieżowej kolegiaty księżny Salomei, wdowy po Krzywoustym, zmarłej w roku 1144. *lus spolii*, pozwalające monarchom zagarniać ruchomości zmarłych biskupów, obowiązywało w całej Europie, a nie tylko „u tego narodu”. Kazimierz uwolnił od ciężarów majątki Kościoła, a nie chłopów bezpośrednio. Zrzekł się swych uprawnień na rzecz określonej grupy społecznej, wydał pierwszy w dziejach Polski immunitet. Było to zastosowanie norm obowiązujących na kontynencie, ale i coś jeszcze ponadto. Kler, który otrzymał pisemne potwierdzenie swych uprawnień, pomimo doraźnych uroszczeń politycznych wskazywał drogę innym. W sto kilkadziesiąt lat później Kazimierz Wielki powie w statucie wiślickim, że nie wolno szlachcie zagarniać mienia bezpotomnie zmarłych chłopów. Statut łęczycki zapoczątkował w Polsce tradycję prawa pisanego, gwarantującego swobody społeczeństwa.

Oprócz dostojników świeckich zjechało do Łęczycy ośmiu biskupów, czyli wszyscy co do jednego hierarchowie polskiej prowincji kościelnej. Jak rzecz zupełnie normalną zanotował Wincenty obecność biskupa pomorskiego (od lat kilku rezydującego w Kamieniu) oraz lubuskiego. Był rok 1180. Dopiero w cztery zimy później Gniezno utraciło władzę nad Kamieniem, który wskutek klęski Bogusława I w bitwie morskiej musiał się poddać Danii.

Nie jest pewne, czy koncesje dane klerowi w Łęczycy były ceną zapłaconą Rzymowi za poparcie Kazimierza. To, co się stało w roku 1180, zaliczyć raczej trzeba do polskich spraw wewnętrznych. Ale mają wagę słowa Kadłubka, że „woła ojcowska” żadnej już nie

stanowiła przeszkody dla Sprawiedliwego. Moźni powołali go na tron, dokonali jakby wyboru wśród Piastów, świadomie naruszając statut Krzywoustego. Senior rodu, zwierzchnik prawowity Mieszko Stary żył wszak ciągle (miał pożyć jeszcze długo i osiągnąć niebywały wśród Piastów wiek siedemdziesięciu sześciu lat).

W rok po zjeździe łączyckim Mieszko powrócił do swojej dziedzicznej Wielkopolski. Trzymał ją mocno w ręku, rządząc znanymi nam metodami. Miał poparcie Pomorza. W roku 1191, korzystając z zatrudnień Kazimierza na Rusi, pokusił się o sam Kraków. Wspierało go grono tamtejszych magnatów, uczestników spisku przeciwko Sprawiedliwemu, a zwalczał biskup Pełka.

Uknowawszy potajemnie spisek przeciw Kazimierzowi, samego naczelnika spisku, starostę krakowskiego [kasztelana Henryka Kietlicza], pod pozorem odszczepieństwa do Mieszka wysiali, aby pomyślniejszą do zdrady otrzymać porę. Tak więc potem kłamliwie rozgłosili, że król zajęty sprawami w odległych miejscach zabity został, zmyślając różne powody śmierci. Staroście zaś z Mieszkiem przybyć kazali i miasto z przyjaciół Kazimierza ogołoczone zająć usiłowali, któremu jednak świątobliwy biskup krakowski, Pełka, z małą liczbą najwierniejszych przyjaciół wprzód na pomoc przybył. Chociaż mocny opór buntownikom stawiał, przecież dokonano zbrodni zdrady. Miasto się więc poddało, a potworni zdrajcy przywłaszczyli sobie władzę naczelną, prefektury, trybunały, władzę konsulów, godność senatorów i wszystkie urzędy. Jednak ta gwiazda, o której zachodzie kłamliwe roznieśli wieści wśród tej ciemnej burzy, daleko jaśniejszym zabłyśła światłem, podobnie jak mąż dzielny, chociażby i na siłach osłabł, nigdy przecież nie straci odwagi. Albowiem Kazimierz, zwoławszy dwa wojska ze wschodu, odpędza żarłoczne sępy i oddała zdradzieckie kruki. Usłyszawszy stronnicy Mieszka, że Kazimierz żyje, a nawet z księciem włodzimirskim Romanem i bełskim Wszewłodem się zbliża, nocną porą uciekli. A ponieważ się wieść rozchodziła, że wojska czeskiego księcia Konrada naprzeciw nich idą, to i ta okoliczność niemało strachu ich nabawiła. Ten bowiem był tak wielkim i mężnym księciem, iż od jego skinienia władza państwa rzymskiego zawisła. Albowiem zwycięski cesarz rzymski Fryderyk, mając się udać przeciw najzaciętszemu grobu Pańskiego nieprzyjacielowi Saladynowi, postanowił go pomocnikiem cesarskiego tronu dla syna swego króla Henryka, pomijając wszystkie inne książęta. Ten zaś, będąc powinowatym Kazimierza, w żaden sposób nie powinien i nie mógł zaniedbać krzywd swego najszczęśliwszego przyjaciela. Gdy jednak Konrada nader ważne sprawy państwa wstrzymały, nie zaś udana zwłoka, Kazimierz nieustraszony przybywa do Krakowa, który w pierwszej chwili oblężenia zdobywa. Czy nie widzisz, Kazimierzu, osobliwszego wpływu opatrności Boskiej? Oto miasta w wszelkie potrzeby opatrzonego bronią tyłu wybornych załogi. Ma ono zgromadzoną zewsząd wielką liczbę żołnierza, wszyscy siły doświadczonej, wszyscy sprzysiężeni, wszyscy walecznością tchnący i bez wyjątku na śmierć gotowi, wszyscy nareszcie na zgubę Kazimierza uzbrojeni. Powiększa ich siłę z jednej strony syn Mieszka, dowódca załogi, z drugiej strony starosta miejski, ów sprawca tych planów. Pobudza owego chęć panowania, tych zaś sztylet złości uzbraja, a wszystkim do utrzymania buntu nadaje otuchę rozpacz o przebaczeniu ze strony Kazimierza. Wtedy pewien ciura, jakby z jakiej lekkomyślności, wybiega z oszańcowanego obozu, a przebywszy wal i okop, wydrapał się na mur, wystawił głowię żarzącą, udając, że

podpalił miasto. Wielki natychmiast powstał hałas ze strony strażników krzyczących zewsząd, że miasto gore. Gdzież więc teraz ta odwaga, o mężu? Gdzie męstwo co dopiero pałające? Gdzie owa większa nad gniew lwi zaciętość? Wszyscy nagle przerażeni, wszyscy jakoby gromem błyskawicy przestraszeni, niby najgęstsza chmurą dymu pokryci zostali. A kiedy żadnego nie było niebezpieczeństwa, wszyscy z muru na dół w ręce nieprzyjacielskie się rzucają, niektórzy przez bramy otwarte tłumem w niewolę się cisną. Ów przebiegły naczelnik zdrady z kościoła, do którego z przestachu się schronił, na pół martwy wyciągniony, zapalczywości orłów oddany został, których szpony najprzód go na Ruś, potem na Węgry do nieszczęśliwego miejsca wygnania zanosły. Przepowiedział to był niegdyś duchem proroczym świątobliwy Getko, mówiąc: „Do obcego kraju cię uprowadzą, jak koguta, który pielęgnując cudze pisklęta, matkę właściwą od gniazda oddala”.

Wincenty osiągnął smutny szczyt - trudno mętniej pisać o rzeczach, na które się patrzyło. Nie było przesady w moim wcześniejszym twierdzeniu, że niektóre fragmenty tej kroniki mogą wtrącić w rozpacz. Z tego względu nie można traktować Kadłubka, jak się traktowało Galla, to znaczy cytować go dziesiątkami stronic. Współczesny czytelnik nie wytrzymałby pewnie. Ta proza umarła. Autor popełnił literackie samobójstwo.

Jest w kronice Wincentego długi opis wyprawy Kazimierza na Jadźwingów. Bardzo wiele miejsca zajęła przypowieść o niemądrych rybach, obierających sobie króla. Mowa tam o kiełbiach, jelcach, sumach, szczupakach i wielorybach nawet. Nie ma za to ani jednego imienia czy nazwy miejscowości. Kadłubek wymienił tylko Drohiczyn nad Bugiem, będący wówczas stolicą księstwa ruskiego i zdobyty przez Kazimierza na początku akcji. Takie potraktowanie geografii sprzyjało przez wieki utrzymującemu się mniemaniu, że Jadźwingowie mieszkali na Podlasiu. Jeszcze niedawno temu pewna ekspedycja (która co prawda nie składała się z archeologów) szukała ich śladów w okolicach Brańska. Prawdziwy znawca starożytności jaćwieskich, Jerzy Antoniewicz, już od lat ma swą kwaterę główną we wsi Szwajcaria pod Suwałkami, penetruje też powiat sejneński. Łup naukowy, który tam w obfitości zdobywa, całkiem pewnie obali fałszywy pogląd na przeszłość plemion bałtyckich. Fantazjował Kadłubek, pisząc o Jadźwingach, że to „lud nader dziki, dzikszyszy nad wszystkie dzikie zwierzęta, nieprzystępny z powodu przeszkód niezmiernych pustyń, z powodu najzaroślejszych i gęstych lasów i bagnisk przepaścistych”. Kronikarz nie dopatrywał się jakoś sprzeczności we własnych wywodach. Lekkim piórem napisał tuż zaraz, że dzielni „Lechitowie” w kraju dzikich Jadźwingów „wzięli się do pustoszenia świątyń, zamków, brogów, wysokich gmachów, niszcząc ogniem stodoły zbożem napełnione”.

Jerzy Antoniewicz przypisuje Jadźwingom ten sam mniej więcej poziom kultury materialnej, jaki reprezentowały sąsiednie pałacie Polski.

Zamach Mieszka Starego na Kraków odbył się, jak pamiętamy, w roku 1191. Czasy były niespokojne. Jeśli nie stracimy z oczu tej okoliczności, wiadomość o tym, co zaszło w roku 1194, wystąpi w świetle dosyć zagadkowym.

Po zwycięstwie nad Jadźwingami Kazimierz:

Odebrawszy od nich stosowną rękojmą posłuszeństwa i płacenia haraczu z tryumfem do swego kraju powrócił, gdzie bynajmniej nie zwyciężony gnuśnością, lecz znużeniem wojska zmaglony, jakiś czas spoczął.

Miał zaś król ten zwyczaj, iż zawsze z uroczystością obchodził święta patronów [Polski - tj. św. św. Wojciecha i Floriana]. Przeto gdy dzień ś. Floriana na modlitwie, nabożeństwie i dziękczynieniu całkiem przepędził, nazajutrz wyprawił ucztę dla książąt, namiestników i pierwszych królestwa panów. Na tej biesiadzie wielka panowała wesołość. Powodem tej radości było najprzód zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi odniesione, po wtóre, po tak wielkich niebezpieczeństwach wojennych zdrowie czerstwe samego króla, po trzecie zaś, tak jego własne, jak przyjaciół bezpieczeństwo, po czwarte, z powodu stosunków i czasów wielkie zadowolenie. Do tego przyłączyła się także nad wszystkie rozkosze słodsza dobrego króla ludzkość i ochota wszystkim radosne pomnażająca wesele. Gdy więc pod same nieba wzbijają się radosne odgłosy, wtem tak wielkiej chwały świetność nagłą została zaćmiona burzą. Albowiem zakończenie tak wielkiej radości opanował, niestety, smutek, a żałoba zniweczyła wesołość i do swego zaprzęła ją jarzma. Kiedy bowiem wszyscy wspólnie się radowali, król, ta jedyna i szczególna gwiazda państwa, właśnie wtenczas, gdy niektóre pytania o zbawieniu duszy kapłanom zadawał, wychyliwszy mały puchar, na ziemię upadł i umarł.

Skoro ta gwiazda zgasła, ciemność okryła ziemię, ludy w odrętwienie popadły i wszystko owładnął smutek; ci zaś, do których wieść o tak nagłym a nieszczęśliwym wypadku tak szybko dojść nie mogła, jeszcze biesiadowali, tak więc pomieszał się smutek z radością, która przezeń porwana i do zaślubin wleczona, tak się uskarża:

## WESOŁOŚĆ DO SMUTKU

Oj nie wstyd to, gdy się biedzim,

Ale biada! gdy się wstydzim

Łzami boleść zmyć;

Smutna - smutek skarzę światu,

Ze mu wolno z mego kwiatu

Wieńce sobie wić.

Jam sprzyjała mu goręcej

Niż królowi - służąc więcej,

Gdy na tronie żył.

Gdy król uległ śmierci prawom,

Jam upadła i tak łzawą  
Całun nieszczęść skrył.  
Na straszny się smutek skarzę,  
Co mnie porwał, abym w parze  
Odtąd była z nim.  
I tak ciśnie, łamie, dręczy,  
Ze już mało nie zamęczy  
Na śmiech wrogom mym.

#### ODPOWIEDŹ SMUTKU

Z przyczyn wysledzić przyczynę,  
Spór znieść sporem, winą winę  
Samo prawo chce –  
Samaś wbiegła w nasze progi,  
Czemuż teraz ten jęk srogi?  
I te skargi twe?  
Karmisz boleść, karmisz żale,  
Po cóż - pytam - tych łez fale  
Płyną każdą noc? A pociechy sobie we śnie  
Nie zostawiasz, bo ją wcześniej  
Pożre cierpień moc.

Wierszowana rozmowa toczy się dalej. Oprócz wymienionych Wesołości i Smutku biorą w niej udział Swoboda, Roztropność i sam autor. Na koniec Pojednanie odezwie się do Roztropności słowami, w które warto się wsłuchać.

#### POJEDNANIE MÓWI

Te puchary jadem zioną,  
Pocałunkiem tchną śmierć w łono



Zgubny szerząc skon.  
Jak rozsądnie postępujesz,  
W próżnej pracy czas marnujesz,  
Taki zbierzesz plon.  
Złotem lśniący staw dom Bogu  
I ołtarze w jego progu  
Bogom złote staw.  
Lecz daremne trudy, znoje  
I zabiegi - niepokoje  
To daremny szwał!  
Bo gdzie nie ma zgodnej woli,  
Tam się życie nie zespoli,  
Tam skon będzie wiał.

„Zgodna wola” nie powróciła do kraju. Za dużo ścierało się w nim sił, wręcz sobie przeciwnych.

Po tak nagłej Kazimierza śmierci powstał rodzaj zamętu i zamieszania wszystkich rzeczy i osób. Jedni niespodziewanym przypadkiem zdumieni, drudzy przytomność tracili, znowu inni jakby gromem dotknięci z boleści na ziemię upadali. Można było widzieć wielu na kształt posągów całkiem martwych, inni znów wylewali obfite łez strumienie. Można było widzieć, jak z twarzy niektórych matron i dziewic, paznokciami poszarpanych, krew strumieniami tryskała. Inni uderzali sobą o posągi i własnymi się ranili ciosami, inni znów własnym mieczem na siebie godzili. Wszystkich zaś przy śmierci Kazimierza jedno i to samo życzenie opanowało, tj. aby mogli z nim razem umrzeć. Lecz nie zbywało też w tej chwili i na takich, którzy potajemnie wzdychali do tego, żeby na swoją stronę przyciągnąć panów i namiestników lub osierocony tron zająć. Lecz myśli ich wniwecz się obróciły. Zna bowiem Pan zamiary ludzi, ponieważ są próżne, On, który ani od sieroty, ani od wdowy nie oddalił opiekuńczej swej ręki. Po odbytym więc stosownym pogrzebie przewielebny biskup krakowski, Pełka, odbywszy najprzód naradę z panami względem następstwa tronu, wszystkich na zgromadzenie zwołał. A gdy się ledwo hałas uśmierzył, w następujące odezwał się słowa: „Chwalebny jest, panowie, smutek, ale niegodna byłaby zbyt duża boleść.

Materiał graficzny

Trzej Królowie. Mędrcy ze Wschodu u Heroda, miniatura z Kodeksu pułtuskiego (ewangeliarza plockiego), koniec XI w., prawdopodobnie własność Judyty, żony Władysława Hermana. Muzeum Czartoryskich w Krakowie

Bulla (tzw. gnieźnieńska) papieża Innocentego II z 1136 roku. Archiwum Archidiecezjalne w Gnieźnie

Fragment tzw. płyty wiślickiej (ok. 1170-1180). Krypta kolegiaty w Wiślicy

Strzelno, tympanon fundacyjny z rotundy św. Prokopa

Strzelno, fragment kolumny przywar z kościoła św. Trójcy

Tablica genealogiczna Piastów wiek X-XII

Sakramentarz tyniecki (inicjał „D”), ok. 1070-1080, najstarszy z zachowanych w Polsce rękopiśmiennych kodeksów liturgicznych. Biblioteka Narodowa w Warszawie.

Słusznie jest smucić się, lecz niesłuszny nieroztropny smutek. Nie ma bowiem gorszego rodzaju nierozsądku, jak nie starać się świeżej rany zagoić lub mimo możliwości z niebezpiecznej nie chcieć wydzwignąć się toni. Dlatego też roje pszczół tak często marnieją i giną, ponieważ na miejsce zmarłej nie chcą lub nie umieją sobie nowej obrać królowej. Dlatego niektóre plaży mające krzeczka [tj. jaszczurkę cętkowaną w gwiazdy] za króla, po jego śmierci tego na jego miejsce obierają, który najprzód po śmierci króla od łez się zanosił. Wiele narodów ma także i dzisiaj ten zwyczaj, iż wprzód obierają następcę, nim chowają króla zmarłego, aby następcą zwłoki swego poprzednika uroczystym uczcił pogrzebem. Chociaż bowiem Kazimierz co do swojej osoby umarł, u swoich jednak nie może on uchodzić za umarłego, w których sercach dla nieśmiertelnych dzieł dobrotczywnych zawsze żył i wiecznie żyć będzie. I nieucięta też jest ta latorośl, tylko zaszczepiona, kiedy o jej życiu żywe i czerstwe gałęzie dają świadectwo. Dwie bowiem gałązki oliwne, dwa światła pozostały, tj. dwaj synowie Kazimierza, Leszek i Konrad, chociaż obydwaj mali, obydwaj jednak nie zostawieni bez opiekunów. Godzi się więc, abyśmy starszego z nich godnością ojcowską zaszczylili". Wtem jeden z panów, mąż znakomity, tak się odezwał: „W istocie, przewielebny ojcze, dla wszystkich nas konieczną jest potrzebą, żebyśmy się zbawiennej chwycili rady, zwłaszcza w tych okolicznościach żadnej nie cierpiących zwłoki zgubnym byłoby opóźnienie i pociągnęłoby za sobą niebezpieczeństwo. A zatem, co się tyczy obrania króla, żadnej nie można cierpieć zwłoki, ale co do wyboru osoby na króla, proszę, żebyśmy wszyscy na to zwrócili baczość. Albowiem osiwiąleń głowie dziecinna twarz żadną miarą nie przystoi; dzieciństwem by raczej było, gdyby nad dojrzałym rozumem dziecinna panowała nieroztropność, jak to mędrzec mówi: Biada narodowi, nad którym panuje dziecko, szczególnie gdy panujący powinien być światłym, przezornym, ostrożnym i we wszystkich rzeczach przemyślnym. Bo jeżeli w najmniejszych sprawach, np. w zarządzie rodziny, domu, okrętu, jednej skiby lub jednego rolnika, wiele można przez opieszałość zaniedbać, o ileż więcej w zarządzaniu Rzeczpospolitą, kiedy wszystkich oczy ślepo, że tak powiem, są zamknięte, może być zaniedbanym". Tą zaś mową do tego zmierzał, aby stary Mieszko lub synowiec jego, miody Mieszko, na króla był wybrany. Na to jednak odrzekł mąż pełny natchnienia, tenże biskup krakowski: „Wszystko, o czymś dotąd mówił jako mąż roztropny, dobrześ powiedział; jednak w obecnej sprawie nie może to mieć miejsca. Wtedy tylko taka mowa mogłaby być prawdziwą, gdyby szło o wolne obranie, nie zaś o prawo następstwa. Albowiem zupełnie innemu prawu podlega wolny wybór, a innemu prawo następstwa. Ów

bowiem zawiera największą wolność w narodzie, to zaś przestrzega najściślej konieczności prawa. Ów odrzuca wszystkich nie mających właściwego wieku (pełnoletności), prawo zaś następstwa nie wyklucza ani niemowląt, ani pogrobowców, którzy nawet z całą uroczystością zapieczętowany otwierają testament. Lecz nawet i owe przeszkody, któreś ze względu na zarząd i niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej nadmieniał, nie stoją tym dzieciom na zawadzie. Bo jeżeli Rzeczpospolita według prawa ma opiekę nad dzieckiem, toć to samo prawo służy dla obojga. Bo gdzie jednaka przyczyna, tam i jednaka moc prawa. Albo więc sierotom odbierasz wszelkie prawo opieki, albo nie możesz zaprzeczyć potrzeby opiekunów ze strony Rzeczypospolitej. Albowiem królowie nie sami przez się rządzą Rzeczpospolitą, lecz przez rządowe władze. Dlatego nader niegodziwym i niesłusznym by było zataić to lub odrzucać, co rozum radzi, czego korzyść wymaga, co szlachetność zaleca i co nareszcie konieczność prawa nakazuje. Nie stoi temu na przeszkodzie nawet ustawa przodków, która zastrzega, aby starszy z urodzenia zawsze miał prawo do panowania, ponieważ papież Aleksander [III] i cesarz Fryderyk [Barbarossa], mający władzę do nadawania i znoszenia praw, ustawę tę zupełnie znieśli, skoro obadwa, za życia jeszcze starszego Mieszka, Kazimierza w tym samym rządzie ustanowili i zatwierdzili. Nie może więc w tej sprawie nic stać na przeszkodzie ani uchwale panów, ani przychylności rycerstwa, ani życzeniu obywateli i ludu". Po tym jednoznacznie wszyscy krzyknęli: „Niech żyje Leszek, król na wieki!". Wszystkich zaś tak wielka i uroczysta opanowała radość, jakby nigdy nie doznali przykrych przeszłego nieszczęścia niedoli, taka słodycz, taka miłość, takie przywiązanie ku sierotom wszystkich oładnęło, iż żadne względy lub nienawiść, ani utrapienie lub miecz, ani skargi, ani wreszcie konieczność od boku tych dzieci i powolności dla nich oddalić ich nie potrafiły. Przeto ów wojewoda Mikołaj, największe wszystkim składając podziękowanie, przypomniał i odnowił wszystkim stałość i wierność; aby zaś nikt swego zdania nie zmienił, świętą wszystkich zobowiązał przysięgą. Wiedział bowiem ten mąż roztropny, jak zmienne zawsze usposobienie umysłu i że uczucia niestałe w przykrych lub wątpliwych razach nagle stygną.

Mieszko stary, usłyszawszy to, mocno się przeraził i z okropnego zmartwienia tarzał się po ziemi, mówiąc, iż nie tyle nad tym boleje, że nim pogardzono i prawo pierworodztwa sponiewierano, jak raczej nad tym, iż urok tak wielkiej godności na szyderskie wystawiono pośmiewisko: „Hańbą jest słyszeć o zdarzeniu tak niesłychanym, równie smutnym jak śmiesznym; gdyż tak nierozsądnej i dziecinnej uchwały roztropnych mężów nie można zataić bez pośmiewiska. Dzieci bowiem jest zwyczajem z dziećmi grać w cel i w lizkę i na długim jeździć kiju. Równy także mam powód do żalu, ponieważ gdy z bratem moim Kazimierzem korona tego królestwa upadła, nie starali się jej jakimkolwiek sposobem podźwignąć, ale, owszem, usiłowali ją w błocie i w kale nędzy pogrzyżyć, a Rzeczpospolitą wrogom na łup wydać. Jakież bowiem wilk szczędzi trzodę niemającą pasterza? Po wtóre, któż by nie jęknął i nie zabolął na tak jadowite pociski przeciw sobie wymierzone? Któż by nareszcie obojętnie znosił tak podstępne podstępnych ludzi umysły? Wybierają dziecko na króla, aby pod tym płaszczykiem sami nad panami panowali, aby wykorzeniwszy do szczętu plemię królewskie, wolniejszego dopięli rządu, aby miasto jednego ile głów, tyle królów z nich mogło wyrósć. Nad wami się lituję, nie nad sobą, kochane dzieci! Wasza, o panowie, niedola bardziej mię wzrusza niż moja! O wspólne tu wszystkich chodzi niebezpieczeństwo. Tych potrzeba wam słuchać, nad którymi wam przysłało panować". Tymi samymi słowy, tą samą gwałtowną

mową księcia Bolesława i brata jego Mieszka podżega i na swoją stronę przechyla. Innych także szuka posiłków tak w samym królestwie, jako też za granicą. Kusi prośbami, przyciąga pieniędzmi i blaga. Wie, jak kogo zająć. Nareszcie krakowskiej prowincji magnatom zaleca, niechaj uważają, żeby się na trzcinie nie wspierali, niechaj Leszka od panowania oddalą, a jego samego królem uznają, niechaj się nie oddzielają od niego, jako od głowy prawowitej, jeżeli są członkami prawowitymi; gdyż sprzecznością jest chcieć się odstrychnąć od całości. Kazał im więc jedno z obojga wybrać: albo zasłużyć sobie na łaskę dobrowolnym posłuszeństwem, albo doświadczyć srogości miecza niebezpieczeństwem wojny.

Dziwne wrażenie sprawia w tym średniowiecznym tekście twierdzenie, że „królowie nie sami przez się rządzą rzeszą, lecz przez rządowe władze”. Gdyby współczesny nam autor powieści historycznej kazał się tak odezwać któremuś ze swych bohaterów, oskarżono by go o anachronizm.

Winę ponosi przyzwyczajenie do całkiem fałszywych wyobrażeń. Średniowiecze w ogóle nie znało absolutyzmu monarszego, było wprost naszpikowane swobodami, jak się wyrażają niektórzy myśliciele francuscy. Nie sposób zaręczyć, że polscy wielmoże naprawdę przemawiali słowami widniejącymi w kronice Kadłubka. Nie ulega za to wątpliwości, że te właśnie pojęcia szerzył wykształcony na Zachodzie magister, autor książki bardzo poczytnej. Jeśli nawet przytoczony fragment nie odbija wiernie poglądów już w Polsce na dobre zakorzenionych, to niechybnie pokazuje, co do niej napływało w miarę postępu kultury.

Księciem został po Kazimierzu jego pierworodny, ośmioletni Leszek Biały. Można powołać regencję, w której skład wchodził: księżna-wdowa Helena, biskup krakowski Pełka i wojewoda Mikołaj. Mieszko Stary nie zrezygnował ze swych praw. Uzyskał pomoc Piastów ze Śląska, których Kadłubek stale nazywa Władysławowiczami.

Na pomoc zaś małoletnim książętom przybywa szlachetny Roman, książę włodzimierski, z znaczną liczbą Rusinów. Pamiętał bowiem ten sam Roman, jak wielkie były Kazimierza dla niego dobrodziejstwa, u którego prawie od dzieciństwa był wychowany, i że to księstwo, które posiada, z łaski jego otrzymał. Wiedział także, iż jeżeli oni zginą, to i jego szczepowi zniszczenie zagraża; z jednej strony od Mieszka, jeżeli zwycięży, z drugiej od księcia kijowskiego, z którego córką się rozwiódł. Jest zaś w krakowskiej ziemi miejsce od rzeki Mózgowa nazwane, od opactwa Jędrzejowskiego niedaleko leżące. W tym to miejscu przy przeprawie przez ciernie i krzewinę spotkały się obadwa wojska. Stoją z jednej i z drugiej strony falangi, stoją żelazem najeżone lasy i włócznie włóczniom zagrażające. Dokąd, proszę, mężo, dokąd, nieszczęsna młodzieży? Szaleństwem jest broczyć we krwi bratniej. Na siebie się zaciekle rzucaś, na siebie własne groty wymierzasz. Na ciebie mierzy zuchwałe choć buntownicza. O świętokradzkie, bezbożne i nieszczęsne tego spotkania widowisko! Nic tu nie wskóra ani synowska miłość ku ojcu, ani ojcowie synom nie przebaczą, ani brat brata nie szczeni, ani krewny krewnego, ani powinowaty powinowatego, ani przyjaciel przyjaciela, ani owe święte pokrewieństwa węzły siebie samych nie uznają. Wszyscy bez różnicy nawzajem się mordują. Tu pada syn Mieszka, Bolesław, dzidą przeszyty, tu sława wielu znakomitych mężów ginie. Tu Mieszka rani żołnierz prosty. A gdy go chce zabić, ten, zdjąwszy szyszak, woła, jam jest książę! Poznawszy go zaś, żołnierz prosi o przebaczenie za

swój nierozważny czyn, broni go przeciw natarciu innych i z bitwy unosi. Lecz i książę Roman nie bez znacznego rozlewu krwi swoich żołnierzy pozbawiony większych posiłków, odebrawszy wiele ciężkich ran, już z przyczyny bólu tychże, już też rozpaczając o zwycięstwie, do ucieczki zmuszony został. Albowiem z początku zetknięcia się największa część Rusinów uciekła i małoletnim książętom znaczną część tryumfu odebrała. Niektórzy nie walczą, lecz ścigają Rusinów uciekających, jedni zdobywcy chciwi, drudzy gniewliwym zapałem uniesieni. Przybywa znów swoim w pomoc Władysławowicz Mieszko z wnukiem, z synem Bolesława, Jarosławem, którzy nie znalazłszy prawie nikogo na placu bitwy, ponieważ już obiedwie strony pouciekały, jakby zwycięstwo odnieśli, szczęścia sobie winszują i sztandar zwycięstwa zatykają. Z nimi, chociaż małą mając garstkę, spotkał się wódz Goworek; stoczył bitwę i na kształt trzaskającego gromu nadaremno z swoją siłą na nich uderza. Nareszcie znękany nierównie większą liczbą nieprzyjaciół nie bez sławy uległ. Schwytano go, odprowadzono i długi czas jako jeńca w niewoli trzymano; ledwo nareszcie za wstawieniem się przyjaciół z niewoli uwolniono. Biskup zaś Pełka, o którym często wspominaliśmy, między nadzieją i obawą się chwiejąc, na ustroniu jednak modlitwą gorącą zajęty, wypadku losu wojennego oczekiwał. Zobaczywszy zaś jednego z bitwy powracającego, rzeki: „Dobra wiadomość, dobrze sprawy idą, coś dobrego się stało?”. Ów odpowiedział: „Oby takiej pomyślności, jakiej my dzisiaj doznali, zawsze doznawał nasz nieprzyjaciół! Roman zabity, najpierwsi zaś wodzowie jedni polegli, drudzy pojmani, inni, z placu pierzchnawszy, uciekli, a wojsko nasze znikło jak dym w powietrzu”. Na to odrzekł biskup: „Skądże wiesz, że Roman zabity?”. On zaś odpowiedział: „Bo miałebym nie wiedzieć, kiedym widział na oczy trupa mego towarzysza? To ci donoszę jako najpewniejszą wiadomość, że stary Mieszko, obciążony łupem zabitych, z tryumfem ku Krakowu zmierza”. Ledwo ten skończył, a już inny i znów inny inną fałszywą wiadomość przynosi, dlatego biskup siebie i swoich cokolwiek pociesza, mówiąc: „Nie ma powodu temu więcej wierzyć jak drugiemu i trzeciemu, bo albo trzeba każdemu z nich wierzyć, albo żadnemu. Lecz jakże się mogą zgodzić tak sprzeczne doniesienia? Pozostaje więc jeszcze jeden środek, abyśmy przez którego z was pewności się o tym dowiedzieli”. Na to rzeki jeden: „Ja jestem gotów, o panie, pošlij mię”. Na co biskup: „Pamiętaj - rzece - na trzy słowa, bądź rzeński, pilny, ostrożny; Anioł Pański niech będzie z tobą”. Tak ów, zdjawszy księżą suknię, był bowiem klerykiem, przebrał się za ciurę i gońca i pieszo pędzi na miejsce bitwy. Dowiaduje się wszystkiego dokładnie już od tych, których jeszcze na pół żywych znalazł, już od tych, którzy zbieraniem łupów zajęci byli. Dowiedziawszy się zaś jak najdokładniej o wszystkim, jak najprędzej powraca i biskupowi wszystko kolejno wyjawia i opowiada. Że Mieszko stary, pod podwójnym zdobyczy ciężarem jęcząc, do siebie powraca, tj. pod ciężarem smutku z powodu śmierci syna i pod ciężarem boleści z powodu ran odebranych, że Roman raniony, lecz nie śmiertelnie. Za nim więc biskup wśród ciemnej nocy pędzi, a dogoniwszy go, nazad wrócić usiłuje, ażeby przypadkiem Mieszko z powodu większej urazy większym się nie zapalił gniewem, a zebrawszy swoje siły, albo sam osobiście, albo przez Władysława stolicy królestwa nie zdobył. Na to odpowiedział Roman: „Słusznie, kochany ojcze, lecz podwójna mię dręczy słabość: jedna co do mojej osoby z powodu ran odebranych, druga co do moich ludzi z powodu ich niedostatku, z których jedna część w bitwie zginęła, druga zaś ucieczką się rozprószyła”. Wtedy biskup: „Cóż więc radzisz?”. Na co Roman: „Nie zbywa ci na roztropności węża co do obrony stolicy, i trzeba jej bronić, dopóki moje rany cokolwiek się

nie uśmierzą, albowiem ryba pójdzie za tobą, dokąd chcesz, bylebyś tylko choć na nici ponętę trzymał". Roman więc do siebie powraca, na drugi dzień zaś, skoro tylko zaświtało, pierwsi panowie z małą garstką najdzielniejszych żołnierzy szukają wszędzie nieprzyjaciół. A gdy ich nie znaleźli, naradzają się dokładnie, czy Mieszka, czy Władysławowiczów ściagać, lecz za radą biskupa obojga zaniechali.

Bitwie nad Mozgawą, stoczonej w roku 1195, poświęcił Kadłubek najbardziej realistyczne stronicie swej książki. Zwłaszcza ten nieszczęsny, zdezorientowany biskup, łapiący najbardziej sprzeczne wieści z pola walki! I ci nieśmiertelni, w każdej wojnie obecni „rozbitkowie”, co to na własne oczy widzieli rzeczy, których nigdy nie było. Wszystko to tchnie taką prawdą, że wolno zapytać, czy aby mistrz Wincenty osobą własną nie towarzyszył biskupowi Pełce.

Leszek Biały powrócił na Wawel, ale dwukrotnie jeszcze możnowładztwo przyzywało do Krakowa Mieszka. Stary książę zmarł w roku 1202, na którym urywa się kronika Wincentego. Kadłubek kończy swą opowieść obrazem powołania na tron syna Mieszkowego Władysława, zwanego Laskonogim:

Tak więc w obliczu całej Polski, za wolą wszystkich naczelników i namiestników, wszystkich wojskowych od najniższego do najwyższego stopnia, Władysław księżciem krakowskim ogłoszony został. Okazał on zaś nader przystępną, życzliwą, łaskawą, słodką i miłą dla wszystkich dobroć i uprzejmość. Aby więc nie mniemano, że obcymi błędami pogardza, i żeby się nie zdawało, iż o swoich zaletach wielkie ma wyobrażenie, starał się być dla wszystkich przystępnym i uprzejmym. Laskonogi panował zaledwie kilka miesięcy. W tym samym roku obalono go. Na Wawel powrócił Leszek.

Istnieje tradycja, że Wincenty pisał kronikę u schyłku życia, będąc zakonikiem w Jędrzejowie. Przytoczone zdania wydają się temu przeczyć. Za dobrze, w zbyt przychylnym świetle pokazany został Laskonogi, który w niedalekiej przyszłości wystąpił jako główny przeciwnik drogiego Kadłubkowi programu. Władysław przeszedł do historii jako jeden z największych w Polsce antyklerykałów. Czyżby zatem Wincenty wcześniej odłożył pióro, nie powrócił do przerwanej pracy i nie zatroszczył się nawet o uzupełnienie ostatnich zdań własnej opowieści? Żył jeszcze długo. Zażarte spory Laskonogiego z hierarchią duchowną nie były mu tajne.

W zakończeniu kroniki można się co prawda dosłuchać nuty wskazującej, że autor szykował się do napiętnowania obłudy księcia. Jeżeli tak naprawdę było, jeśli wycucie nie zawodzi, to Kadłubek machnął widać ręką na własne pisarstwo i zajął się czym innym. August Bielowski twierdził, że mistrz zarzucił swą pracę gdzieś około roku 1206.

Jakże różni się finał kroniki Kadłubka od Gallowego! Dopiero Wincenty pokazał nam tekst naprawdę urwany. Nawet Thietmar zamknął wywód obrazem stanowiącym rzeczowy akord. A przecież skonał w tym samym roku, do którego jesieni opowieść dociągnął. Nie! Wincenty pasji dziejopisarskiej niczym nie zdradził. Był historykiem z przypadku, z woli księcia. Rozpędu wystarczyło mu na osiem mizernych lat po zgonie protektora.

Przychodzi pora na rozważania o tym, czego w kronice już nie ma. Wygodnym wstępem do nich będzie jednak jeszcze jeden cytat, odnoszący się do postaci niezwyklej. Chodzi o Romana, księcia Halicza i Włodzimierza, członka ogromnie rozrodzonej dynastii ruskiej Rurykowiczów. O tego samego Romana, który w bitwie nad Mozgawą walczył po stronie Leszka Białego i Konrada, odniósł nawet ranę.

Ojcem jego był Mściwój II Chrobry, władca Kijowa, matką zaś Agnieszka, starsza siostra Kazimierza Sprawiedliwego, córka Krzywoustego. W żyłach Romana płynęło dużo krwi piastowskiej. Dzieciństwo upłynęło mu na dworze wuja Kazimierza, a władza nad Haliczem i Włodzimierzem dostała się dzięki polskiej pomocy. Dokonał już tego Sprawiedliwy. Idąc w ślady ojca, Leszek Biały dopomógł raz jeszcze kuzynowi.

Książę zaś Leszko coraz dalej w lata i rozum dojrzewał, a będąc młodym, polowaniem się zajmował w celu wyćwiczenia sił swoich. I będąc już w tym rzemiośle biegłym, zaczął się zajmować bronią; a chociaż jeszcze nie był nawet początkującym, a nie dopiero doświadczonym żołnierzem, przecież dał poznać w sobie chwalebne wojskowości przymioty. Do okazania zaś największej jego sławy wystarczy tylko tę jedną okoliczność przytoczyć, iż mimo młodziuchnego wieku nad wszystkie książęty jak słońce zajaśniał. W tym bowiem czasie umarł był książę halicki Włodzimierz, nie zostawivszy po sobie żadnego prawowitego dziedzica. Dlatego książęta ruscy, jedni siłą, drudzy sztuką, inni obojgiem opróżnione księstwo owładnąć usiłowali. Między nimi książę Roman, im bliższy miejscowością, tym pewniejszą miał nadzieję i większej w ubieganiu się używał zręczności. Lecz widząc, że siły jego innym nie podoleją, króla Leszka pokornie prosi, aby mu prawem hołdownictwa to księstwo nadał, aby jako jego hołdownik nad wszystkimi książętami Rusinów i Polowców panował. Lecz prosił, żeby go nie księciem halickim, ale tylko namiestnikiem swoim mianował. W przeciwnym bowiem razie, jeżeli kto inny tam swoją założy siedzibę, niech nie wątpi, że pewnego będzie miał nieprzyjaciela. Lecz prośba jego zdawała się być niewiele ważną, już to dlatego, że niebezpieczną jest rzeczą poddanego czynić równym; po wtóre dlatego, iż daleko korzystniej jest rzecz wielką samemu posiadać aniżeli ją komu w dzierżawę puszczać. Bardzo zaś rzadko kiedy obcy obcemu słowa dotrzyma, choćby się nawet przyrzeczeniem zobowiązał; bo kto dla zysku na siebie bierze obowiązek, tak długo się będzie podobał, jak długo będzie użytecznym. Jednak inni mówili i twierdzili: że ani naszemu królowi, ani nam nie jest Roman obcy. Bo jakże można tego nazwać obcym, który jest w drugim stopniu pokrewieństwa? Jakże, proszę, można o tym mężu wątpić, który zawsze tej Rzeczypospolitej był pomocnikiem i jakby jej mentorem? Cóż bowiem innego dowodzi jego podczas panowania wielkiego Kazimierza [tj. Sprawiedliwego] doświadczona we wszystkim wierność i stałość? Czego największe posłuszeństwo? Czego dowodzą rany jego świeże z powodu naszego przykrego położenia odebrane? A zatem byłoby to straszną krzywdą i krewnemu swemu ubliżyć przychylności, i bliźniemu nie oddać powinnej wzajemności. Zgromadzają się więc zastępy wojsk, łączą się szeregi i posuwają ku ziemi halickiej. Lecz skarżą się nie na samego króla, ale na wiek jego, jako do wojny jeszcze niezdolny; przeto lepiej, aby on w domu zabawami się trudnił, aniżeli nieroztropnie wystawiał się na przedwczesne znoje. Lecz młodzieniec prawie ze łzami w oczach: „Przebóg! - rzecz - panowie! czy mię niewiastą być między sobą uradziliście, a nie królem? Mało się bowiem

różni od niewiasty ten, kto zawsze w niewieścim bawi kole. Słyszę, że wojska bez głowy niewielką mają siłę. Więc wyznaję, że jestem niezdatny do walki, ale też i włócznie niektóre podczas bitwy stoją utkwione i nie walczą, przecież w obecności książąt waleczniej się żołnierze potykają. Dlatego jest podanie, iż pewne wojska bez króla często pokonane, gdy im króla w kolebce przyniesiono, nad nieprzyjaciółmi zwycięstwo odniosły. Tak więc nie jako król wasz, lecz jako obraz króla obozu waszego nie opuszczę, a nawet z jednym tylko towarzyszem pójdę w ślad za wami". Wszyscy się cieszą, że tyle męskiego ducha pokazuje młodzieniec. Dziwią się niektórzy, że na kwitającym dopiero i tak małym kłosie takiej dojrzałości znajdują się ziarna. Osłupieli, że orzech jeszcze skorupą niepokryty, już dojrzały smak ziarna w sobie zamyka. Ale pszczołki w wodzu swoim nie wieku, lecz słodczy rządu upatrują.

Jeszcze granic nie doszedł, a już panowie haliccy z pokorną postawą zabiegają mu drogę, oświadczając wszelkie posłuszeństwo, hołd, poddanie się i wieczną wierność, obiecując zarazem zadośćuczynienie. Jego tylko życzą sobie i obierają jako króla, jako zapewnienie szczęścia.

„Jego królewska mość łaskawie niech rozstrzygnie, czyliby sam w osobie swojej, czyli przez swego namiestnika raczył panować. Niczego bowiem innego nie żądamy, jak żebyśmy tylko zaszczytnego imienia waszej królewskiej mości dla nas zawezwać mogli; albowiem nie możemy znosić dumnego panowania, niezgody i zawiści książąt naszej ziemi". Tak mówili, lecz zdradliwie, aby tym sposobem na nieostrożnych łatwiej napad uczynić mogli. Ze to zaś był podstęp, wkrótce same wykazały okoliczności. Pierwsze bowiem miasta ich buntowniczy opór zamiast dobrowolnego poddania się okazały. Gdy je zaś zgnębiono i podbito, postanowiono halickie kraje oblężeniem uciskać. Ale znaleziono tam niezliczone na kształt piasku zgromadzone nieprzyjaciół zastępy. Leszek kazał im przez swoich oświadczyć, aby natychmiast z granic halickich wyszli lub bitwy czekali. Na to odpowiedzieli: „Bitwy, bitwy natychmiast żądamy!". Lecz ta ich zuchwałość niedługo trwała, bo skoro tylko uzbrojone Polaków ukazały się hufce, wtedy niezmiernej owej rzeszy zapal zupełnie ostygł tak, iż nie myśleli o bitwie, lecz o najprędzej ucieczce. Prosilili jednak o zwłokę wojny pod pozorem naradzenia się względem pokoju, i otrzymali. A gdy się naradą zajęli, Haliczanie z większą jak przedtem chęcią przed Leszkiem się korzą, już nie udane, lecz prawdziwe objawiając życzenia, aby im król nadal książęcia, ponieważ widzą, że siły ich książąt, w których niezmierne zaufanie pokładali, zupełnie zostały zniszczone. Dlatego zmuszeni przyjęli księcia Romana, którego się w pobliżu więcej niż gromu obawiali. Znali bowiem tego człowieka z wszystkich najpodstępniejszego okrutne panowanie, który w srogiej swej namiętności i dumnej chuci nikomu ze swoich nie przebaczał. Ze wszech stron w przykrym znajdowali się położeniu, gdyż do powstania nie było nadziei, ponieważ prawie wszystkie ich posiłki rozeszły się wśród dogodnej im nocy. Dlatego drżeli przed jego tak okrutnym panowaniem, gdyż żaden roztropny człowiek nie chciałby się w straszną lwa paszczę rzucić. Cóż więc czynią? Błagają nieustannie, ofiarują niezliczone sumy srebra i złota, drogie kamienie, naczynia, suknie najwyszukańsze, wszelkie gatunki jedwabnych i najkosztowniejszych rzeczy i jeszcze więcej ofiarować przyobiecują, aby ich tylko nie zmuszono do dźwigania jarzma tego Rusina. Przyrzekają posłuszeństwo wszystkich stanów i ustawiczne podatków płacenie,



byleby tylko mogli jego panowania uniknąć. Cóż bowiem innego rodzą cierpkie jagody, jeżeli nie niesmak? Czegóż można się po tej jabłoni spodziewać, której soku doświadczy się w tyłu jadowych potrawach? Nie mieli jednak sposobności skłonienia się ku innemu, ponieważ uchwała wszystkich Lechitów Romana im przeznaczyła. Tak więc mimo oporu najpierwszych i najznakomitszych Rusinów Roman od Leszka księciem halickim został mianowany. Jakim zaś sposobem Polakom za to dobrodziejstwo z swej strony okazał wdzięczność, na właściwym to miejscu opowiemy. Albowiem z równym wiarołomstwem powierzchowną dla wszystkich okazywał rzetelność, a względem swoich był okrutny i dziki. Ledwo bowiem książę Leszek z swoimi odszedł, a on natychmiast naczelników halickich i najznakomitszych panów niespodzianie chwytą i morduje, niektórych żywcem zakopuje, innych każe rozszarpać i ze skóry obdrzeć, wielu jakby na cel do strzelania przybić, innych wprzód rozpruwać niżeli zabijać. Tak więc wszelkie rodzaje kaźni na swoich wymierzywszy, stał się okrutniejszym tyranem dla współobywateli niżeli dla nieprzyjaciół. Albowiem których nie potrafił otwarcie schwytać, ponieważ prawie wszyscy z obawy do innych ziem pouciekali, tych wszystkich darami, podchlebstwem i, jakimi tylko mógł, podstępami na powrót zwoływał, całował, dostojęnstwy zaszczycał i na godności wywyższał. Wnet jednak wymyśliwszy jakieś potwarze, strąca niewinnych, a strąconych rozkazuje wymyślnymi zgubić mękami, już to aby majątki zabitych pozabierał, już by ościennych nabawił strachu, a sam uprzątąwszy możniejszych, bezpieczniej mógł panować. Dlatego było zwykłe jego przysłowie: „Miodu nie można pierwiej spokojnie używać, dopóki się roju pszczół zupełnie nie wydusi; korzenie nie wydadzą zapachu, dopóki się ich w mózdzierzu nie utłucze”. Na drugich więc nieszczęściu swoje utwierdziwszy szczęście, wkrótce do takiej doszedł potęgi, iż prawie nad wszystkimi prowincjami i książętami Rusi panował.

Roman stworzył program zjednoczenia Rusi południowej, kijowskiej. W roku 1204, będąc nadal księciem Halicza i Włodzimierza, opanował sam Kijów. W kilka miesięcy później, 19 czerwca 1205 roku, zginął w Polsce. Z niewyjaśnionych przyczyn wdał się w spór z synem własnego protektora i wychowawcy, z dawniej sobie przyjaznym Leszkiem Białym, oraz jego bratem, Konradem Mazowieckim. Zgodnie z regułą stosunków polsko-ruskich, działał w porozumieniu z innym Piastowiczem, mianowicie z Władysławem Laskonogim (reguła działała w obie strony: ilekroć na przykład ktoś z Polaków zawarł sojusz z Rościszłowiczami, tylekroć miał na karku ich wrogów — Monomachowiczów; Ruś popadła w rozbitcie dzielnicowe wcześniej od Polski). Daleko zapędził się Roman, aż na lewy brzeg Wisły. Wojował srogo, według metod właściwych sobie i epoce, tych samych, o których nam przed chwilą opowiadał Kadłubek. Zaatakowany zniemacka przez wojewodę Krystyna z rodu Gozdawów, musiał uchodzić za rzekę. Poległ w ucieczce. Ciało jego zwycięzcy podnieśli z pobojowiska pod Zawichostem i pogrzebali w Sandomierzu. Ruś wykupiła je później za dużą sumę srebra i przeniosła do Włodzimierza Wołyńskiego.

Kronika Wincentego milczy już o tym. Wiemy za to od Jana Długosza, że krwawa, o dramatycznym przebiegu bitwa pod Zawichostem stała się natchnieniem dla nieznanego poety ludowego. Powstała o niej pieśń w języku polskim, która przetrwała długo. Śpiewano ją jeszcze w XV stuleciu, lecz nie znalazł się taki, co by zapisał.

Roman halicki miał dziwne szczęście do literatury. Mówiły o nim latopisy ruskie oraz kronikarz Wincenty, a cysters z Trois-Fontaines nad Marną, Alberyk, też wiedział o walce pod Zawichostem. Opiewał Romana bezimienny poeta polski.

August Bielowski dawno temu zauważył, że rozprawiający o Romanie latopisiec wołyńsko-halicki wyraża się w sposób, którego Kadłubek na pewno by się nie powstydział: „W mądrości swojej chodził, powiada, według bożych przykazań, na po-gany rzucał się jako lew, sierdzisty jako ryś, a chrobry jako tur, przelatywał orłem przez kraje pogan i jako krokodyl je niszczył”. Patos obowiązywał widać w prozie ówczesnej, bez względu na język, którym posługiwał się pisarz. Jak się okazało, ten autor zniósł lepiej próbę, który uprawiał patos naiwny, dziecinny.

Dziwnie się złożyło, iż literatura dwóch narodów, polska i ukraińska, umiłowała wybitnego człowieka, którego całkiem sensowny program żadnej przyszłości przed sobą nie miał. Śmierć pod Zawichostem okazała się okolicznością bez znaczenia. Kiedy Roman zajmował Kijów i szedł później ku Wiśle, nad Bajkałem zanosilo się już na mongolski kurułtaj, mający powołać do władzy Czyngis-chana.

Ten kurułtaj odbył się w roku 1206. Przejmujące wrażenie wywiera zawsze widok społeczeństw, nieświadomych tragicznego jutra. Tak i wtedy słabe ludki europejskie pilnie krzątały się wokół swych spraw, ani przeczuwając, jaki znak zapytania formuje się właśnie nad ich przyszłością.

4 marca 1207 roku papież Innocenty III przyjął Leszka Białego i księstwo krakowskie pod opiekę św. Piotra. Oznaczało to ostateczne pogrzebanie zasady senioratu. Rzym potwierdzał władzę księcia, którego ojciec opanował Kraków za życia starszego brata, czyli wbrew prawu. Małopolska stawała się dziedziczną ziemią potomków Sprawiedliwego.

11 września tegoż 1207 roku zmarł biskup krakowski Pełka. Elekcja, dokonana zapewne w grudniu, oddała infułę Wincentemu, synowi Kadłuba. Ekskronikarz został więc pierwszym biskupem polskim obranym przez kapitułę w sposób kanoniczny, a nie mianowanym przez panującego. Tak się też o nim zazwyczaj pisze, pomijając szczegóły znane, niestety, tylko specjalistom.

Wybory z roku 1207 słabo by pasowały do pojęć wykształconych w epoce parlamentaryzmu. Kadłubek uzyskał mniejszość głosów. Mimo to biskupem został. Biskup płocki Gedko, zebrawszy większość kresek — przepadł.

I do Polski dopłynęła nareszcie fala reform gregoriańskich. Jej dotychczasowe zacofanie w tej mierze nie było zjawiskiem wyjątkowym. Kler sprzyjał przeważnie starym porządkom, lecz bronił ich o wiele mniej zajadle, niż to się działo gdzie indziej. W roku 1197 przybył nad Wisłę legat papieski, kardynał Piotr, i stanowczo zabronił księżom mieć małżonki, jak się wyrażają źródła. Powszechnego entuzjazmu na pewno nie wzbudził. Kiedy poprzednio ogłosił ten sam dekret w Czechach, omal życia nie postradał z rąk oburzonego duchowieństwa.

Stanisław Smolka szeroko i barwnie przedstawił te sprawy w swym pomnikowym dziele *Mieszko Stary i jego wiek*. Powtórzmy za nim tylko jedno - fragment pisma papieża do biskupów polskich.

W kościołach waszych kanonicy, którzy — według słów ewangelii — winni mieć biodra przepasane, a w ręku dzierżyć jarzące pochodnie dobrych uczynków, w kale rozwiążności zanurzeni, dochodzą do tego stopnia zgnilizny, że nawet hańby swojej i szkarady nie starają się ukrywać, i synów swoich, w ohydny związek spółdzonych, używają bezwstydnie do służby ołtarza, której sami są niegodni, jak gdyby to na hańbę kapłańskiego stanu, dla ujawnienia ich występku było konieczne potrzebne, żeby żywe świadectwo ich dzieci, na widok publiczny wystawionych, przeciwko nim na każdym kroku stawało. Tak też nie dziw, że w takich kościołach okropne rzeczy się dzieją, bo gdy w nich służbę Bożą taka rozgałęziona parantela ojców i synów, wnuków i wszelkiego rodzaju krewniaków odprawia, związki krwi przygłuszają pierwiastek posłuszeństwa duchownego i nikt z nich nie zaniecha złych narowów z obawy przed drugim.

Pierwsze z dwu długich zdań jest o wiele bardziej sugestywne, drugie mówi o istocie rzeczy. Duchowieństwo winno było przeistoczyć się w stan zwarty i karny, lepiej oddzielony od świeckich i postawiony ponad nimi. Reforma nie ograniczała się do kwestii celibatu. Przynosiła ogólną poprawę stosunków, dźwigała kler na wyższy szczebel kultury moralnej i ogólnej, a przez to samo awansowała go wysoko. Rządzący podówczas papież Innocenty III wyznawał program światowładczy. Postanowił, że nawet darowizny na rzecz Kościoła tylko wtedy są ważne, jeśli je Rzym zatwierdzi. Wszystko co duchowne miało się uwolnić od jakiegokolwiek mieszania się czynnika świeckiego i stać ponad nim. Taki program był nie do pogodzenia z dotychczasowym bytowaniem kleru, wrosłego w społeczeństwo, powiązanego z nim i z własnymi familiami mnóstwem węzłów życiowych.

Nakazy Innocentego urzeczywistniał w Polsce arcybiskup gnieźnieński, Henryk Kietlicz, charakter z żelaza. Odwołajmy się raz jeszcze do Stanisława Smolki. Skreślony przez niego obraz przekona, że wdrażana reforma wiodła do wyniesienia i władzy. Głoszona przez tłumy w XII stuleciu potrzeba powrotu do ewangelicznej prostoty zostawiła w dziejach oficjalnych tylko ten ślad, że papież ówczesni chętnie przyjmowali imiona swych poprzedników z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Zwali się Urbanami, Kalikstami, Paschalisami i Innocentymi...

Henryk Kietlicz

wszędzie z mocy swej władzy zwierzchniczej starał się usilnie o zaszczerpienie reformy, wyplenienie wszelkich, nadużyć i niedostatków. Dbał też o utrzymanie swej powagi metropolitalnej, jak pewnie żaden z jego poprzedników na gnieźnieńskiej stolicy. Nie dziw więc, że i w zewnętrznych oznakach starał się dać jej wyraz jaskrawy, że otaczał się przepychem, który go nad wszystkich innych biskupów miał wynieść, i na każdym kroku wyższość swoją dawał im uczuć, zwłaszcza odkąd przez papieża stałym legatem w Polsce mianowany, był wobec nich reprezentantem stolicy apostolskiej. Częste zatem odzywały się skargi na pychę arcybiskupa, żalono się, że gdy w wizytacjach swoich podwładne sobie diecezje odwiedza, wjeżdża w ich granice z poczem ogromnego dworu, w sto albo i więcej

koni, pobyt swój w nich bez potrzeby przewleka, dla całego duchowieństwa ciężką staje się plagą i naraża je na koszta olbrzymie. Skoro zaś w objazdżkach takich przybędzie do katedralnego kościoła, każe sobie stawiać również z niesłychanym kosztem wspaniały tron na wielkim podwyższeniu, i nawet przy mszy Św., podczas spożywania krwi i ciała Pańskiego „ku ogólnemu zgorzeniu całego ludu” podaje nogi do ucałowania usługującym kapłanom.

W każdej diecezji polskiej czuwały „oczy i uszy” wcale nie królewskie, lecz arcybiskupie - kilku księży donoszących Gnieznu o wszystkim, co się dzieje.

Teoria o słońcu władzy duchownej była w Polsce nie tylko uznawana, ale demonstrowana w sposób dobitny. Biskup krakowski Pełka - ten, po którym nastąpił Kadłubek - mianowany przez Sprawiedliwego, nie wcześniej przystąpił do konsekracji, aż udał się do rezydującego w Weronie papieża i uzyskał potwierdzenie godności. Od tej pory biskupi krakowscy mają w Polsce zapewnione pierwsze miejsce po metropolitach z Gniezna. W nagrodę za wierność.

Wincenty Kadłubek stał po stronie Henryka Kietlicza. Opozycji „starowierców” przywodzili biskup płocki Gedko i Paweł z Poznania. Z książąt - Leszek Biały opowiadał się za Kietliczem. Najzjadlejszym zaś jego wrogiem był wyklinany i potępiany Władysław Laskonogi, godny spadkobierca Mieszka Starego i pierwszych Piastów, ten sam, którego pochlebnego wizerunku Kadłubek nie zdążył czy też zaniedbał uzupełnić w swej kronice dodatkowymi rysami. W konflikty z klerem popadał i klątwie podlegał również Henryk Brodaty, człowiek wielce bogobojny, małżonek św. Jadwigi Śląskiej (od roku 1209 aż do zgonu, to znaczy przez lat prawie trzydzieści, żyjący w celibacie). Osobista pobożność i zatargi z hierarchią kościelną to dwie sprawy najzupełniej różne.

Podczas grudniowej elekcji w roku 1207 większość głosów padła za Gedką. Polscy „starowiercy” nie zamierzali jednak walczyć z reformatorami na śmierć i życie. Część z nich od razu oświadczyła, że podporządkuje się woli papieża. 28 marca 1208 roku Innocenty III rozstrzygnął. Podpisał bullę zatwierdzającą na biskupstwie krakowskim Wincentego, kandydata mniejszości.

Konsekracji dokonał protektor wybrańca, Henryk Kietlicz. Wszystko wypadło po myśli dzierżyciela małopolskiej władzy świeckiej, Leszka Białego, który Kadłubka popierał. Wydaje się, że kronika naszego mistrza zamilkła na samiuteńkim progu najciekawszych przeżyć jej autora. Aż kusi domysł, że Wincenty rzucił pióro w ką, bo porwały go sprawy bardziej - jego zdaniem - interesujące.

Pamiętał jednak o człowieku, który go do pisania zachęcił. W roku 1206 podarował cystersom z Sulejowa Gojców oraz Czerników pod Opatowem (dzisiejsza Okalina stanowiła część tej ostatniej miejscowości), a to na intencję zbawienia duszy księcia Kazimierza, jego małżonki Heleny oraz swojej własnej. Roman Grodecki zwrócił uwagę, że Sprawiedliwy lubił Sulejów, powoływał tamtejszych zakonników na kapelanów dworskich. Jak wynika z Genealogii Dworzaczka, księżna Helena zmarła gdzieś pomiędzy rokiem 1202 a 1206. Kadłubek uczcił zatem jej świeżą jeszcze pamięć.

W roku 1210 poświęcił biskup Wincenty kościół w Jędrzejowie, przy którym miał życia dokonać jako mnich. Późniejsze o dwa lata wydarzenie wpłynęło podobno na jego decyzję wstąpienia do klasztoru. Tak przynajmniej głosi tradycja.

Zapusty 1212 roku spędził Kadłubek w Krakowie, wraz z księciem. Podczas nabożeństwa piorun uderzył w katedrę, stopił w skarbcu wszystkie kosztowności, spalił szaty. Biskup wziął to jakoby za ostrzeżenie-wskazówkę. Faktem jest, że od tej pory mnożą się jego nadania na rzecz świątyń. Są to dary bardzo hojne. W tym samym roku Jędrzejów otrzymał potwierdzenie wszystkich posiadłości, a ponadto jeszcze dziesięciny z trzech wiosek. Dochody z innych dóbr poszły na rozmaite cele pobożne, między innymi na wiecznie gorejącą lampę w katedrze. Pod karą klątwy zabronił biskup swym synowcom prawowania się z obdarowanymi klasztorami.

Jeśli nawet tęsknota do ciszy klasztornej opanowała wtedy Kadłubka, pisane mu było jeszcze dwukrotnie wystąpić na szerokiej scenie. Za drugim razem - na najważniejszej ze wszystkich w Europie, oświetlonej bardzo jaskrawo. Niestety, nie przez jego kronikę. Ale po kolei.

W roku 1214 Węgry i Polska, a właściwie Małopolska, interweniowały na Rusi Halickiej. Doszedł tam akurat do władzy miejscowy bojar, Władysław Kormilczyc, więc syn *kormilca*, po polsku - piastuna... Jego awans stanowi jeden z argumentów na poparcie tezy, że dynastia o dziwnym nazwisku Piastów mogła się też wywodzić od opiekuna dzieci poprzedniego panującego. Kariera ruskiego piastunowicza trwała niedługo. Dwa sąsiednie państwa wystąpiły czynnie. Decydowali ich władcy, Andrzej II oraz Leszek Biały, lecz Halicz otrzymał osobną parę monarszą. Byli to: ośmioletni królewicz Koloman i trzyletnia, może nawet młodsza nieco Salomea, córka Leszka Białego, przyszła święta. Dzieci ożeniono.

Salomei towarzyszył do Halicza nasz kronikarz oraz jego następca na krakowskiej stolicy biskupiej, kanclerz księstwa, Iwo Odrowąż z Końskich. Istnieje tradycja, że Wincentemu przypadł w udziale zaszczyt ukoronowania młodej pary. Nie sposób temu wierzyć. Ceremonii musiał dopełnić obecny również w Haliczu arcybiskup Ostrzyhomia. Irytujące i śmieszne, nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe — trzeba odgadywać przebieg wydarzeń, których bohaterem był człowiek pióra, autor kroniki poświęconej jego własnym czasem. Widział on i to, co nastąpiło wkrótce po koronacji, a na pewno było więcej niż ciekawe.

Ruś wystąpiła przeciwko węgiersko-polskim uroszczeniom i dyskryminowaniu prawosławia. Działał młodociany Daniel, pierworodny Romana poległego pod Zawichostem, przyszły z ramienia papieskiego król Rusi, przyjaciel Mazowsza i sojusznik innych Polaków. Główną rolę odegrał nie on jednak, lecz Mściśław Mściśławowicz Udały, istny błędny rycerz Naddnieprza. „Ruś zbiegła się pod jego chorągwie”, Madziarzy i Lachowie musieli z Halicza uchodzić. Wincenty z Iwonem uciekli także. Niedaleko mieli — księstwo halickie graniczyło z Krakowskiem.

W roku 1215 ekskronikarz wybrał się w zupełnie inną stronę świata. Innocenty III zwołał do Lateranu czwarty sobór powszechny. Miał on stanowić ukoronowanie kilkanaście lat trwającego pontyfikatu, umocnić zdobycze papieża, który działał jakby w przeczuciu

najbliższej przyszłości. Sobór obradował od 11 do 30 listopada 1215 roku, uchwalając siedemdziesiąt dekretów. Innocenty III zmarł w Perugii 16 lipca roku następnego. W chwili zgonu liczył sobie lat pięćdziesiąt pięć. Był to, mówi profesor Jan Dąbrowski, „jeden z największych papieży i największy papież-polityk, który potęgę polityczną papieżstwa doprowadził do szczytu”.

Zostawił Europę z pozoru zjednoczoną pod zwierzchnictwem głowy Kościoła — wcale nie tylko duchowym. Wśród jego dokonań nie liczymy już rzeczy łatwiejszych, jak faktyczne zhołdowanie Polski czy szafowanie tronami na Półwyspie Iberyjskim. Innocenty przyjął na łono Kościoła cara Bułgarii, Kałojana, a patriarchę Tyrnowa uczynił prymasem państwa. Upokorzył cesarza i przemienił go w lennika. 13 maja 1213 roku w klasztorze templariuszy w Dover legat papieski Pandolf wziął koronę Anglii z rąk jej pokonanego króla, Jana bez Ziemi, i oddał mu ją znowu, lecz już jako własność stolicy apostolskiej. Monarcha brytyjski został hołdownikiem Rzymu.

Aż dotychczas jednak - to znaczy do drugiej połowy XX wieku — nikomu nie udało się zapanować nad Europą. Skręcali karki tacy, których krok już tylko dzielić się zdawał od celu. Jeśli chodzi o średniowiecze, to zapowiedź klęski nastąpiła na trzy miesiące przed soborem lateraneńskim, kiedy Innocenty potępił Wielką Kartę Wolności, którą obywatele Anglii wymusili na swym królu, wyklął baronów i miasto Londyn. Stanęli przeciw-ko temu nie tylko zwyczajni Anglicy, lecz i sam prymas, Stefan Langton. Społeczeństwa europejskie nie przyjęły dyktatu. Innocenty III zdecydowanie pokonał cesarstwo, którego poprzednie uroszczenia władcze były też nieznośne. W początkach XIV stulecia papieżstwo przegrało i doznało dotkliwych upokorzeń od królów Francji, popieranym przez Stany Generalne tego narodu.

Na razie jednak trwała pełnia blasku, brytyjskie niepokoje ledwie się zaczynały. Rozporządzenia papieża dotyczące przygotowań soborowych cechowała stanowczość. W każdej prowincji kościelnej pozostać mógł jeden, najwyżej dwóch biskupów, a to dla niezbędnych posług duchownych. Wszyscy inni musieli stawić się na Lateranie. Przybyło ich tam około pięciuset, wśród nich pięciu Polaków - arcybiskup z Gniezna Henryk Kietlicz, Wawrzyniec z Wrocławia i jego imiennik z Lubusza, Barta z Kujaw i Wincenty syn Kadłuba z Krakowa (a przy nim Iwo Odrowąż). Biskupstwo pomorskie już się do polskiej prowincji nie zaliczało, podlegało Danii. Pozostawiono w kraju obu wodzów „starowierstwa”, Gedkę z Płocka oraz Pawła z Poznania, który sprzyjał Laskonogiemu. Taka decyzja zastanawia. Od pokonanych nie zażądano samoponizenia, Nie zmuszano ich do podróży i składania hołdów, które nie byłyby im słodkie.

Literaturze brak polskiego wizerunku papieża Innocentego, aczkolwiek pierwszy polski literat oglądał go twarzą w twarz.

Po powrocie z podróży niedługo już zajmował Wincenty tron biskupi w Krakowie. W roku 1218 złożył infułę i wstąpił do klasztoru jędrzejowskiego, który się wtedy nazywał Morimondem. Zmarł 8 marca 1223 roku i pochowany został pośrodku chóru zakonnego w miejscowym kościele.

Najstarsze odpisy kroniki, które posiadamy, datują się z początku XIV wieku. W roku 1612 Jan Herbut wydrukował ją. Pierwszego, ale skróconego przekładu dokonał archidiakon łowicki ksiądz Czajkowski w roku 1803. Tłumaczenie, z którego się w tej książce korzystało, sygnowane „A. J.-M. S”. Józefczyka i Studzińskiego - wyszło w roku 1862 sumptem hrabiego Aleksandra Przezdzieckiego.

19 sierpnia 1633 roku otworzono grób. Zwłoki nie uległy zepsuciu. Ustalono, że Wincenty był dużego wzrostu, silnie zbudowany, czoło miał wysokie.

Panowała podówczas kontrreformacja, zarliwość religijna, już niekiedy przechodząca w fanatyzm. Duch kroniki biskupa doskonale odpowiadał klerowi, sięgającemu w Polsce po rząd dusz. Przemóżny zakon jezuitów sprzyjał wszechstronnemu przywilejowi szlachty, podobnie jak Kadłubek sprzyjał ongi potędze wielmożów piastowskich. Rozbicie dzielnicowe nie zagrażało Polsce Wazów, za to przemieniała się ona w republikę suwerennych folwarków. Diabeł Stadnicki już ogłosił program: „Niechaj każdy szlachcic w swej włości *absolutus dominus* będzie”. Od czterech wieków bez mała Stanisław ze Szczepanowa był świętym i patronem Polski. To Kadłubek przecież wysłał go pod niebiosa i przekazał potomności jego imię, pominięte przez Galla. Bulla kanonizacyjna powoływała się wszak na „wiadomości” zaczerpnięte z kroniki mistrza Wincentego.

Orędownikiem sprawy Kadłubka stał się Remigian Koniecpolski, biskup chełmski i opat jędrzejowski. W roku 1634 synod warszawski postanowił wszcząć starania o kanonizację. Natychmiast poparł to sejm. Na pomyślny rezultat przyszło długo czekać. Dopiero w roku 1764 papież Klemens XIII zaliczył Wincentego w poczet błogosławionych.

W roku 1904 Tadeusz Wojciechowski zadał cios stanowczy jego autorytetowi historyka. W sporze o *Faktum biskupa Stanisława* wykazał wyższość, prawdomówność Galla i puste kaznodziejstwo jego następcy. Zaatakowany przez legion zgorszonych oponentów, odpowiedział rozprawą, której tytuł przeszedł do historii piśmiennictwa, bo nigdy żaden profesjonalny publicysta nie wymyślił lepszego: *Plemię Kadłubka*.

Tylko smutne położenie polityczne Polski może wyjaśnić, czemu zwykły rozsądek tak późno u nas przeważył.

\*

Chciałem początkowo nazwać ten szkic „Stracona szansa literatury polskiej”, lecz po namyśle zdecydowałem się na tytuł bardziej nowoczesny. Owa szansa zresztą w żaden sposób wygrana być nie mogła. Trudno winić kronikarza za porażkę, która leżała w naturze rzeczy.

Czyta się czasem o konieczności upodabniania się za wszelką cenę do konwencji literackich przyjętych w wielkim świecie. Przy okazji warto przypomnieć, że był już taki, co się na siłę upodabniał. Działał w najlepszej wierze, spodziewając się pewnie tryumfu na wieki. Brakło mu doświadczenia, którego nie szczydziło następnych osiem stuleci. Ono pouczyło, że o jedną tylko rzecz warto się starać naprawdę za wszelką cenę. O prawo do pozostania sobą.

Mistrz Wincenty w niezrównany sposób opanował łacinę i nader pilnie przykładał się do studiów. Pochylmy głowy przed tą pracą. Jako pisarza zgubiło go niewolnicze przystosowanie się do mody.

Znawcy z różnych krajów są całkowicie zgodni, że manieryzm panował wtedy wszechwładnie. Cytatomania, retoryka, polowanie na efekty dla nich samych, kunsztowny szyk słów, zawiła składnia, zdania rozbudowane do monstrualnych rozmiarów, emfaza, napuszoność, afektacja, pozowanie na moralistykę - cała litania zalet, które czas bez litości przemienił w zarzuty. Tamci pisarze panicznie bali się znużyć czytelnika i zabawiali go po swojemu chwytami, które im samym ogromnie imponowały. Nie zdawali sobie sprawy, że zbyt sztukmistrzowska walka z banałem i monotonią prostą drogą prowadzi do nich właśnie.

O potędze mody niech zaświadczy przykład człowieka, którego już poznaliśmy. Opat Suger nie był literatem. Został po nim, jako po autorze, *Żywot Ludwika Grubego* (czyli VI) i niedokończone fragmenty życiorysu Ludwika VII. Oprócz tego -traktat o administracji opactwa Saint-Denis, obszerny testament, opis poświęcenia bazyliki, którą sam Suger odbudował, i pewna ilość listów. Tę drugą grupę pism cechuje rzeczowość. Nie umrą, bo historycy ciągle czerpią z nich wiedzę. Za to w *Żywocie* Suger popłynął z prądem i wskutek tego walkę przeciwko czasowi przegrał na głowę. Nie to mu się gani, że podobnie jak Gall i Kadłubek nie uznawał dat rocznych. I nie to nawet, że zamierzył za pomocą dowolnie dobieranych fragmentów przeszłości skomponować moralnie budujący portret króla. Powody kłęski pisarza już się przed chwilą wyjaśniło, charakteryzując prozę XII wieku.

Jednakże, na wielkie swoje szczęście, Suger potrafił niekiedy zejść z koturnów i powiedzieć prosto. Kiedy Ludwik VI czuł bliski zgon, czytamy, kazał rozciągnąć na ziemi dywan i usypać na nim krzyż z popiołu. Złożony na nim rękami dworzan, świętym znakiem krzyża się zbrojąc, ducha wyzionął.

Wielu pisarzy zachodnich ratował konkret, którego tak rozpaczliwie mało u Kadłubka.

Nie ma się zresztą prawa oskarżać całego XII wieku, podciągając pod jeden strychulec wszystkich czynnych wtedy ludzi pióra. Takie postępowanie byłoby szczytem niesprawiedliwości. Aby uniknąć jej popełnienia, należy - pozostając ciągle w świecie kultury europejskiej i chrześcijańskiej - przenieść się na chwilę do Azji. W XII stuleciu żył wszak i pisał arcybiskup Wilhelm z Tyru. Starszy od Wincentego o lat co najmniej trzydzieści, był mu jednak współczesny. Zmarł po roku 1183, a przed rokiem 1187, podobno otruty. Zostawił nam *Historiam rerum transmarinarum* (Dzieje spraw zamorskich), w której opisał losy królestwa jerozolimskiego, od pierwszej krucjaty poczynając.

Przytoczę dwa fragmenty tego dzieła. Ponieważ nie mam go pod ręką, a zapoznałem się z nim dawno temu, będą to urywki zacytowane przez Reginę Pernoud w jej studium o krzyżowcach. Wolno tak postąpić, tym bardziej że znakomita znawczyni przedmiotu wybrała rozdziały najlepiej charakteryzujące prozę mistrza.

Najpierw będzie o tym, czego Wilhelm sam nie widział. Inaczej mówiąc — rezultat jego dociekań i przemyśleń. Jak wiadomo, podczas walk o Antiochię wydarzył się rak zwany



cud św. Włóczy i zagrzał krzyżowców do zwycięstwa. Nadprzyrodzony charakter wypadku został wkrótce zakwestionowany i znalazca rzekomej świętości, duchowny z Prowansji, Piotr Bartłomiej, poddał się próbie ognia. Wyszedł z niej na razie cało. A teraz komentarz acybiskupa Wilhelma:

Bartłomiej umarł w niewiele dni później i niektórzy zapewniali, że ponieważ wydawał się poprzednio całkiem zdrowy i pełen sił, śmierć tak rychła nie mogła wynikać z niczego innego, jak tylko z próby, której zapragnął się poddać, i że znalazł śmierć od ognia, gdyż stał się obrońcą oszustwa. Inni twierdzili przeciwnie, że wyszedł ze stosu cały i zdrowy i kiedy się już był ocalił od ognia, uniesiony pobożnością tłum rzucił się na niego i tak go ścisnął i przytłoczył ze wszystkich stron, iż to właśnie stało się prawdziwą i jedyną przyczyną jego zgonu. Tak więc kwestia pozostaje niewyjaśniona i tonie nawet w mroku.

No, w ten sposób można pisać i w XX stuleciu. Na pewno można będzie również i w XXI. Autor spokojnie przedstawił dwa poglądy, mające obieg, i odmówił opowiedzenia się za którymkolwiek z nich.

Przychodzi kolej na relację o chwili, która musiała być dla Wilhelma straszna. Arcybiskup pisze o swym ukochanym wychowanku:

Przykładaliśmy się pilnie do kształcenia jego charakteru, podobnie jak i do studiów. Bawił się stale z młodymi szlachcicami ze swego otoczenia i często, jak to się zdarza z dziećmi zbyt kującymi pospół, szczypano się tam w ramiona i dłonie: każdy krzyczał z bólu, tylko mały Baldwin znosił to z nadzwyczajną cierpliwością, jakby nie doznawał żadnej przykrości [...] Początkowo sądziłem, że to wytrzymałość, a nie brak czucia; przywołałem go [...] i odkryłem nareszcie, że jego prawe ramię oraz ręka z tej samej strony są nieczułe [...] To był początek i pierwszy objaw zła bez porównania cięższego i zupełnie nie do uleczenia. Kiedy osiągnął wiek chłopięcy, nie sposób o tym mówić bez łez, rozpoznano, że młody człowiek dotknięty jest trędem.

Oto przykład prozy, która nie lęka się czasu. Autor odrzucił wszelką kosmetykę literacką, ograniczył się do zadziwiająco wstrzemięźliwej relacji. Pojął widać, że retoryka byłaby tu profanacją.

*In hoc signo vinces* - mógłby powiedzieć swym współczesnym i wielu potomnym.

Oba przytoczone fragmenty znamy doskonale z powieściowej przeróbki, dokonanej przez Zofię Kossak w *Krzyżowcach i Królu Trędowatym*. Stary pisarz żyje, żywi literaturę o osiemset lat od siebie młodszą. Podobnie jak pamiętnikarze XVII wieku żywili Trylogię.

Wilhelm z Tyru był wychowawcą króla jerozolimskiego Baldwina IV Trędowatego. Uczeń doścignął mistrza - i obaj osiągnęli ten sam poziom niezwykłej prawości charakterów.

Dzisiejsi badacze przyznają Wilhelmowi najpierwsze miejsce w całej historiografii owej epoki. Stawiają go wyżej nie tylko od dziejopisów chrześcijańskich, lecz także od wszystkich kronikarzy arabskich. Pokonać muzułmańskich majstrów — to dopiero była sztuka! Tak na pewno wielka, że warto się pokusić o próbę wyjaśnienia zagadki. Skąd się

wzięły takie bieguny w prozie jednego wieku, pisanej w tym samym języku łacińskim, przez duchownych tej samej wiary?

Wilhelm był zapewne Francuzem z pochodzenia. (Imię nie powinno mylić. Guillaume — zwało się tak wielu mieszkańców Galii od Normandii poprzez Ile-de-France aż po Akwitanie). Urodził się w Palestynie, w królestwie jerozolimskim. Studiował w Europie. Mówił po łacinie, grecku, francusku i arabsku. Znał także hebrajski. Oprócz wzmiankowanego już dzieła, napisał również zaginioną niestety Historię czynów książąt Wschodu, obrazującą dzieje Arabów od czasów Mahometa.

Przytoczone za Reginą Pernoud fakty zdają się wyjaśniać zagadkę. Wilhelm wzrastał, jego umysł formował się na styku dwóch co najmniej wcale niejednorodnych kultur. Wpływy świata muzułmańskiego, w którym rozkwitały takie gałęzie wiedzy, jak geografia i algebra, zrobiły swoje. A może za pośrednictwem Arabów dotarły do niego i jakieś echa konfucjańskiej mądrości, głoszącej: Po cóż ci wiedzieć, czym jest śmierć, skoro nie wiesz jeszcze, czym jest życie? Intelkt Wilhelma z Tyru zdaje się pasować do powieściowej teorii Teodora Parnickiego o kulturalnej wyższości „mieszkańców”. Człowiek o umyśle tak ukształtowanym był zabezpieczony przed zawrotem głowy. Inaczej jego europejscy koledzy, których oszołomiło odkrycie pism starożytnych — ich forma zwłaszcza, a nie myśl. Wszakże i później jeszcze, kiedy nastął wielki Renesans, wyznawcy jego utracili początkowo równowagę. Wszystko było dla nich dobre, „byle trąciło łaciną i greką”, powiada Jean-Marie Lucas Dubreton i dorzuca opinię Savonaroli: „Do tego stopnia uczynili się niewolnikami starożytnych, tak bardzo poddali im wolność swojej inteligencji, że nie tylko nie chcą głosić nic sprzecznego z poglądami starożytnych, ale nie śmieją nawet twierdzić niczego, czego by tamci nie powiedzieli”.

Pisać o dziejach, które nigdy się nie zetknęły z Rzymem i Grecją, wydawało się może Wincentemu zuchwalstwem, już na pewno szczytem prostactwa, złego smaku. Prawda nie nobilitowała jego zdaniem. Uszlachetniał dopięto cytaty z klasyków, pozowanie na starożytność, podrobiona metryka.

Nie będzie chyba przesady w twierdzeniu, że Wilhelm z Tyru stał na jednym biegunie prozy ówczesnej, Wincenty z Kargowa na drugim. Inaczej dzieć się nie mogło. Polski XII wieku nie stać było na dobrą literaturę. Czas właściwy jeszcze nie nadszedł. Absolwent szkoły katedralnej krakowskiej ulec musiał na Zachodzie takiemu porażeniu i wstrząsowi, że skapitulował bez najmniejszej próby oporu. Jemu pewnie ani w myśli nie zaświtało upomnieć się o równe prawa dla krakowskiej czy sandomierskiej prawdy. Poczul się karłem wobec autorytetów. Zaplecza rodzimej twórczości literackiej brakło mu całkowicie. Kronika Galla, napisana w Polsce, stanowiła jednak import. Autor jej przyniósł swój rysunek intelektualny z zewnątrz w stanie gotowym.

Czemuż jednak w tym samym mniej więcej czasie anonimowi twórcy płaskorzeźb na Drzwiach Gnieźnieńskich nie zawahali się przepoić ich polskością? Ubrali widniejących tam ludzi

w buty całkiem podobne do tych, jakie archeologowie odkopują dziś tuż obok, postacie wojów pruskich wymodelowali na podobieństwo polskich chłopów. Rytownik z Wiślicy dał księżętom stroje, jakie oni rzeczywiście chyba nosili. Po togi nie sięgał.

Dzieje plastyki i literatury inaczej całkiem się kształtują. Wśród majstrów z Gniezna, Wiślicy i Strzelna mogli być nawet Polacy. W tej dziedzinie wcześniej osiąga się wyniki. Prawdziwemu artyście — a tamci ludzie byli nimi jak najbardziej — powinno być obojętne, kogo rzeźbi lub maluje, chłopca spod Gniezna czy Katona Starszego. Temat jest właściwie tylko pretekstem. Łatwo się przekonać, jakie konwencje i zakazy nawet lekceważyli twórcy drzwi. Wystarczy przyjrzeć się nagusom na bordiurze, pępkiem dokładnie widocznym przez sukno szat. Ciało ludzkie interesowało tych plastyków ascetycznego podobno średniowiecza. Zachęta w postaci odkrycia rzeźb Praksytelesa nie była bodźcem niezbędnym.

Z literaturą jest inaczej. Do niej, a zwłaszcza do wartościowej prozy o ambicjach intelektualnych, dochodzi się najpóźniej. Może i dlatego także, że nikt, kto się nią para, nie zaczyna od początku. Przychodzi na teren potężnie uzbrojony i ani intuicja artysty, ani biegłość w operowaniu słowem, nawet największa, nie wystarczą. Trzeba dużo wiedzieć, skoro się operuje językiem pojęć. I jeszcze trudniejsze - umieć zdobyć się na całkowitą swobodę wobec tego, co kto inny przedtem powiedział, pomyślał lub napisał.

Polsce XII wieku było na to wszystko za wcześnie. Jej pierwszy literat nawet nie próbował walczyć o samodzielność.

Można się zresztą domyślać, że silnie oddziaływały na niego pewne dodatkowe, a równie niefortunne podniety. Wincenty uchodzi za wzór skromności. Takie wrażenie wywiera przynajmniej jego żywot, zakończony w celi klasztornej. Co prawda, wiele daje do myślenia fakt urwania się kroniki akurat na przedprożu lat, które miały wynieść autora bardzo wysoko. Ale nie spierajmy się o to. Przyjmijmy, że nie miał ambicji władczych. Był jednak literatem, to znaczy istotą, która pragnie imponować.

Pozostawszy na Zachodzie, pisałby pewnie w ten sam sposób, walcząc o lepsze z innymi znawcami rzemiosła. W Polsce XII wieku mistrz, sypiący cytatami na zawołanie, przykrawający dzieje na dziwny, nieznany ład, przemawiający w sposób zawily a płynny - mistrz taki był samotną gwiazdą. Błądł przy nim Gall, cóż dopiero skrybowie, umiejący najwyżej sporządzić notatkę kancelaryjną lub napisać dokument według raz na zawsze ustalonych formuł. Jeśli w plastyce importowali Polacy rzeczy najlepsze, gdyż lada co im nie wystarczało, to z literaturą działo się inaczej. Musiał do nas płynąć blichtr, bo i Zachód kontynentu nim się zachwycił. Znajomość techniki pisarskiej, biegłość formalna i konwencjonalne odczytanie od razu pasowały na geniusza. Zachód oszołomił Wincentego, on oszałamiał Nadwiśle. Nic go nie zachęcało do szukania prawdziwej oryginalności, którą w jego gatunku literackim zapewnia przede wszystkim treść.

Kto wie, czy kunszt pisarski nie dopomógł mu do zdobycia infuly? Ten właśnie ułomny, efekciarski kunszt.

Kadłubek uchodzi również za ojca historiografii polskiej. Chronologicznie rzecz biorąc, na pewno słusznie. Był przecież pierwszym literatem z tego plemienia. On niewątpliwie patronował tak zwanej Kronice Mierzwy, będącej właściwie wyciągiem z jego dzieła, Kronice śląskiej i Kronice wielkopolskiej. Z niego czerpali autorzy żywotów św. Stanisława. Patronat trwał tak długo, dopóki Polacy i w dziedzinie literatury nie uporali się ze swą młodszością kulturalną. Już Janko z Czarnkowa, współczesny Kazimierzowi Wielkiemu i Ludwikowi Węgierskiemu, talent zresztą mierny, umie robić ze słowa właściwy użytek. Czytamy go tylko ze względu na treść jego wywodów. Forma ich stoi na poziomie, po prostu nie zauważa się jej. W wieku XV nasze piśmiennictwo po raz pierwszy wydało dzieła, które śmiało zaliczyć można do szczytowych zdobyczy epoki w skali kontynentu. Znamienne, że osiągnięto to w prozie myślicielskiej oraz w historiografii. W XV stuleciu powstały traktaty Pawła Włodkowica z Brudzenia i *Roczniki czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego* Jana Długosza. Pismo kancelarii koronnej rozesłane po Europie na początku wielkiej wojny z Krzyżakami jest zjawiskiem kulturalnym zupełnie podówczas wyjątkowym. Uderza w nim powściągliwość formy i niezwykle mądra treść.

Historiografia polska, ta, która coś znaczy, okazała się dzieckiem wyrodnym. Pomiędzy Kadłubkiem a Długoszem jest przepaść. Wcale temu nie przeczy fakt, że mistrz Jan mistrzowi Wincentemu przesadnie ufał.

W XVI stuleciu kraj dojrzał pod względem kulturalnym całkowicie. Erazm z Rotterdamu aż za wysoko oceniał ówczesne polskie osiągnięcia. To samo czynili inni zachodni intelektualiści. Wybierzmy sobie fragment z książki bardzo dobrego autora z epoki Odrodzenia, która jednak szczytów polskiego dziejopisarstwa bynajmniej nie reprezentuje. Chodzi o *Dzieje w Koronie Polskiej* Łukasza Górnickiego. Napisane zostały po polsku, więc nareszcie można się obejść bez przekładu.

Tegoż czasu Malcherową, mieszkankę krakowską, białogłową w lat ośmidziesiąt, o żydowską wiarę spalono na rynku w Krakowie, na co patrzyłem. Zebrał był do dworu swego ks. Gamrat, biskup krakowski, kanoniki wszystkie i kolegijaty ku wysłuchaniu jej wyznania wiary. Tu gdy pytana była według Kreda naszego, jeśli wierzy w Boga Wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi, odpowiedziała: „Wierzę w tego Boga, który wszystko stworzył, co widzimy i czego nie widzimy; który rozumem człowieczym ogarniony być nie może, a dobrodziejstw jego i my ludzie jesteśmy pełni, i wszystkie rzeczy na świecie”. Rozszerzała to potem dosyć długo, wyliczając moc Bożą i jego dobrodziejstwa niewymówione. Postąpiono zaś dalej w pytaniu: „A wierzysz w Syna jego jedyne Jezusa Chrystusa, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego etc.?”. Ona na to: „A nie miał ci Pan Bóg ani żony, ani syna, ani mu tego potrzeba, boć jedno tym synów potrzeba, którzy umierają, ale Pan Bóg wieczny jest, a jako się nie urodził, tak i umierać nie może. Nas ma za syny swoje, i są wszyscy synowie Jego, którzy drogami od Niego naznaczonymi chodzą”. Tu krzyknęli kolegijaci: „Źle mówisz, niebogo, obacz się: są prorocтва o tym, iż miał Pan Bóg na świat posłać Syna swego i miał być ukrzyżowany za grzechy nasze, aby nas nieposłusznych jeszcze z ojca naszego Adama swym posłuszeństwem zjednał z Bogiem Ojcem”. Mówili nadto siła z nią doktorowie; a im więcej mówili, tym ona w swym przedsięwzięciu uporniej stała, iż Bóg człowiekiem być i rodzić się nie mógł. Owa gdy się od tej żydowskiej religij odwieść nie

dała, naleziono ją być bluźnierką przeciwko Bogu i do urzędu miejskiego ją odesłano; a w kilka dni potem, jakom wyższej wspominał, spalono, na którą śmierć szła najmniej nie strwożona.

W Górnickim nie ma nic z Kadłubka. Zresztą i w XIII wieku Kronika Mistrza Wincentego była szkolnym podręcznikiem nie historii, lecz retoryki.

Późno, dopiero w XV i XVI stuleciu nauczyli się Polacy sztuki, którą taki Wilhelm z Tyru w pełni posiadał już w XII wieku. Zdaje się, że tajemnica jej polega na wierności wobec przyrodzonej funkcji słowa. Jest ono człowieczym wynalazkiem, służącym do gromadzenia i przekazywania wiadomości o konkretnie — o ludziach i ich prawdziwych doznaniach fizycznych i moralnych, o myślach i rzeczach. Używanie go jako ozdobnika tylko lub jako budulca efektów - degraduje. Nie pamiętam, kto był autorem tezy, że dość łatwo rozróżnić, co zalicza się do cywilizacji, a co do kultury. Dzieła należące do tej drugiej są nieczułe na upływ czasu.

Kiedy mowa o księdze Wincentego Kadłubka, nie sposób się opędzić od natrętnego wspomnienia o rytowanej płycie wiślickiej. Po kilku stuleciach martwego trwania pod czterometrowym słojem gruzu, wyłoniła się żywa. Rówieśna jej, mnóstwo razy przepisywana i drukowana nawet ptoza literacka jest trupem. Dlaczego?

Zupełnie obojętne kogo — Kazimierza czy Bolesława - przedstawia tamten obraz. On nas specjalnie nie nęci wiadomościami o realiach, bo artysta ograniczył się do niezbędnego minimum. Nie kopiował modeli. Twór jego zalicza się — według dzisiejszej nomenklatury — do sztuki deformującej. Artysta wierny był smej istocie swego rzemiosła, i to rozstrzygnęło. Chciał dotrzeć do ludzi poprzez ich zmysł wzroku, dać im widok, jakiego gdzie indziej nie ma.

Proza Kadłubka zgrzeszyła przeciwko przeznaczeniu słowa, które jest nosicielem pojęć i obsługuje najwyższe funkcje psychiki ludzkiej. Autor nie pojmował, że mody i teorie nawet się zmieniają, a głód prawdy trwa.

Warszawa, 10 stycznia 1963 roku

#### NOTA WYDAWNICZA

Niniejszą edycję *Trzech kronikarzy* oparto na wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego z 1964 roku, pierwszym, a zarazem ostatnim za życia autora. Do kolejnych wydań doszło po niemal trzydziestu latach (Czytelnik 1992, 1993).

Przytaczając teksty omawianych kronik, Paweł Jasienica korzystał z następujących, dostępnych wówczas wydań i przekładów: Kronika Thietmara, z tekstu łacińskiego przetłumaczył, wstępem poprzedził i komentarzem opatrzył Marian Zygmunt Jedlicki, Instytut Zachodni, Poznań 1953 (Biblioteka Tekstów Historycznych); Anonim tzw. Gall, Kronika polska, przełożył i opracował Roman Grodecki, Kraków 1923 (Biblioteka Narodowa); Mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, biskupa krakowskiego, „Kronika

polska”, z rękopisu Eugeniuszowskiego wydanie Aleksandra Przeddzieckiego, tłumaczone z łacińskiego przez A[ndrzeja] J[ózefczyka] - M[arcelego] S[tudzińskiego], Kraków 1862.

Przy opracowywaniu tekstu poprawiono bez zaznaczenia nieliczne ewidentne pomyłki w datach bądź pisowni nazwisk oraz nazw geograficznych, zachowując charakterystyczne dla pisarstwa Jasienicy formy językowe. Niektóre nieścisłości sprostowano w indeksach, w kilku wypadkach dodano przypisy. Przypisy autora oznaczone zostały gwiazdkami, redakcyjne — numerkami.

Warszawa 1988 r.